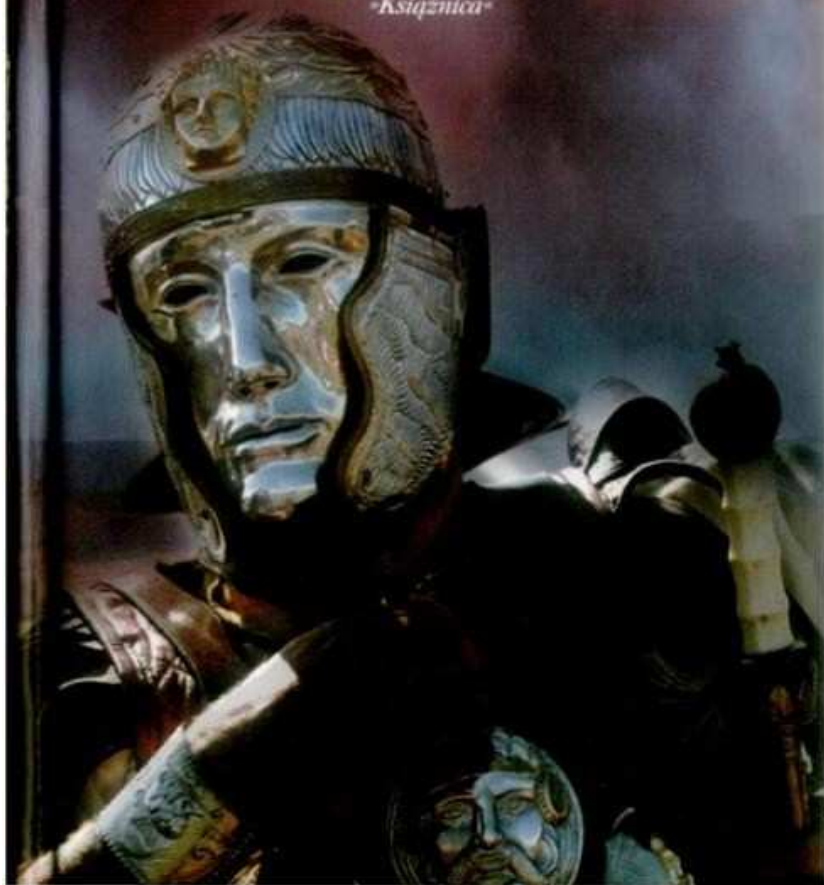


Nowa powieść historyczna autora *Ostatniego legionu* i *Spartanina*

Valerio Massimo Manfredi

Tyran

«Książnica»





Valerio Massimo Manfredi

Tyran

Sycylia, rok 412 p.n.e. Rozpoczyna się pojedynek między Dionizjuszem z Syrakuz a superpotęgą, jaką jest Kartagina, władczyni mórz i wielki ośrodek handlowy. Dionizjusz, wojownik wojsk syrakuzyjskich, jest świadkiem potwornej masakry Selinuntu. To wydarzenie staje się przełomem w jego życiu – tak zaczyna się przygoda człowieka, który stworzył największą armię starożytności, wymyślił zabójcze maszyny wojenne, zaprojektował i zbudował niszczycielkie okręty, w ciągu paru miesięcy postawił mur obronny, jakiego dotąd nie widziano; człowieka, który był dramaturgiem i aktorem, poetą i autorem zawyłych intryg politycznych, czułym kochankiem przez całe życie wiernym swąj pierwszej nieszczęśliwej miłości do pięknej Arete.



9 788324 575268

ISBN 978-83-245-7526-8

KSI.PTWA0600001

Cena det. 29,90 zł

www.kisielnica.com.pl

Valerio Massimo Manfredi

Tyran

Przełożyła z włoskiego
Joanna Kluza

Wydawnictwo „Książnica”

Tytuł oryginału
tiranno

Opracowanie graficzne
Marek J. Piwko

Zdjęcie na okładce ©
Sue Colvil

Copyright © 2005 Arnoldo Mondadori Editore S.p.A., Milano
Published by arrangement with Grandi & Associati. Wszelkie
prawa zastrzeżone

For the Polish edition ©
Publicat S.A., MMVII

ISBN 978-83-245-7526-8

Wydawnictwo „Książnica”
40-160 Katowice
Al. W. Korfantego 51/8
oddział Publicat S.A. w Poznaniu
tel.(032)203-99-05
faks (032) 203-99-06
www.ksiaznica.com.pl
ksiazki@ksiaznica.com.pl

Wydanie pierwsze

Katowice 2007

Skład i łamanie:
mplusm-pracownia

Pamięci mojego ojca

Istotnie nie ma wątpliwości, że bóg wykorzystuje jednych ludzi, aby ukarać nikczemność innych, i że zanim ich unicestwi, czyni z nich w pewnym stopniu katów.

Plutarch

PROLOG

Korynt, 342 rok przed narodzeniem Chrystusa, Drugi rok CIX Olimpiady

Mężczyzna zjawił się niedługo po zachodzie słońca, kiedy cienie jeły się wydłużać nad miastem i portem. Szedł szybkim krokiem z sakwą przewieszoną przez plecy, rozglądając się co chwila niespokojnie. Gdy przystanął przy kapliczce Persefony, w blasku płonącej przed wizerunkiem bogini lampki ukazała się jego postać: szpakowate włosy typowe dla człowieka, który przekroczył już wiek średni, prosty nos i delikatnie wykrojone usta, wysokie kości jarzmowe i zapadnięte policzki, częściowo pokryte ciemnym zarostem. W niespokojnym, niepewnym wzroku zachował się wszakże wyraz godności i dostojeństwa, który kłócił się z nędznym wyglądem i zniszczonym odzieniem, świadcząc o wysokim, choć podupadłym stanie.

Skręciwszy na drogę wiodącą do wschodniego portu, ruszył ku dokom, gdzie znajdowało się więcej tawern i karczem odwiedzanych przez żeglarzy, kupców, robotników portowych i żołnierzy floty. Był to okres rozkwitu Koryntu, toteż w obu portach roiło się od statków, które przewoziły towary do wszystkich krajów morza wewnętrznego i Pontus Euxinus. W dzielnicy południowej, gdzie znajdowały się spichlerze, można było bez trudu usłyszeć mowę sycylijską z wszelkich zakątków wyspy: Akragas,* Katanii, Geli, Syrakuz...

Syrakuzy... Niekiedy wydawało mu się, że je zapomniał, wystarczył jednak byle drobiazg, by przywołać z pamięci chwile

* A k r a g a s — dzisiejsze Agrigento.

z dzieciństwa i dorosłości, by odnaleźć blaski i kolory świata zniekształconego przez tęsknotę, przede wszystkim zaś poprzez gorzyc życia nieodwołalnie naznaczonego porażką.

Dotarłszy do tawerny, rozejrzał się wokoło po raz ostatni i wszedł do środka.

Karczma jeła się zapełniać stałymi bywalcami, którzy przychodzili tu po to, by najeść się gorącej zupy i napić nierozcieńczonego wina, tak jak to czynią barbarzyńcy i biedacy. Przy ładnej pogodzie ludzie siadywali na zewnątrz pod dużą pergolą i wpatrywali się w oba morza: jedno ciemne, które już zdążył wchłonąć mrok, i drugie mieniące się czerwienią w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, i w okręty spieszące, by zawinąć do portu, nim się ściemni. Zimą zaś, gdy od porywów wiejącego z gór Boreasza aż grabiały kończyny, tłoczyli się w środku, gdzie powietrze było wprost gęste od dymu i ciężkich zapachów.

Dorzuciwszy do ognia, Karczmarz postawił przed nim miskę zupy.

— Wieczera, mistrzu.

— Mistrzu... — powtórzył tamten cicho, w jego głosie zaś brzmiała ledwie słyszalna nuta rozczarowania.

Łyżka leżała przywiązana do stołu, żeby nikt z gości jej nie zabrał. Przybysz wziął ją do ręki i zaczął jeść powoli, delektując się ową prostą i smakowitą strawą, która rozgrzewała mu zdrętwiałe ciało.

Właśnie zaczęły się schodzić dziewczęta dla gości, którzy zaspokoiwszy głód, zabierali się do picia albo już mieli w czubie, ponieważ popijali od dłuższego czasu tłumacząc się tym, że jest zimno i trzeba się rozgrzać.

Kloe nie była szczególnie piękna, miała za to czarne głębokie oczy i wyniosłą minę, która zupełnie nie pasowała do młodej dziewczki. Lecz przypominała mu sycylijskie kobiety. Może zresztą była Sycylijką, któż to wie.

A może przywodziła mu na myśl jakąś kobietę, młodzieńczą miłość z rodzinnych stron. Właśnie dlatego co chwila się jej przyglądał i obdarzał uśmiechem, na który ona odpowiadała tym samym, nie rozumiejąc jego prawdziwego znaczenia. Patrzyła nań z niedowierzaniem i lekką drwiną.

Zjawiała się obok prawie zniecka. Zrazu go to zaskoczyło, po chwili wszakże skinął na karczmarza, by przyniósł jeszcze jedną miskę, po czym podsunął jej zupę, jednocześnie kładąc na stole kilka monet.

— Za te drobnaki nie możesz sobie nawet poruchać, mistrzu — stwierdziła kobieta, przeliczywszy w myślach monety.

— Istotnie nie mogę — przytaknął ze spokojem. — Chcę cię tylko poczęstować miską zupy. Jesteś chuda, a jeśli nadal będziesz chudnąć, żaden gość cię nie zechce i dadzą cię do jakiejś ciężkiej pracy. Dlaczego tak mnie nazwałaś?

— „Mistrzu”?

Mężczyzna kiwnął głową nie przerywając jedzenia. Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Wszyscy cię tak nazywają, ponieważ uczysz czytać i pisać za zapłatę. Ale zdaje się, że nikt nie zna twojego prawdziwego imienia. Chyba masz jakieś, nie?

— Jak wszyscy.

— Nie zechciałbyś mi go zdradzić?

Mężczyzna pokręcił głową zanurzając łyżkę w zupie.

— Ty też zjedz — powiedział — póki jest gorąca.

Kloe przytknęła łyżkę do ust i głośno wysiorbała jej zawartość. Następnie wytarła wargi rękawem tuniki.

— Dlaczego nie chcesz wyjawić swojego imienia?

— Bo nie mogę.

Dziewczyna zerknęła na sakwę wiszącą na oparciu krzesła.

— Co jest w środku?

— Nic, co by mogło cię obchodzić. Jedz, bo nadchodzą goście.

Tymczasem zbliżył się do nich karczmarz.

— Idź do izby — rozkazał dziewczynie wskazując wąskie drzwi w głębi karczmy. — Czekają tam na ciebie dwaj zuchwali żeglarze, którzy mają chęć się zabawić. Zapłacili z góry. Zadbaj o to, żeby byli zadowoleni.

Dziewczyna przełknęła jeszcze jedną łyżkę zupy, nim się jednak oddaliła, szepnęła mu do ucha:

— Uważaj, twoja sakwa za bardzo przyciąga spojrzenia. Jest ktoś, kto chętnie by się dowiedział, co zawiera. Ale ja nic nie mówiłam. — Po czym dodała półgłosem: — Dziękuję za zupę, mistrzu. Rozgrzała mi serce.

Kloe została oddana w ręce dwóch pijanych przybyszów. Wielkich, grubych i brudnych. Wkrótce potem rozległ się jej krzyk. Należeli do tych, co to lubią sprawiać ból. Mężczyzna zerwał się z miejsca i ruszył do drzwi w głębi sali, podczas gdy karczmarz wołał za nim:

— Dokąd idziesz? Stój, do diaska, stój!

On jednak zdążył już otworzyć drzwi na oścież, po czym wpadł do ciemnej izdebki wrzeszcząc:

— Zostawcie ją! Puśćcie ją, łotry!

Zamieszanie przerodziło się w prawdziwą bijatykę. Kiedy chwycili go we dwóch i wypchnęli na środek karczmy, mężczyzna złapał za krzesło. Tymczasem pozostali goście okrążyli walczących zagrzewając ich ostro do boju. Nagle zbliżył się trzeci osobnik usiłując ukraść sakwę, a wówczas tamten rąbnął go krzesłem i natychmiast przywarł plecami do ściany.

Znalazł się w potrzasku. Przerażony własną śmiałością, zalewał się potem i drżał, podczas gdy groźni napastnicy osaczali go coraz bardziej. Jeden z nich uderzył go pięścią w żołądek, potem w twarz, kiedy jednak drugi zamierzał się nań rzucić, niespodziewanie wyrosło jak spod ziemi trzech nieznanych raptusów, którzy rozciągnęli ich na ziemi jednego po drugim, aż im krew trysnęła z ust i nosów. Po czym zniknęli równie nagle, jak się pojawili.

Upewniwszy się, że sakwa jest na swoim miejscu, „mistrz” minął osłupiałych gości, kierując się do wyjścia.

Na dworze dopadł go zimny wiatr, wywołując dreszcze. Dopiero wówczas poczuł ból po otrzymanych ciosach, zarazem jednak opuściło go straszliwe napięcie, które trzymało w swych kleszczach aż do tej chwili. Zachwiał się przytykając dłonie do skroni, jakby chciał w ten sposób powstrzymać zawroty głowy i przeświadczenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg, po czym poszukawszy bezskutecznie oparcia, zwałił się na ziemię pośrodku drogi.

Odzyskał zmysły o wiele później, kiedy zaczęło padać, po twarzy zaś i wzdłuż pleców jęła mu się łać lodowata woda. Po pewnym czasie poczuł, że ktoś ciągnie go po ziemi pod dach, pod którym uwiązane były osły.

Otworzywszy oczy, w blasku padającym z okien karczmy dostrzegł starego żebraka o łysej głowie i bezzębnych ustach.

— Ktoś ty? — zapytał

— Raczej coś ty za jeden! Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Tamci trzej wyrosli jak spod ziemi i urządzili jatkę... A potem zniknęli. Tyle hałasu z powodu byle oberwańca...

— Nie jestem oberwańcem.

— Rzeczywiście, to by było bardzo dziwne. — Starzec zaciągnął go pod ścianę i okrył słomą. — Zaczekaj, wielki człowieku — dodał. — Może zostało mi jeszcze trochę wina. To moja zapłata za to, że pilnuję tych osłów całą noc. Pij, wlej do gardła parę kropel, to cię rozgrzeje. — Przyglądał się, jak tamten przetyka płyn. — Skoro nie jesteś nędzarzem, to kim?

— Zarabiam na życie ucząc czytania i pisania, ale...

— Ale co?

Wykrzywił wargi w grymasie, który mógłby uchodzić za uśmiech.

— Byłem kiedyś panem największego i najbogatszego miasta na świecie...

— Pewnie, jakżeby inaczej! A ja jestem królem Persji.

— Mój ojciec zaś był największym człowiekiem naszych czasów... Daj mi jeszcze odrobinę wina.

— Co ty wygadujesz?

Mężczyzna upił kilka potężnych łyków.

— Co masz w tej sakwie, którą tak kurczowo ściskasz?

— Nic, co warto by ukraść. Tam jest... jego historia. Historia człowieka, który został panem niemal całej Sycylii i dużej części Italii, pokonał barbarzyńców w wielu bitwach, wynalazł maszyny wojenne, o jakich się nikomu nie śniło, przemieścił całe narody, zbudował fortecę największą na świecie w ciągu zaledwie trzech miesięcy, założył kolonie na Morzu Tyrreńskim i na Adriatyku, poślubił dwie kobiety tego samego dnia... historia jedyne go wśród Greków.

Starzec wyciągnął ku niemu dzban z winem, po czym przysunął się bliżej, siadając z plecami opartymi o ścianę.

— Na bogów! A kim niby jest ten wyjątkowy człowiek, ten...

Nagle lśniąca od deszczu drogę rozjaśnił błysk, oświetlając zarazem posiniaczoną twarz mistrza. Po chwili na niebie rozległ się grzmot, on wszakże wcale nie zadrżał ze strachu. Przycisnąwszy

do piersi sakwę, powiedział cedząc każde słowo z patosem:

— Jego imię brzmi Dionizjusz, Dionizjusz z Syrakuz. Ale cały świat zwał go... tyranem.

I

Drogą z Kamaryny ku wschodniej bramie miasta gnał na złamanie karku jeździec na koniu, wzbijając tumany białego kurzu. Zatrzymał go oficer straży.

— Stój i — zawołał. — Ktoś ty?

Pytanie okazało się jednak zbędne. Niespełna dwieście stóp od murów koń nie wytrzymał i runął na ziemię, jeździec zaś poturlał się w pyłe.

— Otworzyć furtkę — rozkazał oficer. — Prędko, sprawdźcie, co to za jeden i wnieście go do środka!

Natychmiast na zewnątrz wybiegło czterech wartowników, którzy doskoczyli do jeźdźca leżącego bez czucia. Znajdujący się nieopodal wierzchowiec dyszał bliski śmierci.

Kiedy usiłowali go odwrócić, mężczyzna wrzasnął z bólu, odsłaniając twarz wykrzywioną zmęczeniem, pokrytą kurzem i krwią.

— Coś za jeden? — zapytał któryś z żołnierzy.

— Przybywam z Selinuntu... Muszę rozmawiać z waszym dowódcą, prędko, prędko, zaklinam was.

Popatrzwszy po sobie, żołnierze zrobili z włóczni i tarcz nosze, na których go położyli i wnieśli do środka. Jeden z nich zaś dobił konia, który opuścił łeb na ziemię wydając ostatnie rżenie.

Po chwili dotarli do oddziału straży. Kiedy oficer zbliżył się z pochodnią, posłaniec przyjrzał mu się uważnie: był to potężnie zbudowany młodzieniec o kruczoczarnych kręconych włosach, czarnych oczach i mięsistych wargach.

— Nazywam się Dionizjusz — oznajmił. — Jestem dowódcą straży. Co się stało, mów, na bogów!

— Muszę przekazać wieść władzom. To sprawa życia i śmierci. Kartagińczycy zaczęli oblężenie Selinuntu. Są ich tysiące; mają ogromne wspaniałe maszyny. Nie możemy się dłużej bronić... Potrzebujemy pomocy... prędko, na bogów, prędko! I dajcie mi pić, proszę, umieram z pragnienia.

Dionizjusz przytknął mu do ust własny kothon, po czym jął wykrzykiwać rozkazy swym żołnierzom.

— Biegnij do Dioklesa — polecił jednemu z nich — i powiedz mu, żeby przyszedł do prytanejonu; to sprawa niecierpiąca zwłoki.

— Ale on śpi — zaprotestował strażnik.

— Zrzuć go z postania, na Heraklesa, rusz się! A wy — zwrócił się do reszty oddziału — idźcie obudzić członków Rady i przyprowadźcie ich do prytanejonu. Muszą wysłuchać tego człowieka. Ty zaś — rzekł do innego żołnierza — wezwij chirurga i powiedz mu, że jest natychmiast potrzebny.

Wszyscy pobiegli wykonać rozkazy. Tymczasem Dionizjusz przekazawszy dowództwo swemu zastępcy, przyjacielowi imieniem Jolaos, ruszył ciemnymi ulicami miasta wraz z małym oddziałem trzymającym prymitywne nosze, oświetlając drogę pochodnią. Od czasu do czasu zerkał na leżącego na nich mężczyznę, który krzywił się z bólu przy każdym szarpnięciu, przy każdym gwałtownym ruchu.

Kiedy dotarli na miejsce, właśnie zaczęli się schodzić zaspani i rozdrażnieni członkowie Rady, którym towarzyszyli niewolnicy niosący lampki oliwne. Diokles, naczelný wódz sił zbrojnych, zjawił się niemal natychmiast, na widok Dionizjusza wszakże zmarszczył brwi.

— Cóż takiego pilnego się stało? Co to za porządki, żeby...

Dionizjusz przerwał mu stanowczym gestem ręki. Choć skończył zaledwie dwadzieścia dwa lata, był najsilniejszym wojownikiem w mieście — nikt nie władał bronią tak dobrze jak on, nikt nie potrafił znosić zmęczenia, niewygód i bólu tak jak on. Nie poddawał się dyscyplinie, był zuchwały i nie darzył szacunkiem ani bogów, ani ludzi, którzy najwyraźniej nań nie zasługiwali. Jego zdaniem prawo dowodzenia miał jedynie ten, kto był gotów

pierwszy narazić życie dla innych, w bitwie zaś umiał dowieść, że jest najwaleczniejszy ze wszystkich. Nie miał ani krzty poważania dla tych, co to potrafiały tylko gadać, zamiast działać. Zawsze też spoglądał prosto w oczy temu, kogo zamierzał zabić.

— Ten człowiek zajeździł swojego konia i połamał kości, żeby tu dotrzeć — powiedział — pomyślałem więc, że należy go jak najprędzej wysłuchać.

— Niechaj więc mówi — odrzekł zniecierpliwiony Diokles. Kiedy Dionizjusz pomógł posłańcowi nieco się podnieść, tam ten jął świadczyć:

— Napadli na nas z nienacka, od północy, skąd nigdy byśmy się nie spodziewali ataku. Dzięki temu podeszli pod same mury miasta. Zbudowali tarany na ruchomych wieżach, wzniesli wysokie pnie z czubami z litego żelaza i zaczęli walić w mury dzień i noc, podczas gdy stojący na górze łucznicy wymiatali przedpiersia zasypując obrońców gradem strzał. Próbowaliśmy się bronić na wszelkie sposoby... Ich wodza zwą Giskonem, to nieprzejednany i zaciekły wróg. Powiada, że jest synem owego Hamilkara, który oddał życie na ołtarzu w Himerze siedemdziesiąt lat temu, kiedy wasi razem z mieszkańcami Akragas rozbili w pył wojska kartagińskie. Twierdzi, że zamierza oczyścić pamięć swego ojca. I że nic go nie powstrzyma, dopóki nie dokona zemsty. Przez trzy kolejne dni odpieraliśmy ataki jeden po drugim, jedyną zaś rzeczą, jaka pozwalała nam wytrwać w tym straszliwym wysiłku, była dla nas nadzieja, że wkrótce przybędziecie z odsieczą. Dlaczego jeszcze nie wyruszyliście? Miasto nie może się zbyt długo opierać; kończą nam się zapasy, straciliśmy mnóstwo ludzi, wielu innych z kolei jest rannych i nie zdolnych do dalszej walki. Wystawiliśmy do boju siedemnastoletnich młodzieńców i siedemdziesięcioletnich starców. Walczą nawet kobiety. Pomóżcie nam, w imię bogów błagam, pomóżcie!

Odwróciwszy wzrok od zaleknionej twarzy posłańca z Selinuntu, Diokles omiół spojrzeniem siedzących półkołem członków Rady.

— Słyszeliście? Co radzicie uczynić?

— Uważam, że powinniśmy natychmiast ruszać! — wykrzyknął Dionizjusz.

— Twoje zdanie nie ma tu najmniejszego znaczenia — uciszył go Diokles. — Jesteś tylko niższym oficerem.

— Ale ci ludzie na nas czekają, na Heraklesa! — oburzył się Dionizjusz. — Oni umierają; jeśli nie przyjdziemy na czas, wszyscy zginą.

— Dość! — uciął Diokles. — Albo każę cię stąd wyrzucić.

— Rzecz w tym — wtrącił starzec o imieniu Heloris — że uchwałę można podjąć dopiero jutro, kiedy zbierze się odpowiednia liczba członków Rady. Ale dlaczego nie wysłać na razie Dionizjusza?

— Samego? — zapytał z przekąsem Diokles.

— Daj mi tylko rozkaz — odezwał się młodzieniec — a nim nastanie świt, przyprowadzę ci pięciuset ludzi w rynsztunku bojowym. A jeśli przydzielisz mi dwa okręty, za dwa dni będę pod murami Selinuntu.

Goniec przysłuchiwał się owej wymianie zdań z niepokojem, każda bowiem chwila mogła zadecydować o uratowaniu bądź o zagładzie miasta.

— Pięciuset ludzi? — zdziwił się Diokles. — A skąd ich weźmiesz?

— Dostanę od Bractwa — odparł Dionizjusz.

— Bractwa? Ja tu dowodzę, a nie Bractwo! — zawołał.

— Nieważne, kto ich dostarczy — odezwał się ponownie Heloris — byleby wyruszyli, i to jak najprędzej. Czy ktoś jest przeciw?

Członkowie Rady, którzy marzyli tylko o tym, by wrócić do ciepłych łóżek, zgodzili się jednogłośnie na wyjazd Dionizjusza, nie przyznali mu wszakże okrętów potrzebnych głównym siłom armii.

W tej samej chwili do sali wkroczył chirurg, niosąc torbę z narzędziami.

— Zajmij się tym człowiekiem — polecił mu Dionizjusz, po czym natychmiast wyszedł, nie czekając nawet na rozkaz Dioklesa. Wkrótce znalazł się przed oddziałem straży, u boku swego przyjaciela Jolaosa.

— Ruszamy — oznajmił.

— Kiedy? I dokąd? — zapytał z niepokojem Jolaos.

— O świcie, do Selinuntu. Będziemy przednią strażą. Reszta dołączy do nas na okrętach. Potrzebuję pięciuset żołnierzy i muszę

ich znaleźć wewnątrz Bractwa. Roześlij jak najprędzej wici. Chcę, żeby stawili się tu najpóźniej za dwie godziny w pełnym rynsztunku, z racjami żywności na pięć dni i jednym zapasowym koniem na trzech ludzi.

— Ależ to się nigdy nie uda. Bractwo darzy cię wielkim szacunkiem, ale...

— Więc powiedz im, że właśnie nadeszła chwila, by tego dowieść. Ruszaj się.

— Jak sobie życzysz — odrzekł Jolaos.

Kiedy zagwizdał, natychmiast rozległo się rżenie i stukot końskich kopyt. Młodzieniec wskoczył na swego wierzchowca i zniknął w ciemnościach.

Czwartego dnia jednemu z taranów udało się zrobić wyłom w murach, po czym kampańscy najemnicy będący w służbie Kartagińczyków rzucili się naprzód popychani pragnieniem, by odznaczyć się w boju, przede wszystkim zaś chciwością, dowódca obiecał bowiem, że będą mogli złupić miasto.

Mieszkańcy Selinuntu, którzy czym prędzej stłoczyli się przy szparze, zakrywając ją tarczami, odparli atak zabijając wielu napastników, podczas gdy pozostali jęli się wycofywać depcząc po ciałach własnych towarzyszy.

Nazajutrz Giskon rozkazał pozbierać zwłoki poległych i postawić namioty ochronne, pod którymi żołnierze mogli oczyścić pole bitwy. Jednocześnie umieszczeni na wieżach oblężniczych łucznicy zasypywali wroga gradem strzał, zmuszając go, by oddalił się od szczeliny.

Szóstego dnia droga była wolna; tarany poszerzyły bardziej wyłom, robiąc przejście dla piechoty składającej się z libijskich, iberyjskich i kampańskich najemników, którzy wpadli do miasta wydając mrozące krew w żyłach okrzyki.

Mieszkańcy Selinuntu, którzy to przewidzieli, przygotowywali się przez całą noc wznosząc u wylotu każdej z ulic ogromne przeszkody zagradzające przejście. Stojąc na owych barykadach, odparali zarazem ataki nieprzyjaciół, z których wielu zabili. Chociaż jednak odznaczali się niewyobrażalną wprost walecznością, teraz, tocząc zacięty bój z ciągle zmieniającymi się i wypoczętymi

oddziałami, z każdą godziną tracili siły i tak już nadwątlone stawianiem barykad i brakiem snu.

Siódmego dnia tarany zrobiły wyłom w innym miejscu murów, przez który jęli się przedzierać napastnicy, wznosząc tak głośne okrzyki, że walczącym żołnierzom włos jeżył się na głowie. Kolejna fala runęła na barykady niczym wezbrana rzeka przerywająca tamę. Nieprzyjacielem obalili przeszkody, spychając wojowników z Selinuntu na plac, gdzie stłoczyli się jeden przy drugim, usiłując stawić po raz ostatni rozpaczliwy opór.

W owych strasznych chwilach niewiarygodną odwagą wykazały się kobiety. Stanąwszy na dachach domów, zrzucały na wrogów wszystko, co wpadło im w ręce: dachówki, cegły czy belki, w ich ślady zaś poszły dzieci świadome, jaki czeka je los.

Tak oto mieszkańcy Selinuntu zdołali przedłużyć o jeden dzień agonię swej ojczyzny, w nadziei że każda kolejna godzina przybliży ich ocalenie. Poprzedniej nocy na szczytach gór w głębi wyspy pojawiły się znaki świetlne, wszyscy zatem sądzili, że wkrótce nadejdą posiłki. Nazajutrz wszakże ostatni opór został zdławiony. Wycieńczeni długotrwałym bojem żołnierze rozproszyli się, walka zaś przekształciła się w tysiąc pojedynków. Wielu z nich postanowiło bronić jedynie drzwi do własnych domów, a wrzaski przerażonych synów i córek zdawały się w jakiś dziwny sposób krzesać z ich umęczonych ciał resztki sił. Ich upór jednak tylko wzmagał wściekłość barbarzyńców, którzy uzyskawszy wreszcie przewagę, dokonali najbardziej krwawej rzezi, jaką kiedykolwiek widział człowiek. Zabijali bez litości nawet kilkuletnie dzieci i podrzynali gardła niemowlętom w kołyskach. Wieczorem wielu z nich przechadzało się z głowami nieprzyjaciół nadzianymi na włócznie.

Wszędzie działy się potworności, wszędzie rozlegał się płacz, krzyki rozpacz, skargi rannych i umierających.

Tylko że to wcale jeszcze nie był koniec.

Łupienie miasta trwało dwa dni i dwie noce, Giskon zaś rzucił na pastwę żołądka kobiety, dziewczęta i małych chłopców. Nie sposób opisać wszystkie męki, jakie musieli wycierpieć owi nieszczęśnicy, ci nieliczni zaś, którzy przeżyli i byli w stanie opowiedzieć to, co widzieli, mówili, że dosłownie każdy więzień zadościł tym, co poległ z honorem, z mieczem w dłoni. Nie ma

bowiem nic gorszego dla istoty ludzkiej, niż być zdanym na łaskę i niełaskę innej istoty ludzkiej.

Miasto zostało zniszczone dwieście czterdzieści dwa lata od chwili jego założenia.

Zginęło szesnaście tysięcy ludzi.

Sześć tysięcy, wśród nich niemal same kobiety, chłopców i dzieci, sprzedano w niewolę.

Dwa tysiące sześćset osób zdołało się uratować uciekając przez wschodnią bramę, jako że barbarzyńcy, którzy zajęli się grabieżą, przestali jej pilnować.

W środku nocy natknął się na nie Dionizjusz podążający na czele hufca, który składał się z pięćdziesięciu jeźdźców. Wyruszył na zwiad, wyprzedzając resztę wojska o jakąś godzinę drogi. Reszta syrakuzkańskich oddziałów miała dotrzeć do ujścia Hypsasu następnego dnia.

Za późno.

Na widok jazdy ocalali z oblężenia wojownicy otoczyli kołem kobiety i dzieci, obawiali się bowiem, że właśnie wpadli w zasadzkę i że śmierć oszczędziła ich tylko po to, by zgotować im jeszcze potworniejszy koniec. Usłyszawszy jednak ojczystą mowę, rzucili na ziemię tarcze i padli na kolana wybuchając płaczem. Wędrowali tak długo gnani wyłącznie siłą rozpacz, teraz zaś, gdy wreszcie nadszedł ratunek, dopadły ich wspomnienia tragedii, obrazy rzezi, gwałtów i potworności, które musieli oglądać, a zgroza i smutek zalały ich niczym fale wzburzonego morza.

Zsiadłszy z konia, Dionizjusz przyjrzał się uważnie szeregowi nieszczęśników. W blasku pochodni spostrzegł mężczyzn powalanych krwią, kurzem i potem, powgniatane tarcze i hełmy, zaczerwienione od braku snu oczy, zmęczenie, szloch i przerażenie; bardziej przypominali zjawy niż ludzkie istoty.

— Który z was jest najstarszy rangą? — zapytał.

Wówczas wystąpił naprzód mężczyzna mniej więcej czterdziestoletni.

— Ja. Jestem dowódcą speirai i nazywam się Eupites. A wy cóście za jedni?

— Syrakuzanie — padła odpowiedź.

— Dlaczego przybywacie dopiero teraz? Nasze miasto zostało zrównane z ziemią i...

Dionizjusz przerwał mu stanowczym gestem ręki.

— Gdyby to ode mnie zależało, nasze wojsko dotarłoby tu już dwa dni temu. Ale naród musi się zebrać na Zgromadzeniu, żeby podjąć uchwałę, kolegium strategów zaś musi się naradzić nad sposobem działania. Jedyne co zdołałem osiągnąć, to pozwolenie, bym wyruszył z oddziałem straży przedniej. A teraz każ wystąpić rannym; zrobimy nosze dla tych, którzy nie są w stanie iść o własnych siłach, i postaramy się stąd uciec jak najszybciej. Ustaw w środku kobiety i dzieci, z przodu i z tyłu zaś żołnierzy. Po bokach wystarczymy my. Musimy dotrzeć do Akragas, zanim barbarzyńcy puszczą się za wami w pościg.

— Zaczekaj — powstrzymał go Eupites.

— Co się stało?

— Jak cię zwa?

— Dionizjusz.

— Posłuchaj, Dionizjuszu: jesteśmy wdzięczni, że jako pierwszy wyruszyłeś nam z odsieczą. Stan, w jakim się znajdujemy, upokarza nas i zawstydzia, chcemy jednak ci coś powiedzieć. — Podczas gdy mówił, pozostali wojownicy z Selinuntu podnieśli tarcze i otoczyli go kołem, prostując ramiona i dzierżąc w dłoniach włócznie. — Kiedy tylko odzyskamy siły, wrócimy, żeby odbudować nasze domy i miasto, jeśli zaś ktokolwiek zdecyduje się wystąpić przeciw Kartagińczykom, niech wie, że będziemy gotowi wyruszyć na wojnę w każdej chwili i że teraz jedynym naszym celem jest zemsta.

Dionizjusz podszedł bliżej i uniósł pochodnię, aby oświetlić mu twarz. W jego wzroku ujrzął tak wielką nienawiść, jakiej nigdy nie widział w oczach żadnego człowieka. Kiedy przesunął płomień po obliczach pozostałych wojowników, w każdym z nich dostrzegł tę samą nieustraszoną zawziętość.

— Będę o tym pamiętał — odparł.

Wyruszyli dalej i wędrowali przez całą noc, aż dotarli do garstki wiosek, gdzie zdołali znaleźć trochę jada. Podczas gdy wyczerpani uchodźcy wyciągnęli się w cieniu drzewa oliwnego, Dionizjusz zawrócił na koniu, by upewnić się, czy nikt za nim nie jedzie. Właśnie wtedy jego uwagę przyciągnęło coś, co wyglądało jak

biała plama pośrodku łąki. Spał wierzchowca i podjechał bliżej. Na trawie leżała bez czucia jakaś dziewczyna. Zeskoczywszy na ziemię, Dionizjusz uniósł jej głowę i przytknął do ust kothon z wodą. Mogła mieć najwyżej szesnaście lat, jej twarz zaś była tak czarna od dymu, że niemal nie dało się dojrzeć rysów. Jedyne oczy lśniły niczym jantary, gdy je otworzyła. Musiała upaść wyczerpana nocnym marszem, lecz nikt tego nie zauważył. Kto wie., ile jeszcze osób poddało się zmęczeniu podczas tych godzin.

— Jak cię zwa? — zapytał.

Upiwszy jeszcze parę łyków, dziewczyna odparła:

— Nie zdradzam swojego imienia pierwszemu lepszemu.

— Nie jestem pierwszym lepszym, głupia, ale tym, który ratuje ci życie. Niedługo pożartyby cię bezpańskie psy. Wstawaj i wsiadaj na konia razem ze mną. Zabiorę cię do pozostałych.

Dziewczyna podniosła się z trudem.

— Mam wsiąść z tobą na konia? Ani myślę.

— Więc zostań tutaj. A kiedy nadejdą kampariscy najemnicy, odechce ci się samotnych wędrówek.

— Mam na imię Arete. Pomóż mi wsiąść.

Dionizjusz wsadził ją na konia, sam zaś wskoczył z tyłu i popędził wierzchowca.

— Czy wśród zbiegów jest ktoś z twoich krewnych?

— Nie — zaprzeczyła Arete. — Całą rodzinę zabili. — Powiedziała to martwym głosem, jakby mówiła o czymś, co jej nie dotyczy.

Dionizjusz nie odezwał się więcej. Podsunął jej ponownie kothon, by zaspokoić pragnienie. Napiwszy się dziewczyna nalała odrobinę wody na dłoń i obmyła twarz, po czym otarła ją skrajem peplosu.

Nagle przygalopował na koniu jakiś jeździec, który zatrzymał się w pobliżu. Jasnooki, łysiejący na skroniach — wysokie czoło i zadbana broda nadawały mu wygląd starszego, niż był w rzeczywistości. Obrzuciwszy spojrzeniem dziewczynę, od razu przemówił do Dionizjusza.

— A, tu jesteś! — zawołał. — Mogłeś nas uprzedzić. Myśleliśmy, że zginąłeś.

— Wszystko w porządku, Filistosie — uspokoił go Dionizjusz. — Znalazłem tę dziewczynę, bo została w tyle. Wróc do wio-

ski i zdobądź dla niej trochę jada. Prawdopodobnie nie miała nic w ustach od wielu dni. To skóra i kości.

Gdy dziewczyna spojrzała nań ze złością, Dionizjusz uderzyła dopiero teraz widoczna uroda jej twarzy, prześlicznych bursztynowych oczu ocienionych długimi ciemnymi rzęsami. Mimo znużenia i wyczerpania potwornymi przejściami była pełna wdzięku i powabu, miała długie smukłe palce, jej włosy zaś nadal lśniły fioletowym blaskiem i zachowały swój zapach. Po chwili Dionizjusz zorientował się, że jej młodzieńczym ciałem wstrząsają łkania. Płakała cicho.

— Płacz — zachęcił. — Łatwiej ci będzie przewyciężyć gnębiące cię wspomnienia. Ale staraj się nie rozmyślać wiele i nie zadreżać się. Twój ból nie przywróci życia tym, których straciłaś.

Chociaż nie odpowiedziała, Dionizjusz poczuł, jak wsparła ciężko głowę o jego plecy.

Arete otrząsnęła się, gdy dotarli w pobliże wioski i pozostałych uchodźców, którzy właśnie się pokrzepiali. Dionizjusz chwycił ją pod pachy i postawił na ziemi bez wysiłku, jak piórko.

— Tam rozdają jado — powiedział. — Idź, zanim zabraknie.

Widząc jednak, że dziewczyna nie rusza się z miejsca, dał znak Filistosowi, aby poszedł po trochę strawy. Mężczyzna przyniósł kawałek chleba i gomółkę owczego sera, po czym podsunął je Arete, która zabrała się do jedzenia. Musiała umierać z głodu.

Ledwie wszakże przełknęła pierwszy kęs, jej uwagę przyciągnął mały chłopczyk chlipiący samotnie pod drzewem oliwnym. Podeszła do niego i poczęstowała chlebem.

— Jesteś głodny? — zapytała. — Jedz.

Chłopczyk jednak pokręcił głową, nie przestając zalewać się łzami. Zakrył buzię małymi rączkami, jakby nie chciał oglądać tego straszliwego świata.

Tymczasem nadciągnęła kolejna grupa uchodźców, którzy zostali w tyle. Arete spostrzegła wśród nich obraz, który wywarł na niej ogromne wrażenie: oto posuwał się naprzód młody wojownik prowadząc z trudem starca, zapewne swego ojca, drugą ręką trzymając dłoń siedmio-, może ośmioletniego malca, który podążał za nim popłakując.

Zbliżywszy się do chłopczyka, Arete wzięła go na ręce wskazując całą trójkę.

— Popatrz na nich, mały. Czyż nie wyglądają jak Eneasze z swoim ojcem Anchizemem i synkiem Julusem?

Chłopczyk przestał płakać i spojrzał na mijających go właśnie młodzieńca, starca i malca.

— Znasz historię Eneasza? Zjedz coś, to ci opowiem. — Po czym zaczęła: — Eneasze, książę trojański, po śmierci Hektora został sam broniąc murów. Kiedy zaś spał, podobnie jak wszyscy, miasto padło. Nie pozostało mu nic innego, jak odejść i właśnie dzięki temu zyskał sławę człowieka pokonanego, który ucieka, mając jako jedyne dziedzictwo nadzieję. Ktoś z pewnością go zobaczył i przekazał wspomnienie o nim: mężczyźnie prowadzącym za rękę dziecko, na plecach zaś niosącym sparaliżowanego starca. Tak oto Eneasze stał się symbolem uchodźcy, który ma nieskończone szczęście: tysiące, miliony naśladowców we wszystkich zakątkach świata, wśród ludzi, których istnienia nawet nie podejrzewał...

Zasłuchane dziecko, które zdawało się nieco uspokojone, niechętnie żuło skibkę chleba. Arete snuła swą opowieść, jakby głośno myślała:

— Koczujący w błocie i kurzu, poruszający się na wozach, osłach i wołach uchodźcy są niezatartym symbolem Eneasza, który ciągle żyje i będzie żył wiecznie. Bo Troja płonie, dziś i zawsze...

— Poważna przemowa jak na takie małe dziecko, nie sądzisz? — rozległ się za jej plecami głos Dionizjusza.

— Masz rację — odrzekła Arete odwracając się. — Zbyt poważna. Ale wydaje mi się, że mówiłam do siebie. — Po czym dodała: — Jestem tak zmęczona, że sama już nie wiem, co mówię.

— To były piękne słowa — przyznał Dionizjusz. — Żarliwie. Ale ja nie potrafię się pogodzić z taką hańbą. Nie mogę jej znieść. Wstyd mi za moich rodaków, którzy stracili tyle cennego czasu na próżne dysputy, na wyczerpujące diatryby, podczas gdy wy walczyliście z bezlitosnym wrogiem, do ostatniej chwili żywiąc nadzieję, że przybędziemy z odsieczą. Siedemdziesiąt lat temu, kiedy Syrakuzami rządził jeden człowiek, nasze wojsko maszerowało trzy dni i trzy noce, aby dotrzeć do oblężonej przez Kar-

tagińczyków Himcry, po czym pokonało ich w pamiętnej bitwie. Tego samego dnia gdy Ateńczycy odnosili zwycięstwo nad Persami pod Salaminą.

— Ten człowiek był tyranem — stwierdziła Arete.

— Ten człowiek był mężczyzną! — krzyknął Dionizjusz. — I zrobił to, co powinien.

Kiedy się oddalił, Arete jęła się przyglądać, jak wydaje polecenia swym towarzyszom, jak skupia wokół siebie uchodźców z Selinuntu, dodając im otuchy, i jak zagrzewa do dalszej wędrówki.

Odpocząwszy jako tako przez godzinę, podnieśli się, pozbierali tarcze i ruszyli w dalszą drogę. Wielu z nich potraciło sandały, toteż wlekli się po kamieniach pozostawiając krwawe smugi. Nie sposób było pojąć, skąd brali siły. W głębi serca Dionizjusz zdawał sobie z tego wszakże sprawę i właśnie dlatego kazał im iść dalej, wiedział bowiem, że żadna potęga nie może się równać z człowiekiem, który nie ma już nic do stracenia.

Maszerowali całymi godzinami, przystając jedynie od czasu do czasu, aby ugasić pragnienie, jeśli napotykali jakieś źródło, albo zaspokoić dokuczliwy głód garstką cierpkich owoców. Dzieci nie miały już nawet siły płakać, spoglądając zaś na swych rodziców i towarzyszy wędrówki okazywały niewiarygodny hart ducha, nie chciały bowiem ich zawieść.

Dopiero wieczorem następnego dnia przybyły posiłki: wozy ciągnięte przez woły, osły i muły, a wypełnione jadłem. Starców i chorych, kobiety i dzieci posadzono na wozach, gdzie wojownicy umieścili także tarcze, dzięki czemu szło się im znacznie łatwiej.

Po kolejnych dwóch dniach wędrówki przed zmierzchem dotarli do Akragas.

Wspaniałe miasto, oświetlone promieniami zachodzącego słońca, wznosiło się przed nimi niczym wytwór wyobraźni. Położone na wzgórzu, opasane potężnym murem, który ciągnął się na długość jakichś pięciu stadionów, pyszniło się przepięknymi, mieniącymi się tysiącem barw świątyniami, posągami i rzeźbami, wysoko zaś na szczycie akropolu widniało sanktuarium Ateny Polias ozdobione złotymi akroterionami błyszczącymi w słońcu niczym klejnoty.

Kiedy w dolinie rozległ się długi i przenikliwy odgłos trąby, otwarły się bramy. Minąwszy rzeźby nekropolii, uchodźcy wkro-

czyli do miasta przechodząc przez oniemiały i osłupiały tłum. Ciągłe nosili na sobie wyraźne ślady katastrofy, przed którą zdołali uciec: rany, sińce, poparzenia na całym ciele, powalane i podarte szaty, zakrwawione stopy, wychudzone twarze, włosy oblepione kurzem i zakrzepłą krwią. W miarę jak zapuszczali się w ulice najpiękniejszego miasta, jakie kiedykolwiek powstało na Zachodzie, jego mieszkańców ogarniało coraz większe wzruszenie, wielu z nich nie zdołało powstrzymać łez spoglądając na tak żałosny widok. Nieszczęśnicy ci stanowili bowiem dowód niesłychanego okrucieństwa wrogów, potwornej niegodziwości barbarzyńców.

Władze miasta zdając sobie sprawę z tego, jak przygnębiające wrażenie wywiera na ludności obraz uchodźców, rozkazały, by zaprowadzono ich na plac w pobliżu ogromnego sztucznego jeziora i umieszczono pod podcieniami, tam zaś opatrzono im rany, nakarmiono, napojono i odziano w czyste szaty. Każdy otrzymał glinianą skorupkę z wrytą na niej cyfrą, po czym przystąpiono do losowania rodzin, które miały ich gościć, dopóki nie znajdzie się dla nich jakiś dom.

Tymczasem Dionizjusz podszedł do Arete i powiedział:

— Tutaj jesteście bezpieczni. Miasto jest potężne i bogate i posiada najmocniejsze mury na całej Sycylii. Mam w tych stornach mały domek z gajem migdałowym i ogródkiem. Cieszyłbym się, gdybyście ty i chłopiec przyjęli moją gościnę.

— Nie chcesz zaczekać, aż nas wylosują? — zdziwiła się Arete.

— Ja nigdy nie czekam — odparł Dionizjusz. — Los jest ślepy, ja zaś nigdy całkiem nie zamykam oczu, nawet w czasie snu. Więc jak, zgadzasz się?

Twarz Arete rozjaśniła się w uśmiechu.

— Gdzie to jest? — zapytała.

— Tam. Chodź ze mną.

Po czym ruszył trzymając konia za uździenicę. W tej samej chwili rozległ się krzyk:

— Krisses!

Biegła ku nim jakaś kobieta nie przestając wołać. Chłopczyk obejrzał się i wyswobodziwszy rączkę z dłoni Arete, popędził ku niej krzycząc:

— Mama!

Padli sobie w objęcia na środku placu, na oczach wzruszonego tłumu.

— Nie pierwszy i nie ostatni — stwierdził Dionizjusz. — Paru małuchów odnalazło matki i ojców, których uważali za zaginionych. Inni odzyskali żony, mężów lub braci. Ich radość zaś była tak wielka, że zapomnieli o wszystkim innym, co stracili.

— Prawie żałuję — przyznała Arete. — Zdążyłam się już do niego przyzwyczaić. A teraz mam się udać sama do twojego domu? Nie jestem pewna, czy mogę ci zaufać.

— Oczywiście, że możesz mi zaufać — odrzekł Dionizjusz. — Jesteś dla mnie za chuda.

Arete spojrzała nań rozdrażniona jego grubiaństwem, kpiący i niemal szelmowski uśmiech Dionizjusza nie zdołał jej wszakże rozżłościć. Przeciwnie, prawdopodobnie właśnie jego wygląd, nie tylko osobowość, ją oczarował: był wyższy niż inni mężczyźni, miał ciemne włosy i czarne oczy lśniące niczym morze nocą, spalona słońcem skóra zaś opinała potężne mięśnie wojownika, a na przedramionach i dłoniach prześwitywały nabrzmiałe niebieskawe żyły.

Mężczyzna ten pomógł ocalić jej rodaków, on pierwszy przyszedł im z pomocą i być może gdyby to od niego zależało, Selinunt nie zostałby zburzony.

Selinunt... Sama nazwa brzmiała słodko w jej uszach mimo straszliwej goryczy wygnania, mimo utraty wszystkiego, co uważała za własne i niezwykłe: domu, bliskich, dopiero co porzuconych zabaw, przyjaciółek, wraz z którymi tyle razy wspinała się do świątyń na akropolu, zanosząc bogom dary, aby zapewnić dobrobyt miastu i jego mieszkańcom. Przypomniała sobie wielki plac targowy pełen ludzi i towarów, procesje, przechadzki po polach, rzekę, nad której brzegiem chadzała z przyjaciółkami prac bielizną, a następnie rozkładała ją na słońcu, aby nasiąknęła zapachem maków i pszenicy, niesionym przez wiatr.

— Czy jest delikatniejszy zapach niż woń kwitnącej pszenicy? — zapytała zniecierpliwiona, gdy jęli się wdrapywać po stromym zboczu ku wysokiej części miasta.

— Cóż to za bzdury — odparł Dionizjusz. — Pszenica nie kwitnie.

— Oczywiście, że kwitnie, kiedy jest jeszcze zielona, w maju. Kwiaty są zupełnie małe, młode i ukryte wewnątrz

kłosa, ale ich woń jest tak słodka, że miesza się z zapachem wiosny. Mówimy o „zapachu wiosny”, kiedy nie ma jeszcze róż, za to fiołki zdążyły już przekwitnąć. Właśnie to jest zapach kwiatów pszenicy...

Dionizjusz popatrzył na nią uważnie, tym razem niemal z czułością.

— Sporo wiesz, dziewczyno...

— Możesz mnie nazywać Arete.

— Arete... gdzie się tego nauczyłaś?

— Rozglądając się dokoła. Teraz jak nigdy dotąd doceniam wartość otaczających nas skarbów, których wcale nie zauważamy. Jak choćby kwiaty pszenicy... Wiesz, co mam na myśli?

— Pewnie, że tak. Jesteś zmęczona?

— Mogłabym się położyć na tym bruku i zapaść w najgłębszy sen.

— W takim razie będzie lepiej, jak wejdiesz. Mój dom stoi o, tam.

Przywiązawszy konia do przymocowanego do ściany pierścienia, Dionizjusz pchnął drewnianą furtkę i wszedł na małeńki dziedziniec ocieniony gałęziami migdałowca i kwitnącego granatowca. Następnie wydobył spod kamienia klucz i otworzył drzwi. Wnętrze odznaczało się niezwykłą prostotą i surowością: stół, kilka krzeseł, z boku ława, z drugiej strony misa i gliniany dzban na wodę. W głębi, naprzeciw drzwi znajdowały się drewniane schody wiodące na piętro. Pozwoliwszy jej się rozgościć w jedynej sypialni, okrył ją lekką tkaniną. Arete zasnęła niemal natychmiast, on zaś przyglądał się jej przez chwilę w zamyśleniu. Wtem z zadumy wyrwało go rzenie, wrócił więc na dół, by zająć się koniem.

II

Obudziwszy się, Arete wpadła w popłoch nie wiedząc, gdzie się znajduje. Izba pogrążona była w półmroku, z zewnątrz zaś nie dobiegał żaden odgłos. Dziewczyna wstała i otworzyła okno wychodzące na wewnętrzny ogródek. Na widok granatowca i migdałowcu i ich jeszcze młodych listków przypomniała sobie wszystko. Musiała spać głębokim snem przez wiele godzin, zapadał już bowiem zmierzch. Z ulgą spostrzegła misę z wodą i przygotowanym dla niej peplosem, toteż umyła się i przebrała.

Ujrzawszy składające się z sześciu lub siedmiu kamiennych stopni schody, które prowadziły na coś w rodzaju strychu, jęła się po nich wspinać boso, nie robiąc najlżejszego hałasu.

Gdy dotarła do tarasu na wyższym piętrze, jej oczom ukazał się wspaniały widok, który ją zdumiał i wzruszył: oto rozciągało się przed nią Akragas, w domach zaś zaczęto zapalać pierwsze światła. Wysoko, po prawej stronie, na szczycie akropolu widoczna była świątynia Ateny i cienka smużka dymu, zapewne ulatującego z ołtarza. Z lewej, na położonym nad brzegiem morza wzgórzu, rozsiane były świątynie innych bogów: jedna stała na samym wierzchołku, druga w połowie zbocza, trzecia nieco dalej na tej samej wysokości, wszystkie zaś pomalowane na jaskrawe kolory, ozdobione stiukami i rzeźbami, otoczone przepięknymi roślinami i ogrodami. Niżej, w leżącej na zachód dolinie, wznosił się olbrzymi, jeszcze nieukończony gmach, świątynia, jakiej nigdy dotąd nie widziała: tak wysoka, że górowała niemal nad każdą inną budowlą, z belkowaniem wspartym na kamiennych kolosach sięgających co najmniej dwunastu stóp i frontonem ozdobionym olbrzymimi

grupami rzeźb, których ramiona wyciągały się w tytanicznej walce.

Zdołała także dostrzec mury i uzbrojone straże przechadzające się w tę i we w tę po galerii, za murami zaś równinę rozpościerającą się aż do morza, które zdążyło już przybrać barwę ołowiu. Nieco dalej na zachód wznosiły się kolejne dwie świątynie białe od stiuków, ze złoceniami na frontonach i akroterionach.

Dionizjusz siedział na krześle z poręczami, podziwiając ten sam wspaniały widok w ostatnich słabych promieniach zachodzącego słońca. Po prawej stronie na paliku pergoli wisiła jego zbroja, tarcza i włócznia zaś stały oparte o kamienną balustradę. Miał na sobie jedynie chlamidę włożoną na nagie ciało i musiał dopiero co wziąć kąpiel, kiedy bowiem Arete podeszła bliżej, wcale nie poczuła woni końskiego potu, którą przesiąknięty był każdy jeździec.

— Najpiękniejsze miasto śmiertelników — powiedział Dionizjusz nie odwracając się.

Arete nie potrafiła pojąć, jakim cudem zdołał zauważyć jej obecność, skoro weszła zupełnie bezszelestnie, pomyślała jednak, że w czasie długich godzin czuwania na wojnach zdążył zapewne wyćwiczyć swe zmysły, aby pozostawały w ciągłej gotowości.

— Sławne — przytaknęła błędząc wzrokiem po owym krajobrazie odznaczającym się niewiarygodną urodą.

— Właśnie tak określił je Pindar w swoim poemacie. Znasz Pindara?

— Oczywiście, chociaż nie jest moim ulubionym poetą. Wolę poezję miłosną.

— Napisał tę odę na cześć zwycięstwa Terona, władcy Akragas, w wyścigu rydwanów w Olimpii siedemdziesiąt lat temu.

— Pewnie słono mu zapłacili. Przecież nie mógł napisać nic złego.

— Głupstwa wygadujesz. Nie da się kupić natchnienia, przed twoimi oczami zaś rozciąga się widok, który nie ma sobie równych nie tylko na Sycylii, ale na całym świecie.

— Niczego nie wybaczasz — odparła dziewczyna z rezygnacją w głosie. — Każdemu może się zdarzyć, że powie coś niemądrego. Ja zaś ciągle mam w sercu wspaniałości utraconej ojczyzny...

Potrafisz to zrozumieć? Patrząc na te cuda myślę tylko o tym, że z miasta, które kochałam, pozostała jedynie kupa kamieni.

— Nie na zawsze — odrzekł Dionizjusz nie odwracając się.
— Wrócimy i je odbudujemy.

— Wrócimy? Ty nie pochodzisz z Selinuntu, tylko z Syrakuz.

— Jestem Sycylijczykiem... albo jeśli wolisz, sycylijskim Grekiem, podobnie jak wszyscy inni, bękarty spłodzone przez Greków i barbarzyńskie kobiety. W tak zwanej ojczyźnie mówią o nas „półbarbarzyńcy”. Ale spójrz tylko, czegośmy dokonali będąc półbarbarzyńcami, spójrz tam na tę świątynię wspartą na olbrzymach: jest najwyższa i największa w całym Partenonie. Spójrz na to sztuczne jezioro w głębi doliny, pośrodku miasta: odbijają się w nim wszystkie barwy nieba, spójrz na podcienia, posagi, rzeźby. Nasi atleci dali bobu tym z kontynentu. Synowie wychodźców zwyciężyli we wszystkich igrzyskach w Olimpii. Znasz opowieść o Euenetosie?

— Woźnicy, zwycięzcy olimpijskim?

— Właśnie. Kiedy wrócił do miasta po zwycięstwie w wyścigu rydwanów, młodzież Akragas wyjechała mu na spotkanie, aby oddać mu cześć, orszakiem liczącym tysiąc dwieście rydwanów. Tysiąc dwieście, wyobrażasz sobie? Czyli dwa tysiące czterysta koni. Dzisiaj w całej Grecji pewnie by nie znalazł tysiąca dwustu rydwanów. Tutaj koniom stawia się pomniki. Grzebie się je w okazałych grobowcach, jak bohaterów. O, tam stoi jeden z nich, ozdobiony jońskimi kolumnami, widzisz?

— Tak, chyba tak... Już trochę za ciemno. Ale opowiedz mi o tamtej wysokiej świątyni wspartej na olbrzymach.

— Jest poświęcona Zeusowi Olimpijskiemu i zostanie ukończona w przyszłym roku. Na jednym z frontonów uwieczniono gigantomachię — ciągnął Dionizjusz — Zeusa zwyciężającego gigantów, którzy następnie zostają skazani, aby po wsze czasy podtrzymywać architrav jego świątyni. Na drugim przedstawiono upadek Troi.

— O bogowie, ale dlaczego? Dlaczego wybrali taki właśnie temat dla tympanonu? To smutna historia.

— Wiem — przytaknął. — Może po to, by odsunąć od siebie podobny los, któż to wie. A może dlatego, że mieszkańcy Akragas głęboko rozmyślają o śmierci... Właśnie dlatego, że kochają życie

zbyt mocno, przesadnie. Widzisz? To dziwny naród: wznoszą pomniki, jakby mieli żyć wiecznie, lecz żyją tak, jakby każdy dzień miał być ostatni... — zawahawszy się przez chwilę, dodał: — To nie są moje słowa. Wypowiedział je Empedokles, ich największy filozof.

— Słowa piękne i przygnębiające — stwierdziła Arete. — Bardzo chciałabym ją zobaczyć, kiedy będzie skończona.

— Zobaczysz, obiecuję. Jeśli trzeba, przyjadę po ciebie, gdziekolwiek będziesz, i pokażę ci to чудо, a wtedy zapomnisz o wszystkim, co wycierpiałas.

Arete przysunęła się bliżej, szukając jego oczu w ciemnościach.

— Przyjedziesz po mnie, mimo że jestem za chuda?

— Niemądra dziewczyna... — powiedział Dionizjusz. — Niemądra dziewczyna... Oczywiście, że przyjadę. Nie po to ocaliłem ci życie, żeby oddawać komuś innemu.

— W innych warunkach pomyślałabym, że drwisz sobie ze mnie, ale skoro widziałeś mnie w tak nędznym położeniu, pozbawioną bliskich, ojczyzny, a nawet łez, musisz być szczery. A jeśli tak, to dlaczego mnie jeszcze nie pocałowałeś?

Dionizjusz wstał, przytulił ją mocno i pocałował. Poczawszy naga skórę pod lekką chlamidą, Arete cofnęła się, mówiąc natychmiast:

— Cieszę się, że to zrobiłeś. Ledwie cię ujrzałam na grzbiecie tego wspaniałego czarnego wierzchowca, w zbroi Achillesa, od razu przyszło mi na myśl, że dziewczyna, którą wybierzesz, będzie miała szczęście. Przyszło mi też na myśl, że szczęście będzie miała również ta, którą obdarzysz pocałunkiem. W życiu nie można oczekiwać wszystkiego.

— Ale z ciebie gaduła — pokręcił głową Dionizjusz. — Nie jesteś głodna?

— Pewnie, że jestem, ale moim zdaniem nie wypada się do tego przyznawać.

— W takim razie chodźmy na wieczerzę. Zostaliśmy zaproszeni.

— Przez kogo?

— Idziemy w gościnę do pewnego mieszkańca tego miasta, który jest bardzo majątny. Ma na imię Tellias. Ty będziesz mogła zostać z jego żoną i jej przyjaciółkami.

— Jestem gadatliwa, bo kiedy milczę, chce mi się płakać.

— Odpowiadasz z opóźnieniem i nie na temat.

— Nie — odrzekła Arete. — Boję się, że nie zrobię dobrego wrażenia. Staram się odpowiadać, ale jestem jak ktoś, kto usiłuje rozpaczliwie utrzymać głowę nad powierzchnią wody, aby nie utonąć. Nie mam pewności, czy uda mi się stanowić dobre towarzystwo w tych okolicznościach.

— Nie możesz tu zostać sama po ciemku, bo to by było jeszcze gorsze. Zaczekaj na mnie na dole; tylko się odzieję i zaraz do ciebie dołączę.

Arete zeszła po schodach i przystanęła na dziedzińcu nadstawiając ucha na wieczorne odgłosy: stukot kół wózków po bruku, rytmiczne kroki pierwszych patroli, nawoływania matek wzywających swe pociechy. Ledwie zdążyła otrzeć łzy, gdy na schodach rozległ się tupot nóg Dionizjusza.

— Tellias był przyjacielem mojego ojca — oświadczył — kiedy zaś ojciec zmarł podczas wielkiej wojny z Ateńczykami, wziął naszą rodzinę pod swoje skrzydła. Ja zawsze byłem jego ulubieńcem. Może dlatego, że sam nie ma dzieci, a bardzo chciałby mieć syna. To jeden z najzamożniejszych ludzi, biorąc zaś pod uwagę, że nasze miasto jest pewnie najbogatsze na świecie, możesz sobie wyobrazić, jakie posiada bogactwa. Bogactwo to często świnie, które chcą ciągle więcej i więcej. On jest bogaty jak Krezus i tłusty jak wieprz, ale jest dobry i hojny; to niezwykle człowiek. Wyobraż sobie, że kiedy pewnego razu spał pod portykiem własnego domu i przyglądał się burzy, mijał go oddział gelojskiej konnicy. Ci biedni chłopcy byli przemoczeni do suchej nitki, zziębnięci, toteż zaprosił ich do siebie, aby ugasili pragnienie i się ogrzali. Rozumiesz? Cały oddział jazdy. Kazał im usiąść i każdemu dał suche odzienie i tyle jadła i picia, ile zechcieli, dopóki pogoda się nie poprawiła i mogli ruszyć w dalszą drogę. Innym znów razem miasto wysłało go z poselstwem do Regionu, tamtejsi mieszkańcy zaś domagały się, by przemawiał w teatrze. Kiedy jednak ów niski grubas odezwał się swym chrapliwym i skrzekliwym głosem, ktoś wybuchnął śmiechem, po nim następny, aż w końcu trząś się cały teatr. Wszyscy trzymali się za brzuchy ze śmiechu. A wiesz, co on zrobił? Myślisz, że się rozzłościł? Że wpadł we wściekłość? Odczekał, aż się uspokoją, po czym rzekł: „Słusznie się śmiejecie.

nie jestem bowiem ani piękny, ani postawny, nie mam też donośnego głosu. Ale w moich stronach panuje następujący zwyczaj: pięknych i rosnących krasomówców wyprawiają z poselstwem do ważnych miast, małych zaś i ochrypłych grubasów, jak ja, wysyłają do miast, które tak jak wasze niewarte są pięciu groszy.” Nikomu nie było już do śmiechu.

Natomiast Arete roześmiała się ubawiona.

— Chciałabym go poznać — stwierdziła.

— I poznasz. To uprzejmy gospodarz. Również wobec kobiet. Ale ty nie odzywaj się niepytana, a gdy zostaniesz odprawiona, idź do komnat przeznaczonych dla kobiet. Sam po ciebie poślę, kiedy nadejdzie pora.

Kiedy dotarli przed dom swego gospodarza, ich oczom ukazał się portyk, drewniane drzwi w białym murze z wapienia, z pnącymi różami po bokach, przepętniającymi wieczorne powietrze lekką wonią. Niewolnik wpuścił ich do środka i poprowadził do prostasu, gdzie przywitał się z nimi Tellias.

— Dionizjusz, mój chłopcze, bardzo się martwiłem usłyszawszy, że wyruszyłeś na czele pięćdziesięciu ludzi przeciw całej kartagińskiej armii.

— Szczęściarzu z ciebie, skoro masz jeszcze ochotę na żarty — odrzekł Dionizjusz. — Gdybyś widział to co ja, od razu by ci minęło.

Tellias dał obojgu znak, by weszli dalej.

— Nie potępiaj mnie, chciałem ci tylko uzmysłwić, że porywanie się na tak niebezpieczny czyn z garstką żołnierzy było szaleństwem.

— Przynajmniej pomogłem tym, co przeżyli; poprowadziłem ich pewniejszą drogą, z dala od ubitych szlaków, gdzie mogliby się natknąć na kogo nie trzeba.

— Wiem, zawsze robisz to co słuszne i zawsze w końcu się okazuje, że masz rację. W gruncie rzeczy to denerwujące. A cóż to za słodziutka gołębicą? Bardzo piękna, chociaż trochę za chuda, o ile znam twoje upodobania. Skąd ją wytrzasnąłeś? Oczywiście nie jest z Akragas. Bo jakież ojciec rodziny pozwoliłby ci się tak z nią prowadzić po nocy? Jednakże z jej pięknych długich włosów wnioskuję, że to wolna dziewczyna i...

— Pochodzi z Selinuntu — uciął Dionizjusz.

Tellias nagle pociemniała na twarzy.

— Och, niebożę — powiedział schylając głowę — biedna mała. — Poprowadził ich przez prostaś oświetlony dwoma rzędami kandelabrow z brązu, po cztery lampki w każdym. — W tym domu szanuje się tradycję — zwrócił się do Arete — będziesz więc wieczerzać z moją żoną i jej przyjaciółkami; to miłe osoby, wśród których będziesz się dobrze czuła. — Skinąwszy na niewolnicę, która właśnie weszła niosąc wazę pełną podpłomyków, dodał: — Ona zaprowadzi cię na górę do gineceum.

Niewolnica postawiła wazę na stole, po czym zbliżyła się do Telliasa, który szepnął jej coś na ucho. Kiedy zniknęła wraz z Arete na schodach, gospodarz przemówił do Dionizjusza:

— Kazałem jej powiedzieć kobietom, żeby nie zadreślały dziewczyny zbędnymi pytaniami. Musiała wycierpieć niewyobrażalne męki.

— Jej rodzina zginęła z rąk barbarzyńców, a nawet gdyby ktoś ocalał, zazdrościłby losu zabitym.

— To było aż takie straszne?

— Nie widziałem samego miasta. Natknąłem się na uchodźców jakieś dziesięć stadionów dalej, ale słuchałem ich opowieści. Nigdy dotąd nie słyszałem takich potworności. Niektóre kobiety postradały rozum. Pamiętam jedną z nich, miała około trzydziestu lat; musiała być bardzo piękna. Zwróciłem na nią uwagę już pierwszego wieczoru, ponieważ kiwała głową w górę i w dół śpiewając kołysankę, ciągle tym samym jednostajnym głosem i ze wzrokiem utkwionym w pustkę. Trwało to całe godziny. Nazajutrz usiadłem przy niej, żeby porozmawiać i nakłonić ją, by coś zjadła, ale zdałem sobie sprawę, że ona mnie nie widzi. Miała rozszerzone źrenice, w jej oczach zaś była tylko ciemna otchłań. Nikomu nie udało się zmusić jej do jedzenia. Wkrótce umrze, o ile już nie umarła.

— Ilu z nich ocalało?

— Nie umiem powiedzieć; od dwóch do trzech tysięcy, o ile się nie mylę, ale wielu z nich jeszcze umrze z powodu ran i doznanych cierpień.

Tymczasem do komnaty wszedł niewolnik z dzbanem i miską, nalał obu biesiadnikom wody na dłonie, po czym podał im do wytarcia lnianą ściereczkę. Inni niewolnicy przynieśli z kolei

wieczerę: pieczone gołębie z dzikimi jabłkami, chleb z sezamem i czerwone wino z Sybaris, mężczyźni zabrali się więc do jedzenia siedząc po obu stronach wspartego o posadzkę stołu. Tellias kazał nakrywać w ten sposób jedynie dla gości, których uważał za bardzo bliskich przyjaciół.

— A teraz? — zapytał. — Jak sądzisz, co się stanie?

— Ocalali mieszkańcy Selinuntu zamierzają wrócić do miasta, żeby się zemścić. Są przepelnieni nienawiścią, żalem i pragnieniem odwetu.

— A Syrakuzy?

— Syrakuzy to największa potęga na wyspie. Uczynią to, co powinny.

— Jak dotąd raczej tego nie zrobiły.

— Masz słuszność. Przybyliśmy za późno, tracąc czas na próżne dysputy. Ale właśnie na tym polega demokracja, prawda? Z drugiej jednak strony nikt nie spodziewał się oblężenia dokonanego z taką determinacją i przy użyciu takich środków. Miasto padło w ciągu dziewięciu dni. Dziewięciu dni, rozumiesz? Coś takiego nigdy dotąd się nie zdarzyło.

— Racja — przyznał Tellias. — Przecież Troja broniła się przez dziewięć lat... Ale dzisiejsze wojny są zupełnie inne. Teraz to nie ludzie, lecz maszyny wygrywają wojny.

— Uchodźcy mówili, że wieże oblężnicze przewyższały mury co najmniej o dwadzieścia stóp i że nie przywieźli ich w całości. Wyładowali z okrętów ponumerowane części, które potem złożyli na miejscu, tam gdzie miały zostać użyte. Na drewnianych rusztowaniach zawiesili tarany o żelaznych czubach, poruszające się jak wahadła... — Dionizjusz przerwał niespodziewanie i wstał z westchnieniem. — Jest coś, czego ci nie powiedziałem na temat dziewczyny.

— Więc mów, skoro uważasz, że jestem godzien zaufania.

— Ona nie jest z Selinuntu.

— Co takiego?

— To córka Hermokratesa.

— Nie może być.

— Jestem tego pewien. Ona o tym nie wie, ale ja ją rozpoznałem. Znalazłem ją wśród uchodźców półżywą z wyczerpania i ze zmęczenia.

— Bogowie na niebie! Tylko tyle. Ale co ona robiła w Selinuncie?

— Sam wiesz, co się ostatnio działo w Syrakuzach. Hermokrates wyruszył na czele naszej floty na Morze Egejskie przeciw Atenom, przy pomocy Spartan. Diokles zdołał wszakże podburzyć przeciw niemu lud twierdząc, że dąży do władzy, że zagraża demokracji, i rzucając nań inne kalumnie. Kiedy Hermokrates był daleko i nie mógł się bronić, Diokles dzięki wsparciu swoich popleczników rozsianych wszędzie, także w Zgromadzeniu, sprawił, że wszyscy go znienawidzili. Udało mu się wzbudzić niechęć narodu i wymógł na Zgromadzeniu polecenie odwołania Hermokratesa ze stanowiska. W tym celu wysłano okręt z rozkazem zdjęcia go z urzędu i zmuszenia, by stanął się przed Radą, złożył sprawozdanie ze swoich działań i odpowiedział na zarzuty.

— A on co na to?

— Nie zrobił tego. Ledwie przeczytał wiadomość, oddalił się wraz ze swą jednostką i zniknął. Nikt nie wie, gdzie teraz jest.

— Zaczynam rozumieć.

— Też tak myślę. Przeczując, że jego rodzina jest w niebezpieczeństwie, Hermokrates poprosił kogoś zaufanego, aby przewiózł żonę i córkę do Selinuntu, gdzie zapewne miał jakichś przyjaciół. Nie mógł przewidzieć tego, co się stało.

Dionizjusz usiadł w milczeniu. Obaj mężczyźni wymienili szybkie porozumiewawcze spojrzenia. Telliasowi zdało się, że dostrzega w oczach gościa straszliwą obawę.

— Chyba nie sądzisz, że...

— Że rząd Syrakuz celowo opóźnił wyruszenie z odsieczą, aby rodzina Hermokratesa zginęła w rzezi Selinuntu? Trudno powiedzieć, ale złe myśli zawsze się sprawdzają. Nie wykluczam tego. Pokrętni demagodzy, sprzedawczyki; są zdolni do wszystkiego, ja ci to mówię.

— Tym razem przesadziłeś. Chciałbym się dowiedzieć, co zamierzasz.

— Sam nie wiem. Zabrałem dziewczynę do siebie, ponieważ nie ufam nikomu. Ale już jutro muszę wracać i nie mogę jej wziąć ze sobą, nawet gdybym chciał. Gdyby ktoś ją rozpoznał, miałyby kłopoty. A ja razem z nią. Nie chcę, by wiedzieli, co myślę ani

po czyjej jestem stronie. Jestem dobrym żołnierzem, a oni mnie potrzebują. Na razie to musi im wystarczyć.

— Słusznie. A co potem?

— Nie chcę nawet, aby wiedziała, że ją rozpoznałem.

— Dlaczego?

— Dlatego, że gdyby chciała, sama by mi o tym powiedziała.

Jeszcze nie ufa mi dostatecznie i nie mogę jej za to winić. Jest sama i przerażona. Każdy na jej miejscu postąpiłby tak samo.

— Mów dalej.

— Mogłaby u ciebie zostać?

Tellias zdawał się wahać.

— Proszę cię — nalegał Dionizjusz.

— Ależ oczywiście. Jak mógłbyś w to wątpić? To porządna dziewczyna, która wiele wycierpiała. Chętnie ją zatrzymam, jeśli uważasz, że będzie jej tu dobrze.

Dionizjusz uśmiechnął się z ulgą.

— Mówiłem jej o tobie. Powiedziałem, że jesteś gruby jak wieprz i bogaty jak Krezus, ale mimo to poczciwy z ciebie człowiek... Najlepszy, jakiego znam.

Tellias pokręcił głową zakłopotany, po czym podsunął gościowi tacę.

— Jedz, pewnie jesteś znużony.

Arete posiliła się i spędziła wieczór w towarzystwie domowniczek, które z początku starały się nie wypytywać jej o przeżytą tragedię, rzeź Selinuntu była jednak tak doniosłym wydarzeniem, że siłą rzeczy wieść o niej musiała przeniknąć zarówno przez ściany, jak i do rozmowy. Dziewczyna starała się wybrnąć z tego udzielając krótkich, zwięzłych odpowiedzi i to tonem, który wyraźnie dawał do zrozumienia, że to nie jest temat do wścibskich pogaduszek.

Jedna z obecnych nie zdołała się wszakże powstrzymać.

— Czy to prawda, że wszystkie kobiety zostały zhańbione? — zapytała w pewnej chwili. Rzecz jasna w swej okrutnej ciekawości rozumiała przez to: „Czy ciebie też zhańbiono?”

— Kobiety wycierpiały tyle samo co wszyscy — odparła Arete — a nawet więcej, musiały bowiem patrzeć, jak giną ich synowie i mężowie. Te, które ocalały, przeżywają najgorsze męki

za każdym razem, gdy sobie o tym przypomną albo gdy ktoś im o tym przypomni.

Domowniczkę zamilkły zakłopotane, żona Telliasa zaś rzekła:

— Dość tego, moje drogie. Zostawmy ją w spokoju. Potrzebuje odrobiny wytchnienia, żeby zacząć żyć na nowo. Pomyślcie, jak byście się czuli, gdybyście same musiały przeżyć podobne potworności.

Arete usiłowała rozładować nastrój wypytując o wieści na temat miasta, a także o to, czy to prawda, jakoby grzebano tu w ogromnych grobowcach konie, które zwyciężyły w jakichś ważnych wyścigach, i jakoby istniał cmentarz dla śpiewających ptaków, które dotrzymywały towarzystwa paniom w gineceach.

— Och, to miało miejsce raz czy dwa — odparła żona Telliasa — a już krążą słuchy o nekropoliach dla szczygłów. To tylko po głoski, moja droga, którym nie należy wierzyć.

Po wieczerzy Arete odprowadzono na parter, gdzie Dionizjusz siedział sam.

— Gdzie pan domu? — zapytała.

— Wyszedł na chwilę. Usiądź.

— Myślałam, że wracamy do domu.

— Nie — odrzekł Dionizjusz. — Ty zostaniesz tutaj.

— Dlaczego?

— Ponieważ jutro przed świtem wyruszam do Syrakuz i nie mogę zabrać cię ze sobą.

— Nie muszę jechać z tobą. Sama wrócę.

— Nie znasz drogi, nie wiedziałabyś, gdzie się zatrzymać na noc. Żadna kobieta nie podróżuje bez towarzystwa krewnych. Zresztą w tej chwili nawet Syrakuzy są miejscem niebezpiecznym. Cierpliwości, kiedy tylko będzie to możliwe, wezmę cię ze sobą, obiecuję.

— Niby dlaczego miałbyś to zrobić?

— Bo... Bo skoro powiedziałem, że wrócę, to znaczy, że wrócę — odrzekł gwałtownie.

— Ale kiedy wrócisz?

— Kiedy tylko będę mógł. Tu będzie ci dobrze, będziesz bezpieczna i niczego ci nie zabraknie...

Arete schyliła głowę w milczeniu.

— A ja nie będę musiał się martwić — dodał Dionizjusz.

Na te słowa dziewczyna wstała i spojrzała mu prosto w oczy.

— Będziesz się przynajmniej trzymał z dala od niebezpieczeństw?

— Nie.

— A pocałujesz mnie na pożegnanie?

— Tak — powiedział Dionizjusz.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. Po czym nie czekając nawet na powrót Telliasa otworzył drzwi i wyszedł.

III

Dionizjusz obudził się wraz z pierwszym pianiem koguta i od razu pomyślał o Arete. Owa nieznająca strachu i dumna dziewczyna, delikatna i śmiała, a zarazem krucha niczym alabastron, budziła w nim uczucie, do którego nie chciał się przyznać ani z nim pogodzić, podziw, który narastał w nim od pierwszej chwili, kiedy ujrzał ją podczas procesji w Syrakuzach, w dniu święta Ateny.

Córka Hermokratesa, jego bożyszczka, wzoru do naśladowania. Pomyślał wówczas, że ona, córka arystokraty, nie zaszczyci go nawet spojrzeniem, ani mu też w głowie nie powstało, iż nadejdzie taki dzień, w którym życie dziewczyny będzie zależało od niego. Drażniło go, że uległ jej urokowi. I to wcale nie z powodu współczucia, choć właśnie to z początku usiłował sobie wmówić.

Poprzedniego wieczoru zszedł do sypialni, aby popatrzeć na nią, gdy zapadła w głęboki sen. Długo się jej przyglądał, wpatrując się w blasku lampki oliwnej w każdy rys twarzy, w każde zagłębienie lekkiego niczym piana ciała, w maleńkie poranione stopy. Po czym wrócił na taras pod pergolę, aby podziwiać zachód słońca, które zniżało się ku morzu.

Zapakował chleb do sakwy, nappełnił kothon świeżą wodą, osiodłał konia i podążył na plac, trzymając go za wodze.

Żołnierze, którzy czekali już na niego w pełnej gotowości, posilali się właśnie, rzucając co chwila okruchy chleba wytresowanym rybom ze sztucznego jeziora. Ruszyli w drogę niemal natychmiast, kiedy zaś wydostali się przez wschodnią bramę i znaleźli w dolinie, obejrzeni się za siebie, by podziwiać cudowny widok

pierwszych promieni słońca, które uderzały wysoko w świątynię Ateny na akropolu, po czym zsuwały się powoli, by oświetlić zbocza świętego wzgórza. Zewsząd otaczały je strzeliste mury, których strzegły tysiące najemników wspomagających oddziały miasta.

— Za duże — stwierdził Dionizjusz wpatrując się w ową wspaniałość.

— Co powiedziałeś? — zapytał podążający u jego boku Filistos.

— Mury są za wysokie. W ten sposób mogą się stać niemożliwe do obrony.

— Co za głupstwa chodzą ci po głowie! — wykrzyknął Filistos. — Akragas jest nie do zdobycia. Za wysokie, żeby dały mu radę wieże oblężnicze, a poza tym bardzo bogate, dzięki czemu może sobie pozwolić na wszelkie dostępne środki, żeby się obronić.

Dionizjusz spojrzął jeszcze raz, mrużąc pod nosem:

— Za wysokie, za wysokie...

Minąwszy syrakuzkańskie oddziały, które powinny były przybyć z odsieczą Selinuntowi, zamiast tego zaś ciągle na próżno czekały na rozkazy, jechali równym krokiem przez cały dzień. Po długiej wędrówce, szóstego dnia wieczorem, ujrzeli przed sobą Syrakuzy. Miasto przypominało klejnot oprawiony między ziemią i morzem. Ich serce, Ortygia, była to mała skalista wysepka, na której postawili stopy jego przodkowie, przybyli zza morza dzierzając w dłoniach garść ojczystej ziemi i ogień zapalony w świętym palenisku płonącym na akropolu.

Ojcowie założyciele wybrali doskonale miejsce zarówno ze względu na obronność, jak i na handel. Miasto posiadało bowiem dwa porty, jeden na północy, Lakkios, muskany ciepłym wiatrem południowo-zachodnim z Afryki, drugi na południu, owiewany Boreaszem. Dzięki temu nigdy nie było odizolowane z powodu niesprzyjającego wiatru, oblężenie zaś stawało się prawie niemożliwe.

Przekonali się o tym na własnej skórze Ateńczycy, którzy ponieśli sromotną klęskę po długich i bezowocnych usiłowaniach, aby zdobyć je szturmem. Tkwili całe miesiące w niezdrowych bagnach u ujścia rzeki Anapos skazani na spiekotę, czerwonkę

i febrę, przyglądając się, jak ich wspaniałe triery idą powoli na dno. Dionizjusz, który był wówczas dzieckiem, pamiętał, jak podążali skuci łańcuchami ku portowym kamieniołomom, ku kamiennym jaskiniom, gdzie mieli doczekać kresu swych dni, nie oglądając nigdy więcej słońca. Oznakowano ich po kolei, wypalając na czole piętno niczym koniom, po czym zaprowadzono do olbrzymich ciemnych podziemi, aby tam zgnili, wsłuchując się w rytmiczny, uporczywy bezustanny stukot oskardów, wdychając gęsty pył, który oślepił i palił płuca.

Oszczędzono tylko tych, którzy znali na pamięć urywki z „Trojanek” Eurypidesa, wysławiających pokój. Aby nikt nie ośmielił się twierdzić, jakoby mieszkańcy Syrakuz byli nieokrzesanymi nieukami! W końcu wszakże miasto i tak stworzyło takie same instytucje jak znienawidzony nieprzyjaciel: uchwaliło demokratyczną konstytucję, która silnie ograniczała władzę i wpływy polityczne wielkich posiadaczy ziemskich i arystokracji.

W miarę jak posuwali się naprzód, widzieli coraz wyraźniej pomost łączący Ortygię ze stałym lądem, gdzie wznoszono nową dzielnicę, wyżej zaś na Epipolai, czyli na górującym nad miastem płaskowyżu, zobaczyli szereg posterunków straży, które strzegły jego wnętrza.

Minęli Aretuzę, niemal cudowne, wypływające o kilka kroków od morza idealnie przejrzyste źródło, które pozwoliło Syrakuzom się narodzić i istnieć, a które mieszkańcy czcili niczym bóstwo.

Dionizjusz przystanął, aby ugasić pragnienie, jak to czynił zawsze, gdy wracał z podróży, i aby obmyć oczy i czoło. Wydawało mu się, że dzięki temu sprawia, iż w jego ciele płyną te same życiodajne soki, które przepływają przez ukryte żyły jego ziemi. Ojczyzny.

Kochał ją miłością zaborczą i zazdrosną, znał jej historię i legendy aż od samej chwili założenia, znał każdą ścianę i każdy kamień, nieharmonijne dźwięki dochodzące z targu i z portu i także silne zapachy ziemi i morza. Potrafiłby przemierzyć całe miasto od końca do końca z zawiązanymi oczami bez ani jednego potknięcia. Znał możnowładców i żebraków, wojowników i płatnych szpicli, kapłanów i płaczki, rzemieślników i złodziei, uliczne dziewczki i najbardziej wyrafinowane hetery z Grecji i Azji. Zawsze bowiem żył na ulicy, gdzie bawił się jako dziecko wraz z bratem

Leptinesem, wyzywając wrogie bandy na pojedynki na kamienie.

Wszystko to stanowiło dlań ojczyznę, niepodzielną całość, nie zaś mnogość odrębnych indywidualności, z którymi mógłby prowadzić dialog, dyskutować albo się spierać. Ojczyzna zaś powinna być największa, najsilniejsza i najpotężniejsza na świecie, bardziej nawet od Sparty, która pomogła im przecież w wielkiej wojnie, bardziej od Aten, które ciągle jeszcze opłakiwały swych synów poległych w niezdrowych bagnach Anapos i na rozpalonych brzegach Assinaros.

Kiedy tak posuwał się powoli, trzymając konia za wodze i odpowiadając gestem na powitania, rozpamiętywał w duchu w wściekłości to, co spotkało Selinunt, a czego można by było uniknąć, gdyby był tu obecny Hermokrates; oburzał go los, jaki Syrakuzy zgotowały swemu walecznemu nawarsze, pozbawiając go dowództwa w haniebny sposób i zmuszając, by ratował się ucieczką w dalekie strony. Właśnie to powinien powiedzieć Dioklesowi, głównemu sprawcy tego niegodziwego czynu, człowiekowi, który gdyby nie szczęście, ponosiłby winę również za śmierć Arete.

Diokles przyjął go wraz z Filistosem w sali Rady, w porze kiedy na placu targowym kłębił się tłum. Wiedział o jego oddaniu wobec Hermokratesa, zdawał sobie jednak również sprawę, że Dionizjusz jest powszechnie lubiany za swą zuchwałość i odwagę, za niezmordowaną gotowość do poświęceń, za żywotne usposobienie oraz ducha walki, którego nigdy nie kierował przeciw słabym, lecz zawsze przeciw potężnym i wiarołomnym. Na dodatek podobał się kobietom, czego także nie należało lekceważyć.

— To była prawdziwa rzeź, zgadza się? — powiedział na jego widok.

— Z wyjątkiem dwóch tysięcy sześciuset osób wszyscy zostali zabici lub wzięci do niewoli. Świątynie złupiono, mury obalono, miasto zaś obróciło się w ruinę.

Diokles schylił głowę — przez chwilę sprawiał wrażenie, że tragedia ta ciąży mu w sercu i przygniata barki. Dionizjusz nie dodał nic więcej, gdyż to było zbędne: jego twarz wyrażała, co myśli, poza tym Filistos ścisnął go za ramię, jakby mógł w ten sposób go powstrzymać.

— Wyprawiliśmy poselstwo, które ma się jak najprędzej spotkać z Giskonem — westchnął Diokles.

— Zamierzasz pertraktować? — zapytał Dionizjusz zgorszony.

— Zaproponujemy mu okup. Przecież niewolników można wykupić, prawda? My zaś jesteśmy kupcami jak każdy inny. Wydałem nawet polecenie, żeby zapłacono cenę wyższą niż na targu i wykupiono tylu ludzi, ilu się tylko da. Poselstwo już wyruszyło, aby dotrzeć do Kartagińczyka, zanim pójdzie dalej. Na jego czele stoi Empedios.

— Taki zramolały starzec?! — wybuchnął Dionizjusz, któremu Filistos na próżno wbijał palce w ramię. — Ten barbarzyńca napluje mu w twarz i przepędzi kopniakami w zadek.

— Znasz lepsze rozwiązanie? — zapytał ze złością Diokles.

— Oczywiście. Wydać złoto na opłacenie najemników, którzy są o wiele tańsi. Napaść na Kartagińczyków, którzy niczego się nie spodziewają, wybić do nogi i sprzedać w niewolę tych, co przeżyją. Zysk zaś przeznaczyć na odszkodowania dla więźniów, aby mogli odbudować swoje domy i mury miasta.

— Z twoich słów wynika, że to łatwe.

— Bo tak jest, jeśli człowiek ma ikrę.

— Myślisz, że tylko ty ją masz?

— Na to wygląda, skoro to właśnie ja tam poszedłem z moimi żołnierzami. Tylko moje oddziały potrafiły się ruszyć.

— Co się stało, to się nie odstanie. Jeśli poselstwo przyniesie jakieś korzyści, to i tak będzie dużo.

— To zależy od punktu widzenia — wtrącił Filistos, który do tej pory ani razu się nie odezwał. — Mam nadzieję, że nie będziemy czekać z założonymi rękami, aż ten barbarzyńca dokona następnych rzezi. Jeśli pozwolimy mu burzyć po kolei wszystkie greckie miasta, w końcu zostaniemy sami i pozbawieni drogi ucieczki.

— Nasze wojsko jest w gotowości.

— Tym lepiej — odparł Dionizjusz. — Tylko nie mów, że cię nie uprzedzałem. — Po czym zwrócił się do Filistosa: — Chodźmy stąd, zdaje się, że nie ma tu już nic do dodania.

Wyszedszy na zewnątrz, ruszyli do domu Dionizjusza, ku południowej części Ortygii. Na ciasnych i ciemnych ulicach starego

miasta roilo się od ludzi i panował zgiełk typowy dla pory południowej, kiedy to wszyscy zaprządnięci są handlem albo własnymi sprawami. Tragedia Selinuntu wydawała się odległa w czasie i przestrzeni niczym upadek Troi. Bliskie było jedynie wspomnienie Arete, Dionizjusz zaś oddałby wszystko, byleby tylko móc ją zobaczyć choć przez chwilę.

Empedios dotarł do Giskona, gdy ten obozował między Selinuntem a Segestą, po czym poprosił o posłuchanie, które uzyskał niemal bez czekania. Aby się z nim spotkać, on i jego tłumacz zostali poprowadzeni przez strefę, gdzie trzymano jeńców, byli zatem świadkami rozpaczliwych scen, które nimi wstrząsnęły. Oto ludzie, którzy zaledwie kilka dni wcześniej byli wolni, mieszkali w wygodnych domach i nosili czyste i wytworne szaty, leżeli teraz we własnych odchodach, żywiąc się odpadkami rzucanymi im zza ogrodzenia, jakby byli zwierzętami. Niektórzy wydawali przenikliwe wrzaski i mówili coś bez ładu i składu. Inni z kolei krzyczeli jeszcze głośniejsze, usiłując ich zagłuszyć.

Każdy, kto tylko się zorientował, że mijający ich człowiek w towarzystwie strażnika to Grek, puszczał się natychmiast biegiem wzdłuż ogrodzenia, wznosząc smutne prośby o pomoc. Błagał na wszystkich bogów, by się nad nim ulitował i uwolnił go z tego żalosego więzienia. On natomiast odpowiadał, że jest tu właśnie po to, by im pomóc; że wkrótce odzyskają wolność, mówiąc zaś czuł wzbierającą w nim dumę i zadowolenie, przeświadczony, że jego misja zakończy się powodzeniem. Kartagińczycy byli kupcami, nie wojownikami, dlaczego więc mieliby odrzucić dobry interes?

— Odwagi — powtarzał. — Przyszedłem was uwolnić. Wykupimy was, nie martwcie się. Wasze męki wkrótce się skończą.

Kartagiński wódz był w podeszłym wieku, dobrze po siedemdziesiątce; miał białe włosy i brodę, ciemną skórę, oczy zaś niebieskie i lodowate. Wśród jego przodków musiała znaleźć się jakaś berberyjska matka z plemion Atlasu. Przyjął jego i tłumacza w swym namiocie wykonanym z białej wełny, podtrzymywanym przez cedrowe pale, z podłogą przykrytą barwnymi matami i numidyjskimi kobiercami. Na stole znajdowała się złota zastawa, najwyraźniej pochodząca ze złupionych świątyń Selinuntu.

Empedios uznał, że podobna ostentacja nie wróży nic dobrego, mimo to jednak przedstawił swoją propozycję mówiąc w imieniu miasta i jego władz:

— Przyznajemy, że mieszkańcy Selinuntu uchybili ci napadając na miasto będące waszym sojusznikiem, naszym zdaniem ponieśli już wszakże najsurowszą karę. Przybyliśmy tu, żeby zaoferować ci okup, płacąc jedną trzecią powyżej ceny na targu, w srebrze.

Uniósłszy brew na myśl o górze monet, jakie ów człowiek gotów był wydać, Giskon wysłuchał go uważnie nie zdradzając żadnych uczuć, po czym rzekł:

— Zbrodnia, jaką mieszkańcy Selinuntu popełnili wobec nas, nie zasługuje na żadną wyrozumiałość. Wystąpili przeciwko mnie, chociaż mogli się poddać, i narazili moje wojsko na ogromne straty. Słuszne jest więc, by żyli w niewoli do końca swoich dni. Jeżeli jednak wśród jeńców znajdują się twoi krewni, uwolnię ich na znak mojej dobrej woli i w ramach daru powitalnego nie wezmę od ciebie zapłaty. Wiem od moich szpiegów, że część z nich ocalała. Jeśli zechcą wrócić, pozwolę im odbudować domy, uprawiać ziemię i osiedlić się znowu w ich mieście pod warunkiem, że nie postawią nowych murów i że co roku będą płacić moim poborcom haracz. Nie zamierzam dyskutować o tych postanowieniach. — Co powiedziawszy, odprawił swego rozmówcę.

Zapewniwszy, że niektórzy jeńcy to jego krewni, Empedios doprowadził do ich uwolnienia; spośród sześciu tysięcy więźniów zdołał przyprowadzić do Syrakuz jedynie pewne małżeństwo z dwojgiem dzieci. Nawet tak mizerne osiągnięcie nadało jego misji jakieś znaczenie, toteż uznał, że nie podjął się jej na próżno. W drodze powrotnej zatrzymał się w Akragas, aby złożyć uchodźcom z Selinuntu sprawozdanie ze swej wyprawy oraz powiadomić ich o warunkach, jakie stawia Giskon, jeśli chcieliby się osiedlić na nowo w swoim mieście.

Żaden z nich jednak nie zgodził się na nie, kiedy zaś usłyszeli o cierpieniach swoich pobratymców skazanych na dożywotnią niewolę i wszelkie możliwe upokorzenia i zniewagi, oraz o arogancji, z jaką barbarzyńca odrzucił proponowany okup, chociaż zgodnie z prawami ludzkimi i wolą bogów powinien był go przyjąć, ich nienawiść niepomierne wzrosła.

Ojcowie rodzin, którzy ocaleli, zebrali się w świątyni podziemnych bóstw bez twarzy, władających światem ciemności i umarłych, i przysięgli, że jedynym celem ich życia będzie odtań zemsta, że gdy nadejdzie czas, żadna istota ludzka kartagińskiego pochodzenia nie zostanie oszczędzona, ani kobieta, ani mężczyzna, ani dziecko. Poświęcili i ofiarowali piekielnym bóstwom głowy swych śmiertelnych wrogów, rzucając na nich wieczną klątwę, która miała przechodzić z pokolenia na pokolenie, dopóki owo wstrętne plemię całkowicie nie wyginie.

Empedios wrócił zatem do Syrakuz, by zdać Dioklesowi sprawę z tego, co się wydarzyło.

Tymczasem Giskon ruszył na wschód, wkrótce też było jasne, że kieruje się ku Himerze, miastu, pod którym siedemdziesiąt lat wcześniej zginął jego przodek Hamilkar. Prowadził liczącą sześćdziesiąt tysięcy ludzi armię, do której przyłączyły się również oddziały tubylców zwabionych obietnicą łupów i niewolników. Wszędzie zapanował strach, mieszkańcy Himery zaś szykowali się, aby bronić się do ostatniego tchu. Los Selinuntu nie pozostawiał wątpliwości co do zamiarów wroga, wszelkie nadzieje zaś pokładano w męstwie i broni.

Obradujące w Syrakuzach pod przewodnictwem Dioklesa kolegium strategów postanowiło wysłać posiłki do Himery, gdyby bowiem miasto padło, nikt nie zaufałby już nigdy Syrakuzanom, miasta zachodniej Grecji zostałyby zaś zrównane z ziemią, tak jakby nigdy nie istniały.

Tym razem wszakże posunięcia Giskona również okazały się szybsze niż działania władz Syrakuz, toteż zanim Diokles zdążył podjąć decyzję, jego armia stała już pod Himerą. Rozbiwszy obóz na górujących nad miastem wzniesieniach, aby uniknąć ewentualnych wypadów, wysłał na mury wieże oblężnicze, tarany i około dwudziestu tysięcy żołnierzy wspomaganych przez tubylczy oddział Sykulów i Sykanów, bardzo zaprawionych w bojach i walcznych.

Himerą stanowiła dla Greków symbol ojczyzny i kolonii, ponieważ siedemdziesiąt lat wcześniej Hellenowie z kontynentu zwyciężyli pod Salaminą z Persami, ci z Sycylii pokonali Kartagińczyków, wkrótce potem zaś mieli pobić Etrusków na wodach wokół Kyme. Powiadano nawet, że wszystkie trzy bitwy miały

miejsce w tym samym dniu, miesiącu i roku, co oznaczało jakoby, że bogowie pragnęli zwycięstwa Greków nad barbarzyńcami ze wschodu i z zachodu na wszystkich frontach. Dla Giskona jednak miasto to było przeklęte. Jego dziad Hamilkar poniósł tam klęskę, kiedy zaś ujrzał, jak wybito jego armię, targnął się na własne życie. Od świtu do zmierzchu, każdego dnia bitwy, składał bogom ofiary z wrogów, aby wyłagać zwycięstwo, kiedy jednak o zachodzie słońca zobaczył swych żołnierzy, leżących wszędzie porzeczonych jak świnie, rzucił się na stos, wznosząc w płomieniach okrzyki zemsty.

Z kolei ojciec Giskona został tam pobity i skazany na banicję. On zaś usiłował zdobyć to miasto jako trzeci w rodzinie i był zdecydowany pomścić spustoszenia i upokorzenia, jakie przypadły w udziale jego poprzednikom, i oczyścić honor ich oraz własny.

Zdoławszy zebrać wszystkiego cztery tysiące żołnierzy, w tym także oddziały wezwane z Akragas, Diokles ruszył na pomoc Himenze, pragnąc oszczędzić jej, o ile się da, gorzkiego losu, jaki przypadł Selinuntowi.

Tymczasem Kartagińczycy umieścili w różnych częściach murów wieże oblężnicze, po czym od świtu do zmroku jęli uderzać w nie taranami, niekiedy także w nocy, nie udało im się wszakże przebić, jak to uczynili w Selinuncie. Mieszkańcy Himery zbudowali je bowiem z ogromnych bloków połączonych wpustowo zarówno wzdłuż, jak i w szerz.

Widząc, że skuteczność taranów jest żadna bądź znikoma, Kartagińczycy zrezygnowali z nich i postanowili zrobić podkop. Pracując przez wiele dni i nocy bez wytchnienia i kopiąc na zmianę, wydrążyli pod murami korytarz, który przez cały czas umacniali krążynami z drewna sosnowego pochodzącego z okolicznych lasów i nasyconego płynną żywicą. Nie chcąc, by spostrzegli ich obrońcy miasta, drażyli kominy wentylacyjne zarówno po to, by dostarczyć powietrze kopiącym, jak i podtrzymać ogień, gdy nadejdzie pora.

Kiedy skończyli tuż przed świtem, w pewną pochmurną noc do korytarza wśliznęło się kilku najeźdźców, którzy dotarłszy do przeciwległego końca, podpalili krążyny. Te z kolei natychmiast zajęły się ogniem nie tylko dlatego, że były z drewna, ale za sprawą łatwopalnej żywicy, którą je uprzednio nasączono. Stojące na

murach strażę ujrzały, jak na równinie zapala się rząd czerwonych ślepiów, były to refleksy ognia płonącego pod ziemią, widoczne z wylotów szybów wentylacyjnych, skąd wkrótce jęły się wydostawać jęzory płomieni, kłęby dymu i wiry iskier, które wystrzeliły w niebo rozsiewając wokół swąd spalenizny. W krótkim czasie krążyny i stemple spaliły się na popiół, pozbawiona zaś podpory część murów runęła z hukiem, pociągając za sobą sporą liczbę obrońców, których zaraz zmiażdżyły walące się kamienie.

Natychmiast też, jeszcze nim zdążyła opaść gęsta chmura dymu i pyłu, rozległ się dźwięk trąb i rogów, po czym piechota Giskona złożona z Libijczyków, Maurów i Sykulów rzuciła się do ataku. Reszta wojska tymczasem czekała w gotowości, by wdrzeć się do miasta, ledwie tamci uturują im drogę zabijając każdego, kto by stawiał opór.

Wrzeszcząca horda nie zdążyła jeszcze dotrzeć do wylomu, gdy zaroilo się tam od obrońców miasta. Ich uwagi nie uszedł żaden ruch, żadne posunięcie wroga, nie zostawili w tyle żadnego mężczyzny zdolnego do noszenia broni. Potworności, jakich barbarzyńcy dopuścili się w Selinuncie, przyniosły taki skutek, że mieszkańcy Himery nie tylko byli zdecydowani raczej dać się zabić, niż pokonać, lecz rzucali się na napastników z zaciekłością i zażartą nienawiścią, które nie pozostawiały wątpliwości co do ich determinacji.

Dopadłszy do wylomu przed nieprzyjacielem, uformowali falangi najpierw w jednej linii, następnie w dwóch i wreszcie w trzech, w miarę jak nadciągali kolejni wojownicy tworzący mur, aby nikt nie zdołał się przedrzeć. Po czym na znak dowódców ruszyli do przodu ściskając w dłoniach włócznie, gdy tymczasem za ich plecami kobiety i mężczyźni, którzy pozostali wewnątrz miasta, przystąpili czym prędzej do łatania dziury spowodowanej podkopem, przynosząc wszystko, co tylko się dało.

Uderzenie mieszkańców Himery było tak straszne i tak potężne, że napastnicy zachwiali się, po czym jęli się cofać. Widząc to Giskon, który ciągle jeszcze stał wraz ze swymi najlepszymi oddziałami na wzgórzach, rozkazał wysłać czekające w gotowości posiłki. Bitwa toczyła się całymi godzinami, żadna ze stron nie oddała nawet piędy ziemi. Dopiero zmrok położył kres walce. Najemnicy Giskona oszańcowali się na równinie, himeryccy wo-

jownicy zaś wrócili za mury miasta, dołączając do swych rodzin. Najstarsi, których trzymano w odwodzie, pozostali na przedpiersiach, pilnując, czy barbarzyńcy nie spróbują kolejnej sztuczki pod osłoną mroku.

Kobiety również dały świadectwo niezwyklej waleczności. Matki i dziewczynki, które pracowały przez cały dzień podając pociski obrońcom i przynosząc kamienie, by zatkać szczelinę, bez chwili odpoczynku, bez jedzenia i picia, wybiegły teraz na spotkanie swych mężczyzn powracających z pola bitwy, wycieńczonych, zakrwawionych i pokrytych kurzem. Pomogły im zdjąć zbroje, przyniosły z domów ciepłą wodę, czyste odzienie, jadło i wino, aby ich obmyć, nakarmić i pokrzepić. Żony, matki, córki i oblubienice wykazały nawet większą siłę ducha niż wojownicy, którzy walczyli przecież z wyjątkowym męstwem, dowodząc, że nie czują strachu, że nie lękają się śmierci, że wręcz wołają od niewoli i hańby. Wychwalały dzielność swych mężczyzn, podsycaly ich dumę, pokazując, że wierzą w zwycięstwo i przychylność bogów tak samo mocno jak w ich odwagę i gotowość do poświęcenia. Wobec dzieci, które były jeszcze za małe, żeby walczyć, podkreślały męstwo ojców i braci, ucząc, że żadne poświęcenie nie jest zbyt wielkie, by bronić wolności.

Nocą morską bryza przyniosła ukojenie łagodząc nieznośny zaduch, mrok zaś i cisza, jakie nastaly po oślepiającym blasku dnia i bitewnym zgiełku, pozwoliły wielu na krótki odpoczynek.

Czuwali starzy, zbyt słabi, by podjąć się jakiegokolwiek innego zajęcia, i zbyt niespokojni, by zasnąć. Zgromadziwszy się w podcieniach na agorze, wspominali wojny, w których brali udział za młodu, i niebezpieczeństwa, na jakie się narażali, szukając sposobów, by dodać sobie odwagi, albo właściwych słów, by pocieszyć tych, co nie doczekali się powrotu synów z pola bitwy. Jedni opowiadali o wydarzeniach z życia ludzi, których uznano za martwych, a którzy jakimś cudem ocalili, doskonale zdając sobie jednak sprawę, że zły los spotyka człowieka częściej niż dobry, inni zaś usiłowali dodać sobie otuchy przekonując samych siebie, że wkrótce nadejdzie wsparcie.

Nagle cichy szmer ich rozmów zagłuszył szcęk broni, nawoływania i niespodziewane zamieszanie. Stłoczyli się więc odru-

chowo, przywierając do ściany, przygotowani na najgorsze, gdy wtem rozległ się czyjś głos:

— Przybyły posiłki, jesteśmy uratowani!

Starcy pobiegli natychmiast w stronę, skąd dochodził głos, i otoczyli kołem piętnastoletniego chłopca, zasypując go pytaniami:

— Posiłki?

— Kto?

— Gdzie są?

— Ilu ich jest?

— Kto nimi dowodzi?

— Skąd przybyli?

Chłopiec podniósł ręce domagając się, by zamilkli.

— Na razie jest ich ze dwudziestu...

— Dwudziestu? Zarty sobie stroisz?

— Około dwudziestu — potwierdził chłopiec. — Przyprowadził ich syrakuzkański oficer, który przedarł się przez linię wroga. Powiedział, że na dole, gdzieś na nizinie, znajduje się czterotysięczna armia pod wodzą Dioklesa. Właśnie rozmawia z naszymi dowódcami.

Starcy rzucili się natychmiast ku wschodniej bramie, gdzie rozpalono ogień, aby oświetlić wyłom. Dowódcy okrążyli przybyszów, których przywiódł młody mężczyzna uzbrojony jedynie w miecz i sztylet, o długich włosach związanych rzemieniem, na oko nie więcej niż dwudziestoletni. Przysunęli się bliżej, aby nie uronić ani słowa z tego, co mówił.

— Diokles zamierza w nocy zakraść się po cichu do miasta, a jutro zaatakować zniecka.

— Zakraść się do miasta? — zdumiał się jeden z oficerów. — A niby jak?

— Prawie wszyscy barbarzyńcy są w obozie; pozostawili tylko kilka posterunków straży wokół ognisk, które widać tam w dole. Wzdłuż brzegu ciągnie się wydma, która jest wystarczająco wysoka, aby mógł się za nią skryć człowiek. Nasi żołnierze przejdą tamtędy, ale wy musicie wystawić oddział, który popilnuje bramy północnej, dopóki będzie otwarta. Jeśli się zgadzacie, zaraz możemy dać im znak. — Skinął na jednego ze swych ludzi, który przytknął do ognia strzałę owiniętą w pakuły.

— Chwileczkę — wtrącił jeden z himeryckich dowódców. — Kto nam zagwarantuje, że to nie pułapka?

— Ja — odparł młodzieniec. — Ponieważ zostanę tu wraz z moimi ludźmi.

— A coś ty za jeden? — zapytał drugi oficer.

— Dionizjusz — odrzekł młodzieniec — syn Hermokrytosa. A teraz naprzód. — Odebrawszy z rąk żołnierza łuk, podpalił strzałę i wypuścił do góry.

Tymczasem w oddali na wierzchołku wydmy dwaj wartownicy na widok sunącej po ciemnym niebie gwiazdy kiwnęli do siebie porozumiewawczo.

— To znak — stwierdził jeden z nich. — Tym razem też mu się udało. Powiadom dowódcę.

IV

Nim zaszło słońce, na morzu ukazała się syrakuzkańska flota licząca dwadzieścia pięć trier. Zrzuciwszy zagłę, załogi płynęły wiosłując, co świadczyło o tym, że dowódcy pozostawali w pełnej gotowości.

Diokles rozbił obóz na plaży, zasłonięty długą wydumą odgradzającą brzeg w głąb lądu, i przygotował oddział pomocniczy, który przyprowadził za sobą, aby wesprzeć obleganych Himerytów. Dał znak nawarchom, aby byli gotowi do działania w razie potrzeby, następnie zaś odczekał, aż zapadnie zmrok, nim wydał rozkaz wymarszu — jedno słowo, które wędrowało z ust do ust.

Kolumna ruszyła wzdłuż brzegu, kroki syrakuzkańskich wojowników, stłumione przez wilgotny piasek, nie robiły zaś żadnego hałasu. Diokles kroczył na czele, za nim maszerowały speirai i tetrarchie, każda za swoim dowódcą. Czujki pozostawały przy czajone na wierzchołku wydmy, żeby mieć oko na równinę i pilnować, aby barbarzyńcy nie zauważyli, że niedaleko w ciemnościach maszeruje bezszelestnie cała armia, niczym armia duchów.

Kiedy byli już blisko celu, Diokles wystął naprzód kilku zwiadowców, którzy podeszli do himeryckiego oddziału strzegącego bramy północnej. Nim dowódca patrolu zdążył zapytać: „Kto idzie?“, oznajmili:

— Jesteśmy przednią strażą oddziałów syrakuzkańskich.

— Niech bogowie was błogosławią — odrzekł dowódca. — Myśleliśmy, że nigdy nie przyjdziecie.

Kiedy mężczyzna gwizdnął, wojsko przemaszerowało przez północną bramę czwórkami, tym razem rytmicznym krokiem,

stukot ich podkutych butów zaś odbijał się echem od murów i podcieni. Ledwie stali się widoczni, natychmiast rozeszły się pogłoski, że przybyły posiłki, mieszkańcy miasta zaś porzuciwszy swe domy, stłoczyli się na ulicy wiodącej na agorę. Ich obecność wzbudziła tak wielką radość, że ludzie mieli ochotę krzyczeć i klaskać na cześć owych młodzieńców, którzy przyszli tu, by narażać własne życie, milczeli jednak, licząc z niepokojem mijające ich szeregi. Nadzieja rosła wraz z każdym oddziałem dołączającym do tych, które zniknęły już wysoko, kierując się ku kolumnadzie otaczającej wejście na główny plac.

— Trzy tysiące — stwierdził jakiś starzec, gdy minął go ostatni szereg.

— Mało — ocenił drugi zawiedzionym tonem.

— Racja — zgodził się pierwszy — ale to doborowe jednostki. Widziałeś, jak maszerują? Wyglądali jak jeden człowiek. Kiedy staną w szeregu, robią prawdziwy mur, ja ci to mówię, a każdy z nich wart jest trzech innych.

— Miejmy nadzieję — odrzekł drugi — bo nie sądzę, byśmy zyskali inną pomoc. — Co powiedziałwszy, oddalił się znikając w ciemnościach.

Diokles tymczasem jął się naradzać na agorze z himeryckimi oficerami.

— Przejmuję całkowicie dowództwo, jeśli nie macie nic przeciwko temu — oświadczył.

Nikt nie odezwał się słowem.

— Ilu żołnierzy możecie wystawić? — zapytał Diokles.

— Siedem tysięcy — padła odpowiedź. — Licząc od osiemnastoletnich młodzieńców do pięćdziesięciolatków.

— Razem z naszymi trzema tysiącami to w sumie dziesięć. Wystarczy. Jutro ruszamy w szyku bojowym. Pięć rzędów po dwa tysiące ludzi. Trochę rozwlekłe, ale się uda. My pójdziemy na pierwszy ogień, ponieważ jesteśmy wypoczęci, a poza tym żaden z moich żołnierzy nie ma więcej niż trzydzieści lat. Każdy z nich wziął ze sobą zapas żywności na cztery dni, więc musicie nam zapewnić jedynie wodę.

Wówczas wystąpił naprzód najwyższy rangą oficer himerycki.

— Chcę podziękować tobie i twoim ludziom za przyjęcie nam z pomocą. Jutro udowodnimy, że nie będziecie żałować.

— Wiem — odparł Diokles. — A teraz kładźmy się spać. Zaatakujemy o świcie po cichu, bez trąb. Obudzimy ich osobiście.

Wojownicy poukładali się w podcieniach, gdzie rozłożono słomę, wkrótce też całe miasto pogrążyło się w ciszy. Upewniwszy się, że nikomu niczego nie brakuje, Diokles również udał się na spoczynek.

Właśnie wtedy nagle wyrósł jak spod ziemi Dionizjusz.

— Jak widzę, wszystko poszło gładko.

— Istotnie — przytaknął Diokles — a jutro skończymy z tymi barbarzyńcami tam na dole.

— Wiesz, że na wzgórzach jest ich więcej?

— Nie musisz mi tego mówić.

— Jasne — odrzekł Dionizjusz. — Ale po prostu nie rozumiem, po co się tak spieszyć z tym natarciem.

— Wydaje mi się to oczywiste. Im krócej pozostaniemy z dala od domu, tym lepiej.

— Pośpiech jest złym doradcą. Na twoim miejscu starałbym się zrobić lepsze rozeznanie w rozmieszczeniu sił nieprzyjaciela. Może przygotował jakieś pułapki.

— Nie ty tu dowodzisz.

— Rzeczywiście, niestety nie — powiedział Dionizjusz, po czym się oddalił.

Zgodnie z planem Dioklesa wyruszyli o brzasku wypoczęci i pokrzepieni, zanim zaś w obozie wroga rozległ się dźwięk rogów, zdążyli pokonać prawie stadion. Natychmiast też na otwarte pole wyszła armia punicka: Libijczycy w jasnych tunikach, z żelaznymi płytkami na piersiach chroniącymi ich serca i w brązowych hełmach, dzierżący tarcze z plemiennymi barwami; Sykulowie w długich szatach z szorstkiej wełny w kolorze ochry, w skórzanych hełmach i pancerzach; Sykanowie trzymający drewniane tarcze ozdobione ich symbolami narodowymi; Iberowie w nagolenicach z reliefami ozdobionymi cyną, w białych tunikach oblamowanych na czerwono, w skórzanych hełmach z osłonkami na kark sięgającymi aż do pleców, wyposażonych w delikatne czerwone grzebienie, które nadawały im wygląd niemal zaczarowanych istot; Balearowie wywijający procami, które świszczały w powietrzu, i wreszcie jazda składająca się z Maurów o ciemnej lśniącej skórze i

niezwykle gęstych kędzierzawych czuprynach. Siedzieli na oklep na buńczucznych rumakach z Atlasu, dzierżąc długie oszczepy i tarcze ze skóry zebry bądź antylopy. Piechota i jazda wielu nacji, słuchające rozkazów garstki kartagińskich oficerów odzianych na wschodnią modłę w szpiczaste hełmy, ciężkie skórzane pancerze pomalowane na jaskrawe kolory, tuniki zielone i o barwie ochry, obszyte na czerwono i żółto.

Wszyscy ci wojownicy byli prawdopodobnie na czczo, mimo to wydawali głośne okrzyki, podrywali się wznosząc groźnie broń; najwyraźniej podniecenie rosnęło, w miarę jak powiększały się ich szeregi — był to sposób, aby pokonać strach, który ogarnia każdego żołnierza przed atakiem. Przed zbliżającą się bitwą starali się napełnić puste brzuchy wściekłością.

Grecy natomiast maszerowali w całkowitej ciszy i idealnym porządku, kiedy zaś wzeszło słońce, ich wypolerowane niczym zwierciadło tarcze zaślnęły oślepiającym blaskiem, a ziemia zadrzała pod ciężkimi rytmicznymi krokami.

Balearowie przystąpili do ataku swymi śmiercionośnymi oszczepami, ich grad odbił się wszakże od ściany tarcz nie czyniąc żadnej szkody, z kolei łucznicy znajdowali się już zbyt daleko, by strzelać, jednocześnie bowiem na rozkaz Dioklesa falanga grecka puściła się biegiem, wypełniając błyskawicznie przestrzeń między wrogimi armiami. Obydwa wojska starły się gwałtownie, po czym ryk punickich najemników przerodził się w przedśmiertny wrzask. Napierający z tyłu żołnierze z dalszych szeregów popchnęli tych z pierwszego, szczególnie Libijczyków, Sykulów i Maurów, wprost na najeżone włócznie Greków, które poprzebijały wielu z nich, lekkie oddziały najemne zaś niewiele mogły zdziałać przeciw ciężkim tarczom i grubym żelaznym pancerzom przeciwników.

Dionizjusz, stojący na lewym skrzydle wraz z wojskami ze swego Bractwa, jednym ciosem włóczni powalił wodza Maurów, którego miał przed sobą, rudowłosego Berbera z Atlasu o błyszczących niebieskich oczach, po czym przebił mieczem jego kompana, który rzucił się naprzód, by go pomóc. Mimo że siły nieprzyjaciela jęły słabnąć, nie przestawał wołać do swoich:

— Trzymać szereg, żołnierze! Nie wychylać się!

Uderzał grotem włóczni w tarcze tych, którzy wysuwali się nadmiernie, aby się cofnęli.

Opór punickiego wojska, które spodziewało się zmierzyć z żołnierzami zmęczonymi i zrozpaczonymi, zmalął w przedłużającej się walce z syrakuzzańskimi hoplitami twardymi niczym skała, kiedy zaś ich wódz padł i został wdeptany w ziemię butami wroga, Kartagińczycy rzucili się czym prędzej do ucieczki.

Pewny zwycięstwa Diokles popędził swych ludzi w pościg, nie dbając już o zwartość szeregów. Mieszkańcy Himery, których nadzieja na ocalenie miasta rosła wraz z każdym zabitym nieprzyjacielskim żołnierzem, rzucili się do boju, nie bacząc na dyscyplinę. Spragnieni rzezi nie spostrzegli, że Giskon wystąpił swe oddziały, aby zaatakowały z prawego skrzydła przez wzgórze.

Dionizjusz, który to zauważył, rozkazał trębaczowi grać do odwrotu. Wówczas Diokles przekonany, że zdobycie wrogiego obozu jest na wyciągnięcie ręki, podbiegł doń krzycząc wściekle:

— Kto ci powiedział, żeby grać do odwrotu? Każę cię uwięzić za nieposłuszeństwo, każę...

Dionizjusz nie dał mu nawet skończyć zdania, tylko uderzył go pięścią w twarz powalając na ziemię, po czym przyłożył miecz do gardła trębacza, który przestał dąć w swój instrument, i rozkazał spokojnie:

— Graj.

Trąba jęła grać sygnał odwrotu, po chwili zaś dołączyły do niej pozostałe. Wojownicy usiłovali zewrzeć szyki biegnąc pod sztandary, które Dionizjusz polecił zebrać na środku pola, strzeżone przez członków Bractwa, wielu z nich zostało wszakże otoczonych i wybitych, nim zdążyli dotrzeć do szeregów. Również Diokles, zdawszy sobie sprawę z klęski, jął się dwoić i troić, by uformować na nowo szyki i zawrócić w kierunku miasta.

Mieszkańcy Himery, którzy z początku nie posiadali się z radości na myśl o zwycięstwie, przyglądali się następnie bezsilnie z wież i murów zasadzce urządzonej przez Giskona i rzezi wielu spośród swych synów. Kiedy wojsko weszło z powrotem przez wschodnią bramę, powtórzył się smutny widok towarzyszący nieodmiennie powrotowi żołnierzy z pola bitwy: żony i oblubienice, matki i ojcowie stłoczyli się wzdłuż drogi usiłując z niepokojem dojrzeć bliskich. Aż żal było patrzeć, jak na ich twarzach gaśnie nadzieja, w miarę jak mijali ich ci, co ocalili, bez hełmów, aby

można ich było rozpoznać, jak rozpacz jednych kłóci się z radością drugich, którzy wychycili w tłumie syna bądź męża całego i zdrowego.

Kiedy dowódcy speirai wzywali do apelu na agorze, rajcy miejscy doliczyli się trzech tysięcy poległych na polu bitwy. Kwiat młodzieży wycięto w pień, a ciała tych chłopców poniewierały się po równinie pozostawione na pastwę barbarzyńców i psów. Przy każdym wzywaniem imieniu, po którym nie nastąpiła odpowiedź, rozlegał się przenikliwy jęk, płacz matek zaś narastał tak długo, aż zamieniał się w żałobny chór. Wielekroć się okazywało, że zginął zarówno ojciec, jak i syn, toteż całe rodziny utraciły na zawsze potomków. Do apelu nie zgłosiło się również trzystu pięćdziesięciu mężczyzn z korpusu syrakuzkańskiego.

Dionizjusz zaofiarował się na ochotnika do prowadzenia rokowań w sprawie wykupu jeńców, o ile tacy istnieją, i zawieszenia broni, aby pozbierać poległych. Diokles, chociaż go nienawdził, nie mógł nie docenić jego odwagi i się zgodził.

Wyruszył przez wschodnią bramę między dwoma urzędnikami na koniach, bez broni i z gołą głową, za to w kirysie i nagolenicach, kierując się wprost ku miejscu, gdzie Giskon kazał sobie postawić namiot na środku polany i siedząc na wysokim krześle rozdawał nagrody tym spośród swoich najemników, którzy najbardziej odznaczyli się w bitwie.

Kartagiński wódz przyjął go z pogardą i nim dopuścił do głosu, przekazał od razu przez tłumacza, że nie zamierza pertraktować na temat żadnego rozejmu, że przybył tu po to, by pomścić śmierć swego przodka Hamilkara, i że nie zazna spokoju, dopóki nie wybije całego plemienia Himerów.

Podszedłszy najbliżej jak się da, Dionizjusz wyciągnął rękę ku polu bitwy i rzekł:

— Tam wśród poległych spoczywa także czterech moich przyjaciół i członków Bractwa. Muszę pozbierać ich ciała, albowiem zobowiązuje mnie do tego wspólna przysięga. Jeśli pozwolisz mi przynajmniej na to, daruję ci życie, kiedy przyjdzie pora.

Kiedy tłumacz skończył przekład, Giskon nie wierzył własnym uszom.

— Ty... Ty mi darujesz życie? — wybuchnął śmiechem.

— Owszem — potwierdził Dionizjusz bez mrugnienia powieką.

— Przykro mi — odparł Giskon — ale nie mogę robić wyjątków. Ciesz się, że możesz wrócić cały i zdrowy do miasta. Chcę, żeby to z twoich ust usłyszeli, co ich czeka.

— Skoro tak — powiedział Dionizjusz — wiedz, że twój koniec będzie haniebnym. Kto nie ma litości dla martwych, nie zazna jej od żywych. Żegnaj.

Po czym wskoczył na konia i wrócił, aby powiadomić o niepomyślnym zakończeniu swojej misji.

Gdy dotarł do miasta, panował w nim zgłębienie i ogromne zamieszanie. Niektórzy przechodnie przeklinali go nawet, krzyżując:

— Zdrajcy! Tchórze!

— Co oni mówią? — zapytał Dionizjusz towarzyszących mu urzędników, którzy tylko wzruszyli ramionami nie wiedząc, czym wytłumaczyć takie zachowanie.

— Nie zwracaj na to uwagi — powiedział ktoś. — Postradali zmysły. Wojna to straszna rzecz.

Dionizjusz nie odpowiedział, był jednak pewien, że stało się coś dziwnego, jego przypuszczenia zaś potwierdziły się, kiedy przybył do kwatery głównej przy agorze. Właśnie wychodzili stamtąd rozwścieczeni dowódcy klęcząc siarczyście.

— Co się dzieje? Mówcie! — polecił.

— Zapytaj własnego dowódcę! — odrzekł jeden z nich, po czym oddalił się. Byli tak rozsierzdzeni, że nie zaciekawili ich nawet wynik jego misji.

Zastał Dioklesa w towarzystwie starszyny, która tłoczyła się wokół niego krzyżując i błagając.

— Co się tu dzieje? — zawołał głośno Dionizjusz.

Wrzaski nieco ucichły, kiedy zaś jeden ze starców go poznał, podszedł bliżej i oświadczył:

— Twój dowódca zarządził ewakuację miasta.

— Co takiego? — wykrzyknął Dionizjusz ze zdumieniem. — Co powiedziałaś?

— Dobrze słyszałeś — wtrącił się Diokles. — Miasto musi zostać ewakuowane.

— Postradałeś zmysły. Nie możesz tego zrobić.

— Jestem twoim dowódcą i żądam szacunku! — ryknął do prowadzony do ostateczności Diokles.

Na prawej kości jarzmowej miał wyraźny ślad po ciosie, jaki otrzymał rankiem tego samego dnia.

— Na szacunek trzeba zasłużyć — odparł Dionizjusz. — Ci ludzie walczyli z nadludzkim męstwem. Winniśmy udzielić im wsparcia i ciągle jeszcze możemy wygrać. Giskon stracił dwa razy więcej żołnierzy niż my. Możemy przewieźć okrętami piechotę i...

— Nie rozumiałeś: flota Giskona właśnie płynie na Syrakuzy. Musimy natychmiast wracać, zapewniwszy bezpieczeństwo komu się da.

Dionizjusz spojrział nań z niedowierzaniem.

— Kto ci to powiedział? Kto?

Diokles zdawał się wahać, po czym wyznał:

— Ktoś, kto przyszedł tutaj, kiedy ciebie nie było.

— Ktoś? Co to znaczy „ktoś”? Widziałeś go? Rozmawiałeś z nim? Wiesz, jak się nazywa? Czy ktoś w mieście go zna?

Owa lawina pytań rozdrażniła Dioklesa.

— Nie muszę się przed tobą tłumaczyć ze swoich decyzji. Jesteś tylko podwładnym — krzyknął — i masz jedynie wykonywać moje rozkazy!

Wówczas Dionizjusz przysunął się jeszcze bliżej.

— Owszem, jestem podwładnym tutaj, dopóki trwa wojna, ale kiedy tylko wrócimy do Syrakuz, stanę się znów obywatelem i podczas gdy ty będziesz mógł mnie oskarżyć, że uderzyłem cię w twarz, ja będę mógł obwinie cię przed Zgromadzeniem o najwyższą zdradę. Zapewniam cię, że wszyscy przyjaciele z Bractwa poprą moje oskarżenie.

Diokles z trudem opanował gniew.

— Miasta nie da się obronić, rozumiesz? Straciliśmy jedną третią wojska, poza tym jest bardzo prawdopodobne, że flota Giskona płynie właśnie w kierunku Syrakuz korzystając z naszej nieobecności. Wszyscy tak mówią i to musi być prawda.

— Bierzesz na siebie wielką odpowiedzialność — ostrzegł Dionizjusz. — Będziesz miał na sumieniu los i krew tych ludzi.

Odwrocił się i już miał odejść, lecz Diokles go powstrzymał.

— Zaczekaj — powiedział. — Stój, mówię! Wy też posłuchajcie. Wezwijcie tu swoich dowódców i nakłońcie ich, aby posłu-

chali, jaki mam plan. Sami się przekonacie, że to jedyna rozsądna rzecz, jaką możemy zrobić.

Minęło wiele godzin, nim himeryccy wodzowie zechcieli wrócić. Skoro jednak Dionizjusz i inni oficerowie syrakuzkańscy byli obecni, Diokles zaczął mówić.

— Wiem, co czujecie. Wiem, że przysięgliście bronić miasta do ostatniego żołnierza, ale zaklinam was, zastanówcie się: na co się zda wasze poświęcenie? Po co składać w ofierze własne życie, skoro nie będziecie w stanie ocalić waszych żon i dzieci? Czy przeświadczenie, że staną się one niewolnikami na łasce okrutnego wroga, będzie dla was jakąś pociechą w obliczu śmierci? Posłuchajcie mnie uważnie. Posłuchajcie mojego planu, który przygotowałem w trzech fazach. Dziś w nocy będzie nów, pod osłoną ciemności możemy więc załadować kobiety i dzieci na okręty, które zabiorą je do Mesyny, gdzie zostaną pod opieką oddziału piechoty. W drugiej fazie kolejna grupa osób podąży za nami do Syrakuz brzegiem wzdłuż wydmy, za którą chowaliśmy się idąc tutaj. W trzeciej fazie zaś flota wróci tutaj przed świtem i zabierze tych, co zostali. Ci, dla których nie starczy miejsca na okrętach, mogą się ukryć na wsi albo starać się dołączyć do nas w Syrakuzach, gdzie otrzymają pomoc. Kiedy Giskon rozpocznie oblężenie, zostanie miasto puste.

W sali Rady zapadła grobowa cisza; nikt nie ośmielił się zabrać głosu, sama bowiem myśl, że mieliby opuścić miasto, w którym się urodzili i mieszkali, była dla nich straszniejsza niż śmierć. W pewnej chwili jeden z obecnych wstał i przemówił w imieniu wszystkich:

— A teraz wysłuchaj nas, Syrakuzanie. Postanowiliśmy stawić opór za wszelką cenę, ponieważ ten barbarzyńca to żądna krwi bestia, która przysięgła sobie, że pozabija nas za nie popełnione winy. Zdecydowaliśmy się walczyć, ponieważ obiecaliście nam pomoc, teraz zaś zmuszacie do poddania, chociaż doskonale wiecie, że sami nie zdołamy się obronić. Ten plan to szaleństwo i dobrze o tym wiesz. Masz tam dwadzieścia pięć okrętów i na pewno nie są to statki handlowe. To okręty wojenne. Jak zamierzasz pomieścić tyle ludzi? Dobrze wiesz, że wielu z nich pozostanie tutaj bezbronych, narażonych na potworną śmierć. Domagamy się, abyś się jeszcze raz zastanowił, abyś został tu i walczył

razem z nami. Załatamy wyłom w murze i będziemy się bronić aż do siódmych potów, do ostatniej kropli krwi. Nie pożałujesz, jeśli zostaniesz. Błagamy cię, żebyś został. Nie porzucajcie nas, w imię bogów!

— Przykro mi — odparł Diokles — ale miasta nie da się obronić. Wracajcie do domów, zbierzcie kobiety i dzieci. Nie zostało już wiele czasu; zaraz zapadnie zmrok.

— Zdrajcy! — odezwał się czyjś głos.

— Tchórze! — dołączył do niego drugi.

Diokles wszakże oddalił się niewzruszony ku wschodniej bramie. Choć obelgi te paliły Dionizjusza żywym ogniem, nie mógł nic zrobić ani powiedzieć.

Ledwie zapadł zmierzch, rozpoczął się smutny exodus. Kobiety nie chciały wypuścić z objęć mężów, dzieci szlochały wołając rozpaczliwie swych ojców i trzeba było je niemal siłą zmusić, by ruszyły w drogę. Dionizjusz otrzymał rozkaz, by odprowadzić uchodźców aż do brzegu i wsadzić na okręty. Reszta syrakuzkańskich żołnierzy, którzy eskortowali jakieś tysiąc osób, rozpoczęła wędrówkę wzdłuż wydmy, starając się odsunąć jak najdalej od murów skazanego na zagładę miasta. Wojownicy maszerowali w milczeniu, przez całą zatem noc słyszeli rozdzierający płacz kobiet i dzieci, które opuszczały ojczystą ziemię.

Flota dotarła do granic Mesyny około trzeciej w nocy. Dionizjusz sprowadził na brzeg uchodźców wraz z pięćdziesięcioma żołnierzami, po czym rozkazał odprowadzić ich do samego miasta. Sam zaś z garstką wojowników zawrócił, nierzadko chwytając za wiosła, aby mogli dopłynąć do Himery jeszcze przed świtem.

Niestety zachodni wiatr znacznie opóźnił ich powrót mimo olbrzymich wysiłków, jakich nie szczędziła załoga, kiedy zaś ujrzeni wreszcie przed sobą Himery, musieli być świadkami przerażającego widowiska.

Otóż Giskon kazał wykonać w największej tajemnicy drugi podkop, wskutek którego zawaliła się znaczna część murów, i to na oczach syrakuzkańskich żeglarzy, którzy akurat podpływali do zatoki. Puniccy najemnicy wpadli do miasta siejąc śmierć wśród mieszkańców i biorąc w niewolę wielu z nich.

Wstrząśnięty Dionizjusz pobiegł czym prędzej na rufę admirałskiego okrętu, gdzie znajdował się nawarcha.

— Szybko, przybijajmy do brzegu — powiedział — i wysadźmy na ląd wszystkie siły, jakie tylko mamy. Barbarzyńcy są rozproszeni i zajęci grabieżą, jeśli więc na nich runiemy, możemy jeszcze uratować miasto i...

Nawarcha przerwał mu gestem dłoni.

— Ani mi to w głowie. Mam rozkaz dostarczyć mieszkańców w bezpieczne miejsce i jak najprędzej wrócić do Syrakuz, a nie mieszać się do walki. A tutaj niestety nie ma nikogo, kogo można by ratować. Oni są straceni, nie możemy dla nich nic zrobić. — Po czym zwrócił się do sternika: — Kurs na wschód i postawić żagle. Bierzymy kurs na cieśninę.

Ogromna triera zatoczyła szeroki łuk na północ, po czym skierowała się ku Mesynie, pozostałe zaś podążyły kolejno za nią wzdłuż wybrzeża. Chociaż znajdujący się na pokładach żołnierze usiłowali omijać wzrokiem ląd, wiatr i tak przywiał ku nim krzyki łupionego miasta, nawet jeśli były stłumione przez odległość.

Wszystkim jeńcom, których było trzy tysiące, zadawano kolejno najpotworniejsze męki, nie bacząc na wiek ani płeć, następnie zarżnięto na kamieniu, gdzie jak powiadają, zginął przodek kartagińskiego wodza, Hamilkar. Mury zburzono, miasto obrócono w perzynę, Świątynię Zwycięstwa zaś zbudowaną na pamiątkę wielkiej zwycięskiej bitwy, stoczonej przed siedemdziesięcioma dwoma laty z Kartagińczykami, całkowicie zrównano z ziemią.

Himera padła dwieście trzydzieści dziewięć lat po założeniu. Na koniec, zaspokoiwszy żądze zemsty i zwycięstwa oraz nagrabiwszy mnóstwo łupów, Giskon wrócił do Panormos* gdzie czekały nań okręty, którymi miał dopłynąć do Kartaginy. Jakikolwiek zagrożenie dla Syrakuz ze strony kartagińskiej floty istniało wyłącznie w wyobraźni i opieszałości najwyższego dowództwa, które zdążyło już skazać Selinunt, oczyszczając barbarzyńcy drogę do samego serca Sycylii.

* Panormos — dzisiejsze Palermo.

Kiedy Filistos skończył dyktować, skryba odłożył trzcinowe pióro do szkatułki.

— Wystarczy na dzisiaj — oznajmił. — Przekazaliśmy już dostatecznie dużo smutnych wieści.

Niewolnik skłonił się i wyszedł. Pochyliwszy się nad wilgotnym jeszcze od inkaustu zwojem papirusu, Filistos jął przebiegać wzrokiem po tych kilkunastu wierszach, w których zawierało się całe męczeństwo jednego z najpiękniejszych i najwaleczniejszych miast greckiego Zachodu. Westchnął przecierając dłonią czoło, jakby chciał powstrzymać bijącą z tych obrazów niszczycielską moc. W tej samej chwili ujrzał wpływający do północnego portu okręt i żeglarzy zarzucających cumy. W promieniach kryjącego się za horyzontem słońca lśniły akroteriony świątyni Ateny na Ortygii, pisk mew zaś mieszał się z wołaniem jaskółek, które wracały właśnie do swych gniazd pod ogromnymi dachami sanktuarium.

Filistos wezwał do siebie jednego z niewolników.

— Biegnij do portu i sprawdź, jakie wieści przywiózł okręt, który tam właśnie cumuje, a potem natychmiast przyjdź z powrotem.

Kiedy niewolnik popędził spełnić polecenie, Filistos jął się przechadzać po komnacie rozmyślając nad tym, co też mogło się przydarzyć Dionizjuszowi, od którego dawno już nie miał żadnych wieści. Wiadomość o klęsce Himery wstrząsnęła miastem, a przybycie Dioklesa wraz z tysiącami zrozpaczonych uchodźców, w połączeniu z tymi co przeżyli pogrom Selinuntu i schronili się w Akragas, wywołało przygnębiające uczucie niepokoju. Zaledwie parę miesięcy temu Kartagina była dla nich jedynie odległym miastem, które miało swoje oddziały na jakiejś wysepce zachodniej Sycylii. Teraz zaś stała się zagrożeniem, potworem pożerającym greckie osady jedna po drugiej i unicestwiający całe narody.

Poza tym fakt, że Diokles zostawił pod murami Himery nieoprzebane ciała żołnierzy syrakuzkańskich i tych z wojsk sprzymierzonych, wywołał głęboki żal i zamieszanie wśród setek rodzin w mieście, gdzie niemal wszyscy się znają.

Wiele osób także zaginęło, Filistos zaś zastanawiał się, czy nie ma wśród nich Dionizjusza. Należał on do najwaleczniejszych i najodważniejszych wojowników, zawsze pierwszy stawał

w szranki z nieprzyjacielem, a pole bitwy opuszczał ostatni, ludzie jego pokroju zaś zawsze są najbardziej narażeni na ciosy losu.

Niewolnik wrócił, gdy słońce zdążyło już zejść, i przyniósł ważną wiadomość.

— Jeden z żołnierzy, którzy znajdowali się na pokładzie triery, należy do Bractwa i chce się z tobą koniecznie spotkać w podcieniach świątyni Apollina, kiedy zabrzmi sygnał oznaczający pierwszą zmianę warty.

— Co mu odpowiedziałeś? — zapytał Filistos.

— Znając cię, panie, odrzekłem, że się stawisz, w przeciwnym razie wyślesz mnie do niego z wiadomością o innym spotkaniu.

— Doskonale, wiem, że mogę na tobie polegać. A teraz przynieś mi płaszcz i idź do kuchni na wieczerzę.

— Nie chcesz, żebyśmy towarzyszył ci z lampą, panie? Wkrótce się ściemni.

— Nie, nie trzeba. Wystarczy mi światło księżyca.

Ledwie usłyszał dobiegający z murów odgłos trąby, który zapowiadał pierwszą zmianę warty, ruszył w drogę i przeszedłszy przez pomost łączący Ortygię ze stałym lądem, zagłębił się w ciasne i kręte uliczki starego miasta. Gdy dotarł do dziedzińca przed świątynią, rozejrzał się w podcieniach, lecz nie spostrzegł nikogo. Odczekawszy chwilę, wyszedł na otwartą przestrzeń, przemierzył niemal pusty plac i wspiął się po schodach wiodących ku frontowemu portykowi.

Wówczas zza jednej z kolumn wyłonił się niemal natychmiast jakiś mężczyzna i ruszył w jego kierunku.

— To ty jesteś Filistos? — zapytał.

— Ja — przytaknął zagadnięty. — A ty coś za jeden?

— Zwą mnie Kabria. Należę do Bractwa i znam Dionizjusza — odrzekł tamten pokazując skórzaną bransoletę na przedramieniu z wytłoczonym wizerunkiem delfina.

Filistos podciągnął rękaw tuniki odsłaniając taką samą bransoletę.

— Mam wiadomość od Dionizjusza — oznajmił Kabria.

— Słucham.

— Przekazuje, że jest w dobrym zdrowiu, ale że wolałby raczej umrzeć, niż patrzeć na podobne potworności.

— Doskonale go rozumiem. Co jeszcze?

— Jest w Mesynie, ale nie zamierza wracać do Syrakuz i prosi o pomoc.

— Mów.

— Potrzebuje srebra...

— Spodziewałem się tego i przyniosłem trochę ze sobą — odparł Filistos sięgając po sakiewkę, którą miał zawieszoną u pasa.

— Poza tym prosi, abyś dostarczył ten list dziewczynie o imieniu Arete, która przebywa w Akragas jako gość Telliasa — dodał mężczyzna wręczając mu małą skórzaną szkatułkę w kształcie walca.

— Otrzyma go w ciągu najdalej trzech dni.

— Jeśli dziewczyna postanowi pozostać w Akragas, będziesz mógł wrócić do domu o nic się nie martwiąc. Jeśli jednak zdecyduje się na podróż, Dionizjusz w imię łączącej was przyjaźni prosi, abyś zapewnił jej eskortę, dzięki której będzie bezpieczna.

— Powiedz mu, że może być spokojny: sam się wszystkim zajmę. — Podawszy mu sakiewkę, odwrócił się z zamiarem odejścia.

— To nie wszystko — oświadczył mężczyzna dając mu znak, by się zbliżył.

— Słucham — odrzekł Filistos z lekką obawą.

— Zeszłej nocy do Mesyny przyplłynął Hermokrates z dziesięcioma okrętami wojennymi i kilkuset najemnikami.

— Mówisz poważnie? — zapytał z niedowierzaniem Filistos.

— To najprawdziwsza prawda i właśnie dlatego Dionizjusz nie chce wracać. Musisz rozpuścić wici wśród wszystkich członków Bractwa i powiedzieć, żeby byli w gotowości. Również do walki, jeśli zajdzie potrzeba.

— Również do walki — powtórzył Filistos myśląc jednocześnie, iluż członków owego tajnego stowarzyszenia tylko czeka, by stanąć do boju u boku Dionizjusza. — Słuchaj... — dodał po chwili, lecz człowiek, który przedstawił się jako Kabria, już zdążył zniknąć.

V

Dionizjusz do Arete, pozdrowienia!

Nie sposób opisać to, co widziałem i słyszałem ostatnimi czasy. Część powtórzy ci osoba, za której pośrednictwem otrzymasz ten list, reszty zaś dowiesz się z moich własnych ust. Niech Ci wystarczy, że w całym moim życiu nigdy nie wycierpiałem takich potworności ani nie zaznałem takiego upokorzenia. Zagłada Selinuntu, którą oglądałaś na własne oczy, powtórzyła się w jeszcze bardziej przerażającej i okrutnej postaci w czasie upadku i zburzenia Himery.

W całym tym nieszczęściu i hańbie istnieje tylko jeden powód, by ciągle mieć nadzieję: otóż w Mesynie zbierają się okręty i ludzie, wszyscy ci, co naprawdę pragną zemścić się na barbarzyńcach za dokonane przez nich rzezie. Przyłączyłem się do nich wraz z garstką wybrańców z Bractwa, oświadczając, że jestem gotów wypełnić każdą misję, jaką zechcą mi powierzyć.

Zdaję sobie sprawę, że w ten sposób pozbawiam się wszelkiej możliwości zdobycia uznania we własnym mieście, że oddalam od siebie przyszłość polityka czy choćby zwykłego obywatela, mimo to proszę, byś do mnie dołączyła, byś związała swój los z moim – byś została moją żoną. Jak już powiedziałem, nie mam Ci nic do zaoferowania, nic poza mną samym, i sędzę, że kobieta roztropna odrzuciłaby takiego mężczyznę jak ja, nieposiadającego żadnych dóbr i niemającego przed sobą żadnych możliwości z wyjątkiem losu rozbójnika i banity. Mam wszakże nadzieję, że wcale nie okażesz się roztropna i że wyruszysz w drogę, by się ze mną

spotkać. Osoba, która oddała Ci ten list, jest gotowa zapewnić Ci wszelkie wygody i bezpieczeństwo w podróży mimo zaistniałych okoliczności.

Jeśli jednak nie zechcesz, się zgodzić, nie będę miał do Ciebie żalu i wcale nie będziesz się musiała czuć zobowiązana wobec mnie. To co uczyniłem dla Ciebie, zrobiłbym dla każdego, kto znalazłby się na Twoim miejscu.

Chcę, byś wiedziała, że myślałem o Tobie przez cały ten czas, kiedy byłem daleko, i że moje obawy nie ustana, dopóki Cię nie zobaczę.

Arete zwinęła list i spojrzała w twarz człowieka, który stał na przeciw niej.

— Już cię gdzieś widziałam — powiedziała.

— Tak, w tamtej wiosce między Herakleją a Akragas — uśmiechnął się mężczyzna. — Zaraz po tym, jak znalazł cię Dionizjusz. Byłaś w strasznym stanie. Teraz wyglądasz o wiele lepiej.

— Jak masz na imię?

— Filistos — odrzekł tamten.

— I jesteś przyjacielem Dionizjusza?

— Więcej niż przyjacielem; gdyby było trzeba, poszedłbym za nim do piekła. Więc co postanowiłaś?

— Pojadę do Mesyny.

— Miałem taką nadzieję, zdążyłem więc przygotować wszystko co konieczne do podróży. Kiedy chcesz wyruszyć?

— Zaraz — odparła.

— Zaraz? — powtórzył Filistos ze zdumieniem.

— W Mesynie wygląda mnie mężczyzna, o którym zawsze marzyłam. Na co miałabym czekać?

— A ja? — odezwał się za jej plecami jakiś głos. — Ja się nie liczę?

— Tellias! — Dziewczyna zerwała się i podbiegła do niego.

— Przecież wiesz, że cię miłuję, chociaż zawsze odsyłałeś mnie do gineceum.

— I właśnie dlatego chcesz odejść? — uśmiechnął się Tellias.

— Skoro Dionizjusz oddał cię pod moją opiekę, strzegłem cię jak oka w głowie.

— Sądzę, że wyruszmy jutro — oświadczył Filistos. — Płyniemy morzem tą samą łodzią, którą ja tu przybyłem. To o wiele bezpieczniejszy sposób, ale musimy poczekać, aż wstanie słońce i zacznie wiać pomyślny wiatr.

— Czy wiesz, co się dokładnie wydarzyło w Himerze? — zapytał Tellias.

— Wiem tylko to, co słyszałem — odparł Filistos — ale wystarczy tego, żeby przyćmić tragedię Selinuntu.

Arete schyliła głowę wyobrażając sobie, jak wielu ludzi unieszczęśliwiła wojna, ile niekończącej się żałoby musiała wycierpieć cała ta ludność bliska jej za sprawą więzów krwi, języka, zwyczajów i tradycji, i poczuła wstyd z powodu radości, jaka ogarnęła ją na myśl, że znów zobaczy Dionizjusza.

Tellias również zamilkł, a wówczas rozległy się śpiewy i wrzaski gromady młodzieży, która odprowadzała właśnie oblubienicę do domu przyszłego męża, i radosne sprośności wykrzykiwane przez biegnących za nimi urwisów.

— W tym mieście zawsze ktoś się bawi — westchnął Tellias. — Ludzie uczują z powodu świąt religijnych, kiedy zbiory się udadzą, a także kiedy się nie udadzą, bo przecież zawsze by mogło być gorzej, uczują z powodu narodzin dziecka, a nawet żrebaka, z okazji zaręczyn i ślubów, zwycięstw w igrzyskach, a nawet pogrzebów, bo przecież żywi muszą się pocieszyć po stracie ukochanej osoby.

— Nie widzę w tym nic złego — oświadczył Filistos. — Akragas to bogate miasto, ludzie zaś mają ochotę cieszyć się życiem.

— Może i tak, niekiedy mam wszakże wrażenie, że chodzi o coś innego. Tak jakby przeczuwali zbliżający się nieodwołalnie koniec.

— Co też ty mówisz, Telliasie! — obruszyła się Arete. — Barbarzyńcy zwyciężyli tylko dlatego, że nas zaskoczyli. Teraz wszyscy są przygotowani do obrony...

Ani Filistos, ani Tellias nie odezwali się słowem, w wieczornej ciszy zaś rozległa się pieśń weselna zaintonowana przez samotnego piewcę ze świątyni na wzgórzach, niesiona wiatrem od morza przez dolinę aż ku agorze.

Po chwili pojawiła się żona Telliasa, która zeszła ku nim po schodach.

— Chodźcie — powiedziała — chodźcie obejrzeć widowisko.

Wszyscy wstali zatem i wspięli się na górny taras, z którego widać było niemal całe miasto i zachwycające strzeliste świątynie stojące na wzgórzu wzdłuż murów. W tej samej chwili na brzegu, tuż przed domem oblubieńca, rozpalono wielkie ognisko. Wkrótce też, jakby na jakiś znak, w rozmaitych miejscach wyżej i niżej, a nawet na akropolu i u stóp murów zapłonęły kolejne ognie. Był to uroczy i wzruszający widok. Przybywało ich coraz więcej i więcej, dopóki całe miasto nie zaczęło wyglądać, jakby stało w płomieniach.

— Faillos z Megary, ojciec oblubienicy, podarował stos drwa wszystkim kupcom w mieście — wyjaśniła kobieta — z poleceniem, aby rozpalili ogień na jego znak dokładnie w chwili, gdy pan młody poprowadzi oblubienicę do łoża. Ogniska mają wróżyć płomienną i wieczną miłość.

Gdy Arete powiodła wzrokiem wokół podziwiając ów przepiękny widok, ogarnął ją głęboki żal. Spojrzawszy najpierw na żonę, następnie na Arete, która miała łzy w oczach, Tellias pokręcił głową burcząc:

— Ach, te kobiety!

Widać jednak było, że nie chce okazać wzruszenia i że jego myśli przepełnione są niepokojem.

— Słyszałem, że w twoim domu pije się najlepsze wino w Akragas — zagadnął Filistos chwytając go za ramię — ale jak dotąd nie skosztowałem ani kropelki.

— Ach tak, oczywiście — odparł Tellias otrząsając się z zadumy. — Pozwólmy kobietom nacieszyć się widokiem i pójdźmy odkorkować amforę tego wybornego napoju. Możemy zjeść wieczerzę w ogrodzie. O tej porze roku na dworze zaczyna się robić przyjemnie.

Kiedy usiedli pod portykiem, gospodarz kazał przynieść dzban najlepszego wina, zanim podadzą wieczerzę. Filistos przyglądał się, jak tamten ocenia barwę i zapach cennego trunku przechylając lekko cieniუსieńki puchar, prawdziwy zabytek ozdobiony czarnymi figurkami tańczących satyrów. Kiedy zaś Tellias uniósł go, by trącić się z gościem, po czym przytknął do warg, w każdym jego geście widać było, jak bardzo docenia owoce cywilizacji.

Gdy niewolnicy przynieśli tace ze świeżym chlebem, mięs-
wem i jarzynami, obaj mężczyźni zabrali się do jedzenia.

— Nie masz powodu do zmartwienia — powiedział Filistos,
również upiwszy kilka łyków wina.

— W gruncie rzeczy wcale się nie martwię. Po prostu żal mi
rozstawać się z dziewczyną; to prawdziwy skarb, prawdziwa ra-
dość. Będzie mi brakowało jej zuchwałości, bezpośredniości, uro-
ku. Słyszałeś, jak wypowiada się o polityce, która nie jest tematem
dla kobiety, a tym bardziej dla dziewczyny?

— Nie masz dzieci, prawda, Telliasie?

— Istotnie nie mam.

— Szkoda. Byłbyś wspaniałym ojcem.

— Przeciwnie, okropnym. Rozpieszczałbym je, podobnie jak
rozpieściłem tę małą arogantkę. — Upiwszy kolejny łyk wina, za-
brał się ochoczo do jedzenia. Kiedy skończyli, kazał sobie podać
jeszcze jajka na twardo, ser i oliwki. — Za dużo jem — westchnął.
— I ciągle tyje.

— Ale o ile dobrze zrozumiałem, nie to cię martwi.

— Kartagińczycy powrócą.

— Nie wydaje mi się. Po cóż mieliby wracać? Przecież się
zemścili i zdobyli dość łupów. To kupcy, którzy pragną znów za-
jąć się handlem i nie mogą się doczekać, żeby odprawić wreszcie
wszystkich najemników. Oni kosztują krocie.

— Akragas zaś jest teraz miastem granicznym — ciągnął Tel-
lias, jakby Filistos nic przed chwilą nie mówił.

— Co wcale nie oznacza, że zaatakują.

— A właśnie że tak. Jak myślisz, co Dionizjusz robi teraz w
Mesynie?

— Pomaga uchodźcom, tak jak to zawsze robił.

— Możliwe, ale z pewnością przysparza sobie kłopotów. Krą-
żą słuchy, że wielu z tych co ocaleni, przygotowuje się do kontra-
tarcia. Jeśli zaś tego dokonają, możesz być pewien, że Dionizjusz
pójdzie razem z nimi. To człowiek w gorącej wodzie kapany, rap-
tus, śmiełek, który źle się czuje, jeśli nie może się bić...

— Odważny marzyciel, patriota, może... bohater? — dodał Fi-
listos.

— Tak czy inaczej Kartagińczycy odpowiedzą na prowokację.

— Rzeczywiście nie można tego wykluczyć, ale nie ma pewności, że tak się stanie. Jak już mówiłem, wojny są kosztowne.

— O której godzinie jutro wyruszyście? — zapytał Tellias.

— Wcześniej, o pierwszym brzasku.

— Doskonale. Będę przy tym, mimo że nienawidzę pożegnań. Kazałem ci posłać łożo. Niewolnik oświetli ci drogę lampką oliwną. Dobrej nocy.

— Dobrej nocy, Telliasie — odrzekł Filistos wstając, po czym ruszył za niewolnikiem do swych komnat.

Tellias zaś pozostał sam pod portykiem, przyglądając się w milczeniu ogniom weselnym, które gasły powoli jeden po drugim, aż wreszcie całe miasto pogrążyło się w mroku.

Kiedy żegnali się przed wejściem do domu, Arete zarzuciła Telliasowi i jego żonie ręce na szyję, najwyraźniej nie chcąc się z nimi rozstać.

- Gdybyście mogli dojrzeć uczucia, jakie skrywam teraz w sercu — powiedziała — przekonalibyście się, jak bardzo was kocham i jak jestem wam wdzięczna, że traktowaliście mnie niczym córkę. Nie wiem, ile bym dała, żeby się odplacić za waszą dobroć.

— Już samo to, że przestaniesz się kręcić pod nogami, będzie wspaniałym podarkiem; jesteś zuchwałą arogantką... — zaczął Tellias, aby nie wybuchnąć płaczem.

Wówczas Arete przeszła od łez do śmiechu.

— Właśnie to zamierzam zrobić jak najprędzej — oznajmiła. — Bywaj, brzuchaczu!

— Ty też, mała — odparł Tellias z osobliwie błyszczącymi oczami.

— Dam ci znać — zapewnił Filistos na odchodnym, po czym poprowadził dziewczynę ku południowej bramie, która była już otwarta o tej porze.

Powędrowali dalej, mijając wielkie monumentalne grobowce stojące przy drodze. Arete pokazywała je swemu towarzyszowi opowiadając o spoczywających w nich słynnych atletach, filozofach i przywódcach, czego nauczyła się w czasie pobytu w mieście. Co chwila oglądali się za siebie, aby popatrzeć na akropol skapany w pierwszych promieniach słońca, na dachy i akroterio-

ny świątyni strzelających w niebo, ponad mury, podczas gdy na najwyższej wieży trąba przenikliwym dźwiękiem witała właśnie świt.

Widok stał się jeszcze bardziej podniosły, kiedy wsiedli na pokład statku, który jał się oddalać od brzegu. Wtedy bowiem świątynie na wzgórzu wraz ze świątynią Ateny wystrzeliły ponad miasto, jakby ręka któregoś z bogów podniosła je ku niebu. Na zachodzie odcinała się wyraźnie nieukończona jeszcze świątynia Zeusa, której okazały fronton pokrywały liczne pełne zaciętości postaci, giganci dźwigający na barkach ogromny dach.

— Naprawdę sądzisz, że miastu grozi niebezpieczeństwo? — zapytała Arete.

— Nie, wcale tak nie sędzę — zaprzeczył Filistos. — Akragas jest nie do zdobycia.

— Więc dlaczego Tellias tak bardzo się martwi?

Filistos odwrócił wzrok, by nie zdradzić własnego lęku.

— Było mu przykro, że odchodzisz, nic więcej, poza tym bał się o ciebie; podróż morską zawsze niesie ze sobą zagrożenie.

Arete zamilkła, przyglądając się, jak najpiękniejsze miasto, jakie kiedykolwiek zostało zbudowane przez człowieka, oddala się powoli i niknie wśród fal, w miarę jak popychany wiatrem statek nabiera szybkości. Nagle powiedziała, jakby do siebie:

— Zobaczmy go jeszcze?

Tym razem Filistos udał że nie słyszał.

Dotarłszy do Geli w środku nocy, zarzucili kotwicę u ujścia rzeki, od której wzięło nazwę miasto przedstawiane na srebrnych monetach pod postacią byka z ludzką twarzą. Miasto wznosiło się na skalistej ostrodze ciągnącej się od wschodu na zachód. Otaczały je okazałe mury zbudowane z wielkich bloków szarego kamienia. Była to metropolia Akragas, założona przez kolonów z Rodos i Krety blisko trzy wieki wcześniej. Właśnie stamtąd pochodził Gelon, ten, który pokonał Kartagińczyków pod Himera, rozpalając zacieklą nienawiść i żądzę zemsty zdolną osiągnąć trzy pokolenia naprzód.

Tu spoczywał Ajschylos, wielki tragediopisarz, Arete zaś chciała odwiedzić jego grób przed zmrokiem. Był to skromny grobowiec, nad którym znajdował się kamień z krótkim napisem:

TU SPOCZYWA AJSCHYLOS, SYN FUFORIONA. ATEŃCZYK
POLEGŁY W GELI OBFITUJĄCEJ W ZBOŻE.
O JEGO MĘSTWIE MOGĄ ZAŚWIADCZYĆ
MED O GĘSTEJ GRZYWIE I ŚWIĘTY LAS MARATOŃSKI.
KTÓRE GO ZNAŁY.

Arete przeczytała inskrypcję ze wzruszeniem.

— Ani słowa na temat sławy, którą zyskał jako poeta, mowa tylko o chwale wojownika — stwierdziła.

— To był człowiek starej daty — odrzekł Filistos. — W dzisiejszych czasach tacy ludzie zdarzają się niezmiernie rzadko.

Nazajutrz, zaopatrzwszy się w wodę, wyruszyli dalej kierując się ku Kamarynie, gdzie wczesnym popołudniem zdołali dojrzeć świątynię Ateny wyłaniającą się zza czerwonych dachów.

— Kamaryna zawsze była wrogiem Syrakuz, nawet w wojnie z Ateńczykami — wyjaśnił Filistos Arete, która oparta o burtę wpatrywała się w skapane w słońcu miasto.

— Miasta greckie są jak gniazda mew uczipione nadbrzeżnych skał — odparła dziewczyna — otaczają je zaś ziemie zamieszkałe przez barbarzyńców, którzy nie znają naszego języka ani nie czczą naszych bogów. Powinny się zjednoczyć i pomagać sobie wzajemnie, tymczasem często dzielą je różnice, a niekiedy wręcz są śmiertelnymi wrogami. Trwonią siły w nieustannych walkach, kiedy zaś prawdziwy wróg pojawia się na horyzoncie, nikt nie jest w stanie go powstrzymać...

Jej uwaga, która świadczyła o głębokim rozeznaniu w sprawach politycznych, niezwykłym u kobiety, po raz kolejny uderzyła i zdumiała Filistosa. Być może właśnie tą częścią swej natury zaskarbiła sobie względy Dionizjusza.

— Ponad wszelką wątpliwość to ów charakter rozproszonych osiedli, wspólnot wywodzących się z wielu rozmaitych miejsc utrudnia wzajemne porozumienie — odparł — jeśli nie wręcz prawdziwe przymierze. Jednoczą się dopiero w obliczu niebezpieczeństwa, które zagraża ich istnieniu, tylko że wtedy często jest już za późno. To smutne, bo kiedy sycylijscy Grecy walczyli ramie w ramie, odnosili wielkie zwycięstwa.

— Czy twoim zdaniem to jest jeszcze możliwe?

— Niewykluczone. Ale potrzeba człowieka, który potrafiłby ich przekonać na wszelkie możliwe sposoby, że unia jest warunkiem przetrwania — ciągnął Filistos — a jeśli to konieczne, nawet ich do niej zmusił.

— Taki człowiek stałby się tyranem zarówno we własnym mieście, jak i w innych — odrzekła stanowczo Arete.

— Bywają chwile, kiedy możemy zrezygnować częściowo z własnej wolności, jeśli w grę wchodzi nasze życie albo przetrwanie całych narodów, nie sądzisz? Bywają też okoliczności, w których to właśnie naród powierza nadzwyczajne uprawnienia jednostce, człowiekowi, który na to zasługuje.

— Wygląda, jakbyś miał na myśli kogoś konkretnego mówiąc te słowa — stwierdziła Arete nie odrywając wzroku od niewielkiego miasta, które oddalało się wśród spienionych fal.

— Nie mylisz się. Ten człowiek jest wśród nas, a ty zdążyłaś go już poznać.

— Dionizjusz... Masz na myśli Dionizjusza? — wykrzyknęła Arete odwracając wreszcie ku niemu twarz. — Przecież to niedorzeczne: on jest prawie jeszcze chłopcem.

— Wiek nie ma znaczenia, liczy się odwaga, mądrość, determinacja, on zaś posiada wszystkie te przymioty, i to w najwyższym stopniu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo ludzie są nim oczarowani i jak wielu go podziwia i jest dlań gotowych na wszystko.

— A właśnie że doskonale sobie wyobrażam — zaprzeczyła Arete z uśmiechem.

Potrzebowali kolejnych dwóch dni, by dotrzeć do Syrakuz, gdzie przybili do południowego brzegu w Wielkim Porcie. Filistos wysłał na łód parę ludzi, aby kupili na targu jadło i nabrali wody, sam zaś został na pokładzie wraz z dziewczyną wiedząc, że Dionizjusz oczekuje po nim nieustannej i baczonej opieki. Jego uwagi nie uszło to, że Arete wstrząsnął widok miasta i że nie zdołała ukryć silnego wzruszenia.

— Znasz tu kogoś? — zapytał.

— Spędziłam tutaj dzieciństwo — odrzekła Arete starając się nad sobą panować.

— Naprawdę? W takim razie pewnie znam twoich rodziców.

— Nie wydaje mi się — ucięta dziewczyna i poszła usiąść na rufie, jakby chciała zakończyć rozmowę.

Filistos nie odezwał się więcej, zajęty zapasami. Później wydał rozkaz, by wieczерzę zjedzono na pokładzie i aby nikt więcej nie opuszczał łodzi. Przed zmierzchem Arete zbliżyła się jeszcze do swego towarzysza.

— Widać stąd jego dom? — zapytała.

Filistos uśmiechnął się pokazując jakiś punkt przed sobą.

— Spójrz tam do góry, nad Achradine, gdzie znajduje się teatr. Dobrze, a teraz podążaj wzrokiem wzdłuż wyimaginowanej linii aż do pomostu na Ortygię. Widzisz taras z pergolą, mniej więcej w połowie drogi?

— Widzę.

— No więc to jest jego dom.

— To właśnie tam mieszkają jego rodzice?

— Już nie żyją. Jego ojciec, Hermokrytos, zginął w wielkiej wojnie podczas oblężenia Syrakuz przez Ateńczyków. Matka zaś zmarła wkrótce po nim z powodu jakiejś nieuleczalnej choroby. W wieku zaledwie szesnastu lat musiał się zaopiekować młodszymi siostrami, które powychodziły za mąż i poprzenośliły się do innych miast, i bratem Leptinesem.

Arete zamilkła wpatrując się w czerwone dachówki i pergolę, dopóki słońce nie zniknęło za horyzontem.

Minęły kolejne dwa dni, nim ujrzeli przed sobą Etnę, jeszcze przykrytą czapą śniegu, wysoką, z pióropuszem dymu, górującą nad cudowną zatoką, przybrzeżną równiną porośniętą drzewkami oliwnymi i winoroślą, które wypuszczały pierwsze nieśmiałe wiosenne listki.

Na wybrzeżu widniało Naksos, pierwsza grecka kolonia na Sycylii, wraz ze swą główną świątynią wznoszącą się niedaleko plaży, wskazując miejsce, do którego przybili ich przodkowie pod przewodnictwem jej założyciela Tuklesa. Filistos oznajmił, że na agorze stoi ołtarz Apollina Przywódcy, tego, który prowadził kolonów opuszczających ojczyznę w poszukiwaniu szczęścia w dalekich krajach. Od tego właśnie ołtarza rozpoczyna się każda wędrówka ku Grecji, do wyroczni w Delfach.

— Żadna wędrówka — powiedział Filistos — nie odbywa się bez Wyroczni, która zawsze wskazywała miejsce, gdzie uchodźcy

powinni założyć nową ojczyznę, i najlepszą porę na podróż morską. Dlatego też w wielu koloniach znajduje się ołtarz poświęcony Apollinowi Przywódcy, a niekiedy wręcz cała świątynia, jak choćby w Cyrenie...

— Widziałeś Cyrenę? — zaciekała się Arete.

— Oczywiście — przytaknął. — To zachwycające miasto; na głównym placu znajduje się napis z treścią przysięgi złożonej przez kolonów. Znasz dzieje założenia Cyreny? Pewnego dnia ci o nich opowiem; są przepiękne, pełne niezwykłych wydarzeń.

— Może mógłbyś to zrobić teraz — zachęciła Arete.

— Lepiej nie — odrzekł Filistos. — Czuję, że im bardziej zbliżamy się do celu, tym dalej błędzisz myślami. Tak zresztą być powinno, jeśli dobrze odgaduję dlaczego.

— Nic się nie da ukryć przed tobą — przyznała dziewczyna.

— Poświęciłem życie zgłębianiu historii i natury ludzi i mam nadzieję, że czegoś zdążyłem się nauczyć, odnoszę jednak wrażenie, że prędzej czy później czymś mnie zaskoczysz. Jest jeszcze u ciebie sporo rzeczy, których nie potrafię zrozumieć.

— Kiedy dopłyniemy do Mesyny? — zmieniła temat.

— Jeszcze dziś wieczorem, o ile utrzyma się ładna pogoda. Nasza podróż prawie dobiegła końca.

O zachodzie słońca przybili do wielkiego portu w kształcie sierpa, Arete zaś ucieszyła się niczym mała dziewczynka na widok cieśniny oddzielającej Sycylię od Italii. Położony po drugiej stronie Region widać było tak wyraźnie, jakby znajdował się na wyciągniętej ręce.

— Cóż za cudowne miejsce! — zawołała. — Aż mi trudno sobie wyobrazić, że były tu Scylla i Charybda.

— To co tobie wydaje się cudownym miejscem, gdzie wznoszą się przepiękne miasta, pierwszym żeglarzom, którzy zapuszczali się na te wody, jawiło się jako dzikie i straszne, silne prądy cieśniny pchały bowiem ich delikatne łodzie na podwodne skały czyhające po obu stronach. Widok Etny wraz z jej ognistym dymem, pomruki wstrząsające ziemią, przytłaczające urwiska na wschodzie, gęste lasy... Wszystko sprawiało wrażenie ogromnego i groźnego. Mimo to wyobrażali sobie, że jeszcze przed nimi Odyseusz, tułający się samotnie bohater, przemierzał owe burzliwe

wody zwyciężając potwory, ujarzmiając cyklopa, oszukując syreny, unikając czarów Kirke...

Arete skierowała wzrok ku sycylijskiemu brzegowi, na przepiękny port, w którym roило się od statków, akurat w tej chwili gdy woda jęła przybierać barwę ołowiu, widoczne zaś w oddali chmury czerwieniły się w ostatnich promieniach słońca. Nawet pióropusz Etny mienił się nierzeczywistymi kolorami, toteż wreszcie pojęła, co Filistos miał na myśli.

— Mogłabym cię słuchać godzinami — rzekła. — Spędzenie z tobą tego czasu było prawdziwym zaszczytem.

— To był zaszczyt dla mnie — odparł Filistos.

Arete spuściła oczy i zapytała rumieniąc się:

— Jak wyglądam twoim zdaniem? To znaczy... Nie uważasz, że jestem za chuda?

— Według mnie jesteś śliczna — uśmiechnął się Filistos. — Ale spójrz tylko, właśnie ktoś do nas idzie i zdaje się, że nie może się doczekać, by wziąć cię w ramiona.

Arete popatrzyła w stronę doku i aż jej dech zaparło: oto Dionizjusz biegł ku niej niczym młody bóg, odziany jedynie w lekką chlamidę, z włosami falującymi na wietrze, wykrzykując głośno jej imię.

Miała ochotę popędzić ku niemu wołając lub nawet płacząc, ale nie była w stanie nic zrobić, tkwiła więc nieruchomo bez słowa, uczepiona burty i wpatrzona weń niczym w zjawę ze snu.

Odepchnąwszy się od mostu, Dionizjusz chwycił się burty od zewnętrznej strony. Po czym podciągnął się na ramionach, błyskawicznie przełożył nogę i stanął na wprost niej.

— Skąd wiedziałeś, że... — zdołała wykrztusić.

— Bo codziennie wpatrywałem się w wejście do portu w nadziei, że cię zobaczę.

— I nie zmieniłeś zdania? Jesteś pewien, że...

Dionizjusz przerwał jej słowa pocałunkiem, przytulając ją mocno. Arete zarzuciła mu ramiona na szyję, czując, jak zalewa ją ciepło jego ciała, poddając się bijącej odeń sile, żarliwym słowom, które szeptał jej do ucha. Po chwili odsunął ją od siebie i oznajmił z uśmiechem:

— Teraz jednak powinniśmy zacząć przestrzegać obyczajów. Chodź, muszę poprosić o twoją rękę.

— Co chcesz przez to powiedzieć?... Kogo chcesz prosić o moją rękę? Przecież jestem sama, ja...

— Twojego ojca, mała. Hermokrates jest tutaj.

Arete spojrzała na Filistosa. następnie znów na Dionizjusza i wreszcie rzekła:

— Mój ojciec? Och... Bogowie na niebie, mój ojciec?

Oczy miała pełne łez.

VI

Hermokrates wiedział tylko tyle, że Dionizjusz prosi o posłuchanie i że towarzyszy mu ktoś, kto pragnie go zobaczyć, i oto nagle ujrzał przed sobą córkę, o której myślał, że nie żyje.

Był to człowiek twardy, zahartowany przez przeciwności losu i życie pełne przygód, wyniosły i surowy arystokrata, na jej widok wszakże doznał wstrząsu. Arete nie śmiała podbiec do niego ze względu na szacunek wobec ojca, który wpajano jej od dziecka, toteż postąpiła zaledwie kilka kroków naprzód, nie mając odwagi spojrzeć mu w oczy. Zawsze był dla niej raczej obrazem, bożyszczem niż rodzicielem, owe nadzwyczajne okoliczności zaś, owa niespodziewana i dramatyczna bliskość budziła w niej przerażenie, przyprawiała o zawrót głowy i przytłaczające bicie serca. Ojciec jednak zerwał się natychmiast, ledwie zdążył ochłonąć ze zdumienia, i rzucił się ku niej, by zamknąć ją w długim, pełnym wzruszenia uścisku. Wówczas przestała się powstrzymywać — całe napięcie uszło z niej w postaci uwalniającego płaczu, ona zaś uwiesiła mu się na szyi, stojąc tak pośrodku nagiej i posepnej komnaty otulona ciepłem uścisku, którego pragnęła od zawsze.

Do rzeczywistości przywrócił ich głos Dionizjusza.

— Heghemon . . .

Hermokrates najwyraźniej dopiero teraz zdał sobie sprawę z jego obecności. Popatrzył nań pytająco; nie potrafił pojąć, jakim cudem ów młody wojownik zdołał przyprowadzić przed jego oblicze córkę, którą uważał za utraconą na zawsze.

— Ojczy — powiedziała dziewczyna — to jemu zawdzięczam życie. Znalazł mnie przy drodze wycieńczoną, niemal bez uczucia, po czym zabrał ze sobą, udzielił pomocy, otoczył opieką...

Hermokrates spojrział w oczy stojącemu przed nim młodzieńcowi nagle pociemniałym i pełnym niepokoju wzrokiem.

— I szacunkiem — dokończyła Arete.

Wyswobodziwszy się z jej objęć, Hermokrates podszedł do Dionizjusza.

— Dziękuję ci za to, coś uczynił. Powiedz, jak mógłbym cię wynagrodzić.

— Już otrzymałem swoją nagrodę, heghemon: poznanie twojej córki to największe szczęście, jakie mnie spotkało. Zaszczyt patrzenia na nią i słuchania jej słów całkowicie mnie odmienił...

— Wszystko dobrze się skończyło — przerwał Hermokrates.

— Jestem ci ogromnie wdzięczny, chłopcze, nawet nie wiesz jak bardzo. Kiedy usłyszałem o upadku Selinuntu i nie mogłem żadną miarą zdobyć wieści o mojej córce, dręczyły mnie straszne myśli. Niepewność o jej los sprawiała mi jeszcze gorszy ból, niż gdybym był przeświadczony, że nie żyje. Myśl, że dostała się do niewoli, że jest skazana na poniewierkę nie wiadomo gdzie, że musi znosić wszelkie poniżenie i gwałt, nie dawała mi spokoju dzień i noc. Nie ma gorszej męki dla ojca niż lęk o los córki. Zabrano mi wszakże ziemię i bogactwa, ale coś mi jeszcze zostało, pozwól więc, że cię wynagrodzę.

— To, o co zamierzam cię poprosić, heghemon, nie ma ceny — odparł Dionizjusz twardym głosem, patrząc mu prosto w oczy — ponieważ chcę cię prosić właśnie o córkę, którą dopiero ci zwróciłem.

— Co też ty mówisz... — zaczął Hermokrates.

— Zakoochałam się w nim, ojczy — wtrąciła Arete. — Ledwie go ujrzałam, ledwie otworzyłam oczy, rozumiesz? I od tej chwili pragnęłam tylko jednego: zostać jego żoną i przeżyć wspólnie z nim wszystkie dni, jakimi bogowie zechcą mnie obdarzyć.

Hermokrates milczał bez ruchu, jakby poraził go ogrom tak nieoczekiwanych uczuć.

— Wiem, jestem człowiekiem niskiego stanu — ciągnął Dionizjusz — i nie powinienem podnosić ku niej wzroku, lecz miłość, jaką do niej żywię, dodaje mi tak wiele śmiałości. Potrafię okazać

się godny twojej córki, a także ciebie, hegghemon. Nie pożałujesz, że oddałeś mi tak wielki skarb. Nie proszę cię o nią dlatego, że bym chciał założyć rodzinę i zapewnić sobie potomstwo bądź też wejść do jednego z najznamienitszych rodów w mieście, ani nawet w uznaniu zasług, że dzięki mnie ujrzałeś ją znów żywą. Ocaliłbym każdego, kogo bym znalazł w takim stanie. Proszę cię o nią, bo bez niej życie straci dla mnie wszelki urok, bo chcę ją miłować i strzec jej przed wszelkim niebezpieczeństwem, nawet za cenę własnego życia.

Hermokrates skłonił z powagą głowę w milczeniu, Arete zaś pojawiwszy, że się zgadza, objęła go mocno, szepcząc mu do ucha:

— Dziękuję, ojcze, dziękuję... Przepęnia mnie szczęście, są bowiem przy mnie jedyne osoby, na których mi zależy.

Uroczystość odbyła się nazajutrz, a jako że Arete nie miała przyjaciółek, które odprowadziłyby ją do domu męża, sam pan młody zaś nie posiadał w Mesynie żadnego domu, najznakomitsze rody w mieście ofiarowały Dionizjuszowi siedzibę, a ich nieskalane jeszcze córki towarzyszyły oblubienicy w drodze do małżeńskiej sypialni i rozwiązały jej pas u szaty. Arete idąc do domu, gdzie czekał na nią Dionizjusz, najbardziej podobny do jej ojca bohater, o którym śniła od dziecka, gdy słuchała cudownych opowieści siedząc na kolanach matki, przypomniła sobie ogniska w Akragas i samotną pieśń poety na świątynnym wzgórzu.

Korowód był radosny, chłopcy wzdłuż drogi pokrzykiwali i nawoływali, dzieci śpiewały tradycyjną przyśpiewkę wróżącą oblubieńcom potomstwo obojga płci.

*Właśnie wraca jaskółeczka
Nadlatuje wrona
Niosąc w dziobie dziewczyneczkę
Lub ślicznego chłopca!*

Niemal wszystkie dziewczęta, które odprowadzały Arete sypiąc przed nią płatki dzikich róż, były powabne w swych odświętnych peplosach, żadna jednak nie dorównywała urodą pannie młodej. Szczęście przydawało jej jeszcze więcej uroku, pragnęła

bowiem wymazać z pamięci wszelkie straszne wspomnienia, by skupić swe myśli wyłącznie na młodzieńcu, który czekał na nią na progu skromnego domostwa u stóp wzgórza.

Gdy ujrzała przed sobą dom, słońce kryło się właśnie za wierzchołki gór. Dionizjusz stał w drzwiach odziany w wytorny biały, sięgający kostek chiton haftowany w srebrne palmy, zapewne pożyczony od jakiegoś zamożnego przyjaciela. Wraz z nim zaś czekał kapłan, aby połączyć ich dłonie świętym węzłem i pobłogosławić pannę młodą.

Odprawiawszy Arete do sypialni, dziewczęta zapaliły niesione w dłoniach lampiony od lampki oliwnej w prostasie, śpiewając pieśń weselną. Następnie rozpuściły jej i uczesały włosy, rozwiązały pas ściągający peplos, rozdziały ją i położyły na małżeńskim łożu pod śnieżnobiałym lnianym prześcieradłem.

Po chwili zbiegły po schodach wznosząc psotne okrzyki, Dionizjusz zaś odczekał, aż wokół zapadnie cisza i spokój, po czym wszedł na górę i przystanął pod drzwiami sypialni. Nadstawiawszy ucha, usłyszał wreszcie dobiegającą spod domu pieśń, którą zamówił dla swej oblubienicy na tę noc. Stojący na ulicy mesyński pieśniarz przy dźwiękach aulosu i jakiegoś instrumentu strunowego wyśpiewywał właśnie piękną historię miłosną o biednym chłopcu, który zakochał się w pewnej księżniczce, ujrawszy raz, jak mija go w swej lektyce.

Pchnąwszy lekko drzwi, Dionizjusz ku swemu zdziwieniu ujrzał przez szparę, że łoże jest puste. Kiedy wszedł zaniepokojony do komnaty i stwierdził, że nikogo nie ma, serce podjechało mu do gardła. Starając się uspokoić zamknął za sobą drzwi i odwrócił się. Arete, która schowała się za ich skrzydłem, stała teraz dumna, naga, wsparta o ścianę, przyglądając mu się z psotnym, rozbawionym uśmiechem.

Dionizjusz podszedł do niej kręcąc głową.

— Wiesz, że panna młoda powinna czekać pod prześcieradłem onieśmielona i drżąca? Twoim zdaniem to odpowiednia chwila na żarty?

— Nadal uważasz, że jestem za chuda? — odparła z uśmiechem Arete.

— Uważam, że jesteś bardzo piękna — powiedział Dionizjusz — i że całkiem się pomyliłem.

Wyciągnął dłoń, by pogłodzić ją po policzku, ona zaś ucałowała ją delikatnie, ledwie muskając rozchyłonymi wargami. Drugą ręką zaczął pieścić jej posągową pierś i brzuch. Arete przymknęła oczy, drżąc pod dotykiem jego palców.

Wziąwszy ją nagle w ramiona gestem tak delikatnym i naturalnym, jakby była lekka niczym piórko, położył na pośladku. Kiedy zaś zdjął szaty, był jak posągi atletów na placach albo bogów na frontonach świątyń. Ostatnie różowe promienie gasnącego słońca lizały skórę Arete niczym wzrok Afrodyty. Pieśń brzmiała teraz ciszej, z oddali, bardziej przypominając tę śpiewaną przez pieśniarza z Akragas, towarzyszył jej zaś cichy dźwięk aulosu i srebrzyste drżenie strun.

Położywszy się obok Arete, Dionizjusz poczuł, jak zalewa go fala bijącego od niej ciepła i otula jej zapach, przyglądał się zmianom, jakie zachodziły w jej dziewiczym ciele, w miarę jak budził w niej rozkosz: jej oczy rozbłyśły złocistym blaskiem, wargi narzmiwały, rysy twarzy zaś odprężyły się i stały niemal hialitowo przezroczyste. Odpowiadała na każdą pieśczętę, każdy pocałunek z jednakowym żarem, z niewinną zmysłowością. To ona skłoniła go, by w nią wszedł, rozwiewając jego żołnierską wstydlivość siłą spojrzenia, powabem nieskalanych piersi, ściskając mu biodra udami niczym amazonka. Kochali się dopóty, dopóki palił się płomień lampki oliwnej, po czym wyciągnęli się zmęczeni, w półśnie, jak zanurzeni w stanie wilgotnego odrętwienia, błogostanu. Nieopatrzenie zapadli w sen; perłowy brzask zastał ich ciągle przytulonych, odzianych jedynie we własne piękno.

Hermokrates nie pragnął niczego innego jak powrotu do ojczyzny, porozumiał się więc z przyjaciółmi, jacy mu jeszcze zostali w Syrakuzach, aby nakłonili Zgromadzenie do wydania dekretu odwołującego banicję. Dionizjusz również zasypywał Filistosa listami prosząc, by przekonał wszystkich członków Bractwa do głosowania na korzyść powrotu Hermokratesa, wielu z nich wysłał także do domu, aby mogli wziąć udział w głosowaniu. Jednakże Diokles po haniebnych klęskach Selinuntu i Himery obawiał się, że obecność Hermokratesa całkowicie go przyćmi i że urok owego zdobywcy oraz jego płomienna mowa rozpalą naród podburzając go do walki. Lękał się, że wciągnie miasto w długą i krwawą

wojnę i że demokratyczne instytucje nie zdołają się oprzeć potędze jego osobowości. Wprawdzie podczas licznych burzliwych posiedzeń w Zgromadzeniu miały miejsce ciężkie starcia frakcji, na koniec wszakże stało się jasne, że naród nie chce powrotu silnej władzy arystokratów wraz z Hermokratesem, toteż wniosek o uchylenie banicji został oddalony minimalną liczbą głosów.

Pociemniały na twarzy Hermokrates przyjął Dionizjusza, który przyniósł mu złe wieści, siedząc w surowym prostasiu podobny do rozgniewanego bóstwa. Jego ciało i dusza ciągle jeszcze były pełne wigoru, krzywe spojrzenie zaś świadczyło o groźnej sile, która budziła strach nawet w przyjaciołach.

Mimo świeżo uznanego powinowactwa Dionizjusz nadal darzył go jak zawsze głębokim szacunkiem i ciągle zwracał się doń jak prosty żołnierz, nazywając heghemon.

— A więc odmówili — powiedział Hermokrates z trudem powstrzymując pogardę.

— Nieznaczną przewagą głosów — starał się go pocieszyć Dionizjusz.

— W demokracji nie ma znaczenia, czy przegra się jednym czy też tysiącem głosów.

— Istotnie. Co teraz zamierzasz, jeśli wolno zapytać?

Zapadło długie milczenie, po czym Hermokrates rzekł:

— Nie chciałem wrócić z powodu żądzy władzy, lecz po to, by poprowadzić naród do boju przeciw barbarzyńcom.

— Wiem o tym, heghemon.

— Skoro jednak moje miasto mnie nie chce, będę dowodził stąd. — Wstał, jego głos zaś zabrzmiał z taką siłą, jakby przemawiał do Zgromadzenia. — Przekaż uchodźcom, którzy zostali w Mesynie, wiadomość, że wracamy do Selinuntu i zajmujemy na powrót miasto. Powiedz, że dni poniżenia się skończyły, niech zbiorą swych ocalałych towarzyszy, gdziekolwiek są. Sami pomożemy im ich odnaleźć, jeśli dostarczą nam jakichś wieści. Sporządź odezwę, którą każę przepisać po stokroć, po tysiącokroć, a następnie puszczę w obieg. Wezwę w niej do stawienia się wszystkich uchodźców i pokonanych, którzy stracili bliskich i domy, którzy ciągle jeszcze mają w uszach rozdzierający krzyk zarzynanych synów i hańbionych żon, wezwę ich, by zgromadzili się wśród jeszcze dymiących ruin zniszczonej ojczyzny, zwróć

im broń i honor, razem umieścimy z powrotem w świątyniach wizerunki naszych bogów i święte symbole naszej religii. A potem zaatakujemy, przepędzimy zewsząd wrogów i będziemy ich ścigać bez wytchnienia i bez litości. A teraz idź!

Pożegnawszy się ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy, Dionizjusz wyszedł, by przywołać towarzyszy i przedstawić im zamiary oraz wolę Hermokratesa. Po upływie niespełna siedmiu dni tysiąc mieszkańców Himery oraz pięciuset z Selinuntu stało gotowych wyruszyć pod jego rozkazami.

Arete pragnęła pójść za nim, gdziekolwiek by się udał, nie mogła się wszakże sprzeciwić jednomyślnej woli męża i ojca, którzy postanowili odesłać ją do Syrakuz w jakieś bezpieczne miejsce, aby nie narażała jej na potworne trudy wyczerpującego marszu ani na czyhające wszędzie niespodzianki. Była tak rozsierdzona z tego powodu, że nie zważała nawet na słowa Dionizjusza podczas pożegnania.

— Jesteś łotr i psi syn! — krzyczała rozwścieczona. — Co ci zrobiłam, żebyś mnie tak traktował?

— Jeszcze raz się tak odezwiesz, a spiorę cię na kwaśne jabłko!

— Tylko spróbuj!

— Pewnie, że spróbuję! Na Zeusa, jestem twoim mężem!

— Pożalujesz, że mnie odesłałeś precz!

— A co to, groźba?

— Myśl sobie, co chcesz!

— Przecież nie odsyłam cię precz, do diaska, tylko do domu!

— Twoim zdaniem to mało? A po co ci żona, tylko po to, żebyś mógł się gzić? W takim razie znajdź sobie dziewczkę albo wsadź go w zadek któremuś z twoich kompanów.

Dionizjusz zamierzył się, by ją spoliczkować, ona wszakże spoglądała nań bez mrugnięcia powieką, otwarcie go prowokując.

— Bodajby cię! — zaklął, po czym ruszył szybkim krokiem ku drzwiom.

— Dionizjuszu... — powstrzymał go jej głos.

Przystanął, nie odwracając się.

— Próbowałam — powiedziała dziewczyna.

Dionizjusz nie odezwał się ani słowem.

— Po prostu nie mogę bez ciebie żyć, gdy tymczasem tobie znakomicie się to udaje, co doprowadza mnie do szału.

— Nieprawda.

— Co nieprawda?

— Że znakomicie mi się to udaje. Będę liczył dni i godziny dzielące nas od spotkania, każda zaś chwila będzie ciągnęła się bez końca.

— Mówisz tak, żebym sobie poszła bez awantur.

— Mówię tak, ponieważ to prawda.

— Nie kłamiesz?

Znalazła się zupełnie blisko, czuł więc zapach jej skóry i fiołkową woń włosów.

— Nie kłamię — zapewnił odwracając się.

Stała naprzeciw niego poczerwieniała na twarzy ze złości i ze wzruszenia.

— W takim razie zaprowadź mnie do łóża, zanim odjedziesz, łajdaku. Twój oddział może zaczekać. Będą cię mieli kto wie jak długo. Ja nie.

Wziął ją na ręce, podobnie jak to uczynił w noc poślubną, zaniósł po schodach na górę do sypialni.

— Gdzie się nauczyłaś tak mówić? — zapytał rozwiązując pancerz i nagolenice, które już zdążył włożyć. — Jesteś córką arystokraty, sądziłem, że...

— Na polu bitwy wśród wojowników. Niekiedy ojciec zabierał mnie ze sobą na kilka dni. Czasem nawet na miesiąc i dłużej... A teraz — nakazała pozwalając, by jej peplos opadł na posadzkę — postaraj się, żeby mi to wystarczyło na tak długo, jak będziesz daleko.

Maszerowali przez jedenaście dni w głąb wyspy ku surowym łańcuchom gór, wszelako nikt nie ośmielił się im przeszkodzić ani nawet do nich zbliżyć. Co jakiś czas dostrzegali jedynie paru jeźdźców na koniach, którzy przyglądali im się z położonych wzdłuż drogi wzniesień, po czym pędzili dalej. Na czele kolumny podążał niezmordowany Hermokrates. Pierwszy wstawał i przewdziewał zbroję, ostatni zasiadał przy ognisku, by spożyć skromną wieczerzę. Zanim jednak położył się spać, zawsze się upewniał, czy wszyscy jedli do syta i czy mają się czym okryć

przed dotkliwym chłodem, niczym troskliwy ojciec dbający o swe dzieci.

Gdy wieczorem dwunastego dnia dotarli do Selinuntu, żołnierze stanęli jak skamieniali na jego widok. Wydawało się niemożliwe, by tak piękne i wielkie miasto zostało zrównane z ziemią, jego mieszkańcy zaś w tak okrutny sposób wybici bądź przepędzeni.

Kiedy Hermokrates kazał im się rozejść, Selinuntczycy rozpierzchli się po mieście, snując się niczym zjawy wśród rumowisk, wśród ulic pełnych gruzu, wśród zwęglonych zwłok. Każdy szukał własnego domu, który wiosną pachniał świeżym wapnem, latem zaś rozmarynem i miętą, domu, w którym dorastał, gdzie przez długie lata cała rodzina gromadziła się przy wieczerzy, śmiejąc się, dowcipkując, opowiadając sobie, co robili przez cały dzień, miejsc, które rozbrzmiewały głosami bawiących się dzieci, teraz zaś pozbawione dachów, przepełnione były jedynie jękiem wiejącego od strony gór wiatru.

Kiedy już go odnalazł, błąkał się wśród rozwalonych murów, dotykając niemal pieszczotliwie ścian i futryn. Zbierali ze łzami w oczach wszelkie oznaki dawnego życia, aby schować je niczym cenny talizman: a to kawałek stłuczonego naczynia, a to skromną ozdobę na ramiona bądź kostki, a to szpilkę, która przytrzymywała włosy ukochanej kobiety.

Gdzieniedzie w tym, co kiedyś było warzywnikiem lub ogrodem, zdawały się rozkwitać granatowce, ich szkarłatne kwiaty, niegdyś radosny symbol wiosny, teraz wszakże wyglądały niczym plamy krwi na spalonych ścianach. Pędy winorośli wiły się po ziemi oplatając krzaki jeżyn, które wszędzie zapuściły korzenie.

Wojownicy z Selinuntu jęli się wyłaniać kolejno z labiryntu ruin dopiero wraz z zapadnięciem zmroku, kierując się ku blaskowi ognia, który rozpalono na agorze. Tam czekał na nich Hermokrates wraz z Himerytami i Syrakuzanami, którzy z nim przybyli.

Posilali się prawie w całkowitym milczeniu, z rzadka się odzywając, przepełnieni dręczącymi wspomnieniami, z upływem czasu jednak rozgrzewające ciepło ogniska i wspólnie spożytego jedła, przeświadczenie, że łączą ich jednakowe uczucia i taka sama determinacja, blask płomieni oświetlający fasady pustych świątyń przywróciły im utraconą dumę oraz przekonanie, że odzyskali swoją uświęconą ziemię.

Nazajutrz pozbierali szczątki zabitych i pogrzebali je na pobliskim cmentarzu, po czym każdemu z nich zostało przydzielone określone zadanie. Jedni zeszli na brzeg, by łowić ryby — z braku sieci za pomocą luków i strzał, inni zaś udali się na pola, by znaleźć kawałek obsianej ziemi, który mógłby wydać plony. Jeszcze inni jęli wypatrywać mniej zburzonych domów, po czym zabrali się do usuwania gruzu i do odbudowy. Część z kolei wyruszyła do lasu, aby naścinać drzew na belki do wyrobu dachów, stołów, drzwi, okien i poszycia łodzi. Wkrótce miasto zmieniło wygląd, przynajmniej w dzielnicach blisko agory.

W położonych na wzgórzach wioskach natomiast rozeszły się rozmaite opowieści na temat drgających nocą języków ognia i krążących wśród ruin cieni. Powiadano, że to cienie zmarłych, którzy snują się w ciemnościach, nie mogąc znaleźć spokoju wśród rumowisk zburzonego miasta, i że owe ognie to ich duchy, które płoną nienawiścią do wrogów, co pozbawili ich życia. Teraz nawet pasterze przestali się zbliżać do murów w obawie, że spotka ich coś nieprzyjemnego. Nie minęło jednak wiele czasu, gdy prawda wyszła na jaw, rozprzestrzeniając się na całą Sycylię.

Odezwa Hermokratesa spełniła swe zadanie, toteż z całej wyspy jęli napływać ochotnicy, w znacznej części z Selinuntu i Himery. Początkowo setkami, później tysiącami, pieszo i na koniach, ze wszystkich stron, także znad morza. Przybył nawet ktoś, kto wyrwawszy się z niewoli, uciekł drogą morską z Afryki na swego rodzaju tratwie, którą zbudował z palmowych pni. Znalaziono go pewnego ranka na piasku półżywego, kiedy zaś odzyskał zmysły i ujrział setki żołnierzy ćwiczących na agorze z włóczniami i mieczami, zaczął krzyżeć, że on także chce dostać zbroję i że trzeba czym prędzej ruszyć na Afrykę. Z trudem zdołali go uspokoić.

W ciągu kilku miesięcy zebrano sześć tysięcy wojowników gotowych na wszystko, doskonale wyćwiczonych i ślepo posłusznych swojemu wodzowi. Dionizjusz został zastępcą wodza i otrzymał zadanie przeprowadzania wypadów na ziemię nieprzyjaciela, aby zdobyć jedzenie i paszę. Wkrótce jednak działania te nabrały rozpędu, stając się coraz bardziej zaczepne. W ciągu lata Hermokrates poprowadził szereg wypraw z prawdziwego zdarzenia, napadając znienacka na Lilibeum z Panormos i powodując dotkliwe straty wśród najemnych oddziałów pozostających w służbie Kar-

tagińczyków. Urządził nawet nocny najazd lekkobrodnej piechoty na wyspę Motyę wraz z podłożeniem ognia pod kilka okrętów wojennych stojących w doku. Patrole składające się z najemników zostały pochwycone i wyrżnięte w pień. Wprawdzie Hermokrates, jak i Dionizjusz usiłowali utrzymać swych żołnierzy w karbach, nie zdołali jednak całkowicie zapobiec wszelkiego rodzaju aktom okrucieństwa, które podsycaly nienawiść i urazę ponad miarę.

Ponieważ Filistos przysyłał bezustannie wieści z Syrakuz za pośrednictwem przyjaciół z Bractwa: Bitona, Doriskosa i Jolaosa, towarzyszy zabaw Dionizjusza, dowiedzieli się o tym, jak bardzo owe działania wojenne niepokoją Dioklesa — z pewnością bowiem spowodują one odzew Kartagińczyków — a także o tym, jak ogromny poklask zdobywają w ojczyźnie Hermokrates i sam Dionizjusz z powodu swych wyczynów, szczególnie wśród młodych. Przez tych samych posłańców Dionizjusz dostawał również płomienne listy miłosne od Arete, nieodmiennie zakończone prośbą, by mogła jak najprędzej doń dołączyć.

Dionizjusz kilkakrotnie spotkał się z nią ukradkiem następnej zimy, korzystając z przerwy w operacjach wojskowych, nie mógł sobie wszakże pozwolić na pobyt dłuższy niż parę dni, by nie zostać zauważonym. Spędzał cały czas w domu ku ucieście Arete, która w ten sposób miała go wyłącznie dla siebie.

Wraz z nadejściem wiosny postanowił zrobić coś, co wywoła zamieszanie: przemierzył na czele wojska zachodnią Sycylię i dotarł aż do Himery. Pragnął, aby ów gest został doceniony, przyświecał mu bowiem cel zjednoczenia sycylijskich Greków i stworzenia potężnego przymierza, zorganizowania armii, jakiej dotąd nie było, i przepędzenia Kartagińczyków z całej wyspy. Skoro pod Himerą przed siedemdziesięciu laty odniesiono zwycięstwo pod przewodnictwem Syrakuz, zatem właśnie od Himery należało rozpocząć przeciwnatarcie.

Niestety dokładnie z tego samego powodu nieprzyjacieli nękał nieszczęsne miasto z wyjątkową, przerażającą zawziętością. Widok tego co zostało z Himery. był dla tych, którzy przeżyli, jeszcze bardziej rozdzierający niż powrót do ruin Selinuntu. Tutaj bowiem wściekłość barbarzyńców nie miała granic. Zrównali z ziemią dom po domu, zburzyli ściany, spalili świątynie, zwalili i potłukli posągi, zamęczyli na śmierć każdego, kogo zastali z bronią w ręku.

Wśród ruin nadal poniewierały się ich okaleczone ciała, a ślad po ostatnim wybuchu furii przed ogromnym głazem, który służył jako ołtarz ofiarny, przedstawiał tak potworny widok, że jeden z młodych wojowników zemdłał. Ziemia usłana tysiącami trupów była czarna od krwi.

Sam Hermokrates był tym zdruzgotany. Poblądły z gniewu i oburzenia krążył wśród owego stosu potworności cedząc przez zęby słowa, których nikt nie potrafił zrozumieć.

Rozkazawszy natychmiast, by urządzono pochówek dla tych niedźnych szczątków, wysłał żołnierzy na wieś, tam gdzie miało miejsce ostatnie krwawe starcie, aby pozbiali kości syrakuząskich wojowników poległych w czasie nieudanej próby przyjscia z odsieczą Himerze, pozostawione przez Dioklesa na polu bitwy. Jako że ograbiono ich ze zbroi i ze wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość, można ich było rozpoznać jedynie po wierzbowych bransoletach wykonanych z na pół przełamanych gałązek, na których od środka wyryto imiona, noszonych wokół nadgarstków na spartańską modłę.

Poleciwszy zbić sosnowe trumny i umieścić na nich imiona poległych, wódz podjął przygotowania, by zawieźć je do ojczyzny i urządzić ceremonię pogrzebową. Był to gest o olbrzymim znaczeniu, i to nie tylko z etycznego punktu widzenia. Hermokrates z pewnością zdawał sobie sprawę z ogromnego wpływu, jaki wywrze on na narodzie, od którego ciągle wyglądał urzędowego dekretu wzywającego go do ojczyzny. Czyn ten unaoczniał wyraźnie przepaść istniejącą między nim a demokratycznym przywódcą i jego przeciwnikiem Dioklesem. Z jednej strony wódz na wygnaniu, nigdy niepokonany i pozbawiony dowództwa wyłącznie z powodów politycznych, powracał właśnie, by pomścić zbrukany honor Syrakuz i całego greckiego świata — przywożąc do tej samej ojczyzny, która go poniżyła i odsądziła od czci i wiary, synów poległych w boju. Z drugiej zaś jego rywal Diokles nadal nie mógł się uwolnić od hańby spowodowanej tym, że nie powstrzymał barbarzyńców przed unicestwieniem dwóch najwspanialszych miast sycylijskich, że uciekł niczym tchórz skazując sprzymierzeńców na najokrutniejszy odwet, ciała żołnierzy na profanację, bez pochówku, ich dusze zaś na błąkanie się bez spokoju u progu Hadesu.

Wieść, że Hermokrates sprowadza do ojczyzny szczątki jej synów poległych w boju, wzbudziła w narodzie gwałtowne poruszenie, toteż wszyscy zebrali się w Zgromadzeniu, aby uchwalić uroczysty publiczny pogrzeb. Zaraz też znalazł się ktoś, kto odpowiedział, by czym prędzej wezwać z powrotem Hermokratesa.

Zjawiwszy się wtedy, gdy dyskusja już trwała, Diokles, który trzymał się dotąd na uboczu, zdając sobie sprawę ze swego nędznego położenia, poprosił o głos.

Gdy wszedł tak niespodziewanie, wszyscy zamilkli. Nad Zgromadzeniem zapadła grobowa cisza.

VII

— Mieszkańcy Syrakuz! — rozpoczął Diokles. — Znam i rozumiem wasze uczucia. Ja też miałem przyjaciół, którzy polegli w Himerze, mimo to nie zatrzymałem się, by pozbierać ich ciała...

— Bo jesteś tchórzem! — zawołał jeden z obecnych.

— Spokój! — nakazał przewodniczący Zgromadzenia. — Pozwólcie mu mówić.

— Nie uczyniłem tego — ciągnął Diokles — albowiem w ten sposób mógłbym stracić innych towarzyszy, którzy jeszcze żyli. Wolałem jednak przywieźć ich wam całych i zdrowych. Dzięki temu ocalałem też wielu uchodźców, którzy w przeciwnym razie zostaliby zabici...

— Za to tylu innych pozostawiłeś własnemu losowi! — krzyknął drugi. — Ludzi, którzy w nas wierzyli, którzy nam ufali... Wszystkich ich pohańbiłeś!

Mówiąc te słowa, dotknął go palcem, a wówczas Diokles spostrzegł, że nosi na nadgarstku bransoletę z delfinem, symbol Bractwa, do którego należał Dionizjusz. Kiedy przewodniczący Zgromadzenia po raz kolejny przywołał obecnych do porządku, Diokles podjął swą przemowę.

— Nie miałem wyboru, wierzcie mi! Miasto było skazane; nic i nikt nie zdołałby go ocalić przed atakiem sześćdziesięcioletniej armii. Ten krwiożerczy barbarzyńca nigdy by nie zrezygnował z oblężenia, dopóki nie powybijałby wszystkich mieszkańców Himery. Uratowałem przynajmniej wiele kobiet i dzieci, a także wielu mężczyzn... Nie przyszedłem tu jednak po to, by bro-

nić się przed waszymi oskarżeniami. Działalem w dobrej wierze i odważnie walczyłem. Moi towarzysze mogą o tym zaświadczyć. Zamierzam was nakłonić, byście nie wpuszczali Hermokratesa do miasta...

Wśród obecnych przebiegł szmer oburzenia. Jedni jęli go przeklinać, inni mu ubliżali.

— Wiem, że w tej chwili jawi się on wam jako bohater, waleczny mąż, który rzucił wyzwanie barbarzyńcom, który rozbił obóz wśród ruin Selinuntu, który przywiózł wam kości waszych synów. I pewnie rzeczywiście tak jest. Ale to także awanturnik, człowiek, który dąży do przejęcia władzy. Syrakuzy to demokracja, demokracje zaś nie potrzebują wielkich indywidualności ani bohaterów. Potrzebują obywateli, zwykłych ludzi, którzy codziennie robią to, co do nich należy, i służą własnemu krajowi. Jeśli Hermokrates wejdzie do miasta, jak zdołają przetrwać nasze wolne instytucje? Prowadzi za sobą mieszkańców Selinuntu i Himery, a także azjatyckich najemników, którym płaci perskim złotem, żołnierzy wiernych jemu, a nie miastu czy jego instytucjom, i gotowych dla niego na wszystko. Skoro nie miał innego celu jak oddanie nam szczątków poległych współbraci, po co ciągnie za sobą tysiące wojowników?

— Bo zbiera armię, żeby przepędzić Kartagińczyków z całej Sycylii — odezwał się twardy głos. Należał do Filistosa.

— Wiem, po czyjej jesteś stronie! — napadł nań Diokles. — I wszyscy wiemy doskonale, że twój przyjaciel Dionizjusz poślubił córkę Hermokratesa.

— Jestem przyjacielem Dionizjusza i chlubię się tym! — wykrzyknął Filistos. — To człowiek odważny, który walczył nie szczędząc sił, stając w pierwszym szeregu i narażając się na niebezpieczeństwo i śmierć. Czyż wierność przyjaciółom to coś złego?

Diokles nic nie odpowiedział, lecz podjął swoją przemowę zwracając się do członków Zgromadzenia.

— Może już zapomnieliście, jak butni są arystokraci? Jeśli pozwolicie Hermokratesowi przekroczyć bramy miasta, możecie być pewni, że odda władzę w ręce waszych dawnych panów, którzy skazywali was na chłostę, jeśli nie harowaliście na ich polach jak woły od świtu do zmierzchu, którzy nawet nie raczyli na was

spojrzeć mijając na ulicy, którzy żenili się wyłącznie z równymi sobie, jakby byli lepsi od zwykłych ludzi.

— Nie słuchajcie go, obywatele! — nie wytrzymał Filistos. — Mówi tak, żeby odwrócić waszą uwagę od własnej nieudolności, od hańby, jaką na nas ściągnął pozostawiając sprzymierzeńców na łasce wroga, uciekając w nocy jak tchórz, porzucając nie pogrzebane ciała waszych synów na pastwę psów i drapieżnych ptaków. Ja zaś was proszę, byście wpuścili Hermokratesa za mury miasta. Został niesłusznie pozbawiony urzędu, podczas gdy walczył na czele naszej floty, i chociaż nie popełnił żadnej zbrodni, zakazano mu powrotu. Hermokrates jest jedyną nadzieją tej ziemi, jedynym mężem zdolnym przepędzić Kartagińczyków z wyspy, jedynym człowiekiem, który może pomścić waszych synów!

Po tych słowach nastąpiło wśród tłumu poruszenie. Wielu zerwało się z miejsc wołając do Dioklesa:

— Wynoś się! Chcemy naszych zmarłych! Mówisz tak tylko przez zawiść!

Wielu innych wszakże nadal milczało. Mowa Dioklesa wywarła na nich bowiem wrażenie.

W końcu urzędnicy postanowili poddać pod głosowanie dwie uchwały: uroczysty pogrzeb na koszt państwa, aby uczcić pamięć poległych przywiezionych z powrotem do ojczyzny, i zgodę na powrót Hermokratesa do miasta. Pierwszą z nich przyjęto, drugą odrzucono, po raz kolejny niewielką liczbą głosów.

Garstka obywateli złożyła wszakże trzeci wniosek, domagając się mianowicie skazania Dioklesa na banicję z powodu nieudolności w dowodzeniu wojskiem i za tchórzostwo w obliczu wroga. Wniosek przeszedł przygniatającą większością głosów, tak jakby obywatele czuli się winni za nie wyrażenie zgody na powrót najwaleczniejszego syna Syrakuz i chcieli go wynagrodzić wypędzając jego najzagorzalszego przeciwnika.

W krótkim czasie Hermokrates został odrzucony przez swoje miasto już drugi raz, a skazanie Dioklesa na banicję wcale go nie pocieszyło. Wieść przekazała mu delegacja Zgromadzenia; człowiek, który przemówił w imieniu wszystkich, uczynił to niechętnie, wyraźnie skrępowany, kiedy zaś Hermokrates nie udzielił mu żadnej odpowiedzi, ograniczając się do skinienia głową w pogardliwym milczeniu, poczuł się jeszcze gorzej.

Wówczas odezwał się Dionizjusz;

— Możecie zabrać trumny ze szczątkami waszych poległych i urządzić im pochówek, na jaki zasługują. Im szybciej oedździecie, tym lepiej.

Kolumna wyruszyła wkrótce i dotarła do miasta po godzinie marszu. Trumny ustawiono rzędem na agorze, aby każda rodzina mogła rozpoznać swoich bliskich. Jeśli imię poległego widniało na wierzbowej bransolecie, wypalano je na drewnie trumny. Wszędzie tam, gdzie nie dało się przydzielić imienia do ciała, widniało słowo άγνωτος, czyli „nieznany”, tam zaś, gdzie złożono kości różnych osób, wpisano słowo πολλοί, czyli „wielu”.

Przywiezienie szczątków nasiliło ból rodziców i krewnych, toteż każdy zakątek miasta przez całą noc rozbrzmiewał szlochem i płaczem. Nazajutrz odprawiono uroczystości pogrzebowe. Stosy rozpalono poza miastem, w części południowej, kiedy zaś ogień strawił to, co zdołano uchronić przed psami i drapieżnikami, kości i prochy oddano krewnym, aby złożyli je do grobów.

Arete również uczestniczyła w pogrzebie, sama, wśród poległych znajdował się bowiem kuzyn, który zawsze był jej bliski. Pędząc z powrotem do domu, by zdążyć przed zmierzchem, poczuła, że ktoś za nią idzie, więc przyspieszyła kroku.

Kiedy uzmysłowiła sobie, że o tej porze samotnie po ulicach kręcą się tylko niewolnice lub dziewczki, ogarnął ją strach. Nie oglądając się za siebie ruszyła jeszcze szybciej, niemal biegiem, pragnąc dopaść drzwi domu i zamknąć się w środku. Wówczas kroki śledzącego ją osobnika stały się szybsze i cięższe, podobnie jak bicie jej serca. Po czym znienacka umilkły.

Arete przystanęła i odwróciła się. Nikogo. Westchnąwszy, czmychnęła w lewo, ledwie jednak zdążyła skrócić, nadziała się na jakąś postać w ciemnych szatach, nie mogąc powstrzymać krzyku.

— Cśśś... Siopa! — nakazał czyjś stanowczy głos.

— Dionizjusz! — zawołała Arete. rozpoznawszy go.

Twarz i głowę zasłaniał mu kaptur.

— Idź naprzód, nie zatrzymuj się — polecił. — Pójdę za tobą do samego domu.

Ruszyli więc szybkim krokiem po ulicach dzielnicy Achradine, aż dotarli do domu z pergolą. Winorośl wypuściła już liście.

podobnie jak figowiec, który wyrastał niemal wprost ze ściany, tuż obok drzwi wejściowych. Wyjąwszy z sakwy klucz, Arete otworzyła je i wpuściła męża do środka, po czym natychmiast zamknęła na dwa razy i rzuciła mu się na szyję obejmując mocno. Dionizjusz przytulił ją do siebie bez słowa.

— Przygotować ci wieczerzę? — zapytała Arete.

— Nie jestem zbyt głodny — odrzekł Dionizjusz.

— Jak to przyjął mój ojciec?

— Źle — pokręcił głową. — A niby jak miał to przyjąć?

— Co teraz pocnie?

— Chyba wrócimy do Selinuntu. Nie ma innych miejsc, gdzie moglibyśmy zamieszkać.

— W takim razie idę z wami. To głupota, żebym została tutaj.

— A właśnie że nie.

— Co przez to rozumiesz?

— Twój ojciec woli, żebyś została w Syrakuzach.

— I co z tego? Jestem kobietą zamężną, nie muszę więc już słuchać ojca, tylko męża. Nie potrzebuję jego zgody, tylko twojej.

— Jestem tego samego zdania co twój ojciec. W Selinuncie jest zbyt niebezpiecznie.

— Łajdak z ciebie... — stwierdziła Arete ze łzami w oczach.

— Czy to możliwe, żebyś nie kochał mnie ani odrobiny?

— Nie zaczynamy się znowu kłócić — odrzekł Dionizjusz pojednawczym tonem. — Doskonale wiesz, że kocham cię najbardziej na świecie. Właśnie dlatego postanowiłem nie zabierać cię ze sobą. Ale posłuchaj... Chociaż nie powinienem ci tego mówić, to i tak powiem: nie sądzę, żebyśmy długo pozostali z dala od siebie.

— Co masz na myśli? — zapytała Arete ocierając łzy.

— Twój ojciec wraca do Selinuntu, ja jednak będę mu towarzyszył tylko przez pierwszą część podróży. Muszę się porozumieć z osobami, które mogą mi pomóc w przygotowaniu jego powrotu do miasta.

— Jego powrotu? Jak to?

— Lepiej, żebyś nie wiedziała. Wierz mi, to potrwa tylko kilka dni, z pewnością nie więcej niż miesiąc. A potem już zawsze będziemy razem, zobaczysz, jeszcze będziesz mnie miała dosyć.

Arete pokręciła głową,

— Nie wierzysz mi?

— Wierzę — odparła — i właśnie dlatego się boję. Taki powrót nie może się odbyć bez rozlewu krwi.

— Wcale nie jest powiedziane. Postaramy się, żeby to nastąpiło szybko. Twój ojciec też nie chce rozlewu krwi, tym bardziej że miasto poniosło już dotkliwe straty. Ale ma prawo wrócić; dekret skazujący go na banicję jest niesprawiedliwy. Poza tym Syrakuzom brakuje przywódcy, i to właśnie teraz kiedy Kartagińczycy szykują się do kolejnego najazdu.

— Skąd o tym wiesz?

— Mamy swoich szpiegów.

— W mieście powiadają, że jeśli Kartagińczycy znów na nas napadną, to będzie wasza wina, bo osiedliliście się w Selinuncie i urządzaliście wyprawę wojenne.

— A jakie jest twoje zdanie?

— Że przynajmniej po części mają rację.

— Zrobiliśmy to, co było trzeba, i zdumiewa mnie, że właśnie ty tak mówisz, chociaż widziałś wszystkie te potworności.

— Kobiety myślą inaczej. Wam mężczyznom w głowie tylko zemsta, honor, udowodnienie, jacy z was waleczni wojownicy, ale to tylko wzmacnia nienawiść i podsycia urazę. Dla was jest chwała, dla nas zaś opłakiwanie synów, braci, ojców i mężów. Ja marzę o tym, by w letnie wieczory gościć przyjaciół i gotować im strawę pod pergolą, spoglądając na statki zawijające do portu. Marzę o tym, by patrzeć, jak rosną nasze dzieci, i pewnego dnia doczekać się wnuków. Skromne te marzenia, wiem, ale dla mnie to szczyt dążeń.

Dionizjusz chwycił żonę za ramiona i spojrzał jej w oczy.

— Nie uważasz, że kobiety z Selinuntu i z Himery też miały marzenia? Tylko że ktoś zamienił je w przerażające krwawe sny. A uchodźcy, którzy zdołali się uratować, mężczyźni i kobiety, też mają marzenia: wrócić do swych domów i mieszkać w nich przez resztę życia. Wszystkie nasze miasta leżą na wybrzeżu i zbudowano je w jedynych miejscach nadających się do zamieszkania. Jeśli zostaną zburzone, nie będziemy mieli innego wyjścia, jak zniknąć, zupełnie jakbyśmy nigdy nie istnieli. Arete, czy rzeczywiście tego chcesz? Żeby sycylijscy Grecy zniknęli niczym cienie,

żeby nasze miasta zamieniły się w kupę kamieni, żeby stały się siedliskiem dzikich bestii?

— Nie... — odrzekła słabo Arete. — Nie chcę tego, ale mężczy mnie samotne życie w lęku, w trwodze, że każdy kto puka do drzwi, przyniesie wiadomość, która rozedrze mi serce.

— Więc musimy przepędzić barbarzyńców z wyspy. Tylko wtedy będziemy mogli żyć w spokoju i zbudować przyszłość dla naszych dzieci. Twój ojciec i ja wrócimy do Selinuntu i wspólnie poprowadzimy naród do walki. Zanim to jednak nastąpi, z pewnością upłynie jakiś czas, my zaś będziemy mogli побыć trochę razem i w spokoju cieszyć się życiem i... miłością.

Arete otarła łzy.

— Tak czy inaczej doskonale zdaję sobie sprawę, że bez względu na to co powiem ja lub ktokolwiek inny, na pewno nie zmienicie zdania ani ty, ani mój ojciec. To niewiarygodne, że jedyni mężczyźni, jacy liczą się w moim życiu, są tak idealnie zgodni co do tego, co sprawia mi ból... Teraz widzę, że takie było moje przeznaczenie.

— Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć — uśmiechnął się Dionizjusz — tym razem jest inaczej.

— Co też ty mówisz?

— Twój ojciec jeszcze nie ma pojęcia o moich zamiarach.

— Ale... nie rozumiem.

— Powiem mu, gdy nadejdzie pora.

— To mnie napawa jeszcze większym lękiem. Gorzej, wygląda mi na prawdziwe szaleństwo.

Dionizjusz pogłaskał ją po twarzy.

— Nie martw się, wiem, co robię. A kiedy przyjdzie czas, wszystko rozstrzygnie się w ciągu paru godzin.

Arete przyjrzała mu się zagubiona, przez głowę zaś przebiegały jej tysiące myśli, którymi chciałaby się z nim podzielić, aby go odwieść od tego, co zamierzał, tysiące wątpliwości, lęków, obaw. Zdołała wszakże jedynie zapytać:

— Więc mam ci ugotować wieczerzę?

— Wieczerzę? — powtórzył Dionizjusz.

— Tak czy nie?

— Nie — odparł.

Po czym wziął ją na ręce i zaniósł na górę do sypialni.

*

Hermokrates odszedł trzy dni później, na wieść zaś, że kolumna podążyła na zachód, wielu w Syrakuzach odetchnęło z ulgą. Dionizjusz wyruszył później, sam, kierując się ku pewnej miejscowości w głębi wyspy, gdzie wyznaczył spotkanie ludziom ze swego Bractwa, wśród których znajdowali się najbliżsi przyjaciele: Jolaos, Doriskos i Biton. Miał się także stawić Filistos.

Tymczasem Diokles zdążył już opuścić Syrakuzy, posłuszny dekretowi Zgromadzenia. Rozpłynął się w powietrzu i wszelki śluch po nim zaginął. Być może cieszył się, że udało mu się utrzymać Hermokratesa z dala od miasta, a może ogarnął go wstyd i dlatego nie dawał znaku życia, zaszywszy się gdzieś udając, że jest nikim.

Hermokrates i jego żołnierze maszerowali przez dziesięć dni, dopóki nie ujrzeni przed sobą Selinuntu, gdzie czekało na nich wielu innych wojowników gotowych pójść za swym wodzem choćby na kraj świata.

Tymczasem Dionizjusz stawił się na miejsce tajnego spotkania — w opuszczonej jaskini tufowej na drodze do Katanii. Dołączyli doń pojedynczo liczni przyjaciele, będący wszyscy członkami Bractwa, na końcu zaś pojawił się Filistos. Kiedy się zebrali, Dionizjusz porozstawiał czujki, po czym zabrał głos.

— Dekret Zgromadzenia to hańba — zaczął — wygnanie Hermokratesa zaś to potworna niesprawiedliwość. Nie wysunięto przeciwko niemu żadnego oskarżenia, jedynie podejrzenia i dowody nieżyczliwości. Tymczasem on jest najlepszy z nas; to człowiek waleczny, którego jedyne przewinienie polega na tym, że zawsze służył ojczyźnie za cenę najwyższych poświęceń, nigdy nie żądając nic w zamian. Ale nie w tym rzecz. Otóż wiemy na pewno, że Kartagińczycy przygotowują na przyszły rok kolejną kampanię i że tym razem postanowili doprowadzić dzieło zniszczenia do końca, włączając w to nas.

— Skąd ta pewność? — zdumiał się ktoś z obecnych.

— Ja ci to wyjaśnię — wtrącił Filistos. - Miesiąc temu kartagińskie poselstwo udało się do Aten, aby się upewnić, czy władze miasta będą nadal podtrzymywać wojnę ze Spartą. Jak myślicie, dlaczego? To bardzo proste: jeżeli Spartanie będą zajęci wspieraniem Ateńczyków na Morzu Egejskim, w razie najazdu Kartagińczyków

nie zdołają przyjść z pomocą nam, jak to uczynili siedem lat temu. A możecie być przekonani, że na nas napadną.

— Skoro tak się rzeczy mają — ciągnął Dionizjusz — jedynym człowiekiem zdolnym poprowadzić nasze wojska do boju, który wydaje się nieunikniony, jest Hermokrates. Sami widzieliście, co się stało w Selinuncie i Himerze tylko dlatego, że zabrakło jednomyślnego i zdeterminowanego dowództwa. To samo czeka Syrakuzy, jeśli ciągle będziemy trwonić czas na teorie polityczne. Mówimy o przetrwaniu. Zgadzacie się ze mną?

Wszyscy przytaknęli.

— Świetnie. W takim razie sami sprowadzimy go do miasta.

— Łatwo powiedzieć — sprzeciwił się Doriskos, liczący jakieś dwadzieścia pięć lat młodzieniec o rudych, podobnie jak u pochodzącego z Tracji ojca, włosach i czarnych oczach po sycylijskiej matce.

— Ale wcale nie tak trudno wykonać — odparł Dionizjusz.

— To szaleństwo — zauważył Jolaos, jeden z bardziej oddanych mu ludzi, podobnie jak Doriskos były towarzysz dziecięcych zabaw. — Naród nas rozszarpie.

— Będziemy działać z zaskoczenia — ciągnął Dionizjusz bez mrugnięcia okiem. — My od wewnątrz, Hermokrates zaś od zewnątrz. Opanujemy bramę zachodnią i otworzymy ją, gdy zwiadowcy dadzą nam znak, że Hermokrates jest gotów wkroczyć. Wtedy wystarczy zaledwie parę godzin i miasto będzie nasze. Naród pogodzi się z tym, co się stanie. Jeśli jednak nic nie zrobimy, będziemy musieli się przyglądać, jak członkowie Zgromadzenia rozprawiają całymi dniami przed podjęciem decyzji, której wykonanie i tak powierzą żółtodziobowi: jakiemuś handlarzowi ryb albo szkutnikowi zamiast wojownikowi, synowi i wnukowi wojowników. Przypomnijcie sobie, przyjaciele: jeszcze nie tak dawno barbarzyńcy się nas bali, być może po prostu dlatego, że przeceniali naszą siłę widząc, jak zwyciężamy Ateńczyków, lecz bezrozumne postępowanie Dioklesa utwierdziło ich w przekonaniu, że nie jesteśmy w stanie bronić naszych sprzymierzeńców, a co za tym idzie, nie będziemy w stanie sami się obronić. Zaatakują nas, powiadają, i nie przestaną, dopóki nie wybiją nas wszystkich albo nie przepędzą na cztery wiatry. Tylko Hermokrates może nas uratować. Wierzcie mi, nie mamy innego wyjścia.

— Moim zdaniem słusznie prawi! — zawołał Biton, największy osilek, raptus i zawadiaka wśród kompanów Dionizjusza, za wsze gotów do bijatyki, a jeśli trzeba, do chwycenia za broń.

— Więc kto jest ze mną?

Wszyscy podnieśli ręce.

— Znakomicie — stwierdził Dionizjusz. — Jesteśmy zgodni. Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak opracować plan działania, ale najpierw odnowmy naszą przysięgę, która nas wiąże, i niech bogowie przeklną każdego, kto ją złamie. Przysięgnijmy, że jeśli któryś z nas zdradzi, będziemy go ścigać dopóty, dopóki nie schwytamy i nie ukarzymy.

Wszyscy złożyli przysięgę. Przynależność do Bractwa oznaczała spore przywileje w życiu społecznym i politycznym, a także w armii, wiązała się jednak również z przeróżnymi zobowiązaniami, których niedotrzymanie mogło się skończyć utratą życia.

Podobnie jak tu dotarli, rozeszli się pojedynczo bądź w małych grupach, udając się w różnych kierunkach, aby nie zwracać na siebie uwagi.

Nagle do Dionizjusza zbliżył się Filistos, który do tej pory milczał, ograniczając się do słuchania i patrzenia.

— Aż trudno sobie wyobrazić, że spośród tak wielu ludzi żadnemu nie wpadnie do głowy, by zdradzić.

— To się jeszcze nigdy nie zdarzyło — odrzekł ze spokojem Dionizjusz.

— Nigdy dotąd gra nie toczyła się o tak wysoką stawkę. Teraz jest mowa o losie miasta, a może nawet całej Sycylii — oświadczył Filistos.

— Tak czy inaczej to krok, na który musimy się zdobyć. Po tem nie będzie już odwrotu.

Filistos milczał przez chwilę, przyglądając się ostatnim uczestnikom zebrania, którzy dosiadłszy koni, oddalali się właśnie białą od kurzu drogą, po czym zapytał:

— Kiedy powiadomisz Hermokratesa?

— Jeszcze dziś w nocy wyślę do niego gońca.

— Czy on się zgodzi?

— Bez wahania. Niczego innego nie pragnie. Uparcie marzy o powrocie, ja zaś postępowałbym tak samo, gdybym znalazł się na jego miejscu.

— Zastanawiałeś się nad tym, jak pogodzić wasze działania? Muszą być idealnie zgrane w czasie.

— Posłużę się gońcami, choć tak czy inaczej obaj doskonale wiemy, jak długo trwa marsz wojska z Selinuntu do Syrakuz.

— Możliwe, ale pamiętaj: to będzie najtrudniejsze. Musisz poświęcić całą uwagę właśnie temu zadaniu. Reszta sama przyjdzie... Kiedy to nastąpi?

— Dokładnie za czternaście dni licząc od jutra. Zaatakujemy o świcie, przed wieczorem zaś będzie po wszystkim.

Filistos przysunął się jeszcze bliżej.

— Dionizjuszu — przemówił — wiesz, że nie jestem żołnierzem, lecz pisarzem, toteż w tym przedsięwzięciu byłbym tylko ciężarem. Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić.

— Nic — odparł przyjaciel. — Patrz i oceniaj wszystko, co się wydarzy, abyś mógł przekazać to tym, co przyjdą po nas. Oto twoje zadanie. Kiedy przekroczymy bramy Hadesu, to co po nas zostanie, nie będzie prawdziwym wspomnieniem naszych dokonań, lecz tylko obrazem, jaki zachowa po nas historia. A teraz idź, zanim się ściemni.

Skinąwszy nieznacznie głową, Filistos narzucił płaszcz na ramię i wsiadł na konia.

Wieczorem trzynastego dnia Hermokrates otrzymał list od Dionizjusza napisany na modłę spartańską przy użyciu *skytale*, ledwie zaś go przeczytał, ogarnęło go wielkie podniecenie. Z tonu wiadomości wynikało, że oto nadarza się sposobność, która może się już nigdy nie powtórzyć, i że wobec tego należy niezwłocznie działać. W warunkach, które wymagały raczej rozwagi, Hermokrates pozwolił, by wzięły górę namiętności, nieodparte pragnienie powrotu do ojczyzny, chęć zemsty na tych, co wykorzystali jego nieobecność, aby odebrać mu jego święte prawa, aby go pohańbić i wzbudzić w narodzie nienawiść do niego.

Gdy zapytał, ilu ludzi jest gotowych natychmiast z nim wyruszyć, usłyszał, że może liczyć na niewiele ponad tysiąc żołnierzy, którzy tylko czekają na jego znak. Reszta rozpierchła się bowiem na różne strony, napadając na kartagińskie posterunki, i nie wróci wcześniej niż za dzień lub dwa.

— Nie mogę na nich czekać — stwierdził. — Przekażcie im że gdy tylko powrócą, mają wyruszyć w drogę i dołączyć do mnie w Syrakuzach.

— To błąd, heghemon — ostrzegł Kleantes, jeden z jego dowódców. — Po co ten pośpiech? Lepiej dokonać natarcia z większą siłą, przy pomocy całej armii.

— Nie — zaprzeczył Hermokrates. — Powiedziano mi, że nadeszła właściwa chwila. Teraz albo nigdy.

— Jak chcesz — odrzekł Kleantes. — Możesz na mnie liczyć, ale nadal obstawiam przy swoim zdaniu, że dzień zwłoki nie zrobiłby różnicy.

Hermokrates zdawał się wahać przez chwilę, zdjęty wątpliwościami. Myśl, że ma położyć wszystko na jedną szalę, budziła w nim lęk. Po czym nagle znalazł rozwiązanie.

— Może i się nie mylisz — przyznał. — Zróbmy tak: ja wyruszę pierwszy, a ty pójdziesz za mną na czele drugiej strategii. Tu, w Selinuncie, zostawisz najwyżej tysiąc ludzi. Tyle wystarczy. Resztę poprowadź za sobą. Nie zabieraj samej piechoty, ale także pelastów i oddziały zaczepne.

— Mam iść bez jazdy?

— Nie będzie potrzebna. Czeka nas walka na ulicach, w zaułkach...

— Nie mamy ich zbyt wielu — stwierdził Kleantes. — Zbiorę, ilu się da.

— Dobrze. Dzięki temu będę spokojniejszy. Życz mi powodzenia, przyjacielu. Od tego przedsięwzięcia zależy przyszłość moja, twoja, całego miasta, a może nawet całej Sycylii.

— Powodzenia, heghemon — powiedział Kleantes. — Miejmy nadzieję, że nasi sprzymierzeńcy w mieście będą sobie zdawać sprawę z tego, co robią.

Kiedy nazajutrz przed świtem trębacz zagrał sygnał do wymarszu, pelastów spośród agory zebrano tysiąc stu hoplitów, dwustu pelastów oraz oddziały zaczepne. Przywdziawszy zbroję, Hermokrates dokonał przeglądu jeszcze w ciemnościach, po czym wygłosił krótką przemowę.

— Żołnierze! Tym razem czeka nas o wiele bardziej zacięta i bolesna walka, wracamy bowiem do Syrakuz, gdzie spodziewa się nas jedynie część współobywateli. Reszta stanie przeciw nam

i będziemy musieli ich zabić. Niestety nie mamy wyboru. Kiedy tylko wrócimy i przejmemy władzę, wystąpimy przeciw barbarzyńcom i przegnamy ich z Sycylii, ale najpierw każemy zapłacić za pogrom Selinuntu i rzeź w Himerze. Rany wkrótce się zabliznią, stworzony zaś przez nas dobrobyt pozwoli zapomnieć o przeszłości. Teraz jednak trzeba doprowadzić to przedsięwzięcie do końca. Oznacza to dla nas wyścig z czasem, dlatego też nie chcę słyszeć od żadnego z was, że jest zmęczony. Będziemy musieli maszerować od świtu do zmierzchu, przystając tylko na chwilę, żeby się posilić, tak abyśmy znaleźli się przed zachodnią bramą Syrakuz najpóźniej w ciągu jedenastu dni. Będzie nam się lekko szło, załadujemy bowiem tarcze na wozy. Hasło brzmi „Aretuza”. Niech bogowie nam sprzyjają. Nie mam nic więcej do dodania.

Co rzekłszy, Hermokrates chwycił włócznię i ruszył w drogę. Ustawieni czwórkami żołnierze podążyli za nim. Jeden z oficerów zaintonował jakąś pieśń, wkrótce wszakże wódz narzucił tak szybkie tempo, że każdemu odechciało się śpiewać, toteż przez resztę dnia posuwali się w milczeniu.

VIII

Trzeciego dnia po wysianiu wiadomości do Hermokratesa Dionizjusz nakazał członkom Bractwa, aby pozostali w gotowości, wszyscy czekali zatem na jego znak. Plan polegał na tym, by zająć zachodnią bramę w dzielnicy Achradine, trzymać ją otwartą, dopóki Hermokrates i jego żołnierze nie wejdą do środka, następnie utworzyć dwa oddziały. Na jego rozkaz pierwszy z nich, złożony z lekkobrojnnych piechurów, usunąłby z ulic patrole. Drugi zaś, pod dowództwem Jolaosa, otworzyłby drogę dla ciężkobrojnej piechoty Hermokratesa, która z kolei zajęłaby agorę. Następnie mieli zaatakować Ortygię i wziąć do niewoli nieprzyjacielskich dowódców, a potem heroldowie mieli wezwać mieszkańców na Zgromadzenie, aby usłyszeli, co się dzieje w mieście.

Dionizjusz nie wziął jednak pod uwagę niecierpliwości Hermokratesa, który pragnął dotrzeć do Syrakuz jak najprędzej i marszerował tak szybko, że znacznie wyprzedził armię dowodzoną przez Kleantesa. Ten zaś wyruszywszy z jednodniowym opóźnieniem, nie tylko go nie nadrobił, ale jeszcze bardziej powiększył, tak że gdy Hermokrates znalazł się w pobliżu Syrakuz, wojska Kleantesa miały przed sobą jeszcze dwa dni drogi. Sam Kleantes wysłał wprawdzie naprzód konnych zwiadowców, aby ustawili pozycje przedniej straży Hermokratesa i uprzedzili go o dzielącej obie armie odległości, misja jednak nie na wiele się zdała.

Dionizjusz i jego teść porozumieli się po raz pierwszy za pośrednictwem zaszyfrowanego listu.

Dionizjusz do Hermokratesa, pozdrowienia.
Jesteśmy gotowi do działania w ustalonym dniu i o ustalonej godzinie. Powinieneś wkroczyć z

jak największą liczbą wojska, aby Syrakuzanie odnieśli wrażenie, że zajęliśmy miasto i że mamy władzę. Gdyby na ulicach miały się toczyć walki, ich wynik byłby nader niepewny.

Hermokratesa ogarnęły wątpliwości. Chociaż nigdy dotąd nie zawahał się przed wrogiem, teraz gdy miał zbrojnie wystąpić przeciw własnej ojczyźnie, dręczyła go niepewność. Zdawał sobie sprawę, że jeśli będzie zwlekał zbyt długo, zauważą go i zaalarmują całe miasto. Może nawet wyślą przeciw niemu wojsko i będzie musiał stoczyć bitwę na otwartym polu, której wynik był już przesądzony. Nie mógł dłużej czekać, toteż przesłał zięciowi wiadomość, że stanie pod zachodnią bramą o ustalonej porze, czyli nazajutrz o świcie.

Jednakże władze usłyszawszy o osobliwych ruchach wojsk na wschód od miasta, nakazały rozmieścić strażę w najróżniejszych miejscach, wzdłuż brzegów Anapos i na wzgórzach, aby nikt ich nie zaskoczył.

Mimo to Hermokratesowi, którego żołnierze zdołali dotrzeć tuż pod zachodnią bramę, posuwając się w całkowitej ciszy i w ciemnościach, udało się zdobyć pewną przewagę. Na znak, że droga wolna, rzucił się do środka, gdzie czekali już nań Dionizjusz i młodzieńcy z Bractwa, uzbrojeni i gotowi na jego rozkazy.

— Nareszcie — powiedział Hermokrates biorąc go w ramiona. — Ruszajmy na agorę, a stamtąd na Ortygię. Jeśli damy radę ją zająć, w naszych rękach znajdą się dok i port. Reszta sama przyjdzie. Masz oddziały lekkobrojnych piechurów?

— Oczywiście — odparł Dionizjusz. — Oto oni — dodał wskazując na pięćdziesięciu peltastów uzbrojonych w łuki, strzały, krótkie miecze i małe trackie tarcze w kształcie półksiężyca.

— Więc idźcie pierwsi, żeby mi utorować drogę. Usuńcie patrole, zanim wszystkich ostrzeżę.

Dionizjusz skinął głową, po czym pomknął naprzód wraz ze swymi żołnierzami. Wówczas Hermokrates pobiegł za nim, prowadząc swe oddziały ustawione szóstkami, tak jak pozwałała szerokość ulic.

Cała dzielnica wydawała się Dionizjuszowi i jego peltastom dziwnie cicha. Na ulicach nie było żywego ducha. Niekiedy na ich widok budził się nagle z drzemki jakiś pies i zaczynał ujadać,

najwyraźniej jednak nikt nie przejmował się jego szczeniem — drzwi i okna ciągle pozostawały zamknięte. Dionizjusz biegł przejęty coraz większą trwogą, zaniepokojony tym, że wszystko idzie zbyt łatwo, że nigdzie nie ma patroli. Korciło go, aby się zatrzymać i zawrócić, aby odwieść Hermokratesa od jego planów, po chwili wszakże doszedł do wniosku, że niepotrzebnie się martwi, że to zwykła cisza przed zbliżającym się świtem i że większość patroli pewnie jest między portem a Ortygią.

Wtem w odległości jakichś stu kroków ujrzał przed sobą kolumnadę otaczającą agorę, szeroki plac służący do zgromadzeń, za którym znajdował się krótki pomost łączący Ortygię ze stałym lądem. Bieląła w bladym świetle brzasku, ledwie widoczna z powodu lekkiej mgły unoszącej się nad morza.

Dionizjusz dał żołnierzom znak, by przywarli do ścian domów po obu stronach ulicy, po czym wysłał na zwiady Bitona i Jolaosa.

— Idźcie naprzód pozostając w cieniu i trzymając się jak najbliżej murów, aż do końca kolumnady. Jeżeli nie zauważycie nic podejrzanego, gwizdnijcie, a wtedy ruszymy za wami. Będziemy pilnować wejścia na agorę i wyjścia, dopóki nie przejdzie ciężkozbrojna piechota, następnie wrócimy na czoło, żeby otworzyć drogę przez pomost ku Ortygii. Wszystko jasne?

Przytaknąwszy, obaj wojownicy oddalili się nie czyniąc najłżejszego hałasu. Dionizjusz czekał z sercem w gardle, aż dotrą do kolumnady. Jednocześnie nadstawiał ucha, aby usłyszeć miarowy krok ciężkiej piechoty, która miała nadejść pod wodzą Hermokratesa. Po kilku chwilach rozległ się gwizd Bitona: droga wolna. Dionizjusz i jego ludzie puścili się biegiem.

— Nie ma żywego ducha — oświadczył Jolaos.

— Tym lepiej, ale miejcie oczy otwarte. — Dionizjusz podzielił żołnierzy na dwie drużyny. — Wy pójdziecie ze mną — rozkazał pierwszej z nich. — Naszym celem jest wyjście prowadzące na Ortygię. Reszta zostaje tutaj z Bitonem i Jolaosem i czeka na Hermokratesa i jego armię. Kiedy was miną dogonicie mnie, żebyśmy znów znaleźli się na czele kolumny.

Wojownicy rozdzielili się na dwa dwudziestoosobowe oddziały, z których jeden podążył za Dionizjuszem i dotarł wkrótce do wschodniego wyjścia z agory.

Jako że po drugiej stronie również nie było nikogo, Dionizjusz zaczął się pod kolumnadą, by pilnować przemarszu. Nie minęło wiele czasu, gdy ukazało się czoło armii Hermokratesa. Spora część przedsięwzięcia odbyła się zgodnie z planem: Ortygia znajdowała się zaledwie o paręset kroków, wkrótce też pierwsze promienie słońca miały zalać złote akroteriony świątyni Ateny, położonej w najwyższym miejscu wyspy, witając w ten sposób Syrakuzy.

Zamiast tego rozpętało się prawdziwe piekło. Dokładnie w chwili gdy wojska Hermokratesa znalazły się na agorze, z bocznych ulic, z prawej, z lewej, ze wschodu i z zachodu wypadły zbrojne oddziały, dotychczas ukrywające się wewnątrz domów, zagradzając wszystkie drogi ucieczki. Z dachów przyległych budowli spadły tysiące strzał wypuszczanych celnie przez niewidocznych łuczników.

Dionizjusz wraz z członkami Bractwa usiłował przebić się od wschodniej części placu, aby utorować drogę powrotu, jednakże napastnicy, przewidziawszy takie posunięcie, wysłali tam liczny doborowy oddział, który natarł z furją uniemożliwiającą jakikolwiek atak.

Bitwa rozgorzała we wszystkich zakamarkach wielkiego placu, w miarę zaś jak się rozjaśniało, ogrom klęski stawał się widoczny z przerażającą oczywistością. Wszędzie krew lała się strumieniami, ziemia usłana było trupami i rannymi, napastnicy nacierali z coraz większą siłą, oblężeni w samym środku obszernego brukowanego placu zaś nie widzieli przed sobą żadnej drogi ucieczki.

Hermokrates usiłował skupić wokół siebie najlepszych żołnierzy, by przełamać okrążenie z prawej strony placu, gdzie liczba nieprzyjaciół zdawała się maleć. Na tak ograniczonej przestrzeni nawet im trudno było utrzymać szyk i napierać z jednakową siłą.

Domyśliwszy się zamiarów Hermokratesa, Dionizjusz przybiegł mu z odsieczą prowadząc swoją drużynę, po czym wszyscy razem rzucili się naprzód z wycelowanymi włóczniami, wrzeszcząc, by nawzajem dodać sobie odwagi. Szeregi wroga zachwiały się pod naporem owej garstki desperatów i jęły ustępować. W ciekłym pojedynku na miecze Dionizjusz zdołał powalić kolejno

trzech przeciwników, pozostali kompani zaś widząc zbliżającą się możliwość wydostania z pułapki, zaczęli napierać od tyłu tarczami z jeszcze większą mocą niż ci, co walczyli na pierwszej linii. Kiedy wreszcie udało im się zrobić wyłom w szeregach wroga, żołnierze Dionizjusza usiłowali przedrzeć się ku zachodnim dzielnicom Achradine. W tej samej wszakże chwili jeden z nieprzyjacielskich dowódców spostrzegłszy, co się dzieje, wycelował oszczep z dziesięciu kroków i cisnął w Hermokratesa, który wyłonił się akurat oślepiiony promieniami wschodzącego słońca, trafiając go w pierś.

Ugodzony w samo serce Hermokrates padł jak rażony gromem, w szeregach jego wojowników zaś rozległ się okrzyk trwogi, mimo to jednak walczyli dalej z jeszcze większą zaciekłością, aby pomścić śmierć swego wodza.

Dionizjusz, który zdążył się już niemal wydostać z placu, obejrzał się za siebie, by zobaczyć, co się stało, w tej samej wszakże chwili czyjś miecz przeszył mu prawy bark. Upuściwszy broń z okrzykiem bólu, znalazł jeszcze w sobie siłę, by zmiażdżyć tarczą przeciwnika, który go zranił. Nim upadł, Jolaos zdążył chwycić go za ramiona i odciągnąć z pola bitwy, pozostawiając smugę krwi.

Przystanęli zdyszani w cieniu archiwolty otwierającej się między dwiema bocznymi uliczkami, skąd mogli słyszeć odgłosy kaźni, które odbijały się echem od murów miasta niczym ryk zwierząt prowadzonych na rzeź. Wsunąwszy mu dłonie pod pachy, Jolaos podniósł go znowu, nakłaniając, by szedł o własnych siłach.

— Wkrótce zaczną przeczesywać ulice w poszukiwaniu tych, co przeżyli — powiedział. — Musimy uciekać.

Przez głowę Dionizjusza, który oparł się o ścianę, przemknęła straszna myśl.

— O bogowie, Arete!

— Co?

— Muszę biec do żony. Została sama w domu i jestem pewien, że wiedzą o moim udziale w napadzie. Ta pułapka to zdrada.

— Potrzeba ci jak najrychlej medyka albo nie wyjdiesz z tego żywy.

— Najpierw żona. Pomóż mi, proszę.

— Dobrze — westchnął Jolaos — ale musimy zatamować krew, bo inaczej wykrwawisz się na śmierć.

Oddał kawałek materii z płaszcza, przycisnął do rany i owinął rzemieniem od tarczy, po czym ruszyli dalej.

Tymczasem w mieście przybywało ludzi, którzy biegali na wszystkie strony jak oszaleli nie zdając sobie sprawy, co się dzieje, na rogach ulic zaś już dał się słyszeć głos heroldów obwieszczających, że Hermokrates i Dionizjusz próbowali obalić władzę, i obiecujących wysokie nagrody dla tych, co schwytają niedobitków bądź na nich doniosą.

— A nie mówiłem? — odezwał się Jolaos.

— Wiem, wiem, ale chodźmy szybciej, boję się...

Jolaos przyjrzał mu się uważnie: miał poszarzałą twarz i był zimny jak lód. Dyszał ciężko przy każdym kroku i pocił się obficie z powodu wysiłku. Przystawali wielokrotnie, by mógł odpocząć, na koniec zaś przed wspinaczką po zboczu do jego domu. Na rozstaju dróg Dionizjusz oparł się o kapliczkę Hekate. Kiedy ruszyli dalej, na ścianie została szeroka smuga krwi.

Musieli się zatrzymać jeszcze kilka razy, zwłaszcza natykając się na syrakusańskie patrole szukające zbiegów. Schwytanych zabijano na miejscu. Po mieście zaczęły już grasować hordy rabusiów, którzy szukali domów należących do spiskowców, aby je splądrować i zniszczyć. Kiedy dom z pergolą był już blisko, Dionizjusza ogarnął nieznośny lęk. Jolaos oparł go o ogrodzenie.

— Zaczekaj tutaj — polecił. — Ja pójdę przodem, w środku mógł się zacząć ktoś, kto chce, nas zabić.

Wszedł przez furtkę w ogrodzie na tyłach, następnie przez drzwi dla służby, po czym znalazłszy się w prostasie, rozejrzał się dokoła. Ledwie wzrok oswoił się z półmrokiem, twarz wykrzywiła mu się ze zgrozy. Szarpnął się natychmiast, by zawrócić, w tej samej jednak chwili stanął oko w oko z bladym jak płótno Dionizjuszem, który z trudem trzymał się na nogach.

— W środku nikogo nie ma — oświadczył Jolaos starając się, by jego głos zabrzmiał naturalnie. — Chodźmy stąd... poszukaj medyka. Zaraz się przewrócisz. — W jego oczach wszakże ciągle czaił się strach.

Pojąwszy natychmiast, Dionizjusz odsunął go gestem ręki.

— Przepuść mnie.

— Proszę cię — powiedział przyjaciel nie mogąc powstrzymać łez. — Proszę cię, nie idź tam...

Dionizjusz jednak zdążył już przekroczyć próg swego domu. Po chwili rozległ się jego łamiący się z przerażenia głos wykrzykujący niezrozumiałe zdania, dał się słyszeć rozdzierający szloch, który odbijał się echem od zbrukanych, pokiereszowanych ścian. Jolaos podszedł bliżej, nie miał wszakże odwagi go dotknąć ani doń przemówić. Dionizjusz klęczał nad nagim ciałem żony, szlochając rozpaczliwie.

Arete niemal nie sposób było rozpoznać: gwałcono ją tak długo, aż dostała potwornego krwotoku. Leżała w ohydnej kałuży nasienia, krwi i płwocin, miała spuchniętą twarz, rozcięte wargi, ciało pełne zadrapań i siniaków. Na dodatek obcięto jej włosy jak jakiejś ulicznej dziewczce.

Chwyciwszy ją na ręce i objąwszy mocno, Dionizjusz jął się kołysać w przód i w tył, jakby chciał ją utulić, z jego gardła zaś wydobył się smutny, pełen skargi jęk, długi zwierzęcy skowyt, od którego serce się krajało.

— Chodźmy stąd, zaklinam cię — rzekł po chwili Jolaos. — Zaraz będą cię tu szukać, możesz być pewien. Musisz się uratować, Dionizjuszu, musisz się uratować, żeby pomścić tę hańbę.

Dionizjusz otrząsnął się na dźwięk słów przyjaciela.

— Masz rację — przytaknął. — Muszę się zemścić, muszę ich znaleźć, wykurzyć, a potem pozabijać wszystkich jednego po drugim... Ale nie mogę jej tu zostawić... Nie chcę, żeby jej ciało narazone było na zniewagi.

— Ona już nie cierpi, Dionizjuszu — powiedział Jolaos — a gdyby mogła, kazałaby ci się ratować.

Dionizjusz dotknął pieścizotliwie jej czoła.

— Pomóż mi ją zanieść na dół, proszę cię. W piwnicy jest kryjówka. Zaczekam tam razem z nią i dotrzymam jej towarzystwa; zawsze bała się ciemności.

Jolaos spełnił jego prośbę przyjmując na siebie niemal cały ciężar bezwładnego ciała dziewczyny, jako że Dionizjusz mógł zemdleć w każdej chwili. Otworzywszy właz, zeszli kilka stopni i znaleźli się w podziemiach. Dionizjusz pokazał przyjacielowi przejście wiodące do wykutej w tufie izby ukrytej za skrzynią na amfory z winem.

— A teraz idź na strych — polecił — znajdziesz tam skrzynię z czystym odzieniem. Zdejmij zbroję, przebierz się i umyj twarz, to łatwiej się przemkniesz niezauważony. Biegnij do Filistosa, który mieszka na Ortygii w domu z podcieniami za źródłem Aretuzy. Powiedz mu, że czekam tu na niego.

Jolaos skinął potakująco głową.

— Zrozumiałem. Wiem, gdzie to jest. A ty się nie ruszaj i nie rób żadnych głupstw. Zachowuj się jak najciszej. Zaraz ci przyniosę wody; pewnie umierasz z pragnienia.

Dionizjusz nic nie odpowiedział. Siedział przywarty do ściany trzymając w ramionach ciało Arete, jakby chciał ją ogrzać. Przyniósłszy mu wody, Jolaos zmienił szaty i wyszedł.

Wrócił po kilku godzinach, prowadząc za sobą Filistosa i medyka, którzy podążali w odległości jakichś pięćdziesięciu kroków od niego, by nie rzucać się w oczy. Zastali Dionizjusza bez czucia, ciągle tulącego ciało Arete. Nie mogąc powstrzymać łez, Filistos zastygł w milczeniu porażony natłokiem kłębiących się w nim uczuć. Po chwili do środka wszedł medyk. Zaniósłszy wspólnie Dionizjusza do sypialni, położyli go na łóżku. Nadal oddychał, jego serce wszakże biło bardzo słabo, ciało było zimne, usta zaś sine. Kiedy zdjęli mu odzienie, ukazała się rana, jaką wyźłobił miecz między barkiem a mięśniem piersiowym.

— To prawdziwy cud, że nie przeciął mu ścięgien ramienia i dużej żyły, która przechodzi dokładnie tutaj — oznajmił medyk wskazując swym chirurgicznym nożem miejsce pod obojczykiem. — A teraz przytrzymajcie go mocno.

Gdy Filistos i Jolaos unieruchomili mu ramiona, medyk przemył ranę winem i octem. Następnie rozżarzył nad lampką oliwną żelazo i wypalił ciągłe krwawiącą ranę od środka, na koniec zaś zabrał się do szycia.

Dionizjusz był tak wyczerpany, że nawet się nie poruszył. Wydał z siebie jedynie długi skowyt, gdy medyk przyżegał mu żywe mięso.

— Teraz musi odpocząć. Zrobiłem, co mogłem, reszta jest w rękach bogów. Miejmy nadzieję, że nie wda się gangrena.

— Nie wolno ci wspominać nikomu o tym, co tu robiłeś — ostrzegł Filistos, wzięwszy go na bok. — Jeśli zachowasz milczenie, nie będziesz żałował i otrzymasz nagrodę.

Skinąwszy głowę, medyk wyciągnął dłoń po zapłatę — pięć pięknych srebrnych monet z wizerunkiem Aretuzy otoczonej przez delfiny.

— Co zrobimy z ciałem dziewczyny? — zapytał Jolaos.

— Na razie pochowamy ją w podziemiach — westchnął Filistos — dopóki nie będzie można odprawić uroczystości pogrzebowych i umieścić jej w trumnie godnej jej pochodzenia i miłości, jaką darzył ją Dionizjusz.

Złożyli ją do wykopanego w tufie grobu, Filistos zaś z trudem powstrzymywał łzy szepcząc:

— Przyjmijcie ją, Demeter i Persefona, na łąkę złotogłowiu, pozwólcie jej pić wodę z Lety, aby zapomniała o potworności tego okrutnego świata i zdołała odnaleźć spokój, czekając na dzień, kiedy spotka się z jedynym mężczyzną, jakiego w życiu kochała.

Po czym wrócili do izby Dionizjusza i zaczęli, aż się ściemni. Filistos zdążył już zadbać o wszystko. W pewnej chwili pod domem zjawił się jeden z jego niewolników z wozem pełnym siana ciągnionym przez parę mułów i wjechał do ogrodu, za okalającym go murek. Położyli na wozie Dionizjusza i przykryli prześcieradłem, a potem sianem.

Następnie wóz ruszył ku zachodniej bramie, gdzie pełnili właśnie wartę dwaj członkowie Bractwa gotowi zabić dwóch innych strażników, gdyby okazali zbyt dużą gorliwość w sprawdzaniu przechodzących ludzi i ich towarów. Nie było to wszakże konieczne. Przekroczywszy bowiem bezpiecznie bramę, wóz skierował się ku brzegom Anapos, gdzie czekała już łódź, która jęła następnie płynąć w górę rzeki, ku gęstym kępom papirusu.

Kiedy zapadła noc, w mieście, które ucichło po dniu pełnym krwi i krzyków, przed domem z pergolą rozległa się stara weselna pieśń, hymn miłości. Pieśń łagodna i rozdzierająca w tym opustoszałym i zbezczeszczonym miejscu, ostatni hołd złożony utraconej miłości przez rannego, niemal umierającego zbiega.

Z uczestników nieszczęsnego przedsięwzięcia prawie nikt nie ocalał. Zgładzono wszystkich syrakuzzańskich banitów należących do znienawidzonej kasty właścicieli ziemskich. Natomiast tym, którzy poszli za Hermokratesem w nadziei, że ujrzą Selinunt

i Himerę odbudowane, darowano życie, skazując ich wszakże na długie lata więzienia.

Dionizjusza skazano na śmierć zaocznie, jako że wszelki ślad po nim zaginął. Filistos rozpuścił pogłoski, że umarł z powodu odniesionych ran i że jego ciało zostało spalone przez przyjaciół w nocy po kryjomu, nad bagnistymi brzegami Kiane.

Przed Zgromadzeniem stanął zaś nowy przywódca ludu o imieniu Dafneos, który przechwalał się, że w bitwie na agorze tamtej strasznej nocy zabił ponad dwudziestu nieprzyjaciół. Obwieścił, że zwycięstwo uświęciło na zawsze triumf demokracji i że już nigdy nikt nie odważy się marzyć o tyranii.

Przechwałki Dafneosa ośmieliły innych, toteż wkrótce wielu stałych bywalców portowych tawern jeło się chełpić tym, że znaleźli rozkoszy między udami tej małej dziewczki, córki zdrajcy Hermokratesa. Nikt nie posunąłby się nigdy, by mówić takie rzeczy o kobiecie, która miała jeszcze męża, narzeczonego czy brata, ponieważ jednak nikt nie bronił pamięci Arete, każdy mógł pleść, co mu ślina na język przyniosła. Filistos miał wszakże swoich szpiegów tam gdzie trzeba i mnóstwo złota do wydania — po części z własnego majątku, po części ze skarbcza Bractwa. Na podstawie dostarczonej przez nich wiedzy jał sporządzać dokładną listę imion i patronimików zawierającą wiadomości, gdzie kto mieszka, jaką się para profesją, gdzie najczęściej bywa, i wszystko co się da.

Mimo poniesionych strat Bractwo nadal było silne i liczne, kiedy zaś zaczęły krążyć słuchy, w absolutnej tajemnicy, że Dionizjusz żyje i ukrywa się w górach, w jakimś niedostępnym miejscu, wielu jego członków zaofiarowało się, że doń dołączy i stawi się na jego rozkazy.

Jednocześnie Filistos wysłał umyślnego, niejakiego Demetriusza, do Azji z wiadomością dla młodszego brata Dionizjusza, Lepitnesa, który mieszkał w Efezie.

Drzwi otworzył mu niewolnik mówiąc, że pana nie ma w domu.

— A gdzie jest? — zapytał posłaniec.

— Nie wiem. Kiedy wychodzi wieczorem, nigdy nie mówi, dokąd się udaje.

— To znaczy, że muszę zaczekać, aż wróci — westchnął Demetriusz. — To pilne. Tymczasem możesz mi dać coś do zjedzenia, ponieważ jeszcze nie wieczerzałem.

Wprawdzie niewolnik nie bardzo się palił, by udzielić gościny nieznajomemu, nie miał wszakże nawet dość siły, by go przepędzić. Poczęstował go zatem oliwkami i skibą chleba. Demetriusz zabrał się do jedzenia popijając winem z własnego kothonu.

— Zwykle późno wraca? — zapytał.

— Zwykle wraca nad ranem — odparł niewolnik.

Tymczasem Leptines zjawił się wkrótce zdyszany, trzaskając drzwiami.

— Kim jesteś, przyjacielu? — rzucił nie okazując najmniejszego zdziwienia.

— Mam na imię Demetriusz. Przesłał mnie Filistos z wiadomością, że...

Kiedy tamten mówił, Leptines zdążył otworzyć skrzynię i wydobyc z niej sakwę z kilkoma rzeczami osobistymi.

— Opowiesz mi po drodze. W tym mieście nie da się żyć. Masz łódź?

— Tak, tę, którą tu przypląnałem...

— Znakomicie. No to ruszajmy... Tutejsi mężowie stają się nader drażliwi, jeśli przyłapią człowieka w łozu z własną żoną; potrafią się nawet okazać gwałtowni...

Kiedy wybiegli z domu, niewolnik zawołał:

— Panie, a co ja mam robić?

— Nic! — krzyknął Leptines. — Jeśli ktoś się zjawi, powiedz, że wyjechałem. Weź wszystko, co znajdziesz w domu, i niech bogowie mają cię w opiece!

Ledwie zniknęli w bocznym zaułku, gdy pod jego dom podeszło kilku osobników uzbrojonych w kije i wpadło do środka.

Dwaj uciekinierzy pędzili co tchu ciemnymi ulicami miasta, aż dotarli do łodzi Demetriusza przycumowanej do pomostu paroma linami.

— Trap! — rozkazał Demetriusz, który zdążył się już zorientować, że to nie przelewki.

Rozpoznawszy go, pełniący wachtę żeglarz rzucił trap, aby obaj mogli wsiąść na pokład. Leptines odetchnął z ulgą, usiadł

na ławie, po czym zwrócił się do Demetriusza, jakby nic się nie stało.

— I co? — zagał. — Jak się mają sprawy w Syrakuzach?

Demetriusz spojrział nań z powagą.

— Źle — odparł — i już nie może być gorzej. Twój brat potrzebuje pomocy.

Leptines zmarszczył brwi.

— Mamy jeszcze kilka godzin, zanim będziemy mogli podnieść kotwicę. Opowiedz mi wszystko.

Kiedy dziewięć dni później łódź Demetriusza przybiła do portu w Lakkios, Leptines pognął do domu Filistosa.

— Gdzie Dionizjusz? — zapytał, nim zdążył wejść do środka.

Nakazawszy mu ściszyć głos, Filistos zaprowadził go do izby.

— W bezpiecznym miejscu.

— Zapytałem, gdzie jest — powtórzył Leptines tonem nieznośnym sprzeciwu.

— Nie mogę ci tego zdradzić — odrzekł Filistos. — To zbyt niebezpieczne. Gdybyś chciał się dowiedzieć, gdzie on jest, kogo nie spuszczałbyś z oka, skoro jego żona nie żyje? Jak sądzisz, ile czasu upłynie, zanim twoja obecność w mieście przestanie być tajemnicą?

Pojąwszy, co Filistos miał na myśli, Leptines dał za wygraną.

W noc bitwy na agorze Dionizjusza powierzono opiece paru przyjaciół z Bractwa, którzy przewieźli go łodzią wzdłuż rzeki Anapos, z początku wiosłując pod prąd, następnie każąc ciągnąć łódź osłu idącemu brzegiem. Kiedy koryto rzeki stało się zbyt kręte, kompani kupili od jakiegoś wieśniaka kolejne zwierzę, sklecieli lektykę i ułożyli na niej rannego, przywiązując oba drażki do osłów ustawionych jeden na przodzie, drugi z tyłu. Dotarli w ten sposób bez gwałtownych wstrząsów aż do źródeł rzeki: czarownego miejsca, krystalicznie czystej krynicy pośrodku łąki pełnej kwitnących we wszystkich kolorach oleandrów i silnie pachnących żarnowców, zamkniętej między strzelistymi skalnymi ścianami. Żłobiły je niezliczone wnęki, które wydrążyli dawni mieszkańcy tej ziemi, aby pogrzebać swych zmarłych jak najbliżej nieba.

Jako że wieść o ich przybyciu przekazano dalej, ktoś w blasku księżyca spuścił na sunących po skrzypiącym krążku linach drewniane nosze, na których przyjaciele ułożyli Dionizjusza z najwyższą ostrożnością, przywiązali rzemieniami, po czym zawołali, by podniesiono je do góry. Następnie przyglądali się, jak owo kruche posłanie z powiązanych ze sobą kijów unosi się nad ich głowami na zawrotną wysokość, aż w końcu znika w szczelinie w czarnej skale przypominającej oczodół czaszki.

Wykonawszy na czas powierzone zadanie z przenikliwością i zwinnością, wyruszyli w drogę powrotną, aby zdać Filistosowi sprawę ze swych poczynań. Dionizjusz znajdował się teraz w pewnych rękach w schronieniu równie niedostępnym jak orle gniazdo w górach, pod opieką doświadczonej osoby: tubylca z głębi wyspy pochodzącego z Sykulów, medyka czczonego i szanowanego przez swój lud. Filistos ufał mu bardziej niż syrakuząńskim medykom, skądinąd znakomitym i wytrawnym chirurgom zaprawionym w przemywaniu, przypalaniu i zszywaniu ran wojowników, którzy wracali z pola bitwy, ale nie aż tak obeznanym z leczeniem zdrażliwych zakażeń, które często rozwijają się w ranach.

Dionizjusz trwał w zawieszeniu między życiem a śmiercią w tym odosobnionym miejscu przez wiele dni, nierzadko pogrążony we śnie wywołanym osłabieniem z powodu utraty krwi i usypiającymi medykamentami wymieszanymi z dzikim miodem, którymi poił go opiekujący się nim Sykulski starzec. Kiedy wreszcie odzyskał zmysły, pierwszym ujrzanym obrazem, doznany wrazeniem była świetlista szczelina, przez którą przepływały obłoki i przelatywały ptaki, dzwonienie skowronków, zapach żarłowców i kobiecy śpiew, który zdawał się dochodzić z wnętrza otaczającej go skały.

Po czym ukazała mu się ona: miała skórę złotą od słońca, czarne jak smoła włosy i oczy, ciekawskie i płochliwe spojrzenie charakterystyczne dla dzikich istot.

IX

Ledwie Dionizjusz zdołał uzmysłwić sobie jej dziwną obecność, gdy istota zniknęła. Może był to obraz jego ostatniego snu, a może jedna z postaci, jakie przybierała Arete, aby go odwiedzić, ilekroć jej wspomnienie zraniło mu duszę.

Opadłszy z rżeniem na posłanie, przyłożył lewą dłoń do rany. Blizna była jeszcze wrażliwa na dotyk, ale prawie sucha. Gdy pomacał sobie twarz, stwierdził, że urosła mu długa i gęsta broda. Był tak osłabiony, że każdy ruch wywoływał niespodziewane i obfite poty i wyczerpujące bicie serca. Na widok czarki z wodą wypił ją potężnymi łykami, po czym podczołgał się do wejścia do swego osobliwego schronienia, aby wyrzeć na zewnątrz.

Znajdował się na skraju przepaści, na której dnie pośrodku kwietnej polany, w krystalicznie czystym oczku wodnym odbijało się oślepiające słońce. Długie gałęzie platana rozciągające się nad źródłem i poruszane wiatrem zakłócały swym falowaniem złote błyski. Nagle zakręciło mu się w głowie, jakby owa świetlana otchłań miała go wciągnąć; poczuł, że za chwilę mógłby się wzbić w powietrze i poszybować niczym odurzony słońcem skowronek, w jednej chwili pozbywając się nieznośnego lęku, który go zżerał, w miarę jak docierało doń, że jego samotności nie da się niczym zapełnić.

Powstrzymała go wszakże czyjaś owłosiona dłoń, chrapliwy głos zaś przywołał do rzeczywistości.

— Jeśli chcesz umrzeć, zrobisz to dopiero wtedy, gdy otrzymam zapłatę od twoich przyjaciół. Obiecałem, że wrócisz do nich cały i zdrowy.

— Ktoś ty? — zapytał Dionizjusz. — Co to za miejsce?

— Nie twoja sprawa, kim jestem. To zaś jest cmentarz, czyli najodpowiedniejsze miejsce dla kogoś, kogo uznano za zmarłego.

— Posługiwał się prymitywną, lecz zrozumiałą greką, wymawiając twardo, na sykulską modłę.

— Od jak dawna tu jestem?

— Od miesiąca. Tyle samo czasu potrzeba, żebyś całkowicie odzyskał siły.

— Chciałbym zejść na polanę, do wody; to by mi chyba dobrze zrobiło. Potrafię sobie wyobrazić zapach tych kwiatów. I chciałbym się także wykapać; panuje tu potworny zaduch.

Tymczasem starzec podsunął mu koszyk z chlebem i serem.

— Jedz — powiedział. — Jeśli odzyskasz siły, natychmiast sprowadzę cię na dół. Na razie umyj się wodą z bukłaka — wskazał zawieszony na gwoździu worek z kozłej skóry.

— Nikt mnie nie szukał?

— Wiele razy, ale nie byłeś w stanie ani patrzeć, ani słuchać. Jutro przyjdzie człowiek, który cię tu doprowadził.

— Filistos.

Starzec pokiwał głową. Popatrzawszy nań jeszcze przez chwilę, jakby chciał się o czymś upewnić, wyszedł przez szczelinę w głębi grotu, zamykając za sobą coś w rodzaju drewnianej furki.

Dionizjusz zaś odczekał, aż tamten się oddali, po czym wyciągnął korek z bukłaka i oblał się wodą, delektując się przyjemnością owej prymitywnej kąpieli. Następnie posilił się, a potem wyczerpany wyciągnął się na nowo i pogrążył w głębokim śnie.

Kiedy nazajutrz przed wieczorem zjawił się Filistos, wprowadzono go do kryjówki Dionizjusza. Objęli się i długo milczeli. Każdy z nich czuł rosnącą w gardle kulę, żaden jednak nie chciał okazać, jak bardzo jest wzruszony. W końcu odezwał się Filistos.

— Wrócił twój brat, wiesz? Musimy przygotować twój powrót i...

— Kto to zrobił? — warknął Dionizjusz.

— Posłuchaj... Pozwól, że ci coś doradzę... Zawsze udzielałem ci jak najlepszych rad, prawda? Nie dopuść, żeby zawałdnął tobą gniew, nie traktuj tego osobiście. To było działanie polityczne, nie

rozumiesz? Ten, kto napuścił tę hołotę, chciał cię zranić, złamać twój duch, w razie gdybyś wylizał się z ran cielesnych. Oni znają twoje męstwo, odwagę, siłę ducha, idee, jakimi się kierujesz, wrażenie, jakie wywierasz na ludziach, zwłaszcza na młodych, toteż lękają się ich. Wiedzą, że nie mają w Zgromadzeniu nikogo, kto zdołałby ci się przeciwstawić.

— Imiona — powtórzył lodowato Dionizjusz.

— Zasięgnąłem języka — oświadczył po pewnym wahaniu Filistos. — Ale czy jeśli wyjawię ci ich imiona, obiecasz, że nie poczynisz żadnych kroków bez porozumienia ze mną?

— Mogę obiecać — odparł Dionizjusz — ale i tak chcę ich śmierci. Każdego po kolei. I nie zamierzam się targować w tym względzie. Jeżeli zechcesz mi pomóc, będę ci wdzięczny, jeżeli nie, trzymaj się od tego z daleka, sam sobie poradzę... Ty... nie widziałeś tego... Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić... Nawet nie wiesz, co czuję za każdym razem, gdy otwieram oczy i uzmysławiam sobie, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. — Zamilkł, gdyż głos mu się załamał, po czym opuścił głowę na piersi.

— Jolaos mi powiedział. Ja też kochałem Arete; miłowałem ją jak siostrę i dręczy mnie myśl, że nie umiałem jej ochronić. W pewnej chwili wszystko potoczyło się zbyt szybko; zabrakło czasu, żeby się przygotować, dowódcy zaś zdołali zachować swoje plany w tajemnicy aż do końca. Nic nie przedostawało się na zewnątrz, rozumiesz? A ja nie mogłem się zbyt narażać; byłem śledzony. Wiedzą, że jesteśmy przyjaciółmi, ale ja muszę udowodnić, że ponad sprawy osobiste przedkładam dobro państwa, bo inaczej nie będę w stanie ci pomóc ani nie mógłbym tego uczynić teraz. Wierz mi, Dionizjuszu, ta potworność nie pozwala mi spać, nie daje mi ani chwili spokoju...

— Nie obwiniam cię, przeciwnie, jestem ci wdzięczny za to, co dla mnie zrobiłeś; ocaliłeś mi życie. Ale muszę pójść drogą, jaką nakazuje mi honor i religia. Ciebie Arete musi odzyskać spokój. Jestem pewien, że ona nie może zaznać spokoju... Że jest jej źle, że marznie... Zawsze marzła i bała się ciemności. — Podniósł głos. — Ona mnie woła, wiesz? I przychodzi do mnie we śnie... Wczoraj ukazała mi się jako istota dzika... Unosiła się w powietrzu dokładnie tam, przed szczeliną. Tylko duchy potrafią się unosić w powietrzu... Nie uważasz?

Tracił rozum, Filistos zaś spoglądał nań usiłując ukryć współczucie i udając, że nie widzi łez płynących po kudłatych policzkach. Dionizjusz popatrzył mu prosto w oczy.

— Muszą umrzeć. Powolną i bardzo bolesną śmiercią. Więc co postanowiłeś?

— Oczywiście jestem z tobą — zapewnił Filistos. — Co innego mógłbym zrobić? Ale zaklinam cię: pozwól sobie udzielić rady. Posłuchaj: Bractwo jest nadal silne, nasi ludzie zaś zajmują ważne stanowiska w armii i w rządzie, a nawet wśród kapłanów. Zasięgnąłem języka i wiem, kto to zrobił, a nawet znam imiona kilku mocodawców. Złoto otwiera wiele ust. Ale mamy też inne zmartwienia. Otóż podobno Kartagińczycy zaatakują na wiosnę, w Akragas zaś bardzo się trapią, teraz bowiem to ich miasto leży na granicy. Otrzymałem wiadomość od Telliasa: o ile wie, prawie na pewno na nas napadną. Przybędą potężną flotą. On jednak już zaczął działać. Nakłonił ośmiuset katańskich najemników strzegących kartagińskiej ziemi, żeby przeszli do Akragas. Sam im zapłacił, i to dużo. Zresztą wiesz, że nie brak mu złota. Boję się za to o nasz los. Jeżeli nie przystąpimy do wojny, jeśli pozwolimy im zdobyć Akragas, potem przyjdzie kolej na Gełę, następnie na Syrakuzy, nie ma co do tego wątpliwości... Ale najpierw trzeba przygotować twój powrót.

— Spodziewam się, że wyznaczono cenę na moją głowę.

— Nie, bo wszyscy myślą, że nie żyjesz. Ktoś zaświadczył o tym przed władzami.

— A umarli nie wracają.

— Nie zawsze. Istnieje pewne prawo, o którym mało kto wie, a które mówi, że jeśli człowiek zostaje uznany za zmarłego, lecz nie spisał testamentu, jego dobra przechodzą na własność najbliższych spadkobierców, o ile ich ma, a jeśli nie, przejmuje je państwo. Właśnie dlatego sprowadziłem z Azji twój brata Leptinesa. Jednakże jeśli zmarły z jakiegoś powodu się pojawia, nie ma prawa do niczego, nawet do obywatelstwa, chyba że...

— Chyba że? — powtórzył Dionizjusz, którego zaciekawiła owa lista nieoczekiwanych hipotez i cudowna zdolność Filistosa do snucia wszelkiego rodzaju intryg.

— Chyba że ktoś go usynowi. Wówczas odzyskuje w pełni swój majątek i prawa, a na dodatek staje się nietykalny. Otóż uwa-

za się, że skoro człowiek uznany za zmarłego okazuje się żywy, dzieje się tak z woli bogów, której nikomu nie wolno podważyć. Jego pojawienie się i usynowienie traktuje się więc jako ponowne narodziny.

— A któż chciałby usynowić kogoś takiego jak ja?

— Pamiętasz Helorisa, hodowcę koni? — zapytał z uśmiechem Filistos.

— Tak — potwierdził Dionizjusz. — Przyczynił się do uchwalenia przez Radę zgody na moją wyprawę wraz z wojskiem do Selinuntu.

— Istotnie. Przekonałem go bez trudu. On zaś jest szczęśliwy z tego powodu i zaszczycony, albowiem ogromnie cię podziwia, a zatem sprawa załatwiona. Mój plan jest następujący: zostaniesz tutaj, dopóki całkowicie nie wyzdrowiejesz i nie odzyskasz sił. Wtedy sprowadzę cię w tajemnicy. Tylko w ten sposób zdołasz wymierzyć sprawiedliwość tym, którzy cię znieważyli. Kiedy wyłapiemy ich wszystkich po kolei, pojawisz się, wywołując ogólne zdumienie.

Dionizjusz zamilkł zaskoczony i oczarowany, jakby nie mógł uwierzyć w tak wielki spryt, przede wszystkim jednak myśl, że ma tak oddanego i wiernego przyjaciela, rozgrzała mu serce. Objął go niezdolny wykrztusić słowa, sama wszakże siła owego uścisku wystarczyła Filistosowi, by wiedzieć, co czuje w głębi duszy i co pragnąłby wyrazić.

— Dbaj o siebie i nie rób głupstw — nakazał. — Wróć, gdy tylko będę mógł.

Skinąwszy głową, Dionizjusz spoglądał, jak przyjaciel zamyka furtkę. W ostatniej jednak chwili, nim całkiem się oddalił, Filistos obejrzał się za siebie.

— Posłuchaj... myślę, że kobieta, którą widziałeś, to niestety... nie była Arete. Moim zdaniem to jakaś nieszczęśnica, która mieszka na tym opuszczonym cmentarzu. To dzikie stworzenie, biedna istota osierocona od dziecka, która wychowała się wśród grobowców. Okoliczni mieszkańcy twierdzą, że to duch, bo pojawia się i znika jak widmo i wdrapuje się po tej skale niczym pająk. Sam wiesz, jak przesądni są Sykułowie... Uważaj na siebie.

*

Gdy dziesięć dni później Dionizjusz zszedł na dno przepaści, miał wrażenie, że narodził się po raz drugi, mogąc rzucić się nago do krystalicznie czystej wody, wdychać zapach wszystkich tych kwiatów, czuć pieśczętę słońca na ramionach i wiatru we włosach. Miejsce odznaczało się olśniewającą urodą, całkowicie oddzielone od świata stromymi ścianami skalnymi, które otaczały je niemal ze wszystkich stron, a także niezwykle surowym zakazem religijnym, który umożliwiał wstęp do doliny Anapos wyłącznie z okazji dorocznego święta pod koniec lata. Na brzegu rósł olbrzymi platan, którego gałęzie niemal dotykały powierzchni wody. Niektóre z nich były tak grube, że same wyglądały jak drzewa, a wśród listowia widniały gdzieś gniazda ptaków. Ich śpiew przemieszany z brzęczeniem cykad stanowił jedyny dźwięk, jaki odbijał się od stromych ścian porośniętych złotawym żarnowcem, w owym urokliwym ogrodzie schowanym niczym małe Elizjum.

Poczuwszy, jak w żyłach znów płynie mu życie, mięśnie zaś pęcznieją od siły, Dionizjusz pomyślał, że może to jakaś cudowna moc bijąca od źródła mu je przywróciła. Położył się na brzegu na czystym piasku, aby osuszyć się na słońcu, po czym oddał się fali wspomnień. Wydawało mu się, że w śpiewie słowika słyszy ostatnią pieśń, którą kazał odegrać dla uczczenia pamięci swej żony, nim stracił przytomność z bólu, nim opuścił miasto ukradkiem, niczym złoczyńca...

Gdyby Arete mogła przyjść do niego chociaż na chwilę... Gdyby umiał śpiewać jak Orfeusz, aby poruszyć twarde serce Persefony i aby ona z kolei pozwoliła jego ukochanej wypłynąć na wierzch, wyłonić się z kryształowego jeziora w promieniach słońca choć na chwilę, o bogowie, choć na chwilę!

Tymczasem do rzeczywistości przywołał go szelest liści, po czym ujrzał ową istotę siedzącą na rozwidleniu gałęzi na nieprawdopodobnej wysokości i patrzącą nań bardziej z zaciekawieniem niż lękiem. Wyglądała obrzydliwie z rozczochranymi i brudnymi włosami, które były tak długie, że zasłaniały jej twarz i niemal całe ciało. Miała ciemną skórę charakterystyczną dla kogoś, kto dzień w dzień wystawia się na działanie słońca, i szare od kurzu stwardniałe stopy.

Nie zwróciwszy na nią większej uwagi, Dionizjusz zamknął oczy ogarnięty niespodziewanym znużeniem. Kiedy je z powrotem

otworzył, niewielka dolina zdążyła się już pogрузić w cieniu, wło-
chate stworzenie siedziało zaś na najniższej gałęzi, nogami niemal
dotykając wody. Musiało tu tkwić przez cały czas, o czym świad-
czyły niezliczone liście, które zerwało z platana dla zabawy albo
żeby się czymś zająć, a które teraz unosiły się na wodzie niczym
flota maleńkich statków popychanych przez wieczorny wiatr.

Dionizjusz wstał nie zadając sobie nawet trudu, by się zastonić,
odnosił bowiem wrażenie, że ma przed sobą raczej zwierzę niż
istotę ludzką.

— Kim jesteś? — zapytał. — Masz jakieś imię?

Wystarczył dźwięk pierwszego wypowiedzianego przezeń sło-
wa, by ją wystraszyć. Toteż puściła się pędem między gałęzi
drzew z ogromną zwinnością, po czym zeskoczyła na ziemię i jęła
się wdrapywać na skałę. Jej kończyny rozciągały się na ścianach z
niewiarygodną zręcznością i wdziękiem, najwyraźniej bez wysiłku
i bez lęku. Niekiedy nieruchomiła między dwoma występami
skalnymi, po czym rozbujawszy się nieco, puszczała jeden, chwy-
tała drugi i sięgała kolejnej podpory, zawisając nawet na jednym
ramieniu i nie dbając o otchłań, która się pod nią otwierała.

Wtem zniknęła, wchłonięta przez jeden z licznych ciemnych
otworów rozsianych po urwisku, zostawiając przyglądającego się
jej widza w zdumieniu, niemal z otwartymi z podziwu ustami.

Chwyciwszy tunikę, którą usiłował wyprać w źródle, a która
zdążyła już wyschnąć, okrył się nią i ruszył wolnym krokiem do
swej kryjówki. Zastał tam jak zwykle wieczerzę złożoną z chleba,
sera i jarzyn, po raz pierwszy jednak towarzyszył jej dzbanuszek
wina. Wypił je łączywie, chociaż miało cierpki smak, czując, jak
moc owego płynu o ciemnoczerwonej barwie go rozgrzewa. Teraz,
gdy mógł znów się ruszać i wracały mu siły, owo miejsce wydało
mu się nieznośnym więzieniem. Bez przerwy myślał o tych, któ-
rym pragnął zadać śmierć, każda zaś chwila ich bezprawnego życia
stanowiła dlań niewybaczalną zniewagę. Miał ochotę natychmiast
się stąd oddalić, nie wiedział wszakże, jaki obrać kierunek, i zda-
wał sobie sprawę, że gdyby go rozpoznano, wszelkie wysiłki tych,
co go nadal kochali, poszłyby na marne.

Zaczął więc ćwiczyć dla zabicia czasu, pływając, kiedy tylko
było to możliwe, w wodach źródła, aż wreszcie pewnego dnia po-

nownie ujrzał tajemniczą mieszkankę doliny. Siedziała wysoko w górze na występie skalnym z nogami zwieszonymi nad przepaścią. Nagle przemknęła mu przez głowę myśl, że mógłby uczynić to samo, wdrapując się na samą górę aż ku maleńkiej grocie, w której mieszkał od tak dawna.

Jął się zatem wspinać powoli, nie bacząc na ból w prawym ramieniu, kalecząc dłonie i stopy o ostrą skałę, pod zaciekawionym spojrzeniem owej istoty. Kiedy pokonał wysokość kilkudziesięciu stóp, dziewczyna przeraziła się i zniknęła, Dionizjusz nie poddawał się jednak, zagryzając z bólu wargi, podczas gdy zmęczenie zaczęło narastać, stając się nie do zniesienia. Sam nie pojmował, dlaczego to robi, nadal wszakże wdrapywał się po coraz bardziej nagiej i chropowatej ścianie, nie zważając na niebezpieczeństwo, jakoby toczył jakąś szaloną grę, w której stawką było życie.

Aż wreszcie znalazł się w miejscu, z którego nie sposób było ani zejść, ani dalej się wspiąć. Obejrawszy się za siebie, zobaczył przepaść, poczuł, jak płuca przygniata mu pustka, mięśnie szarpią bolesne skurcze, pomyślał więc, że zaraz zginie, roztrzaskując się na dnie otchłani, zarazem jednak uzmysłowił sobie, że go to wcale nie obchodzi. Nie bał się już niczego. Uczynił zatem coś, co mógłby zrobić jedynie człowiek, któremu nie zależy na życiu: puścił się, aby złapać występ skalny znajdujący się jakieś dwadzieścia stóp wyżej. Ledwie jednak zwolnił uchwyt, czyjaś dłoń zacisnęła się na jego przedramieniu niczym szpon i z niewiarygodną siłą jęła go wciągać do góry. Okazało się, że osobliwe stworzenie, oplótlszy nogami pień dzikiego figowca wyrastającego ze skały powyżej, z głową zwieszoną w dół złapało go w ostatniej chwili, wyłaniając się z jakiegoś załomu. Wciągnęło go do miejsca, z którego mógł bezpiecznie przystąpić do dalszej wspinaczki, po czym ze zwinnością dokonało czegoś, co jemu na pewno by się nie udało. W ciągu paru zaledwie chwil zsunęło się aż na dno, poruszając się z gracją dzięki kotki, i zniknęło w cieniu płatanu.

Przez długi czas więcej jej nie zobaczył, był wszakże przekonany, że go obserwuje. Może nawet we śnie.

Pewnego dnia, gdy czuł, że wkrótce zupełnie wyzdrowieje, był świadkiem wydarzenia, które poruszyło go do głębi: wielkiego miejscowego Święta Trzech Matek. Jego opiekun przykazał, że je-

śli mu życie mile. przez cały czas trwania uroczystości nie wolno mu pod żadnym pozorem opuszczać kryjówek i schodzić do doliny. Przyglądał się jej zatem ze swego uprzywilejowanego miejsca na najwyższej części skalnej ściany.

Spostrzegł, jak długi korowód mężczyzn i kobiet w rozmaitym wieku wspina się z doliny Anapos ku źródłu, przed nim zaś podążają najprawdopodobniej kapłani. Byli to czcigodni starcy o białych brodach, odziani w tuniki z szorstkiej wełny sięgające aż do stóp, kroczący naprzód wsparci na rzeźbionych kosturach, na których zawieszane były brązowe dzwonki dźwięczące przy każdym ruchu. Za nimi zaś posuwały się wizerunki Trzech Matek — nader prymitywnie wykonane drewniane posągi, których kształty trudno było rozróżnić. Z grubsza jednak miały one wygląd siedzących kobiet, z których każda karmiła olbrzymią pierś dwoje niemowląt. Każdą figurę nosło na ramionach sześciu mężczyzn i każda z nich chwiała się w przód i w tył przy nierównościach. Gromada grajków z trzciniowymi aulosami, bębenkami i dzwoneczkami nappełniła wąską dolinę przenikliwym zgiełkiem. Kiedy orszak dotarł do źródła, postawiono posągi na ziemi w cieniu platana, po czym kapłani zaczerpnąwszy wody drewnianymi czarkami, spryskali figury Trzech Matek śpiewając jednostajną i rytmiczną pieśń opartą na niewielu niskich wydłużonych dźwiękach. Po zakończeniu obrzędu na znak tego z nich, który zdawał się przewodniczyć uroczystości, wystąpił naprzód długi korowód dziewcząt, z wyglądu bardzo młodych. Wszystkie podchodziły kolejno do figur, kładły przed każdą z nich i kładły czoło na jej łonie, być może po to, by otrzymać błogosławieństwo płodności.

Nagle muzyka stała się głośniejsza, śpiew przybrał wyższe i ostrzejsze tony, kiedy zaś w pewnej chwili w dolinie rozbrzmiał samotny potężny dźwięk rogu, w jakiś cudowny sposób pojawiła się gromada młodzieńców, którzy do tej pory gdzieś się ukrywali. Każdy z nich wziętł za rękę jedno dziewczę i poprowadził je między krzewy oleandra, mirtu i żarnowca. Muzyka bębenków i aulosów wyraźnie przybrała na sile, zamieniając się w harmider, odbijając się bez końca echem od skalnych ścian.

Dionizjusz pomyślał, że ów barbarzyński zgiełk towarzyszy obrzędowi inicjacji młodzieńców, którzy oddalili się na bok z wybranymi spośród innych dziewczycami, i z pewnością nie był dale-

ki od prawdy. Ów prymitywny lud zadowolający się nielicznymi darami, jakie mogły mu ofiarować góry, świętował w ten sposób coś, co każdy naród świata świętuje inaczej, a zarazem tak samo. najbardziej burzliwą i gorącą, najbardziej intensywną i tajemniczą chwilę w życiu człowieka: miłość, która łączy mężczyznę i kobietę i która zapewnia mu ciągłość.

Kiedy zapadła noc, dolinę zaś rozjaśniły ogniska i wypełniły jednostajne śpiewy ubogich pasterzy, osamotniony Dionizjusz jeszcze dotkliwiej odczuł ból po śmierci ukochanej kobiety, którą okrutnie zhańbiono, a żal po utracie najdroższej mu istoty znów zalał jego serce goryczą.

X

Pod koniec miesiąca przyjechał do niego Filistos i zawiózł po kryjomu do Akragas, po czym zostawił pod opieką Telliasa na kolejnych piętnaście dni. Nim się oddalił, wręczył mu tabliczkę mówiąc:

— Upominek dla ciebie.

— Co to jest? — zapytał Dionizjusz.

— Lista — odparł Filistos. — Cała. Nikogo nie brakuje. Nie było to ani proste, ani łatwe, ale są tu zapisane wszystkie imiona, z mocodawcami włącznie. — Po czym pożegnał się i wyszedł.

Wówczas Tellias zbliżył się do Dionizjusza i położył mu dłoń na ramieniu.

— To lista żywych czy umarłych? — zagadnął.

— Umarłych — odrzekł Dionizjusz przebiegając po niej wzrokiem. — Umarłych, którzy jeszcze chodzą po ziemi. Ale już niedługo.

— Uważaj — ostrzegł Tellias. — Zemsta może być balsamem dla zranionej duszy, ale może także zapoczątkować morze krwi.

— Nie wydaje mi się — zaprzeczył Dionizjusz. — Mogę zabić wielu z nich. Oni mogą zabić tylko mnie. Tak czy inaczej to ja będę miał przewagę.

Kiedy wrócił w nocy pod koniec następnego miesiąca, Filistos wyznaczył mu spotkanie w domu Bitona. Dionizjusz uściskał ich mocno jednego po drugim, nie mówiąc ani słowa. Zawsze milczeniem pokrywał nadmiar wzruszenia.

— Nareszcie! — wykrzyknął Biton. — Już myślałem, że nigdy nie wrócisz. Jak się czujesz?

— Lepiej — odparł Dionizjusz — teraz, kiedy jestem w domu.
— Jest tu ktoś, kto nie może się doczekać, żeby cię uściskać
— oświadczył Filistos.

Kiedy otworzył drzwi wiodące do prostasu, ukazał się w nich Leptines. Obaj bracia stali przez chwilę bez słowa, po czym padli sobie w objęcia.

— Chociaż sporoście przeszli — zauważył Filistos — wygląda na to, że nie macie sobie nic do powiedzenia.

Wyswobodziwszy się z uścisku brata, Leptines zmierzył go od stóp do głów.

— Na bogów — zawołał — spodziewałem się, że będzie gorzej! Wyglądasz znakomicie.

— Ty też — odrzekł Dionizjusz.

— Wiem, że nie powiodło ci się najlepiej — ciągnął Leptines.
— Przykro mi. Mogłem...

— Twoja obecność niestety niewiele by zmieniła... Cieszę się, że cię widzę.

— Ja też, na Heraklesa! Znowu razem, jak za dawnych lat. Pamiętaj, jak okładaliśmy się kamieniami z chłopakami z Ortygii?

— No pewnie — przytaknął z uśmiechem Dionizjusz.

— Teraz, skoro wróciłem, wszystko się zmieniło... i to jak jeszcze! Nie mogę się doczekać, żeby zabrać się do dzieła. Od którego zaczniemy?

Dionizjusz odciągnął go na bok i szepnął mu coś do ucha.

— Zrozumiałem — uspokoił go Leptines. — Zaczekam.

Dionizjusz oddalił się i przez jakiś czas pozostawał w ukryciu na przemian to u Jolaosa, to u Doriskosa, to u Bitona, aby nie narażać na niebezpieczeństwo Leptinesa i Filistosa. Nie zgolił brody ani nie obciął włosów, poza tym wychodził tylko w nocy otulony płaszczem, pod którym chował miecz i sztylet, śledząc posunięcia swych wrogów, poznając ich szlaki i zwyczaje. Kiedy nabrał pewności, uprzedził Leptinesa:

— Jestem gotów, ale potrzebuję pomocy. Czujesz się na siłach?

— Żartujesz? Przecież mówię, że nie mogę się już doczekać.

— Znakomicie, w takim razie pomożesz mi ich schwytać, ale resztę muszę zrobić sam... Rozumiesz, prawda?

— Pewnie, że rozumiem. No to w drogę.

Wyszli tamtej nocy i następnej, i jeszcze następnej, cichaczem, znieścacka, niewidoczni, bezlitośni. Wyłapali ich jednego po drugim. Nie było to trudne, ponieważ tamci niczego się nie spodziewali i nie zachowywali żadnych środków ostrożności.

Jeden miał na imię Hipparkos.

Drugi Eudoksos.

Trzeci Augiasz.

Zdołali pojmać ich żywcem, po czym zgodnie z umową Dionizjusz zaciągnął ich do podziemi pod domem z pergolą. Następnie kazał im się położyć w miejscu, gdzie pochowana została Arete, związał im ręce i nogi, na koniec zaś obciął genitalia i pozwolił, by się powoli wykrwawili. Ich wrzaski dobiegały stamtąd zniekształcone i stłumione niczym skowyt dzikich zwierząt albo pojękiwanie duchów w środku nocy, zamiast jednak przywołać kogokolwiek na pomoc, przeraziły śmiertelnie sąsiadów, podsycając potworne pogłoski, które rozeszły się po całym mieście. Dwóch innych zabito na ulicy, gdy wracali po jakiejś uczcie. Byli to Klitos i Protogenes. Ich napuchnięte trupy ogryzione do połowy przez ryby znaleziono w zatoce w Wielkim Porcie. Oni także zostali pozbawieni genitaliów, tyle że nie uczyniły tego ryby — cięcie było zbyt równe.

Wówczas pozostali, uzmysłowiwszy sobie, że ktoś zamierza ich usunąć wszystkich po kolei, zgromadzili się, aby wspólnie opracować strategię obrony.

Było ich sześciu: Filip, Anaktorios, Schedios, Kalistemos, Gorgia i Kallikrates, wszyscy skłonni do bitki. Dwóch miało żony, czterech żyło w stanie kawalerskim. Postanowili zgromadzić spory zapas broni i jadła i zamieszkać wspólnie przez jakiś czas. Ustalili również, że będą na zmianę pełnić wartę, podczas gdy reszta będzie odpoczywać, aby uniemożliwić wszelki niespodziewany atak.

Czuwali aż do późnej nocy, lękając się zapaść w sen, który był zbyt bliski śmierci. Usiłowali nawzajem dodać sobie otuchy, jedząc i pijąc, niekiedy sprowadzali sobie do towarzystwa dziewczki, aby się zabawić, upić, poużywać aż do utraty tchu i zapomnieć o śmiertelnym niebezpieczeństwie, jakie nad nimi wisiąło. Prędzej czy później jednak rozmowa schodziła na ten temat, wraz

z szyderstwem i arogancją, to znów półgłosem, z odczynianiem uroków.

— Nie pozwolimy się zarznąć jak barany! — zapewniał Anaktorios. — Jest nas sześciu, a ten łajdak sam, więc kogo się boicie?

— Sam? — nie dowierzał Schedios. — A kto ci powiedział, że jest sam? Jakim cudem zabił pięciu naszych, chociaż każdy z nich to kawał chłopca, zwinny, uzbrojony w miecz i sztylet, przywykły do walki na pierwszej linii i do dźwigania tarczy przez długie godziny?

— Nie warto się nad tym rozwodzić — odparł Gorgia. — Musimy po prostu dać odpór i wzajemnie na siebie uważać. W końcu nadejdzie taka chwila, że będzie musiał się ujawnić, a wtedy go złapiemy i każemy mu zapłacić albo sam zrozumie, że nie da się już nic zrobić i zostawi nas w spokoju. Nie może się zbyt łatwo narażać. Miasto jest bardziej niebezpieczne dla niego niż dla nas. Moim zdaniem, jeśli uda nam się wytrzymać przez miesiąc, potem sobie odpuści. Nie da rady dłużej, powtarzam, nie da rady.

— W gruncie rzeczy — dodał Kallikrates — niewykluczone, że niepotrzebnie się martwimy. Może on wcale nie wie, że też tam byliśmy, i myśli, że już załatwił porachunki...

Szybko jednak męczyło ich brzmienie własnych głosów i kolejno popadali w milczenie. Obrazy gwałtu mieszały się z obrazami zwłok ich kompanów: nadętych niczym ropuchy i zielonych od zgnilizny, pod stojącymi wodami Wielkiego Portu. Raz nawet ktoś rzucił pomysł, by zaoferować okup, nikogo wszakże nie przekonał.

— Nie wydaje mi się, aby w całym mieście znalazło się dość złota, by uspokoić tego szaleńca — uciał Schedios, ten, który znał Dionizjusza najlepiej. — Jedyne moneta, jaką by zechciał przyjąć, to nasze jaja podane na srebrnej tacy ugotowane na twardo. Czy któryś z was jest gotów się poświęcić?

Wszyscy wybuchnęli grubiańskim ponurym śmiechem i na tym się skończyło.

Zrobili tak, jak postanowili: co noc każdy po kolei pełnił straż na dachu przyczajony w ciemnościach, reszta zaś spała. Gdy przez długi czas nic się nie wydarzyło, nabrali przekonania, że naprawdę przestał na nich dybać i że nic im nie grozi.

Jednakże pewnej nocy przy pełni księżyca Gorgia pełniący wartę na dachu został trafiony strzałą wypuszczoną z idealną precyzją z domu naprzeciwko i zginął na miejscu. Na krótko przed zmianą warty wokół domu uniosły się wysokie płomienie i zaczął wiać silny wiatr. Pozostała piątka spłonęła żywcem, pożar zaś ugaszono w zarodku, nim zdążył się rozprzestrzenić na inne budowle, natychmiast bowiem nadbiegły setki ludzi, którzy aż do rana podawali z rąk do rąk wiadra z wodą i z piaskiem.

Pozostało jeszcze tylko dwóch mocodawców, którzy wyzbyli się już wszelkich wątpliwości co do natury wszystkich tych zgonów, tym bardziej że jak się dowiedziano, w noc poprzedzającą pożar z portowych magazynów przy suchym doku zniknęły trzy amfory ze smołą, a w chwili gdy ogień zaczął się rozprzestrzeniać, czuć było wyraźny odór siarki. Nie mieli zatem zbyt wielu złudzeń co do losu, jaki ich niechybnie czeka, o ile nie przedsięwzemią odpowiednich środków ostrożności. Obaj byli wysoko postawionymi członkami stronnictwa demokratycznego, ich imiona zaś brzmiały Eurybiades i Pankrates. Czym prędzej zwrócili się do przewodniczącego Dafneosa, który sprawował kontrolę polityczną nad Zgromadzeniem, z prośbą o ochronę.

— Jeśli chcecie, żebym wam pomógł — odrzekł Dafneos — musicie wyjaśnić, czego się boicie i z jakiego powodu. Ale chcę znać wszystkie szczegóły, bo inaczej palcem nie kiwnę. Krążą dziwne pogłoski na temat tych zgonów, ale nie chciałbym im dawać wiary, bo gdyby okazały się prawdziwe, sam musiałbym wymierzyć karę winnym. Nie wiem, czy pojęliście, co mam na myśli.

Pojęli doskonale, doszli zatem do wniosku, że sami muszą się o siebie zatroszczyć, jeśli chcą ocalić skórę. Postanowili jednogłośnie opuścić miasto i przenieść się do Katanii, w nadziei że prędzej czy później wszystko się uspokoi albo że będzie można wytargować jakiś okup lub odszkodowanie.

Aby nie rzucić się w oczy i nie tracić czasu na długie przygotowania, wyruszyli nazajutrz o świcie, zabrawszy ze sobą jedynie paru niewolników i wóz, przyłączyli się do karawany kupców i skierowali ku Katanii. Karawana, która prowadziła bydło, stado owiec i ze dwudziestu niewolników do sprzedania na targu razem z owcami, chętnie przyjęła do siebie przybyszów, im więcej bo-

wiem liczyła osób, tym mniejsze istniało prawdopodobieństwo, że napadną na nią rabusie lub rozbójnicy.

Przez trzy dni wszystko szło dobrze, toteż obaj się nieco uspokoiłi i jęli być dobrej myśli. Zaprzyjaźnili się nawet z kupcami, sądząc po mowie ludźmi z zachodniej części wyspy, miłymi i wesółymi, którzy lubili dzielić się jadłem i z przyjemnością pozwalali się częstować wybornym winem ofiarowywanym im przez zamożnych towarzyszy podróży za każdym razem, gdy rozbijali obóz po zachodzie słońca.

Czwartego dnia przystanęli w małej mieścinie, gdzie odbywał się targ, na którym sprzedano część bydła. Nazajutrz zaś kilku parobków, którzy najmowali się do pracy przy żniwach i zamierzali właśnie dotrzeć na równinę Katanii, poprosiło, by pozwolono im się przyłączyć do karawany, i zostało przyjętych.

Jeszcze tego samego wieczoru wszakże żniwiarze zdjęli płaszcze, porzucili sierpy i dobyli mieczy. Okrążywszy wszystkich, nakazali kupcom się odsunąć, obu Syrakuzanom zaś oddać broń i założyć ręce do tyłu, aby mogli ich związać. Eurybiades i Pankrates myśląc, że to porwanie, usiłowali się targować.

— Jesteśmy gotowi zapłacić — oświadczył Eurybiades. — Mamy przy sobie złoto, poza tym możemy w krótkim czasie sprowadzić więcej z Katanii lub z Syrakuz.

— Nie chcemy twojego złota — odparł jeden ze żniwiarzy, młodzieniec mający niewiele ponad dwadzieścia lat, o włosach gęstych i kręconych niczym owcze runo, za to czarnych jak skrzydło kruka.

Słowa te śmiertelnie ich przerażyły. Dobrze wiedzieli, jak bardzo niebezpieczny może być człowiek, który nie dba o złoto.

— Więc czego chcecie? — wydukał Pankrates z sercem pełnym straszliwych przeczuć.

— My? — zapytał z uśmiechem młodzieniec. — Nic. Żegnajcie.

Po czym odszedł, prowadząc za sobą towarzyszy podróży, bydło, a nawet niewolników. W miarę jak się oddalali, dźwięk dzwonek na szyjach owiec milkł coraz bardziej, aż obaj zostali sami pośrodku cichej wsi.

— Ależ z nas głupcy! — zawołał Pankrates. — To było do przewidzenia. Za gładko nam się układało.

— I co teraz zrobimy? — zapytał Eurybiades.

— Spróbujemy się uwolnić — odrzekł Pankrates — zanim ktokolwiek się tu zjawi. Nuże, rusz się, ustaw się plecami do mnie i postaraj się mnie rozwiązać, a potem ja uwolnię ciebie.

Eurybiades wszakże się nie poruszył.

— Daj spokój — powiedział z rezygnacją. — Ktoś jedzie.

Istotnie na tle zbocza ujrzeni jakąś postać na koniu. Dotknąwszy boków zwierzęcia, tajemniczy osobnik zaczął się zbliżać ku nim.

— To już koniec — stwierdził Pankrates. — Urządzi nas tak jak tamtych... albo gorzej.

— Nic nie wiadomo — zaprzeczył Eurybiades. — Gdyby chcieli nas zabić, już by to zrobili. To jasne, że od samego wyjazdu nas śledzili. Moim zdaniem on chce pertraktować.

Nagle mężczyzna zsiadł z konia i odwrócił ku nim twarz. Obaj popatrzyli nań przerażeni: otulony był sięgającym do stóp płaszczem, głowę zaś skrywał mu kaptur. Chociaż twarz miał schowaną pod komiczną maską teatralną, nikomu nie było do śmiechu. Spoglądał na nich nieruchomo bez słowa, za to jego ukryty pod maską wzrok przerażał ich jeszcze bardziej, niż gdyby patrzył im prosto w oczy. Wtem wy dobył spod płaszcza ostry nóż i rzekł:

— Mógłbym was zabić zadając najpotworniejsze męki, aż zaczęlibyście przeklinać tę sukę, która wydała was na świat. Zgadzacie się ze mną?

Obaj mężczyźni zdali sobie nagle sprawę, dlaczego nieznanomy włożył teatralną maskę: żeby nie rozpoznali nie tylko jego twarzy, ale i głosu.

— Zgadzamy się — odparł za obu Eurybiades. — Ale z pewnością przypisujesz nam winy, których nie popełniliśmy.

— Wasze winy są mi znane w najdrobniejszych szczegółach. Podczas gdy do was mówię, reszta ponosi właśnie sprawiedliwą karę i to nie tylko dlatego, że brali udział w tej okrutnej zbrodni, ale że na dodatek się tym chełpili. Ale to nieszczęśnicy, którzy nic nie znaczą. Za to wy posiadacie coś, co możemy wymienić na rzecz istotną dla mnie.

Eurybiades pomyślał, że nie warto wdawać się w dyskusje na temat oskarżeń, aby nie rozdrażnić jeszcze bardziej osobnika w masce, i że lepiej przejść od razu do pertraktacji.

— Nie wiem, do czego pijesz, ale jesteśmy gotowi cię wysłuchać. Mów.

— W ten sposób możemy rozsądnie porozmawiać — stwierdził nieznajomy. — Oto moje warunki: za miesiąc pewien człowiek uznany za zmarłego powróci do miasta i stawi się przed Zgromadzeniem pod opieką przybranego ojca, aby mógł odzyskać prawa obywatelskie. Wiecie, kogo mam na myśli, prawda?

— Chyba tak — przyznał Pankrates.

— Abyście wyzbyli się wątpliwości, powiem wam, że chodzi o Dionizjusza, którego uznano za zmarłego po zabiciu Hermokratesa i jego żołnierzy na agorze. Wasze głosy w Radzie będą miały decydujące znaczenie. Mogę go zapewnić, że zagłosujecie na jego korzyść, czyż nie?

— Tak, tak, oczywiście — przytaknęli zgodnie Eurybiades i Pankrates.

— Byłem pewien, że dojdziemy do porozumienia. Muszę jednak uprzedzić, że jeśli zerwiecie naszą umowę, spotka was kara o wiele gorsza niż waszych siepaczy.

Kiedy zbliżył się do nich z nożem w dłoni, obaj zadrżeli z obawy, że zamierza dać im przedsmak owej potwornej kary. Tymczasem nieznajomy przeciął jedynie więzy krepujące im nadgarstki i kostki. Po czym odwróciwszy się do nich plecami, podszedł do swego konia i oddalił się galopem, znikając wkrótce za wzgórzem.

Gdy miesiąc później zwołane przez Dafneosa Zgromadzenie debatowało nad przygotowaniem do wojny z Kartagińczykami, w pewnej chwili podniósł się Heloris i poprosił o głos.

— Przyznaję ci prawo do przemowy — odparł przewodniczący Zgromadzenia.

— Obywatele i władze! — zaczął mężczyzna. — Jakiś czas temu, gdy podróżowałem w głąb wyspy, aby kupić konie, znalazłem na drodze ciężko rannego człowieka, który prawie nie dawał znaku życia. Zabrałem go więc do siebie i wyleczyłem nie pytając, kto zacz, i dopiero kiedy wyzdrowiał i całkiem odzyskał siły, wyznał mi, kim jest. Powiedział, że ma na imię Dionizjusz i jest zięciem Hermokratesa...

Przez obecnych przeszedł szmer zdziwienia, gdzieniegdzie rozległy się też przekleństwa. Heloris ciągnął wszakże niewzruszony:

— Chociaż nigdy nie spotkałem go osobiście, dotarła do mnie jego sława walecznego wojownika, jednego z najodważniejszych w mieście.

Wśród zgromadzonych dały się słyszeć kolejne pomruki niezadowolenia. Tym razem jednak podniosły się liczne okrzyki. W wielu miejscach półkola odezwały się głosy Bractwa.

— Wiem, dlaczego niektórzy z was protestują — mówił dalej Heloris. — Dionizjusz wystąpił przeciw własnej ojczyźnie biorąc udział w tragicznym zamachu Hermokratesa, ja wszakże proszę was, byście postarali się go zrozumieć. Do owego bezrozumnego czynu pchnęły go bowiem więzy krwi, miłość do żony i podziw dla tego człowieka, który przez wiele lat służył miastu z ogromnym oddaniem. Poniósł za to srogą karę: jego dom został zburzony, ukochana małżonka zaś pohańbiona i zabita. Nie sądzicie, że zapłacił już odpowiednią cenę za swoje błędy, które można by usprawiedliwić młodym wiekiem i brakiem doświadczenia? Uniknął śmierci nie tylko z powodu przypadku, ale również za sprawą woli bogów, i wyznał mi swoje winy. Ja zaś mu uwierzyłem i usynowiłem go, a teraz proszę was, obywatele i władze, abyście przyjęli go z powrotem między nas, oddali mu prawo głosu w niniejszym Zgromadzeniu oraz miejsce w szeregach wojowników stających do walki. Na horyzoncie rysuje się bowiem groźba kolejnej wojny, toteż miasto potrzebuje każdego ze swych synów, a szczególnie tych najwaleczniejszych.

Tymi słowy Heloris zakończył swą przemowę, po której natychmiast rozpętała się prawdziwa kłótnia między przeciwnikami i zwolennikami zmartwychwstałego Dionizjusza. Tego dnia w Zgromadzeniu nie zabrakło ani jednego członka Bractwa, toteż ich przygniatająca większość najpierw onieśmieliła najbardziej zbudowanych przeciwników, następnie zaś całkowicie ich uciszyła. Rozległy się tylko okrzyki:

- Słusznie! Dionizjusz to bohater!
- On jest ofiarą, a nie winowajcą!
- Jego odwaga jest nam potrzebna!
- Przywróćcie mu jego prawa!

Ostatnie słowo należało do Rady, która skupiła się pod portykiem zamykającym półkole od dołu.

— Nie możemy debatować pod takim naciskiem — sprzeciwił się Dafneos.

— Masz rację — przytaknął jeden z członków Rady. — Panuje tu za duży harmider, poza tym jest oczywiste, że zwolennicy Dionizjusza zastraszają część obywateli, aby nie wyrażali swego niezadowolenia.

Osobnik, który właśnie przemówił, miał na imię Demonaktes i był krewnym jednego z mężczyzn spalonych żywcem w domu blisko portu.

— Nie wydaje mi się, żeby tak było... — usiłował mu się przeciwstawić Eurybiades.

Demonaktes odwrócił się ku niemu gwałtownie, nie wierząc własnym uszom.

— Jak to: nie wydaje ci się? Nawet ślepiec by zauważył, co się wyprawia na tym Zgromadzeniu. I dziwię się, że mówisz to właśnie ty, któryś był wśród tych, co domagali się za wszelką cenę skazania na śmierć Dionizjusza, gdyby go schwytano.

Pankrates starał się poprzeć swego kompana.

— Sprawy mogą ulec zmianie. Tylko kamienie się nie zmieniają, na Heraklesa. Nastąpiła pewna ewolucja, która...

— Ewolucja? Zabójca, którego imię nietrudno odgadnąć, porąbał na kawałki albo spalił żywcem dziesięciu ludzi i powiem wam więcej: jeżeli nie zaniechacie tych bezsensownych żądań, ja będę się domagał z urzędu, aby wszczęto przeciw wam śledztwo. Niektóre niespodziewane zmiany nastroju są podejrzane.

Ponieważ atmosfera stawała się coraz cięższa, Pankrates spróbował przybrać bardziej pojednawczą i wyczekującą postawę, którą zdołałby zarazić swych towarzyszy, aby odsunąć w czasie głosowanie nad przywróceniem Dionizjusza w szeregi obywateli miasta i wojska. Nagle jednak Eurybiades szturchnął go ukradkiem w bok, pokazując wzrokiem coś, co działo się w górnej części półkola. Widząc w jego oczach przerażenie, Pankrates spojrzął na kolumnadę zamykającą amfiteatr Zgromadzenia, a wówczas on także nie zdołał opanować drżenia. Otóż na jednej z kolumn wiśniała komiczna maska teatralna, można by przysiąc, że ta sama,

którą miał na twarzy ów tajemniczy osobnik, co napadł na nich w szczyrim polu na południe od Katanii.

Szyderczy uśmiech maski skutecznie im przypomniał niepisana, ale przez to wcale nie mniej wiążącą umowę. Pankrates westchnął i milczał przez chwilę, wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenie ze swym kompanem. Następnie, gdy Demonaktes podjął na nowo oskarżycielską przemowę, szepnął mu coś na ucho. Wówczas Eurybiades poprosił o głos i powiedział:

— Nie warto odsuwać na bok spraw, które i tak musimy załatwić. Lepiej więc zrobić to od razu. Aby zaś nikt nikogo więcej nie zastraszał, jak to właśnie miało miejsce w Zgromadzeniu, żądam, żeby Rada głosowała natychmiast w głosowaniu tajnym.

— Popieram — obwieścił Pankrates. — To najlepsze rozwiązanie.

Jako że nie było powodów, by sprzeciwić się raczej powszechnemu zwyczajowi, nikt nie protestował. Przyjęcie Dionizjusza przeszło z jednym głosem sprzeciwu, po czym oburzony Demonaktes opuścił Radę.

Dionizjusz usłyszał wiadomość od samego Helorisa, przybrany ojciec poradził mu wszakże, by przez jakiś czas powstrzymał się od uczestnictwa w zebraniach nie wywołując w ten sposób kłótni i zamieszania, o które przeciwnicy mogliby go obwiniać.

Stawił się dopiero wtedy, gdy wiedział, że Bractwo zapewniło sobie przygniatającą większość w Zgromadzeniu, nakłaniając po dobroci albo zastraszając tych bardziej zapalczywych.

Wszedł starannie ogolony, z włosami związanymi na karku, odziany w przepiękną błękitną chlamidę i usiadł wśród przyjaciół, strzeżony i oglądany ze wszystkich stron. Pankrates i Eurybiades posłali mu pojednawcze uśmiechy, jakby chcieli dać do zrozumienia, że owa sprzyjająca atmosfera to w dużej mierze ich zasługa. Kiedy Dionizjusz również się uśmiechnął, nabrali przekonania, że sprawa została całkowicie zakończona.

Tymczasem byli w błędzie.

Pewnego wieczoru, tuż po zmierzchu, Pankratesa schwytano, gdy wracał z uczty od przyjaciół. Związano go i zatkano mu usta, następnie okutano płaszczem i zaprowadzono do podziemi pod domem z pergolą. Dwa dni później Eurybiades został pojmany we własnym domu w samym środku nocy. Usłyszawszy szczekanie

psa. wyszedł na zewnątrz z lampką oliwną, by zobaczyć, co się dzieje. Po chwili rozległ się skowyt i zapadła cisza. Na widok własnych niewolników przywiązanych do furtki, ze szmatami w ustach, pojął, co się stało, było już jednak za późno: nagle rzuciło się nań czterech uzbrojonych mężczyzn, którzy zadali mu potężny cios pałąk, zapakowali do worka i uprowadzili.

Kiedy obudził się w domu z pergolą, ujrzał obok bladego niczym płótno Pankratesa, który wpatrywał się weń przerażony, przed sobą zaś Dionizjusza stojącego z mieczem w dłoni.

— Przecież... zawarliśmy umowę — wyjąkał.

— Nie przypominam sobie, bym zawierał jakąkolwiek umowę — zaprzeczył Dionizjusz.

— Człowiek w komicznej masce... to byłeś ty... albo któryś z twoich przyjaciół. Obiecano nam życie w zamian za głosowanie w Zgromadzeniu za przyjęciem cię z powrotem.

— Nigdy w życiu nie włożyłem maski. Zawsze pokazuję twarz moim wrogom.

— Ale przecież my ci pomogliśmy — oświadczył Pankrates, gdy tymczasem jego kompan cicho szlochał.

— To prawda i właśnie dlatego zginiecie szybką śmiercią. Nie potępiajcie mnie, gdybym posłuchał własnego serca, odcinałbym wam powoli po kawałku ciała i dawał psom na pożarcie. Nawet nie jesteście w stanie sobie wyobrazić, jaki czekał mnie widok, gdy przekroczyłem próg tego domu po rzezi na agorze, co czułem patrząc na rozszarpane martwe ciało mojej żony. Ten, kto zadał jej męki i pohańbił, przynajmniej wziął na siebie odpowiedzialność za własne czyny, wy zaś nie macie nawet takiej odwagi.

— Zaklinam cię — nalegał Eurybiades. — Popelniasz błąd. My nie mieliśmy z tym nic wspólnego, nie ponosimy winy za to, co się stało. Przykro nam... Potrafimy zrozumieć twój żal, ale zapewniam cię, że nie ponosimy winy, wierz mi... W imię bogów, nie plam sobie rąk krwią dwóch niewinnych ludzi!

Dionizjusz podszedł bliżej.

— Możliwe, że się mylę, w takim razie bogowie mnie osądzą. Ale cień Arete musi zaznać spokoju. Żegnajcie. — Nie mówiąc nic więcej, odrąbał każdemu z nich głowę jednym ciosem w nasadę karku.

Ich ciała nigdy nie odnaleziono.

Dwa dni później spotkał się po kryjomu z Filistosem w gaju oliwnym w okolicach Epipolai.

— Obiecałeś, że darujesz im życie, jeśli miasto zgodzi się na twój powrót — powiedział surowym tonem przyjaciel.

— Skłamałem — odrzekł Dionizjusz.

I odszedł.

XI

W ciągu lata uwagę tak rządzących, jak zwykłych mieszkańców Syrakuz zaprzątnęły groźne wieści, jakie przynosili szpiedzy zarówno z Kartaginy, jak i z Grecji, toteż osobiste porachunki zeszyły wkrótce na dalszy plan. Otóż okazało się, że Kartagińczycy wysłali poselstwo do Aten, aby przekonać rząd, żeby nadał prowadził wojnę ze Spartą, chociaż najlepszy wódz ateński Alcybiades uciekł do Azji. Dzięki temu Sparta nie mogłaby udzielić wsparcia Syrakuzom, kiedy sami postanowiliby zaatakować. Następnie rozeszła się wieść, że Ateńczycy wysłali własne poselstwo na Sycylię, na rozmowy z kartagińskimi dowódcami. Żywili do Syrakuzan tak ogromną nienawiść, że zawarliby pakt dosłownie z każdym, byleby tylko wyrządzić szkodę miastu, które pokonało ich i przepędziło siedem lat wcześniej.

Wprawdzie władze Syrakuz wystosowały oficjalny protest przeciw owym przygotowaniom do wojny, jednakże nawet nie uzyskały odpowiedzi. Dafneos zdecydował zatem wyprawić ku zachodniej Sycylii czterdzieści okrętów i odbudować w miarę możliwości port w Selinuncie, aby był gotów na atak ze strony Kartaginy. Podczas pierwszego starcia Syrakuzanom udało się zatopić jakieś pięćdziesiąt okrętów nieprzyjacielskich, kiedy jednak Giskon rzucił na morze całą swą armadę liczącą osiemdziesiąt wielkich okrętów wojennych, Dafneos wydał rozkaz odwrotu, aby nie stracić własnej floty, po czym natychmiast pchnął posłów do italskich Greków i do Spartan z prośbą o wsparcie. Ci ostatni zaś wysłali półtora tysiąca wojowników pod wodzą Deuksipposa, który przybił do Geli, stamtąd zaś udał się do Akragas, gdzie objął

również dowództwo nad ośmiuset najemnikami kampańskimi nakłonionymi przez Telliasa za pomocą hojnego wynagrodzenia do opuszczenia Kartagińczyków.

Z początkiem wiosny Giskon wylądował niemal w samym mieście. Jako że zdążył się już posunąć w latach, teraz stanął u jego boku kuzyn Himilko, młodszy i posiadający więcej wigoru. Umieściwszy jedną strategię na wschodzie miasta, aby uniemożliwić atak od tej strony, zbudował fortecę na zachodzie, po czym zabrał się do burzenia monumentalnych grobowców na cmentarzu i wznoszenia ku murom pochylni, po której zamierzał poprowadzić natarcie.

Tymczasem wewnątrz miasta nikt nie zdawał się traktować poważnie zagrożenia ze strony armii, która zdołała już zrównać z ziemią Selinunt i Himerę — przecież było dość jądła, mury zaś wznosiły się na bardzo wysokiej podstawie i były prawie nie do zdobycia. Poza tym wszyscy wiedzieli, że wkrótce przybędzie z Syrakuz Dafneos na czele wojsk sprzymierzonych. Panował tak swobodny nastrój, że dowódcy musieli wydać rozkaz, który jasno precyzował, iż na jednego wartownika strzegącego murów nie może przypadać więcej niż jeden siennik i dwie poduszki. Od czasu do czasu jazda robiła wypadki atakując samotne oddziały wroga szukające paszy dla zwierząt i pożywienia dla ludzi.

Wkrótce nastał potworny skwar, a smród odpadków i odchodów sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy i pięciu tysięcy koni słyszonych w dole, gdzie panowały wilgoć i zaduch, dotarł aż na sam wierzchołek murów.

Każdego ranka o takiej porze, kiedy wiatr przynosił daleko ów wstrętny odór, Tellias wdrapywał się na mury. Miasto pogrążone było jeszcze we śnie, ostatnia nocna czujka opuszczała właśnie posterunek, by zrobić miejsce dziennej zmianie. Promienie wschodzącego słońca zalewały ogromną świątynię Ateny na akropolu, potem zaś stopniowo domy, ogrody, podcienia z kolumnami, na koniec zaś potężną bryłę świątyni Zeusa, która ciągle jeszcze była w budowie. Roboty nie zostały przerwane, toteż rzeźbiarze nadal pracowali nad swym dziełem na wielkim frontonie przedstawiającym upadek Troi — z każdym dniem płatanina heroicznego ciał przybierała coraz wyraźniejsze kształty. Jedynie wyniosłe postaci bogów wznoszące się pod spadzistym tympanonem były już

ukończone, niektóre z nich przybrały nawet jaskrawe barwy, jakimi malarze pokrywali im twarze, kończyny, włosy i szaty. Giganci na kolumnach zdawali się napinać muskuły w tytanicznym wysiłku, by utrzymać ciężar architrawu ozdobionego scenami bitew. W złożonych akroterionach odbijało się poranne światło, nad ujściem rzeki Akragas zaś wzbijały się w powietrze chmary różowych ibisów, które przelatwały nad gajami migdałowymi i oliwnymi porastającymi dolinę.

Obraz był tak zachwycający, harmonia dzieł stworzonych przez człowieka i naturę tak wzniosła, że widok ludzkiej głupoty, która narażała na zniszczenie przez wojnę całe to cudowne piękno, wprowadził Telliasa w stan głębokiego przygnębienia, wywołując niepokojące przeczucie zbliżającego się kresu. Ciągłe też dręczyło go wspomnienie Arete, tego, jak bardzo podobało jej się w Akragas, jak urocze wydawało jej się to miasto, gdzie panowała obfitość wszystkiego, jak bardzo była niespokojna i chciwa życia, jakże pragnęła zostać żoną mężczyzny, którego wybrała na towarzysza swoich dni. Opłakiwał w duchu jej okrutną śmierć, nie znajdując pocieszenia w myśli, że Dionizjusz pomścił ją z równym okrucieństwem.

Miał tylko nadzieję, że Akragas zdoła przetrwać, niekiedy zaś recytował na głos wersy Pindara niczym modlitwę. Akragas... Wysokie i lśniące na swym urwisku, połyskujące w oddali morze, sosnowe i dębowe lasy, drzewa oliwne zasadzone przez ojców założycieli, płonący na akropolu święty ogień, który nigdy nie zgasł, odkąd go zapalono po raz pierwszy — czy naprawdę wszystko to można wymazać w jednej chwili, jakby nigdy nie istniało? Czy to naprawdę możliwe? Czy fatum ciężące nad Selinuntem i Himera może się powtarzać w nieskończoność?

Pewnego razu z zamyślenia wyrwały go głosy dowódców wojskowych. Szydzili z widocznego w dole nieprzyjaciela, który wydawał się daleki i słaby. Jego małe z powodu odległości okręty sprawiały wrażenie niegroźnych niczym łódeczki, którymi bawią się dzieci w wielkim basenie na dnie doliny. Byli tak pewni zwycięstwa... musieli mieć zatem powody.

— Patrzcie tylko, rozbili obóz we własnym łajnie! — zawołał jeden z dowódców. — Może myślą, że zmuszą nas do złożenia broni własnym smrodem!

Kiedy w obozie kartagińskim wybuchła zaraza, która wybiła tysiące żołnierzy siejąc strach wśród nieprzyjacielskich oddziałów, wyglądało na to, że sprawdziły się najbardziej radosne przepowiednie. Dym ze stosów i nieznośny swąd spalonego mięsa zatruł powietrze na całym otaczającym go obszarze. Sam Giskon również zachorował i umarł, kiedy zaś wieść o tym dotarła do miasta, zapanowała powszechna radość, wszyscy bowiem pomyśleli, że teraz Kartagińczycy odstąpią od oblężenia i wrócą do domu.

Telliasowi dodało to tak wielkiej otuchy, że urządził nawet odpowiednio wymowne przedstawienie. Wybrawszy sporą liczbę aktorów teatralnych, kazał im pojawić się nocą niczym duchy wśród ruin grobowców zburzonych przez Kartagińczyków, wznosić głośne jęki i rzucać okropne przekleństwa w punickiej mowie. Gdy nie było księżyca, na cmentarzach porozpalano nie mniej widmowe światła, oddziałom kartagińskich sprzymierzeńców, którzy podążali ciemnymi ścieżkami w poszukiwaniu paszy i jadła, jeły się zaś ukazywać niespodziewanie kolejne przerażające zjawy. W ten oto sposób wśród oblegającego wojska pełen przesądów strach wzmógł się do tego stopnia, że nikt już nie chciał wychodzić nocą.

Himilko, ocalały dowódca, nie był wszakże głupcem. Wezwał do siebie wróżbitów, rozkazał im znaleźć natychmiast najbardziej widowiskowy i zadziwiający sposób, by uspokoić duchy zmarłych wyrzuconych z grobów, ci zaś odczyniwszy wróżby, obwieścili, że należy złożyć ludzką ofiarę.

Wobec tego zarżnięto na ołtarzu biednego miejscowego chłopca, który został wzięty do niewoli w poprzedniej wojnie, po czym wrzucono jego ciało do morza. Następnie Himilko ogłosił, że duchy są zadowolone i że od tej pory wszystko zmieni się na lepsze.

Kiedy kilka ulewnych deszczów zmyło otaczającą obozowisko warstwę brudu i śmieci, warunki rzeczywiście się poprawiły, potwierdzając przepowiednię wróżbitów i obietnicę dowódcy, który czym prędzej rozpoczął na nowo prace przy budowie pochylni.

Tellias przyglądał się jej ciągłym postępom z niepokojem.

Tymczasem w Syrakuzach Dionizjusz z każdym dniem zyskiwał coraz większy szacunek, kiedy zaś armia sprzymierzona złożona z dwudziestu tysięcy Syrakuzan, dziesięciu tysięcy najemni-

ków i dwudziestu tysięcy Italików z zaprzyjaźnionych miast była gotowa do wymarszu, otrzymał stopień przybocznego naczelnego wodza.

W noc przed wyjazdem polecił wydobyć szczątki Arete z podziemi i złożyć je w przepięknym grobowcu, który kazał postawić za zachodnią bramą przy drodze do Kamaryny. Stwierdziwszy, że ciało zachowało się w idealnym stanie, uznał to raczej za znak od bogów niż skutek zasolenia ziemi, jak uważał Filistos, za cudowne zdarzenie, które umożliwiła dokonana przezeń zemsta.

Pogrzeb odbył się niemal po kryjomu po zachodzie słońca, kiedy zaś grobowiec został zamknięty potężną płytą wapienną, Dionizjusz zapragnął zostać sam, aby długo przemawiać do ukochanej w nadziei, że mu odpowie. W końcu zasnął u stóp grobowca zmęczony czuwaniem, a wówczas przyśniło mu się, że spada ze stromej skały do kryształowego źródła i że osuwa się bez czucia w coś w rodzaju nieskończonej i trawiącej otchłani.

Obudził go Leptines, który stał się niemal jego strażą przyboczną i podążał za nim wszędzie, ani za bardzo się nie narzucając, ani też zbyt nie oddalając.

— Chodźmy — powiedział. — Wracajmy do domu.

Armia sprzymierzona wyruszyła w drogę nazajutrz przed świtem: na przodzie Syrakuzanie, w środku najemnicy, z tyłu Hali-kowie, po bokach zaś konnica. Na czele podążał Dafneos wraz z dowódcami oraz sam Dionizjusz. Leptines natomiast razem ze swym oddziałem zwiadowców trzymał się nieco dalej. Prawdziwa konnica składała się prawie wyłącznie z arystokratów, którzy nie tolerowali w swych szeregach obcych.

W ciągu siedmiu dni pokonali całą odległość od Syrakuz do Akragas, otrzymując zapasy od płynących w konwoju statków, które co jakiś czas wypuszczały dziesiątki szalup pełnych jada i paszy, krążących przez całe godziny tam i z powrotem między okrętami a brzegiem.

Dotarłszy do miasta siódmego dnia wieczorem, rozbili obóz w pobliżu wschodniego skrzydła wojsk kartagińskich. Dionizjusz natychmiast spał konia, za nim zaś wyruszyli na zwiady Leptines, Biton, Doriskos i paru przyjaciół z Bractwa, którzy ocenili siły wroga na jakieś trzydzieści pięć tysięcy żołnierzy. Widząc, że miasto z pewnością nie jest nie do zdobycia, pojął straszliwą

strategię nieprzyjaciela: wschodnie skrzydło, na które właśnie spoglądali, służyło zapewne jako wsparcie, podczas gdy główne siły miały uderzyć na końcu, ze wznesionej już całkiem pochylni, przy użyciu machin oblężniczych i taranów.

Nim zapadła noc, Dionizjusz okrążył mury od strony północnej, udając się na tyły wschodniego cmentarza, skąd można było zobaczyć pochylnię, która znajdowała się teraz na tym samym poziomie co miasto. Aby ustrzec się przed atakiem łuczników, Kartagińczycy zbudowali coś w rodzaju ruchomej wiaty na kółkach, pokrytej niewyprawionymi i ogniotrwałymi skórami, mającej chronić tych, co pracowali przy pochylni.

Kiedy wrócił do obozu, dowiedział się, że właśnie trwa narada dowódców, toteż niezwłocznie się na nią stawił.

— Przede wszystkim — zaczął Dafneos — musimy zaatakować wschodnie skrzydło armii Himilkona, które znajduje się na otwartym polu i dość płaskim terenie. Napadniemy na nich o brzasku, kiedy jest jeszcze chłodno: w szyku zamkniętym, ósemkami, my i nasi sycylijscy sojusznicy pośrodku, Halikowie z prawej, najemnicy z lewej. Jazda po bokach.

— A jeśli armia Himilkona zaatakuje nas w samym środku bitwy? — zapytał Dionizjusz. — Radziłbym umieścić kilka oddziałów konnicy w odpowiedniej odległości między nami a fortyfikacjami Kartagińczyków od zachodniej strony, aby mogły nas ostrzec, w razie gdyby tamci się ruszyli.

Dowódca jazdy, potomek starego arystokratycznego rodu, niejaki Kratippos, spojrział nań z rozdrażnieniem, jakby powiedział coś obraźliwego.

— Nie wydaje mi się, byś miał jakiegokolwiek prawo decydowania o posunięciach konnicy — stwierdził pogardliwym tonem.

— Róbcie, jak chcecie — odparł Dionizjusz — w moim przekonaniu jednak najgorszą rzeczą jest odrzucić rozsądną propozycję tylko dla zasady. Gdyby to ode mnie zależało, kazałbym cię wtrącić do więzienia i oskarżył o najpoważniejszą zbrodnię w czasie wojny: o głupotę.

Ostąpiły Kratippos zamierzał właśnie dobyć miecza, by zmyć obelgę krwią, spór przerwał wszakże Dafneos uderzając pięścią w stół. Filistos, którego dopuszczono do obrad jako doradcę, nie mógł powstrzymać złośliwego uśmiechu.

— Rozmieścimy w regularnych odstępach gońców — oznajmił Dafneos. — Musimy wiedzieć, co się dzieje poza linią ognia.

— Mogę coś dodać? — zapytał Dionizjusz.

— Pod warunkiem że nikogo nie obrazisz — ostrzegł Dafneos.

— Czy porozumieliśmy się z mieszkańcami Akragas, którzy znajdują się wewnątrz miasta?

— Nie — odrzekł Dafneos. — Bo co?

— Bo co? — krzyknął Dionizjusz. — Bo nieuczynienie tego wydaje mi się szaleństwem! Skąd będą wiedzieli, co powinni, a czego nie powinni robić? I w jaki sposób my zdołamy wykorzystać, być może decydujące, wsparcie tysięcy dobrze uzbrojonych wojowników, którzy czekają za murami Akragas?

— To nie będzie konieczne — uciął Dafneos. — Nie potrzebujemy ich, poza tym nie ufam ich kampańskim najemnikom, którzy najpierw służyli w szeregach Kartagińczyków, a teraz walczą przeciwko nim, bo mogliby z powrotem przejść na ich stronę w samym środku bitwy. Jutro zaatakujemy i rozgnieciemy tych barbarzyńców. Potem zaś, kiedy tylko nadarzy się okazja, roznieśmy w pył ich obóz i przegnamy ich do morza. Nie mam wam nic więcej do powiedzenia. Możecie odejść. Nie będzie trąb na pobudkę, tylko jeden obudzi drugiego. Hasło brzmi „Akragas”. Życzę wam szczęścia.

Dionizjusz udał się do swojego namiotu, po czym zmieniawszy odzienie i narzuciwszy na ramiona ciemny płaszcz, opuścił obóz przez lewe skrzydło wraz z Leptinesem pod pretekstem sprawdzenia posterunków straży. Ledwie jednak obaj zniknęli z pola widzenia, puścili się biegiem zanurzając się w gęsty dębowy las dosięgający niemal do stóp zbocza, na którym wznosiły się mury Akragas. Gdy znaleźli się dostatecznie blisko, Dionizjusz polecił bratu, aby nań zaczekał i go osłaniał. Po czym natychmiast dał znak wartownikowi, który przechadzał się tam i z powrotem po murach.

— Ej! — zawołał. — Ej, ty tam!

— Kto zacz? — zapytał strażnik.

— Jestem syrakuzkańskim żołnierzem. Przybyłem sam, wpuść mnie, muszę porozmawiać z twoimi dowódcami.

— Zaczekaj — odparł mężczyzna, po czym przywołał dowódcę patrolu.

— Czego chcesz? — zapytał oficer wychylając się ostrożnie zza murów.

— Muszę wejść, i to szybko — przynaglił Dionizjusz. — Jestem Syrakuzaninem i muszę się rozmówić z waszymi dowódcami.

— Jak cię zwa?

— Dionizjusz.

— Czy ktoś w mieście cię zna?

— Tak — potwierdził. — Człowiek powszechnie szanowany o imieniu Tellias.

— Skręć w prawo i idź aż do tamtych zarośli — polecił oficer. — Za nimi jest furтка, zaraz wyślę kogoś, żeby ci otworzył. Mamy na ciebie oko: jeśli zrobisz jakieś głupstwo, zginiesz.

Spełniwszy polecenie, Dionizjusz znalazł się wkrótce wewnątrz murów i stanął przed kilkoma wysokimi rangą dowódcami.

— Kto cię przysłał? — zapytał jeden z nich, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna z czarną, starannie przyciętą i uczesaną brodą, odziany w zbroję, która przypominała raczej strój paradny niż bitewny.

— Nikt — odrzekł Dionizjusz. — Przyszedłem z własnej woli.

— Co takiego? — wykrzyknął oficer, po czym zwrócił się do swych kompanów: — Ten człowiek mi się nie podoba; to może być szpieg. Moim zdaniem trzeba go zamknąć, dopóki się czegoś o nim nie dowiemy.

— Ręczę za tego młodzieńca! — rozległ się za jego plecami czyjś głos. Należał do Telliasa, który wdrapał się właśnie zdyszany pod mury, trzymając w dłoniach przednią połę szaty, żeby się w nią nie zaplątać, i posuwając się tak szybko, jak pozwalała mu na to tusza.

Czterej dowódcy odwrócili się ku niemu.

— Jak to? — ciągnął Tellias sapiąc i ocierając czoło. — Nie poznajecie go? To Dionizjusz, bohater, który przyprowadził tutaj uchodźców z Selinuntu i który walczył jak lew pod murami Himery. Mów, chłopcze, nasi waleczni dowódcy nadstawili uszu.

Nikt nawet nie pisnął, powaga i autorytet człowieka, który sam opłacił blisko tysiąc najemników, wystarczyły bowiem, by skupić ich uwagę. Wówczas Dionizjusz zabrał głos.

— Jesteście pewni, że nie ma wśród was szpiegów? — zapytał.
— Jak śmiesz... — zaczął oficer, który odezwał się pierwszy.
— Ten młodzieniec ma rację — odrzekł Tellias. — Zbierzmy się w świątyni Ateny, gdzie nikt nas nie usłyszy. Szpiegdy zawsze byli i będą, wiele miast zaś upadło z powodu zdrady. Nie ma potrzeby się oburzać.

Wewnątrz świątyni pozapalano już na noc lampy, gromadka skupiła się zaś w odosobnionym zakątku naosu, za posągiem bóstwa.

— W gruncie rzeczy — ciągnął Dionizjusz — w pewnym sensie mnie także można by uznać za szpiega.

Wszyscy obecni popatrzyli po sobie zdziwieni, Tellias jednak dał mu znak, by mówił dalej.

— Tak, za sprzymierzonego szpiega. Ponieważ moi dowódcy nie zadbali jeszcze o to, by wysłać do was poselstwo w celu uzgodnienia naszych działań, postanowiłem sam zdać wam sprawę, jak rzeczy stoją. Nasze wojsko liczy prawie pięćdziesiąt tysięcy dobrze uzbrojonych i wyćwiczonych żołnierzy. Co do floty, zobaczycie ją jutro z przedpiersia: jakieś trzydzieści trier i z dziesięć jednostek transportowych. Jutro przed świtem Dafneos zamierza uderzyć na oddział Kartagińczyków, który mamy przed sobą, żeby wkrótce potem otoczyć całą armią obóz nieprzyjaciela. Przypuszczam, że dopiero wtedy zwróci się do was o pomoc.

— Twój postępek zasługuje na jak najsurowszą karę — stwierdził inny oficer, starszy od tamtego, wysoki i chudy, odziany w czarną skórzaną zbroję nabijaną srebrnymi ćwiekami. Dionizjusz nigdy dotąd nie widział tak wytwornych dowódców. — Przedsięwziąłeś niebezpieczne kroki bez porozumienia z przełożonymi, narażając się na schwytanie przez wroga, a zatem na wyjawienie mu ważkich tajemnic...

— Uczyniłem to, co należało, aby ocalić miasto — przerwał Dionizjusz stanowczym gestem ręki — narażając życie własne, nie cudze, albowiem widziałem już upadek dwóch innych i nie chcę, żeby Akragas podzieliło ich los. Róbcie, jak chcecie, ja was ostrzegałem. Gdybym to ja dowodził tutejszym wojskiem, zarządziłbym wypad, żeby zaskoczyć od tyłu nieprzyjaciela, który stoi przed nami, i unicestwić go. Wystarczy zostawić na murach jeden oddział, jako że po zwycięstwie nasze zjednoczone armie zdobędą

również obóz na zachód od miasta. Gdyby Kartagińczycy spróbowali zaatakować korzystając z małej liczebności żołnierzy, którzy zostali na posterunku, wzięlibyśmy ich z zaskoczenia i rozgnietli na murach. Właśnie tak bym zrobił. Ale decyzja należy do was. Chciałem tylko, żebyście o tym wiedzieli. Jeżeli nie macie więcej pytań ani wiadomości do przekazania, wróć do obozu, zanim zauważą moją nieobecność i mnie zakują. Nie chcę stracić jutrzejszego widowiska.

— Uważam, że powinno się go wtrącić do lochu — stwierdził trzeci dowódca, sądząc po włosach zebranych w węzeł na czubku głowy arystokrata hołdujący dawnym zwyczajom. — Po skończonej bitwie oddamy go w ręce jego zwierzchnika, a wtedy się przekonamy, czy nadal będzie miał ochotę na przechwałki.

Podszedłszy bliżej, Dionizjusz spojrzął mu w oczy z twarzą tuż przy jego twarzy.

— Tylko spróbuj — ostrzegł.

Tellias wtrącił się w samą porę, by rozładować napięcie.

— Heghemōnes, proszę, nie ma powodu, by podejmować tak poważne decyzje. Po prostu odwiedził was jeden ze sprzymierzonych dowódców, ot i wszystko. Co w tym dziwnego?

— Udercie, kiedy tylko my ruszymy na wroga — powiedział wówczas Dionizjusz cofając się i patrząc w oczy po kolei każdemu z czterech wodzów, których miał przed sobą. — Udercie nie zwlekając ani chwili. Żegnam.

Już miał odejść, gdy nagle zawrócił i stanął przed Telliasem. Długo się weń wpatrywał, aż stary druh pojął, że chciałby mu tak wiele powiedzieć, lecz nie może wykrztusić słowa. Poklepał go więc po ramieniu.

— Idź już. Kiedy zrobimy to, co mamy do zrobienia, będzie czas na rozmowy.

Dionizjusz oddalił się bez słowa, jak zawsze gdy czuł w sercu tajemniczy niepokój. Tellias zaś wsłuchiwał się w milczeniu w odgłosy jego kroków odbijających się od ścian ogromnej świątyni.

— Jak poszło? — zapytał Leptines ujrzawszy, jak wyłania się przed nim nagle niczym duch.

— Żle — odparł Dionizjusz.

XII

Dowiedziawszy się w samą porę o nadejściu sporej liczby wojsk sprzymierzonych, Himilko rozkazał wysłać posiłki: iberyjskich i kampańskich najemników, którzy zajęli pozycje nocą, marszerując w milczeniu przez las rozciągający się między miastem a morzem.

Tymczasem Dafneos ustawił swą armię przed brzaskiem nad rzeką Himerą, po czym natychmiast dał znak, by przejść ją w bród i zaskoczyć wroga od tyłu.

Żołnierze posuwali się kolumną, następnie zaś wykonali szeroki manewr i ustawili się frontalnie w ośmiu rzędach. Znajdujący się po prawej stronie Dafneos wydał rozkaz, który przekazano błyskawicznie z ust do ust, aż dotarł na lewe skrzydło. Ten zaś, kto przekazywał go dalej, podnosił tarczę i opuszczał włócznię, co wyglądało tak, jakby od jednego krańca do drugiego przez całą potężną formację przechodziła brązowo-żelazna fala.

Po czym nastąpiła długa, pełna napięcia cisza w oczekiwaniu, aż cienka linia światła rysująca się na wschodzie zaleje blaskiem wszystko i będzie widać ziemię pod stopami. Ponieważ Dafneos zapowiedział, że da sygnał do natarcia, gdy żołnierze będą w stanie zobaczyć swój cień, każdy wpatrywał się uważnie pod nogi, czekając z narastającym niepokojem, aż jego własna sylwetka nabierze kształtów. Wtem na ziemi pojawiły się wyraźne i długie cienie, w tej samej zaś chwili zaryczały trąby, a dowódcy wydali okrzyk bojowy powtórzony głośno przez wojowników i potężna falanga ruszyła do ataku.

Po przeciwnej stronie odpowiedział przeciągły dźwięk rogów, po czym wojsko kartagińskie rzuciło się naprzód, prowadzone

przez iberyjskich i kampańskich najemników, weteranów niezliczonych bitew, jakie stoczyli pod najróżniejszymi sztandarami. Pierwsi mieli metalowe pancerze na białych tunikach, na głowach zaś skórzane hełmy z czerwonymi grzebieniami, drudzy odziani byli w napierśniki z grubej skóry, ich hełmy z kolei ozdabiały potrójne kity, a osłaniali się ogromnymi malowanymi tarczami. Posuwali się wrzeszcząc, wypuszczając chmury strzał i wystrzeliwując kamienie ze swych zabójczych proc. Po każdym strzale falanga unosiła tarcze, by osłonić się przed falami pocisków, które uderzały o brąz niczym grad, po czym biegła dalej, chcąc jak najbardziej przyspieszyć moment uderzenia, które nastąpiło z przerażającym łoskotem w odległości pół stadionu od obozu nieprzyjaciela. Obie armie zwały się na siebie nawzajem, brązowo-żelazna masa greckich tarcz i włóczni spadła niczym lawina na Libijczyków, Iberów i Kampanów, którzy byli wprawdzie lepsi w walce wręcz dzięki zręczności i doświadczeniu, za to gorzej znosili starcie z tak ciężką i zwartą armią. Wojownicy ścierali się ze sobą w coraz bardziej zaciekłym i krwawym boju, po czym Kartagińczycy jęli się wycofywać pod coraz silniejszym naporem przeciwnika, pozostawiając za sobą trupy i rannych. Tych ostatnich dobijali kolejno włóczniami żołnierze z dalszych szeregów, w miarę jak posuwali się za swymi towarzyszami.

Tymczasem na przedpiersiach Akragas zebrał się tłum żołnierzy, którzy głośno zagrzewali do boju swoich sprzymierzeńców, tak jakby tamci mogli ich usłyszeć w tym zgiełku. Ich okrzyki docierały jednak z pewnością do obozu wroga, siejąc zniechęcenie i strach.

W pewnej chwili, gdy już było wiadomo, że oddziały Himilkona ustępują pola, wojownicy z Akragas otoczyli swych dowódców domagając się, żeby otwarli bramy i pozwolili im rzucić się na wrogów, aby unicestwili ich raz na zawsze.

— Na co czekamy? — krzyczeli. — Ruszmy się, skończmy z tym wreszcie!

— Pozabijajmy ich wszystkich!

— Pomścijmy Selinunt i Himerę!

Jeden z wodzów, ten o imieniu Kratippos, usiłował ich uspokoić.

— Cisza! — zawołał. — Uciszcie się! Posłuchajcie!

Tumult zdawał się słabnąć, bitewny zgiełk dochodzący aż pod mury budził wszakże wśród żołnierzy niepohamowaną żądzę walki, niesłychane podniecenie, które można było wyczytać w ich oczach, spojrzaniach i drzeniu kończyn. Każdy chciał uczestniczyć w owej krwawej uczcie, w owej okrutnej rzezi, zanim się skończy.

— Posłuchajcie! — powtórzył Kratippos. — Jeżeli teraz wyjdziemy, zostawimy miasto niestrzeżone, popełniając ten sam błąd, który doprowadził do zagłady Himery. Wtedy Himilko mógłby opuścić obóz, zaatakować, kiedy nas nie będzie, i zdobyć Akragas za pierwszym razem. Zdajecie sobie z tego sprawę?

— Dość! Chcemy ruszyć na obóz! — krzyknął jeden z żołnierzy.

— Co z was za dowódcy? — zawołał drugi. — Nie potraficie nawet poprowadzić wojska do boju?

Kiedy tak się spirali, rozeszła się pogłoska, że szykuje się wypad, aby przepędzić barbarzyńców z Akragas. Tysiące uzbrojonych wojowników dzierżących włócznie i tarcze stoczyło się złożąc i wrzeszcząc. Ci, którzy stali na murach i mogli widzieć to, co się dzieje poniżej, ryczeli jeszcze głośniej, jakby znajdowali się właśnie na stadionie albo na hipodromie, ich wrzaski zaś wzbijały się w niebo.

Widząc, że wkrótce może utracić nad nimi władzę, Kratippos wezwał jednego ze swych zastępców, młodzieńca o imieniu Argeos, który miał niewiele ponad trzydzieści lat, i szepnął mu coś na ucho.

— Biegnij do kwatery głównej kampańskich najemników i każ zaryglować wszystkie bramy i ustawić przy nich strażę. Nie można pozwolić, żeby ludzie wypadli bezładnie za mury i pozostawili miasto bez obrony. Prędko!

Argeos oddalił się pędem, z trudem przepychając się przez tłum, który ciskał za nim obelgi.

— Tchorze! Sprzedawczyki! Zdrajcy!

Po pewnym czasie rozkaz został wykonany, kiedy zaś do owego zwołanego naprędce zgromadzenia dołączyło kilku żołnierzy oznajmiając, że bramy są zaryglowane i strzeżone, na murach rozległo się wołanie:

— Patrzcie! Prędko, chodźcie zobaczyć!

Na te słowa wszyscy rzucili się na schody, wspiąwszy się zaś na galerię, wychylił się przez poręcz: wojsko punickie było w rozszypce, wojownicy pędzili do obozu. Wówczas wybuchł dziki wrzask radości, wkrótce jednak do okrzyków zachęty dołączyły pełne rozczarowania przekleństwa, kiedy stało się jasne, że Dafneos nie pozwolił swym żołnierzom puścić się w pościg za wrogiem. Najwyraźniej bał się, że wpadnie w zasadzkę, jak to się przydarzyło armii Dioklesa w Himerze. Gdyby znajdowali się bliżej, usłyszeliby, jak stojący na prawym skrzydle Dionizjusz, powalany krwią bitewną, wykrzykuje niczym szaleniec to samo co oni: że trzeba ruszyć naprzód i wybić tamtych do nogi.

Tymczasem nic się nie wydarzyło. Wojska sprzymierzone zatrzymały się na dźwięk trąb, dzięki czemu większa część sił kartagińskich schroniła się bezpiecznie za umocnieniami swego obozu.

Żołnierze Akragas spoglądali na to z rezygnacją. Jako że armia sprzymierzona znajdowała się w odległości niemal dwóch stadionów, atakowanie w pojedynkę mijało się z celem. Oto okazja, by raz na zawsze zniszczyć wiszącą nad nimi groźbę, przeszła im koło nosa.

Wkrótce jednak rozczarowanie ustąpiło miejsca rozdrażnieniu, a następnie złości. Otoczywszy swych dowódców ze złowieszczymi minami, wojownicy zaczęli krzyczeć:

- Daliście się przekupić!
- Ile wam zapłacił ten barbarzyńca?
- Zdrajcy!
- Sprzedajne łotry!

Tellias usiłował uśmierzyć ich gniew.

— Uspokójcie się! Nie możecie rzucać takich oskarżeń bez dowodów!

Jego słaby i ochryply głos nie zdołał się wszakże przebić przez narastającą wrzawę. Poszły w ruch kamienie, z których wiele trafiło do celu. Ugodzony w głowę Kratippos upadł na ziemię, po nim zaś trzech jego kompanów, którzy skupiali w swych rękach najwyższe dowództwo nad armią. Ocalał jedynie Argeos, młody oficer, który wyznaczył posterunki najemników u bram. Trzej wodzowie byli zatem martwi, na wpół pogrzebani pod stosem kamieni. Żołnierze, którzy dopiero co ich ukamienowali, stali teraz

wokół trupów w milczeniu i nawet nie zwrócili uwagi, gdy pojawił się wśród nich i podszedł blady, bez słowa, do leżących bez czucia ciał.

Nagle wszyscy poczuli gorycz i wstręt z powodu tego, co zrobili, uzmysłowili sobie bowiem, że ów dokonany właśnie przez nich sąd doraźny był najbardziej niesprawiedliwą rzeczą, jaką mogli uczynić, i że ukarali przesadnie zwykle niezdecydowanie albo wręcz głupotę.

Była to niezwykle ciężka bitwa, w której Kartagińczycy zostawili na polu blisko sześć tysięcy poległych, podczas gdy w wojskach sprzymierzonych zginęło zaledwie niespełna trzystu żołnierzy. Mimo to wojowników, którzy widzieli, jak wymyka się im z rąk decydujące zwycięstwo, ogarnęło ogromne rozczarowanie.

Dionizjusz podbiegł do Dafneosa i zawołał:

— Dlaczego nie pozwoliłeś nam walczyć dalej? Dlaczego nas powstrzymałeś? To tchórzostwo, to...

— Jeszcze jedno słowo, a każę cię zabić. Natychmiast!

Dionizjusz zagryzł wargi i wrócił do szeregu tłumiąc wściekłość.

Dafneos, któremu ani było w głowie napadać na fortyfikację wroga — strzeżone przez fosę, wał i ostrokół — poprowadził swych żołnierzy do obozowiska po wschodniej stronie, pozostawionego przez uciekających nieprzyjaciół. Jeszcze tej samej nocy przybyło poselstwo z Akragas, aby zdać sprawę z tego, co wydarzyło się w mieście i jaką karę wymierzono dowódcom. Na te słowa Dafneosa przeszedł dreszcz i nie wiedział, co powiedzieć.

Wówczas wystąpił naprzód Dionizjusz.

— Gdybyś mnie posłuchał, nie doszłoby do tego, Himilko zaś uciekałby teraz bez żadnej nadziei na ocalenie.

— Nikt nie może wygłaszać prorocत्व — odrzekł Dafneos. — Na wojnie największą cnotą jest spokój. Teraz to oni są na pozycji obronnej, zamknięci w obozie, podczas gdy my pilnujemy wszystkich dróg wejścia i wyjścia, żeby skonfiskować im dostawy jedła i kazać im umrzeć z głodu. Kiedy tylko ich najemnicy zostaną bez jedzenia i bez zapłaty, zbuntują się, a wtedy nastąpi koniec Himilkona...

Przez pewien czas wszystko zdawało się potwierdzać słowa Dafneosa. Wyraźnie się ochłodziło, ktoś zaś (później nikt już nie potrafił stwierdzić, kto to był) doniósł, że w Panormos okręty kartagińskie stoją już w doku i że nie wypłyną aż do wiosny. Natomiast flota syrakuzkańska była ciągle doskonale sprawna i nadal zaopatrywała armię.

Ilekróć Himilko wysyłał jakiś oddział w poszukiwaniu jądła i paszy, syrakuzkańska jazda natychmiast ruszała za nim w pościg i rozbijała go w puch. Spodziewano się, że lada dzień się poddadzą, tym bardziej że pogoda wyraźnie się pogorszyła.

Właśnie z myślą o pogorszeniu pogody postanowiono zadbać o ostatnie masowe zaopatrzenie Akragas w zboże i inne produkty żywnościowe, zanim warunki na morzu staną się zbyt niebezpieczne do pływania. Kiedy jednak na horyzoncie ukazały się syrakuzkańskie statki, po przeciwnej stronie pojawiła się nie wiadomo skąd kartagińska flota licząca blisko pięćdziesiąt doskonale uzbrojonych okrętów.

Losy bitwy były z góry przesądzone: załadowane po brzegi statki syrakuzkańskie poruszały się niezwykle wolno, podczas gdy kartagińskie, pozbawione omasztowania, mające przewagę liczebną i sprzyjający wiatr, mogły atakować z bez porównania większą prędkością i zwrotnością.

Nieliczne okręty syrakuzkańskie, które w ogóle były zdolne odeprzeć natarcie, natychmiast unieszkodliwiono, pozostałe zaś zmuszono do przycumowania przy brzegu dokładnie za umocnieniami nieprzyjaciela, toteż wygłodzeni najemnicy Himilkona, bliscy dezercji, rzucili się na nie i wyróżnawszy wszystkich członków załóg, zrabowali całe zboże przeznaczone dla Akragas.

Wydarzenie to całkowicie odmieniło losy bitwy, która zdawała się już wygrana. Mieszkańcy Akragas, którym nigdy niczego nie brakowało i którzy nigdy nie musieli racjonować żywności, nagle uzmysłowili sobie, że zapasy jądła, jakie im pozostały, są bardzo mizerne.

Spartański wódz Deuksippos, jeden z niewielu, jacy przeżyli, zwołał swoich oficerów na naradę.

- Jak długo zdołamy się utrzymać na tych resztkach?
- Najwyżej trzy, cztery dni — padła odpowiedź.
- Wobec tego musimy ewakuować miasto. Już jutro.

Na te słowa zaległa cisza. Nikt nie ośmielił się sprzeciwić, jednocześnie wszakże każdy usiłował gorączkowo znaleźć jakiekolwiek inne rozwiązanie, odmienne od tak strasznej decyzji.

— Musimy powiadomić Radę — odezwał się jeden z dowódców — aby ogłosiła tę wieść mieszkańcom.

— Chwileczkę — wtrącił się oficer, który dotąd nie zabierał głosu, przybysz z Geli o imieniu Eurytoos. — Twierdzisz, że powinniśmy wyprowadzić z miasta dwieście tysięcy ludzi i odejść... ot tak? — zapytał uderzając jedną dłonią o drugą.

— Ot tak — odparł niewzruszony Deuksippos. — A jest inne wyjście?

— Na przykład walka. Otwarcie korytarza w głąb wyspy i zdobycie zapasów we wsiach.

— Albo stoczenie bitwy na otwartym polu razem z Syrakuzanami. Jeszcze możemy ich pokonać! — zawołał inny, młody dowódca speirai z Akragas.

Nie było potrzeby powiadamiać Rady, której członkowie pod przewodnictwem samego Telliasa wychodzili właśnie z pobliskiego buleterionu, aby wspólnie z dowódcami wojskowymi ocenić sytuację.

— Czy dobrze zrozumiałem? — upewnił się natychmiast Tellias. — Czy ktoś zamierza ewakuować miasto?

— Zrozumiałeś doskonale — odrzekł Deuksippos. — Nie mamy wyboru. Bez zapasów nie jesteśmy w stanie się utrzymać.

— Jesteś szaleńcem albo tchórzem, albo jedno i drugie — wychrypiał Tellias. — Otworzymy bramy, wypuścimy naszych uzbrojonych po zęby chłopców i skopimy zadki tym parszywym łotrom. A potem odbierzemy im zboże i całą resztę i sprawimy, że na zawsze przejdzie im ochota wracać!

— Gdyby to było takie proste — sprzeciwił się Deuksippos — sam bym to zrobił. Ale tak nie jest. Tamci zamkną się w swoim obozie i nie dadzą się wyciągnąć na otwarte pole. Zaczekają, aż padniemy z głodu, a wtedy zaatakują i rozerwą nas na strzępy. Lepiej odejść teraz, póki jeszcze nie jest za późno.

— To niemożliwe... — Tellias potrząsnął głową. — Nie mogę w to uwierzyć. Czy naprawdę nie ma innego wyjścia? Naprawdę nie ma wyboru? Przecież musi być jakiś sposób... Musi!

Jeszcze nie skończył mówić, gdy nagle zjawiła się jedna ze straży pilnujących murów.

— Kampanjscy najemnicy właśnie wyszli przez południową bramę i kierują się do obozu Kartagińczyków. Kiedy usłyszeli, że nie ma co jeść, opuścili swoje posterunki na murach!

— A widzicie? — zawołał Deuksippos. — Gdybym miał jeszcze jakieś wątpliwości, to pozbawiłoby mnie ich całkowicie: od tej chwili ponad stadion murów pozostaje niestrzeżony, rozumiecie?

— Ale tam na zewnątrz są Syrakuzanie i italscy sprzymierzeńcy, na Heraklesa! — odparł z niepokojem Tellias. — Jeszcze możemy zwyciężyć! Posłuchajcie, spróbujmy się porozumieć z Dafneosem i jego sprzymierzeńcami i dopiero wtedy wspólnie podejmiemy decyzję. Nie powinniśmy działać pochopnie. Jeszcze nie jest za późno. — Kiedy jednak wypowiadał te słowa, jego głos był zmęczony, niemal zgaszony.

— Jak sobie chcesz — odrzekł Deuksippos. — Ale trzeba się pośpieszyć. — Wezwał do siebie jednego z wartowników. — Weź konia, wyjeżdż przez wschodnią bramę i udaj się do Dafneosa. Powiedz mu, że skończyły się nam zapasy jadła i że zamierzamy ewakuować miasto, chyba że on ma jakieś lepsze rozwiązanie. Zrozumiałeś?

— Tak — powiedział wartownik i odwrócił się, by odejść.

— Zaczekaj — powstrzymał go Tellias. — Powiedz mu, że jesteśmy gotowi się z nim spotkać, gdzie tylko zechce, choćby zaraz, i zapytaj o oficera imieniem Dionizjusz; to jeden z głównodowodzących. Przekaż, że jeśli dojdzie do spotkania, jego też chcemy widzieć.

— Zrobię tak — zapewnił wartownik, po czym się oddalił.

Po chwili pogalopował w stronę syrakuzkańskiego obozu.

Zaczął wiać wiatr, od którego grabiwały kończyny, z szarego nieba zaś jał padać rzadki deszczyk. Wszyscy schronili się pod podcieniami, długo czekając w milczeniu na powrót posłańca, który miał im przynieść decyzję o losach Akragas. Tymczasem jednak wieść o ewakuacji miasta przechodziła z ust do ust, rozprzestrzeniając się niczym pożar z domu do domu, z dzielnicy do dzielnicy, rozpacz zaś nie oszczędziła żadnego domostwa, nawet wystawnych siedzib bogaczy. Na myśl, że mają opuścić miejsce,

gdzie się urodzili i dorastali, wszystkich ogarniał lęk. do którego dołączały niepewność i niedowierzenie. Po długim dogorywaniu nie umieli się z tym pogodzić, niespodziewanie jednak po wielu miesiącach wojny, z której o dziwo niemal wszyscy wyszli cało. nie było ani ofiar w mieście, ani poważnych strat majątkowych.

Odpowiedź Dafneosa dotarła tuż przed zmierzchem: kazał się stawić władzom i dowódcom wojskowym Akragas pod wschodnim cmentarzem, tam gdzie stykał się on z drogą wiodącą w głąb wyspy, do Kamikos. Wartownik oznajmił, że był przybity i w złym humorze.

— Nie spodziewajcie się cudów — ostrzegł, złożywszy sprawozdanie ze swej misji. — Wygląda na to, że w syrakusańskim obozie panują nie lepsze nastroje niż tutaj.

— Nie spieszymy się z tym twierdzeniem — zmytygował go Tellias. — Zaczekajmy, aż się dowiemy, co ma nam do powiedzenia Dafneos. Nadzwyczajne decyzje podejmuje się dopiero wtedy, gdy naprawdę nic ma już innego wyjścia.

Wydostawszy się przez furtkę po wschodniej stronie, natychmiast ruszyli w drogę i dotarli konno w umówione miejsce. Tellias jechał na mule, spokojnym zwierzęciu, które zdążyło się przyzwyczaić do napadów złego humoru swego pana.

Dafneos zjawił się w towarzystwie swoich dwóch najwyższych dowódców oraz Dionizjusza. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby, w pobliżu zaś czekała ich eskorta — jakichś pięćdziesięciu jeźdźców i ze trzydziestu peltastów. Po ich wyglądzie oraz godłach widniejących na tarczach Tellias zorientował się, że to żołnierze z Syrakuz, Geli i Kamaryny, czyli sycylijscy Grecy, co wydało mu się dziwne. Mimo to przemówił pierwszy, uspokoiła go bowiem nieco obecność Dionizjusza.

— Niektórzy z naszych dowódców, szczególnie zaś stojący po mojej prawicy Deuksippos, uważają, że powinniśmy zaraz jutro ewakuować miasto, ponieważ zapasów wystarczy nam zaledwie na parę dni...

— Na dodatek — wpadł mu w słowo Deuksippos — nasi kampanjscy najemnicy przeszli na stronę wroga, pozostawiając bez obrony odcinek murów długości prawie jednego stadionu.

„Za dużo”, pomyślał Dionizjusz odnosząc wrażenie, że kiedyś już wypowiadał w duchu albo na głos takie słowa, jakby we śnie.

— Widziałem na własne oczy — potwierdził Dafneos,
— To prawda — zgodził się Tellias — ale w mieście nadal są tysiące dobrze uzbrojonych wojowników, ty sam zaś masz tutaj silną i ciągle jeszcze całą armię. Możemy ich zaatakować i pokonać, mam rację?

Dafneos nie od razu mu odpowiedział, a jego przedłużające się milczenie ciążyło każdemu z nich w sercu niczym głaz. Dionizjusz spoglądał w oczy swemu przyjacielowi z wyrazem najwyższego przygnębienia. Wreszcie Dafneos przemówił:

— Niestety już nie: Grecy z Italii właśnie nas opuszczają. Wyjeżdżają jutro.

— Co takiego? — zawołał Tellias. — Chyba sobie drwisz.

— Niestety nie. Powtarzam, że odchodzą.

— A to dlaczego?

— Bo taka była umowa: że zostaną do początków zimy. Muszą przygotować pola do zasiewu i nie chcą, żeby zła pogoda zatrzymała ich zbyt długo z dala od domów. Wprawdzie do przesilenia zimowego brakuje jeszcze siedmiu dni, ale to chyba niewiele zmienia...

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedział Tellias kręcąc ze zdumienia głową. — Nie mogę uwierzyć...

— Sam widzisz — odparł Deuksippos, jakby tylko na to czekał — że miałem rację. Ewakuacja miasta to najlepsze rozwiązanie. Nasze oddziały będą chronić uchodźców.

— Możecie się osiedlić w Leontinój — stwierdził Dafneos. — Miasto jest w budowie... Sprowadzimy nowe...

— To nieprawda... To nieprawda! Musi być inne wyjście... — zawołał Tellias. — Jesteś wojownikiem, na Heraklesa! Musisz mi powiedzieć, dlaczego nie chcesz walczyć. Na co ci zbroja, którą nosisz? Na co ci miecz? — Jego niepokój zdawał się rosnać, piskliwy głos brzmiał zaś jak krzyk zranionego ptaka.

— Musicie się z tym pogodzić — odparł Dafneos. — Nie możemy ryzykować. Jeżeli położę wszystko na jedną szalę w bitwie na otwartym polu, mając o wiele mniej wojska, i przegram, zostawię Syrakuzy bez obrony... A jeśli Syrakuzy też padną, to będzie koniec. Nie mogę tego zrobić; musicie mnie zrozumieć.

— A więc to jest prawdziwy powód: boisz się narażać. Czy nie pojmujesz, że broniąc Akragas, bronisz jednocześnie Syrakuz?

Nie pojmujesz tego? Popełniasz ten sam błąd, który popełnił Diokles w Himerze... Straszny... straszny i głupi...

Dafneos spuścił głowę bez słowa. Tymczasem deszcz rozpadał się na dobre, zalewając hełmy, kirysy i tarcze, które połyskiwały w blasku dalekich błyskawic.

Tellias z twarzą moką od łez i deszczu, ciągle jednak tak samo dumny, zwrócił się do Dionizjusza:

— Ty też tak myślisz? Powiedz, ty też tak myślisz?

Dionizjusz pokręcił głową w milczeniu, po czym podniósł wzrok i popatrzył najpierw na Dafneosa, potem na Deuksipposa z wyrazem najwyżej pogardy.

— Zmówili się, co? — ciągnął niewzruszony Tellias. - Wszystko zaplanowali. Może oni też dali się przekupić... Pewnie, że tak... Bo inaczej dlaczego ktoś miałby nas powiadomić, że flota kartagińska jest bezbronna, chociaż zamierzała właśnie uderzyć na syrakuzkańskie statki? Dlaczego?

— Postradałeś zmysły -- odrzekł Dafneos. — Bredzisz. Nie zabiję cię tylko dlatego, że jesteś nieszczęsnym starcem i nie wiesz, co mówisz. Ale nie mogę słuchać tych bzdur ani chwili dłużej. — Zwracając się do pozostałych doradców z Akragas, którzy oniemieli na dźwięk tych słów, polecił: — Idźcie ocalić życie. Żegnajcie. — Po czym wskoczył na konia i zniknął w ciemnościach wraz ze swą eskortą.

Tellias osunął się na kolana, nie bacząc na silny deszcz. Dionizjusz pomógł mu wstać i objął ramionami.

— Wracaj do miasta — starał się go uspokoić — wracaj do miasta i zaopiekuj się żoną. Przygotujcie się do drogi. Ugosczę was we własnym domu, będę was kochał, jakbyście byli moimi rodzicami... proszę cię... bądź dzielny.

Wtem pusty cmentarz rozświetliła błyskawica, po której nastąpił grzmot. Tellias otarł twarz.

— Nigdy nie opuszczę mojego miasta, chłopcze — odparł. — Rozumiesz? Nigdy! — Po czym oddalił się na swym mule.

Kiedy nazajutrz władze wydały rozkaz ewakuacji, całe miasto rozbrzmiewało płaczem i krzykami rozpacz. Dom Rady otoczył rozwścieczony tłum, nie było tam wszakże nikogo, kto mógłby go wysłuchać albo zmienić zarządzenie. Wszędzie narastał strach, ku wschodniej bramie wylewał się strumień biegnących ludzi, jakby

nieprzyjaciel już zdążył wdrzeć się za mury. żołnierzom zaś z trudem udawało się ich powstrzymać i kierować na drogę wiodącą do Geli.

W chaosie wrzasków i jęków, we wszechogarniającym przerażeniu pozostawiono własnemu losowi słabych starców i chorych, którzy nie znieśliby trudów wędrówki na odległość wielu setek stadionów. Jedni targali się na życie, inni czekali spokojnie na to, co się stanie, w przeświadczeniu że śmierć i tak będzie lepsza niż utrata ojczyzny, najukochańszych miejsc, widoku najpiękniejszego miasta na świecie.

Znaleźli się wśród nich także Tellias i jego żona, która nie chciała zostawić go samego. Dionizjusz na próżno przeczesywał pełnym obaw wzrokiem szeregi uchodźców, na próżno wykrzykiwał imiona najdroższych osób, przemierzając na koniu kolumnę zbiegów tam i z powrotem i wypytyjąc wszystkich, czy ich widzieli. Nie wiedział bowiem, że w tej samej chwili oboje znajdowali się w najwyższym punkcie miasta, na słynnej Skale Ateny, spoglądając suchymi oczyma na wijący się po równinie czarny wąż, na niezmierny tłum uchodźców opuszczających Akragas niczym strumień krwi, która ścieka obficie ze śmiertelnie ранego ciała.

Po czym ulice wypełniły wrzaski barbarzyńców, którzy zalali miasto rabując, niszcząc, zabijając każdego, kto wpadł im w ręce. Gdy podpalili stojącą w dolinie wielką świątynię Zeusa, którą nadal otaczały drewniane rusztowania, cudowne rzeźby przedstawiające upadek Troi, wykute w kamiennym frontonie, ożyły w blasku płomieni nabierając tragicznego realizmu.

Wówczas Tellias, chwyciwszy swą towarzyszkę za rękę, ruszył w kierunku świątyni Ateny Polias, której niebosiężna bryła górowała nad akropolem. Posuwał się powoli, jakby pragnął nacieszyć się ostatnią przechadzką po najświętszej ścieżce miasta. Gdy przystanął pod kolumnadą, obejrzał się za siebie, a wtedy spostrzegł ryczącą lawę zalewającą rampę, która wiodła na dziedziniec i na podium. Wszedł zatem do środka i zamknął drzwi. Objąwszy swą towarzyszkę po raz ostatni i wymieniwszy z nią w milczeniu porozumiewawcze spojrzenia, wziął pochodnię i podłożył ogień pod świątynię.

Splonął wraz ze swą żoną, ze swymi bogami i wspomnieniami.

XIII

Na wszystkich drogach i ścieżkach wiodących do Geli kłębił się nieprzebrany, zrozpaczony i przerażony tłum. Były tam kobiety i dzieci, byli starcy. Zdrowi i silni mężczyźni eskortowali z bronią kolumnę uchodźców. Najstarszych i najsłabszych zostawiono, nie byłiby bowiem w stanie wytrzymać trudów tak długiej podróży. Wiele dziewcząt, nawet tych z arystokratycznych i bogatych rodzin, szło na własnych nogach, niosąc na rękach młodsze rodzeństwo i dając zarazem dowód ogromnej siły ducha i odwagi, wkrótce bowiem ich delikatne stopy przywykłe do wytwornych sandałów pokryły się pęcherzami i ranami. Zagryzały dolną wargę niczym wojownicy w czasie bitwy i połykały łzy, aby nie skłaniać do płaczu młodszych dzieci ani nie wzbudzać jeszcze większych obaw wśród rodziców trawionych już i tak ogromnym niepokojem z powodu niespodziewanego opuszczenia domu, w którym od zawsze mieszkali, i grobów przodków. Były niczym rośliny wyrwane z korzeniami przez wicher podczas burzy, która poniosła je ku nieznanym i niegościnnym miejscom. Do bólu dołączało oszłomienie, wiele spośród nich nie znało bowiem nawet przyczyny owego nagłego i przerażającego nieszczęścia, z każdym krokiem zaś dowiadywało się często bezsensownych i sprzecznych ze sobą szczegółów.

Nie miały żadnej osłony przed zimnem i deszczem ani przed niewygodami i trudami marszu wbrew własnej woli, nieliczne też zabrały ze sobą jadło, jeszcze bardziej nieliczne wodę. Brnęły w pokrywającym drogę błocie, co pewien czas oglądając się

za siebie, jakby przywoływane przez czyjeś nagłące głosy, wspomnienia, żal i obrazy całego życia, jakie zostawiały z tyłu. Oprócz głodu i zmęczenia musiały się zmagać z lodowatym wiatrem, strugami deszczu, ołowianym i nieprzyjaznym niebem.

Jedyną pociechę stanowiła obecność ojców, synów i mężów, którzy znajdując się nadal w szeregach armii, starali się w miarę możliwości iść obok nich, aby patrząc na przyjazne twarze, czerpały siły do dalszej wędrówki.

Dionizjusz tak długo krążył tam i z powrotem wzdłuż kolumny w poszukiwaniu Telliasa i jego małżonki, wypytując każdego, kogo znał albo wydawało mu się, że zna, lecz na próżno, aż w końcu otrzymał odpowiedź, którą od dawna bał się usłyszeć.

— Tellias został w mieście. Widziałem go razem z żoną. Kiedy wszyscy uciekali przez wschodnią bramę, on wspiął się na akropol trzymając ją za rękę. Uparty starzec! Zawsze wszystko robił po swojemu.

Na te słowa Dionizjusz spiął konia, dogoniwszy zaś Dafneosa na czele kolumny, poprosił o zgodę, by mógł zawrócić.

— Postradałeś zmysły. Po co? — zapytał tamten.

— Z tyłu zostali moi przyjaciele. Chcę im pomóc.

— Niestety nie ma już nikogo, komu można by pomóc. Wiesz, jak oni postępują. Zdrowych biorą do niewoli, żeby ich potem sprzedać, resztę zabijają. Kim byli twoi przyjaciele?

Dionizjusz pokręcił głową.

— Nieważne — odparł — nieważne.

Po czym zawrócił wzdłuż kolumny. Uderzył go widok powalanej błotem i przemarzniętej dziewczyny, która posuwała się naprzód trzymając za ręce dwoje dzieci, zapewne młodsze rodzeństwo. W pewnym stopniu przypominała mu Arete i jakże zatrważająco podobne okoliczności, w których się poznali, i wydało mu się niemal, że bogowie pozwalają mu w ten sposób pomóc jej po raz wtóry, uśmierzyć ból, który z pewnością nie przestał jej dręczyć w Hadesie.

Podjechawszy do dziewczyny, zsiadł z konia i podał jej swój płaszcz.

— Weź go — powiedział — mnie nie jest potrzebny.

Dziewczyna posłała mu błady uśmiech, po czym ruszyła dalej w strugach deszczu.

Kartagińczycy osiedlili się w Akragas, zagarnawszy uprzednio ogromne łupy, jakie można zdobyć jedynie w mieście, którego przez dwieście lat nikt ani nie podbił, ani nie splądrował. Nie zburzyli wszakże domów, jako że pragnęli spędzić w nich zimę. Takie postępowanie wyraźnie świadczyło o tym, że ani myślą przerwać swój zwycięski pochód. Nie zamierzali się zatrzymać, dopóki na Sycylii pozostanie choć jedno greckie miasto.

Teraz nową granicę stanowiła Gela, miasto, w którym zmarł wielki tragik Ajschylos. Na jego grobie wyryto epitafium, lecz ani jedno słowo nie opiewało go jako poety, uwieczniono go tylko jako wojownika, który walczył pod Maratonem przeciw Persom. Słowa te brzmiały jak przestroga w tej wszechogarniającej udreće. Uchodźców z Akragas umieszczono w Leontinoj, gdzie mieli przeczekać, aż będą mogli wrócić.

W Geli Dafneos odbył naradę ze swymi dowódcami, wśród których znaleźli się Spartanin Deuksippos i miejscowi komendanci.

— Co myślicie uczynić? — zapytał. — Jakie są wasze zamiary?

— Chcemy dać im odpór — oznajmił naczelny wódz Geli, pięćdziesięcioletni mężczyzna o imieniu Nikander.

Był to arystokrata, twardy wojownik ze starej szkoły, który wydawał się całkowicie zdeterminowany, mimo że każdy rys, każda bruzda na twarzy zdradzały dręczący go niepokój.

— Skoro taką podjęliście decyzję — rzekł Dafneos — pomożemy wam. Zrobimy wszystko co w naszej mocy, aby odepchnąć barbarzyńców i uniknąć kolejnej katastrofy. To co stało się w Akragas, już się nie powtórzy. Była to rzecz nieprzewidziana, może nawet zdrada, która nas zaskoczyła w ostatniej chwili, kiedy byliśmy pewni zwycięstwa.

— Nigdy nie należy mówić o zwycięstwie, dopóki wróg nie został całkowicie unieszkodliwiony — odparł oschle Nikander. — Niemniej dziękuję wam w imieniu miasta za gotowość stanięcia u naszego boku.

— Deuksippos i jego najemnicy zostaną z wami aż do wznowienia działań wojennych — powiedział Dafneos.

„Deuksippos to głupiec — uznał w duchu Dionizjusz — o ile nie sprzedawczyk.” Nie odezwał się wszakże ani słowem. Stał

w głębi sali Rady, wsparty plecami o ościeżnicę drzwi ze splecionymi dłońmi niczym kariatyda, jego twarz zaś nie zdradzała żadnych emocji, jakby był z marmuru. Myślał o Telliasie, o żonie, którą kochał, a której miał nigdy więcej nie zobaczyć, i o mękach, jakie musiała wycierpieć przed śmiercią, o Akragas, które zniszczono i któremu zadano gwałt, o dziewczynie, której oddał swój płaszcz, a która teraz leżała być może wycieńczona w błocie, zostawiwszy płaczące na deszczu rodzeństwo. On także miał ochotę płakać, krzyczeć, złorzeczyć.

Gdy wykonał powierzone mu zadania, odszedł ciemną ulicą wiodącą ku zachodniej bramie, pogrążony w zadumie, w głębi serca żywiąc przekonanie, że Gela padnie tak samo jak Selinunt, Himera czy Akragas z powodu nieudolności dowódców, tchórzostwa Dafneosa i głupoty Deuksipposa. Chociaż władze miasta zapewniły mu kwatery w prytanejonie, wolał wynająć na własny koszt mały domek pod murami, nie chciał bowiem mieszkać z pozostałymi oficerami, których nie darzył szacunkiem.

Przekroczywszy próg, natychmiast wszedł na górny taras, aby napawać się widokiem miasta i morza. Oto co należało zrobić: przyglądać się, badać, poznawać, utrwalić w głowie każdy szczegół krajobrazu, drogi dostępu i ucieczki, słabe punkty w murach obronnych, najkrótsze szlaki do dowozu żywności, układ prądów morskich, wiatrów na niebie, przejścia w głąb wyspy i wzdłuż brzegu. Potem zaś podjąć decyzję, zacisnąć zęby i iść naprzód za wszelką cenę, nie słuchając nikogo, aby zniszczyć, rozgromić, unicestwić. Właśnie na tym polega dowodzenie armią i prowadzenie jej do zwycięstwa. Cóż mogli o tym wiedzieć ci tchórze, co to potrafili jedynie gadać, gęby zaś mają pełne szumnych obietnic, których nigdy nie zdołają dotrzymać!

Wtem przez gęste chmury przebiło się na chwilę słońce, zalewając wszystko po raz ostatni czerwonym i fioletowym blaskiem, nim zupełnie zniknęło za horyzontem. Morze natychmiast przybrało barwę płynnego ołowiu, pęczniąc pod silnym naporem ciepłego wiatru południowo-zachodniego, spienione szare bałwany przewalały się zaś z hukiem aż pod wzgórze Geli. W domach zaczęto zapalać światła, przez dachy jął się wydobywać dym, a zza zasłony postrzępionych chmur niczym biała zjawia wyzierał księżyc. Dionizjusz westchnął.

Z zamyślenia wyrwało go niespodziewanie natarczywe łomotanie w drzwi, toteż zbiegł na parter i zapytał:

— Kto tam?

— To ja, wpuść mnie — usłyszał głos Filistosa.

— Wchodź, prędko — powiedział Dionizjusz otwierając drzwi. — Przemokłeś do suchej nitki, daj mi płaszcz.

Filistos przekroczył próg posiniały z zimna i szczękający zębami.

— Zaczekaj, zaraz rozniecę ogień. — Przypaliwszy płomyk od lampki oliwnej płonącej przed wizerunkiem namalowanym na ścianie, przytknął go do wiązki pędów leżącego na kamieniu paleniska pośrodku surowej komnaty. Natychmiast rozległ się syk gałązek sosnowych, które paliły się dając przyjemne ciepło. — Nie mam zbyt wiele jadła — oświadczył. — Kawałek chleba, jeśli ci to odpowiada, i trochę sera. A do picia tylko wodę.

— Nie przyszedłem tu po to, żeby jeść ani pić — odrzekł Filistos. — Przynoszę pozdrowienia od twojego brata Leptinesa, od przybranego ojca Helorisa i od przywódców Bractwa. Wieść o klęsce Akragas już dotarła do Syrakuz, więc w mieście panuje zamęt. Co postanowiono tutaj, w Geli?

— Stawić opór — odparł Dionizjusz umieszczając chleb i ser na kamieniu paleniska, aby się ogrzały, i dokładając odrobinę drewna.

Filistos wzruszył ramionami.

— Tak jak w Akragas, Himerze i Selinuncie.

— Właśnie.

— Nie możemy patrzeć z założonymi rękami na kolejną katastrofę.

— Jest tylko jeden sposób, żeby jej uniknąć — oznajmił Dionizjusz patrząc mu prosto w oczy w blasku płomieni.

— Też tak sądzę. Jesteś gotów?

— Tak — przytaknął Dionizjusz.

— My również.

— Więc zacznijmy działać. Dołączę do was w Syrakuzach.

— Kiedy?

— Kiedy wróci wojsko.

— Za późno. Wszystko gotowe na najbliższe Zgromadzenie. Dokładnie za siedem dni.

— Nie mogę tak po prostu wyjechać. Dafneos tylko czeka, żeby oskarżyć mnie o dezercję i ustawić przed oddziałem łuczników z rękami związanymi za plecami.

— Ja się tym zająłem. Jutro o świcie otrzyma rozkaz od Rady, która będzie się domagać twojego natychmiastowego powrotu w sprawach wagi państwowej. Oczywiście fałszywy. Musisz się sprzeciwić, jakby ci to było nie w smak. Ale rzecz jasna niezbyt mocno.

— Zrozumiałem.

— Doskonale. Będę na ciebie czekał w Kamarynie, w domu Proksenosa, płatnerza wytwarzającego tarcze, a dalej pojedziemy razem.

Dionizjusz pokiwał głową w milczeniu, wpatrzony nieruchomo w płomienie.

— Wiesz już o Telliasie? — zapytał znienacka.

— Co takiego?

— Został w Akragas razem z żoną.

— Można się było spodziewać, że nie opuści miasta. Nie umiałby się pogodzić z upokorzeniem klęski i wypędzenia.

— Straciłem ich. Byli mi bardzo bliscy.

— Wiem. Oni także cię kochali jak syna, o którym zawsze marzyli, lecz którego nigdy nie mieli.

— Wielu będzie musiało za to zapłacić. I Grecy, i barbarzyńcy.

Filistos nie odpowiedział. Chwyił płaszcz rozwieszony do wyschnięcia nad ogniem.

— Przecież jest jeszcze mokry — zaprotestował Dionizjusz.

— Nieważne. Nie mam czasu czekać, aż wyschnie. Muszę wracać.

— Już ciemno. Prześpij się tutaj, a wyruszysz jutro o świcie.

— Ostatnio zawsze jest ciemno, więc co za różnica? — Filistos zarzucił sobie płaszcz na ramiona i wyszedł.

Dionizjusz stał na progu wpatrując się w oddalającą się zakapturzoną postać i wsłuchując w pomruki burzy, które rozległy się w oddali nad wierzchołkami gór hyblajskich.

Nazajutrz tuż po wschodzie słońca wezwał go do siebie Dafneos.

— Musisz czym prędzej ruszać do Syrakuz — oświadczył.
— Najpóźniej za trzy dni masz się stawić przed Radą. Możesz zmieniać konie na naszych stacjach wzdłuż drogi.

— Dlaczego muszę jechać? Jestem bardziej potrzebny tutaj.

— Musisz jechać, bo ja ci każę. Poradzimy sobie doskonale i bez ciebie.

Dionizjusz udał, że się poddaje z niechętną rezygnacją, nim jednak wyszedł, rzucił okiem na leżącą na stole wiadomość, na której pozostały jeszcze resztki woskowej pieczęci. Po czym spojrział w oczy swemu dowódcy z nieodgadzionym wyrazem twarzy, który nie wróżył wszakże nic dobrego.

Dotarł do Kamaryny przed wieczorem galopując jak szalony, po czym zatrzymał się na noc w domu płatnerza Proksenos.

Wiść o upadku Akragas wywołała w mieście trwogę, toteż niektórzy zaczęli się przygotowywać do drogi w głąb wyspy, szczególnie posiadacze większych i mniejszych majątków ziemskich, jednakże zarówno władze, jak i Zgromadzenie Wojowników postanowiły już wysłać posiłki do Geli, gdyby została zaatakowana, i bronić jej za wszelką cenę.

— Wreszcie zrozumieli, że nikt nie jest w stanie się sam obronić — stwierdził Filistos.

— Moim zdaniem zawsze to wiedzieli — odparł Dionizjusz.

— Akragas miało armię dwa razy większą od tej, którą Ateńczycy wystawili przeciwko nam podczas wojny. Zawsze jednak brakowało człowieka, który potrafiłby ją poprowadzić.

— To prawda — przyznał Proksenos. — Właśnie to samo ma teraz miejsce w Atenach. Pojechałem tam trzy miesiące temu, żeby sprzedać broń. Nigdy się nie pozbierali po tych ciężach, które dostali tu, na Sycylii. Na dodatek wypędzili właśnie jednego człowieka, który umiał jeszcze wygrać bitwę morską: Alcybiadesa, siostrzeńca Peryklesa. Oskarżyli go o to, że zabawił się z dziewczynkami, kiedy jego flota walczyła z Lizandrem, co może i było prawdą, ale za to teraz komu powierzyli dowództwo? Kononowi, biedaczynie, co to nigdy w życiu nie wygrał żadnej bitwy, a który już na samym początku dał się osaczyć w porcie Mytilene.

— A do teatru poszedłeś? — zapytał Filistos chcąc zmienić temat.

— Tak, chociaż już prawie nie ma co oglądać. Po śmierci Eurypidesa i Sofoklesa tragedia właściwie już nie istnieje. Pozostało się jedynie śmiać. Widziałem pewną komedię Arystofanesa i muszę przyznać, że turlałem się ze śmiechu. Nie było dotąd nikogo, kto skopałby równie mocno tyłki rządzącym, adwokatom, filozofom, a nawet publiczności, a i tak wszyscy ryczą ze śmiechu jak oszalali.

— Gdyby Spartanie zwyciężyli — wtrącił Dionizjusz, z powrotem kierując rozmowę na poprzedni temat — mogliby spokojnie wysłać wojsko i flotę na Sycylię, żeby nam pomóc.

— Nie licz na to — odrzekł Proksenos. — Oni też mają dosyć wojen. Zatargi trwają już blisko trzydzieści lat. Bez względu na to, jak się zakończą, nie będzie ani zwycięzców, ani pokonanych. Wszyscy opłakują swych najlepszych synów zabitych w boju, spalone pola, zburzone domy, dziesiątki miast zmiecionych z powierzchni ziemi, całe populacje wzięte do niewoli. Nie mówiąc już o zamieraniu handlu, o niebotycznie wysokich cenach czy niedostatku towarów pierwszej potrzeby.

— Tutaj jest inaczej — upierał się Dionizjusz. — Teraz gra toczy się o nasze istnienie... Ale to nieistotne, jeśli będzie trzeba, poradzimy sobie sami. Tak, sami.

Kilka dni później Filistos i Dionizjusz dotarli do Syrakuz, w samą porę, aby uczestniczyć w Walnym Zgromadzeniu. Dionizjusz miał zabrać głos dwunasty w kolejności. Siedzący obok niego Leptines co chwila wymieniał porozumiewawcze spojrzenia i nieuchwytnie znaki z przyjaciółmi z Bractwa, rozproszonymi w różnych miejscach. Gdy nadszedł czas, archont sekretarz podniósł tabliczkę z literą „M”, co oznaczało, że kolej na numer dwunasty, i Dionizjusz zabrał głos.

Nie bacząc na zimowy chłód miał na sobie jedynie krótką wojskową tunikę, toteż z podium, na które wstąpił, widać było wyraźnie na ramionach i udach świeże rany odniesione w bitwie. Zewsząd powitały go pomruki i oklaski. Podniósłszy muskularne ramiona z prośbą o ciszę, zaczął mówić.

— Obywatele i władze Syrakuz! Przyszedłem obwieścić wam kolejną klęskę. Wiem, że dotarła już do was wiadomość o upadku Akragas i końcu, jaki spotkał to waleczne miasto będące zawsze

naszym sprzymierzeńcem i bratem. Sądzę jednak, że nikt nie potrafi lepiej ode mnie opisać wam największej katastrofy, jakiej byliśmy świadkami w ostatnich latach, a powstałej wskutek bezmyślności dowódców naszych oddziałów...

Wówczas archont sekretarz wstał i przywołał go do porządku.

— Zważaj na słowa. Nie wolno ci obrażać ludzi, którzy nadal cieszą się zaufaniem miasta jako naczelni wodzowie wojska.

— Wobec tego będę bardziej dokładny — podjął na nowo Dionizjusz i zagrzmiał: — Oskarżam tutaj przed wami Dafneosa i jego dowódców o najwyższą zdradę i spiskowanie z wrogiem!

— Tak poważne i sformułowane w taki sposób oskarżenie — przerwał mu po raz drugi archont sekretarz — jest przestępstwem. Zostajesz ukarany grzywną w wysokości dziesięciu min. Straż, wykonać!

Dwaj najemnicy na służbie ruszyli ku Dionizjuszowi, aby wyegzekwować odeń wyznaczoną kwotę, a jeśliby jej nie miał przy sobie, co było wielce prawdopodobne, zatrzymać go. Natychmiast wszakże poderwał się z miejsca Filistos i podniósłszy do góry rękę, krzyknął:

— Ja zapłacę, mów dalej! — Jednocześnie na oczach zdumionego archonta sekretarza wysłał niewolnika, aby uiścił dziesięć min.

— Oskarżam ich o zdradę — ciągnął Dionizjusz — jako że mając ostateczne zwycięstwo na wyciągnięcie ręki powstrzymali nas w biegu i zmusili do poddania się. Zdradzili w dwóch osobach, albowiem wykorzystali nasze poczucie dyscypliny oraz posłuszeństwo wobec ojczyzny i dowódców, aby otworzyć barbarzyńcom drogę ucieczki, która była całkowicie zamknięta.

W całym Zgromadzeniu rozległy się okrzyki, oklaski i nawoływania — wszędzie tam, gdzie licznie przybyli członkowie Bractwa dawali wyraz swojej radości bądź niezadowoleniu, obwieszczając je energicznie także sąsiadom.

Tymczasem archont sekretarz, osłupiały z powodu owej niepohamowanej oracji i niewiarygodnego sposobu postępowania, wpatrywał się z niepokojem w przesypany się w klepsydze piasek, czekając na chwilę, w której zgodnie z przepisami będzie mógł nałożyć następną, jeszcze większą grzywnę.

— Dwadzieścia min! — wrzasnął, ledwie ujrzał, że górne na czynie jest puste, nie zwracając nawet uwagi na słowa, jakie właśnie wypowiadał Dionizjusz.

— Zapłacone! — zawołał Filistos podnosząc dłoń.

Wówczas odezwał się kolejny pomruk, jakby ludzie siedzieli właśnie na stadionie zagrzewając do walki ulubionego zawodnika, Dionizjusz zaś ciągnął swą nieprzerwaną przemowę wspominając najistotniejsze chwile bitwy, bezsensowne decyzje, dramatyczną naradę z przedstawicielami miasta i wreszcie głupi rozkaz ewakuacji miasta. Opowiedział również o pogłosce, jakoby kartagińskie okręty zawinęły do portu w Panormos na zimę, gdy w rzeczywistości szykowały się do ataku na niespodziewającą się niczego flotę syrakusańską. Bez żadnych skrupułów przypisał tę wiadomość Dafneosowi i jego kompanom, w głębi serca był bowiem przekonany, że to prawda, i uznał, że niemożliwość udowodnienia tego ma drugorzędne znaczenie.

Archont sekretarz obwieszczał płacziwym głosem coraz to nowe i coraz wyższe grzywny, szczęśliwie natychmiast uiszczane przez Filistosa, którego sakiewka zdawała się nie mieć dna, toteż chwilami odnosiło się wrażenie, że nastąpił właśnie kulminacyjny moment najbardziej dramatycznego zgromadzenia w dziejach miasta, innym znów razem wyglądało to zupełnie jak licytacja, - podczas której najczęściej sprzedawanym towarem była prawda.

W końcu jednak archont sekretarz się poddał pozwalając Dionizjuszowi, by zalał wszystkich obecnych porywającym potokiem słów. Jego mowa rozpaliała, wspomnienia i przywoływane przezeń obrazy wzruszały sprawiając, że każdy trząsł się ze złości i oburzenia, krzyczał z wściekłości, rozczarowania i zgorznienia.

Czując, że trzyma całe Zgromadzenie w garści, zakończył swe wystąpienie, był bowiem pewien, że niczego mu już nie odmówią.

— Obywatele! — zawołał gromkim głosem. — Barbarzyńcy zrównają z ziemią także nasze miasto, chociaż zwyciężyło Ateny, a wtedy ujrzycie, jak gwałcą wasze żony i zakuwają w łańcuchy waszych synów, którym będą zadawać potworne męki, a potem poderzną im gardła. Ja ich widziałem, walczyłem z nimi i zabiłem ich setki, aby ocalić naszych braci z Selinuntu, Himery i Akragas, ale ani miłość, ani męstwo jednego człowieka nie wystarczą, by

uratować zagrożoną ojczyznę. Wy, którzy narażacie życie na polu walki, dźierzycie tarcze i włócznie, powinniście wybierać swoich dowódców nie podług ich majątku i rangi społecznej, lecz podług szacunku, jakim ich darzycie! Powinniście zaocześnie wydać wyrok na tych oficerów bez honoru, co zdradzili i sprzedali się wrogom, skazać ich na wieczną banicję, a nawet na śmierć, jeżeli ośmielą się wejść do miasta bez waszego pozwolenia, a następnie wybrać tych, których szanujecie: tych, których zawsze widzieliście w walce z honorem i zapałem, tych, którzy nigdy nie porzucili tarczy i nie uciekli. To właśnie oni powinni poprowadzić do boju was i waszych sprzymierzeńców. Połóżmy wreszcie kres owemu haniebnemu szeregowi porażek i rzezi! Jak inaczej bowiem barbarzyńscy najemnicy mogliby pokonać zdyscyplinowanych i walecznych obywateli, jeśli nie przez zdradę? Powiem więcej: ci, co nami rządzą, to nieudacznicy, którzy nie zasługują na powierzane im zadania. Przepędźmy ich raz na zawsze i wybierzmy kogoś, kogo darzymy zaufaniem!

W Zgromadzeniu podniósł się tak straszny harmider, że Dionizuszowi i Filistosowi z trudem udało się przywołać spokój. Następnie Heloris przedstawił czym prędzej pod obrady propozycję, by skazać zaocześnie nikczemnych dowódców. Kiedy przeszła przytłaczającą większością głosów, odczytał listę kandydatów na głównych dowódców wojskowych, w większości nikomu nieznanym, z wyjątkiem Dionizjusza, który uzyskał niemal jednogłośnie aprobatę.

Kiedy w południe opuszczał Zgromadzenie pośród owacji, był najpotężniejszym człowiekiem w Syrakuzach, pozostali dowódcy zaś znaczyli przy nim tyle co nic i zawdzięczali mu wszystko, także to, że zostali wybrani.

Trzy dni później Dafneos i jego kompani otrzymali kopię zapisu posiedzenia wraz z wyrokiem skazującym na banicję. Dionizusz zaś, któremu powierzono naczelne dowództwo sił zbrojnych, stanął przed wojskiem odziany we wspaniałą zbroję ozdobioną srebrem i miedzią, dźierząc w prawej dłoni włóczęnię, a w lewej tarczę z wizerunkiem gorgony z zakrwawionymi kłami. Okrzyki i owacje jego wojowników słychać było aż w świątyni Ateny na akropolu, ich echo zaś odbijało się głośno o wielkie odrzwia z brązu.

XIV

Wynnani dowódcy syrakuzkańscy udali się tymczasem do Heny, gdzie osiedlili się w oczekiwaniu na lepsze czasy. Z pewnością musieli sobie zdawać sprawę z tego, co czuły setki, a niekiedy nawet tysiące obywateli, których przepędzono tylko dlatego, że ich frakcja polityczna poniosła klęskę. Dafneos zabrał się do przygotowywania powrotu, pod koniec zimy wszakże znaleziono go w domu martwego. Powiadano, że była to egzekucja na rozkaz Dionizjusza, wykonana przez paru członków Bractwa.

Z kolei sam Dionizjusz robił wszystko, by umocnić swoją władzę w mieście i poprowadzić wojnę po swojemu. Nie zamierzał iść na żadne ustępstwa. Nie chciał żadnych ograniczeń.

— W demokracji to trudne — zauważył Filistos w czasie rozmowy w swoim domu.

— Chcę zwyciężyć, lecz zęby zwyciężyć, muszę mieć pełną władzę.

— Diokles miał pełną władzę w Himerze, Dafneos zaś w Akragas, a i tak obaj przegrali.

— Przegrali, bo byli nieudolni. Gdyby posiadali jeszcze większą władzę, byłoby gorzej. Mnie się to nie przydarzy: wiem, co powinienem zrobić, przysięgam, mam wszystko poukładane w głowie. Pamiętasz tamtą noc w Geli?

— Tak, ależ była psia pogoda...

— Kiedy wyszedłeś, położyłem się, bo byłem śmiertelnie zmęczony, ale nie mogłem zasnąć, więc udałem się na przechadzkę po mieście, wzdłuż murów, po galerii od strony morza i w głąb łądu. Potem wracałem tam jeszcze wiele razy, nie przyznając się,

kim jestem. Himilko wkrótce uderzy na Gełę. ledwie nastanie wiosna, a ja rozerwę go na strzępy.

— Uważaj.

— Wiem, co mówię. Wyruszysz, kiedy tylko będzie można pływać po morzu, i udasz się do naszych italskich sprzymierzeńców do Lokri, do Krotonu i przekonasz ich, żeby przysłali nam całe wojsko, jakie tylko mają. Jeśli trzeba, sporządź fałszywy dokument w języku punickim zawierający plan inwazji na kolonie greckie w Italii, powiedz, że znaleźliśmy go u jakiegoś szpiega i... Zresztą jesteś znakomity w tych sprawach. Wiesz, co mam na myśli.

— Wiem.

— Zrobisz to?

— Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? — uśmiechnął się Filistos.

— Dobrze. Teraz muszę się pozbyć następnych dowódców, przynajmniej tych, którzy mi przeszkadzają.

— Nie możesz tego zrobić.

— Oczywiście, że mogę.

— Wiesz, co to oznacza, prawda?

— To nie to, co myślisz. Na razie chcę tylko podważyć ich zaufanie. Rozpuścimy pogłoski, że skumali się z Kartagińczykami i że opłaca ich Himilko.

— Nie licz na mnie. Ci nieszczęśnicy nic nie zawinili i dobrze o tym wiesz. To ohydny sposób.

— Ale niezbędny, żeby ocalić miasto.

— Tylko że ocalenie miasta zbiega się z twoją władzą.

— Z moim przewodnictwem. Sam powinienem poprowadzić naród do walki, bo tylko ja potrafię ocalić miasto przed zagładą, świątynie przed profanacją, a naród przed niewolą.

Filistos długo milczał nie wiedząc, co powiedzieć. Przechadzał się tam i z powrotem po izbie ze wzrokiem wbitym w podłogę, czując na sobie spojrzenie Dionizjusza.

— Wiesz co? — zapytał w pewnej chwili, przystając na środku izby. — Powinieneś być się urodzić w epoce Homera. To były czasy dla ciebie. Powinieneś być się urodzić królem jak Achilles, Diomedes, Agamemnon... Tylko że te czasy się skończyły... na zawsze i już nigdy nie wrócą. Żyjemy w wielkich miastach, gdzie wszystkie warstwy społeczne chcą mieć swoich przedstawicieli

i gdzie przywódców wybiera się i pozbawia stanowisk w zależności od ich zasług bądź przewinień.

— W zależności od intryg, jakie knują! — zawołał Dionizjusz.

— Intryg? A ty sam co zamierzasz zrobić? W czym jesteś od nich lepszy?

Wówczas Dionizjusz podszedł doń w milczeniu, w jego wzroku zaś płonął taki żar, że Filistos przeraził się, iż zaraz go uderzy. On jednak spuścił tylko głowę i rzekł cicho:

— Potrzebuję twojej rady, twojej przyjaźni. Nie zostawiaj mnie. Nie potrafię ci wytłumaczyć, w czym jestem od nich lepszy, mogę tylko zapytać, czy wierzysz we mnie czy też nie, czy jesteś moim przyjacielem czy nie, czy jesteś ze mną czy przeciw mnie, Filistosie.

— Przecież masz Leptinesa. To twój brat.

— Leptines to dzielny chłopak i jest mi wierny, ale ja potrzebuję twojej przebiegłości, doświadczenia, a przede wszystkim jak już mówiłem, twojej przyjaźni... Co ty na to?

— Żądasz ślepego posłuszeństwa i niezachwianej wiary w twoją wizję świata.

— Właśnie tego żądam. W imię wszystkiego, co nas łączy, wszystkiego, przez co razem przeszliśmy.

Filistos westchnął.

— Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko. Istnieją wszakże zasady moralne, którym trudno się sprzeniewierzyć... Bardziej niż trudno: to sprawia ból.

— Wiem — zgodził się Dionizjusz. — I chociaż może ci się to wydać dziwne, rozumiem cię. Tak czy inaczej sprawa jest zawiła, ale zarazem prosta: musisz zajrzeć w głąb siebie i przekonać się, czy przyjaźń, jaką mnie darzysz, jest silniejsza od zasad. Nic więcej. Ale muszę znać odpowiedź. Natychmiast.

Filistos zamilkł, wpatrując się przez okno w przelatujące między drzewami mewy i w zagłowce w Wielkim Porcie, w czerwone dachy Ortygii i w świątynię Ateny. Kiedy się odwrócił, miał wilgotne oczy i wyglądał, jakby stracił zwykłą pewność siebie, jakby przestał panować nad własnymi uczuciami.

— Jestem z tobą — westchnął. — Jestem gotów podążyć za tobą...

— Aż do piekieł?

— Aż do piekieł.

Uściskawszy go, Dionizjusz spojrział mu w oczy.

— Wiedziałem, że mnie nie opuścisz.

— O mało tego nie zrobiłem.

— Zawsze jeszcze możesz to uczynić. Nikt cię nie trzyma.

Filistos nie odezwał się więcej. Dionizjusz wręczył mu tabliczkę ze spisem imion...

— To dowódcy, których trzeba usunąć z drogi. Pozostali zawdzięczają nam to, że w ogóle ich wybrano, więc przynajmniej przez jakiś czas będą robić, co im każe.

Filistos skinął głową i wziął tabliczkę, Dionizjusz zaś ruszył ku wyjściu.

— Zaczekaj.

Stojący już w progu Dionizjusz przystanął.

— Kiedyś byłeś inny, nigdy cię takiego nie znałem. Skąd tyle bezlitosnej twardości?

W oczach Dionizjusza załśnił błysk rozpacz. Pojawił się tak niespodziewanie i trwał tak krótko, że był prawie niezauważalny.

— Dobrze wiesz skąd — odparł.

Po czym wyszedł.

Filistos tymczasem wrócił wolnym krokiem do okna, by popatrzeć na fruujące mewy. Jedyne przelatujące tuż-tuż pod dachem jaskółki zdołały dostrzec jego łzy.

Siedem dni później w wąskich zaułkach Ortygii w samym środku nocy rozległy się ciężkie kroki najemników Dionizjusza: sześciu spośród najwyższych dowódców wchodzących w skład rady wojennej wyrwano ze snu, zatrzymano i wtrącono do więzienia pod zarzutem spiskowania z wrogiem. Czterej pozostali pospieszyli dowieść ślepego posłuszeństwa niekwestionowanemu wodzowi. Uwięzionych zastąpili przyjaciele Dionizjusza, wśród których znalazł się jego przybrany ojciec Heloris, brat Leptines oraz druhowie Biton, Jolaos i Doriskos, wszyscy należący do Bractwa.

Tego roku wiosna nadeszła z opóźnieniem, liczne sztormy zaś uniemożliwiały na długo pływanie po morzu. Himilko opuścił Akragas prawie z początkiem lata, zdążył wszakże przedtem spalić

i zbezczęścić świątynie oraz zniszczyć zdobiące je wizerunki. Posągi bogów i herosów, często prawdziwe arcydzieła, roztrzaskano młotkiem. Natomiast wszelkie przedmioty z brązu, srebra, złota i kości słoniowej zrabowano i wywieziono do Kartaginy. Znajdował się wśród nich słynny spiżowy byk, którym jakoby posługiwał się tyran Falaris, aby zadawać męki i śmierć swym politycznym przeciwnikom. Kartagińczycy wysłali go do Tyru, swojej metropolii, na znak czci i szacunku.

Po czym armia ruszyła łądem na Gełę, podczas gdy flota podążała za nią przez morze, przewożąc rozłożone na części maszyny oblężnicze.

W pierwszej chwili mieszkańcy Geli postanowili ewakuować kobiety i dzieci do Syrakuz, kobiety jednak nie chciały się zgodzić. Podobnie jak uczyniły to przed nimi obywatelki Selinuntu i Himeru, schroniły się w świątyniach i obejmując kurczowo ołtarze oświadczyły, że za nic w świecie nie opuszczą miasta i swoich domów. Nie było sposobu, aby je przekonać, powtarzalność ich gestów oraz towarzyszących im okoliczności sprawiała jednak wrażenie powielającej się monotonię przepowiedni, która sprawdziła się zbyt wiele razy.

Z początku Himilko zamierzał odbić na wschód od miasta, ku rzece Geli, jak uczynił w Akragas, w końcu wszakże zrezygnował i rozbił obóz na zachodzie. Następnie kazał wznieść wieże oblężnicze i zaczął walić w mury taranami.

Podobnie jak w Selinuncie mury Geli postawiono w czasach, kiedy nikomu się nawet nie śniło o takich maszynach oblężniczych, toteż już po pierwszych uderzeniach taranów jęły się kruszyć i ustępować. Za to nocą, gdy wycieńczeni walką wojownicy starali się odzyskać siły podczas snu, kobiety, dzieci i starcy pracowali niczym mrówki, naprawiając zniszczenia, łątajac dziury, wzmacniając mury wszędzie tam, gdzie zdawały się osłabione i uszkodzone. Minął w ten sposób ponad miesiąc, podczas którego żadna ze stron nie zdołała zdobyć przewagi.

Rozdrażnieni zaciętym uporem mieszkańców Geli, Kartagińczycy wyładowali całą złość na jednym z najświętszych symboli miasta: olbrzymim posągu Apollina, który stał za murami w pobliżu ich obozu. Miał dwadzieścia dwie stopy wysokości i tkwił na brzegu od niepamiętnych czasów, znacząc miejsce, do którego

przybyli założyciele osady, i przypominając, że to właśnie bóg Apollo Archiegetes prowadził ich przez morze aż pod wzgórze, gdzie zbudowali swoje miasto.

Przy użyciu machin obležniczych i kabestanów Kartagińczykom udało się go najpierw zerwać z piedestału, a następnie przechylić. Na koniec przeciągnąwszy go po nasmarowanych łożem drewnianych pomostach, załadowali na statek i wysłali do Kartaginy.

Widok owej statui oddalającej się od Geli był ciosem w samo serce dla wszystkich, tak jakby za jednym zamachem została wymazana cała historia miasta. Odwaga i gniew walczących były jednak ciągle wystarczająco potężne, by zagrzewać ich do boju dostarczając wciąż nowych sił.

Czas mijał, dowódcy Geli zaś wysyłali nieustannie rozpaczliwe prośby o pomoc do Syrakuz, gdzie Dionizjusz nie zdążył jeszcze uporać się całkowicie ze Zgromadzeniem. Podczas burzliwej narady zaproponował, by wezwać wygnańców, którzy usiłowali przeprowadzić zamach stanu wraz z Hermokratesem, wywołał wszakże jedynie pełne oburzenia protesty.

— Mamy czelność prosić o wsparcie naszych sprzymierzeńców — zagrzmiął w żarliwej przemowie — domagać się, by narażali dla nas życie, skoro sami nie pozwalamy setkom Syrakuzan walczyć w obronie ojczyzny! Nie zamierzam się tu rozwodzić nad uchybieniami, jakie popełnili, poza tym wiedzcie, że nigdy nie lubiłem arystokratów ani posiadaczy ziemskich. Podobnie jak wy pochodzę z ludu! Jedno jest wszakże pewne: wielokrotnie barbarzyńcy namawiali ich, by walczyli w ich szeregach, wiele razy obiecywano im, że jeśli zdradzą, odzyskają wolność, dobre imię i skonfiskowany majątek, lecz oni zawsze odmawiali! Dzisiaj ojczyzna potrzebuje nawet tych synów, teraz grozi nam bowiem śmiertelne niebezpieczeństwo, nie możemy sobie pozwolić na żadne podziały! Domagam się, byście wezwali ich do powrotu i aby oczyszczono ich z wszelkich zarzutów, jeśli takowe zostały im postawione.

Po raz kolejny płomienna mowa Dionizjusza osiągnęła zamierzony skutek. Przegłosowano nie tylko jego propozycję, ale także przyznanie mu funkcji naczelnego wodza, która zapewniała mu niemal całkowitą władzę.

Wreszcie przybyli też sprzymierzeńcy italscy, których przeprowadził Filistos. Dionizjusz poczuł się jak nowo narodzony i był pewien zwycięstwa, mimo że według wieści z Geli miasto rysowało się jako bliskie upadku, niezdolne opierać się jeszcze zbyt długo. Dionizjusz nie myślał jednak wyłącznie o czekającej go kampanii wojskowej. Przekonany, że musi umocnić swą władzę za wszelką cenę, naciskał dopóty, dopóki nie obsadził własnymi przyjaciółmi wszystkich kluczowych stanowisk w państwie i wszystkich ważnych urzędów.

Nie do końca zadowolony wymógł na Zgromadzeniu zgodę na podwojenie żołdu jego najemnikom, fałszując dowody, jakoby Himilko przemycił do miasta płatnych zabójców, aby go zgładzili. Kiedy wreszcie wyruszył, zbliżał się koniec lata.

Sycylijskich Greków było prawie trzydzieści tysięcy, z czego dwadzieścia tysięcy stanowili Syrakuzanie. Piętnaście tysięcy Italików i pięć tysięcy najemników. Jazda, składająca się niemal w całości z arystokratów, liczyła kilka tysięcy doskonale wyposażonych żołnierzy.

Kiedy armia sprzymierzona dotarła do Geli, z murów podniosł się taki wrzask, że słychać go było aż w obozie Kartagińczyków. Dionizjusz wkroczył do miasta na koniu, w lśniącej zbroi, w hełmie z grzebieniem opuszczonym na czoło, wśród dwóch rzędów tłumu, który wrzeszczał z radości jak oszalały. Z tyłu maszerowały równym krokiem doborowe oddziały całe w brązie i żelazie, dzierżąc ogromne tarcze ozdobione wizerunkami mitycznych potworów: gorgon, węży, hydr, wielorybów. Na tarczy Dionizjusza pokrytej oślepiającym srebrem widniał triskelion, symbol Sycylii.

Jednakże nawet mimo zgiełku i wiewatów, mimo szaleńczej radości niejednemu przyszło na myśl, że stacjonujące tam na dole, na zachodzie wojsko zawsze, nieodmiennie i nieubłagane zwyciężało. Równało z ziemią i burzyło jedno miasto po drugim i ani ludzie, ani bogowie nigdy nie byli w stanie mu w tym przeszkodzić.

Jeszcze tego samego wieczoru Dionizjusz odbył naradę z dowódcami z Geli, wśród których znajdowali się dumni i wyniosli arystokraci, i od razu zaczęły się kłopoty. Otóż gdy minęła pierwsza euforia, przypomnieli sobie, że poprzedniej zimy widzieli

owego zuchwałego młodzieńca, i nie mogli uwierzyć, że skupia on teraz w swych rękach najwyższe dowództwo nad taką armią. Ich zdaniem prowadzenie wojny powinno być rozdzielone po równe, a decyzje podejmowane wspólnie.

Leptines zajął się nimi osobiście, usuwając czterech z siedmiu, tych najbardziej upartych, w ciągu ośmiu dni. Następnie rozpuścił pogłoskę, że zdezerterowali i przeszli na stronę wroga. Ich dobra zostały skonfiskowane, uzyskanymi zaś za nie pieniędzmi Dionizjusz opłacił zaległy żołąd najemnikom Deuksippos, którego sakiewka była pusta. Nie znosił go wprawdzie i uważał, że się nie nadaje na dowódcę, ale w owej chwili potrzebował go i nie miał wyboru.

Siedem dni później na najwyższej wieży murów, skąd dało się zobaczyć całe miasto, wewnątrz wyspy, linię brzegu i obóz Kartagińczyków, odbyła się kolejna narada wojenna. Stawili się na nią Leptines i Heloris, Jolaos i Doriskos, dwaj oficerowie z Geli i dwaj z Italii, dowódca jazdy Deuksippos, a także Filistos, który pełnił funkcję doradcy naczelnego wodza.

— Mój plan jest doskonały — zaczął Dionizjusz. — Pracuję nad nim od miesiący; mam w głowie każdy ruch, każdy etap, każdy najdrobniejszy szczegół. Znajdujemy się na trudnym terenie, jako że miasto rozciąga się na równoległym do morza wzgórzu, Himilko zaś okazał się wystarczająco sprytny, żeby rozbić obóz tak blisko. Dzięki temu nie pozostawia nam pola manewru. Gdybym był dowódcą wojsk tutaj w Geli, zająłbym tę pozycję o wiele wcześniej, ale co się stało, to się nie odstanie i nie warto rozdzierać szat. Zapewne zwróciliście uwagę, że obóz ma słabą obronę od strony morza: najwyraźniej nie spodziewają się stamtąd żadnego zagrożenia, tymczasem zaś to właśnie tam zadamy najdotkliwszy cios. To my wykonamy pierwszy ruch: tuż po zachodzie słońca Heloris poprowadzi Sycylijczyków wspomaganych przez konnicę, nadciągając od północy, i od razu wszyscy staną w szyku bojowym. Himilko pomyśli, że chcemy frontalnej i rozstrzygającej bitwy, jak to uczynił Dafneos w Akragas, pośle więc do natarcia ciężką piechotę libijską, która znajdzie się w gorszym położeniu, bo słońce będzie jej świeciło prosto w oczy. Jednocześnie zaś Halikowie zaatakują od strony morza, wdzierając się do obozu dokładnie tam, gdzie go nikt nie broni...

— A jak? — zapytał jeden z miejscowych dowódców. — Przecież nie ma dość przestrzeni, żeby zmieścić się na niej oddział, który byłby wystarczająco liczny, aby zaatakować. Powinni posuwać się gęsiego, więc kiedy ci pierwsi będą gotowi do natarcia, reszta pozostanie w tyle.

— Przedostaną się od strony morza — uśmiechnął się Dionizjusz — wszyscy razem. Ukryta za wzgórzem flota będzie płynęła wzdłuż brzegu i wyrzuci na ląd pięć speirai, które przyczają się w tamtym szerszym miejscu, poza polem widzenia, czekając na znak, jaki dam osobiście z zachodniej bramy: trzy machnięcia czerwonym sztandarem. Jednocześnie ja poprowadzę moje doborowe oddziały oraz najemników przez całe miasto od wschodu na zachód, z kolei Heloris na czele większej części naszych sił wyśle naprzód konnicę. Doriskos i Jolaos będą zastępcami dowódców. Himilko będzie zmuszony rozdzielić swoje wojska, żeby odpowiedzieć na podwójne zagrożenie, które nadejdzie od północy i od południa. I właśnie wtedy wkroczę ja. Będę czekał przy zachodniej bramie, żeby ruszyć do ataku. Kiedy tylko moje oddziały dotrą do pierwszej linii obrony, powinna do nas dołączyć ciężka piechota gelojska. Tymczasem Heloris zdąży wysłać jazdę za wojskiem, które stanie z nim do walki, a jego ciężkozbrojna piechota zaatakuje od przodu. W ciągu godziny wspólne natarcie moich oddziałów i italskich sprzymierzeńców przełamie obronę obozu. Himilko znajdzie się w potrzasku między moją armią, wspomaganą przez żołnierzy gelojskich i italskich, a armią Helorisa. Nie będzie miał dokąd uciec. Darujcie życie tym, co masowo się poddają; można ich sprzedać, żeby pokryć wydatki na wojnę. Dowódców kartagińskich należy natychmiast zabić, ale bez tortur. Co do najemników, jeśli zdezerterują, trzeba ich przyjąć w nasze szeregi. A Himilkona chcę dostać żywego, o ile się uda. Jeśli ktoś ma inne zdanie, niech mówi. Dobre pomysły są zawsze mile widziane.

Nikt się nie odezwał. Zuchwałość owego planu zaskoczyła wszystkich, toteż najwyraźniej nikt się nie sprzeciwiał. Wszystko było niezwykle jasne, wszystkie posunięcia zupełnie oczywiste, działanie poszczególnych oddziałów tak doskonałe zgrane.

— Ja mam pytanie — zabrał w pewnej chwili głos Deuksippos.

— Mów — nakazał Dionizjusz.

— Dlaczego zamierzasz ruszyć ze swoją armią od wschodniej strony? Przecież będziesz w tym celu musiał przejechać przez całe miasto, żeby dotrzeć do zachodniej bramy, z której chcesz zaatakować.

— Ponieważ z każdej innej strony by mnie zauważyli. Moje uderzenie będzie decydujące. Wyjadę przez bramę wychodzącą na drogę ku Akragas niczym aktor z głębi sceny i właśnie wtedy rozpocznie się przedstawienie! Co wy na to?

Zamiast pochwał, które spodziewał się usłyszeć Dionizjusz, nastąpiła niekończąca się cisza, po czym odezwał się dowódca z Lokri o imieniu Kleonimos.

— Znakomite. Godne największego stratega. Od kogo się tego nauczyłeś, heghemon?

— Od mego mistrza i ojca mojej żony, Hermokratesa. I na cudzych błędach.

— Mimo wszystko — odrzekł Kleonimos — przyda nam się także szczęście. Niech nikt nie zapomina, że odnieśliśmy już zwycięstwo w Akragas.

Filistos przyszedł doń w nocy.

— Boisz się? — zapytał.

— Nie. To my zwyciężymy.

— Mam taką nadzieję.

— A jednak...

— A jednak źle się czujesz i nie możesz spać. A wiesz dlaczego? Bo wreszcie przyszła kolej na ciebie. Tamci wodzowie zawsze mieli jakieś usprawiedliwienie: a to ograniczoną władzę, a to kłócących się między sobą dowódców, a to wewnętrzną niezgodę. Ty masz pełną władzę i największą armię, jaką zebrano na Sycylii w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Jeśli przegrasz, będzie to wyłącznie twoja wina i właśnie to cię przeraża.

— Wygram.

— Wszyscy mają taką nadzieję. Twój plan zaś jest bardzo ciekawy.

— Ciekawy? To dzieło strategicznej sztuki.

— Tak, ale ma pewną wadę.

— Jaką?

— Wygląda jak jakaś gra. Na polu bitwy wszystko się zmienia, są tysiące niespodzianek. Łączność, odpowiedź ze strony wroga i... czas, zwłaszcza czas. Jak zdołasz skoordynować działania wojsk stacjonujących we wsi, tych, które przyplłyną na okrętach, tych, które wyjadą z miasta, i oddziału żołnierzy, którzy mają się poruszać po ulicach?

Dionizjusz uśmiechnął się szyderczo.

— Jeszcze jeden strateg gawędziarz. Nie wiedziałem, że tak się znasz na wojnie... Uda się, zobaczysz. Rozmieściłem punkty sygnalizacyjne i gońców. To musi działać.

Filistos milczał pogrążony w zadumie, gdy tymczasem zachodni wiatr przyniósł ledwie słyszalny śpiew żołnierzy iberyjskich, którzy czuwali przy ogniskach. Dionizjusz wyjrzał na taras wychodzący na zachód.

— Jutro o tej porze już nie będą mieli ochoty do śpiewu. Zapewniam cię.

— Oby taka była wola bogów, przyjacielu — odparł Filistos.
— Oby taka była wola bogów. Dobrej nocy i powodzenia.

Podniósłszy wzrok ku gorgonie na wschodnim tympanonie świątyni Ateny z Lindos, Dionizjusz przechylił się przez mury ku północy, aby spojrzeć na równinę: armia Helorisa wraz z wojskami sycylijskimi posuwała się w szyku rozpoznawczym z dwudziestoma oddziałami na dwóch liniach. Widać było nawet jadącego na czele dowódcę.

Pomachał czerwonym sztandarem z Athenoionu i odczekał, aż armia odpowie tym samym, potwierdzając przyjęcie rozkazu. Wówczas wyszedł przez południową bramę, spoglądając na flotę zakotwiczoną u ujścia rzeki Geli i błysnął trzykrotnie lśniącą tarczą, w której odbijały się promienie wschodzącego słońca. Jej dowódca odpowiedział natychmiast wciągając czerwoną flagę na maszt na rufie. Po chwili wiosła zanurzyły się w wodzie, ogromna jednostka bojowa ruszyła powoli na zachód, za nią zaś pozostałe okręty w rzędach po cztery. W tej samej chwili rozpoczęła swój marsz grecka piechota z Italii, która czekała na brzegu, aż wypłynie flota.

Walnąwszy pięścią w poręcz, Dionizjusz zawołał do swych dowódców:

— Znakomicie! Wszystko idzie jak z płatka. Teraz nasza kolej. Musimy przedostać się przez miasto dokładnie w takim samym czasie, jaki zajmie flocie pokonanie odległości od ujścia rzeki do obozu Kartagińczyków. Zgodność późniejszych działań będzie zależeć od nas. Jazda, naprzód!

Ruszyli wzdłuż południowej ściany świątyni zmierzając ku zabudowaniom, po czym zagłębili się w labirynt uliczek, które rozgałęziały się mniej więcej równolegle na obie strony miasta. Zaraz też jednak zaczęły się kłopoty.

Dionizjusz nakazał, by wszyscy zostali w domach, dopóki oddziały nie przejdą, tymczasem kolumna natknęła się na ulicę całkowicie zatłoczoną ludźmi ciągnącymi wozy z różnymi sprzętami ku bramie wschodniej, a więc w kierunku przeciwnym do tego, w którym maszerowało wojsko. Najwyraźniej spora część obywateli przestała już wierzyć w to, że armia sprzymierzona jest w stanie zwyciężyć. Krążyły wręcz pogłoski, że najwyższe dowództwo spoczywa w rękach dwudziestoczteroletniego młokosa, który nigdy w życiu nie dowodził strategią ani nawet tetrarchią.

Dionizjusza zdjął nagły lęk — to była owa niespodzianka, o której mówił Filistos. Tyche, kapryśna i złośliwa fortuna, już robiła wszystko, by zepsuć doskonały mechanizm, który stworzył. Chociaż natychmiast polecił heroldom krzyknąć, by zwolniono przejście i przepuszczono kolumnę, wielu wszakże nie usłyszało, a jeśli nawet usłyszeli, i tak nie mogli się wycofać, bo od tyłu napierali na nich ci, co nie usłyszeli. Z pewnością nie można też było poroztrącać bezbronnych mieszkańców zaprzyjaźnionego i bratniego miasta za pomocą broni...

Tymczasem Heloris ciągle posuwał się naprzód, jednakże świeżo zaorane pola, gałęzie spalonych drzewek oliwnych i wszelkiego rodzaju odpadki przeszkadzały i opóźniały marsz. Niemal cały element zaskoczenia się zatracił, kiedy zaś Sycyljczycy byli wreszcie w stanie ustawić się w szyku bojowym, wojsko Himilkona, które zdążyło ich już zauważyć, rzuciło się do ataku z ogromnym zapalem.

Italikowie, którzy właśnie wylądowali po przeciwnej stronie, formowali jednostki w zależności od miasta, z którego pochodzili. Chociaż starali się ukryć za południowym cyplem, wkrótce jednak

przybiegł do nich goniec krzycząc, że od tej strony obóz Kartagińczyków jest nieosłonięty, ciężkozbrojna piechota zaś toczy właśnie bitwę z oddziałem Helorisa. Trzeba zaatakować natychmiast, za nim zauważą ich obecność.

— Nie — odparł Kleonimos, lokryjski dowódca. — Uzgodniłiśmy, że będziemy czekać na znak Dionizjusza z zachodniej bramy! Nikt się nie ruszy bez mojego rozkazu.

Wojsko wprawdzie stało cierpliwie, dowódcy zdawali sobie jednak sprawę, że żołnierze aż rwą się do boju, że ogarnia ich coś, co weterani zwą *orgasmós*: rodzaj szaleńczego paraliżu ducha i mięśni, który poprzedza bitwę, ale którego nie można znieść zbyt długo bez poważnego uszczerbku dla sił fizycznych i morale wojowników.

— Musimy się zdecydować, na bogów! — zawołał dowódca batalionu o imieniu Karilaos.

— Nie — upierał się przy swoim lokryjski oficer. — Przyrzekłem, że poczekam na sygnał.

Wówczas Karilaos spojrział na jednego ze swych kompanów dziwnym wzrokiem, ten zaś krzyknął natychmiast:

— Znak! Znak! Patrzenie!

— Nic nie widzę — zaprzeczył lokryjski dowódca.

— Przecież mówię, że widziałem tam na górze. A teraz patrzcie! Są oddziały Dionizjusza!

Rzeczywiście przez bramę przeszedł właśnie oddział ciężkozbrojnej piechoty, który jął formować szyk na zboczu. Nie był to jednak Dionizjusz, tylko wojownicy gelojscy, którzy nie mogąc się doczekać, zajęli dominującą pozycję, aby być gotowi do ataku, gdyby zaszła taka potrzeba.

Widok ten przekonał wreszcie lokryjskiego oficera, pomyślał więc, że kompan Karilaosa istotnie zobaczył znak, a nawet jeśli było inaczej, i tak nie mogli już dłużej zwlekać. Wydał zatem rozkaz do natarcia. Z gardeł italskich sprzymierzeńców wyrwał się okrzyk bojowy, po czym wszyscy przyłożyli do ramion tarcze i ruszyli pędem na obóz wroga. Dotarłszy tam w okamgnieniu, rozpoczęli zacieklą bitwę z obrońcami, którzy nadbiegli, by odciąć im drogę.

Chociaż zdołali ich odepchnąć i wdrzeć się do środka, wkrótce jednak znaleźli się w mniejszości w porównaniu z licznymi

oddziałami piechoty iberyjskiej i kampańskiej, które Himilko wysłał do obrony obozu.

W wyniku gwałtownego starcia Halikowie jęli się cofać, w końcu zaś zostali zepchnięci aż na brzeg. Widząc to, żołnierze gelojscy zbiegli ze wzgórza na pomoc sprzymierzeńcom, którzy znaleźli się niemal w wodzie i mieli poważne kłopoty. Na szczęście ktoś rozkazał czekającym na okrętach łucznikom zaatakować, wkrótce więc na iberyjskich i kampańskich żołnierzy posypał się grad strzał dziesiątkując ich tak skutecznie, że postanowili wycofać się w głąb obozu.

Po nieudanej próbie natarcia italscy Grecy wsiedli na okręty, natomiast zmagający się właśnie z wrogiem wojownicy gelojscy woleli zawrócić, aby nie zostawiać miasta bez obrony.

Kiedy Dionizjusz wyłonił się w końcu z zachodniej bramy, ujrzał, jak Heloris, który był świadkiem niepowodzenia kolejnych prób natarcia, wycofuje się na północ, ponieważ atakuje go Himilko mający wyraźną przewagę liczebną. Dionizjusz ledwie zdążył z powrotem wejść do miasta, by uniknąć katastrofy. Sprzymierzeńcy italscy stracili sześciuset żołnierzy, Heloris zaś ponad tysiąc, mimo że sam znacznie nadwerżył siły nieprzyjaciela. Nikt już teraz nie wierzył, że Dionizjusz jest w stanie zaatakować Kartagińczyków po raz drugi. Jego tak długo opracowywany i tak dokładnie przygotowany plan nie powiódł się. Miasto było zdane na łaskę losu.

XV

Jeszcze tej samej nocy, w atmosferze protestów, wyrzutów i oskarżeń, Dionizjusz zwołał naradę wojenną. Sam był wstrząśnięty i zaniepokojony równie druzgoczącą klęską, doszedł jednak do wniosku, że należy położyć wszystko na jedną szalę i zamiast się bronić, zaatakować, toteż od razu zaczął mówić bardzo głośno, by zagłuszyć pomruki niezadowolenia oficerów i zmusić ich do milczenia.

— Przyjaciele! — zaczął. — Plan, który przedstawiłem i na który się zgodziliście w przeddzień tej nieszczęsnej bitwy, był do skonały. Jednakże to, co się stało, można wytłumaczyć jedynie zdradą.

Wśród najwyższych rangą wodzów rozległ się szmer, wśród dowódców jazdy syrakuzkańskiej zaś, samych arystokratów, szyderczy śmiech.

— Nie oskarżam nikogo z obecnych — ciągnął — ale jak inaczej wytłumaczyć to, co wydarzyło się dziś rano? Skąd wziął się ten tłum na jedynej ulicy, przez jaką mieliśmy przejść, aby dostać się do zachodniej bramy? Mój brat Leptines przemierzył ją co najmniej pięciokrotnie na czele uzbrojonego oddziału, aby obliczyć czas potrzebny do dotarcia na umówione miejsce. Otóż dzisiaj rano trwało to pięć razy dłużej, o czym miałem okazję się przekonać mierząc długość cienia mojej włóczni!

— To prawda! — przytaknął Leptines. — Sam wydałem rozkaz, żeby zostawić swobodne przejście!

— Co robili tam ci wszyscy przerażeni ludzie akurat o tej porze? Kto im powiedział, że mają się szykować do ucieczki przez

bramę od strony Kamaryny? — Protesty ustały. — Jest coś jeszcze — dodał Dionizjusz. — Kto wydał rozkaz ataku na obóz? Z pewnością nie ja, bo kiedy dotarłem na miejsce, nasi italscy sprzymierzeńcy już się wycofywali.

Kiedy Kleonimos popatrzył znacząco na oficera, który twierdził, jakoby widział znak za zachodnią bramą, tamten odwrócił wzrok. Nieco wcześniej zauważył, jak rozmawia z dowódcą syrakuząńskiej konnicy, co wydało mu się dziwne.

— To ja dałem rozkaz! — oświadczył. — Któryś z moich ludzi zawołał, że zobaczył sygnał, a zaraz potem przez bramę wyszli uzbrojeni żołnierze. To była piechota gelojska, ale jak mogłem ich rozpoznać z tak daleka?

— Nie oskarżam cię, Kleonimosie — odrzekł Dionizjusz — ale jeśli możesz, wydaj tego, co krzyknął, że widział znak: mógłbyś się zdziwić.

— Nie warto roztrząsać tego, co się już stało. Niestety ponieśliśmy klęskę i... — zaczął dowódca jazdy syrakuząńskiej, niejaki Helores, członek jednego z najstarszych rodów w mieście, jak twierdził, potomek w prostej linii samego założyciela.

— Nieprawda! — zawołał Dionizjusz. — Ponieśliśmy straty, zgoda, ale sami zadaliśmy im o wiele większe. W rzeczywistości pod tym względem to my zwyciężyliśmy. Ale nie zamierzam się spierać. Jestem gotów znów ruszyć do natarcia już jutro. Tak, żołnierze, zaatakujemy przy użyciu tylko dwóch wojsk: od morza i od lądu. Zaatakujemy tych łotrów, a przekonamy się, kto z nas ma twardszą kuskę między nogami: my czy oni!

Nie podziałało. Nikt nie odpowiedział na to pospieszne wezwanie do broni.

— To nie jest właściwe miejsce — rzekł Kleonimos. — Widać to było wczoraj. A poza tym my, Italikowie, odbyliśmy już naradę. Ta kampania zaczęła się zbyt późno, jeśli bowiem pogoda się popsuje, istnieje niebezpieczeństwo, że nie będziemy mogli płynąć przez cieśninę. A wtedy nasze miasta pozostałyby bez obrony. Jak doskonale wiecie, my też mamy własnych barbarzyńców, na których musimy uważać.

— Zgadzam się z nim — potwierdził Helores. — Wiele koni nam okułało na oliwnych pniakach i musieliśmy je pozabijać. To nie jest teren dla konnicy.

Dionizjusz poczuł nagle, jak ziemia usuwa mu się spod nóg.

— A ty? — zwrócił się do swego przybranego ojca. — Ty też tak myślisz?

— Tu nie chodzi o odwagę, chłopcze. Musimy rozważyć warunki panujące na polu bitwy, stawkę, o jaką toczy się gra, i okoliczności. Przypuśćmy, że ten łajdak tam na dole — pokazał kciukiem za siebie, na morze — postanowi zamknąć się w środku i nie zgodzi się na walkę. Kto go zmusi? Ale my mamy tu pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy i ludność miasta do wykarmienia; jeśli pogoda się zmieni, grozi nam katastrofa.

— Święta prawda — przytaknął Karilaos.

— Jeśli chcesz ruszyć do ataku, jestem z tobą — oburzył się Leptines.

— I ja, na Zeusa! — zawołał Doriskos.

— I my — poparli go Biton i Jolaos, dowódcy speirai syrakusańskiej konnicy.

Dionizjusz zdał sobie jednak sprawę, że żołnierzom brakuje zapasu i woli walki. Tak naprawdę bowiem przestali w niego wierzyć. Przestali go uważać za swego wodza.

Oni walczyli, a on nie, oni stoczyli bitwę z wrogiem, a on nie, oni narażali życie z mieczem w dłoni, a on nie. Kiedy zaś potrzebowali przewodnictwa i wsparcia, jego zabrakło. Poczuł się samotny i pełen obaw.

Widząc niespodziewane krople potu na czole i nad górną wargą brata, Leptines musiał się zorientować w stanie jego ducha, bo podszedł bliżej i zwracając się, doń w gwarze zrozumiałej tylko dla mieszkańców ich dzielnicy szepnął mu na ucho:

— Uważaj, nie okazuj braku pewności siebie, bo rozszarpią cię na strzępy.

Dionizjusz spostrzegł przerażenie na twarzy Filistosa, który stał na uboczu, przy drzwiach. Uzmysłowił sobie, że nie ma wyboru, na myśl zaś o tym, co będzie musiał wkrótce uczynić, poczuł, że płonie ze wstydu, gniewu i bezsilności. Oto miał się okryć taką samą hańbą jak Diokles i Dafneos, miał pójść w ich ślady skazując zalane łzami kobiety i dzieci na rozpaczliwą tułaczkę, świątynię zaś i domy wielowiekowego miasta, założonego z woli świętej wyroczni, na złupienie. Zdawał sobie sprawę, że najbardziej honorowym rozwiązaniem byłoby dlań odejście na bok pod byle

pretekstem i odebranie sobie życia własnym mieczem, godnym szacunku nieskazitelnym ostrzem.

Leptines wbił mu wszakże w ramię palce twarde niczym sztylety i warknął:

— Zrób coś, na bogów!

Dionizjusz otrząsnął się i przemówił. Zmieniony na twarzy, lecz stanowczym głosem, w którym brzmiała twardość, oświadczył:

— Posłuchajcie. Dowódca powinien przewidzieć wszystko, nawet zdradę, która też jest częścią wojny, ja zaś pomyliłem się w tym względzie, albowiem tak miłuję moje miasto i wszystkie inne helleńskie miasta na Sycylii i w Italii, że nie potrafiłbym ich zdradzić nigdy, za żadną cenę. Podejmę zatem nieuniknioną, najbardziej gorzką decyzję. Zabiorę z miasta wszystkich mieszkańców i zaprowadzę ich w bezpieczne miejsce. Tak, do was mówię, waleczni wodzowie gelojscy, którzy będziecie patrzeć, jak wasz naród wyruszy dziś w nocy tłumnie na drogę wygnania. Tak, jeszcze dziś w nocy. Zwracam się także do was, waleczni wodzowie, którzyście przybyli nam z odsieczą z Italii, ofiarowując życie samego kwiatu młodzieży, a także do was, syrakuzkańscy przyjaciele. Przysięgam na wszystkich bogów i na wszystkie duchy, że barbarzyńca nie zwycięży, że go przepędzę z naszych miast, że odbiję wszystkie jedno po drugim, przysięgam, że odzyskacie wasze domy i że imię sycylijskich i italskich Hellenów będzie budziło w barbarzyńcach takie przerażenie, że nawet im nie przyjdzie do głowy, by z nimi zdrzeć.

W sali zapadła głęboka cisza. Dowódcy gelojscy, którzy wyglądali, jakby poraził ich piorun, nie byli w stanie wykrztusić ani słowa. Halikowie szeptali coś między sobą, nikt nie mógł im wszakże mieć tego za złe, skoro wykazali tyle odwagi podczas inwazji na ląd i ataku na obóz Kartagińczyków, płacąc za to najwyższą cenę. Syrakuzanie z kolei czuli się bezpośrednio odpowiedzialni za ogłoszoną właśnie decyzję, zdawali sobie również sprawę, że to oni będą najbliższym celem ataku Kartagińczyków. Sprawiali wrażenie kogoś, kto nie obudził się jeszcze ze złego snu.

Dionizjusz ponownie zabrał głos.

— Zróbmy jedyną rzecz, jaką jeszcze możemy zrobić, i to szybko. Niech dwa tysiące żołnierzy lekkiej piechoty zostanie na murach i przez całą noc trzyma zapalone ognie, tak aby Kartagiń-

czycy myśleli, że ciągle jesteśmy w mieście. Dowódcy gellojscy zaś niech przekażą polecenie ewakuacji stopniowo, z dzielnicy do dzielnicy, aby nie wywołać zbytniego popłochu. Żołnierzy do eskorty trzeba podzielić zgodnie z miejscem zamieszkania, dzięki czemu będą wzbudzać poczucie bezpieczeństwa i spokoju wśród znajomych, przyjaciół i sąsiadów. Pierwsza kolumna musi wyruszyć przez zachodnią bramę najpóźniej za godzinę, po ciemku i w całkowitej ciszy. Jednocześnie do obozu Kartagińczyków należy wysłać poselstwo z żądaniem rozejmu i wydania ciał poległych. To też pozwoli nam zyskać trochę czasu. Tuż przed świtem oddziały, które pozostaną na murach, dołożą dREW do ognia, same zaś wymkną się jak najprędzej, nim nastanie dzień. Dziękuję naszym sprzymierzeńcom za pomoc, żegnając ich zaś pragnę zapewnić, że wkrótce znów się spotkamy i że tym razem nic ani nikt nas nie powstrzyma. Nie mam nic więcej do dodania. Idźcie i niech bogowie mają was w opiece.

Co powiedziawszy, uściskał po kolei każdego z italskich dowódców, którzy mieli odejść, a także tych z Geli. Ci ostatni odwzajemnili uścisk z początku chłodno, dostrzegając wszakże w oczach Dionizjusza ból i lęk, coraz goręcej.

Dionizjusz wrócił do kwatery, by zabrać swoje rzeczy i przygotować się do drogi. Wkrótce dołączył doń Filistos.

— Przyszedłeś rzucić mi w twarz smutne przepowiednie? — zapytał go.

— Przyszedłem ci przypomnieć, że sama władza nie wystarczy, żeby sprostać niektórym wyzwaniom. Przyszedłem ci przypomnieć, że dopiero co wydałeś rozkaz ewakuacji, sam zaś opuszczasz miasto pozostawiając ciała swych poległych żołnierzy nieopogrzebane, na polu bitwy. Czy nie mam racji? Bo przecież poselstwo to tylko żart, prawda? Odjedziesz wraz z pierwszą grupą i zostawisz ich bez pochówku, jak to zrobił Diokles w Himerze i Dafneos w Akragas!

— Wiem! — krzyknął Dionizjusz. — Znam tę śpiewkę. Oszczędź mi tych wywodów!

— Zażądałeś ode mnie przyjaźni i ślepego oddania. Mam prawo wiedzieć, komu zaufałem!

Dionizjusz odwrócił się do ściany zasłaniając twarz ramieniem i wydając z siebie coś w rodzaju rzęzenia, po czym rzekł:

— Co chcesz wiedzieć?
— Czy słowa, które wypowiedziałeś na naradzie najwyższego dowództwa, były szczerze?
— Jakże słowa?
— Cała ta piękna przemowa na temat Hellenów, odwetu i kwiatu młodzieży, która poległa w bitwie... Chcę wiedzieć, czy były to słowa szczerze, płynące z serca, czy tylko zakłamana deklaracja, aby nie podzielić losu dowódców z Akragas, których ukamienowano.
— I to ci wystarczy?
— Chyba tak.
— Ale nie zdołałbym dowieść prawdziwości własnych słów.
— Nie. Myślę, że nie.
— W takim razie równie dobrze możesz wierzyć w to, co chcesz. A teraz ruszajmy w drogę, czeka nas długa noc. — Przy pasawszy miecz, przewiesił tarczę przez ramię, chwycił włócznię i wyszedł.

Filistos pragnął go zatrzymać i porozmawiać, głos jednak uwiązał mu w gardle. Stał samotnie w izbie, wsłuchując się w płacz kobiet z Geli wypełniający ciemność.

Kamaryna miała grube mury. od wschodu zaś chroniły ją bagna, które uniemożliwiały użycie machin wojennych przynajmniej od tej strony. Można by ją zatem uratować, gdyby Himilko zatrzymał się w Geli. Tylko że stało się inaczej. Ledwie się bowiem zorientował, że miasto jest puste, pozwolił je złupić swym najemnikom, kazał wyrznąć wszystkich starców i chorych, którzy pozostali w tyle, ponieważ nie mieli nikogo, kto by się nimi zaopiekował, i ruszył dalej. Nie bał się chłodu, nie przejmował wysoką falą, która mogłaby mu uszkodzić okręty. Teraz był pewien, że nikt nie zdoła mu się oprzeć i że wszystkie inne miasta sycylijskich Greków padną jedno po drugim, niczym w jakiejś potwornej grze.

Każdego dnia przed zmierzchem pozostawieni na tyłach posłańcy doganiali Dionizjusza, aby zdać mu sprawę z dokładnego położenia ścigającej go armii. Nie przystawała ani na chwilę. Nic nie zdołałoby jej powstrzymać.

Grecy z Italii zdążyli się już odłączyć od wojsk sprzymierzonych, podążając najkrótszą drogą ku cieśninie, trudno było zatem

sobie wyobrazić możliwość jakiegokolwiek oporu. Mieszkańcy Kamaryny też musieli opuścić miasto.

Mimo wyraźnego niezadowolenia żołnierze nadal wykonywali rozkazy Dionizjusza, okazując mu posłuszeństwo jako naczelnemu wodzowi syrakuząńskiej armii.

Nazajutrz po ewakuacji Kamaryny Helores, dowódca jazdy syrakuząńskiej, oznajmił, że na drodze, około pięćdziesięciu stadionów dalej, zauważono jakieś podejrzone ruchy i że zamierza wyprzedzić armię, aby mógł w razie konieczności zrobić dla nich przejście. Kiedy Dionizjusz wyraził zgodę, oficer oddalił się galopem wraz ze swym hufcem, który liczył jakiś tysiąc ludzi.

— A tamci dokąd jadą? — zapytał, zbliżywszy się, Leptines.

— Około pięćdziesięciu stadionów stąd widziano jakieś podejrzone ruchy. Nie chciałbym, żeby to była lekka jazda kartagińska, która nas wyprzedziła. Pojechali naprzód, żeby zrobić przejście.

— Zrobić przejście? Prędeż zastawić na ciebie pułapkę. Oni mi się nie podobają. Wszyscy to napuszeni i wyniośli arystokraci: gardzą nami, bo nie należymy do ich kasty i mówimy tak jak plebs. Jestem pewien, że cieszy ich twoje upokorzenie. Wcale się nie przejmują cierpieniem tych nieszczęśników... — Wskazał kolumnę uchodźców, która podążała ścieżką. — Dla nich ważne jest tylko to, żebyś przegrał. Zapamiętaj to sobie.

Dionizjusz milczał. Naiwność stanowiła dlań najbardziej palący zarzut. Wolałby, żeby uznano go za zbrodniarza niż człowieka łatwowiernego.

— Gdzie Filistos? — zapytał.

— Nie mam pojęcia. Kiedy go ostatni raz widziałem, był na tyłach i pomagał jakiejs staruszce, która nie mogła iść.

— Sam nie wiem, co myśleć. W gruncie rzeczy ja...

— Dlaczego ożeniłeś się z córką Hermokratesa? Zapomnij o tym. Wielu z tych łotrów świętowało i upiło się tamtej nocy, kiedy zostałeś ranny, a ona...

— Dosyć! — krzyknął Dionizjusz z taką zapalczewością, że kilku mijających go właśnie uchodźców aż się obejrzało niemal z lękiem.

— Jak sobie chcesz — odparł Leptines — ale jest tak, jak mówię, nawet jeżeli sprawia ci to ból.

- Skąd wiesz? — zapytał po chwili Dionizjusz.
- Człowiek w końcu dowiaduje się o takich sprawach. Filistos też wie. Jeśli zechce, może ci to potwierdzić.
- Powiedział, że wszyscy, zarówno ci, którzy sami brali w tym udział, jak i ich mocodawcy, zostali... trafieni.
- Och, pewnie. Te biedne psie syny, któreśmy wykastrowali, zarżnęli i upiekli żywcem. Ale panowie arystokraci, potomkowie herosów i bogów, ci nie brudzą sobie rąk. Pewnych rozkazów nawet nie muszą wydawać, po prostu dają do zrozumienia, że coś sprawiłoby im przyjemność. A czasem nie muszą nawet tego. Jeśli ktoś im się nie podoba, wystarczy półsłówko, spojrzenie spode łba.
- Wsiadaj na konia — polecił Dionizjusz. — Weź ze dwudziestu najszybszych ludzi i jedź za nimi, ale tak, żeby cię nie zauważyli. Potem wróć tu i opowiedz, co widziałeś. Jedź!
- Leptines nie kazał sobie dwa razy powtarzać. Kiedy wrzasnął coś w swojej gwarze, z rozmaitych miejsc kolumny wyłoniła się gromada żołnierzy na koniach, którzy zbliżyli się do niego. Na jego znak pomknęli naprzód niczym błyskawica.
- Wrócił po paru godzinach. Jego wycieńczony wierzchowiec lśnił od potu. Tymczasem do Dionizjusza dołączył Filistos, który od ucieczki nie odezwał się doń ani słowem.
- I co? — zapytał Dionizjusz.
- Nic tam nie ma. Nie widać ani Kartagińczyków, ani nikogo innego — odrzekł Leptines.
- A co z konnicą?
- Zniknęła. Rozpłynęła się. Ślady prowadzą jednak do Syrakuz.
- Co ty wygadujesz? — zapytał Leptinesa pociemniały na twarzy Filistos.
- Samą prawdę. Wypuściłem za nimi z dziesięciu moich chłopców, którzy mają kolejno przekazywać wiadomości. Jeśli ruszymy naprzód, co dwadzieścia stadionów będziemy mieli świeże wieści.
- Jadą do Syrakuz, żeby wzniecić bunt — stwierdził Dionizjusz. — Jestem tego pewien.
- Nie ma wątpliwości — zgodził się Filistos. — Musimy się pośpieszyć, bo inaczej będzie koniec. Musisz poprowadzić jak najprędzej całe wojsko.

Spojrawszy na długi rząd wlokących się drogą uchodźców, Dionizjusz poczuł przyspieszone bicie serca, zupełnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy brał udział w bitwie, w wieku osiemnastu lat.

— Wystarczy mi niewielu ludzi — powiedział. — Jazda, jaka pozostała, i oddziały zaczepne. Leptinesie, zastąpisz mnie tutaj...

— Ani myślę, jadę z tobą do Syrakuz.

— To rozkaz naczelnego wodza — upomniał twardo Dionizjusz — i masz go wykonać.

— Potrzebujesz go, Dionizjuszu — wtrącił się Filistos. — Grozi nam bardzo poważne niebezpieczeństwo. Powierz dowództwo Jolaosowi. Zawsze był ci wierny, a poza tym i tak już dowodzi czwartym speirai falangi.

— Niech będzie. Zróbmy tak. Ale ruszmy się, na bogów!

Natychmiast wezwano Jolaosa, który odebrał rozkazy. Dionizjusz uściskał go, nim dosiadł konia, kiedy zaś jego usta znalazły się tuż przy uchu przyjaciela, szepnął:

— Nie mogą zazać większych cierpień niż te, które już na nich spadły. Musisz ich bronić nawet za cenę własnego życia, jeśli będzie trzeba. — Odsunął się nieco, po czym patrząc mu prosto w oczy dodał na głos: — I powiedz im, że w przyszłym roku zaprowadzę ich z powrotem do domu.

— Powiem im, heghemon. Zobaczymy się w Syrakuzach.

Wskoczywszy na konia, Dionizjusz pożegnał Filistosa szybkim gestem i popędził naprzód wraz ze swymi kampańskimi najemnikami, Leptinesem i jego wojownikami. Za nim zaś podążał szybkim krokiem oddział ciężkiej piechoty.

Dwadzieścia stadionów dalej natknęli się na pierwszą grupę gońców składającą się z trzech mężczyzn, którzy zeskoczyli na ziemię pokryci potem i kurzem. Ciągle jeszcze było bardzo gorąco.

— Heghemon — powitali Dionizjusza. — Nie mamy żadnych wątpliwości. Konnica skierowała się do Syrakuz.

— Dobrze — skinął głową. — Dołączcie do wojska, niech dadzą wam jeść i pić, a potem odpocznijcie.

— Jeżeli pozwolisz, wolelibyśmy pojechać z tobą. Przydamy ci się, a i tak wcale nie jesteśmy zmęczeni.

— W takim razie weźcie świeże konie i jedźcie za mną.

Podążali spiesznie, aż nie dalej niż piętnaście stadionów od Syrakuz natknęli się na ostatnich gońców.

— Brama jest zamknięta — oświadczył dowódca oddziału. — Nie wiemy, co się dzieje w mieście.

— Czy bramy strzegą uzbrojeni wartownicy?

— O ile mi wiadomo, nie.

— Więc pewnie myślą, że jeszcze tutaj nie dotarliśmy. W drogę. Jeden z jeźdźców powstrzymał go jednak.

— Heghemon...

— W imię bogów! — wybuchnął Dionizjusz. — Powiedźcie wszystko, co macie do powiedzenia, i jedźmy wreszcie!

— Zrobili coś, co ci się nie spodoba...

Dionizjusz usiłował sobie wyobrazić, w jaki sposób mogliby mu zadać cios z daleka, nic jednak nie wymyślił.

— Otworzyli grób twojej żony, heghemon... — ciągnął żołnierz.

— Nie! — krzyknął Dionizjusz.

— I zbeczęścili jej zwłoki... Psy je...

Dionizjusz wrzasnął jeszcze raz ogarnięty taką wściekłością, że żołnierz zamilkł i przyglądał się bez ruchu, jak wskakuje na konia i pędzi naprzód z obnażonym mieczem, jakby wróg znajdował się tuż przed nim.

— Za nim! — zawołał Leptines. — Postradał zmysły!

Mimo gniewu Dionizjusz wiedział wszakże, co czyni. Mijając arsenały w Wielkim Porcie, kazał przynieść smoły i podpalił bramę, aby zrobić przejście dla swojej gwardii i oddziałów zaczepnych.

Tymczasem na agorze zebrali się konni, którzy uradzili, by zwołać nazajutrz Zgromadzenie i obwieścić upadek władzy „tyrana”. Przynajmniej tak postanowili nazwać swego politycznego przeciwnika.

Zostali wzięci całkowicie z zaskoczenia, Dionizjusz zaś przypomniawszy sobie, jak okrążono go na tym samym placu wraz z żołnierzami Hermokratesa, wypuścił swe oddziały na okoliczne ulice i zaułki, aby zagroziły wszelkie drogi ucieczki, po czym dał rozkaz natarcia i sam rzucił się naprzód rozwścieczony, z mieczem w dłoni i tarczą na ramieniu, dokonując rzezi z szaleńczą zaciekłością.

Nikt nie zdołał uciec. Nikomu nie darowano życia, nawet tym, co padli przed nim na kolana błagając o litość.

W środku nocy tylko przy pomocy Leptinesa Dionizjusz spalił zbezczeszczone szczątki Arete na ułożonym naprędce stosie, po czym pozbiierał popiół i zakopał go w tajemnym, znanym jedynie sobie miejscu. Tej samej nocy pogrzebał w jeszcze bardziej tajemnym i ukrytym miejscu w swym sercu wszelkie miłosierdzie, wszelkie współczucie.

XVI

Narada najwierniejszych odbyła się w domu Filistosa na Ortygii. Oprócz niego i Dionizjusza stawili się Jolaos, Doriskos i Biton, następnie dołączył zgrzany z pośpiechu Heloris. Ostatni przyszedł Leptines, który na znak Dionizjusza opowiedział wszystko, co było mu wiadome.

— Splądrowali Kamarynę, ale nie zatrzymali się tam. Zbliżają się do nas.

— Jesteś pewien? — zapytał Dionizjusz, którym wieść ta wcale nie wstrząsnęła.

— Raczej tak. Droga, którą obrali, prowadzi w te strony i nie wydaje mi się, żeby to była grzecznościowa wizyta.

— Niech sobie przychodzą, ale my ich przywoźdźmy. Nasze mury oparły się Ateńczykom. Nasza flota i armia nie poniosły żadnych strat. Po co się porywać się na coś, czego los został już przesądzony?

— Ponieważ są przekonani, że im się uda — wtrącił Filistos. — Skoro powiodło im się cztery razy, dlaczego nie miałoby „się” powieść piąty? Ich najemnicy to doskonałe wojsko, a kiedy ktoś z nich ginie, nikt nie rozpacza, nie ma żadnych uroczystości pogrzebowych, przemówień, epitafiów. Wrzucają go po prostu do dołu i przysypują dwiema łopatami ziemi; jeden żołd do wypłaty mniej. My natomiast musimy się rozliczyć z każdego poległego wobec rodziny i wobec miasta.

— Moim zdaniem to słuszne — stwierdził Doriskos. — W końcu jesteśmy Hellenami.

— Każdy z nas ma rodzinę — dodał Biton.

— Rzeczywiście — zgodził się Dionizjusz. — Ale jak w takim razie udało się Teronowi z Akragas i Gelonowi z Syrakuz wybić armię kartagińską w Himerze? Otóż ja wam powiem: ponieważ mieli rozległe ziemie, z których mogli czerpać wszelkiego rodzaju zasoby ludzkie i materialne. My mamy tylko garstki domów przycupniętych na skałach wzdłuż brzegu. Mogą nas wyłapać jednego po drugim. Teoretycznie wojsko jest lepiej uzbrojone i posługuje się lepszą techniką walki, nie ma w nim jednak przekazywania dowództwa z prawdziwego zdarzenia: po prostu ktoś postanawia odejść i odchodzi. I nikt nie jest w stanie go powstrzymać. Ni stąd, ni zowąd masz piętnaście czy dwadzieścia tysięcy żołnierzy mniej, co poważnie uszczupla twoje oddziały. A dlaczego? Bo muszą wrócić do domu i obsiać pole. Obsiać pole, rozumiecie? Na Heraklesa, wojna to poważna sprawa! To rzecz dla wojowników z krwi i kości.

— Nie zgadzam się z tobą — odrzekł Jolaos. — Najemnicy sprzedają się temu, kto da więcej, a kiedy tylko im wygodnie, nagle rzucają wszystko i odchodzą. Pamiętajcie, co było w Akragas? Kampanjscy żołnierze zdezerterowali pozostawiając miasto bez obrony.

— To nie jest dokładnie tak — sprzeciwił się Dionizjusz. — Najemnicy trzymają się tego, kto zwycięża, a nie tego, kto przegrywa albo ma przegrać. Trzymają się tego, kto wypłaca im wysoki żołd, zapewnia duże łupy i nie naraża ich życia bez powodu. Nawet oni dbają o własną skórę i dobrze wiedzą, ile są warci.

— Chciałbyś mieć najemne wojsko? — zapytał nie bez pewnego zdziwienia Heloris.

— Przynajmniej jego zaczątek. Ludzi, których jedynym zajęciem jest wojaczka, ćwiczenia, noszenie broni i fechtunek. Ludzi, którzy nie mają ani pól do obsiania, ani kramów do prowadzenia, których jedynym źródłem utrzymania jest miecz i włócznia. Ideałem byłoby, gdyby pochodzili z Grecji, nieważne skąd dokładnie, byleby z Grecji.

Leptines poderwał się z miejsca.

— Nie wierzę własnym uszom: łotry są coraz bliżej naszych murów, a my toczymy spory na temat tego, czego nie mamy,

a co powinniśmy mieć. Czy ktoś wpadł na pomysł, jak z tego wybrnąć?

— Bądź spokojny. Rozwałą sobie łby na naszych murach — zapewnił go Dionizjusz — a jeśli nadejdą od strony morza, wypłyniemy całą flotą i wszystkich potopimy. Ale nie sądzę, żeby to było konieczne. Zobaczycie, że będą pertraktować; jesteśmy za twardą kością do zgryzienia nawet dla nich. Na razie musimy strzec murów dzień i noc, umacniać bramy i trzymać okręty u wejścia do portów, żeby nas nie zaskoczyli i nie zamknęli w kleszczach. I czekać.

— Czekać? — zdumiał się Leptines.

— Czekać — powtórzył Dionizjusz.

Wszyscy się rozeszli, by wykonać rozkazy, Filistos zaś zabrał się do pisania. Już jakiś czas temu uświadomił sobie, że rozgrywające się na jego oczach wydarzenia zasługują na uwiecznienie, ponadto zdawał sobie sprawę, że to co nastąpi później, również będzie mogło stanowić materiał do kroniki historycznej, rozegra się bowiem najbardziej zażarta bitwa, jaką kiedykolwiek stoczyli między sobą Grecy i barbarzyńcy, a przynajmniej nie gorsza niż wojny perskie, o których opowiadał w swych „Dziejach” Herodot. Wydawało mu się również, że zna zamiary Dionizjusza: utworzenie imperium syrakusańskiego bez oglądania się na kogokolwiek, ani na Greków, ani na barbarzyńców, i powołanie nowej całkowicie mu oddanej armii, wraz z którą będzie mógł rozegrać śmiertelny pojedynek, bez brania jeńców i do krwi ostatniej, z Kartagińczykami.

Wyjawszy ze szkatułki czysty zwój papirusu, rozwinął go i przymocował do stołu, po czym zabrał się do pisania kolejnego rozdziału — na temat swojego przyjaciela Dionizjusza. Filistos nie dyktował, jak to czynią ci, którzy pragną stworzyć jakiegokolwiek dzieło literackie. Wolał pisać sam, niczym pokorny pisarz, lubił bowiem słuchać cichego skrzypienia umoczonej w inkauscie trzciny sunącej po papirusie, lubił patrzeć na rodzące się słowa, które ustawały się w szeregu na białym zwoju. W takich chwilach delectował się władzą, jakiej nie posiadał nikt inny na świecie: władzą uwieczniania wydarzeń i ludzkich losów na najbliższe lata, a może i wieki. Władzą przedstawiania ludzi, ich przywar i cnót, które sam nieodwołalnie osądzał. Był zeń wówczas *histor*, ten,

co opowiada, ponieważ wie, wie zaś dlatego, że widział i słyszał. a jego ocena wynika wyłącznie z jego umysłu, z niczego innego. Pisał zaś o Dionizjuszu.

Jeszcze jako bardzo młody mężczyzna był świadkiem upadku olśniewającego miasta, rzezi tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, wypędzenia całych narodów i wreszcie pohańbienia i zabicia ukochanej żony przez, własnych współobywateli podczas wewnętrznych zamieszek. I jak to zwykle bywa w takich razach, w jego umyśle zrodziły się na gorąco dwa przekonania: po pierwsze, że demokracja to system nieskuteczny, gdy trzeba podejmować natychmiastowe decyzje i działania oparte na radykalnych wyborach, niezdolny zarazem, powstrzymać wzburzonego tłumu ani wichrzycieli; a po drugie, że jeśli jakikolwiek Kartagińczyk na Sycylii stanowi zagrożenie dla istnienia Hellenów, lepiej, by zginął. Co do Greków, Dionizjusz miał przed oczyma przynębiający obraz tego, co działo się w metropoliach. Osiemdziesiąt lat temu przymierze między najważniejszymi miastami Hellady pokonało imperium Wielkiego Króla Persów, największe, jakie kiedykolwiek istniało na ziemi, teraz zaś te same miasta rozszarpują się wzajemnie na strzępy w walce bez, końca, szykując własną zgubę. Uważał zatem, że należy tego uniknąć, przynajmniej na Zachodzie, i że nie ma innej drogi jak podbój, zjednoczenie Greków z Sycylii i Italii w jedno państwo. Żył przekonanie, że jedynym środkiem do tego jest autokracja. Myślał nawet, że zdawał sobie sprawę, z jak ogromną samotnością musi się zmagać ten, kto chce rządzić w pojedynkę, jakie czyhają nań niebezpieczeństwa i pułapki. Liczył wszakże, przynajmniej z początku, na przyjaciół,

których znał z dzieciństwa, i na swego brata Leptinesa. Rodziców stracił bowiem, kiedy był małym chłopcem.

Doriskos był synem handlarza pszenicą; jego matka pochodziła z Italii, z Medny. Miał tyle samo lat co on i był wielkim śmiałkiem. W młodości brał udział w igrzyskach olimpijskich jako pięściarz i zwyciężył w kategorii młodzików. Uczestniczył we wszystkich kampaniach wojskowych i wracał z wieloma ranami, po których z dumą pokazywał blizny.

Jolaos, nieco starszy, był dokładny i rozważny; cnoty te rozwinął ucząc się pod okiem wielu mistrzów. Podobno uczęszczał nawet do pitagorejskich szkół w Italii, w Krotonie

i Tarencie, gdzie poznał liczne tajemnice ludzkiego ciała i ducha.

Biton przeżył jako jedyny z pary bliźniąt, którym nadano mityczne imiona Kleobis i Biton. Herosi ci sami ciągnęli matczyzny wóz od Argos aż do świątyni Hery, zyskując w ten sposób nieśmiertelność. Był niezwykle silny, lecz miał spokojne usposobienie. Kiedy stracił brata bliźniaka, zastąpił mu go Dionizjusz, któremu był ślepo oddany.

Leptines był nie tylko bratem, ale i przyjacielem, najlepszym, jakiego można by sobie wymarzyć, jednakże porywczność, upodobanie do wina i kobiet oraz nagłe wybuchy gniewu stanowiły niewiadome w wojnie, gdzie odwaga i męstwo, których mu nie brakowało, nie zawsze wystarczały, aby zapewnić pomyślny przebieg działań.

Opieranie władzy na osobistych i rodzinnych powiązaniach, których nie dało się niczym zastąpić, stanowiło wszakże zagrożenie dla Dionizjusza. Kiedy przyjaciel i krewnych zabraknie a to za sprawą losu, a to śmierci w bitwie, a to z powodu choroby, samotność autokraty różnie, jego dusza zaś staje się jałowa i zaczyna przypominać pustynię...

Stanąwszy przed Syrakuzami wczesną jesienią, Himilko rozbił obóz na bagiennej równinie u ujścia Kiane, było to bowiem jedyne miejsce zdolne pomieścić tyle tysięcy żołnierzy, po czym natychmiast pchnął posłańca z żądaniem rozejmu. Było zatem oczywiste, że kartagińskie wojsko stanowi raczej manifestację siły niż rzeczywistą groźbę. Miało wzbudzić strach, a nie dokonać napaści z prawdziwego zdarzenia.

Dionizjusz przyjął posłańca Himilkona na Ortygii w koszarach swoich najemników. Dawno już opuścił dom z pergolą w Achradine, nie mogąc znieść wspomnień, jakie wywoływał, toteż pędy winorośli zakorzeniły się wszędzie po trochu, nie rodząc jednak żadnych owoców, jako że nikt ich nie przycinał.

Przyjął go w komnacie fechtunkowej, obszernej izbie pozbawionej sprzętów i ozdób, gdzie na wszystkich ścianach wisiały włócznie i miecze. Siedział na zydlu boso, za to w pancerzu, oparłszy miecz, nagolenice i koryncki hełm na stojaku obok, wyglądał zatem niczym zimna niewzruszona maska wojenna.

— Czego chce ode mnie twój pan? — zapytał posła, gdy wprowadzono go przed jego oblicze.

Był to Grek z Cyreny, niski, kędzierzawy, który na co dzień handlował purpurą.

— Czcigodny Himilko — zaczął — chce ci okazać wspianolomyślność. Zamierza oszczędzić twoje miasto, mimo że mógłby je zdobyć w krótkim czasie, podobnie jak wszystkie poprzednie...

Dionizjusz milczał wpatrując się weń lodowatym wzrokiem, tak przenikliwym jak żelazo jego włóczni.

— Jest skłonny pozwolić sycylijskim Grekom, by na powrót osiedlili się w swoich miastach, aby mogli zająć się handlem i rzemiosłem. Nie będą mogli jednak zbudować murów i będą musieli płacić haracz Kartaginie.

„Nędzny psi synu — zaperzył się w duchu Dionizjusz. — Chcesz zaludnić miasta na nowo, bo potrzebujesz ich złota i podatków!” Przemówił wszakże chłodnym tonem, dbając, by zabrzmiał obojętnie.

— Są jeszcze jakieś warunki?

— Nie — zaprzeczył poseł. — Nie ma żadnych. Ale czcigodny Himilko ofiaruje ci możliwość wykupu jeńców, których pojmał w ostatnich wojnach.

— Rozumiem — odrzekł Dionizjusz.

Poseł czekał osłupiały na jakąś odpowiedź, która jednak nie nadeszła. Dionizjusz spoglądał nań w milczeniu, aż w końcu biedak zaczął się pocić czując na sobie ów lodowaty wzrok. Miał ochotę o coś zapytać, ale zabrakło mu śmiałości. Odnosił wrażenie, że gdyby przerwał tę ciszę, świat by się zawalił. Wreszcie zebrał się wszakże na odwagę i wydukał:

— Co... co mam przekazać czcigodnemu Himilkonowi? Dionizjusz popatrzył nań z miną kogoś, kto obudził się nagle

Ze snu, i oświadczył:

— Nie sądzisz, że powinienem się nad tym zastanowić choć przez chwilę? To nie jest łatwa decyzja.

— Och tak, oczywiście — odparł natychmiast poseł. — Oczywiście... oczywiście.

Upłynęła blisko godzina absolutnego milczenia, podczas której Dionizjusz nie zdradził się ani jedną myślą i nie drgnął mu ani jeden mięsień na twarzy, zupełnie jakby był posągiem. Poseł zaś ocierał

sobie co chwila czoło, na którym pot perlił się coraz bardziej, opierając się to na jednej, to na drugiej nodze, w komnacie nie było bowiem nic, na czym mógłby usiąść.

W końcu Dionizjusz cicho westchnął i skinął na posła palcem, żeby się zbliżył. Kiedy tamten podszedł doń cichym, niemal bojaźliwym krokiem, oznajmił:

— Możesz przekazać ode mnie czcigodnemu Himilkonowi...

— Tak, heghemon...

— Że gdybym mógł wyrazić to, co dyktuje mi serce, odpowiedziałbym...

— Tak? — zachęcił go poseł.

— Że może mnie pocałować w dupę.

Posel wybałuszył oczy.

— Że co może?

— Pocałować mnie w dupę — powtórzył Dionizjusz. — Jednakże — ciągnął — urząd, jaki piastuję, nakazuje mi użyć grzeczniejszych słów. Przekaz mu żalem, że chwilowo jestem skłonny zawrzeć pokój na jego warunkach i wykupić tylu jeńców, ilu się da, kiedy tylko zaniecha oblężenia i położy kres wrogości.

Posel skinął głową zadowolony, że wreszcie uzyskał odpowiedź, po czym wycofał się aż do drzwi i wymknął się przez nie.

Himilko, który domagał się bezwarunkowej zgody na swą propozycję pokoju, postanowił bezzwłocznie przystąpić do natarcia. Przez chwilę wahał się jednak, jaką obrać taktykę. Teren nie był sprzyjający, wyniosłe mury zaś napawały przerażeniem, nie dało się też zablokować portów, obydwu bowiem strzegły lepiej przygotowane i silniejsze jednostki floty syrakuzkańskiej. Nieliczne próby przebicia murów za pomocą machin oblężniczych zakończyły się niepowodzeniem, a duszący skwar tego lata, który przeciągał się uparcie aż do jesieni, przynosił znad bagien nieznośną wilgoć, powodując niemoc kończyn i osłabiając ducha. Nad bagienną doliną wisiał smród odchodów wielu tysięcy żołnierzy, toteż nie sposób było oddychać i wkrótce wybuchła zaraza. Każdego dnia kładziono na stosach setki ciał. w oddziałach zaś narastało niezadowolnienie, które w końcu jęło zagrażać samemu wodzowi i jego oficerom. Himilko ciągle miał nadzieję, że stanie się coś, co podobnie jak w Akragas zmieni bieg wydarzeń. Był przekonany,

że Syrakuzanie zdecydują się na frontalny atak lądem i morzem, dni wszakże mijały, lecz nic takiego nie nastąpiło.

Dionizjusz siedział zamknięty za okazałymi murami, nieustannie otrzymując zapasy z położonego na północy portu Lakkios, dzięki czemu mieszkańcy nie ponosili strat i nie cierpieli głodu.

W końcu Himilko, policzywszy poległych i tych, co przeżyli, zdał sobie sprawę, że nie ma wystarczająco silnej armii, by przeprowadzić atak, toteż zaniechał oblężenia. Wysłał kampańskich najemników na zachodnią część wyspy do pilnowania miast, sam zaś kazał wsiąść na pokład Afrykańczykom i odpłynął do Kartaginy.

Tymczasem Dionizjusz otrzymał wiadomość, że w Tracji spartańska flota pod dowództwem Lizandra zaskoczyła na mieliźnie okręty ateńskie, niemal pozbawione załóg, po czym zatopiła je w miejscu zwanym „kozimi rzekami” — nazwa równie głupia jak samo zdarzenie. Ateński admirał Konon uratował się wraz z ośmioma statkami uciekając do Pireusu. Ateny były otoczone i od lądu, i od morza, ich położenie zaś wydawało się rozpaczliwe.

— Co o tym sądzisz? — zapytał go Filistos.

— Dla nas to nie ma większego znaczenia — odrzekł Dionizjusz. — Teoretycznie Spartanie powinni mieć teraz większą swobodę, żeby nam pomóc, ale w rzeczywistości wolałbym, żeby trzymali się od nas z daleka. Sami musimy sobie radzić z kłopotami, jeśli tylko to możliwe.

— Nie zrozumiałeś: pytałem, co twoim zdaniem stanie się z Atenami.

— Chcesz wiedzieć, co bym zrobił, gdybym był na miejscu Lizandra?

— Tak, o ile masz ochotę mi powiedzieć.

— Ateńczycy są najlepsi. Nauczyli świat myśleć i już choćby z tego powodu zasługują na to, żeby żyć bez względu na zbrodnie, jakich dopuścili się w ciągu trzydziestu lat wojny.

— Więc liczy się tylko wspaniały umysł? Postępowanie jest nieważne?

— Chcesz się wdać w filozoficzną dysputę? To sprawy, które już roztrząsaliśmy. Twoje pytania miałyby sens, gdyby istniał jakiś najwyższy sędzia, który uniewinnia i skazuje, gdyby istniała

jakaś siła, która chroni dobrych i karze złych, tylko że taki sędzia nie istnieje, owa siła zaś to tylko ślepa i przypadkowa moc podobna do potęgi burz i wichrów, co to uderzają jak popadnie, niosąc śmierć i zniszczenie tam, gdzie trafiają.

— A jednak sędzia, o którym mówisz, istnieje...

— Ach tak? A któż to taki?

— Historia. To ona jest sędzią. Ona pamięta, kto działał dla dobra ludzi, i potępia tego, kto wyrządził im krzywdę, kto zadał cierpienie bez powodu.

— A, Historia — powtórzył Dionizjusz. — Rozumiem. Zatem twoim zdaniem człowiek powinien kierować się w swoim postępowaniu tym, co powie o nim Historia, kiedy zostanie z niego tylko garść popiołu i już nic nie będzie go obchodziło? A niby kto pisze Historię? Ludzie, którzy z pewnością wcale nie są lepsi ode mnie... To ja tworzę Historię, przyjacielu. Rozumiesz? Wiem na pewno, że mogę naginać wydarzenia do własnej woli, nawet jeśli wszystko wskazuje na to, iż jest inaczej. Pamiętaj jednak, że jeszcze nic nie widziałeś... nic, pojmujesz? Najważniejsze dopiero nadejdzie.

— Łudzisz się. Historia to dzieje ludzkości przefiltrowane przez mądrość osób, które posiadają dar zrozumienia. Historia biegnie tam, gdzie chce, Dionizjuszu, ona jest jak wielka rzeka, co to raz płynie z niepowstrzymaną siłą, zabierając wszystko po drodze, raz znów powoli, leniwie, sprawiając wrażenie, że pozwala się ujarzmić i podporządkować przez miernoty. Historia to tajemnica, mieszanina namiętności, trwogi, nadziei, zapału, podłości; to los i przypadkowość, ale także wynik dokładnych i upartych zamierzeń, takich jak twoje. Historia to pragnienie wzniesienia się ponad ludzką nędzę, to jedyny pomnik, który przetrwa dłużej niż my. Nawet jeśli z naszych świątyń i murów zostaną tylko ruiny, kiedy nasi bogowie i herosi okażą się zwykłą mrzonką, obrazami zniekształconymi przez czas, okaleczonymi i zbutwiałymi posągami, Historia i tak będzie pamiętać, cośmy uczynili, wspomnienia zaś, jakie po nas pozostaną, to jedyna nieśmiertelność, na jaką możemy liczyć.

— Dobrze — odparł Dionizjusz — więc miej się na baczności, Filistosie, bo wiem, że od dawna piszesz. Ja już dokonałem wyboru i jestem gotów skazać pamięć o mnie na potępienie przez

całe wieki, jestem gotów, aby zapamiętano mnie jako potwora zdolnego do każdej podłości, ale także jako prawdziwego mężczyznę, mężczyznę, który potrafi naginać wydarzenia do własnej woli. Tylko tacy ludzie są podobni bogom. Naród wybaczy ci, żeś ograniczył jego wolność, tylko pod warunkiem iż jesteś naprawdę wielki, inaczej rozszarpie cię na strzępy i podepcze, kiedy okażesz najdrobniejszą słabość.

Filistos zamilkł wstrząśnięty nie tylko tymi wyniosłymi i butnymi słowami, ale również ową niemal ślepą wiarą we własne przeznaczenie, którą Dionizjusz potrafił wyrazić zarówno głosem, jak i gorączkowym spojrzeniem przepełnionym mocą.

— Wobec tego jakie masz zamiary? — zapytał po chwili.

— Muszę powołać do armii nowych wojowników, zbudować na Ortygii fortecę, w której będzie się mieścić moja siedziba, a także arsenał, tak aby nikt nie zdołał zamknąć mi drogi od strony morza, oraz mury przebiegające przez przesmyk, tak aby odcięty pozostała część miasta leżącą na stałym lądzie, moi wrogowie mogą bowiem nadejść zewsząd: od zewnątrz i od wewnątrz. Ci zaś, co nadejdą od wewnątrz, mogą się okazać najgroźniejsi i najokrutniejsi, bestialstwo braci jest najgorsze ze wszystkich.

Filistos spojrział na niego zdumiony.

— Masz wielkie plany. Skąd weźmiesz złoto?

— Nie martw się, nie zwrócę się o nie do ciebie.

— Nie sądzę, bym kiedykolwiek... — oburzył się obrażony Filistos.

— Nie chciałem tego powiedzieć. Już i tak dużo dla mnie zrobiłeś. Nie chcę cię pociągnąć za sobą, gdyby miało się to dla mnie źle skończyć. Chcę, żeby twoje życie było piękne w granicach możliwości. Zresztą twój majątek, którego rzeczywistej wartości nie znam, i tak nie zdołałby pokryć takich wydatków.

— Więc co zrobisz?

— Nie wiem — przyznał Dionizjusz — ale znajdę jakieś rozwiązanie. Zawsze jest jakieś wyjście dla kogoś, kto ma odwagę marzyć o wielkich czynach. Teraz muszę odetchnąć świeżym morskim powietrzem. Zechcesz mi towarzyszyć?

— Z ogromną przyjemnością — odparł Filistos.

— W takim razie zakryj się; lepiej nie wzbudzać w mieście niezdrowej ciekawości.

Wyszli z koszar tajemnymi drzwiami, zakapturzeni, w płaszczach na ramionach i ruszyli ciemnymi ulicami Ortygii. Dionizjusz skierował swe kroki ku dokowi, gdzie jego ogromne okręty wojenne przechodziły właśnie jesienny przegląd. Stamtąd zaś skręcił w drogę wiodącą na północ, ku handlowym pomostom.

— Spójrz, jakie to dziwne — odezwał się w pewnej chwili Filistos. — Tam, na drugim pomoście.

Podążywszy za jego wzrokiem, Dionizjusz stwierdził, że ze statku, który najwyraźniej zdążył zacumować wraz z ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, wyładowywano właśnie niewolników. Gdy podeszli bliżej, zauważył mężczyznę o bardzo jasnych, niemal białych włosach. Był zupełnie nagi i miał całą skórę czerwoną i spaloną od słońca. Jedyną rzeczą, jaką nosił poza niewielkim tatuażem na piersi, była sztywna sznurkowa obroża zakończona z przodu małymi główkami węża wyrzeźbionymi w drewnie. Dionizjusz przyglądał mu się przez chwilę, po czym rzekł do Filistosa:

— Zapytaj, ile kosztuje.

Filistos podszedł do handlarza.

— Mój przyjaciel chce wiedzieć, ile kosztuje ten Celt o spalonej skórze.

— Powiedz swojemu przyjacielowi, żeby wrócił jutro na targ i ustawił się w kolejce jak wszyscy, żeby złożyć ofertę — odparł handlarz nawet się nie oglądając.

Szepnąwszy przyjacielowi coś na ucho, Dionizjusz dał mu porozumiewawczy znak i się oddalił. Wówczas Filistos jeszcze raz zwrócił się do handlarza.

— Ten niewolnik wzbudził ogromną ciekawość mojego przyjaciela, który jest gotów zapłacić za niego sporą sumę.

— Nie wątpię. Wiesz, ilu starych capów przyjdzie jutro na targ, żeby wrywać sobie z rąk ptaszka tego jasnowłosego Apollina z północy? Chyba nie sądzisz, że twój przyjaciel jest najśliczniejszy, co? Już ci powiedziałem: jeśli chce kupić ten wspaniały okaz, będzie musiał nieźle sypanąć srebrem, żeby przebić innych kupców.

Filistos opuścił kaptur na plecy, odsłaniając twarz.

— Mój przyjaciel ma na imię Dionizjusz — oświadczył. — Nic ci to nie mówi?

Wyraz twarzy i zachowanie handlarza natychmiast uległy zmianie.

— Chcesz powiedzieć: t e n Dionizjusz? — zapytał wybałuszając dwoje wielkich białych oczu.

— On sam — przytaknął Filistos spoglądając nań szczególnie znacząco. — I jeśli mogę ci coś doradzić, gdybym był na twoim miejscu, dałbym mu dobrą cenę.

— A jaka jest twoim zdaniem ta dobra cena?

— Pięć min wydaje mi się uczciwą kwotą.

— Pięć min? Ależ on jest wart co najmniej trzy razy tyle!

— Masz absolutną rację. Właśnie tyle chciał ci dać, ale pozwoliłeś, żeby okazja uciekła ci sprzed nosa. Teraz musisz się zadowolić pięcioma minami, chyba że się nie boisz niebezpiecznej i niepewnej licytacji.

— Skąd mam mieć pewność, że sobie ze mnie nie żartujesz?

— Rzeczywiście nie możesz. Pozostaje ci albo uwierzyć w to, co mówię, albo nie. Jeśli ci to odpowiada, jutro dostaniesz dwa razy tyle na targu. Jeśli nie, nic nie dostaniesz. Więc co postanowiłeś?

— Zgadzam się, niech cię szlag — odrzekł handlarz ze złością.

Filistos wręczył mu ustaloną kwotę i wskazał, dokąd ma odstawić niewolnika, po czym spotkał się z Dionizjuszem przy bramie.

— Jak poszło? — zapytał przyjaciel.

— Pięć min. Z ręki do ręki.

— Dobra cena.

— W rzeczy samej.

— Jutro ci zwrócę.

— Dlaczego tak ci zależy na tym niewolniku?

— Zauważyłeś obrozę, którą miał na szyi?

— Tak, ale...

— A tatuaż na piersi?

— Wydaje mi się...

— Ten człowiek należy do dość groźnego bractwa wojennego.

Prawdę mówiąc do najgroźniejszego ze wszystkich. To są gromady koczowników, które zachowują się jak stada wilków szukające ofiary, czasem jednak zaciągają się jako najemnicy. Są tak silni,

że idą do boju nadzy, jako jedyną osłonę mając miecz i tarczę. W ogóle nie boją się śmierci, jedynym zaś celem ich życia jest udowodnienie własnej odwagi przy każdej sposobności. Nie potrafię pojąć, jak mógł się dać pojmać żywcem. Nie wiesz, czy mówi po grecku?

— Nie.

— Spróbuj się dowiedzieć i zapytaj, skąd pochodzi i w jaki sposób dostał się do niewoli. Jednym słowem dowiedz się wszystkiego, co się da. Jeżeli nie zna greki, poproś o pomoc któregoś z naszych najemników.

— Jeszcze mi nie powiedziałeś, co zamierzasz z nim zrobić. Kim będzie?

— Moją strażą przyboczną — odrzekł Dionizjusz.

Po czym się oddalił.

XVII

Uwolniony z łańcuchów Celt wszedł niepewnym krokiem do obszernej zbrojowni słabo oświetlonej przez jedyne dwie lampy wiszące na ścianach. Miał przed sobą człowieka, który siedział nieruchomo na zydlu odwrócony plecami. Wojownik zbliżył się nie robiąc najmniejszego hałasu bosymi stopami na kamiennej posadzce. Stał niedaleko mężczyzny, który wyglądał niczym posąg.

Wstrzymał oddech i w tej samej chwili spostrzegł w głębi komnaty uchylone drzwi — drogę ucieczki. Przysunąwszy się lekko jak cień do długiego stojaka, na którym umieszczono rzędem dziesiątki włóczni i lśniących mieczy, błyskawicznie chwycił jeden z nich i odwrócił się gotów zadać cios, na widok pustego zydlu wszakże jego niebieskie oczy pociemniały z trwogi. Kiedy okręcił się na pięcie w przebłysku przecucia, ujrzał przed sobą milczące zagrożenie, które wyprzedziło go w ciemnościach. Ledwie zdążył odparować błyskawiczny cios miecza. Gdy żelazo otarło się o żelazo wywołując snop iskier, ciszę wielkiej komnaty przedarł niespodziewanie metaliczny szczęk, który odbił się od nagich murów i sufitu, aż jego zwielokrotnione echo stało się straszne, ogłuszające.

Celt odznaczał się niewiarygodną zwinnością, jego nagie lśniące ciało wyginało się jak u dzikiego zwierzęcia z energią, która zdawała się rosnąć, zamiast maleć, przy każdym starciu.

Nagle przeciwnik wszedł w krąg światła lamp i zastygł bez ruchu. On także był bosy i nagi, twarz zasłaniał mu wszakże całkiem hełm koryncki, spod którego błyszczały jedynie oczy. Nie

dyszał; jego pierś się nie unosiła, smagłe ciało zaś wydawało się z brązu. W pewnej chwili ustawił miecz w pozycji poziomej, wyceLOWał ostrze w pierś tamtego i zaczął się powoli zbliżać. Celt skupił się uginając nogi i zbierając siły na nadchodzący cios, a następnie jął się wpatrywać w czubek miecza przygotowując uderzenie, które przyniosłoby mu zwycięstwo. Wykonał cięcie z góry, by wytrącić broń z ręki przeciwnika, który jednak zrobił błyskawiczny unik. Podczas gdy Celt zachwiał się lekko, pochylony do przodu, przeciwnik bez twarzy wymierzył mu kopniaka w zgięcie nogi pod kolanem, drugiego w plecy, aż rozłożył się jak długi na posadzce. Po chwili zaś Celt poczuł lodowaty dotyk miecza między łopatkami.

— Śmierć jest zimna — rozległ się głos zniekształcony przez hełm — prawda?

Kiedy tamten uniósł miecz, jasnowłosy wojownik w okamgnieniu chwycił własną broń i obrócił się wokół swojej osi niczym wąż, natychmiast jednak poczuł wrogie ostrze na gardle. Naciskało coraz mocniej, przecinając skórę. Chociaż ciągle miał jeszcze broń, był pewien, że gdyby tylko drgnął, szpiczaste ostrze z miejsca przebiłoby kruchą granicę życia, odcinając dopływ powietrza i krwi. Leżąc więc nadal na posadzce wypuścił z dłoni miecz.

— Wstań — usłyszał, po czym głos nagle zyskał twarz.

Kiedy hełm podjechał do góry, ukazało się dwoje ciemnych przenikliwych oczu, pełne, ładnie wykrojone usta i twarz ocieniona ledwie widoczną, lecz już niezwykle ciemną brodą.

— Wiem, że rozumiesz po grecku — przemówił ponownie głos. — Jak masz na imię?

— Aksal.

— Z jakiego jesteś plemienia: Insubriów czy Cenomanów?

— Bojów.

— Wstań.

Kiedy się podniósł, przewyższał go niemal o głowę.

— Bojowie żyją w Galii. Skąd się wzięłeś w Italii?

— Wielu z naszych przekracza Ligurię.

— Którędy?

— Przez góry.

— Kto uczynił cię niewolnikiem?

— Etruskowie. Zasadzka. Potem sprzedany.

— Dlaczego usiłowałaś mnie zabić?

— Bo Aksal wolny.

— Masz tylko jeden sposób, żeby być wolnym: służyć mi. Mam na imię Dionizjusz i jestem wodzem tego potężnego plemienia, które zwie się Syrakuzy. Niektórzy z twoich pobratymców już dla mnie walczą. — Z palcem wycelowanym w jego obrożę i tatuaż dodał: — Wiem, co one znaczą.

Wojownik cofnął się, jakby dźgnięty ostrzem miecza, Dionizjusz zaś mówił dalej:

— Ja też jestem przywódcą „bractwa” takiego jak to, złożonego z wojowników, którzy przysięgli, że będą sobie wzajemnie pomagać jak bracia i że nikt nie przewyższy ich ani w władaniu bronią, ani w odwadze. Jesteśmy najlepsi i właśnie dlatego cię pokonałem. Ale ocaliłem ci także życie. A teraz decyduj: chcesz być moim cieniem czy wrócić do swojego pana?

— Twoim cieniem — odrzekł bez wahania Celt.

— Dobrze. Przejdź przez te drzwi; dadzą ci szaty, zbroję i miejsce do spania. Nauczą cię także mówić... Z czasem. I zgol wąsy. Wyglądasz jak barbarzyńca.

Aksal ruszył długim korytarzem cichym krokiem ku drzwiom, za którymi zniknął. Dionizjusz zaś okrył się chlamidą i poszedł w przeciwną stronę, do swojej kwatery. Rzuciwszy się na materac z włosia, twardej niczym z żelaza, zapadł w sen.

W środku nocy obudził go Leptines.

— Co się stało? — zapytał z obawą Dionizjusz siadając na posłaniu.

— Uspokój się. Wszystko w porządku.

— Co tu robisz o tej porze?

— Wracam z zebrania Bractwa. Wszyscy spotkaliśmy się w domu Doriskosa. Kiedy wychodziłem, zaczepił mnie jakiś starzec, który sprawiał wrażenie żebraka, i powiedział: „Niczego nie chcę. Zanieś to bratu i powtórz mu, że trzeba czytać z siódemką.” — Po czym wręczył mu skórzany rzemień.

Dionizjusz wstał, wyszedł na korytarz i obejrzał go w świetle lampki oliwnej. Widniały na nim jakieś obcięte słowa, których nie dało się odczytać.

— Skytala — stwierdził. — Jak wyglądał ten starzec?

— Dość tęgi. prawie łysy: nad karkiem i skrońmi rósł mu wianuszek włosów. Chyba miał czarne oczy, ale było ciemno... W nocy wszystko jest czarne.

— Naprawdę nie powiedział ci nic więcej?

— Nie.

— Nie zaciągał? To znaczy, czy mówił tak jak my? A może jak Selinuntczyk? Albo ktoś z Akragas? Albo z Geli? Jak obcy?

— Wyszeptał cicho parę słów, podał to coś i zniknął. Jedyne co mogę o nim powiedzieć, to że był Grekiem, nie barbarzyńcą.

Dionizjusz milczał przez chwilę zamyślony, po czym rzekł:

— Zaczekaj tu na mnie, nie ruszaj się. Zaraz wracam.

Poszedł do sypialni, otworzył ukrytą w posadzce szkatułkę i wyjął jeden spomiędzy dziesięciu ułożonych w niej drążków. Owinąwszy wokół niego skórzany rzemień, wrócił na korytarz, by odczytać wiadomość w blasku lampki.

— I co tam jest? — zapytał Leptines.

— Nic, co mogłoby cię zaciekać — odrzekł Dionizjusz. — Dziękuję ci. Teraz połóż się spać. Jutro przyjdiesz tu do koszar i zajmiesz się wyćwiczeniem nowego wojownika, tego Celta, którego kupiłem w porcie. Nie baw się w żadne włócznie, tylko broń krótka i łuk, chociaż powinien już bardzo dobrze strzelać. I zapytaj Filistosa, czy mógłby znaleźć nauczyciela, który nauczyłby go greki, bo mówi jak zwierzę. Muszę na jakiś czas wyjechać.

— Wyjechać? A dokąd?

— Nie mogę powiedzieć, ale bądź ostrożny. Miej oczy otwarte. Nikt nie może wiedzieć, że mnie nie ma, bo by to miało fatalne skutki. Dla wszystkich.

— Ale kiedy wrócisz? — dociekał Leptines.

— Najszybciej jak się da — odrzekł Dionizjusz i zniknął w sypialni.

Świt zaskoczył go, gdy podążał na koniu w głąb wyspy, jadąc wzdłuż doliny Anapos. Z powodu długotrwałej suszy roślinność była niemal martwa, ziemia wokół koryta rzeki zaś spierzchnięta i spękana. Stada zwierząt skubały ścierniska tam, gdzie jeszcze było co skubać, albo błąkały się ze zwieszonymi łbami w przytłaczającej duchocie. Wkrótce dolina wcisnęła się między wysokie brzegi, potok zaś jął się coraz bardziej zwężać, aż pod wieczór

zalsniły wody źródła. Dionizjusz miał wrażenie, że przeżywa na nowo ów krótki okres zawieszenia między życiem a śmiercią. O wiele bliższy śmierci niż życiu, a jednak magiczny, odurzający.

Znów doznał przypiływu owej bolesnej energii, która wzbudziła w nim zapomniane, pogrzebane uczucia, po chwili zaś poczuł na plecach i karku czyjś kłujący dziki wzrok. Pochwycił życiodajną siłę bijącą ze źródła, zapach mięty więdnącej wzdłuż brzegów, podmuch skrzydeł ptaków drapieżnych podrywających się do lotu ze swych kryjówek na wysokiej skalnej ścianie.

Nagle w dolinie rozległ się czyjś głos.

— Zbliż się.

— Kim jesteś? — zapytał Dionizjusz kładąc dłoń na mieczu.

— Zostaw to; nie przyda ci się. Chodź tutaj. Odwróciwszy się, ujrzał jakiś cień przemykający za dzikim drzewkiem oliwnym.

Ruszył więc za nim. Wtem cień przystanął i wmieszał się w tłum innych widocznych wzdłuż ściany.

— Masz jakieś imię? — nie ustępował Dionizjusz.

— Nie. Mam wiadomość.

— Jaką?

— Ktoś zostawił dla ciebie skarb.

— Kto?

— Skoro sam nie wiesz, ja na pewno nie mogę ci tego wyjaśnić.

— Więc powiedz mi, gdzie jest.

— W Akragas, w stawie, na wysokości czwartej kolumny portyku. Będą ci potrzebne zwierzęta juczne. Więcej niż trzy, może cztery.

— Kto cię przysłał?

— Ktoś, kogo już nie ma.

Po czym cień zniknął za ścianą, jakby go połknęła. Dionizjusz zaś wrócił na brzeg źródła szukać owej niemal cudownej energii życiowej. Już miał się zanurzyć w zimnej wodzie, kiedy spostrzegł, że coś rusza się pod jej powierzchnią... Źródłana nimfa?

Wyłoniła się znieńacka z lśnącymi włosami, które opadały jej na ramiona, z kroplami wody, które spływały jej po ciemnej twarzy niczym łzy, z czarnymi oczyma ocienionymi długimi rzęsami, z wargami barwy granatu. Jak to możliwe? Jakim cudem mogła

być tą samą dziką istotą, która nawiedzała go w snach i wtedy, gdy majaczył w gorączce?

Podpłynęła jeszcze bliżej, po czym wynurzyła z wody najpierw ramiona, potem piersi jędrne i twarde jak muskuły wojownika, płaski i napięty brzuch, na koniec wzgórek łonowy oraz uda proste i lśniące jakby z brązu. Teraz stała tak blisko, że poczuł zapach jej skóry. Zapach cierpki, lecz lekki, podobny do woni niedojrzałego wina. Przypomniały mu się wersy Homera:

...choć nie wiem,
Czyś bóstwo, czyliś śmiertelna... *

Wypuściwszy z dłoni miecz niczym Menelaos na widok nagiej piersi Heleny, niczym Odyseusz na widok Kirke, schylił się i zerwał małą dziką lilię, ostatnią o tej gorącej porze roku, i podał jej. Ona zaś zeszywniała na chwilę, cofając się do wody, następnie chwyciła kwiat, włożyła do ust i zaczęła powoli żuć. Dionizjusz pozwolił opaść chlamidzie i zszedł do źródła. Kiedy podniósł ją bez wysiłku w krystalicznie czystej wodzie, objęła go gryząc i drapiąc, piszcząc niczym dzikie zwierzątko, wydając okrzyk rozkoszy, ochrypli i zdyszany, który zamienił się w końcu w westchnienie zadowolenia. Wyciągnęli się obok siebie na piasku, pozwalając, by ciepła bryza osuszyła im ciała.

Minęło trochę czasu, po czym jakiś głos powiedział:

— Weź ją ze sobą.

Dionizjusz drgnął, o mało bowiem nie zapomniał, dlaczego znalazł się w tym miejscu.

— Co ty mówisz? Przecież nigdy stąd nie wychodziła, nie będzie umiała poruszać się poza tą dolinę.

— Weź ją ze sobą — powtórzył głos. — Pójdzie twoim śladem.

— Dlaczego miałbym to zrobić?

— Bo ona może być pod wodą dłużej niż ktokolwiek inny. Może to nimfa wodna: zdobyłeś ją, więc będzie cię strzec, tak jak Atena strzegła Odyseusza. Powiedziałem ci już wszystko, co miałem do powiedzenia. Żegnaj.

* „Odyseja”, pieśń VI, przeł. Józef Wittlin.

Dionizjusz podbiegł do skalnej ściany, skąd dochodził głos. ale nie znalazł nikogo. Rozmawiał z echem.

Wyciąwszy pośrodku płaszcza okrągłą dziurę za pomocą miecza, przełożył go jej przez głowę i związał na biodrach wtką wierzbową, ona zaś spokojnie czekała, aż skończy. Była dokładnie taka, jak się spodziewał od tak długiego czasu, gotowa na wszystko, byleby tylko z nim zostać. W dolinie nadal panował mrok, słońce zaczynało już jednak złocić wierzchołki skały. Gdy niedaleko rozległo się ciche rżenie, Dionizjusz spostrzegł trzy konie przywiązane do krzewu tamaryszku. Wówczas zerknął na dziewczynę i powiedział:

— Jeśli chcesz jechać ze mną, musisz wsiąść na konia, o tak.

Wskoczywszy na swego wierzchowca, chwycił za uździeniec jednego z dwóch pozostałych. Dziewczyna szła za nim kawałek, po czym przystanęła spoglądając z dziwną miną na swoją szatę.

Dionizjusz również się zatrzymał i obejrzał za siebie, by popatrzeć na nią po raz ostatni, sądził bowiem, że nie odważy się przekroczyć granicy głębokiej skalistej kotliny, ona wszakże puściła się biegiem i wskoczyła na grzbiet pierwszego rumaka z nadludzką zwinnością i cudowną lekkością. Zwierzę nie cofnęło się nawet, zupełnie jakby ta istota była pozbawiona ciężaru i zapachu, lecz spokojnie podążało dalej, podczas gdy dotykające jego boków stopy, nagie i stwardniałe na skałach, wskazywały mu kierunek.

Jeszcze tego samego dnia o zmierzchu obciął jej włosy mieczem na wysokości karku, ona zaś znów zmieniła wygląd, przypominając najpierw tajemniczego efeba, potem zaś stając się na jedną krótką ulotną chwilę Arete. I spojrzała nań jej oczyma.

Wyruszyli przed świtem zapuszczając się w puste i bezludne obszary, które wojna ogołociła i śmiertelnie zraniła, jadąc ciągle w milczeniu. Co jakiś czas przyglądał się jej z niezrozumiałym skrzępowaniem. Jej milcząca obecność podkreślała w szczególny sposób jego samotność, jednocześnie zaś puste miejsca, które mijali, zdawały się wystawiać i wielbić tę istotę, czyniąc z niej niemal bóstwo.

Wędrowali osiem dni przez góry, śpiąc po kilka godzin każdej nocy, aż wreszcie pewnego poranka wyłoniło się przed nimi Akragas wznoszące się wysoko na wzgórzu w widmowym świetle.

Było wyludnione, zamieszkiwały w nim za to dzikie zwierzęta: bezpańskie psy, lisy i kruki. Wszędzie na ulicach widniały oznaki zniszczenia, nędzne szczątki tych, co nie uciekli i zostali zabici.

Nie miał odwagi, by wspiąć się na akropol, podjechał za to do domu Telliasa i wszedł do środka. Zastał odrapane ściany, popalone sprzęty, cenne naczynia porozbijane o posadzki, osmalone sufity. Oparł głowę o ścianę, do oczu zaś napłynęły mu łzy. Wówczas dziewczyna podeszła bliżej i położyła mu dłoń na karku. Instynktownie wyczuwała, jakie przeżywa męki, usiłowała więc przejąć część jego cierpienia na siebie. Dionizjusz odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

— Chodź — powiedział — idziemy nad staw.

Woda była ciepła, niemal gorąca, brakowało w niej wszakże ryb. Okupanci musieli je wszystkie wyjeść minionej zimy. Dionizjusz zanurzył się, ale dopiero po kilku próbach dosięgnął dna. Wreszcie dostrzegł dwie skrzynie przywiązane konopnymi linami, na próżno jednak usiłował je podnieść. W pewnej chwili przeciął liny i rozejrzał się dokoła: wszędzie było mnóstwo złotych i srebrnych monet. Skarb Telliasa!

Ponieważ brakowało mu powietrza w płucach, odepchnął się nogami, by wypłynąć na wierzch, ale coś mu w tym przeszkodziło: odwiązana lina owinęła mu się wokół stopy i nie pozwalała odebrać się od dna.

Czyżby umierał? Czyżby wszystko miało się zaraz skończyć? Wzdłuż ciała ulatywały bąbelki, obrazy z całego życia niknęły w zielonej nierzeczywistej atmosferze, w uszach słyszał jęki umierających, w płucach płonął ogień pożarów, z innych światów spoglądały zaś nań pełne łez oczy małych dziewczynek.

Nagle po chwili poczuł pchnięcie, jego ciało wyskoczyło pospiesznie do góry, po czym jakaś niezwykła siła jeła ciągnąć go na brzeg. Na piersiach kłęczała mu dzika dziewczyna, naduszając tak mocno, aż zwymiotował, z płuc zaś wypłynęła mu woda i ogień. Kaszał, pluł, krztusił się i wreszcie zaczął oddychać.

Rozejrzał się dokoła, lecz nikogo nie zobaczył. Kiedy usłyszał plusk, spostrzegł, jak dziewczyna wyrzuca na brzeg dwie

ogromne garście złotych i srebrnych monet, po czym znika pod wodą.

Krażyła tak niez mordowanie przez cały dzień bez chwili odpoczynku, podczas gdy Dionizjusz napełniał juki. Do wieczora oczyścili staw ze wszystkich skarbów — było to nieprzebrane bogactwo.

— Chodźmy — powiedział, po czym ruszył do koni, by załadować ostatni worek, kiedy nagle znieruchomiał słysząc jakiś hałas. Bardzo silne podniecenie owego niesamowitego dnia, widok góry złota i srebra, obecność jego samego i owej istoty w widmowym mieście, wszystko to sprawiło, że poczuł się jak we śnie, odgłos ten przywrócił go wszakże natychmiast do rzeczywistości. Po krzyżu przebiegł mu dreszcz. Chyba postradał zmysły, skoro postępował w taki sposób i w takim miejscu, będąc na dodatek sam.

— Kto tam? — zawołał.

Nie uzyskał wprawdzie odpowiedzi, spostrzegł jednak jakieś cienie przemykające się przy ścianach od domu do domu.

— Wsiadaj na konia, prędko! — polecił dziewczynie, pokazując jednocześnie gestami, co znaczą te słowa.

Ona wszakże ani drgnęła. Zdawała się węszyć, odstawiając zęby niczym dzika bestia i cofając się. Dionizjusz tymczasem chwycił wierzchowce i zaczął je ciągnąć ku wschodniej bramie. Stamtąd jednak również dolatywały hałasy, nawoływania, po chwili zaś ujrzeli zbliżające się postacie. Znaleźli się w pułapce.

W końcu podeszło do nich dwóch osobników z kijami w dłoniach. Byli okryci łachmanami i mieli długie brody oraz włosy. Zbójcy? Dezerterzy?... Uchodźcy? Przypominali raczej zwierzęta niż ludzi. Dionizjusz przystanął i dobył miecza. Z kolei dziewczyna podniosła dwa kamienie i cisnęła z zabójczą precyzją. Trafieni każdy w sam środek czoła, upadli na ziemię jeden po drugim bez jęku skargi. Lecz wszędzie rozległy się następne nawoływania, po czym runęła naprzód zgraja pięćdziesięciu osobników z kijami i nożami.

— Prędko, uciekajmy tędy! — krzyknął Dionizjusz chwytając dziewczynę za rękę i porzucając konie.

Prześladowcy najwyraźniej jednak pragnęli pomścić swych kompanów, toteż popędzili za nimi wymachując pałkami i noża-

mi. Dionizjusz skrzywił wprawdzie pierwszy za róg jakiegoś domu. zderzył się wszakże natychmiast z kimś, kto nadszedł z przeciwnej strony. Usiłował powalić go ciosem miecza, lecz tamten zawołał po grecku:

— Stój, do kroćset, chcesz mi poderznąć gardło?

— Leptines?

— A niby kto? — Obejrzawszy się za siebie, dodał: — Nuże. pozabijajcie tych parszywców, ruszać się!

Na te słowa sześćdziesięciu najemników, w tym Aksal, pognąło do przodu powalając pierwszych, jacy się nawinęli, następnie zaś za pomocą łuków skosili tych, co ocalili i zaczęli uciekać. Nikt im się nie wymknął.

— Dałem ci wyraźny rozkaz — powiedział Dionizjusz, kiedy było już po wszystkim.

— Na Heraklesa, przecież dopiero co uratowałem ci życie. Twoja bezczelność nie zna granic... — zaczął Leptines.

— Dałem ci wyraźny rozkaz! — wrzasnął Dionizjusz.

Leptines spuścił głowę przygryzając wargę.

— I tak bym sobie poradził — ciągnął jego brat. — To tylko banda nędznych wszarzy, za to z powodu twojego nieposłuszeństwa wszystko mogło się zawalić. Rozumiesz?

— Zostawiłem w Syrakuzach Doriskosa; to znakomity dowódca i zawsze był członkiem Bractwa. Nic się nie stanie. Pomyślałem, że błaganie się samopas mogłoby się dla ciebie okazać niebezpieczne, więc ruszyłem twoim śladem. Następnym razem pozwolę ci zdechnąć, dobrze?

— Następnym razem zrobisz dokładnie to, co ci każę, bo inaczej zapomnę, że jesteś moim bratem, i każę cię zabić za nieposłuszeństwo. Czy wyraziłem się jasno?

Wtem nadszedł Aksal trzymając za włosy dwie odcięte głowy.

— Aksal jest twój cień, widzisz? — Podsunął mu je pod nos.

Dionizjusz skrzywił się.

— Tak, tak, dobrze. Weźcie konie i zabierajmy się stąd, prędko.

— Co to za jedna? — zapytał Leptines pokazując na dziewczynę.

Dionizjusz odwrócił się w jej stronę, ona jednak uciekła, znikając w opustoszałym, pogrążonym teraz w mroku mieście.

— Zaczekaj! — krzyknął. — Zaczekaj! — Pobiegł za nią, lecz zaraz zdał sobie sprawę, że nie warto. I tak nigdy by jej nie odnalazł.

— Ale kto to jest? — nie ustępował Leptines.

— Nie wiem — odrzekł oschle Dionizjusz.

Ruszyli w drogę przejeżdżając przez wschodnie dzielnice, aż dotarli do bram Geli i wkroczyli do miasta od strony cmentarza, podczas gdy za ich plecami wzeszedł właśnie księżyc, zalewając bladą poświatą świątynie na wzgórzu. Dionizjusz spojrzął na brata, który poruszał się w milczeniu, pomagając sobie jesionową włócznią. Wydało mu się dziwne, że Leptines sam zdecydował się na podobne przedsięwzięcie.

— Powiedz mi prawdę: kto ci poradził, żeby za mną jechać? Filistos?

Leptines przystanął i odwrócił się ku niemu.

— Nie — zaprzeczył. — Filistos nie ma z tym nic wspólnego.

— Więc kto?

— Taki jeden. Ten grubawy osobnik z łysą głową, ten sam, co przekazał mi wiadomość. Nagle wyrósł przede mną jak spod ziemi w koszarach i powiedział: „Twój brat jest w niebezpieczeństwie. Musisz zaraz za nim ruszyć drogą na Akragas.” Nie zdążyłem nawet wykrztusić słowa, a już go nie było. Co miałem zrobić?

Dionizjusz nie odzywał się. Pojechał dalej w milczeniu, toteż nikt nie zauważył jego lśniących w ciemnościach oczu ani nie usłyszał słów, które cisnęły się na usta niczym nagłe objawienie.

— Tellias... Mój przyjacielu.

XVIII

Wróciwszy do Syrakuz, Dionizjusz rozpoczął imponujące prace: kazał postawić ufortyfikowaną siedzibę połączoną ze zbrojownią w samym sercu starego miasta i mur odgradzający przesmyk Ortygii. Poza tym polecił zbudować trzydzieści okrętów wojennych. Ponieważ wydał owe zarządzenia bez zwoływania Zgromadzenia, było jasne, że nie chce żadnych ograniczeń dla swojej władzy. Takie postępowanie wywołało gwałtowny protest jego przeciwników, a zwłaszcza rodzin żołnierzy konnicy wypędzonych na Etnę. Jeśli otwarcie mówić o tyranii, jaka zapanowała w mieście, i wzywać lud do buntu.

Dionizjusz odpowiedział z bezlitosnym okrucieństwem. Poszczuł swoich najemników, aby dokładnie przeczesał dom po domu, powyłapywali buntowników co do jednego i pozamykali w twierdzy na Ortygii. Po doraźnym osądzeniu wszystkich skazano na banicję. Ich skonfiskowane dobra rozdzielono następnie między najemników, którzy poczuli się dzięki temu podwójnie związani ze swym panem i dobroczyńcą, ciesząc się nowym zachwycającym poziomem życia.

Przez cały ten czas nie zobaczył więcej dziewczyny ze źródła Anapos ani też nie udał się w to miejsce, rozmaite myśli i zmartwienia nie dawały mu bowiem spokoju, niekiedy jednak nocą, odpoczywając w olbrzymiej surowej komnacie pałacu zamieszkanego jedynie przez najemników, rozmyślał o niej i o tym, jak kochali się zanurzeni w wodzie. Jak pojawiła się przed nim cudownie inna i jak dzieliła z nim przygodę wśród murów Akragas.

Myślał o głosie, który przemawiał doń wśród skał, cicho, jakby nie chciał, by go usłyszał.

Z początkiem wiosny do portu jeły napływać statki, a wraz z nimi wieści. Ateny upadły po długim okresie oblężenia i głodu, otoczone od łądu i morza. Potężna metropolia znalazła się na kolanach, nie miała innego wyjścia, jak poddać się bezwarunkowo. Powiadano, że sprzymierzeńcy Sparty, w szczególności zaś Tebańczycy i Koryntczycy, domagali się uparcie, aby ją zrównano z ziemią, sprzeciwił się temu jednak Lizander: zniszczenie Aten oznaczałoby bowiem pozbawienie Grecji jednego oka. Postawiono twarde warunki: rozebranie murów, czyli imponującej fortyfikacji łączącej miasto z portem w Pireusie, pozbycie się floty poza ośmioma okrętami i najbardziej upokarzający — obecność wojsk spartańskich na akropolu.

Zdaniem Dionizjusza ów niepowstrzymany upadek rozpoczął się pod murami Syrakuz, gdzie zginął kwiat młodzieży ateńskiej. Uważał również, że nadszedł czas, by wprowadzić w życie jego plan, toteż zwołał naradę: Helorisa, Filistosa, Leptinesa, Doriskosa, Jolaosa i pozostających druhów z Bractwa.

— Wojna w Grecji dobiegła końca — zaczął. — Ateny zostały pokonane. Teraz tysiące mężczyzn, którzy przez całe lata przywykli tylko walczyć i którzy nie potrafią nic innego, jest gotowych wstąpić do armii tego, kto da więcej. Ty, Leptinesie, udasz się natychmiast do Sparty i wcielisz do wojska, kogo tylko zdołasz. Postaraj się zobaczyć z Lizandrem i jeśli ci się uda, zawrzyj z nim układ. Podobno to człowiek rozsądny i odpowiedzialny.

— A co z Koryntem? — zapytał Leptines. — Przecież to nasza metropolia, którą zawsze obchodziły nasze sprawy wewnętrzne, interesowała się nimi albo żeby nam pomóc, albo wywierać naciski.

— Złóż ofiarę w świątyni Posejdon na przesmyku. Oficjalny hołd w zupełności wystarczy. Jesteśmy silniejsi od Koryntu, więc go nie potrzebujemy. Teraz rządzi Sparta, prawdziwa potęga, która wygrała wojnę. W Sparcie zaś najpotężniejszym człowiekiem, potężniejszym nawet od króla, jest Lizander. My tutaj też nie będziemy siedzieć z założonymi rękami. Doriskosie, wyruszysz na czele wojska i rozpoczniesz podbój Sykulów. Naszym pierwszym celem jest Herbessos. Kiedy je zdobędziemy, z resztą pójdzie ła-

two. Weźmiesz ze sobą oddziały obywatelskie. Ja podążę za tobą wkrótce wraz z najemnikami.

— A Kartagińczycy? — zdziwił się Filistos. — Przecież wszystkie te posunięcia wzbudzą...

— Nie ruszą się — uciął Dionizjusz. — Słyszałem, że ciągle panuje u nich zaraza, miasto jest osłabione, a Himilko nie cieszy się już takim szacunkiem. Nie ruszą się. Przynajmniej nie od razu.

Doriskos wyruszył wraz z armią trzy dni później, kierując się ku Sykulskiemu miastu Herbessos położonemu w głębi wyspy. Jeszcze będąc w drodze wysłał poselstwo z deklaracją, że skoro Sykulowie zawsze byli podlegli wobec Syrakuz, obszary te muszą z powrotem stanowić część ich terytorium. Kiedy mieszkańcy odpowiedzieli, że nie spodziewali się takiego oświadczenia, sprawa ciągnęła się bez większych postępów przez wiele dni. Z drugiej zaś strony Doriskos zwlekał z decydującym natarciem, czekając na przybycie Dionizjusza z najemnikami.

Pewnej nocy, gdy dokonywał przeglądu posterunków straży wzdłuż obozu, został otoczony wraz ze swą eskortą przez oddział uzbrojonych żołnierzy, którzy ukryli się za płotem, i zgładzony. Wkrótce potem zabito wiernych Dionizjuszowi dowódców, pozostali oficerowie zaś zwołali całe wojsko i kazali heroldom obwieścić upadek tyranii i powrót banitów. Należało teraz oczyścić miasto z barbarzyńców będących na służbie Dionizjusza i schwytać tyrana, aby go osądzić i skazać na zasłużoną karę.

Postawione przed faktem dokonany wojsko posłusznie zawróciło do Syrakuz, wkrótce zaś dołączyły do niego liczne oddziały jazdy, które najwyraźniej zostały wcześniej powiadomione o tym, co się stanie.

Pierwszy o zamachu stanu usłyszał Filistos, który prędko sobie uzmysłowił, że nie było to przedsięwzięcie niespodziewane ani spontaniczne. Przybycie konnych z Etny, niespodziewany bunt oficerów, bezpośredni atak na Ortygię, wszystko to składało się na szczegółowy zamysł i niewykluczone, że najgorsze miało dopiero nadejść. Wysłał zatem oddział szybkiej jazdy do Dionizjusza i opracował staranny plan obrony Ortygii do ostatniej krwi. Jednocześnie rozesłał wici do wszelkich możliwych osób i już po trzech dniach miał jasny obraz, uzupełniony o dalsze wiadomości.

Wszystkie jednakowo złe.

Ukryci na Etnie konni porozumieli się z Regionem i Mesyną, które użyły swoich okrętów, żeby zamknąć dostęp do obu portów w mieście. Nie ograniczyli się wszakże tylko do tego, do Koryntu będącego metropolią Syrakuz dotarło bowiem poselstwo, które przekonało władze do wysłania przywódcy z misją przywrócenia praworządności w podległym mieście. Samo w sobie nie miało to wprawdzie większego znaczenia militarnego, pod względem ideologicznym wszakże stanowiło śmiertelny cios. Chociaż metropolie wcale nie ograniczały niezależności ani wyborów politycznych dokonywanych przez kolonie, jednakże wmieszanie się ich wysłannika w rozstrzyganie wewnętrznych sporów równało się bezwarunkowemu potwierdzeniu albo nieodwołalnemu potępieniu. Korynt wysłał dowódcę imieniem Nikoteles, twardego żołnierza, uczestnika wielkiej wojny, zdecydowanego zwolennika oligarchii. Powiadano, że miał jedną słabość: otóż lubił czyste wino. Był to niebezpieczny nawyk dla Greka, który zazwyczaj rozcieńcza je trzema albo i pięcioma częściami wody, a w szczególności dla wojownika.

Wróciwszy wraz z najemnikami, Dionizjusz zamknął się w fortecy, zagroził dostęp do przesmyku, nocą zaś kazał przeciągnąć łańcuch przez wejście do portu Lakkios. Aksal podążał za nim jak cień, a sypiał na progu komnaty swego pana. Śmierć Doriskosa, przyjaciela z dzieciństwa, głęboko zasmuciła Dionizjusza skłaniając go do czarnych myśli.

Wkrótce rozpoczęły się ataki na mury przesmyku i trwały przez wiele dni bez wytchnienia, wystawiając możliwości obrony i wytrwałość najemników na ciężką próbę. Dionizjusz zwołał zatem na radę swych najwierniejszych dowódców: Filistosa, Leptinesa, Jolaosa, Helorisa i dwóch lub trzech innych członków Bractwa. Panował przygnębiający nastrój.

— Wszyscy widzą, jak sprawy stoją — zaczął Filistos. — Moim zdaniem nie damy rady.

Istotnie nie widać było żadnej drogi wyjścia. Jedyne propozycje, jakie wysuwano, dotyczyły tego, kiedy albo w jaki sposób uciec i gdzie znaleźć schronienie.

Na widok Dionizjusza siedzącego na zydlu nieruchomo bez słowa Heloris uznał, że pogodził się już z tym co nieuniknione,

chcąc zatem rozładować napięcie żartem, wypowiedział niefortunne zdanie, które na zawsze zepsuło ich wzajemne stosunki:

— Pamiętajcie, że tyran oddaje władzę tylko wtedy, gdy wyniosą go nogami do przodu.

Filistos spuścił wzrok, Leptines zaś się skrzywił. Z pewnością Dionizjuszowi nie spodobało się ani słowo „tyran”, ani obraz jego trupa wyciąganego z pałacu niczym zaszlachtowane zwierzę. Pobladł ze złości, jego spojrzenie zaś budziło obawy, że zaraz dobiedzie miecza, nic się jednak nie stało. Przemówił jak gdyby nigdy nic, stanowczym i pewnym głosem:

— Leptinesie, wyruszysz natychmiast, zanim przybędą żołnierze z Regionu i Mesyny, żeby zagrozić dostęp do portu. Popłyniesz do Sparty, do Lizandra i zawrzesz z nim układ. Mimo że Koryntczycy to jego sprzymierzeńcy, zawsze przysparzali mu trosk, poza tym są zbyt bogaci i zbyt potężni w porównaniu ze Spartanami, co wzbudza zawiść i niesnaski, które możemy obrócić na naszą korzyść. Wojna się skończyła, oni zaś mają tysiące ludzi, którzy od lat potrafią tylko jedno: bić się. Stanowią kłopot i zagrożenie dla równowagi państwa. My zaś jesteśmy w stanie temu zaradzić, przynajmniej częściowo: zwerbujesz, ilu tylko zdołasz, i jak najprędzej wrócisz. Zrozumiałeś mnie dobrze?

— Chyba tak — odparł Leptines.

— Nie chcę żadnych niedomówień. Muszę mieć całkowitą pewność, że zrobisz dokładnie to, co powiedziałem. No więc?

— Możesz być spokojny. Czuj się tak, jakbyś już miał tych żołnierzy.

— Nie dam ci żadnych listów; to by było zbyt niebezpieczne. Będziesz rozmawiał osobiście w moim imieniu. Skoro jesteś moim bratem, to tak jakbym ja sam mówił.

— Zgoda — przytaknął ponownie Leptines.

— Doskonale — stwierdził Dionizjusz. — Filistosie...

— Mów.

— Otrzymasz równie delikatne zadanie. Wyplynieś jeszcze dziś w nocy statkiem handlowym i udasz się na zachód. Przybijesz gdzieś w osłoniętym miejscu do brzegu, dalej zaś pojedziesz na grzbiecie muła, żeby nie rzucać się w oczy, aż do granicy z terytorium Kartaginy...

Chociaż Filistos poprawił się na krześle niespokojnie. Dionizjusz w ogóle nie zwrócił na to uwagi i mówił dalej:

— Porozumiesz się z kampańskimi najemnikami pozostającymi w służbie Himilkona i strzegącymi kartagińskiej prowincji, a następnie zwerbujesz ich do nas...

— Co takiego? Przecież to dzikie zwierzęta, krwiożercy, którzy wybili Selinuntczyków i Himerytów, drapieżne bestie, które...

— To maszyny wojenne, a nie ludzie. Gdyby służyli nam, uczyniliby to samo Kartagińczykom. Już o tym rozmawialiśmy i powiedziałem ci, co myślę na ten temat. A teraz posłuchaj uważnie: oni się śmiertelnie nudzą pilnując posterunków na prowincji i nie mogą się doczekać wojaczki. Więc my im ją umożliwimy. Obiecuj im, czego tylko zażądatają, bylebyś ich przeciągnął na naszą stronę. Kiedy dobijesz targu, od razu daj mi znać, a ja wyślę ci kogoś, kto obejmie nad nimi dowództwo. Przygotuj się, żeby zaraz wyruszyć. Możecie mi zaufać: wydostaniemy się z tego bagna i zdobędziemy przewagę jeszcze przed końcem zimy.

— A jeśli nasze misje się nie powiodą? — zapytał Heloris.

— Wtedy będę walczył do ostatniego tchu, będę się bił z takim zacięciem i z taką siłą, że kiedy zginę, nikomu nie będzie do śmiechu, tak wiele będzie w mieście poległych do oplakiwania, spalania na stosie i pogrzebania. Nikt z was nie musi iść za mną. Kto chce odejść, może to zrobić; dam sobie radę sam, zwłaszcza gdy los się odwróci na lepsze.

Filistos skinął głową z powagą. Choć w głębi duszy żywił przekonanie, że to niepotrzebne i że w końcu i tak wszyscy zginą, oświadczył:

— Wyruszę najszybciej jak to możliwe. Tylko zgromadzę srebro i przygotowuję okręt.

Leptines podniósł kotwicę trzy dni później, Dionizjusz zaś odprowadził go do portu.

— Widziałeś jeszcze tamtego człowieka? — zapytał, kiedy wchodził po trapie na pokład.

— Jakiego człowieka?

— Tego, co ci powiedział, żebyś pojechał za mną do Akragas.

— Nie. Więcej go nie widziałem.

— Jak myślisz, kto to mógł być?

— Nie mam pojęcia. Sądziłem, że działa w porozumieniu z tobą i że go znasz. W tamtej chwili to mi wystarczyło. Dlaczego pytasz?

— Bo to tajemnica, której nie potrafię wyjaśnić, a ja nigdy nie wierzyłem w istnienie tajemnic, tylko w zadania do rozwiązania... A teraz idź. Zrób to, o co proszę, i zrób to dobrze. Życzę ci przyjemniej podróży.

Leptines postawił nogę na trapie, po chwili jednak się odwrócił.

— Słuchaj...

— Co takiego?

— Naprawdę myślisz, że nam się uda? To znaczy czy nie byłoby lepiej, gdyby...

— Ejże, co ci chodzi po głowie? Co ty wygadujesz?

— Po prostu to wszystko wydaje mi się niepotrzebne...

Dionizjusz złapał go za ramiona.

— Posłuchaj, na Heraklesa, pamiętasz, jak byliśmy mali, a ci z Ortygii zamknęli nas w portowym składzie i gotowaliśmy się, że zaraz spuszcza nam lanie?

— No pewnie! — odrzekł Leptines.

— I czy to nie ty wtedy powiedziałeś, że za żadne skarby nie wolno nam się poddać?

— To prawda...

— I jak się to skończyło?

— Wszedłem ci na plecy i przedostałem się na dach. Potem pobiegłem po pomoc i...

— A co teraz robimy?

Leptines pokręcił głową.

— No właśnie. Ale obawiam się, że teraz jest jednak inaczej.

— Jest dokładnie tak samo. Zmieniły się tylko proporcje i odwróciły role. Teraz to my jesteśmy panami Ortygii... i zwyciężymy, tak jak wtedy zwyciężyliśmy. Udowodnię, że to ja jestem właściwym człowiekiem, który powinien poprowadzić nie tylko Syrakuzy, ale także wszystkich Greków z Sycylii i z Italii do walki z ich śmiertelnym wrogiem. Ale muszę wiedzieć, że ty też w to wierzysz. Każdego dnia i każdej nocy, jakie spędzę w tej fortecy pilnując murów, muszę mieć pewność, że nadchodzisz wraz z posiłkami. Że wkrótce przybędziesz, rozumiesz? Więc co? Jaka jest twoja odpowiedź?

— Ach. rozsiekać w łajno cały świat, do kroćset! — odrzekł Leptines posługując się tym samym gwarowym zwrotem, którego używali jako mali chłopcy, kiedy wraz ze swoją bandą obrzucali się kamieniami z przeciwnikami z wyższych dzielnic.

— Rozsiekać w łajno cały świat — powtórzył Dionizjusz. — A teraz zabieraj stąd swój parszywy zadek.

Kiedy sam wybrał cumę, triera popłynęła ku środkowi redy, po czym obróciła się dokoła popychana wiosłami, aż wreszcie ruszyła na pełne morze.

Filistos wypłynął nazajutrz małym statkiem handlowym, wioząc w ładowni wystarczający zapas srebrnych monet, by opłacić pięć tysięcy żołnierzy. Ledwie zdążył, wkrótce bowiem pojawiły się sprzymierzone floty z Regionu i Mesyny, które tak ustawiły swe jednostki bojowe, by zagrozić dostęp do Portów Małego i Wielkiego. Wojsko wkroczyło zaś następnego dnia przez bramę od strony Katanii, witane okrzykami tłumu, i udało się strzec przemyku między miastem a Ortygią.

Dionizjusz był sam. Heloris nie cieszył się już jego łaskami, z kolei młodzi oficerowie z Bractwa nie mieli wystarczającego doświadczenia ani umiejętności, by rozmawiać z nim jak równy z równym. Przechadzał się ciągle po ciemnych komnatach i korytarzach fortecy, często też schodził do podziemnych składów portowych, aby sprawdzić zapasy kurczące się z każdym dniem w zastraszającym tempie, podczas gdy nieprzyjaciel nie zwolnił uścisku nawet na chwilę, przeprowadzając atak za atakiem, od świtu po zmierzch.

Najemnicy zaczęli dezertować, z początku pojedynczo, później po kilku naraz. Dzięki pomocy Aksala Dionizjusz zdołał złapać dwóch z nich na gorącym uczynku. Kazał zatrzeć na zbiórkę i oświetlić wewnętrzny dziedziniec dziesiątkami pochodni, po czym polecił ich ukrzyżować na oczach stojących w szyku oddziałów. Zdawał sobie jednak sprawę, że nie zdoła ich długo utrzymać w ryzach za pomocą strachu, że wystarczy byle drobny bunt, by w jego armii zapanowało rozprężenie. Wówczas rozszarpaliby go na kawałki, on, tyran, zostałby zabity i wyniesiony nogami do przodu, jak powiedział Heloris, zaszlachtowany jak zwierzę,

wystawiony na pośmiewisko, porzucony bez pochówku na pastwę psów i kruków...

Pewnej nocy, gdy szedł wzdłuż murów przesmyku otulony ciężkim wełnianym płaszczem, wydawało mu się, że widzi postawnego łysego mężczyznę zdążającego w pośpiechu do portu. Zadrzał.

— Ej, ty! — zawołał. — Stój!

Mężczyzna posuwał się jednak dalej, jakby nie słyszał, po czym zniknął w ciemnościach. Rozpłynął się, jakby w ogóle nie istniał. Dionizjusz doszedł do wniosku, że pewnie widzi to, czego nie ma, że zmęczenie, napięcie i bezsenność płatają mu brzydkie figle. Jego myśli powędrowały ku Arete, ku Telliasowi, ku Doriskosowi i ku wszystkim tym, których kochał. Nikt z nich nie przeżył. A teraz być może padnie na niego. Pomyślał także o dzikiej dziewczynie, która prawdopodobnie wróciła do swej kryjówki u źródeł Anapos i pewnie w ogóle go nie pamięta. Może się zgubiła w drodze powrotnej albo została schwytana i sprzedana jako niewolnica.

Były to tylko przypuszczenia pozwalające się oderwać od rzeczywistości, coraz bardziej wrogiej i trudnej, której trzeba było wszakże spojrzeć w twarz. Konni po drugiej stronie murów nadal strzegli przesmyku przekonani, że to tylko kwestia czasu... Czasu, który mijał, chociaż nic się nie działo. Czasu, którego zaczynało mu brakować z każdym dniem, z każdą godziną...

Pewnego poranka o świcie otrzymał od Filistosa wiadomość nabitą na drzewce strzały. Poznał, że to od niego, po kroju liter, po zawijasach przy gammach i sigmach. Zaczynała się tak: „Musisz pertraktować z konnymi w sprawie poddania się...” Już miał ją podrzeć, przeczytał jednak do końca, coraz bardziej zaintrygowany owym szaleńczym planem... Całkowicie szaleńczym planem. Mimo wszystko... to mogło się nawet udać. W gruncie rzeczy co miał do stracenia? Przywołaławszy herolda, wysłał go do konnych z propozycją układu.

— Powiedz im, że jestem gotów do pertraktacji w sprawie poddania się.

— Poddania się, heghemon? Dobrze zrozumiałem?

— Zrozumiałeś doskonale: masz pertraktować w sprawie poddania się. Powiedz, że jestem gotów opuścić miasto, że chcę

tylko pięciu okrętów i pięćdziesięciu żołnierzy do eskorty. I żadnej inspekcji na pokładzie.

— Zrobię, jak mówisz, heghemon — odparł herold.

Kazał otworzyć bramę, po czym wyjechał dając znaki, że ma pokojowe zamiary, i kierując się na posterunki straży na przesmyku. Wyszedł mu na spotkanie jakiś oficer i zaprowadził przed oblicze swych dowódców.

Tak oto rozpoczęły się pertraktacje, które ciągnęły się przez wiele dni, tymczasem nawet w obozie wroga dało się odczuć znużenie.

Panowała wyjątkowo nieprzyjemna pogoda i często padał deszcz, pewnej nocy zaś nawet sypnęło śniegiem. Zmęczenie, straty i niewygody owego długiego oblężenia zaczęły wywoływać silne napięcie i siać niezgodę wśród wyższych oficerów. W szczególności zaś arystokratyczna hardość konnicy dawała się we znaki reszcie oficerów, wywodzących się ze średniego stanu właścicieli ziemskich, kupców i przedsiębiorców portowych, doprowadzając do tego, że pewnego dnia zwrócili się do korynckiego dowódcy Nikotelesa z żądaniem, by się ich pozbył. Stwierdzili bowiem, że konnica jest najbardziej przydatna na otwartym polu i że można ich wezwać z powrotem w odpowiedniej chwili.

Nikoteles, który od jakiegoś czasu zmuszony był do bezczynności, znów zaczął pić i powtórzył żołnierzom konnicy bez ogródek, co myślał inni dowódcy syrakuzkańscy. Tamci zaś, dotknięci i rozwścieczeni obelgą, wyruszyli ku Etnie. Pozostali oficerowie, wprawdzie nadal nieprzejeđnani w pertraktacjach, uznawszy, że Dionizjusz postanowił opuścić pole bitwy, osłabili czujność, tym bardziej że przybyły z metropolii dowódca z pewnością nie dawał przykładu dyscypliny i wstrzeźliwości.

W ostatnim miesiącu zimy wielu hoplitów poprosiło o zwolnienie ich z obowiązków, aby mogli przygotować rolę do zasiewu, i otrzymali zgodę. Przesmyk był tak wąski, że do jego obrony wystarczyły nieliczne oddziały.

Właśnie na to czekał Dionizjusz. Nazajutrz rano wysłał jednego ze swoich ludzi, aby w przebraniu rybaka wypłynął łódką poza port. Żeglarze z Regionu i Mesyny przepuścili go po przeszukaniu łódki, toteż okrążywszy przylądek Plemmirion, przybił do brzegu od południowej strony. Następnie dotarł do pewnego gospodarstwa

i rozmówił się z właścicielem, hodowcą bydła, który natychmiast dosiadł konia i oddalił się na północ.

Jeszcze przed wieczorem Filistos dowiedział się, że przesmyk jest słabo strzeżony i że każdego dnia aż do zmroku zachodnia brama miasta stoi otworem. Doniesiono mu również, że według wiarygodnych źródeł Nikoteles odczuwa silne skutki picia wina właśnie o zachodzie słońca.

Kiedy Filistos wezwał do siebie dowódcę kampańskich najemników, na pół etruskiego, na pół neapolitańskiego rębajłę ze skórzaną opaską na lewym oku, ten od razu przystąpił do działania.

Idąc za radą Filistosa, zostawił w jednym z miasteczek w głębi wyspy wszystkie wozy ze sprzętem, dzięki czemu mógł posuwać się na czele oddziału konnicy z ogromną prędkością.

Wpadłszy zupełnie nieoczekiwanie przez zachodnią bramę, przegalopował przez miasto nacierając na linię obrony z taką siłą, że zepchnął do morza większość wojowników. Nikotelesa znaleziono w jego kwaterze z poderżniętym gardłem i nigdy nie odkryto, kto popełnił tę zbrodnię.

Filistos natknął się na Dionizjusza na korytarzu fortecy.

— Wszystko odbyło się tak, jak przewidziałeś — oznajmił ściskając go na powitanie. — Czy możesz w to uwierzyć?

— Uwierzyć? — powtórzył Dionizjusz. — Nigdy w to nie wątpiłem.

— A ja tak — oświadczył Filistos.

— Wiem. Można to było wyczytać z twojej twarzy... Są jakieś wieści od Leptinesa?

— Powinien wrócić lada dzień.

— Nie będzie mu łatwo przebić się przez okręty.

— Chyba się mylisz — uśmiechnął się Filistos. — Z tego co wiem, towarzyszy mu sam Lizander.

— Co takiego?

— Jeśli to co mi doniesiono, jest prawdą, jest właśnie tak. Ten psi syn to zrobił. Lizander przybywa tutaj, żeby zawrzeć z tobą układ. A wraz z nim tysiąc najemników, sami Peloponezyjczycy, którzy są najlepsi. Nie wydaje mi się, żeby ci z Regionu i Mesyny chcieli się porwać na walkę ze Spartą. Znów wszystko jest w naszych rękach, przyjacielu. Zwyciężyliśmy.

— Zwyciężyłem — powtórzył Dionizjusz, jakby nie mógł uwierzyć w te słowa.

W przypiływie niepohamowanej radości rzucił płaszcz na posadzkę, wypadł na schody i wbiegł na najwyższą wieżę fortecy. Stamtąd zaś wyrzeszczał to samo słowo na całe gardło, wydając równie przenikliwy okrzyk jak sokół i równie donośny jak Achilles ze Skajskiej Bramy.

Wreszcie zamilkł zdyszany. Spojrzał na niebo ciemniejące o zmierzchu i na miasto, które ucichło oniemiało u jego stóp.

XIX

Niewielka flota Lizandra i trzy okręty Leptinesa, które przybyły kilka dni później, wpłynęły na redę bez żadnych trudności, jako że jednostki z Mesyny i Regionu zdążyły podnieść kotwicę. Nikt nie miał ochoty zmierzyć się ze Spartanami, mimo że było ich niewielu (nikt by się zresztą do tego nie palił, nawet gdyby był tylko jeden), zwłaszcza że w grę wchodził zwycięzca wielkiej wojny.

Dionizjusz wyszedł im na spotkanie na pomost. Pierwszy przybił do brzegu Leptines, który natychmiast podbiegł, by się przywitać.

— Nareszcie jesteś! — zawołał Dionizjusz. — Gdybym na ciebie czekał, teraz byłbym już martwy i pogrzebany.

— Spieszyłem się jak tylko mogłem, ale to nie było łatwe. A poza tym wiedziałem, że i tak dasz sobie radę.

— Tymczasem niewiele brakowało... Jaki on jest?

— Lizander? Nie pytaj; nigdy nie wiadomo, co naprawdę myśli. On... Jak by to powiedzieć? Wymyka się. To wielki dowódca, ale z usposobienia jest całkowitym przeciwieństwem żołnierza.

— Zastranic.

— W rzeczy samej.

— W takim razie się dogadamy.

— Uważaj, o wilku mowa.

Lizander schodził właśnie po trapie swojej triery. Miał jakieś sześćdziesiąt lat, szarozielone oczy, bardziej zresztą szare niż zielone, szpakowate rzędnijące na skroniach włosy, sięgające aż do ramion na modłę spartańską. Był bez broni i nie nosił wojskowych

szat, na jego palcu widniał wszakże pierścień zbyt ostentacyjny jak na Spartanina — zapewne pamiątka po azjatyckich podróżach. Oznaczał, że Lizander czuje się wystarczająco silny, by nie obawiać się gniewu eforów, niezłomnych obrońców żelaznych obyczajów panujących w Sparcie.

— Heghemon . . . — pozdrowił go Dionizjusz. — Witaj w Syrakuzach.

— Heghemon — Lizander nie pozostał dłużny w wymianie uprzejmości. — Cieszę się, że cię widzę.

Dionizjusz poczuł zadowolenie słysząc ów tytuł — było to swego rodzaju uwierzytelnienie, znak, że jego władza w mieście została uznana przez Spartę. Ruszył zatem do fortecy, gdzie kazał przygotować wieczerzę. Za nim zaś podążał niczym cień uzbrojony po zęby Aksal, który zdążył się już upodobnić całkowicie do greckiego wojownika, gdy tymczasem Lizander poruszał się bez eskorty. Najwyraźniej czuł się tak silny, że jej nie potrzebował.

Chociaż Dionizjusz kazał go zaprowadzić do komnaty, aby mógł się umyć i przebrać, jeśli ma ochotę, tamten i tak wyszedł w tych samych szatach, które nosił na okręcie. Poprosiwszy gościa, by zajął honorowe miejsce, sam usiadł po przeciwnej stronie. Lepines z kolei ułokował się przy długiej krawędzi mebla, w jednakowej odległości od każdego z nich. Nie było ani stołów, ani łóż. Funkcję stołu pełniła oheblowana dębowa deska grubości pół dłoni, do siedzenia służyły zaś zydle.

— Przypomina mi to Spartę — powiedział natychmiast Lizander, trudno wszakże było orzec, czy w jego głosie pobrzmiewa zadowolenie czy też źle skrywany zawód.

— Prości z nas ludzie — odparł Dionizjusz — i prowadzimy zwyczajne życie. Jednakże wasza czarna zupa to zbyt wiele nawet dla nas. Przygotowaliśmy dla ciebie rybę — dodał wskazując danie, które przyniesiono właśnie wraz z chlebem i miską gorącej wody do opłukania palców.

— Tak powinno być dla prawdziwych wojowników — stwierdził Lizander, nadal jednak nie było wiadomo, czy to pochwała czy też sarkazm.

„Zasraniec, gnojek”, ubliżał mu w duchu Dionizjusz. Po czym uznawszy, że wystarczy już tych grzeczności, od razu przeszedł do sedna sprawy.

— Chętnie poznałbym powód, dla którego przybyłeś tu do Syrakuz.

Lizander spojrział mu w oczy z nagłą powagą, niemal zimno.

— Sparta wygrała tę wojnę, ale i tak nie ma się z czego cieszyć. Straciliśmy wielu żołnierzy i ponieśliśmy wiele szkód, to samo spotkało też naszych sprzymierzeńców. Umieściliśmy posterunki we wszystkich miastach Związku Ateńskiego powierzając ich dowództwo oficerom, którzy mają również władzę polityczną, ale zdajemy sobie sprawę, że utrzymanie takiego porządku nie będzie łatwe. Persowie nam pomogli tylko dlatego, że Ateny zawsze stanowiły dla nich zagrożenie: z dnia na dzień mogą zmienić swoją politykę. Potrzebujemy zatem wszędzie przyjaciół i sojuszników. Sparta zawsze sprzyjała Syrakuzom, co więcej, prawdopodobnie zawdzięcza im ostateczne zwycięstwo. To właśnie pod tymi murami nastąpił nieodwracalny kres ateńskiej potęgi... Z drugiej jednak strony wy też nie dalibyście sobie rady bez naszego wsparcia.

— Tylko że tutaj — odrzekł Dionizjusz, celowo ścisząc głos — nie chodzi o Syrakuzy; to ja... jestem ich przedstawicielem.

Lizander nieznacznie wykrzywił usta w czymś, co można by wziąć za uśmiech.

— Będę z tobą szczery, heghemon, o wiele łatwiej pertraktuje się z jednym człowiekiem niż z całym Zgromadzeniem. Czy wyrażam się jasno?

— Znakomicie. I oczywiście się z tobą zgadzam. Mój brat powiedział, że będzie nam wolno zaciągnąć najemników na Peloponezie i że pierwsze oddziały są już w drodze.

— Zgadza się, ale to był jego pomysł. My nie mamy z tym nic wspólnego. Trzymamy się całkowicie na uboczu.

— Rozumiem doskonale — przytaknął Dionizjusz. — I niczego więcej nie żądam.

— Pomogliśmy ci w utrzymaniu władzy, ponieważ akurat teraz jest to dla nas korzystne. Mam nadzieję, że to jasne...

— Jak słońce.

— Gdyby sprawy miały ulec zmianie...

— Będę musiał dać sobie radę sam.

— Właśnie.

— A co mam zrobić, żeby sprawy nie uległy zmianie?

— Zajmuj się Sycylią.

— Zrobię to,

Lizander westchnął, jakby nagle poczuł zmęczenie podróżą.

— Pewnie chcesz już odejść? — zapytał Dionizjusz.

— Tak, niedługo — przytaknął Spartanin.

Jego wzrok spoczął na wielkim Aksalu, który stał nieruchomo pod ścianą, za plecami swego pana. Nosił się wprawdzie z grecka: miał pancerz i nagolenice, zachował wszakże obrożę i wąsy, których nie udało się go pozbawić.

— Co to za jeden? — zdziwił się.

— Moja straż przyboczna.

— Ale z jakiego pochodzi kraju? Wygląda na Traka, ale jest zbyt potężny.

— To Celt — oświadczył Dionizjusz. — Kupiłem go na targu.

— Celt, hę? Wszyscy są tacy jak on?

— Twierdzi, że jego bracia są jeszcze więksi.

— Ach, słyszałem, że mieszkają nad brzegami północnego oceanu i że kiedy podczas przyptywu woda zalewa im wioski, wchodzą do niej i wystawiają tarcze przeciwko bałwanom, jakby usiłowali je odepchnąć... Muszą być przekonani o własnej sile. Jeśli pewnego dnia zauważą, jak piękne i bogate są nasze ziemie, zaczną sprawiać ogromne kłopoty. Trudno będzie nad nimi zapanować... — Zmierzywszy Aksala jeszcze raz od stóp do głów, dodał: — Na Zeusa, wygląda jak tytan! Znasz jakiś jego słaby punkt?

— Owszem, słońce. Nie znosi słońca, które pali mu skórę. Ale moi medycy odkryli, że oparzeniom można zapobiec dzięki miksturze z oliwy i zielonej łupiny orzecha.

— Ciekawe — zauważył półgłosem Lizander — to naprawdę ciekawe... Smaczna była twoja ryba. A teraz jeśli pozwolisz, pójdę spać. Trudy wojny mnie osłabiły. Nie jestem już taki odporny jak kiedyś.

Jeden z niewolników zabrał pusty talerz, na którego dnie widać było teraz rysunek ryby, drugi zaś odprowadził gościa do sypialni. Kiedy Dionizjusz skinął na Aksala, ten również się oddalił. Pozostał jedynie Leptines, który aż do tej chwili nie odezwał się ani słowem.

— Chyba dobrze poszło, co? Wyrażał się dość jasno. Powie dział, że...

— Nic nie powiedział — przerwał mu Dionizjusz. — Przyjechał tylko po to, żeby się przekonać, jakim jestem człowiekiem.

— I twoim zdaniem teraz już wie?

— Moim zdaniem tak.

— A jednak skłania się ku przymierzu z nami.

— Nic podobnego.

— Więc co?

— On chce tylko jednego: osłabienia Koryntu, który jest zbyt silnym i zbyt krnąbrnym sojusznikiem. Po tym zamieszeniu na Sycylii Korynt został rozbity w puch i właśnie to jest dla nich wygodne. A jeśli potem uwolnimy ich od paru żołnierzy błakających się bez przydziału i zaciągniemy ich do naszego wojska, będzie jeszcze lepiej. W gruncie rzeczy Spartanie to ludzie, którzy nie lubią niespodzianek ani nawet przygód, przede wszystkim zaś, jak to się zdarza prawdziwym wojakom, nie lubią wojny. Lizander przyjechał tu tylko po to, żeby się upewnić, czy jest spokój i czy nie krążą mi po głowie jakieś dziwne pomysły. Zobaczysz, że zaraz wyjedzie.

Wyjechał trzy dni później i nigdy więcej jego noga nie postąpiła na Sycylii.

Tymczasem Dionizjusz zajął się przygotowaniem do swego prawdziwego planu: powybijać wszystkich Kartagińczyków na Sycylii i pomścić rzezie Selinuntu, Himery, Akragas i Geli. Aby móc się porwać na podobne przedsięwzięcie, przez trzy kolejne lata prowadził szereg kampanii wykorzystując w odpowiednich proporcjach oddziały zarówno obywatelskie, jak i najemne.

Podbił Etnę, jaskinię konnych, jego najzagorzalszych przeciwników, i zrównał ją z ziemią. Stamtąd ruszył w głąb wyspy, aby podporządkować sobie Sykulów, następnie zajął Herbitę, po czym udał się do położonej wysoko w górach, w środku wyspy, otoczonej lasami Henny.

Znajdowała się tam świątynia Demeter i Persefony, która będąc dziewczynką poślubiła Hadesa, najbardziej czczonego boga na całej Sycylii. Dziewica została porwana wprost z tych łąk, podczas gdy bawiła się z przyjaciółkami, i zaciągnięta do posępnego królestwa cieni, do ohydnej siedziby umarłych.

Wszyscy, nawet pasterze, unikali tego miejsca, gdzie otwierała się pieczara prowadząca w zaświaty. Była to jaskinia, w której zniknął wóz Hadesa wiozący Persefonę, ciągniony przez czarne ogiery ziejące ogniem, połknięty przez otchłań. Tam właśnie zszedł Orfeusz szukający Eurydyki, swej uwielbianej małżonki. Jego śpiew wzruszył panią ciemnego królestwa, piękną, lecz bezpłodną Persefonę. Zawarli między sobą pewien pakt: otóż Eurydyka powróci do królestwa żywych podążając krok za Orfeuszem, jednakże jemu, owemu wspaniałemu poecie, nie wolno się ani razu obejrzeć, dopóki nie wydostaną się na powierzchnię ziemi, na światło słoneczne. Jeśli to bowiem uczyni, ona zniknie na zawsze.

Orfeusz ruszył zatem do góry, wyobrażając sobie nazbyt lekki krok ukochanej, starając się poczuć jej zimny oddech na plecach i myśląc o tym, że wkrótce słońce go ogrzeje, że wkrótce te blade usta przybiorą barwę granatu, marzył o jej pięknych wilgotnych wargach, które rozchyliły się niczym kwiat pod wpływem jego pocałunków. Nie potrafił wszakże uwierzyć, podejrzenie, że został oszukany, rosło w nim tak bardzo, że gdy wreszcie zaczął dostrzegać delikatną bladość, obejrzał się za siebie.

Po czym zobaczył ją, zachwycającą i pogrążoną w smutku, przez chwilę, wkrótce potem zaś usłyszał jedynie jej pełen przerażenia krzyk, kiedy z powrotem wessał ją Erebus.

Dionizjusz pragnął odwiedzić to miejsce, mimo że wszyscy usiłowali go odwieść od tego pomysłu, aby poznać tajemnicę popijając czerwony napój, którego pochodzenie znali wyłącznie kapłani. Towarzyszył mu Leptines, podobnie jak Tezeusz towarzyszył Pejritoosowi, znalazłszy się jednak o kilka kroków od jaskini, on, który nie lękał się niczego, który bez trwogi przyglądał się wszelkim rzeziom, zrobił się biały jak płótno i pokrył lodowatym potem.

— Stój — zdołał wykrztusić. — Nie idź dalej. Tam nic nie ma, nie ma nic do oglądania.

Dionizjusz nie zważał jednak na jego słowa i brnął dalej sam aż do wejścia do jaskini. Zbliżał się zachód słońca, toteż cienie jęły się wydłużać na płaskowyżu. Znad lasu wypęły delikatne języki mgły niczym cienkie palce zasnuwające zielone światło łąk.

Zaczął schodzić zupełnie sam ku miejscu, w którym raz w roku, w czasie równonocy wiosennej, ukazuje się jakoby woskowa twarz Persefony podążającej odwiedzić matkę. On, który w nic nie wierzył, uwierzył jednak, że Arete może go zobaczyć ze swego smutnego świata. Pomyślał, że zdoła go usłyszeć, kiedy jął wzywać jej imię krzyżąc coraz głośniejsze i tak rozpaczliwie, że jego wołanie rozbrzmiewało echem w całej pieczarze.

Wreszcie upadł na ziemię wyczerpany, niemal bez czucia, i nagle poczuł jakąś niemoc, rozchodzące się zimno, które jęło powoli ogarniać całe jego ciało poczawszy od kończyn. Czyżby to był pocałunek Arete? Czyżby w ten właśnie sposób zbliżała się do niego, dawała o sobie znać? On nie posiadał daru Orfeusza i nigdy nie zdołałby wzruszyć Persefony i zasnutego czernią Hadesa, mimo to wpadł mu do głowy pomysł pieśni, melodyjnego śpiewu owej starej serenady, hymnu pieśniarza z Akragas, który tak bardzo mu się podobał i napełnił jego serce słodyczą w noc jego ślubu. Och, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał? Dlaczego nie sprowadził jakiegoś zręcznego śpiewaka umiejącego grać na lirze, żeby śpiew dotarł do niej przez to ściśnięte gardło?

Poczuł, że ogarnia go zimny sen, zapomniał o oddychaniu, jakby to przestało być ważne, jego umysł zaś zatracił się w marzeniu: Arete upodobniła się do owej dzikiej dziewczyny, z którą kochał się nad źródłem Anapos, miała jej oczy i skórę, jednakowo pachnącą wargi.

Poczuł gwałtowne bicie serca i zobaczył ją!

Oto stała przed nim dzika dziewczyna odziana w zachwycającą szatę, w cudownie lekki przezroczysty peplos, taki sam jak ten, który dziewczynki z Ortygii darują co roku bogini w jej świątyni na akropolu. Włosy miała zebrane na karku, związane krwistoczerwoną wstążką. Jej wargi były czerwone i wilgotne, oczy głębokie jak noc. Cóż za wspaniała przemiana! Jak to byłoby w ogóle możliwe, gdyby nie była istotą z innego świata? Poczuł, jak zatracą się w jej ramionach, zimny jak jeszcze nigdy dotąd i zarazem gorący jak ogień. Po raz pierwszy od tak dawna usłyszał, jak przemawia, jak woła go po imieniu.

— Zabierz mnie ze sobą, jeśli sama nie możesz wrócić — poprosił i poczuł, jak owe słowa rozbrzmiewają wewnątrz niego, tak jakby je pomyślał, a nie wypowiedział, tak jakby padły z ust czło-

wieka, którym chciałby być, a którym już nie był. Po czym jej twarz i ciało rozmasały się w ciemnościach. Peplos rozplynął się niczym mgła w wieczornym powietrzu.

Obudził się w środku nocy w jakimś cichym miejscu blisko strzelających płomieni. Otworzywszy oczy, ujrzał Leptinesa.

— Widziałem ją. Jestem pewien, że to ona. Zawsze to wiedziałem. Tym razem chciała, żebym miał pewność.

Leptines milczał. Podniósł go do pozycji siedzącej, po czym długo masował mu plecy, kark i ramiona, dopóki nie powróciły mu rumieńce i dopóki się nie rozgrzał. Wtedy zaś rzekł:

— Chodźmy. Gwiazdy, które mają cię w opiece, zaraz zajądą.

Podporządkowawszy sobie Sykulów, podobnie jak wiele lat wcześniej uczynił to Gelon, pogromca Kartagińczyków w Himierze, Dionizjusz ruszył na chalcydejskie kolonie Naksos, Katanię i Leontinoj. Był stanowczo przekonany, że sycylijscy Grecy powinni utworzyć jedną koalicję przeciw swemu naturalnemu wrogowi, zapominając o wewnętrznych waśniach. Wiedząc jednak, że to niemożliwe, postanowił osiągnąć ów cel siłą, jak to już zrobił we własnym mieście. Wezwawszy do siebie Filistosa, oświadczył:

— Nie chcę żadnych rzezi, skoro przygotowujemy wielkie przedsięwzięcie panhelleńskie. Te miasta muszą upaść z powodu zdrady.

Chociaż Filistos zdążył już przywyknąć do najróżniejszych osobliwości, spojrział nań zdumiony.

— Co ty mówisz?

— Nie zgadzasz się ze mną?

— Zdrada jest ohydna dla tego, kto ją popełnia, i dla tego, kto jej doświadcza.

— Nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać, przyjacielu. W głębi duszy ciągle hołdujesz niepotrzebnym ideałom etycznym wymyślonym przez tego starego sofistę z mięsistym nochalem i świńskimi oczkami, który włacza ateńskim młodzieńcom do głów dziwaczne idee.

— Sokrates nie jest sofistą.

— A właśnie że jest. Czy to nie on powiedział: „Prawdziwym mędrcem jest ten, kto wie, że nic nie wie”? I czy nie jest to najbardziej zwodniczy i zarazem najzręczniejszy ze wszystkich so-

fizmatów? Stary sukinsyn z pewnością jest przekonany nie tylko o tym, że jest mędrcem, ale i że zjadł wszystkie rozumy.

— Powiedz, czego chcesz? — uciął Filistos.

— Każdy ma swoją cenę. Dowiedz się, kto jest najbardziej przekupny w Katanii i w Naksos, zapłać im tyle, ile zażądata, i weź oba miasta w swoje ręce. Jeszcze ci za to podziękują. Chyba nie muszę ci mówić, że niektórzy aby zdradzić, potrzebują usprawiedliwienia, dzięki niemu bowiem czują się mniej nikczemni, niż są w rzeczywistości. Podsuń im więc najlepsze usprawiedliwienie, jakie tylko znajdziesz. Na przykład sprawę panhelleńską; mało kto odmówi jej słuszności. Co do pieniędzy, udaj, że to zadośćuczynienie, ofiara, żeby zjednać przychyłność bogów, spuścizna po starym korzystnym pakcie, jednym słowem co tylko uznasz za stosowne. Na koniec powiesz mi, ile to kosztowało. Nie chcę żadnego rozlewu krwi, Filistosie, o ile to możliwe.

Po upływie miesiąca Archesilaos oddał mu bez walki Katanę, Prokles zaś Naksos, najstarszą kolonię grecką na Sycylii — tak starą, że stojący w porcie posąg „Założyciela” zmienił się nie do poznania, do tego bowiem stopnia został przeżarty przez sól i wiatr. Osamotniona Leontinoj poddała się bez oporu, Dionizjusz zaś postanowił przesiedlić wszystkich jej mieszkańców do Syrakuz.

Rok później Region i Mesyna, również kolonie chalcydejskie, przekonane, że wkrótce nadejdzie ich kolej, uzbroidy flotę i wojsko, które wyruszyło na południe, aby stoczyć bitwę z armią Dionizjusza. Leptines zaproponował, by starcie odbyło się na otwartym polu i by wybić ich wszystkich co do jednego, dzięki czemu kłopot zostanie rozwiązany od razu, Dionizjusz jednak w porę go powstrzymał i ponownie wezwał do siebie Filistosa.

— Myślisz, że da się to zrobić również z wojskiem?

Filistos wzruszył ramionami.

— Bez ceregieli. Da się to zrobić czy nie?

— Sądzę, że tak.

— W takim razie bierz się do roboty. Za rok ci wojownicy mogliby maszerować u naszego boku na prowincję kartagińską. Nie chcę, żeby ginęli, ani oni, ani nasi. A teraz powiedz — dodał hardo Dionizjusz — jeśli się uda, czyje postępowanie okaże się bardziej etyczne: moje, które opiera się na przekupstwie, czy to

zalecane przez twojego filozofa, które opiera się na zasadach moralnych?

— Moim zdaniem nie można rozmawiać w ten sposób — sprzeciwił się Filistos. — Po prostu pytanie zostało źle postawione. Nie ma wątpliwości, że skoro wychodzi się z błędnych założeń...

— Ach, ci filozofowie! — potrząsnął głową Dionizjusz. — Omijam ich jak psie gówna na ulicy.

Filistos westchnął.

— Masz na myśli kogoś szczególnego czy sam muszę zgadnąć?

Dionizjusz podsunął mu pod nos skrawek papirusu, na którym wypisanych było węglem kilka imion, przeczytawszy go zaś, Filistos tak długo pocierał go kciukiem, aż litery stały się zupełnie nieczytelne. Kiedy zaś ruszył do wyjścia, Dionizjusz dodał:

— Teraz jest pora siewu. Będziesz miał silne argumenty.

Wróciwszy do swej kwatery, Filistos wezwał wszystkich szpiegów pozostających na jego usługach. Po upływie trzech dni, w zaledwie parogodzinnym odstępie zarówno w wojsku w Regionie, jak w tym z Mesyny dwóch wysokich rangą oficerów należących do naczelnego dowództwa zażądało zwołania rady wojskowej i opowiedziało się tak gorąco za zaprzestaniem wrogości, zarzucając jednocześnie awanturnictwo dwóm najwyższym wodzom, że postulat natychmiastowego wycofania żołnierzy został uchwalony miażdżącą większością głosów.

Dionizjusz nie posiadał się z radości. Teraz to on był niekwestionowanym przywódcą w mieście, wkrótce zaś stanie się przywódcą całego narodu. Wróciwszy do Syrakuz, witany przez rozkrzyżowane tłumy, wezwał ponownie Leptinesa, Filistosa i kilku druhów z Bractwa. Stary Heloris, zepchnięty na bok przez młodych oficerów, od dawna nie uczestniczył w naradach w fortecy na Ortygii.

— Nadszedł czas, bym wziął sobie żonę — obwieścił.

Filistos i pozostali spojrzeli po sobie całkowicie zaskoczeni. Wszyscy mieli jednakowo zdziwione miny, żaden bowiem nic nie wiedział.

— A kim ona jest? — zapytał Filistos.

— Chciałeś powiedzieć „one”.

„One”? Jak to?

— Bo poślubię dwie żony.

Leptines wybuchnął śmiechem, po nim zaś reszta kompanów. Wówczas Filistos zerwał się z miejsca.

— Co w tym śmiesznego? Moim zdaniem to błazeństwo. Jaki to ma sens? Skoroś taki jurny, na pewno nie zabraknie ci sposobności, żeby sobie ulżyć.

— Nic nie rozumiesz. Moje podwójne zaślubiny będą miały znaczenie symboliczne...

— Posłuchaj uważnie — przerwał mu Filistos. — Do tej pory lud w ten czy inny sposób był po twojej stronie. W głębi duszy szanują cię za mądrość i upór, za twoją przeszłość bohaterskiego wojownika, ale jeśli posuniesz się do takich czynów, zaczną z ciebie drwić, staniesz się postacią z komedii.

Leptines i reszta znów parsknęli śmiechem. Na to Dionizjusz rąbnął pięścią w stół.

— Dość tego! — wrzasnął.

Wszyscy zamilkli.

— Jeśli chcecie wiedzieć, dlaczego zamierzam poślubić dwie kobiety tego samego dnia, powiem wam. I tak bym to zrobił, ale pierwszy, który się choćby głupekowato uśmiechnie, nie zdąży nawet tego pożałować. Czy wyraziłem się jasno?

— Nie miałem zamiaru cię obrazić — usprawiedliwił się Filistos — ale nadal upieram się przy swoim zdaniu: to zły pomysł. Ale ciekaw jestem powodu, dla którego chcesz zrobić coś takiego.

Dionizjusz się opanował.

— Poślubię dwie panny: Sycylijkę i Italkę na znak, że jestem przywódcą obydwu tych ziem. Sycylijka oczywiście musi pochodzić z Syrakuz. Co do tej drugiej, miałem na myśli pannę z Regionu, choćby po to, by wyciągnąć do nich przyjazną dłoń. Z pewnością nie brak w Regionie pięknych dziewczyn z dobrych rodzin. Ty, Leptinesie, pojedziesz poprosić o rękę Syrakuzanki, a ty, Filistosie, przywieziesz mi italską narzeczoną z Regionu.

— Czy wolno zadawać pytania? — Leptines podniósł palec.

— O ile nie są głupekowate.

— To sprawa punktu widzenia.

— Więc mów i przestań wreszcie brzęczeć jak mucha nad gównem.

— Przypuśćmy, że obie zechcą się tobą dzielić. Jak zamierzasz wywiązać się ze swoich obowiązków? Każesz zbudować trzyosobowe łóżce czy co? I którą chcesz chędożyć pierwszą, Italkę czy...

Dionizjusz rąbnął go pięścią w twarz, aż tamten spadł na ziemię. Po czym wstał i wyszedł trzaskając drzwiami.

— Najwyraźniej sam się o to prosiłeś — stwierdził Filistos pomagając Leptinesowi się podnieść.

XX

Obywatele Regionu długo rozprawiali w Zgromadzeniu nad pomysłem Dionizjusza, aby poślubił on jedną z ich cór, gdy tymczasem Filistos, który przywiózł oficjalną prośbę, cierpliwie czekał.

Zdania były podzielone: jedni podkreślali znaczenie, jakie miałyby zyskanie tak potężnego sprzymierzeńca jak tyran Syrakuz, inni z kolei uważali to za zbyt niebezpieczne właśnie dlatego, że to tyran i awanturnik, jeśliby zaś poniósł klęskę, pociągnąłby za sobą wszystkich członków swej rodziny. Poza tym Naksos i Katanię spotkał dość smutny los, a przecież to w końcu tacy sami Chalcydejscy jak oni, przybyli w zamierzchłych czasach z metropolii Chalkis na Eubei.

U jeszcze innych prośba ta wywoływała wściekłość, toteż uznali ją za bezczelną i bezwstydną, po czym wpadli na pomysł, aby wysłać mu jako narzeczoną uliczną dziewczę, dając w ten sposób do zrozumienia, jak mało się z nim liczą. W końcu jednak przeważało bardziej umiarkowane rozwiązanie: odmówić, ale tak, aby nie zabrzmiało to jak zniewaga.

W drodze powrotnej Filistos czuł się niezręcznie na myśl, że musi przekazać Dionizjuszowi odpowiedź, która z pewnością go nie zadowoli. Kiedy stanął przed jego obliczem, z ulgą spostrzegł obecność Leptinesa — znak, że bracia zdążyli się już pogodzić i że burza minęła.

Dionizjusz nie wydawał się szczególnie zawiedziony.

— Będą tego żałować — stwierdził tylko.

— Przykro mi — dodał Filistos.

— To nie twoja wina. Jestem pewien, że zrobiłeś co w twojej mocy... Czy powiedziałeś, że zamierzam poślubić jeszcze jedną pannę?

— Nie miałem wyboru.

— Rzeczywiście nie miałeś.

— Jesteś całkowicie pewien, że nie potrafisz się zadowolić tylko jedną żoną? Przecież nie brak panien, które mogłyby ci dać rozkosz... Jesteś najpotężniejszym mężczyzną na zachód od Zatoki Jońskiej.

— Nie w tym rzecz. Podjąłem decyzję, a jak wiesz, nigdy nie zmieniam postanowień. Chcę dwóch żon: Italki i Syrakuzanki. Wyruszysz jak najprędzej.

— Dokąd?

— Do Lokri. Co sądzisz o Lokri?

— No właśnie: to miasto kobiet...

— Zawsze było nam przyjazne. Zobaczysz, że się zgodzą.

— Mam taką nadzieję. Ale jeśli każą mi wybierać? Jaką kobietę byś wolał?

— Czarną, jasnowłosą? — dopytywał się Leptines.

Dionizjusz spuścił głowę. „Arete”, rzekł w duchu, po czym spojrzał Filistosowi prosto w oczy z osobliwą miną.

— Czarną... tak, wolałbym czarną...

— I to wszystko? Jestem pewien, że Lokryjczycy pokażą mi swoje najurodziwsze panny.

— Rozłożyste biodra, ładne piersi... — dodał Dionizjusz. — Ja mam ci wszystko mówić? Ale... To nie ma większego znaczenia; wystarczy, żeby była z najlepszego rodu i miała odpowiedni posag.

— Oczywiście — zgodził się Filistos.

— Wyruszysz dokładnie za dwadzieścia dni.

— Za dwadzieścia dni? Dlaczego? Co ma się wydarzyć za dwadzieścia dni?

— A to, że właśnie wtedy będzie gotowa pewna rzecz... Chodź, chcę, żebyś sam to zobaczył.

I wyszli.

— Podarunek? Jakiś szczególny upominek? — dopytywał się Filistos podążając za nim na dół po schodach wraz z Leptinesem i nieodłącznym Aksalem.

Poczekaj, a sam się przekonasz. Dionizjusz ruszył dziarskim krokiem ku wejściu do zbrojowni, Filistos zaś usiłował wyczytać z twarzy Leptinesa, co takiego zamierzają mu pokazać w owym zadymionym i hałaśliwym miejscu. Dotarli do basenu ogrodzonego palisadą i strzeżonego przez uzbrojonych żołnierzy. Dwaj z nich otworzyli furtkę i wpuścili ich do środka. Filistos znieruchomiał z rozdziawionymi ustami ze zdumienia.

— Pentera — oświadczył z uśmiechem Dionizjusz wskazując wspaniały okręt wojenny stojący pośrodku na podporach, prawie gotów do wodowania.

— Pentera? Ale co to znaczy? — zdziwił się Filistos.

— To znaczy pięciorzędowiec, czyli okręt posiadający o stu wiosłarzy więcej niż triera i zakrzywiany dziób z trzema szpicami z litego żelaza o wadze dwudziestu talentów, a więc dwukrotnie cięższy od tych używanych do dzisiaj. Piękna, prawda? Sam ją zaprojektowałem.

— To największy okręt wojenny, jaki kiedykolwiek zbudowano na świecie — zauważył Leptines. — Nazywa się „Bubaris”.

— I właśnie on zawiezie cię do Lokri po moją narzeczoną — dodał Dionizjusz przechadzając się wzdłuż boków potężnego urządzenia. — Wyobraź sobie zdumienie ludzi, którzy zobaczą, jak wpływa do portu, z aflastonem i galionem ozdobionymi złotem i srebrem, ze sztandarami łopoczącymi na wietrze. Wyobraź sobie te wszystkie pogłoski, które zaczną krążyć, te uwagi żeglarzy powtarzane od portu do portu, wyolbrzymiające prawdę, budzące zdziwienie i zachwyt. I wyobraź sobie, co będzie, kiedy wrócisz; wszystko już zaplanowałem. Kiedy tylko „Bubaris” pojawi się na horyzoncie, z domu mojej syrakuzkańskiej oblubienicy wyruszy wóz zaprzężony w czwórkę białych koni. Dokładnie zaś w chwili gdy panna wysiądzie na brzeg, tu do zbrojowni z drugiej strony pałacu dotrze następna w swej olśniewającej kwadrydze...

Filistos wydał przeciągłe westchnienie.

— Piękna uroczystość, nie ma co.

— To jeszcze nie wszystko — zastrzegł się Dionizjusz, który zaprowadził gościa na platformę górującą nad sporą częścią zbrojowni.

— Spójrz, właśnie buduje się dwadzieścia takich samych okrętów jak ten.

— Bogowie!... — zawołał Filistos niezdolny wykrztusić ani słowa więcej, wodząc wzrokiem po rozciągających się przed nim olbrzymich kadłubach, wokół których uwijały się setki cieśli okrętowych, uszczelniaczy spoin, stolarzy, powroźników, płatnerzy i kowali.

— A to jeszcze nie koniec — ciągnął Dionizjusz. — Mam ci do pokazania więcej cudów. Chodź za mną.

Zszedłszy z platformy, skierował się do bocznego skrzydła pałacu, gdzie otwierały się małe drzwi wiodące na jeden z dwóch dziedzińców wewnętrznych. Filistos podążał za nim starając się dotrzymać mu kroku, po drodze zaś gawędził z Leptinesem.

— „Bubaris”... To osobliwa nazwa... Skąd ją wytrzasnęliście?

— To ja ją znalazłem — odparł Leptines. — Wiesz, w dzieciństwie mieliśmy kaczkę, która była tak wielka i ciężka, że wołałem na nią „Bubaris”, „ciężka jak bawół”.

— Kaczka... — powtórzył Filistos kręcąc głową. — Kaczka... też coś!

Kiedy weszli na dziedziniec, Filitosa ogarnęło jeszcze większe zdumienie i zachwyt: oto na samym środku stawiano właśnie trzy gigantyczne maszyny, wokół każdej z nich zaś krzątało się z dziesięciu artylerzystów. Kilku z nich poruszało właśnie ramionami kołowrotu połączonego z cięciwą ogromnego łuku, napinając ją. Po czym na suchy rozkaz dowódcy puścili, cięciwa wystrzeliła wyrzucając ciężki pocisk z litego żelaza, który utkwiał z głuchym odgłosem w stole grubym na dziesięć palców, przebijając go na wyłot.

— Nazwaliśmy ją „balistą”. Jeśli wycelować ją w szereg żołnierzy piechoty, może dokonać prawdziwej rzezi, a jeśli w burtę statku, może ją przedziurawić, nawet poniżej linii zanurzenia, i to z odległości stu stóp. A teraz popatrz na to. — Dionizjusz wskazał maszynę, której długie ramię z giętkiego drewna było zakończone łyżką, na niej zaś leżał głaz ważący ze sto libr. Zostało napięte aż do granic pęknięcia przez system kołowrotów, który nagle je uwalniał. Kiedy głaz rąbnął w ścianę z ogromnych ciosanych

kamieni lawowych, rozbił ją w pył. — A tę z kolei nazwalimy „katapultą”.

— To też ty wymyśliłeś? — zapytał zdumiony Filistos.

— Tak — odrzekł Dionizjusz — pracując dzień i noc, najpierw na rysunkach, a następnie na modelach w odpowiedniej skali, wykonanych przez architektów, na koniec zaś na ukończonych egzemplarzach, które tu widzisz. Spisują się doskonale. Właśnie budujemy pięćdziesiąt sztuk. W porównaniu z nimi tarany Himilkona to zabawki!

— A więc przygotowujesz się do wojny — stwierdził Filistos.

— Tak, wreszcie przepędzę Kartagińczyków z całej Sycylii. Zjednoczę pod moimi sztandarami tych, co ocalili z Selinuntu, Akragas, Himery i Geli, zbiorę najemników ze wszystkich krajów i dotrę aż do Motyi i Panormos.

— To nie do wiary... — szepnął Filistos spoglądając jeszcze raz na maszyny, które napinały kusze skrzypiąc złowroźnie.

— Jeszcze nic nie widziałeś — odezwał się Leptines. — Jeśli nie jesteś zbyt zmęczony, przejdź się po mieście, a nie uwierzysz własnym oczom. Właśnie wydłużamy mury o siedem stadionów, okalając nimi Epipolai, które zawsze było naszą piętą Achillesa, poza tym budujemy na wzgórzu zamek, niezdobytą fortecę o nazwie Eurialos. To rząd wież, przy którym długie mury ateńskie wydadzą się niczym. Będą to najpotężniejsze umocnienia, jakie kiedykolwiek istniały.

— W takim razie chodźmy — odparł Filistos. — Ciągłe do mnie nie dociera, co wy właściwie wyprawiacie w tym mieście.

— Leptines cię oprowadzi — oznajmił Dionizjusz. — Ja muszę wypróbować moje maszyny. Chcę, żeby spisały się bez zarzutu, kiedy nadejdzie czas, by ustawić je na polu bitwy.

Przekroczywszy przesmyk Ortygii, ruszyli ku Achradine wzdłuż murów, które dosłownie rosły z każdą chwilą. Filistos nie mógł uwierzyć własnym oczom. W ciągu jego nieobecności trwającej zaledwie dwa miesiące linia murów powiększyła się ponad trzykrotnie, całe miasto zaś zamieniło się w jeden plac budowy. Wzdłuż całych murów uwijały się jednocześnie tysiące kamieniarzy, tragarzy, murarzy i ich pomocników.

— Dionizjusz wymyślił system, który działa cuda — wyjaśnił Leptines. — Podzielił cały obwód na sektory o długości stu stóp i powierzył każdy z nich samodzielnej drużynie, której dowódca odpowiada za wykonanie i postęp prac. Wysokość wypłaty każdej drużyny zależy od długości murów, które zdoła postawić, i jest tym wyższa, im mniej czasu zajmie jej budowa. W ten sposób każdy daje z siebie tyle, ile tylko może. Niewolnikom obiecano nawet wolność, dzięki czemu potrafią się zdobyć na nieprawdopodobny wysiłek. Pracują na zmiany w dzień i w nocy bez przerwy, pod okiem nadzorców, którzy rozliczają się bezpośrednio z Dionizjuszem, płacąc nawet głową, jeśli jakość robót jest mniej niż zadowalająca.

Szli blisko godzinę, aż dotarli wreszcie do Epipolai i fortecy Eurialos otoczonej fosą. Stamtąd zaś mieli widok na całe miasto wraz z nowymi dzielnicami i długimi przypominającymi węża murami, na obydwie porty i Ortygię.

— Za trzy miesiące calusieńkie mury i forteca będą gotowe. Syrakuzy staną się nie do zdobycia.

— Wierzę — przytaknął Filistos — ale z pewnością to wszystko nie może pozostać niezauważone. Kiedy w Kartaginie się o tym dowiedzą, rozpoczną takie same przygotowania.

— Niewykluczone — przyznał Leptines. — Otoczyliśmy kartagińską dzielnicę najemnikami. Nikt nie może wejść ani wyjść bez pozwolenia. Przy najlżejszym podejrzeniu od razu wtrącamy ich do lochu. Jeśli to konieczne, posuwamy się do tortur.

— Oto pierwsze zgubne skutki wojny — ubolewał Filistos. — Ci ludzie zawsze żyli wśród nas prowadząc handel z obopólnym zyskiem. Teraz zaś nagle stali się zniechęconymi wrogami, którzy są tak niebezpieczni, że trzeba ich więzić i prześladować...

— Przecież oni pierwsi zaczęli, nie? — sprzeciwił się Leptines.

— Nikt nie wie, kto zaczął pierwszy, wierz mi. Ta wojna zaś stanie się starciem dwóch odmiennych ras, naszej i ich, i nie skończy się, dopóki jedna z nich nie wyginie.

— Jesteś dziwny — stwierdził Leptines. — Po czyjej stronie?

— Musisz o to pytać? Prawda jest taka, że przygotowania, które widziałem, mnie martwią. Dionizjusz rzuca w piekło wojny

olbrzymie zasoby ludzkie, pewien zwycięstwa, ale za morzem czeka podstępny, wymykający się z rąk nieprzyjaciel, ogromna potęga morską, która jest w stanie zamknąć nasze szlaki handlowe i niemożliwić dostarczenie zapasów...

— Ale Dionizjusz zamierza się ożenić... Pragnie mieć następców. A to oznacza przecież życie, przyszłość, nie sądzisz?

— Właśnie, dwie żony. Mogę się przynajmniej dowiedzieć, kto jest wybranką tu w Syrakuzach?

— Arystomachia — odrzekł Leptines nagle poważniejąc.

— Córka Hipparinosa? Nie mogę w to uwierzyć.

— On jest od zawsze członkiem Bractwa, i to jednym z ważniejszych.

— Tak, ale też od zawsze przeciwnikiem Helorisa, przybranego ojca Dionizjusza.

— Heloris będzie musiał się z tym pogodzić. Zresztą jego córki są jedna brzydsza od drugiej. Arystomachia zaś jest olśniewająca. Wiesz, znam ją jeszcze z dzieciństwa; bawiliśmy się razem na dziedzińcu. Kiedy pojechałem poprosić o jej rękę, mogłem się jej dokładnie przyjrzeć: jest piękna jak Afrodyta, ma sterczące i jędrne piersi, dłonie stworzone do pieszczona męskiego ciała i...

— Dosyć — przerwał mu Filistos. — Nawet nie chcę myśleć, że słyszałem te słowa. Więcej: nigdy ich nie słyszałem. Twój brat poderzwałby ci gardło, gdyby się dowiedział.

— Tak... — przyznał Leptines. — Prawdopodobnie poderzwałby mi gardło.

Wraz z nadejściem wiosny „Bubaris” wypłynęła majestatycznie w morze prując wodę zakrzywionym dziobem niczym radło ziemię i wznosząc dwie symetryczne fale. Dionizjusz, który nie mógł się doczekać, by ją wypróbować, zaciągnął na pełne morze okręt kartagiński przejęty podczas patrolu w okolicach Selinuntu, żeby służył jako tarcza strzelnicza. Na jej pokład wsiedli zarówno Filistos, jak i Leptines, zaproszono także przyszłego teścia Hipparinosa.

Na znak nawarchy bębniarz jął wybijać rytm wiosłowania, coraz szybciej i coraz głośniej. Pozbawiona omasztowania „Bubaris” pomknęła po falach z imponującą mocą, wspomagana dodatkowo przez lekki sprzyjający wiatr.

Na rozkaz dowódcy wiosła schowały się jednocześnie, zaostrowany dziób zaś wbił się w burtę służącego jako cel kartagińskiego okrętu z potwornym trzaskiem, rozłupując go na pół. Chociaż Dionizjusz i jego przyjaciele mocno trzymali się poręczy, i tak ciężko znieśli uderzenie. Liny bezpieczeństwa każdemu z nich poszarpały szaty i pozdzierały skórę, Filistosowi zaś o mało nie pękł kręgosłup. Obydwa kikuty zatonęły w ciągu paru chwil. Przepłynąwszy ponad nimi, „Bubaris” wykonała zwrot pod wpływem sterów rufowych, podczas gdy wiosła ponownie zanurzyły się w morzu. Gdy załoga wydała okrzyk radości, Dionizjusz pobiegł na rufę, by popatrzeć na nędzne resztki wrogiego statku unoszące się jeszcze wśród spienionych fal.

— Nike! Nike! — wrzasnął. — Zwyciężyliśmy! Pentera to najgroźniejszy okręt, jaki pływa dzisiaj po morzach.

Kiedy wszyscy sobie nawzajem wieszowali, Filistos stwierdził w duchu, że Kartagińczycy z pewnością nie staliby bez ruchu jak tarcza strzelnicza, czekając na zmiżdżenie przez ów potworny żelazny dziób ważący siedem talentów, i że w czasie bitwy wszystko bardzo się zmienia. Nie chcąc wszakże psuć radości, przyłączył się do okrzyków. Tym bardziej że właśnie na pokładzie „Bubaris” miał za kilka dni popłynąć do Lokri, by zabrać italską oblubienicę Dionizjusza.

— Dlaczego określiłeś Lokri mianem „miasta kobiet”? — zapytał go w drodze powrotnej Leptines. — Pamiętasz? To było po twoim przyjeździe z Regionu.

— Pewnie, że pamiętam. A gdybyś nie był taki niedouczoney, nie musiałbym ci tego tłumaczyć. Stare kroniki podają, że kiedy Lokryjczycy z metropolii prowadzili wojnę, kobiety, którym znudziło się siedzenie samym w domu, poszły do łoża z niewolnikami i powiły dzieci. Gdy mężowie wrócili z wojny, wyrzekli się ich, wypłynęły więc w morze i dotarły wraz z dziećmi do Italii, gdzie założyły Lokri. Założycielką każdego rodu lokryjskiego jest zatem kobieta, dziedziczenie i przekazywanie imion odbywa się zaś za pośrednictwem niewiast. Właśnie dlatego mówi się, że Lokri to miasto kobiet...

— Po całej historii z zakładaniem miasta — parsknął śmiechem Leptines — poślubienie Lokryjki chyba nie wróży nic dobrego, ale skoro go to uszczęśliwi...

— Właśnie, skoro go to uszczęśliwi...

Ledwie „Bubaris” wpłynęła do doku, architekci, którzy ją zbudowali, obejrzeni wszystko dokładnie aż do ostatniego gwoźdźcia, aby się przekonać, czy na strukturze nośnej ostrego dziobu nie ma żadnych rys i czy lina napinająca pod pokładem nie poluzowała się ani odrobinę. Wszystko jednak było w jak najlepszym porządku; również stępka, którą wydłużono niemal o dwadzieścia stóp, całkowicie wytrzymała uderzenie. Pierwsza pentera, jaką kiedykolwiek zbudowano, szykowała się zatem do zostania królową bitew.

Wyruszyła w morze kilka dni później, aby zawieźć Filistosa do Lokri, gdzie oblubienica Dionizjusza została wybrana decyzją najbardziej wpływowej rodziny w mieście, która zaofiarowała swą najpiękniejszą i najszlachetniejszą córę Doris.

Wcale nie była czarnowłosa, jak pragnął Dionizjusz. Miała niebieskie oczy, delikatne jasne włosy lśniące niczym złote nici, piersi sterczące i tak jędrne, że podtrzymywały peplos z najwyższą wytwornością; peplos joński, lekki jak piórko i tak miękki, że widać było pod nim ciało.

Wiedziała wprawdzie, że musi dzielić się mężem z inną, mimo to była szczęśliwa płynąc do Syrakuz. Sprawiała wrażenie małej dziewczynki idącej na zabawę. Filistosowi przemknęło przez myśl, że pewnie w jej rodzinie panują tak sztywne i surowe obyczaje, że zamiana władzy ojcowskiej na mężowską i tak musiała jej się wydać pociechą, przypomniał sobie jednak, że przecież w Lokri głowami rodzin są kobiety, prędko więc zmienił zdanie. Może była to właśnie tradycja rodzinna, która nie zna owej formy wyłącznego posiadania, tak charakterystycznej dla mężczyzn opętanych myślą o władzy. Może cieszyła się, że będzie miała dzieci albo że będzie leżeć u boku mężczyzny, o którym opowiadano przeróżne cuda, i nie dbała o nic więcej. W końcu sława, jaką cieszył się Dionizjusz, mogła pozwalać przypuszczać, że naprawdę jest wart tyle co dwóch.

Filistos przez trzy dni brał udział w najróżniejszych świętach i uroczystościach, podczas jednej z nich zaś wręczył jej podarunek od oblubieńca: bardzo stary złoty naszyjnik i jantarowe łożki wygrawerowane przez wielkiego artystę. Po czym załadował na pokład pannę wraz z matką i niezliczonym posagiem w postaci

monet, a także szaty, sprzęty domowe, klejnoty, zwierzęta gospodarskie, tkaniny, pachnące olejki, obrazy, rzeźby, starodawne i nowoczesne naczynia oraz święte wizerunki do obrzędów religijnych odprawianych w domu.

Jego szczególną uwagę zwrócił posążek Ateny, raczej grubiański i prymitywny, wcale nieładny, za to posiadający ogromny urok, na dodatek dziwnym trafem przedstawiający boginię z zamkniętymi oczami.

— Co to jest? — zapytał.

— To palladion, święta figurka Ateny, dzięki której Troja była niezwycięzona, a która została wykradziona przez Odyseusza i Diomedesa. U stóp palladionu w noc upadku miasta Ajaks, syn Ojleusa, nasz bohater narodowy, pohańbił księżniczkę Kasandrę. Bogini zamknęła oczy, żeby nie patrzeć na tę krzywdę. Od tamtej pory w ramach zadośćuczynienia nasze miasto wysyła co roku do Troi dwie dziewice z najlepszych rodów, aby służyły w świątyni Ateny Iliońskiej.

— Ty też tam byłaś, moja pani? — zapytał Filistos.

— Nie, ale bardzo bym chciała tam pojechać. Zobaczyć zbroję Achillesa, grobowce jego i Patroklesa...

— Jesteś bardzo wykształcona...

— Wiem, dla was, Dorów, kobieta wykształcona jest czymś w rodzaju dziwadła, ale tutaj to zupełnie naturalne. To my, kobiety, ustaliśmy zasady współżycia, nasze społeczeństwo zaś jest bardziej sprawiedliwe i zrównoważone.

— A nie boisz się, że skończysz w łożu najstraszliwszego z tych Dorów, tego, którego wszyscy zwą tyranem?

— Nie — odparła dziewczyna uśmiechając się niebieskimi oczyma. — Przeciwnie, chciałabym się przekonać, czy potrafi stanąć na wysokości zadania.

W czasie podróży przeprowadzili ze sobą wiele długich rozmów, dzięki czemu zdążyli się zaprzyjaźnić, toteż Filistos uznał za stosowne uprzedzić ją, jakie życie będzie prowadziła w Syrakuzach.

— Wiesz, co cię czeka — powiedział. — Dionizjusz kazał postawić dwa łoża małżeńskie obok swojej sypialni i zamierza spać na zmianę z każdą z was. Ale będziecie obiadować i wieszczać we trójkę, chyba że jedna z was się źle poczuje i będzie wołała zo-

stać w swojej komnacie. Odradzałbym wam jednak posługiwanie się taką wymówką częściej niż raz albo dwa razy w roku.

— Rozumiem — odrzekła Doris i oparła się o burłę, pozwalając, by zefir pieścił jej twarz, gdy nagle Filistos potrząsnął ją za ramię mówiąc:

— Patrz, Syrakuzy!

Arystomachia przybyła w wozie ciągnionym przez cztery białe konie, którym powoził woźnica odziany w tunikę przetykaną purpurową nitką. Miała kruczoczarne włosy z fioletowawym połyskiem i płomiennoczerwony peplos przewiązany złotym pasem.

Doris dotarła do portu w lektyce niesionej przez ośmiu niewolników, wśród których znajdował się budzący powszechną ciekawość Etiopczyk. Ludzie wiwatowali jednak na modłę syrakuzzańską, pragnąc z całego serca, aby to ona dała potomka Dionizjuszowi, którego uznawali teraz za monarchę — założyciela dynastii.

Wkroczyły do fortecy na Ortygii równocześnie: jedna przez bramę wschodnią, druga przez zachodnią, zgodnie z protokołem przestudiowanym wielokrotnie przez mistrzów ceremonii. Wybrano celowo taki dzień, w którym żadna z dziewcząt nie będzie miała menstruacji.

Oblubieniec przywdział bardzo prosty biały chiton sięgający do kostek, na ramieniu zaś miał żelazną bransoletę ozdobioną tylko jednym czerwonym kamieniem. Krążyły pogłoski, jakoby wykonano ją z żelaza wytopionego ze sztyletu, którym zgładził zabójców swojej pierwszej żony, Arete.

Tuż po podwójnej uroczystości zaślubin rozpoczęła się uczta na dziesięć tysięcy osób, na którą zaproszono zarówno cudzoziemców, wyższych oraz niższych rangą oficerów najemnych, jak i obywateli ze wszystkich warstw społecznych. Bodaj każdy z gości zauważył nieobecność przybranego ojca oblubieńca, starego Helorisa, który poczuł się tak bardzo dotknięty pominięciem w wyborze przez Dionizjusza jego dwóch córek, że opuścił miasto i wyjechał do Regionu. Tam zaś stanął na czele syrakuzzańskich jeźdźców, którym udało się ocaleć bądź uciec po zdobyciu Etny, a którzy zorganizowali tam coś w rodzaju zbrojnego oporu przeciw tyranowi.

Po skończonej uczcie każdą oblubienicę zaprowadzono do jej sypialni, gdzie została rozebrana i uczesana przez niewolnice. Gromada śpiewaków zaintonowała zaś pieśń weselną — najpierw syrakuzzańską, po niej lokryjską.

W pierwszej kolejności Dionizjusz wszedł do komnaty Doris i długo się jej przyglądał w świetle lampki oliwnej, jako że położyła się zupełnie naga na łożu, pokazując mężowi swe wspaniałe wdzięki. Nauczyła ją tego matka, która pokazała jej również, jak ma poruszać biodrami, żeby dać rozkosz małżonkowi i skłonić go do napełnienia jej łona całym nasieniem, aby dla Syrakuzanki nic nie zostało.

Do nauk matki Doris dołożyła wszakże to, co odpowiedziała jej dziewczęca naiwna i bezwstydną lubieżność. dzięki czemu znacznie wydłużyła jego wizytę, schlebając mu na wszelkie sposoby i lechząc jego próżność.

Kiedy nadeszła kolej Syrakuzanki, Dionizjusz zdawał sobie sprawę, że pewnie będzie niechętna z powodu długiego oczekiwania i rozczarowana na myśl, że nie wystarczy dla niej nasienia. Dlatego też dwoił się i troił, by okazać jej czułość i zaspokoić jej zmysły w najwyższym stopniu. Całował w usta, piersi, brzuch i po całym ciele, na koniec zaś wniknął w nią, nie zdołał jednak wzbudzić w niej takiego pożądania, jakiego się spodziewał. Owa osobliwa cisza zdumiała i zarazem ucieszyła Doris, która podsłuchiwała przez ścianę. Może Arystomachia była nieśmiała jak wszystkie doryckie dziewczęta?

Dionizjusz przyrzekł Syrakuzance, że następnej nocy położy się z nią pierwszą, i jeszcze ją trzymał w ramionach, gdy nagle drzwi otworzyły się cicho i ukazała się w nich Doris z lampką oliwną w dłoni. Uśmiechnąwszy się do nich obojga, zapytała:

— Mogę z wam zostać? Boję się spać sama.

Arystomachia już miała coś odpowiedzieć, widząc jednak rozbawiony wzrok męża zmieniła zamiar. Wyciągnąwszy się na łożu, Doris jęła pieścić najpierw Dionizjusza, pobudzając jego męskość wyczerpaną długą miłosną nocą, następnie zaś Arystomachię. Syrakuzanka zeszywniała, nie odtrąciła jej wszakże, by nie drażnić małżonka, którego ta gra zdawała się bardzo bawić.

Pierwsza zaszła w ciążę Lokryjka Doris.

XXI

Dionizjusz poczekał z rozpoczęciem wojny do końca żniw, aby żaden żołnierz wojsk sprzymierzonych nie opuścił szeregów z powodu pracy w polu, jednocześnie też wysłał do Kartaginy poselstwo z ostatecznym żądaniem: jeńcy muszą zostać zwolnieni bez wykupu, ponadto władze muszą uznać niezależność miast greckich zniszczonych w poprzednich wojnach. Chociaż usłyszał od swych szpiegów, że stolica punicka poniosła dotkliwe straty w wyniku zarazy, nie doceniał dumy nieprzyjaciela.

Rząd, który zebrał się w Kartaginie na naradę, niemal natychmiast odrzucił bezczelne żądania syrakuzkańskiego tyrana. Himilkona ponownie obwołano naczelnym wodzem i powierzono mu zadanie poprowadzenia wojny na wszelkie możliwe sposoby. Wiedzano o wielkich przygotowaniach Dionizjusza, panowała więc powszechna obawa, że po zdobyciu Sycylii zechce zająć Afrykę. Należało go zatem unicestwić, zanim stanie się zbyt groźny.

Do Syrakuz zjechali się italscy sprzymierzeńcy, podczas gdy mieszkańcy Regionu i Mesyny zachowali postawę pośrednią między obojętnością a wrogością. Lękano się wręcz, że Region zawrze sojusz z Kartagińczykami choćby po to, by umniejszyć zniemawioną potęgę Syrakuz. Wszystko było gotowe: rozkazom Leptinesa powierzono dwieście okrętów wojennych, a wśród nich trzydzieści penter, które dopiero co opuściły stocznię. Stojąc na dziobie „Bubaris”, dokonał przeglądu ogromnej floty, która podniosła właśnie kotwicę, aby udać się do Drepanum na zachodniej Sycylii. Za nimi popłynęło pięćset okrętów, na które załadowano zapasy

jadła i wody oraz rozebrane na części nowe maszyny oblężnicze.

Armia lądowa składała się z czterdziestu tysięcy piechoty i trzech tysięcy jazdy, armia morska zaś niemal jej dorównywała liczbą żołnierzy. Znajdowało się wśród nich sporo ucalałych z Selinuntu, Akragas i Himery oraz uchodźców z Geli i Kamaryny. Nikt z nich nie zapomniał.

Dionizjusz kazał im się ustawić w szyku przed zachodnią bramą, po czym wygłosił do nich przemowę.

— Żołnierze! — zawołał. — Sycylijczycy i Italikowie z helleńskich miast Zachodu! Wreszcie nadeszła pora zemsty. Od dnia, w którym patrzyliście, jak upadają wasze miasta, jak giną wasi synowie i jak wróg hańbi i zabija wasze żony, minęło dużo czasu, prawie dziesięć lat! — Gdy wspomniiał o żonach, głos mu się załamał. — Przyrzekłem wtedy wielu z was, że odprowadzę ich z powrotem do domów, że odbuduję ich miasta i pomścę zabitych. Wiercie mi, chciałem to uczynić znacznie wcześniej. Doskonale wiem, coście wycierpieli, albowiem poznałem to na własnej skórze. Ja pierwszy przyszedłem z odsieczą mieszkańcom Selinuntu, byłem w Himerze i Akragas, a także patrzyłem na gorzką porażkę Geli, która nie nastąpiła z niczyjej winy. Ci pośród was, co mieli wówczas po dwadzieścia lat, dzisiaj już mają po trzydzieści, jestem jednak pewien, że przez ten czas wasza nienawiść i pragnienie zemsty wzrosły, zamiast zmaleć. Wiem, że będziecie walczyć nie oszczędzając sił, że nic was nie powstrzyma, gdy chwycicie tarcze i włócznie. To nie jest taka wojna jak inne, jak te krwawe starcia pobratymców wywołane nędzną rywalizacją z powodu drobnych interesów handlowych. To jest wojna Greków z barbarzyńcami, jak pod Maratonem, pod Termopilami czy Salaminą. Jak w Himerze i Kyme osiemdziesiąt lat temu! Cała Sycylia będzie grecka, tak jak powinna być. To nasi przodkowie, którzy przybyli tu z za morza biedni i wygłodzeni, zamienili ją w piękną wyspę, zbudowali wspaniałe miasta, otworzyli porty i rynki, posadzili drzewka oliwne i zasiali pszenicę, postawili okazałe świątynie bogom. Świątynie te zaś ograbiono i zniszczono, groby naszych przodków zbezczeszczone, rodziny rozdzielono i zraniono, z synów zaś uczyniono niewolników. Ale dość tego! Oto nadszedł dzień, który wam przyrzekłem. Uwolnijcie swój gniew, żołnierze, przypomnijcie sobie

to, coście wycierpieli, przypomnijcie sobie krzyki waszych pohańbionych żon. męki waszych synów, którym podrzynano gardła na ulicach i w domach, których zaszlachtowano w kołyskach... Pomścicie swój zbrukany honor! Nie staniemy, dopóki nie wrzucimy do morza ostatniego wroga, dopóki nie wybijemy całego nienawistnego plemienia, które poniszczyło nasze miasta. Ja pójdę razem z wami, będę jadł to samo co wy, znosząc te same niewygody, i przysięgam na bogów piekielnych i na najdroższą mi pamięć, że nie zaznam spokoju, dopóki nie doprowadzę tego przedsięwzięcia do końca, choćbym miał to przypłacić życiem!

Po słowach Dionizjusza nastąpił ryk i łoskot włóczni uderzających rytmicznie, szaleńczo o tarcze z brązu. On jednak dał znak, że chce mówić dalej, toteż wrzawa powoli ucichła.

— Na usługach barbarzyńców — zagrzmiał — jest garstka greckich zdrajców, najemników, którzy postanowili walczyć przeciw własnym braciom za pieniądze. A ja im powiadam: „Porzućcie waszych panów, przyłączcie się do nas jako ludzie wolni i odkupcie waszą hańbę. Jeśli nie uczynicie tego natychmiast, spotka was straszliwa kara, o wiele cięższa niż ta, która czeka barbarzyńców! Miejcie się na baczności, nadchodzimy!”

Po tych słowach, które najwyraźniej musiały zostać uzgodnione jako znak, rozległy się dźwięki trąby, walenie w bębny zaś dało sygnał do wymarszu, wybijając rytm kroków.

Ogromna armia przeszła między dwoma rzędami obywateli i mieszkańców Interioru, którzy przybyli ze wszystkich stron, by podziwiać wspaniałe widowisko. Dionizjusz siedzący na czarnym rumaku, takim samym jak ten, którego dosiadał za pierwszym razem, gdy pokonał Kartagińczyków, jechał na czele odziany w okazałą zbroję, obok niego zaś podążali olbrzym Aksal i teść Hipparinos na gniadoszu ze lśniącą grzywą.

Za nim posuwała się kolumna licząca trzy tysiące jeźdźców, za którą szła ciężkozbrojna piechota podzielona na miasta; każdy oddział niósł własny sztandar i własne godło, towarzyszyły im zaś okrzyki radości i zachęty oraz śpiewy.

W głębi na spienionych falach kołysała się flota, przed nią zaś sunęły ogromne pentery przecinające morze wielkimi taranami o trzech szpicach ostrych niczym grotty włóczni.

Himilko, który zdawał sobie sprawę, że tym razem walka będzie się toczyć do krwi ostatniej, z początku usiłował zmusić flotę Leptinesa, by zawróciła i broniła Syrakuz. Przy użyciu raptem dziesięciu lekkich okrętów zaatakował nocą port Lakkios i dok. Naciągnąwszy niespodziewanie, jego wojownicy podpalili stocznię i kadłuby w budowie, po czym natarli na fortecę na Ortygii, ale strzegący jej najemnicy z Peloponezu odpowiedzieli z takim męstwem i determinacją, że musieli się wycofać. Syrakuzanie wysłali też czym prędzej szybki żaglowiec, aby uprzedzić Leptinesa, że atak został odparty i że żadna pomoc nie jest potrzebna.

Tymczasem Dionizjusz dotarł do miejsca, z którego zamierzał ruszyć na Motyę, kartagińską fortecę wznoszącą się na wyspie pośrodku laguny Lilibeum i połączoną ze stałym lądem sztucznym pomostem.

Między laguną a otwartym morzem znajdowała się jeszcze jedna wyspa, długa i niska, o dziwnym kształcie, któremu zawdzięczała swą nazwę: Kozi Piszczel, oddzielona od lądu dwiema wąskimi cieśninami. Pomost został zbudowany w kierunku południe—północ, aby nie zakłócał przepływu statków, mieszkańcy Motyi zaś dowiedziawszy się, że nadciągają nieprzyjacielskie wojska, natychmiast zaczęli go rozbierać, aby uniemożliwić im łatwy dostęp do murów.

Wejście do laguny było stosunkowo proste od południa, gdzie morze miało wystarczającą głębokość, aby mogły przepłynąć tamtędy duże okręty wojenne, natomiast od północy było praktycznie niemożliwe z powodu płytkiej wody, gdzie liczne mielizny i piaszczyste łachy potrafili ominąć jedynie znający je doskonale miejscowi żeglarze fenicyjcy i kartagińscy. Leptines zatrzymał się w Drepanum, porcie w Eryksie, w mieście Elymów, którzy przywykli przyjmować każdego, kogo nie byli w stanie odeprzeć, następnie zaś podzielił flotę na dwie części: okręty z zapasami przycumowano na południu, od strony cypla Lilibeum, natomiast okręty wojenne wpłynęły do laguny i zakotwiczyły w pobliżu cypla północnego, niezbyt odległego od początkowego punktu pomostu, który łączył Motyę z Sycylią, a który Motyjczycy zdążyli częściowo rozebrać.

Pozostawiwszy marynarzom zadanie odbudowy pomostu i rozpoczęcia prac nad składaniem machin obłęzniczych, Dionizjusz najechał na czele wojsk lądowych Panormos i Solunt, niszcząc wsie i plądrując gospodarstwa. Usiłował nawet wziąć szturmem elymskie miasta Segestę i Entellę, sprzymierzone z Kartagińczykami, ale bez powodzenia. Postanowił zatem wrócić do Motyi i osobiście objąć dowództwo.

Tymczasem Himilko, który nadciągał morzem, otrzymywał wieści o posunięciach motyjskich żeglarzy na bieżąco. Dowiedziawszy się, że Leptines kazał zacumować okręty, aby ich załogi zajęły się odbudową pomostu, rzucił swoją flotę do ataku.

Z początku w pobliżu Lilibeum natknął się na okręty z zapasami, których sporo zatopił, czyniąc tak zepsuł wszakże efekt zaskoczenia. Kiedy bowiem Leptines i Dionizjusz usłyszeli, że zbliża się nieprzyjacielska flota, kazali bić na alarm i zwołać wszystkich żeglarzy. Okręty wypchnięto na wodę w wielkim pośpiechu, załogi zaś zdążyły wsiąść na pokład, nim dopadł je Himilko.

Leptines wysłał na zwiady kilka lekkich łodzi, wieści, jakie przyniosły, nikogo wszakże nie ucieszyły.

— Ustawili się ławą dziobem na północ, zamykając wejście do laguny. Jesteśmy w pułapce — donieśli zwiadowcy.

— Jeszcze nie — odrzekł Leptines. — Gdzie mój brat?

— Wódz jest w kwaterze głównej.

— Więc mnie tam zawieźcie.

Wsiadłszy do szalupy przy „Bubaris”, Leptines dopłynął do kwatery głównej mieszczącej się u wejścia do północnej cieśniny, po czym przedstawił sytuację.

— Ja trzymałbym część floty poza tą przekłętą laguną — nachmurzył się Dionizjusz. — Co teraz zrobimy?

— Wypuścimy pentery i rozniesiemy ich na strzepy.

— Nic z tego. Właśnie o to im chodzi. Stanęli w tej kiszce, żebyśmy nie mogli wykorzystać naszej przewagi liczebnej. A ja nie zamierzam narażać kolejnych okrętów w tak niesprzyjających okolicznościach. Pentery potrzebują dużo miejsca.

— Mnie to mówisz? Przecież to ja jestem dowódcą floty! — wybuchnął Leptines.

— A ja naczelnym wodzem. Zapomniałeś o tym? — krzyknął jeszcze głośniejszym głosem Dionizjusz. — Czy ty zawsze musisz walić

łbem w mur jak byk? Wystarczy jeden fałszywy krok i po nas. Już zapomniawsz, co się stało w Geli? Wszystko było zaplanowane, przygotowane, a i tak ponieśliśmy klęskę. Mamy większą flotę i największą armię, jaką naród grecki zdołał kiedykolwiek zgromadzić. Nie możemy przegrać, rozumiesz? I to teraz, kiedy pomoc jest prawie gotowy...

— W takim razie posłuchajmy, jak zamierzasz się z tego wywinąć, heghemon — odpalił Leptines, wypowiadając ostatnie słowo z przekąsem — skoro od północy nie ma wyjścia, a jeśli jakiś okręt tam utknie, unieruchomi wszystkie inne.

Dionizjusz milczał przez chwilę, po czym rzekł:

— Przedostaniemy się ładem.

— Co takiego?

— To, co powiedziałem. Zbudujemy pochylnię, natłuscimy ją, a potem przeciągniemy przez nią po kolei wszystkie okręty na drugą stronę cypla.

Leptines pokręcił głową.

— Sądzisz, że to dobry pomysł? Przecież mamy radę zepchnąć do morza tylko jeden okręt naraz. Jeśli Kartagińczycy się zorientują, zatopią wszystkie po kolei.

— Nie — zaprzeczył Dionizjusz. — Bo będzie na nich czekała niespodzianka.

— Niespodzianka?

— Każ postawić na nabrzeżu nad otwartym morzem stawidło z wikliny i gałęzi długie na trzysta stóp i wysokie na dwadzieścia, a sam się przekonasz.

Prace rozpoczęły się natychmiast. Podczas gdy część żeglarzy wznosiła stawidło, setki cieśli zajęło się budową pochylni, czyli prowadnicy składającej się z dwóch równoległych bel sosnowych, które miały swój początek na brzegu laguny, następnie omijały górą cypl i schodziły po jego drugiej stronie na otwarte morze. Inni z kolei zabrali się do topienia w ogromnych kotłach słoniny i wołowego łożu, którymi smarowano następnie pochylnię, aby była bardziej śliska. Okręty zostały umieszczone na pochylni, potem zaś przeciągnięte na linach, każdy przez własną załogę liczącą stu pięćdziesięciu ludzi.

Budowa pochylni nie była widoczna z Motyi, kiedy jednak zaczęto przesuwać statki nad cyplem, strażę uzmysłowiły sobie,

co się święci, i dały znać Himilkonowi, że mysz ucieka z pułapki. Punicki admirał rozkazał zatem marynarzom podnieść żagle, opuścić wiosła i ruszyć na północ, tak aby mieli wyspę Kozi Piszczel po swej prawej stronie. Dzięki temu pozostaną niewidoczni do ostatniej chwili, kiedy zaś Syrakuzanie zauważą ich nadejście, będzie za późno.

Himilko nakazał swym jednostkom płynąć w konwoju i nie rozpraszać się, chciał bowiem dać nieprzyjacielskim okrętom zmasowany, zgodny opór. Kiedy się pojawiły, mógł je policzyć: było ich około sześćdziesięciu, a więc stosunek liczbowy wypadł na jego korzyść. Ledwie je zatopi, wysiądzie na brzeg, zniszczy pochylnię i unieruchomi pozostałe w lagunie, aż zgniją, albo zmusi je do walki.

Optynąwszy północny przylądek, ostro skręcił w prawo ku brzegowi, kiedy zaś znalazł się w odpowiedniej odległości, podał bębniarzom rytm taranowania. W tej samej chwili wrogie okręty skierowane dziobami na zachód wykonały zwrot w prawo, jakby zamierzały uciec na północ, po czym Himilko polecił powtórzyć ten sam manewr. W ten sposób stanął bokiem do brzegu, na którym pojawiła się, teraz widoczna, osobliwa konstrukcja: coś w rodzaju stawidła z trzciny, mat, a nawet żagli. Wtedy stało się coś nieoczekiwanego: stawidło opadło kawałek po kawałku, odsłaniając rząd nigdy dotąd niespotykanych mechanicznych potworów, już ustawionych w pozycji do ataku, z dziesiątkami strzelców z wycelowaną bronią. Na dźwięk trąby olbrzymie maszyny jedna po drugiej przystąpiły do działania. Flotę Himilkona zasypał grad głazów wystrzelonych z katapult, podczas gdy balisty nastawione na niski cel wyrzuciły chmurę pocisków z litego żelaza, które przytopiły stępki poniżej wodnicy i wymiotły pokłady, siejąc śmierć i przerażenie.

Maszyny ustawiono tak, by strzelały na przemian: po balistach przechodziła kolej na katapulty, gdy tymczasem balisty ładowano od nowa. Jednocześnie flota, która przemierzyła cypel, wykonała szeroki zwrot, aby przybrać odpowiednią pozycję do taranowania, Leptines zaś wyłonił się z południowej cieśniny laguny, zatapiając nieliczne siły pozostawione, aby jej pilnować, za pomocą trzydziestu penter, za którymi podążały następnie okręty, aby zamknąć w potrzasku flotę Himilkona.

Jednakże kartagiński nawarcha, otrzymawszy znaki od Motyjczyków, wykonał zwrot, uchylając się przed pociskami artyleryjskimi, i wypłynął na pełne morze, unikając o włos zaklinowania między wojskiem Dionizjusza i Leptinesa. Na pokładach okrętów greckich i na brzegu, gdzie strzelcy pokazali wyjątkową skuteczność machin wojennych, wybuchły okrzyki radości.

Stojący na murach obrońcy miasta przyglądali się z niepokojem, jak flota kartagińska znika za horyzontem, podczas gdy po przeciwnej stronie olbrzymie maszyny, które ją przepędziły, wciągano właśnie aż na początek pomostu znów łączącego stały ląd z ich wyspą. Już wiedzieli, że wszyscy zginą. To tylko kwestia czasu.

Pewnego poranka pod koniec lata, gdy powietrze było czyste i przejrzyste po wietrznej nocy, Dionizjusz dał rozkaz natarcia, toteż maszyny oblężnicze jęły się poruszać wzdłuż pomostu jęcząc i skrzypiąc.

Pierwsze przystąpiły do działania balisty i katapulty, jeszcze będąc na pomoście, zasypując baszty pociskami i siejąc pogrom wśród obrońców, po czym ustawiły się w północnej części wyspy, gdzie miały więcej przestrzeni, ustępując miejsca taranom i wieżom oblężniczym.

Mieszkańcy Motyi doskonale wiedzieli, co ich czeka. Wielu z nich brało udział w pogromie Selinuntu i Himery, bronili się zatem do ostatniego tchu. Oni także przedsięwzięli skuteczne środki. Z kilku drewnianych wież wyrzucili na zewnątrz długie nosidła, do których przymocowane były skrzynie, skąd żołnierze ciskali w maszyny oblężnicze dzbany pełne płonącej oliwy. Armia przeciwnika zaś jęła natychmiast okładać maszyny świeżo zdartymi skórami i gasić ogień w zarodku za pomocą morskiej wody nabieranej błyskawicznie do cebrów, które podawano sobie z rąk do rąk.

Maszyny oblężnicze waliły w mury przez pięć dni, aż w końcu jednemu z taranów udało się zrobić wylom w północno-wschodniej części murów. Wówczas przyciągnięto wieże, z których zrzucano kładki, po czym Grecy przebiegli przez szczelinę i wdarli się do miasta, jego mieszkańcy jednak, mający przewagę w postaci wąskich ulic, stawiali zaciekły opór, walcząc z szaleńczą determinacją

o każdy dom, każdy zaułek, wznosząc barykady i wystrzeliwując wszelkiego rodzaju pociski z dachów budowli, które wznosiły się niczym prawdziwe wieże na wysokość trzech lub czterech pięter.

Coraz bardziej zażarte i krwawe starcia ciągnęły się przez wiele dni. Oblężenie zaczynało się o świcie, trwało bez przerwy przez cały dzień i ustawało dopiero o zmierzchu, mimo to postępy napastników były bardzo skromne. W owym labiryncie ciasnych i krętych uliczek, wśród wysokich domów nie byli w stanie wykorzystać ani przewagi liczebnej, ani potęgi uzbrojenia.

Wreszcie Dionizjusz wpadł na pewien pomysł. Zwołał do namiotu przywódców z Selinuntu, Himery, Geli i Akragas, a także swego brata Leptinesa i starego druha Bitona, który dowodził wojskami zaczepnymi.

— Żołnierze — zaczął swą przemowę — mieszkańcy Motyji zdążyli przywyknąć do naszego oblężenia, które powtarza się co dnia, i za każdym razem mają czas na przygotowanie coraz to nowych środków obrony. Ich barykady wznoszące się w ciasnych zaułkach między ścianami wysokich domów są praktycznie nie do zdobycia. Motyjczycy już wiedzą, że atakujemy zawsze za dnia i zawsze z wież oblężniczych przez tę samą szczelinę, ponieważ nie ma miejsca, by postawić następne wieże w innych punktach murów. Musimy więc ich zaskoczyć... — Wziąwszy od jednej ze straży włócznię, jął kreślić na piasku plan. — Zaatakujemy w nocy przy użyciu drabin, w zupełnie innym miejscu. Tutaj. To wy tego dokonacie. Kiedy już się znajdziecie na murach, powinniście sobie bez trudu dać radę z nielicznymi strażami, które zazwyczaj się tam znajdują, a następnie zdobędziecie więcej drabin i posłużycie się nimi, żeby dostać się na tarasy domów, które stoją najbliżej murów. Wejdziecie przez okienka dachowe i zaskoczycie mieszkańców we śnie. Za wami udadzą się kolejni wojownicy, którzy opną dalszą część murów. Na znak, że przedsięwzięcie się udało, wypuście zapaloną strzałę, a wtedy ruszymy do ataku zmasowanymi siłami przedostając się przez wyłom. Motyjczycy nie będą wiedzieli, od której strony się bronić, zapanuje przerażenie i miasto będzie nasze. Czujecie się na siłach?

— Nie pragniemy niczego innego — odparli dowódcy.

— Znakomicie. Leptines przewiezie was płaskodennymi łódkami pomalowanymi na czarno. Ciężkie uzbrojenie wam się nie

przyda; wszyscy powinni mieć wyposażenie peltasty oraz skórzane pancerze i hełmy. Zaatakujemy jeszcze dziś w nocy, ponieważ jest nów i istnieje małe prawdopodobieństwo, że wiadomość się rozniesie. Nadszedł dla nas czas zemsty. Niech bogowie mają was w opiece.

— Dadzą radę? — zapytał Leptines, gdy opuścili izbę.

— Jestem tego pewien — odrzekł Dionizjusz. — A teraz idź. Będę czekał na wasz znak.

Przygotowawszy łódki i drabiny, Leptines wpuścił na pokład uzbrojonych po zęby żołnierzy. Dowodził nimi Biton, przyjaciel Dionizjusza i członek Bractwa.

Wysiedli w znacznej odległości od wyłomu w miejscu, gdzie obmywane przez morze mury były raczej słabo strzeżone. Pierwszy oddział napastników oparł o nie drabinę i wspiął się nie czyniąc najłżejszego hałasu. Po chwili dwóch z nich wyjrzało na zewnątrz dając znak, by oprzeć następne. Droga była wolna. W krótkim czasie na murach znalazło się z pięćdziesięciu wojowników. Podzieliwszy się na dwie grupy, oczyścili galerię z nielicznych straży na długości jakichś stu stóp. Niektórzy przywdziali zbroje zabitych Motyjczyków i zajęli ich miejsce. Byli to Selinuntczycy, którzy znali nawet ich język.

Reszta pomagała swym kompanom wdrapać się po drabinach, aż w końcu na murach znalazło się około dwustu ludzi. Pięćdziesięciu z nich zostało na miejscu, gdzie napływali bez przerwy wojownicy, którzy przybyli łódkami Leptinesa. Inni zaś przełożyli drabiny poziomo przez tarasy najbliższych domów i jęli po nich przechodzić jak po mostach. Następnie pootwierali okienka dachowe i wśliznęli się do środka.

Pozabijali zaskoczonych we śnie mieszkańców. Zostawiwszy do pilnowania tarasów ze dwudziestu ludzi, przystawiali drabiny do kolejnych domów, prowadząc dalej swą zabójczą misję. Kiedy ktoś uderzył na alarm i Motyjczycy wybiegli z bronią na ulice z łuczycami w dłoniach, wrzeszcząc wniebogłosy, by pobudzić swoich towarzyszy, część domów zdążyła się już zapalić, inne zaś były pozajmowane przez wrogów, którzy strzegli wyłomu w murach wpuszczając kolejnych kompanów.

Kiedy Biton dał umówiony znak, czekający w gotowości na pomoście Dionizjusz kazał pchać wieże oblężnicze, do środka zaś

wpadły przez szczelinę tysiące żołnierzy, zabijając owych paruset obrońców, których zostawiono na straży.

Krótko mówiąc dochodzące z różnych stron murów odgłosy ataku wzbudziły przerażenie wewnątrz miasta. Motyjczycy rozpierzchli się więc we wszystkich kierunkach; wielu rzuciło się do walki na barykadach broniących dostępu do zaułków, w których mieszkały ich rodziny. Kiedy runie wspólna ostoja, każdy szuka innej, bliższej, toteż niejednen z nich, podobnie jak Selinuntczycy tyle lat wcześniej, stanął do obrony przed drzwiami własnego domu. I właśnie Selinuntczycy, a wraz z nimi mieszkańcy Himery, byli najbardziej rozpasani. Rozdzierające wrzaski przypominały im krzywdy własnych umierających żon i dzieci, męczonych i zarzynanych kompanów. Szalejąc z wściekłości i krwawego podniecenia bitwą, uniesieni blaskiem ognia, oddali się straszliwej rzezi i jęli płaćdrować to kwitnące miasto, prężny ośrodek handlu między Afryką i Sycylią.

Dionizjusz, który miał nadzieję, że weźmie mnóstwo jeńców, a potem ich sprzeda, aby odzyskać choć część wydatków poniesionych na wojnę, zdał sobie sprawę, że za bardzo podburzył swych żołnierzy, usiłował więc to naprawić. Wysłał czym prędzej heroldów, którzy nawoływali po fenicku mieszkańców, aby schronili się w świątyniach Heraklesa-Melkarta, Hery-Tanit i Apollina-Reszeffa, jako że nawet Grecy je szanują. W ten sposób wielu z nich ocalało, reszta zaś wówczas, gdy dowódcy nakazali oszczędzić jeńców.

O zmierzchu miasto było całkowicie opanowane, niewolnicy zaś związani i zakuci w łańcuchy na placach, skąd mieli zostać zawleczeni do obozu greckiego na stałym lądzie. Znajdowało się wśród nich sporo helleńskich wojowników, którzy walczyli po stronie Motyjczyków. Byli to w znacznej mierze ludzie mieszkający spokojnie w mieście i wykonujący rzemiosło, do którego mieli talent: architekci, rzeźbiarze, brązownicy, malarze, tkacze. U jednego z nich, italskiego rzeźbiarza z Medmy, pewien bogaty handlarz zamówił wspinały marmurowy posąg przedstawiający woźnicę w punickich szatach. On zaś, widząc, że Grecy pastwią się nad wszystkimi wizerunkami Kartagińczyków bądź Fenicjan, w ferworze walki zaciągnął go za mury swojej pracowni i zakopał w pośpiechu pod stosem odpadków, nie mógł bowiem znieść

myśli, że jego cudowne dzieło ma zostać roztrzaskane podczas bitwy. Wkrótce potem go schwytano i zawleczono wraz z pozostałymi do obozu.

Pośród Greków z Motyi wyróżnił się ich dowódca, Dejmenes, którego przyprowadzono przed oblicze Dionizjusza. Rozkazał wszystkim opuścić izbę, wódz syrakuzkański poprosił go, by usiadł. Tamten krwawił z licznych ran, miał przypaloną od płomieni skórę i pokaleczone stopy.

— Co mam zrobić z tobą i twoimi Grekami — zaczął Dionizjusz — którzyście woleli walczyć u boku barbarzyńców przeciwko własnym pobratymcom? — Po czym zacytował zdanie Herodota z jego „Dziejów”: — *Medizein... hellenes eontes.*

— Biliśmy się o nasze miasto — odrzekł Dejmenes słabym głosem.

— Wasze miasto? — ryknął Dionizjusz.

— Tak, bo właśnie tutaj żyliśmy przez długie lata w spokoju i dobrobycie. Tu przyszły nu świat nasze dzieci. Tutaj mamy pracę, dom i przyjaciół. Z tych ludzi wywodzą się nasze żony i ich rodziny, które miłowaliśmy całym sercem. Ojczyzna to miejsce, w którym żyjemy, które kochamy. Nikogo nie zdradziliśmy, *hegghemon*, my tylko broniliśmy naszych rodzin i domów. A co ty byś zrobił?

— A mieszkańcy Selinuntu i Himery? — odparł Dionizjusz. — Czyż także nie żyli spokojnie, kiedy twoi barbarzyńcy napadli na nich i roznieśli na strzępy? To byli ludzie, którzy mówili tym samym językiem co ty i wierzyli w tych samych bogów...

Krew kapiąca nieprzerwanie z ran Dejmenesa utworzyła wokół jego stóp czerwoną kałużę.

— Osiemdziesiąt lat temu — odpowiedział słabym głosem — Selinunt walczył u boku Kartagińczyków przeciw Akragas i Syrakuzom... Bogów, język i zwyczaję przywołuje się tylko wtedy, kiedy tak jest wygodnie, i dobrze o tym wiesz... Kiedy zaś ważniejsze stają się inne sprawy, nikt już o nich nie mówi... Oszczędź nas, *hegghemon*, okaż wspaniałomyślność, a zostaniesz zapamiętany jako człowiek wielkoduszny.

Dionizjusz milczał, tymczasem kałuża krwi na posadzce rosła, przekształcając się w potok, który z powodu nierówności jał się zbliżać do jego stóp.

— Nie mogę —, odrzekł wreszcie. — Muszę dać przykład. I musi to być straszny przykład.

Dejmenes został ukrzyżowany na pomoście, wraz z nim zaś wszyscy Grecy, którzy walczyli w obronie Motyi. Resztę sprzedano jako niewolników.

XXII

Dionizjusz wrócił do Syrakuz, nim nastały chłody. Biton został w Motyi na czele części najemników, Leptines zaś wraz ze stu dwudziestoma okrętami miał za zadanie wypatrywać, czy żaden statek kartagiński nie próbuje przybić do brzegu, i w razie czego go zatopić. Dionizjusz zamierzał wrócić w przyszłym roku z kolejną armią i zaatakować kolejne miasta punickie na wyspie: być może Panormos i Solunt i właśnie dlatego nie chciał, by przybyła jakakolwiek odsiecz z Afryki.

U bram miasta przywitał go Filistos na czele niewielkiego orszaku ważnych osobistości, prawdziwe powitanie zgotowali mu wszakże mieszkańcy, kiedy przemierzał ulice i agorę, by dostać się na Ortygię. Przyjęli go gorąco niczym bohatera, on zaś poczuł wreszcie zadowolenie, ziściło się bowiem to, czego pragnął i za czym gonił tak wiele lat.

— Wszystko ułożyło się tak, jak chciałeś — powiedział Filistos przekraczając jeszcze tego samego wieczoru próg jego komnaty.

— Jak na razie tak. Mam tylko nadzieję, że Leptines nie sprowadzi na nas kłopotów. Jest zbyt zapalczywy, zbyt porywczy, nigdy nie zastanawia się dostatecznie długo. Na wojnie zaś najmniejszy błąd może bardzo drogo kosztować.

— To prawda, ale Leptines już taki jest i to ty powierzyłeś mu naczelne dowództwo nad flotą.

— A komu miałem je powierzyć? Przecież to mój brat.

— No właśnie. Z takimi kłopotami musi się borykać ten, kto rządzi sam. Nie może zaufać prawie nikomu i dlatego musi mieć

nadzieje, że jego najbliżsi krewni skazani przez los, by być razem jego najbliższymi współpracownikami, staną na wysokości zadania.

— Są jeszcze przyjaciele z Bractwa, jak choćby Biton, który strzeże Motyi...

— Jak Jolaos... czy Doriskos — dokończył Filistos — zanim go zgładzono.

— A także ty, o ile się nie mylę — dodał Dionizjusz. — Jeśli chciałeś wygłosić tyradę na temat samotności tyrana, to ci się udało. Zgadza się, niektórzy z moich najlepszych druhów nie żyją, ale i tak nie jestem sam; mam wielu innych, a zresztą sam widziałeś, jak przywitał mnie lud.

— Lud... Rozszarpie cię na strzępy i rzuci psom na pożarcie, gdy tylko szczęście się od ciebie odwróci albo zabraknie ci złota, żeby opłacić najemników. Dobrze o tym wiesz.

— Ale właśnie na tym polega ta ogromna zmiana, nie rozumiesz? Najemnicy wiedzą, że ich niemały żołd i wszelkie przywileje zależą ode mnie, ja zaś wiem, że moje bezpieczeństwo zależy od nich. To zależność oparta na wzajemnych zyskach i korzyściach. Najtrwalsza z możliwych.

— I właśnie dlatego umieściłeś mnie na liście twoich przyjaciół na ostatnim miejscu? — zapytał Filistos szyderczym tonem

— Bo jesteś tutaj — odparł Dionizjusz. — Nie wydaje ci się to oczywiste?

— Pewnie, pewnie... Ale codziennie widzę, jak się zmieniasz, i to wcale nie na lepsze. Kazałeś wymordować greckich mieszkańców Motyi.

— Nie dali mi wyboru! — wrzasnął. — Powiedziałem wyraźnie, że mogą przejść na naszą stronę. Sami tego chcieli!

— To ty tego chciałeś — odrzekł niewzruszony Filistos.

— Przekleństwo! — wybuchnął Dionizjusz. — Znów ulegasz wpływowi tego ateńskiego sofisty...

— Sokrates nie żyje — powiedział oschle Filistos. — I nie był sofistą.

— Nie żyje?

— Owszem. I to od dawna. Nie wiedziałeś? Skazali go na wypicie cykuty.

— Ach tak — westchnął Dionizjusz. — A jaki miał zarzut?

— Sprowadzanie młodzieży na złą drogę i wiara w nowe bóstwa. To się stało po przejęciu władzy w Atenach przez Trasibulosa.

— Dziwne oskarżenie. To oczywiste, że musiało się za tym kryć coś innego. Tak czy inaczej twój filozof został skazany przez rząd demokratyczny. Jak widzisz, demokracja może tak samo grzeszyć nietolerancją i pogwałcać wolność jak rządy jednego człowieka. A nawet bardziej. Ja nie zabijam filozofów, mimo że ich nie znoszę.

Filistos nic nie odpowiedział, toteż Dionizjusz zmienił temat.

— Nic się nie wydarzyło, kiedy byłem nieobecny? Jest coś nowego?

— Wszystko w porządku. Prace zostały ukończone, nawet przy fortecy Eurialos, wśród ludzi panuje raczej spokój, zbiegów z Regionu nie traktuje się na razie zbyt poważnie.

— Nic poza tym?

— Tak, ktoś nas odwiedził.

— Kto?

— Pewien Ateńczyk, ma na imię Ksenofont. Jest mniej więcej w twoim wieku. Był uczniem Sokratesa...

— Więc niech się wynosi.

— To człowiek, który dokonał czegoś niewiarygodnego... Dowodził odwrotem „dziesięciu tysięcy”.

— On? Ten, co dotarł do Babilonii, a potem...

— On.

— Chciałem spędzić ten wieczór z moimi żonami — westchnął Dionizjusz. — Spodziewam się, że się za mną stęskniły, i pragnę je zobaczyć.

— Możesz to spokojnie uczynić. Dziewczeta będą się świetnie bawić słuchając opowieści o jego przygodach. Nie mają tu wielu rozrywek...

— Mają mnie, na Zeusa!

— Ty nie jesteś rozrywką.

— Właśnie. W takim razie ty też musisz zostać.

— Oczywiście, że zostanę — zgodził się Filistos. — Nie zamierzam przegapić takiej opowieści. To największa przygoda wszech czasów, o ile mi wiadomo.

— Ateńczyk, który mieszka w Sparcie i jest osobistym przyjacielem króla Agesilaosa. Spartanie pokonali i upokorzyli twoje miasto. Co powiniennem myśleć o tobie? — zapytał Dionizjusz.

Ksenofont spojrział nań swymi jasnymi oczyma bez wyrazu. Był to piękny mężczyzna o atletycznej budowie, szerokich ramionach, starannie przystrzyżonej brodzie, gęstej i bardzo ciemnej czuprynie, ani za długiej, ani za krótkiej, wytworny, lecz nie wymuskany. Jednym słowem tradycjonalista.

— Moje miasto doprowadzili do ruiny demagodzy i awanturnicy. Tradycjoniści zawsze szukali porozumienia ze Spartą i gdyby to od nich zależało, wojna nigdy by nie wybuchła. Podziwiam Spartan i dzielam ich cnoty, takie jak wstrzeźliwość, honor i umiar.

Dionizjusz przytaknął z grzeczności, zerknąwszy zaś na Arystomachie i Doris, pojął, że nudzi je rozmowa o polityce. Wobec tego przeszedł od razu do sedna.

— Powiadają, że przeżyłeś nieprawdopodobną przygodę. Chętnie byśmy o niej posłuchali, chociaż pewnie wiele osób cię już o to prosiło.

Ksenofont przełknął łyk wina i zaczął:

— Kiedy demokraci pod wodzą Trasibulosa przejęli z powrotem władzę w wyniku przewrotu wojskowego, ja znalazłem się po złej stronie. W wieku dwudziestu siedmiu lat nie miałem w swoim mieście żadnej przyszłości politycznej, toteż posłuchałem rady mojego przyjaciela, który zaciągnął się jako oficer najemnik pod rozkazami Cyrusa, młodszego brata króla Persów. Cyrus zamierzał go obalić i zająć jego miejsce, poprosił więc o pomoc Spartan. To była dla nich silna pokusa. Spartą wygrała wojnę z Atenami również dzięki złotu, którego Cyrus stale jej dostarczał. Gdyby dłużej potem zasiadł na tronie zamiast swojego brata, zostałby dłużnikiem tego, kto by mu pomógł. Z drugiej strony Spartą była oficjalnym sprzymierzeńcem Wielkiego Króla, nie chciała zatem, aby wyszło na jaw, że wspiera jego młodszego brata w próbie przejęcia władzy. Znalazła więc sposób, żeby jak to się mówi, działać z ukrycia udając niewiniątko.

— Pozwól mi zgadnąć — przerwał mu Dionizjusz. — Sparta nie powiedziała Cyrusowi, gdzie można zdobyć najemników, kiedy zaś wcielał ich do wojska, oni przeszli na drugą stronę.

— Mniej więcej, ale na tym nie poprzestali. Dowódca najemników, twardy człowiek o imieniu Klearch, oficjalnie był poszukiwany w Sparcie pod zarzutem zabójstwa, w rzeczywistości jednak szpiegował dla Spartan.

— Genialnie... — stwierdził Dionizjusz. — A mówią, że Spartanie to prostaki.

— Tylko że kiedy prawie dotarliśmy do Syrii, wystąpił drogą morską prawdziwego oficera, dowódcę speirai o imieniu Christofos.

— Słyszałem o nim od moich najemników. Podobno to znakomity żołnierz.

— I oddany przyjaciel... najlepszy, jakiego miałem... Arystomachia i Doris wymieniły półgłosem uwagi, prawdopodobnie na temat wyglądu gościa, który jął opowiadać dalej.

— Cel naszej wyprawy był objęty najściślejszą tajemnicą, ale kiedy znaleźliśmy się na syryjskiej pustyni, żołnierze stanęli dęba mówiąc, że nie ruszą się ani na krok, dopóki im nie wyjaśnimy, dokąd idziemy i po co. Wtedy Cyrus musiał zdradzić swoje zamiary, wyznał więc prawdę i obiecał wszystkim bogactwo do końca życia. Przekonanie ich okazało się łatwe, toteż wkrótce zapuściliśmy się w ten niezmierny kraj. Często urządzaliśmy polowania: na strusie, gizele, antylopy i dropie. Żyły tam najróżniejsze zwierzęta...

— Lwy też? — zaciekał się Dionizjusz.

— Też, ale nigdy ich nie spotkaliśmy. Niemal całkiem wyginęły z powodu nagonek i polowań. Widzieliśmy osobliwe rzeczy: asfaltowe źródło Karmandy, które wpływa do Eufratu, strzeliste palmy o wielkich pachnących daktylach i mnóstwo innych drzew owocowych.

— A widzieliście Babilonię? — zapytał Dionizjusz.

— Nie — odrzekł Ksenofont — ale byliśmy blisko... Pewnego poranka w pobliżu wioski zwanej Kounaxa pojawiła się niespodziewanie armia Wielkiego Króla. Były ich setki tysięcy, piechota i jazda wszelkiej narodowości: Persowie, Etiopczycy, Egipcjanie, Karduchoi, Asyryjczycy, Medowie, Mossynejkowie, Ormianie. Wzbijali potworny kurz, białą chmurę na szerokość czterech lub pięciu stadionów na całej równinie. Potem, kiedy zaczęli się zbliżać, ukazały się szeregi, załśniły zbroje i tarcze, wzniósł się

okrzyki we wszystkich językach, zagrzmiały bębny. Nadjechały wozy uzbrojone w kosy, których zadaniem było ścinać ludzi niczym zboże... To był przerażający widok...

— A wy? — zapytał Dionizjusz, osobiście dolewając gościowi wina.

— Cyrus chciał, żebyśmy uderzyli w sam środek i zabili króla.

— Czyli jego brata — uściślił Dionizjusz.

— Właśnie — potaknął Ksenofont. — To dla nich rzecz zwyczajna, po prostu sprawy dynastii. Klearch jednak odmówił i natarł na tych, których miał wprost przed sobą. Udało nam się rozbić ich szeregi, a kiedy wróciliśmy wieczorem na pole bitwy przekonani, że zwyciężyliśmy, znaleźliśmy ciało Cyrusa z obciętą głową, white na pal...

Obraz ten najwyraźniej wstrząsnął Doris i Arystomachią.

— Może lepiej by było, gdyby te dwie niewiasty nas opuściły — odezwał się Filistos, który dotąd milczał. — Myślę, że od tej pory opowieść będzie coraz bardziej wstrząsająca, a jedna z nich oczekuje dziecka.

Arystomachią, której to nie dotyczyło, spuściła głowę, po czym oświadczyła dumnie:

— Ja mogę zostać.

Kiedy Dionizjusz dał znak, że się zgadza, niewolnice odprowadziły Doris do jej komnaty. Tymczasem Ksenofont podjął na nowo swą opowieść o niekończącym się odwrocie, którego był uczestnikiem, w samym środku zimy, przez Armenię i Kaukaz.

Przed oczyma osłupiałych słuchaczy przewijały się wspaniałe i przerażające krajobrazy, martwe miasta, rwące rzeki, wysokie, pokryte śniegiem szczyty dziurawiące niebo i wreszcie walki na śmierć i życie z wściekłymi dzikusami, sceny mąk, plądrowań, pospiesznych egzekucji, błyskawicznych ucieczek...

Ksenofont był znakomitym gawędziarzem, kiedy zaś mówił, zmieniał się nie tylko wyraz jego oczu, ale także ich barwa; sprawiał wrażenie, że przeżywa na nowo wszystko, o czym opowiadał. Opisał niekończącą się tułaczkę bez celu po bezkresnej pustyni śnieżnej, ludzi zamarzających na śmierć, oślepionych wysokogórskim słońcem, niepogrzebane ciała, opuszczonych rannych i chorych. Aż wreszcie nadszedł kres owego rozpaczliwego marszu.

— Jechałem na czele mojego hufca jako straż tylna, kiedy usłyszałem jakiś hałas: krzyki dobiegające z czoła kolumny. Pomyślawszy, że nas napadnięto, popędziłem konia, za mną zaś pomknęli moi żołnierze, w miarę jednak jak posuwaliśmy się na przód, słyszałem, jak moi wojownicy krzyczą i płaczą, patrzyłem, jak rzucają broń ciesząc się niby szaleńcy. Krzyk zaś stawał się coraz głośniejszy, odbijając się echem od ośnieżonych szczytów: „Morze! Morze!” — Ksenofont westchnął. — Byliśmy uratowani. A przynajmniej tak nam się wydawało...

Słuchali go do późna, aż wreszcie wszyscy się rozeszli zmęczeni długim czuwaniem. Odprowadziwszy gościa do jego komnaty, Dionizjusz udał się do Arystomachii. Tej nocy była jej kolej.

Nazajutrz zjadł obiad z Ksenofontem i Filistosem.

— Powiedziano mi, że jadacie trzy razy dziennie — przyznał gość — ale myślałem, że to tylko bajki.

— I nigdy nie spiamy sami — dodał z uśmiechem Dionizjusz. — Takie są zwyczaje tu na Zachodzie. Wiem, że w Sparcie zadowolają się czarną zupą na wieczrę i to im wystarczy. Ale zastanawia mnie, skąd biorą siły do marszu i walki.

— Ich ciała przyzwyczajone są od wieków do czerpania energii z ubogiej i prostej strawy. Dzięki temu ich utrzymanie niewiele kosztuje. Skądinąd nikt nie zna przepisu na czarną zupę. Nie wiadomo, co zawiera.

— Słyszałem, że spiąją z żonami wszystkiego parę razy w miesiącu. Czy to prawda?

— Najprawdziwsza prawda — potwierdził Ksenofont.

— Ach! To nie jest życie. Ja mam dwie żony, jak mogłeś się przekonać. Dotrzymuję towarzystwa każdej z nich i żadna się nie skarży.

— Bardziej poprawne byłoby stwierdzenie, że żadna nie ośmiela się skarżyć — zauważył z przekąsem Filistos.

Ksenofont wykrzywił twarz w grymasie, który można by wziąć za uśmiech.

— Wiem, że wy, mieszkańcy metropolii, uważacie nas, mieszkańców kolonii, za półbarbarzyńców. Ale się mylicie. To tutaj jest przyszłość dla wszystkiego co helleńskie. To tutaj są bogactwa naturalne, ludzie i nowatorskie pomysły. Powinieneś zobaczyć nasze okręty, nasze maszyny wojenne. Dzisiaj Filistos pokaże ci

fortyfikacje... Kiedy wrócisz do Sparty, opowiedz o tym, co u nas widziałeś.

— Nie omieszkam tego uczynić — zapewnił Ksenofont. — Oczywiście wasze zwyczaje mogą zdumieć niejednego człowieka, ale nie mnie. Ja widziałem takie rzeczy, o jakich wam się nawet nie śniło. Na przykład Mossynejkowie robią publicznie to, co my zwykliśmy czynić na osobności: parzą się, wypróżniają... Z kolei robią na osobności to, co my zwykliśmy czynić publicznie, mianowicie mówią sami do siebie.

— Ciekawe — stwierdził Filistos.

— A co sądzisz o nowym królu Agesilaosie? — przerwał Dionizjusz, kierując rozmowę na zajmujący go temat.

— To waleczny i uczciwy człowiek, któremu leży na sercu los Greków bez względu na to, gdzie się znajdują.

— Wobec tego nie może nie doceniać moich wysiłków, by przepędzić barbarzyńców z Zachodu.

— Ma się rozumieć. Nie ma co do tego wątpliwości.

— Gdybym potrzebował kolejnych najemników...

— Jest ich mnóstwo na Peloponezie; to ludzie, którzy nie potrafią nic innego poza walką. Dobrze ich znam. Są najlepsi: odważni, niemal zuchwali. Nie przywiązują się do żadnego określonego miejsca, lecz są gotowi pójść za każdym, kto obieca im zapłatę, przygody i niebezpieczeństwa. Kiedy człowiek doznaje tak silnych i gwałtownych uczuć, nie potrafi się już przystosować do zwyczajnego życia.

— A ty? — wtrącił Filistos. — Jak ty się czujesz? Potrafisz się przystosować do zwyczajnego życia?

— O tak, oczywiście — odparł Ksenofont po chwili zadumy. — To nie ja szukałem tej przygody. To ona szukała mnie. I zapłaciłem za to wysoką cenę. Teraz chciałbym się jednak poświęcić nauce, rodzinie, polowaniom i uprawie roli. Rzecz jasna marzę o powrocie do ojczyzny jako człowiek szanowany, ale w chwili obecnej z pewnością nie mogę. Zabili mojego mistrza... Pewnie zabiliby również mnie...

— Napiszesz dziennik ze swojej wyprawy? — zapytał Filistos.

— Robiłem zapiski w podróży. Kto wie, może pewnego dnia gdy będę miał czas...

— Zadał ci to pytanie, bo sam spisuje dzieje — wyjaśnił Dionizjusz. — Prawda, Filistosie? Dzieje Sycylii, w których wspomina również o mnie. Tylko jeszcze nie wiem, w jakim świetle mnie ukazał.

— Dowiesz się w swoim czasie — odrzekł Filistos.

Ateński gość został jeszcze kilka dni, podczas których obejrzał cuda miasta. Nie pokazali mu wszakże ani kamieniołomów, ani kopalni, w których zginęło tylu jego współobywateli. Choć mieszkał w Sparcie i był uchodźcą, nadal przecież pozostał Ateńczykiem.

Reszta zimy upłynęła w spokoju; co jakiś czas przychodziły niemal pełne zdudzenia listy od Leptinesa, który składał Dionizjuszowi sprawozdanie z powolnych działań na zachodniej Sycylii. Kartagińczyków nie było widać i istniało wielkie prawdopodobieństwo, że nie pokażą się przed latem.

Szpiedzy Dionizjusza donosili ponadto, że Leptines spędza czas zabawiając się z pięknymi dziewczętami przy wytwornym jadłach i winie, na ucztach i orgiach. Ale cóż, taki właśnie był Leptines.

Późną wiosną przyszło na świat dziecko Doris.

Chłopiec.

Mamki i piastunki od razu mu je przyniosły. Było to piękne zdrowe niemowlę bez skazy.

Rozesłano wieści do Sparty, Koryntu i Lokri, ojczyzny Doris. Świat musiał wiedzieć, że Dionizjusz ma następcę, który nosi jego imię.

W Syrakuzach rozgorzał spór nad wyższością italskiej małżonki, która stała się matką dziedzica, a więc siłą rzeczy stała się pierwszą żoną. Przede wszystkim zaś zaczęto źle mówić o jej matce, czyli italskiej teściowej Dionizjusza. To za sprawą knoń tej wiedzmy Arystomachii przypadło w udziale gorsze miejsce. Może nawet podawała jej po kryjomu jakieś medykamenty, żeby nie mogła się znaleźć w błogosławionym stanie. A przynajmniej nie od razu, nie przed jej córką.

Arystomachia w końcu zaszła jednak w ciążę i powiła syna, któremu dała na imię Hipparinos, po swoim ojcu. Leptines napisał do brata list z kwatery głównej floty, aby mu powinszować.

Leptines do Dionizjusza, Chaire!

Jesteś ojcem!

A ja jestem stryjem. Stryjem Leptinesem!

Jak będą mnie nazywały te brzdące, kiedy tylko nauczą się mówić? „Stryjku Leptinesie, przywieź mi podarunek, stryjku Leptinesie, kup mi to, kup mi tamto! Zabierz mnie na wyścigi, zabierz mnie łodzią na ryby. Pozwól mi zabić Kartagińczyka.”

Nie mogę się doczekać. A Ty jak się czujesz?

Masz następców, masz potomstwo, na Heraklesa! Coś po Tobie pozostanie oprócz sławy.

Jak wychowasz pierworodnego, któremu dałeś swoje imię? Uczynisz zeń wojownika takiego jak my? Pogromcę wrogów? Myślę, że nie. To nie będzie możliwe. Nie łudź się, nie może być tak samo.

My dorastaliśmy na ulicy, braciszku, bosci i na wpół nadzy. On zaś nie może.

Częstawaliśmy kamieniami i kopniakami tych z Ortygu. Wracaliśmy wieczorem posiniaczeni i pokaleczeni i dostawaliśmy baty od taty i mamy. Pamiętasz? Ulica to dobra nauczycielka, nie ma co do tego wątpliwości, ale on jest Dionizjuszem II, na Zeusa!

Będzie go wychowywała chmara piastunek, nianiek, preceptorów, instruktorów, mistrzów, nauczycieli fechtunku, nauczycieli jazdy konnej, nauczycieli greki, nauczycieli filozofii.

To oni będą go zachęcać, karać, mówić, co powinien, a czego nie powinien robić. Tobie zabraknie na to czasu, będziesz bowiem zbyt zajęty pilnowaniem własnego tyłka przed naszymi rodakami i naporzaniem tych psich synów z Kartaginy.

Będziesz zajęty stawianiem sobie pomników tu i tam, cichymi układami z sojusznikami i wrogami, pobieraniem podatków, zaciąganiem najemników.

Ale jeśli kiedyś znajdziesz wolną chwilę, weź synka na kolana. Nawet jeśli to nie jest dziecko Arete. Weź go na kolana i opowiedz mu o chłopcu, który wierzył w lojalność, honor, męstwo i chwałę, o chłopcu, który zamierzał pójść trudną i niedostępną drogą wiodącą ku wielkości, a który zagubił własną duszę w meandrach władzy, wśród żalu i nienawiści. Zapomniał o samym sobie i o innych, jego pycha zaś stała się tak wielka, że poślubił jednocześnie dwie kobiety, które mimo

to okazały się kochającymi i oddanymi żonami.

Doris jest matką Twojego następcy. Arysto-
machia nie. A właśnie ona wie, że żadna ko-
bieta nie zdoła nigdy wymazać z Twojego ser-
ca wspomnienia Arete. Ja też więc obdarz
choć odrobiną uczucia.

Jestem pijany, gdybym się bowiem nie upił,
nie napisałbym tego, co zamierzam właśnie
napisać. Pamiętasz zjawę w jaskini Henny?
Dziewczynę taką samą jak ta, którą widziałeś
u źródeł Anapso?

To nie jest Arete. To dziewczyna, która co
roku podczas święta wiosny uosabia Persefonę,
a którą kapłani przez pozostałe miesiące
trzymają w ukryciu na skalnym cmentarzu u
źródeł rzeki. Kiedy się zestarzeje, zastępu-
ją ją młodszą.

Arete nie żyje.

Pomściłeś ją.

Wystarczy.

Poświęć resztki Twojego umysłu bądź duszy,
jakkolwiek zechcesz to nazwać, tym, którzy
ci pozostali.

Wielu naszych przyjaciół zginęło walcząc w
Twoich wojnach. Następni też polegą... Po-
myśl tylko o nich, a sam staniesz się inny.
Poczujesz się lepiej, jeśli będą Cię otaczały
wspomnienia tych, co Cię kochali, a nie gęby
Twoich kampańskich włóczników.

Gdyby ten list miał kiedykolwiek trafić w
Twoje ręce, kazałbyś swym siepaczom obciąć mi
jaja. Dlatego najpewniej nie każę Ci go od-
dać. Jeśli go jednak dostaniesz, będzie to
znaczyło, że choć raz na trzeźwo myślałem tak
samo jak po pijanemu.

Bądź zdrow.

XXIII

Spotkanie miało się odbyć w Motyi w domu Bitona, który dowodził twierdzą. Dionizjusz przybył od strony pomostu na koniu, który miał kopyta mokre od wody, Leptines zaś przy płyną łódką z „Bubaris”. Okręt nawarchy był jeszcze bardziej imponujący, niż kiedy Dionizjusz widział go za pierwszym razem. Na dziobie miał wyrzeźbiony łeb byka ozdobiony srebrem, żagiel okryty purpurą, pośrodku z kolei głowę gorgony z zakrwawionymi kłami i jęzorem wywalonym w szyderczym drapieżnym uśmiechu. Wszystkie dulki wykonane były z wypolerowanego do połysku brązu, jabłko na głównym maszcie zaś pokryte złotem. Wzdłuż obu burt stało sześć lśniących od smaru balist uzbrojonych w śmiercionośne pociski.

— Czyż nie jest zachwycający? — zapytał Leptines zeskakując na ziemię naprzeciw brata i wskazując na stojący za jego plecami okazały żaglowiec.

— Bez wątpienia. Ale czy nie jest zbyt rażący?

— Ach, chcę, żeby ci zasańcy sfajdali się na sam jego widok. Muszą zrozumieć, że nie zdołają się wydostać z żelaznych kleszczy mojej „Bubaris”.

Wkrótce na czele tuzina najemników zjawił się Biton, który przywitał się z obydwoma braćmi.

— Co nowego? — zapytał Dionizjusz, gdy podążali ku siedzibie gubernatora.

— Jak na razie spokój — odrzekł Biton — ale nie możemy dać się zwieść pozorom. Wiem, że w Kartaginie trwają potężne przygotowania. Mówi się o kilkuset okrętach wojennych, trzystu bądź czterystu, ale niektórzy wspominają nawet o pięciuset.

W stoczni jest ich pełno. I zdaje się, że statków transportowych jest jeszcze więcej.

Dobry nastrój Leptinesa gdzieś się na chwilę ulotnił.

— Potrzebuję następnych penter — oświadczył — przynajmniej tyle samo. Ile jest w budowie?

— Dziesięć — odparł sucho Dionizjusz.

— Dziesięć? A co ja zrobię z dziesięcioma penterami?

— Muszą ci wystarczyć. Na razie nie mogę ci dać więcej.

Gdzie jest reszta floty?

— W Lilibeum — odrzekł Leptines. — To dobre miejsce do zastawiania pułapek. Nawet nie zdążą się zorientować, że idą na dno.

— Mam nadzieję — dodał Dionizjusz — ale uważaj. Himilko jest sprytny. Atakuje tylko wtedy, gdy jest pewien zwycięstwa. Rozumiesz? Nie daj się oszukać.

— Jak się miewają moje bratowe? — zmienił temat Leptines.

— Dobrze. Dlaczego pytasz?

— Tak sobie. Kiedy widziałem je po raz ostatni, Arystomachia wydawała się trochę smutna.

— Kobiece sprawy... Nie ma się czym martwić.

— A mały Dionizjusz? I ten drugi brzdąc?

— Mają się dobrze i szybko rosną. — Po czym Dionizjusz zwrócił się do Bitona: — A jak zamierzasz utrzymać to miejsce w razie ataku?

— W Lilibeum mam system znaków, który powiadomi mnie w razie zagrożenia. Wyłom został naprawiony, w spichlerzach zaś mamy zapasy na trzy miesiące oblężenia.

— Dobrze. To będzie największe wyzwanie naszego życia. Nie powinniśmy i nie wolno nam dać się pokonać. Zrozumieliście?

— Zrozumiałem — przytaknął Leptines — ale gdybyś mi przysłał pentery, o które cię prosiłem...

— Niepotrzebnie robisz mi wyrzuty. Miejcie oczy otwarte. Ja muszę przekonać sykańskich tubylców, że jesteśmy silniejsi i że lepiej by było dla nich stanąć po naszej stronie. Chwilowo pojedę zatem w głąb wyspy.

Zjedli razem wieszczę, gdy zaś zapadła noc, Dionizjusz wrócił na ląd, Leptines zaś na pokład „Bubaris”.

*

Himilko wyruszył bardzo późno, gdy lato miało się już ku końcowi. Podniósł kotwicę w nocy przy zgaszonych światłach, żeby go nikt nie zauważył, po czym wypłynął na pełne morze niewidoczny z brzegu.

Kiedy rzucił Leptinesowi na przynętę czoło konwoju okrętów transportowych, ten dał się złapać. Na widok ciężkich statków wyłaniających się powoli przed przylądkiem Lilibeum wskoczył na „Bubaris” niczym jeździec na swego rumaka i pomknął czym prędzej do przodu, ciągnąc za sobą wszystkie okręty, które o tak wczesnej porze zdołały zebrać załogę. Zatopił jakieś pięćdziesiąt żaglowców nieprzyjaciela, z czego cztery staranował jego własny okręt, przechwycił ze dwadzieścia, reszta olbrzymiego konwoju zdołała jednak dotrzeć cało do Panormos, gdzie dołączyła do jednostek bojowych, które popłynęły okrężną drogą.

Na wieść o tym Dionizjusz dostał napadu furii.

— Uprzedzałem go, do kroćset! Mówiłem, żeby miał się na baczności!

Goniec z Selinuntu, który przyniósł mu wiadomość, stał w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Heghemon — zaczął, lecz Dionizjusz natychmiast go uciszył.

— Milcz!... Gdzie on teraz jest?

— Nawarcha? W Lilibeum.

— Za bardzo na widoku. Zaraz zanieziesz mu list ode mnie.

Dionizjusz podyktował wiadomość, którą natychmiast wręczył gońcowi. On sam zaś wyruszył w głąb wyspy ku ziemiom Sykanów.

Tymczasem Himilko, który zdążył skaptować kolejnych najemników, zaatakował od lądu i morza. Podbił Drepanum i Eryks, gdzie na najwyższej górze umieścił sygnalizator świetlny, wysyłający do Kartaginy znaki, które odbijały się od zwierciadeł umieszczonych na pływających platformach przycumowanych na wyspie Kosyrze.

Leptines zamierzał właśnie wyjść w morze i wdać się w bitwę z nieprzyjacielską flotą, na szczęście jednak w porę otrzymał zaszyfrowany list od brata.

Dionizjusz, hegemon panhelleński Sycylii do Leptinesa, naczelnego dowódcy floty, pozdrowienia!

Winszuję Tobie i Twoim żołnierzom zatopienia pięćdziesięciu okrętów nieprzyjacielskich.

Mam wieści z pierwszej ręki z Panormos. Flota Himilkona jest miażdżąco większa od naszej, co najmniej trzykrotnie. Nie ma żadnej nadziei, byś mógł ją pokonać — niepotrzebnie byś tylko narażał nasze żaglowce.

Wycofaj się. Powtarzam: wycofaj się.

Płyn do Selinuntu, jeśli chcesz, i zostaw zwiadowców, którzy będą Ci donosić o posunięciach Kartagińczyków.

To jest rozkaz. Nie masz innego wyboru, jak go wykonać.

Bądź zdrów.

— Bądź zdrów? — ryknął Leptines, przeczytawszy list.

— Bądź zdrów? A jak ja mogę być zdrowy, na Zeusa! Mamy się wymknąć po cichu jak tchórze i ustąpić pola temu psiemu synowi? A Biton? Mamy go zostawić na środku laguny samego jak palec? A co ja powiem Bitonowi? Że muszę służyć rozkazów?

— Dowódca powiedział — odważył się zabrać głos posłaniec — że koniecznie musisz wykonać ten rozkaz, nawarcho, i...

— Milcz! — wrzasnął Leptines z taką gwałtownością, że biedak nie ośmielił się więcej otworzyć ust. — Precz stąd! — krzyknął jeszcze głośniejsze. — Wszyscy precz!

Do końca dnia nie tknął jadła ani wina. Kiedy zaś zapadła noc, wezwał do siebie przybocznego.

— Przygotuj mi szalupę. Wypływamy.

— Wypływamy? O tej porze?

— Rusz się, nie mam tyle cierpliwości.

Kiedy męczycyna spełnił polecenie, Leptines wsiadł do szalupy z osłoniętą głową i rozkazał sternikowi, żeby wziął kurs na północ. Dotarli do Motyi w środku nocy, wyrzucił Bitona z łóżka.

Przyjaciół przywitał go owinięty prześcieradłem, pod którym spał, i wpuścił do środka.

— To szaleństwo kręcić się po nocy w takiej łupinie! A gdy byś trafił na kartagiński okręt zwiadowczy? Wiesz, jaka to by była dla nich gratka, gdyby cię złapali?

— Sęk w tym, że powinienem ci to powiedzieć osobiście. Nienawidzę tych, co wysyłają listy nie mając odwagi mówić z odkrytą twarzą...

— Ale... O czym ty mówisz? — Biton wziął ze stołu dzban i dwa ceramiczne puchary. — Kropelkę wina?

Leptines pokręcił głową.

— Och, nie mam na nic ochoty.

— Więc o co chodzi? Kim są ci ludzie, którzy ukrywają się za listami?

— On.

— Dionizjusz?

Leptines pokiwał głową.

— A co mówi?

— Każe mi się wycofać i opuścić Lilibeum. Twierdzi, że za bardzo się narażam. Chce, żebym zawrócił do Selinuntu, ale wówczas...

— Zostawisz mnie zupełnie samego. To dlatego przyszedłeś tu w środku nocy?

Leptines ponownie przytaknął.

— A do ciebie nic nie napisał? — zapytał po chwili.

Biton pokręcił głową.

— Widzisz? Nawet nie raczył cię uprzedzić. Tego już za wiele! Powiadam, że tego już za wiele!

Biton usiłował go uspokoić.

— Niewykluczone, że dostanę wiadomość jutro albo pojutrze. W czasie wojny listy docierają z trudem, przecież wiesz.

— Możliwe, ale to nie zmienia istoty rzeczy.

— Ale z jakiego powodu?

— Twierdzi, że jest ich trzy razy więcej.

— To dobry powód.

— Czy tylko dlatego miałbym zostawić przyjaciela z odwołanym tyłkiem?

— Nie masz wyboru, Leptinesie. Jesteśmy nie tylko przyjaciółmi, ale przede wszystkim dowódcami w armii syrakuzkańskiej, Dionizjusz zaś to nasz naczelny wódz.

— W Bractwie zawsze osłanialiśmy się wzajemnie i wspierali na wszelkie możliwe sposoby. Kiedy byliśmy dziećmi, a jeden z nas został napadnięty przez tych z innych band, biegliśmy mu

z odsieczą, nawet jeśli mieliśmy za to dostać po pysku. Taką wynawaliśmy zasadę i zawsze będę o tym pamiętał.

Biton upił łyk wina, po czym postawił puchar na stole i oparł się na krześle.

— To były inne czasy, przyjacielu — westchnął. — Inne czasy... Od tamtej pory daleko zaszliśmy. Cieszyliśmy się wieloma przywilejami u boku Dionizjusza: mieliśmy piękne kobiety, piękne domy, piękne szaty, wykwintne jądło, władzę, szacunek... Teraz on żąda, byśmy wywiązali się z naszej części obowiązków dla zwycięstwa w wojnie, i powinniśmy być posłuszni. To on ma rację. Gdybyś tu został, osiągnąłbyś tylko tyle, że by cię rozgnietli. Tymczasem musisz ocalić flotę, trzymać ją na innej, bardziej sprzyjającej okazji. To jest słuszne. Przecież jesteśmy żołnierzami, na Heraklesa!

— Ale dlaczego ten łotr nie każe też odejść tobie?

— Bo zdobycie tej wysepki kosztowało tyle złota i krwi, że porzucenie jej bez walki oznaczałoby przyznanie się do całkowitej nieudolności. Dionizjusz nie może sobie na to pozwolić. Motya padnie, ale po heroicznym oporze. Z pewnością nie okazemy się gorsi od jej mieszkańców, bo przecież sami ich pokonaliśmy. Nie uważasz?

Leptines, który nie był w stanie wykrztusić słowa, zagryzł wargi.

— A teraz idź już, bo zaczyna świtać, i wypłyn w morze jak szybko się da. Im prędzej, tym lepiej.

Leptines ociągał się, nie mogąc się zmusić do wyjścia.

— Zabieraj stąd swój parszywy zad, nawarcho — zachęcił Biton. — Pozwól mi pospać jeszcze parę godzin, bo jutro mam mnóstwo roboty.

Leptines wstał.

— Powodzenia — powiedział.

Po czym wyszedł.

Himilko stanął u bram Motyi siedem dni później, wraz ze stu pięćdziesięcioma okrętami wojennymi i trzydziestoma tysiącami żołnierzy. Biton zaś miał zaledwie dwanaście okrętów i dwa tysiące ludzi. Został pokonany po czterech dniach zaciekłego oporu. Jego ciało wbito na pal na pomoście.

Dionizjusz, któremu groziło odcięcie, nie miał innego wyjścia, jak się wycofać. Po czternastodniowym forsownym marszu dotarł do Syrakuz, gdzie w Wielkim Porcie czekała zakotwiczona flota. Leptines, który przybył o wiele wcześniej, pozostał na pokładzie „Bubaris” nie pokazując się przez długie dni.

Wreszcie stanowczy rozkaz Dionizjusza ściągnął go do pałacu na Ortygii.

— Słyszałem, że kiedy mnie nie było, odwiedziłeś Arystomachię. Czy to prawda?

— Jeśli już o to chodzi, odwiedziłem także twój syna.

— Czy to prawda?

— Tak — przyznał Leptines. — Nie ufasz mi?

— Nie ufam nikomu.

— Ach, nie? A co z Bitonem? Jemu też nie ufałeś? Mimo to został w tej cuchnącej dziurze na twojej straży, aż zdechł. Wbili go na pal, wiesz? Pozwolili mu tam zgnić, dopóki kruki i mewy nie rozdziobały go aż do kości. Jemu też nic ufałeś? Odpowiedz, na Heraklesa! Odpowiedz, do kroćset!

— Nie waż się więcej zbliżać do moich żon, kiedy mnie nie ma.

— Czy to wszystko, co miałeś mi do powiedzenia?

Nie zważając na to pytanie, Dionizjusz mówił dalej:

— Himilko wyruszył z Panormos prosto na wschód, ku Mesynie. Moim zdaniem zamierza minąć cieśninę i uderzyć na nas od północy. Musisz popłynąć na wysokość Katanii. Trzymaj się z daleka i nie daj się sprowokować. Zaatakujesz dopiero na mój rozkaz.

Leptines wstał i skierował się ku drzwiom.

— Kazałem dla ciebie zbudować kolejnych dziesięć penter.

Leptines przystanął na chwilę nie oglądając się, po czym otworzył drzwi i wyszedł. Dionizjusz tymczasem ukrył twarz w dłoniach, tkwiąc samotnie w milczeniu pośrodku ogromnej sali.

W porcie Leptines spotkał Filistosa żegnającego się właśnie z cudzoziemskimi gośćmi, którzy zamierzali podnieść kotwicę i wrócić do ojczyzny. Przywitał go nieznacznym skinieniem głowy.

— Dokąd się tak spieszysz? — zagadnął Filistos.

— Daj mi spokój — burknął Leptines.

- Jeśli jesteś na mnie zły, mów.
 - Nie jestem zły na ciebie, tylko na tego łotra, mojego brata. Stworzyłeś potwora.
 - Jeśli już, to razem go stworzyliśmy. Dionizjusz zdobył władzę przy pomocy nas wszystkich. Ale nie wydaje mi się, żebyś chciał nagle podyskutować o zgubnym wpływie władzy.
 - Nie, bo jestem głodny. Nawet mnie nie zaprosił na wieczerzę.
 - W takim razie ja cię zapraszam.
 - Leptines zawahał się przez chwilę.
 - Czy to ty mu powiedziałeś, że odwiedziłem Arystomachie?
 - Tak — potwierdził Filistos.
 - I mówisz mi to tak po prostu?
 - Zadałeś mi pytanie, więc odpowiedziałem.
 - A dlaczego mu powiedziałeś?
 - Bo gdyby dowiedział się od kogoś innego, byłoby jeszcze gorzej.
 - Sam bym mu powiedział.
 - Wątpię. Kiedy wspominasz o Arystomachii, robisz zakłopotaną minę.
 - Nie chcę więcej o tym mówić.
 - Ale na wieczerzę pójdziesz?
 - Jeśli nie będziesz mi zadawał więcej tego rodzaju pytań.
 - Zgoda.
- Gdy przybyli do domu Filistosa, niewolnicy zaraz przynieśli wody do obmycia i chłodnego wina. Wieczerzę podano na tarasie, gdyż mimo późnej jesieni nadal było dość ciepło.
- Z każdym dniem jest coraz gorzej — stwierdził w pewnej chwili Leptines.
 - Nie wydaje mi się — zaprzeczył Filistos.
 - Nie wydaje ci się? Co ty opowiadasz? Zostawił Bitona samego w Motyi bez żadnego powodu. Nasze życie w ogóle się dla niego nie liczy, jemu zależy wyłącznie na utrzymaniu władzy. A co do Arystomachii...
 - Powiedziałeś, że nie chcesz więcej o tym mówić...
 - Zmieniłem zdanie. Co do Arystomachii... Moim zdaniem poślubienie dwóch kobiet jednocześnie to najwyższa bezczelność,

która wywołuje w każdej z nich uczucie upokorzenia i zawodu i...

— Nie sądziłem, żeś taki czuły i wrażliwy. Przykro mi cię rozczarować, ale wcale tak nie uważam — odparł Filistos. — Dionizjusz to nader urodziwy mężczyzna, silny jak byk, poza tym jest jednym z najpotężniejszych ludzi na świecie. Kobiety zwracają na takie rzeczy uwagę, wierz mi. A jeśli chcesz mojej rady...

— Nie chcę.

— I tak dostaniesz. Posłuchaj mnie uważnie. Kobiety nudzą się zamknięte w gineceum, nic więc dziwnego, że takie coś się zdarza. Wyobraź sobie, że większość życia musiałbyś spędzić w czterech ścianach... Dlatego odruchowo szukają jakichś rozrywek, kiedy zaś uda im się z kimś porozmawiać, wyolbrzymiają swoje uczucia, wrażenia i kłopoty. W rzeczywistości jednak najczęściej są to drobnostki. Te dwie dziewczyny mają wszystko, czego kobieta może zapragnąć: zachwycający dom, męża, który przypomina boga, którego siła i wigor wystarczą dla nich obu; mają klejnoty, dzieci, jadło i niewolnice, księgi i muzykę. Kiedy pokazują się publicznie, uwaga wielu tysięcy osób skupia się tylko na nich i są podziwiane niczym bóstwa... Nic tak nie psuje kobiety jak podziw innych ludzi.

— Arystomachia jest nieszczęśliwa — odrzekł Leptines, po czym odwrócił się w drugą stronę, udając, że przygląda się dwom tryerom, które przybijały właśnie do nabrzeża.

Filistos milczał, najwyraźniej pochłonięty pieczonym okoniem morskim, którego właśnie im podano. Leptines też długo się nie odzywał.

— Powiedz mi jedno — przemówił wreszcie Filistos. — Czy zanim Dionizjusz poprosił ją o rękę, było coś między tobą a Arystomachia?

— Sądzisz, że przyznałbym się do tego przed tobą, gdyby to była prawda?

— A dlaczego nie? Czy kiedykolwiek wyrządziłem ci krzywdę?

— Bawiliśmy się razem na dziedzińcu między naszymi domami, kiedy byliśmy dziećmi. Dionizjusz był wtedy w górach, u naszego wuja Damaretosa, żeby leczyć uporczywy kaszel.

— I to wszystko?

- I to wszystko.
- Ile mieliście lat?
- Ja jedenaście, ona dziewięć.
- I przysięgliście sobie wieczną miłość.
- Coś w tym rodzaju.
- Na Zeusa — westchnął Filistos — jesteś drugim człowiekiem na Sycylii, dowodzisz flotą liczącą sto dwadzieścia okrętów wojennych i dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Zabiłeś w życiu setki ludzi, wielu innych raniłeś, chędożyłeś setki kobiet wszelkiej maści i...
- Daj spokój — przerwał Leptines. — Tak będzie lepiej... Muszę iść. Dziękuję za wieczerzę.
- Cała przyjemność po mojej stronie — odrzekł Filistos. — Zobaczymy się wkrótce?
- Chwilowo nie. Wypływam z flotą.
- Dobrze. To mniej niebezpieczne niż rozmyślanie o pewnych rzeczach.
- Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Leptines.
- Dobrze wiesz. Powodzenia.
- Skinąwszy ledwie dostrzegalnie głową, Leptines zszedł do portu i kazał się zawieźć na pokład „Bubaris”.

Kiedy Himilko stanął u bram Himery, mieszkańcy od razu się poddali. Było ich teraz mniej niż jedna piąta z tego co kiedyś, toteż nawet im przez myśl nie przeszło, by w jakikolwiek sposób opierać się tak okrutnemu i bezlitosnemu wrogowi.

Armia kartagińska ruszyła następnie w kierunku Mesyny i rozbiła obóz jakieś dwadzieścia stadionów od miasta. Mesyńczycy wysłali kobiety i dzieci w góry do krewnych, przyjaciół lub własnych posiadłości, sami zaś zwarli szeregi w miejscu między morzem a górami, gdzie był wąski przesmyk, zdecydowani zagrozić drogę nieprzyjacielowi. Himilko przyplłynął wszakże morzem i wyładował w porcie kolejną armię. Pozostawione niemal bez obrony miasto padło natychmiast, po czym rozpoczęło się płądrowanie i rzeź. Spośród zdrowych mężczyzn uratowało się zaledwie z pięćdziesięciu — przedostali się wpław przez cieśninę i dotarli do Regionu. Przedsięwzięcie to okazało się tak wyjątkowe, że od tej pory stało się konkurencją sportową podejmowaną

za każdym razem, gdy przypadła jego rocznica, towarzyszyły jej zaś uroczystości ku czci Posejdona, boga morza.

Przekazawszy dowództwo floty swemu nawarwie Magonowi. Himilko podążył na czele wojsk lądowych na południe, ku Katanii. Nawet silny wybuch Etny nie zdołał go powstrzymać. Wielki strumień lawy dosięgnął aż do morza, wzbijając kłęby pary, które były równie imponujące jak pióropusz dymu wydobywający się z wulkanu. Udowadniając jednak, że niczego się nie boi, Himilko przeprowadził swe oddziały za rozpaloną górę, po czym powrócił na biegnącą wzdłuż wybrzeża drogę w pobliżu Katanii. Tam zaś połączył się z flotą.

Postanowiwszy wyruszyć na spotkanie, Dionizjusz zebrał wszystkie możliwe siły, wzywając także okręty Leptinesa. Najpierw przyszedł się wszakże pożegnać z żonami. Z obydwoma naraz jak zwykle, by nie wywoływać zazdrości. Wiedząc jednak, że Syrakuzanka Arystomachia znowu oczekuje potomka, napomniął ją z miłością:

— Dbaj o siebie. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę dziecko.

— Naprawdę? — odparła z uśmiechem. — Naprawdę chcesz je zobaczyć? Już czuję, jak kopie.

— Kiedy ma nastąpić rozwiązanie?

— Najdalej za sześć miesięcy.

— W takim razie przyjdzie na świat w czasach pokoju. Niech bogowie mnie wysłuchają.

Druga żona, Doris, przyprowadziła małego Dionizjusza, aby pocałował go na pożegnanie, i szepnęła mu na ucho:

— Jestem pewna, że syn Arystomachii będzie do ciebie podobny tak bardzo jak on.

Kiedy Dionizjusz popatrzył na nią dziwnym wzrokiem, Doris spuściła oczy. Ucałowawszy je obie w usta, usiłował obdarzyć pocałunkiem również chłopca, ten jednak się rozpląkał.

— Dlaczego płacze za każdym razem, kiedy się zbliżam? — zapytał rozdrażniony.

— Bo rzadko cię widuje — odrzekła Doris. — Bo masz brodę i nosisz zbroję.

Skinąwszy w milczeniu głową, Dionizjusz wyszedł w eskorcie swych najemników.

Zwołał pierwszą radę wojenną w swoim namiocie niedaleko linii wroga. Wzięli w niej udział Hipparinos, Jolaos, który dowodził jednostką szturmową, Filistos, dowódca italskich sprzymierzeńców oraz Leptines, który powrócił z Katanii.

— Postanowiłem ruszyć do natarcia — oświadczył. — Musiemy zadać im takie straty, żeby skłonić ich do powrotu na zimę do Kartaginy. Decydujące znaczenie ma dla nich flota. Tak wielka armia nie jest w stanie przeżyć bez okrętów, które dostarczają jej zapasów. — Zwracając się zaś do Leptinesa powiedział: — Zatakujesz od morza w zwartym szyku i postarasz się zatopić tyle żaglowców, ile tylko się da. Ale nie działaj zbyt pochopnie. Przemysł dokładnie każde posunięcie i atakuj dopiero wtedy, gdy będziesz pewien zwycięstwa. Przede wszystkim zaś pod żadnym pozorem nie wolno ci rozpraszać okrętów. My staniemy na brzegu, tak aby Magonowi się wydawało, że znalazł się w potrzasku między naszymi siłami lądowymi i morskimi. Wtedy właśnie nadejdzie twoja kolej. Kiedy ruszysz do natarcia, wróg będzie miał przewagę liczebną, nie zapominaj o tym.

Leptines poczuł się urażony słysząc owe rozkazy i napomnienia. W końcu to on był nawarchą i wiedział, co należy robić.

— Trzymaj okręty w zwartym szyku — naciskał dalej Dionizjusz — tamtych jest o wiele więcej.

— Zrozumiałem — odparł Leptines z rozdrażnieniem. — Zrozumiałem.

— Tym lepiej — stwierdził oschle Dionizjusz. — Powodzenia.

Nazajutrz Leptines ruszył na południe od Katanii na czele trzydziestu penter. Reszta syrakuzkańskiej floty w postaci stu dziesięciu trier podążała za nim w długim szeregu po pięć okrętów. W pewnej chwili spostrzegł przednią straż Magona, która zbliżała się wzdłuż brzegu. Było tego wszystkiego pięćdziesiąt żaglowców. W oddali zaś połykiwały włócznie wojowników Dionizjusza ustawionych w szyku na wodnicy i tworzących front długości prawie jednego stadionu.

Wezwawszy swego zastępcę, polecił mu, by dał znak flocie, żeby ustawiła się w szyku bojowym w dwóch rzędach. Dowódcy poszczególnych jednostek na znak dany przez okręt nawarchy rozpoczęły manewry, aby stanąć w szeregu dziobem do łądu.

Tymczasem Leptines widząc, że kartagińskie żaglowce stoją w sporej odległości od siebie i najwyraźniej przeszkadzają im fale od brzegu, stwierdził, że to niepowtarzalna okazja, aby je zatopić i umniejszyć tym samym przewagę liczebną wroga. Wydał zatem rozkaz penterom, aby popłynęły za nim.

— Wodzu... — usiłował się przeciwstawić jego osłupiały zastępca.

— Słyszałeś mój rozkaz — odparł Leptines. — Do ataku. Reszta popłynie za nami.

— Wodzu, reszta nie zdążyła jeszcze zająć pozycji, poza tym kazono nam zewrzeć szyki. Ja...

— Teraz jesteśmy na morzu i to ja tu wydaję rozkazy! — wrzasnął Leptines. — Podaj tempo do taranowania!

Oficer posłusznie dał znak bębniarzowi, który przyspieszył rytm wiosłowania waląc w bęben. „Bubaris” pomknęła naprzód prując fale zakrzywionym potrójnym dziobem, za nią zaś ruszyły pozostałe okręty.

Wkrótce do Dionizjusza, który stał na krańcu lewego skrzydła, podjechał zwiadowca.

— Heghemon! — zawołał. — Leptines ruszył na Kartagińczyków z penterami.

— Nie, mylisz się. To niemożliwe — zaprzeczył pobladły z gniewu Dionizjusz.

— Chodź i sam zobacz, heghemon — ponaglił go zwiadowca. — Stąd źle widać.

Dionizjusz spiął konia i pogalopował za nim aż na wierzchołek wzgórza. Gdy tylko znalazł się na szczycie, jego wątpliwości się rozwiały.

— Łajdak! — warknął przez zęby.

XXIV

Pentery Leptinesa natarły z całym pędem na kartagińskie okręty rozbijając je w pył. Podążająca na ich czele „Bubaris” roztrzaskała na pół któryś z nich, nim zdążył się odwrócić dziobem do morza, po czym zatoczyła szeroki łuk i zawróciła ścinając po drodze wszystkie wiosła na lewej burcie następnego. Unieruchomionemu w ten sposób statkowi nie pozostało nic innego, jak czekać na kolejny cios pentery, który uderzyła go gwałtownie w dziób łamiąc natychmiast podtrzymujące go żebra. Zatonął w okamgnieniu, pociągając za sobą całą załogę.

Na brzegu rozległ się natychmiast wrzask syrakuzkańskich żołnierzy, którzy przyglądali się tej wspaniałej walce niczym widzowie w teatrze. Dionizjusz jednak był wściekły. Po swej lewej stronie widział bowiem nadciągającą flotę Magona, która popychana przez wiatr zamierzała wbić się klinem między okręty Leptinesa a pozostające w tyle główne siły syrakuzkańskie. Wezwał do siebie Jolaosa.

— Daj znak, żeby zmienił położenie, do kroćset! Daj znak, żeby się stamtąd wydostał!

Kolejny wrzask dobiegający z dołu i oszalałe okrzyki żołnierzy powitały trzecie potężne uderzenie „Bubaris”. Leptines szarżował niczym byk, jak zwykle nie bacząc na nic innego.

Zwierciadło z brązu błysnęło wielokrotnie, przekazując rozkaz Dionizjusza, Leptinesa najwyraźniej jednak oślepiły zaciekle walcząca, lśniące zbroje wojowników i promienie słońca odbijające się w falach. Albo po prostu nie miał ochoty go słuchać i udawał, że nie widzi.

— Trąby! — wrzasnął Dionizjusz. — Użyjcie trąb. zagrajcie na trwogę, wtedy zrozumie!

Kiedy trąby zagrały, na brzegu ich dźwięk zabrzmiał rozdzierająco, wśród zgiełku bitwy wszakże musiał się wydawać niczym.

— Wycofaj się! — ryczał oszalały z wściekłości Dionizjusz ze szczytu wzgórza. — Wycofaj się, łajdaku! Precz! Precz!

Lecz było już za późno. Flota Magona rozpościerała się właśnie pokazując całą swą ogromną potęgę między syrakuzzańską przednią strażą a resztą okrętów, które nie zdążyły się jeszcze ustawić w szuku.

Kartagiński nawarcha miał tyle żaglowców, że mógł je podzielić na dwie armie, z których jedna uderzyła na syrakuzzańskie jednostki będące ciągle na pełnym morzu, druga zaś rozciągnęła się zamykając w kleszczach te z przodu, zajęte zatapianiem ostatnich kartagińskich statków ze straży przedniej.

Wówczas do Leptinesa dotarło wreszcie, że jest w pułapce. Krag, jaki zataczały nieprzyjacielskie okręty, jał się zacieśniać coraz bardziej, aż w końcu jego pentery zostały zmiażdżone jak w imadle. Nie miały już miejsca na jakikolwiek ruch, toteż bitwa morską przekształciła się w lądową, żołnierze zaś przeskakiwali z pokładu na pokład, wdając się w zaciekle pojedynki z załogą przeciwnika i ze znajdującą się na okrętach piechotą. Leptines walczył jak lew mieczem i toporem, wrzucając do morza każdego, kto usiłował wedrzeć się na pokład żaglowca dowódcy.

— Wynocha z mojego okrętu, wstrętne łotry! — krzyczał. — Wynocha z mojego okrętu!

Walka toczyła się z rozpaczliwą zaciętością i choć mała eskada syrakuzzańską została otoczona, Leptinesowi udało się zrobić wyłom. Jego żołnierze, którzy opanowali nieprzyjacielski żaglowiec stojący w poprzek, zatopili go od środka, roztrzaskując stępkę toporami, dzięki czemu „Bubaris” zdołała prześliznąć się przez szczelinę i w krótkim czasie nabrała prędkości. Pozostałe okręty ruszyły za nią, zatapiając nawet po drodze trzy jednostki przeciwnika. Los bitwy był wszakże przesądzony. Nieprzyjaciel miał wyraźną przewagę liczebną nad resztą syrakuzzańskiej floty, poza tym ucieczka naczelnego dowódcy i brak okrętu nawarchy, który by je poprowadził, bardzo źle wpłynęły na załogę.

Co zaś do Leptinesa, cudem zdołał uniknąć pojmania wydostając się na pełne morze, a następnie kiedy znalazł się poza zasięgiem wzroku Kartagińczyków, zataczając szeroki łuk. Wróg odniósł miażdżące zwycięstwo, odczuwając wszakże niedosyt, wysłał eskadrę lekkich łodzi z ludźmi uzbrojonymi w harpuny, aby podobiali wszystkich rozbitków, którzy usiłowali dopłynąć do brzegu.

Dionizjusz przyglądał się bezsilnie katastrofie. Widział, jak jego flota zostaje rozbita w pył, jego żołnierze zaś, miotający się wśród zakrwawionych fal, zaszlachtowani jak bydło.

Straty były ogromne: sto okrętów i dwadzieścia tysięcy ludzi.

Gdy w środku nocy zjawił się Leptines, zaprowadzono go natychmiast do namiotu brata, gdzie odbywała się burzliwa narada dowódców.

Dionizjusz miał ochotę go udusić, widząc go jednak całego we krwi, z ranami w prawym ramieniu i lewym udzie, z posiniaczoną twarzą, jednym okiem tak zapuchniętym, że prawie go nie było widać, poczerńniętego od dymu i ognia, z rozciętymi wargami, ciężko dyszącego i zmienionego nie do poznania, nie był w stanie ani się ruszyć, ani wykrztusić słowa.

Inni oficerowie także zamilkli, przez chwilę w namiocie naczelnego dowództwa zapanowała więc grobowa cisza. Wówczas do Leptinesa podszedł Filistos z dzbankiem w dłoni i dał mu pić. Dopiero wtedy wszyscy uzmysłowili sobie, że żaden z nich nie poczęstował kubkiem wody nawarchy, który walczył jak bohater przez cały dzień, a potem wrócił w środku nocy, aby zająć swoje miejsce wśród pozostałych wojowników.

Leptines pił długimi łykami, po czym upadł na ziemię. Wówczas Dionizjusz skinął na Aksala, który wziął go na ręce i zaniósł do jego namiotu.

Dionizjusz odwiedził go przed świtem. Trawiła go gorączka i miał jeszcze bardziej opuchniętą twarz, ale zdołał wyszeptać:

— Przepraszam... Ja chciałem... Chciałem...

— Wiem — przytaknął Dionizjusz. — Zawsze taki byłeś i nigdy się nie zmienisz. To ja jestem głupcem, że ciągle jeszcze mam do ciebie zaufanie. Powinienem cię zabić, powinienem skazać cię na śmierć za nieposłuszeństwo...

— Zrób to — odrzekł z trudem Leptines — Wszystko mi jedno, czy umrę czy nie.

— I tak już straciłem Doriskosa i Bitona — powiedział Dionizjusz. — Nie mogę stracić też ciebie. A teraz śpij. Postaraj się wyzdrowieć...

— Coście postanowili? — wycharczał Leptines.

— Sprzymierzeńcy chcą ruszyć na wojska Himilkona.

— Mają rację.

— Mylą się. Jeśli przegramy, będzie to koniec Syrakuz. Ukryjemy się za murami.

Chociaż Leptines nie odezwał się słowem, Dionizjusz wychodząc usłyszał, jak płacze.

Oburzeni na decyzję naczelnego wodza, który zabronił im walczyć, italscy sprzymierzeńcy postanowili wrócić do swoich domów. Z drugiej strony trudno byłoby sobie wyobrazić, że tyle tysięcy żołnierzy mogłoby mieszkać w Syrakuzach przez długie miesiące.

Filistos nie zmrzążył tej nocy oka, pisząc w swoim namiocie aż do brzasku.

Dionizjusz wkroczył do miasta pogrążonego w żałobie. W wielu domach rozległ się lament kobiet oplakujących poległych synów, w wielu oknach wisiały czarne tkaniny i gałązki cyprysu. Na murach widniały wyzwiska łączące tyrana. Wspomnienia o miażdżącym zwycięstwie sprzed roku rozwiały się w ciągu zaledwie paru godzin. Teraz pozostała jedynie gorycz porażki, strach przed niepewną przyszłością, dojmujący ból z powodu poniesionych strat.

Wróciwszy do miasta, Filistos zaszył się w domu przy porcie, skąd miał wkrótce patrzeć, jak flota Magona płynie bez przeszkód naprzód, po czym tarasuje porty i doki. Usiadł przy stole i zabrał się do pisania.

Była to największa klęska w dziejach Syrakuz. Miasto straciło większość okrętów, wielu obywateli poległo straszliwą śmiercią wśród fal, nadzianych na harpuny niczym ryby, jeden po drugim. Po jego powrocie rozeszła się wieść, że Dionizjusz celowo naraził życie całej masy mieszkańców, którzy zginęli w morzu walcząc z przeważającymi siłami wroga, jednocześnie dbając o to, by jego najemnikom nic się nie stało. Pierwsi bowiem byli to ludzie wolni,

którzy prędzej czy później zaczęliby się domagać przywrócenia demokracji. Drudzy natomiast stanowili fundament, na którym opierała się jego władza.

Dionizjusz odpowiedział z bezlitosną stanowczością, każąc pojmać wszystkich podejrzanych o szerzenie podobnych pogłosek, nawet na podstawie zwykłego donosu. Pomimo przewrotów wojaskowych i olbrzymich poświęceń, do jakich zmuszał swych współobywateli, zawsze żywił niezłomne przekonanie, że jest niezastąpionym przywódcą w walce ze śmiertelnym wrogiem i że w tak przełomowej chwili dla przetrwania ojczyzny wszelkie spory wewnętrzne należy tłumić natychmiast bez wahania. Owe bezwzględne czystki dotknęły także niemało członków Bractwa. Potężne stowarzyszenie, które zawsze wspierało go w dążeniu do władzy, nie omieszkalo przesłać mu ostrzeżenia: ośmiu spośród jego najemników znaleziono martwych w rozmaitych punktach miasta, dwóch innych zaś w koszarach na Ortygii. Każdy z nich został przeszyty strzałą z wizerunkiem delfina na drzewcu. Co oznaczało, że Bractwo może przeniknąć wszędzie. Poza tym liczba zabitych najemników była dokładnie taka sama jak liczba poległych członków Bractwa.

Uwagę Dionizjusza zwrócił na to Jolaos.

— Miej się na baczności — upomniał — chcieli w ten sposób dać do zrozumienia, że nie możesz ich ruszyć, bo inaczej za to zapłacisz. Udowodnili, że mogą uderzyć, jak chcą i kiedy chcą.

— Porachunki z nimi załatwię innym razem — odparł krótko Dionizjusz.

Był w podłym nastroju i nie miał ochoty się spierać, poza tym zdawał sobie sprawę, że Jolaos ma rację, lecz nie chciał się do tego przyznać. W tamtym okresie jedyny przebłysk nadziei stanowiły dlań narodziny drugiego dziecka Arystomachii. Był to chłopiec, któremu dano na imię Nizeos.

Nazajutrz po zmroku Filistos porzucił pisanie i wyruszył na Ortygię, by odwiedzić Leptinesa, który nadal leżał bez czucia w gorączce.

Przemierzwszy korytarze fortecy słabo oświetlone kilkoma lampkami oliwnymi, dotarł do niewielkiej odosobnionej komnaty w południowym skrzydle. Kiedy podszedł do drzwi, stwierdził,

że są przymknięte. Gdy zbliżył się ostrożnie, usłyszał cichy kobiecy głos.

— Dlaczego zawsze tak się narażasz? — zapytała kobieta.

— Bo to mój obowiązek, a poza tym muszę mu udowodnić, że nie potrzebuję go, by...

— Przecież mogłeś zginąć — przerwał mu z lękiem, głos.

— I szkoda, że się tak nie stało. Moi żołnierze utonęli w morzu, stając się pokarmem dla ryb.

— Nie, proszę, nie mów tak... — powiedział głos.

Filistos odsunął się od drzwi i ukrył w pustej izbie przekształconej na skład, trzymając je zaś uchylone ujrzał po chwili wychodzącą Arystomachie. Rozpoznał ją, mimo że miała osłoniętą głowę. Odczekawszy jakiś czas, wsunął się do komnaty Leptinesa.

— Jak się czujesz? — zapytał

— Lepiej — skłamał tamten.

— Cieszę się. Jesteś nam potrzebny.

Leptines wykrzywił twarz w szyderczym uśmiechu.

— Nawarcha bez floty? Nie sądzę, żebym się wam szczególnie przydał.

— Przestań się nad sobą użalać. To co się stało, jest wyłącznie twoją winą. Wykonywanie rozkazów brata może być nieprzyjemne, niejednokrotnie bywa jednak słuszne. Tak czy inaczej jeśli cię to ciekawi, twoja „Bubaris” nie ma prawie draśnięcia. Właśnie jest naprawiana w portowej stoczni.

— Ile okrętów nam zostało? — ożywił się Leptines.

— Około trzydziestu, w tym szesnaście penter łącznie z twoją.

— Jednym słowem nic.

— Niestety masz rację... Był tu dzisiaj chirurg?

— Tak i pomógł mi przez jakiś czas. Chyba mnie nienawidzi.

— To dobry medyk i być może zdoła cię postawić na nogi, żebyś mógł się znów wpakować w kłopoty.

— Nie mam ochoty do żartów.

— Ja też nie, ale nie wolno nam ulegać rozpaczcy. Ciągłe jeszcze możemy coś zdziałać. Nikomu nie udało się nigdy pokonać Syrakuz.

Wychodząc przystanął na progu, pragnął bowiem coś dodać, lecz zabrakło mu odwagi. Uzmysłował sobie, że to i tak nic nie da, rzeki więc tylko:

— Postaraj się być ostrożny, jeśli zdołasz. — I się oddalił.

Gdy nazajutrz o świcie pojawiła się flota Magona, całe miasto wyległo na mury, by popatrzeć. Była ogromna: setki żaglowców płynęło niemal jak na paradzie, wzbijając wiosłami pianę, z rozwiniętymi na wietrze żaglami, ze sztandarami łopoczącymi na rufach, pomiędzy okrętami zaś migały porozumiewawczo światła niczym jakaś tajemnicza mowa, która utrzymywała cały ten ogrom w idealnym porządku podobnym do żołnierskiego szyku. Oto największa flota świata urządziła pokaz własnej potęgi, aby wzbudzić strach wśród oblężonych, aby tchnąć w nich przekonanie, że wszelki opór jest zbędny.

Ominąwszy Ortygię, okręty skrzyły na wschód, kierując się wprost ku Wielkiemu Portowi.

Dionizjusz, Hipparinos i Jolaos odziani w zbroje stali na najwyższej wieży. Po chwili dołączył do nich Filistos.

— Zamierzają zarzucić kotwice między Plemmironem a Daskonem — stwierdził. — To oznacza, że wojska lądowe też rozbijają obóz w tej okolicy.

— Właśnie — przytaknął Dionizjusz z krzywym uśmiechem — w grobowcu wszystkich armii, które kiedykolwiek oblegały Syrakuzy.

— Nie łudziłbym się zbyt — ostrzegł Jolaos. — Mają nieograniczony dostęp do morza, mogą zaopatrywać wojska naziemne, kiedy tylko i jak tylko zechcą. Mają trzy razy więcej żołnierzy niż my i sto razy więcej okrętów.

— A my mamy mury — odparł Dionizjusz — które nigdy jeszcze nas nie zawiodły.

— To prawda — przyznał Jolaos — ale nie one są naszą najsilniejszą stroną, lecz Aretuza.

— Aretuza?

— Owszem — przytaknął. — A jak myślicie, dlaczego w rocznia kazała naszym przodkom zbudować miasto wokół tego źródła? Bo to właśnie jemu zawdzięczamy nasze zdrowie...

Rozmowę przerwało nadejście posłańca.

— Heghemon, wojska Himilkona okrążają Epipolai od północy i kierują się ku Anapos.

— A nie mówiłem? — zawołał Dionizjusz. — Zamierzają zająć tę samą pozycję co poprzednio.

— Powiedz mi jedno — wtrącił Filistos — dlaczego twoim zdaniem to zrobią? Bo są głupcami?

— Nie wydaje mi się. Himilko to chytry lis — odrzekł Dionizjusz. — Po prostu nie mają wyboru. W okolicy nie ma innej równiny mogącej pomieścić tylu ludzi. W rzeczywistości doskonale wiedzą, że już raz, piętnaście lat temu, dowódcy ateńscy przyglądali się zagładzie własnej armii. Moim zdaniem zamierzają zdobyć Syrakuzy w ciągu zimy. Oto dlaczego nie boją się rozbić obozu w tym przeklętym miejscu.

Nikt nie odpowiedział, nikomu bowiem nigdy nie przyszło do głowy, że oblężenie może trwać przez całą zimę mimo niesprzyjającej pogody.

— Jak się czuje Leptines? — zapytał Jolaos przysuwając się do Dionizjusza.

— Ciągle ma gorączkę; nie wiem, czy z tego wyjdzie... — odrzekł tamten, w jego głosie słychać było głęboki smutek.

— Mogę go zobaczyć?

— Oczywiście. Przyjaciele zawsze mogą go odwiedzać.

Jolaos skinął głową, po czym zszedł na dziedziniec i ruszył ku południowemu skrzydłu, gdzie przebywał Leptines. Odprawiwszy chirurga, osobiście zajął się chorym, któremu zaczęło się polepszać z każdym dniem, zrazu powoli, później zaś bardziej wyraźnie, aż gorączka zupełnie opadła.

— Jak to zrobiłeś? — zapytał po pewnym czasie Filistos.

— Nie mogę ci powiedzieć — odparł z uśmiechem Jolaos.

— Znasz się na medycynie, tej, która uzdrowiła Dionizjusza u źródła Anapos?

— Nie.

— W takim razie znasz się na medycynie pitagorejskiej. Pobierałeś nauki w Krotonie, prawda? Zawsze mnie ciekawiło, jakim cudem jeszcze sto lat temu atleci krotońscy wygrali całe igrzyska olimpijskie.

— I czym to wytłumaczyłeś?

— Że kryła się za tym jakaś tajemnica. Tajemnica niezrozumiałej medycyny, która potrafi leczyć ciało za pośrednictwem energii umysłu i sił natury.

Jolaos milczał.

— Tajemnica, o której myślałem, że przepadła, ale którą wyraźniej ktoś nadal zna.

— Być może. To zależy od nauczycieli i od szczęśliwego spotkania nauczyciela z uczniem. Tak czy inaczej z Leptinesem wcale nie poszło łatwo. Skłaniał się bardziej ku śmierci niż ku życiu.

— Też tak sędzę. Jaka twoim zdaniem była tego przyczyna?

— Nie warto się nad tym zastanawiać. Przegrał wielką bitwę, stracił w oczach całego wojska, a w szczególności swojego brata. Jego żołnierze pozbawieni dowódcy zostali rozbici w pył... Było wszakże coś jeszcze, co mi umykało... Coś jakby...

— Jakby miłość bez przyszłości? — odpowiedział Filistos. Jolaos spojrział nań zagadkowym wzrokiem i skinął potakująco głową.

— Tak... Być może coś w tym rodzaju... Niekiedy najsilniejsi i najodważniejsi mężczyźni mają duszę dziecka i wrażliwość, o jaką nikt by ich nie podejrzewał... Ale nie mów nic więcej, ani słowa, Filistosie. Ani jednego słowa. — Po czym odszedł.

Zamiary Himilkona okazały się dokładnie takie, jak przewidywał Dionizjusz.

Obywatele Syrakuz mogli się przyglądać z wysokości murów, jak wprowadza je w czyn. W pierwszej kolejności zajął znajdującą się poza obrębem miasta świątynię Demeter i Persefony — najbardziej czczonych bogiń na Sycylii, również przez rdzennych mieszkańców — i ograbił ją ze wszelkich ozdób oraz cennych przedmiotów. Zabrał nawet obydwu święte posągi wykonane ze złota i kości słoniowej, po czym podzielił je na części, aby łatwiej sprzedać. Było to świętokradztwo, które napełniło zgrozą naród mocą tradycji bardzo oddany obydwu bóstwom, a także samego Dionizjusza, który nigdy nie zapomniał swego spotkania w grocie Henny.

Następnie Himilko zabrał się do budowy fortecy na końcu przylądka Daskon, aby przejąć panowanie nad odcinkiem brzegu,

na który zaciągnął część okrętów, i zakotwiczył tam pozostałe zagłowce.

Tymczasem najemnicy iberyjscy i mauretańscy jęli burzyć wielkie grobowce wznoszące się wzdłuż drogi do Kamaryny, po czym z uzyskanych w ten sposób materiałów budowali fortyfikacje do obrony obozu w pobliżu Plemmirionu, południowego przylądka zatoki.

Próba zatarasowania również północnego portu spełzała na niczym, jako że katapulty umieszczone przez Dionizjusza na końcu pomostu uniemożliwiły wszelkim okrętom podплыnięcie bliżej niż na sto stóp pod groźbą zatopienia. W ten sposób Syrakuzanie zawsze mieli otwartą drogę na świat zewnętrzny.

Wielkie przygotowania nieprzyjaciela budziły w mieszkańcach Syrakuz głęboki lęk i poczucie bezsilności. Odnosili wrażenie, że każdy mijający dzień i każdy postęp w pracach przybliży ich do katastrofy.

Dionizjusz zdawał sobie sprawę, że musi coś zrobić, by pokonać tę zabójczą rezygnację, by dodać wszystkim otuchy i wzbudzić w nich szacunek do samych siebie. Wezwał więc Filistosa.

— Musisz wyjechać — oznajmił. — Musisz poprosić o pomoc Spartan, a także Korynt, naszą metropolię. Nie potrzebuję wiele, ale ludzie powinni wiedzieć, że nie jesteśmy sami, że nadal jestem w stanie uzyskać pomoc, przymierze, wsparcie. Kiedy Ateńczycy oblegali Syrakuzy, wystarczył mały oddział spartański, by przywrócić narodowi nadzieję i przekonanie, że zwycięstwo ciągle jest możliwe. Potrzebujemy okrętów. Te, co mamy, nie wystarczą do skutecznego działania. Wyruszysz jeszcze jutro. Leptines utoruje ci drogę i będzie cię eskortował z paroma penterami aż na pełne morze.

— Zrobię co w mojej mocy — przyrzekł Filistos, po czym zszedł do portu, aby uzgodnić wszystko z Leptinesem i wydać polecenia co do załadunku swoich rzeczy osobistych, wśród których zawsze znajdowała się dość okazała skrzynia zwojów.

Leptines zaprosił go do swej nawarszej kwatery w pobliżu doku.

— Dobrze wyglądasz — stwierdził Filistos.

— Ty także — odparł Leptines.

— Wiesz, że wyruszam do Grecji?

— Wiem. Raczył mnie o tym powiadomić.
— Nie powinieneś tak mówić. Dionizjusz cię kocha i darzy szacunkiem.

— Kiedy będziesz gotowy? — zmienił temat Leptines.

— Jutro w nocy.

— Doskonale. W ten sposób nas nie zobaczą...

Zdoławszy zmylić czujność Kartagińczyków dzięki sprytnym manewrom Leptinesa, Filistos dopłynął cały i zdrowy do Grecji, gdzie udał się najpierw do Sparty, następnie do Koryntu. Sparta przydzieliła mu jedynie dowódcę w postaci doradcy wojskowego. Korynt natomiast wysłał trzydzieści okrętów z piechotą i załogą na pokładzie, które dotarły do Syrakuz wraz z początkiem wiosny.

Leptines wyruszył im na spotkanie na pełne morze niewielką łodzią, po czym wprowadził je do portu nocą, kiedy księżyc był w nowiu. W doku zaś kazał postawić osłonięte i niewidoczne ani z morza, ani z miasta pomosty, aby ukryć małą koryncką flotę. Tylko w ten sposób bowiem mogli działać z zaskoczenia.

Zwołał pierwszą naradę dowódców w swojej admirałskiej kwaterze, pozdrowiwszy zaś spartańskiego oficera, przemówił:

— Dziś rano otrzymałem wiadomość, że jutro wieczorem przybędzie dziesięć kartagińskich trier z zapasami i złotem na opłacenie najemników. Zamierzam je przechwycić przy waszej pomocy.

Obecni spojrzeli po sobie pełni obaw. Zastanawiali się, czy to pomysł Leptinesa czy też stoi za tym Dionizjusz, nikt jednak nie ośmielił się o to zapytać. Wówczas spartański oficer o imieniu Euridemos rzekł:

— Moim zdaniem to świetna myśl, ale należy działać z ostrożnością.

— Istotnie — zgodził się Leptines. — Dlatego potrzeba mi przewodników i załóg zdolnych pływać nocą.

— Wszyscy nasi przewodnicy potrafią pływać nocą — zapewnili korynccy dowódcy. — Pływaliśmy nocą już wtedy, kiedy wy nie umieliście pływać w dzień.

Leptines powstrzymał się od ostrej repliki, ci z metropolii zawsze bowiem słynęli z bezczelności i nie należało dyskutować na temat ich wyższości, oznajmił więc tylko:

— Bardzo dobrze. Właśnie o to nam chodzi. Potrzebuję dwudziestu okrętów, dziesięciu waszych i dziesięciu naszych. Chcę, żeby ludzie chwycili za wiosła, a załogi czekały w gotowości, kiedy zabrzmi sygnał na drugą wartę. Cel misji zostanie ogłoszony przez dowódców na pełnym morzu. Ja wyznaczę kurs. Płyńcie za „Bubaris”.

Nazajutrz o północy okręty opuściły redę i wymknęły się bezszelestnie na pełne morze.

XXV

Leptines zrobił wszystko co możliwe, aby nocna wyprawa zakończyła się powodzeniem: kazał umieścić na morzu kilka łodzi, każda w odległości stadionu od następnej, z żeglarzami na pokładzie udającymi rybaków, którzy łowią przy świetle latarni. Kiedy tylko załoga najdalej wysuniętej łodzi dostrzegła sylwetki kartagińskich okrętów, dała znak syrakuzkańskiej flocie, która ustawiła się w wachlarz dziobem ku morzu i rufą do wiatru. Jeszcze jeden sygnał świetlny z admirałskiego okrętu, a natarcie się rozpocznie.

Kartagińczycy byli tak pewni, że mają przed sobą przyjacielskie jednostki przybyłe do portu z odsieczą, że kiedy zorientowali się, jak jest naprawdę, nie zdążyli już nic zrobić. Każda z trier została zaatakowana przez dwa żaglowce syrakuzkańskie, z których wyspały się setki napastników. Niejeden ze znajdujących się na pokładzie żołnierzy smacznie spał, gdy gardło przebiło mu ostrze wrogiego miecza.

Wojownicy, którzy usiłowali stawić opór, zginęli na miejscu, resztę po prostu rozbrojono, okręty odprowadzono na redę, niezwykle obfite łupy zaś wyładowano i umieszczono pod strażą.

Czekający na pomoście Dionizjusz osobiście wyszedł bratu na spotkanie, by go uściskać.

— Dobra robota, na Zeusa! Potrzebowaliśmy zwycięstwa, choćby i małego; jutro powitają cię jak bohatera!

— Małego? — oburzył się Leptines. — Zaczekaj tylko, a sam się przekonasz: nie jesteśmy nawet w połowie przedsięwzięcia.

— Co ty opowiadasz?

W tej samej chwili nadbiegł zdyszany Filistos, który nie zdążył się jeszcze pozbyć nocnych szat.

— Cn tu się dzieje? Mogliście mnie uprzedzić, że...
— Himilko oczekuje swoich okrętów dziś w nocy, tak? — rzeki Leptines.

— Rzeczywiście... — odparł Dionizjusz.

— No to je dostanie. — Nawarcha zwrócił się do otaczających go dowódców: — Niech każdy przywdzieje szaty jeńców i weźmie ich broń, wiosłarze przesiądą się na kartagińskie okręty i będą gotowi jak najprędzej podnieść kotwicę!

— Znakomite — stwierdził Filistos. — Absolutnie znakomite; plan godny wielkiego stratega.

— Idę z tobą — oświadczył Dionizjusz.

— Lepiej nie — sprzeciwił się Leptines. — Mimo wszystko to bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie. Wystarczy jeden z nas; lepiej żebyś został w mieście. Ty masz rodzinę, a ja nikogo. Jak dotąd dobrze nam szło, prawda? Pozwól, że ja się tym zajmę.

Dionizjusz spojrział mu w oczy.

— Byłbym cię zabił w Katanii...

— Wiem.

— I popełniłbym straszny błąd. Czasami się zastanawiam, który z nas jest naprawdę lepszy.

— Oczywiście, że ja — odrzekł Leptines. — Podaj mi hasło, łotrze!

— Rozsiekać w łajno cały świat! — roześmiał się Dionizjusz.

— Rozsiekać w łajno! — powtórzył Leptines i wskoczył na pokład jednego z kartagińskich okrętów.

Filistos wzruszył się widząc to szorstkie pożegnanie, wiedział bowiem, że pod pancierzem władzy, który twardniał z każdym dniem, w Dionizjuszu nadal drzemiały głębokie uczucia. Ciągle miał nadzieję, a właściwie się łudził, że w końcu człowiek weźmie w nim górę nad tyranem.

Opuściwszy Lakkios, okręty skrzyły w prawo, starając się w miarę możliwości krzyć się za Ortygią, aż znalazły się pod Plemmionem, po przeciwnej stronie Wielkiego Portu. Wówczas podążyły jeszcze bardziej na prawo, ku Daskonowi, gdzie lśniły światła kartagińskiej straży i można było dostrzec czuwające jednostki.

Żołnierze na posterunku oddali cześć sztandarom Tanit na mijających ich okrętach, po czym usłyszeli w zamian pozdrowienia

w ojczystej mowie. Jednego z kartagińskich dowódców przekona-
no bowiem, przystawiając mu miecz do pleców, aby uspokoił ich
brzmieniem własnego głosu. Teraz więc mała flota mogła się po-
ruszać swobodnie, toteż Leptines poprowadził ją na koniec redy,
gdzie kołysało się jakieś pięćdziesiąt okrętów wojennych.

Atak był równie szybki co gwałtowny: na początek staranowa-
no i zatopiono dziesięć stojących nieruchomo mniejszych łodzi,
resztę zaś podpalono zasypując je deszczem płonących strzał. Ko-
lejna fala płonących pocisków spadła na namioty i składy, podczas
gdy wokół rozbrzmiewały krzyki, przeciągły odgłos rogów zaś
wzywał nieustannie na trwogę.

Zapanował taki zgiełk, że Leptinesowi udało się przechwycić i
wyprowadzić z zatoki pół tuzina nieprzyjacielskich okrętów. O
świcie jego flota wkroczyła triumfalnie do portu Lakkios, po-
witana przez świętujące tłumy.

Leptines poczuł się jak nowo narodzony w objęciach gawiedzi
i swego brata Dionizjusza, po chwili wszakże podniósł wzrok ku
murom forticy i na przedpiersiu wieży ujrzał kruchą kobiecą po-
stać. Wydało mu się, że macha ręką na powitanie, w głębi serca
był więc przeświadczony, że to Arystomachia, taka maleńka z tej
odległości, taka daleka i nieosiągalna.

Rozzuchwalona zwycięstwem flota syrakuzkańska pod wodzą
Leptinesa dokonała szeregu wypadów, zatapiając wiele statków z
zapasami i niemało okrętów wojennych. Rozwścieczeni z powodu
poniesionych strat Kartagińczycy postanowili wykurzyć nie-
uchwytnego przeciwnika z Lakkios i zniszczyć jego bazy poprzez
zmasowany atak.

Tym razem Dionizjusz także wsiadł na pokład „Bubaris”, w
zacieklej bitwie zaś, jaka potem nastąpiła, widziano, jak obaj bra-
cia walczyli ramię w ramię z nieprawdopodobnym męstwem,
prowadząc wojska do abordażu jak wówczas, gdy mieli po dwa-
dzieścia lat.

Przy wsparciu katapult ustawionych na dwóch pomostach za-
mykających wejście do portu flota syrakuzkańska zyskała przewagę
na ograniczonej przestrzeni Lakkios i zadała nieprzyjacielowi
dotkliwe straty, zmuszając go w końcu do wycofania. Po prze-
chwyceniu około dziesięciu okrętów liczba jednostek bojowych
wzrosła do pięćdziesięciu.

Na łądzie konnica też nie zasypiała gruszek w popiele, dokonując ustawicznych wypadów, atakując kartagińskie patrole krążące po wsi w poszukiwaniu jada i paszy, gromiąc oddziały wojskowe, które wychodziły na zwiady, często też nawet zagrażając przedniej straży Himilkona na równinie Anapos.

Tak oto wśród ciągłych potyczek upłynęła wiosna i nastąpiło lato: gorące, wilgotne i parne. Wraz z latem zaś w kartagińskim obozie wybuchła zaraza. Umarłych wrzucano do bagna z kamieniem przywiązany do kostek, przez co choroba rozprzestrzeniała się jeszcze bardziej za pośrednictwem ukrytych żył wodnych.

Z powodu duszącego skwaru wyschło wiele studni, nawet tych wewnątrz murów, źródło Aretuzy nie przestawało wszakże płynąć, przejrzyste i czyste. Przypomniawszy sobie słowa Jolaosa, który przepowiedział, że właśnie w nim jest ratunek dla miasta, Filistos nakazał pić wodę wyłącznie ze świętego źródła, dopóki nie skończy się wojna i nie powrócą deszcze.

Podczas niekończących się dni przepętlonych ostrym oślepiającym słońcem Dionizjusz często łapał się na tym, że myśli o dzikiej dziewczynie mieszkającej w urwistej dolinie u źródeł Anapos, a także o tym, jak kochał się z nią na brzegu nagi i szczęśliwy. Zastanawiał się, czy jeszcze żyje i czy o nim pamięta.

Ani italska małżonka, zawsze skłonna do ustępstw, byleby coś osiągnąć, sprytnie rozporządzając własnymi wdziękami, ani syrakuzańska, często pogrążona w smutku i zamknięta w sobie, nigdy nie dały mu takiej rozkoszy. Nawet narodziny obu synków, Hipparinosa i Nizeosa, nie zdjęły z twarzy Arystomachii zasłony smutku, która często ją spowijała.

Już od dawna Dionizjusz unikał przypadkowych zbliżeń z obcymi kobietami z obawy, że zagroziłyby one jego nietykalności, i coraz rzadziej widywał się z tymi, którzy powinni być mu życzliwi. Wzmagał przez to własną samotność, wszystkie zaś jego myśli skupiały się na wojnie, na politycznym zamiarze utworzenia wielkiego państwa greckiego na Zachodzie, któremu poświęcał całą swą energię. Zadawał sobie pytanie, ilu ludzi w mieście go kocha, a ilu nienawidzi, ilu podziwia, a ilu się go boi.

Wśród takich myśli z każdym dniem rosła w nim podejrzliwość, a wraz z nią strach, że zginie w jakimś zamachu stanu,

w wyniku którego cały jego wysiłek i tak wiele istnień ludzkich pozbawionych życia okazały się daremne. Byłaby to przerażająca cena krwi za sen o wielkości, w który prawdopodobnie już tylko on jeden wierzył. Jakże często wspominał słowa swego przybranego ojca Helorisa: „Tyran oddaje władzę tylko wtedy, gdy wyniosą go nogami do przodu.” Związany zaś z tymi słowami obraz nie dawał mu spokoju, chociaż nie mógł się nikomu zwierzyć. Nie wolno mu było okazać słabości ani wrażliwości, nawet wobec ostatnich przyjaciół, jacy pozostali: Jolaosa, Filistosa czy samego Leptinesa.

Jedynie olbrzym Aksal, nieodłączny cień i strażnik, zapewniał mu poczucie spokoju, niczym zbroja, która zasłania pierś w bitwie. Istota potężna i ślepo mu oddana, gotowa na każde skinienie.

Pewnego dnia kiedy rozprawiał na temat planu natarcia z dowódcami na koszarowym korytarzu, Leptines zaś wziął od jednego z kampańskich najemników włócznię, aby narysować na piasku linię ataku, Dionizjusz przeszył dreszcz. Widząc gniew i przerażenie malujące się na jego twarzy Leptines nie mógł uwierzyć własnym oczom. Oddawszy włócznię strażnikowi, oddalił się w milczeniu. Dionizjusz dogonił go i zatrzymał.

— Dokąd idziesz?

— I ty mnie o to pytasz?

— Źle zrozumiałeś. Żołnierze mają rozkaz, by nikomu nie pozwalali się rozbroić, nie mogą więc dopuścić, żeby...

— Jesteś jeszcze zdolny, żeby szczerze odpowiedzieć? — zapytał Leptines patrząc mu prosto w oczy.

— Co masz na myśli?

— Jesteś jeszcze do tego zdolny? — wrzasnął.

— Tak.

— W takim razie odpowiedz: myślałeś, że chcę cię zabić?

Dionizjusz stał w milczeniu ze spuszczoną głową przez kilka niekończących się chwil, aż wreszcie rzekł:

— Myślałem.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Więc ja ci powiem dlaczego: bo na moim miejscu byś to zrobił.

— Nie — zaprzeczył — co to, to nie. Powód jest taki, że być może nienawidzę samego siebie bardziej, niż mógłby ktokolwiek inny.

Wówczas między braćmi zapadło milczenie. Spoglądali na siebie niezdolni wykrztusić słowa.

— Co mam zrobić? — przemówił wreszcie Dionizjusz.

— Rusz do ataku. Poprowadź swoich żołnierzy w pierwszym szeregu. Ale Syrakuzan, a nie najemników. Tamtych wyślij samych. Pokaż, żeś jest jednym z nich, żeś gotów umrzeć za to, w co wierzysz.

Nie dodawszy nic więcej, odszedł korytarzem. Dionizjusz stał wsłuchując się w odgłosy jego kroków, które cichły w oddali.

Decyzja o natarciu zapadła dopiero wówczas, gdy wojska Himilkona wydawały się u kresu sił i gdy smród nieopogrzebanych trupów stał się nie do zniesienia. Wtedy Dionizjusz postanowił przeprowadzić swój stary zamiar, który skończył się niepowodzeniem w Geli.

— Zaatakujemy trzema armiami — oświadczył na naradzie dowódców. — Ja stanę na czele środkowych oddziałów, które uderzą wprost na fort Daskon. Euridemos poprowadzi drugie skrzydło wraz z najemnikami od zachodu. Ty zaś, Leptinesie, będziesz nacierał od morza wraz z trzecią armią. Decyzja o tym, kiedy przeprowadzić decydujące natarcie, zostanie podjęta na miejscu, kiedy los bitwy będzie przesądzony i wszystkie trzy armie zajmą pozycje na fortyfikacjach. Hasło brzmi: „Apollo Archiegetes”!

Kiedy Leptines opuścił port wraz z flotą, oba wojska lądowe wyruszyły pod osłoną ciemności, Dionizjusz natarł bezpośrednio na fort Daskon, biorąc go z zaskoczenia. Zająwszy pozycję, urządził tam kwaterę główną, po czym dał znak Euridemosowi, aby wysłał najemników dokładnie wtedy, gdy Leptines opływał południowy cypel Ortygii. Spartanin rozkazał atakować.

Iberowie i Kampanowie Himilkona, wprawdzie zdziesiątkowani przez zarazę, wykazali się wszakże ogromnym męstwem, odpierając najemników pod wodzą Euridemososa i zadając im dotkliwe straty. Tymczasem jednak Leptines zdążył wysadzić na brzeg swój oddział uderzeniowy, Dionizjusz zaś nadszedł z trzonem armii,

pozostawiwszy jedynie posterunek straży na równinie przed fortem Daskon.

Ponieważ prędko okazało się, że fortyfikacje Himilkona są zbyt potężne jak na atak frontalny, Dionizjusz postanowił nie igrać z ogniem. Pehnął natomiast wojska na drogę do obozu morskiego. Maurowie i Libijczycy, których zadaniem było strzec okrętów, znalazłszy się w kleszczach między żołnierzami Leptinesa a oboma armiami naziemnymi, zostali pokonani i rozdarci na strzępy. Wiele lżejszych okrętów kartagińskich utknęło na mieliźnie, toteż Dionizjusz rozkazał je podpalić, zamieniając obóz wroga w jeden wielki stos. Ponadto za sprawą gwałtownego wiatru od lądu ogień rozprzestrzenił się na morze i strawił niemało statków transportowych. Pozbawione załóg triery zakotwiczone w trzecim rzędzie częściowo zostały zniszczone, częściowo zaś odciągnięte do portu w Lakkios. Mniej niż jednej trzeciej z nich udało się wypłynąć na pełne morze z potrzebną załogą na pokładzie.

Tymczasem na murach miasta zgromadził się nieprzebrany tłum zaciekawiony widokiem olbrzymiego stosu. Nie posiadając się z radości, że nieprzyjacielska flota została rozbita w pył, ludzie wznosili głośnie okrzyki, które zagrzewały do boju żołnierzy wyraźnie widocznych na położonej poniżej równinie. Wielu z nich, głównie starcy i mali chłopcy, spoglądając na dryfujące po redzie żaglowce kartagińskie, wypłynęło na czym kto mógł, a co zdołało się utrzymać na wodzie, aby je przechwycić i odprowadzić do portu. Zdobyto tak wiele statków, że w końcu zabrakło miejsca w doku i trzeba je było kotwiczyć pośrodku zatoki albo wzdłuż północnego wybrzeża.

Wieczorem Dionizjusz wkroczył do miasta na czele swej zwycięskiej armii witany okrzykami rozszalałego tłumu, po czym złożył w świątyni Ateny na akropolu uroczystą ofiarę dziękczynną, w której uczestniczyły również jego obydwie żony, Doris i Arystomachia, odziane w najpiękniejsze szaty — jedna trzymając za rączkę małego Dionizjusza, druga z Hipparinosem i niemowlęciem Nizeosem, jeszcze w powijakach.

Fortyfikacje Himilkona podobnie jak jego wojsko nie poniosły uszczerbku, za to niemal cała flota uległa zniszczeniu. Ocalało zaledwie jakieś czterdzieści okrętów z ponad pięciuset jednostek

bojowych i transportowych, z których składała się olbrzymia armada.

Los wojny całkowicie się odwrócił.

Dwa dni później po zmroku do zamku na Ortygii od strony otwartego morza podpłynęła łódka, przewodnik zaś zawołał na strażę.

— Wiadomość dla waszego dowódcy!

Jolaos, któremu natychmiast dano znać, przyszedł rozmówić się osobiście z mężczyzną w łódce. Następnie zaprowadził go do Dionizjusza, który właśnie jadł wieczerzę w towarzystwie Leptinesa i Filistosa. Nocny gość okazał się wysłannikiem Himilkona.

— Mów — polecił Dionizjusz. — To mój brat, a tamci dwaj też są jak bracia.

Kiedy mężczyzna zdjął kaptur zasłaniający mu twarz, wyszło na jaw, że to ten sam poseł, który przybył tu podczas poprzedniej wojny, aby pertraktować w sprawie pokoju.

— Od naszego ostatniego spotkania wiele się zmieniło — oświadczył Dionizjusz mimo wszystko jednak ugodowym tonem. — Cóż mogę zrobić dla czcigodnego Himilkona?

— Mój pan składa ci nader rozsądną propozycję i mam nadzieję, że zechcesz ją przyjąć.

— To zależy, jak bardzo jest rozsądna.

— Na początek ofiarowuję ci trzysta talentów w srebrze, z czego cztery piąte w monetach, a resztę w sztabkach.

— Początek jest obiecujący — roześmiał się szydyczko Leptines.

— W zamian za to czcigodny Himilko żąda, żebyś pozwolił mu odejść wraz z kartagińską armią. Wszystkiego dziesięć tysięcy żołnierzy.

— A co z najemnikami? Co z tubylczymi oddziałami? — zapytał Jolaos.

— Mamy za mało okrętów, żeby ich zabrać. Zrobicie z nimi, co zechcecie. Jeśli się zgodzicie, srebro zostanie wam przekazane jeszcze jutro w miejscu, które wskażę, niedaleko Plemmirionu. Co wy na to?

— Zostaw nas samych — odrzekł Dionizjusz. — Musimy się zastanowić. Dam ci znać później.

Kiedy Aksal wyprowadził go z komnaty, cała czwórka przystąpiła do narady.

— Chyba nie zamierzasz się zgodzić — zastrzegł czym prędzej Leptines. — Musi się poddać bez żadnych warunków. W ostateczności możesz mu pozwolić wynieść się cichaczem i ocalić własną skórę. I tak wpadnie nam w ręce spory łup, kiedy całkiem zgniją w tym bagnie. Nie mają dokąd uciec. Zamkniemy ich od lądu za pomocą konnicy, a od morza za pomocą floty. Teraz jesteśmy kwita. Lepiej: my mamy pentery.

Dionizjusz podniósł dłoń, by powstrzymać ów potok słów.

— Rozpacz potrafi zdziałać cuda. Ten, kto nie ma już nic do stracenia, może znaleźć w sobie siły, o jakich nawet się nie śniło.

— To prawda — zgodził się z nim Jolaos. — W każdej istocie ludzkiej kryją się pokłady energii, coś w rodzaju zakopanego skarbu, który otwiera się w obliczu zagrożenia. To ostatnie źródło podarowane jej przez naturę, aby mogła przeżyć.

— Jedno jest pewne — powiedział Filistos. — Tych trzysta talentów nam się przyda, ponieśliśmy bowiem olbrzymie wydatki na wojnę, jesteśmy winni żołąd najemnikom, poza tym trzeba odbudować flotę, wypłacić zapomogi rodzinom obywateli poległych w bitwie i odszkodowanie dla oddziałów wystanych przez metropolię.

— Nie tylko — wtrącił Jolaos. — Im bliżej nas pozostają ci ludzie, tym większe jest prawdopodobieństwo, że zaraza rozprzestrzeni się także u nas. Jeśli z kolei pozwolimy im wrócić, rozsieją ją w ojczyźnie. Już się tak zdarzyło poprzednim razem. Wiem, jak się roznoszą takie choroby.

— Też tak uważam — przytaknął Filistos. — Więc co robimy?

Leptines już nie mógł wytrzymać ze złości.

— Postradaliście zmysły. Wreszcie możemy ich wybić do ostatniego, a wy ich chcecie puścić za trzysta talentów?

— To spora suma — zauważył Filistos.

— Posłuchajcie, jeśli zamierzacie im pozwolić odejść z powodu pieniędzy, przysięgam, że zdobędę je i wam przyniosę. Otoczę obóz tak szczelnie, że nawet mysz się nie prześlizgnie.

— Wysłuchałem tego, co macie do powiedzenia — oświadczył zniechęcony Dionizjusz. — Zawołajcie posła.

Aksal wprowadził do komnaty wysłannika Himilkona.

— Przemysleliśmy twoje propozycje, teraz zaś ja chciałbym złożyć moją... — rzekł Dionizjusz.

— Wybacz mi, najwyższy wodzu — przerwał mu grzecznie poseł — ale przed chwilą, kiedy czekałem w korytarzu, usłyszałem niechęć jednego z was obdarzonego dość mocnym głosem...

Dionizjusz spojrział rozsierdzony na brata, który był ciągle purpurowy ze złości.

— O ile dobrze zrozumiałem — podjął przybysz — macie zamiar otoczyć obóz, aby nie wydostał się z niego skarb. Rzecz w tym, przyjaciele, że srebra... nie ma w obozie, gdyby zaś pertraktacje się nie powiodły, natychmiast zostanie ono wrzucone do morza, i to tak głęboko, że nikt go nigdy nie znajdzie. Prawdziwe marnotrawstwo, nie sądzicie? Tymczasem jakieś rozsądne postanowienie mogłoby zadowolić i nas, i was.

Dionizjusz westchnął, poseł zaś zapytał:

— Mogę więc się dowiedzieć, co postanowiłeś?

— Przekaż swojemu panu, że się zgadzam. Wymiana będzie miała miejsce na morzu w połowie drogi między waszym obozem na Anapos a południowym cyplem Ortygii. Kiedy tylko zobacze srebro, pierwsze okręty będą mogły podnieść kotwicę. Wszystko odbędzie się w nocy, w najgłębszej tajemnicy.

— Odpowiada nam to — oznajmił poseł. — Kiedy ma się rozpocząć wymiana?

— Jutro księżyc będzie w nowiu — odparł Dionizjusz. — Przyniesiecie srebro po pierwszej zmianie warty. Każda ze stron puści trzy znaki świetlne.

— Bardzo dobrze, heghemon. A teraz jeśli pozwolisz, wrócę do mego pana, aby powiadomić go o powodzeniu mojej misji i uspokoić co do twoich zamiarów.

— Widziałeś? — zapytał Dionizjusz, ledwie poseł wyszedł. — Myślisz, że możesz Kartagińczyka wystrychnąć na dudka? Na dodatek w kwestii pieniędzy? Podjąłem słuszną decyzję. A teraz idźmy spać; jutro czeka nas długi i raczej ciężki dzień.

Kiedy goście się pożegnali, Dionizjusz skinął na Leptinesa.

— Czego chcesz?

— Przemyslałem twoje słowa; nie są pozbawione zalet.

Leptines popatrzył na niego zdumiony.

— Żartujesz sobie ze mnie?

— Wcale nie. Posłuchaj mnie uważnie: wyobraź sobie, że tuż po przekazaniu srebra ktoś na Ortygii zauważył jakieś dziwne poruszenie u wejścia do Wielkiego Portu...

— Możliwe — zgodził się Leptines — ale to oznacza, że w przyszłości nie będą więcej możliwe żadne układy między nami a nimi.

— Nieprawda, jeśli na przykład atak nastąpi ze strony Kartagińczyków. Przecież my nie mamy takiej władzy, żeby wydawać rozkazy flocie z metropolii. O tym wiedzą nawet Kartagińczycy.

— Wolałbym, żebyś mi nic nie mówił. Nie podoba mi się pomysł oszustwa nawet w stosunku do najgorszego wroga. Jeśli jestem ci potrzebny do jakichkolwiek innych celów, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Życzę ci dobrej nocy — uciał Leptines, po czym się oddalił.

Następnej nocy o ustalonej porze Dionizjusz dopłynął łódką do triery, która czekała nań na pełnym morzu w odległości stadionu. Następnie okręt wojenny ruszył powoli w kierunku portu. Nieco dalej po bokach dwie małe jednostki rozpoznawcze strzegły, by nie było żadnych niespodzianek ani pułapek.

Wszystko poszło gładko. Kiedy tylko okręt dotarł na umówione miejsce, po wymianie znaków świetlnych zjawiała się koło niego łódź kartagińska i rozpoczęło się przekazywanie srebra.

Na pokładzie znajdował się poseł, który prowadził pertraktacje.

— Proszę cię, heghemon — powiedział natychmiast — postaraj się, żeby liczenie trwało jak najkrócej. Nasza flota jest już blisko Plemmirionu, gotowa wypłynąć na pełne morze.

Gdy Dionizjusz się zgodził, jego urzędnicy czekający w pogotowiu prędko zważyli srebro i dali znak, że droga jest wolna.

— Przekaż twojemu panu, że może ruszać — powiedział do posła — i nigdy więcej nie wracać. Widzisz, Sycylia jest jak smakowity owoc, w środku jednak ma bardzo twardą pestkę, na której każdy może sobie połamać zęby. Syrakuzy właśnie są ową pestką. Żegnaj.

Łódka oddaliła się, Dionizjusz zaś widział, jak wysyła sygnały świetlne prawdopodobnie w kierunku Plemmirionu, gdzie czekał wraz z flotą Himilko.

— Jak zdoła oszukać najemników? — zapytał Jolaos.

— To nie będzie trudne. Powie, że właśnie przygotował nocny wypad. Kartagińczycy potrafią jako jedyni pływać nocą, więc nikt nie będzie się dziwił, że zabrał na pokład tylko ich. A teraz wracajmy, bo niedługo zrobi się tutaj gorąco.

Jolaos skinął głową i dał znak sternikowi, żeby skręcił w kierunku Ortygii.

Skarb wylądowano na skałach pod zamkiem, gdzie otwierało się tajemne przejście prowadzące do podziemi fortecy. Dionizjusz i Jolaos przedostali się tym samym otworem i po chwili dotarli do swych kwater. Po jakimś czasie usłyszeli trąby grające larum. Do drzwi Dionizjusza zapukały straże.

— Heghemon, heghemon, Kartagińczycy dają drapaka! A Koryntczycy, którzy to zauważyli, właśnie wyprowadzają okręty. Co mamy robić?

— Jak to: co macie robić? — wrzasnął. — Graj larum, na Zeusa! Zawołaj mojego brata, wszystkie załogi na pokład, ruszać!

Potem nastąpiło potworne zamieszanie, w morze wyszli wszakże w porę jedynie Koryntczycy, którym udało się przechwycić ogon kartagińskiej floty i zatopić jakieś dziesięć okrętów.

Himilko zdołał uciec. Dotarłszy do ojczyzny, zgodnie z semickim obyczajem przyznał się głośno do własnych błędów przed narodem i przed Radą, po czym targnął się na życie.

XXVI

Śmierć Himilkona i rozprzestrzenianie się zarazy w Afryce wywołały bunt narodów podległych Kartaginie, Libijczyków i Maurów z głębi lądu, miasto zaś musiało wykorzystać całe zasoby energii, by zapewnić sobie przetrwanie.

Dzięki temu Dionizjusz miał wolną rękę na Sycylii. Zajął północne wybrzeże wyspy aż do Soluntu, starej osady kartagińskiej niedaleko Panormos, i umocnił władzę nad Sykulami. Uzmysłował sobie jednak, że aby spełnić swe marzenie o całkowicie greckiej Sycylii położonej pośrodku morza i lądów, brakuje mu odpowiednich sił. Najpierw musiał rozszerzyć swoje panowanie, utworzyć wielkie państwo greckie na Zachodzie, o jakim śnił od dawna: osobiste królestwo ze stolicą w Syrakuzach, rozciągające się aż do Cieśniny Mesyńskiej, czyli odcinka, gdzie półwysep położony naprzeciwko Sycylii jest najwęższy, między Morzami Jońskim i Tyrreńskim. W ten sposób przejąłby kontrolę nad cieśniną, którą to drogą nadchodziły często najgorsze niebezpieczeństwa.

Największe kłopoty sprawiał Region leżący tak blisko, że z Mesyny można było dojrzeć jego świątynie, nocą zaś światła. Miasto to zawsze było doń wrogo nastawione. Przyjęło w swe progi Helorisa, przybranego ojca, który go odrzucił i od wielu lat był jego najżagorzalszym przeciwnikiem, a także wszystkich wygnanych konnych. Starzy arystokraci zdążyli w tym czasie wychować synów w najgłębszej nienawiści do tyrana, który odebrał Syrakuzom wolność, im zaś ojczyznę. Nie tracili też żadnej sposobności, by rozpuszczać o nim jak najgorsze pogłoski i rzucać nań najohydniejsze kalumnie okraszone ośmieszającymi go opowieściami.

Dionizjusz zaś wcale się tym nie przejmował, spokojnie prowadząc przygotowania do wojny w porozumieniu ze swymi italskimi sprzymierzeńcami z Lokri, z którymi łączyły go więzy krwi.

Przed wymarszem na Region należało doprowadzić do końca ostatnie przedsięwzięcie: podbój Tauromenionu, wspaniałej „Byczej Twierdzy” będącej w posiadaniu Sykulów, sojuszników Kartaginy. Traktowali ją oni jako coś w rodzaju narodowego sanktuarium, do którego niemal nie sposób było się dostać, gdyż leżała na szczycie występu skalnego. Górowało nad biegnącą wzdłuż wybrzeża drogą łączącą Syrakuzy z Mesyną i z cieśniną, można też było stamtąd zobaczyć przerażające wstrząsy Etny podczas wybuchów, a w czasie spokojnych zimowych zachodów słońca — nieskalany wierzchołek wulkanu barwiący się na czerwono przed zapadnięciem nocy.

Dionizjusz zaatakował nocą w środku zimy, podczas szalejącej zamieci śnieżnej. Wdrapał się wraz ze swymi żołnierzami na urwisko po jego bardziej stromej, a zarazem mniej strzeżonej ścianie, osobiście prowadząc oddziały. Z początku im się udało, kiedy jednak Sykulowie zdali sobie sprawę z natarcia, nadbiegli tłumnie i starli się z napastnikami w walce, rychło uzyskując nad nimi miazdzącą przewagę.

Dionizjusz, który bił się na czele swoich wojowników, został ranny i jedynie siła Aksala ocaliła go od śmierci. Ściąwszy bowiem przeciwnikowi głowę jednym ciosem topora, olbrzymi Celt cisnął ją w oniemiałych nieprzyjaciół, po czym natychmiast naparł na nich z zacieklą furią, rycząc niczym dzika bestia i wielu zabijając. Dzięki temu Dionizjusza dało się dźwignąć i zanieść pod mury. Całym przedsięwzięciem pokierował Jolaos, szczerlnie zastawiając miejsce, przez które się przedarli, żołnierzami.

Aksal spuścił rannego na linie, gdy tymczasem reszta wojowników zeszała na pierwszy występ skalny, by go odebrać. Zdołali go wprawdzie uratować, stracili wszakże na stromej ścianie wielu kompanów, którzy zginęli pod gradem kamieni i wszelkiego rodzaju pocisków wystrzeliwanych z murów przez Sykulów.

Ledwie Kartagina, która nie zapomniała o haniebnej klęsce, podźwignęła się po zarazie, zaciągnęła w swe szeregi iberyjskich, balearskich, sardyjskich i sykańskich najemników, po czym w ciągu kilku miesięcy zdławiła opór Libijczyków, zmuszając ich na

nowo do posłuszeństwa. Następnie swemu nawarsze Magonowi powierzyła zadanie odpowiedzenia na arogancję Syrakuzan.

Mimo że Mago miał skromne środki i niewielką flotę, udało mu się dotrzeć bez przeszkód do Cephaloedionu. Stamtąd zaś ruszył w głąb wyspy w kierunku Agiry, którą rządził miejscowy tyran, przyjaciel Syrakuz. Z kolei Dionizjusz, który wyszedł mu naprzeciw na czele armii, dwukrotnie stawiał mu opór w nierównej walce. Kiedy jednak dowódcy i sprzymierzeńcy nakłaniali go do zadania ostatecznego ciosu, odmówił twierdząc, że skoro i tak zwyciężył, nie warto narażać ludzi we frontalnym ataku. Planując już wyprawę na Region, nie chciał stracić choćby jednego żołnierza w starciu, które uważał za niepotrzebne, za jedną z tysięcy drobnych potyczek z Kartagińczykami, wiedział bowiem, że to i tak niczego nie rozwiąże.

Jego wojownicy oburzyli się na ową zachowawczą postawę, nie mogąc znieść myśli, że barbarzyńcy uznają ich za tchórzy, a ponieważ w większości wywodzili się z obywateli miasta, po stanowili wrócić do domu i zostawić go na pastwę losu.

Jolaos podążył za nimi, aby nie stracić panowania nad sytuacją, która mogła się zmienić w każdej chwili zważywszy na nieobecność naczelnego wodza, podczas gdy Filistos i Leptines zostali z Dionizjuszem na czele jego osobistej gwardii i oddziału peloponezyjskich najemników.

Zdołali wrócić bez trudności, Dionizjusz niepokoił się wszakże aż do ostatniej chwili, przerażała go bowiem myśl, że kiedy go nie ma, miasto podniesie głowę, oddziały obywatelskie zaś zajmą Ortygię. Nic się nie stało i był to niemal cud.

Mago również powstrzymywał się od działania zadowolony, że zmusił go do odwrotu, po czym wycofał się wraz z wojskiem poza granice kartagińskiej prowincji. Stamtąd zaś pchnął poselstwo z propozycją rozejmu.

Dionizjusz miałby oddać Solunt i inne świeżo zdobyte miasta na północy, w zamian za co Mago uznałby jego władzę nad Syklami, również nad tymi z Tauromenionu. Jako że warunki odpowiadały obu stronom, pokój został zawarty.

Wraz z pokojem rozkwitł handel, wzmógł się ruch i przepływ towarów z Pontus Euxinus do Zatoki Adriatyku, z Hiszpanii do Afryki, z Grecji do Galii, Azji i Egiptu. W obu syrakuzzańskich

portach roilo się od żaglowców przybyłych ze wszystkich stron świata, od rzemieślników i kupców, od robotników i tragarzy wyładowujących drewno z Italii, żelazo z Etrurii, miedź z Cypru, papirus z Egiptu, zylfion z Cyreny, a następnie załadowujących pszenicę, oliwę, wszelkiego rodzaju wyroby ręczne, konie i broń.

Kiedy rana się zagoiła, Dionizjusz przypomniał sobie o sile i męstwie Aksala.

— Gdybyśmy mieli kilka tysięcy najemników takich jak on — powiedział pewnego razu do Filistosa — nikt nie zdołałby nas powstrzymać. To muszą być niepokonani wojownicy.

— Ostrożnie — ostrzegł Filistos — bo mogliby stanowić zagrożenie. Właśnie trwa inwazja na północ. Dowiedziałem się tego od naszych weneckich szpiegów przybyłych z Adrii z ładunkiem jantaru. Mnóstwo plemion nadciąga zza Alp prowadząc za sobą rodziny. Prawdziwa wędrówka ludów. Między Apeninami a Padem stoczyli krwawą bitwę z Etruskami, którzy poprosili o pomoc naszych braci mieszkających w ich pierwotnej ojczyźnie między Arno a Tybrem.

— Jeśli wszyscy są tacy jak Aksal — zauważył Dionizjusz — Etruskowie na pewno im nie dadzą rady.

Sposobność ataku na Region przyniosła potyczka na granicy miasta w cieśninie i Lokri, która wkrótce przerodziła się w prawdziwą wojnę. Doris, lokryjska małżonka, zaczęła się lękać o los bliskich, których zostawiła w ojczyźnie.

— Twoje miasto nie ma się czego obawiać — uspokoił ją Dionizjusz. — Co więcej, po zakończeniu wojny stanie się jeszcze większe i bogatsze. Ten, kto jest mi przyjacielem, wie, że ode mnie może się spodziewać samych korzyści.

— W takim razie pamiętaj, żeby złożyć ofiarę naszemu bohaterowi narodowemu, Ajaksowi, synowi Ojleusa, kiedy tylko znajdziesz się w moim mieście.

— Uczynię to, chociaż nie wierzę, żeby ten wasz Ajaks wyciągnął mnie z kłopotów, jeśli w nie wpadnę.

— To nieprawda. Wiesz, że Lokryjczycy zawsze pozostawiają puste miejsce w pierwszym rzędzie, żeby on je zajął w bitwie?

Dionizjusz uśmiechnął się i przez chwilę zdawał się przyglądać z ciekawością ruchom synka zajętego zabawą drewnianym koniem.

— Naprawdę? — zapytał po chwili z roztargnieniem. — Nie wiedziałem.

— Pewnie — przytaknęła Doris. — Ponad półtora wieku temu nasi prowadzili straszliwą bitwę z tymi z Krotonu nad rzeką Sagra. Krotoński wódz na widok szczeliny w naszym pierwszym szeregu rzucił się na nią, aby przełamać szyk, ale zraniła go jakaś niewidzialna broń i natychmiast przeniesiono go na tyły. Rana mimo wysiłków medyków, którzy przypalali ją wielokrotnie, nie zrosła się, co gorsza wydzielala nieznosny smród, powodując rozdzierający ból. W końcu wódz postanowił zapytać wyrocznię delficką, która odpowiedziała:

Włócznia bohatera zadała ranę,
Włócznia bohatera ją uleczy.

Odczytując przepowiednię kapłani orzekli, że musi się udać nad Jezioro Meockie leżące nad północnym brzegiem Pontus Euxinus, gdzie na pewnej wyspie przechowywana jest włócznia Achillesa. Krotoński wódz wyruszył więc w długą podróż, dotarłszy zaś do owej położonej na końcu świata świątyni, przyłożył do rany rdzę z włóczni bohatera, a wtedy czar został zdjęty-

— To przepiękna historia — stwierdził Dionizjusz. — Powinnaś ją opowiedzieć naszemu synowi.

— Weźmiesz mnie ze sobą?

— Ani myślę. Dziecko jest małe i cię potrzebuje, a wojna to wojna. Może pewnego dnia, kiedy wszystko się skończy, kiedy nastanie długi okres pokoju i dobrobytu, zabiorę cię do Lokri. Zbudujemy przepiękny dom i będziemy tam mieszkać od czasu do czasu.

— Mówisz poważnie? — upewniła się Doris. — I pojedziemy tam sami?

— Przecież wiesz, że nie powinnaś tak mówić — nachmurzył się Dionizjusz. — Musisz traktować Arystomachię jak siostrę. Sama powinnaś poprosić, żebyśmy ją ze sobą wzięli.

— Próbowałam się z nią zaprzyjaźnić Pierwszej nocy dzieliłam nawet z wami łożę, pamiętasz? I nadal bym to robiła, ale ona jest zazdrosna, wiecznie smutna... Nawet teraz kiedy ma dzieci. Nie rozumiem, jak możesz ją znosić...

— Dość tego! — przerwał jej gwałtownie Dionizjusz. — Wiem, do czego prowadzi takie gadanie. Ciesz się z tego, co masz; każda kobieta na świecie mogłaby ci pozazdrościć i nie żądać więcej.

— Późno już — Doris zwróciła się do niewolnicy — połóż chłopca spać. A ty, mały, daj buzi ojcu...

Chłopczyk pocałował nieśmiało rodziciela nie wypuszczając dłoni piastunki, która wyprowadziła go z komnaty.

— Przyjdiesz do mnie dziś w nocy? — zapytała Doris, kiedy tylko drzwi się za nimi zamknęły.

— Dobrze wiesz, że dzisiaj jest kolej Arystomachii.

— Ale Arystomachia teraz miesiączkuje, a ja nie.

— Nic się przed tobą nie ukryje.

— Niewiele trzeba, żeby wiedzieć. Wystarczy usłyszeć raz, a potem liczyć dni. — Mówiąc to rozpięta sobie zapinki u peplosu i po chwili stała przed nim naga. Ciało Doris tryskało harmonią kształtów, które w pełni potwierdzały jej kobiecość.

— Jesteś niesamowita... — wymruczał Dionizjusz przebiegając wzrokiem po zmysłowym ciele żony i po alabastrowobiałej skórze, która lśniła złotawym blaskiem w świetle lampek oliwnych.

Ona zaś podeszła bliżej i objęła go mocno, przysuwając piersi do jego twarzy. Dionizjusz złożył na jej ustach gorący pocałunek i pociągnął ją na łożę.

— Ale potem — oświadczył z szyderczym uśmiechem — pójdę spać do Arystomachii.

— Celtowie zdobyli Rzym! — zawołał Filistos wpadając niemal biegiem do komnaty Dionizjusza.

— Co takiego?

— To prawda; Rzymianie usiłovali stawić im czoło, ale na widok Celtów ogarnął ich taki strach, że wzięli nogi za pas. Wielu z nich rzuciło się do rzeki, inni uciekli do sąsiedniego miasta, które jest ich sprzymierzeńcem.

— Skąd to wiesz?

— Od etruskich kupców z Kyme, którzy z kolei usłyszeli o tym od swoich rodaków z Tarkwini. To była prawdziwa rzeź. Miasto splądrowano, senatorów zaś, którzy zdecydowali się pozostać, wyróżniono. Akropol utrzymał się przez jakiś czas, ale potem musieli się poddać i zapłacić olbrzymi okup, żeby zachować wolność.

— Słyszałeś, co zrobili twoi bracia? — zapytał Dionizjusz zwracając się do Aksala. — Spalili jedno z najpotężniejszych miast etruskich nad Morzem Tyrreńskim.

— Nikt nie potrafi się nam oprzeć — stwierdził lakonicznie Celt.

— Też zaczynam w to wierzyć. Co więcej, chciałbym wysłać cię do nich pewnego dnia wraz z Filistosem, żebyś zaproponował im walkę pod moim dowództwem.

— Jak ty rozkazać, Aksal idzie.

— Doskonale. Ale na Zeusa, przecież od lat proszę, żeby ktoś nauczył to stworzenie trochę greki!

— Sęk w tym — odrzekł Filistos — że żaden nauczyciel nie wytrzymał dłużej niż parę chwil. Obawiam się, że musisz zadowolili się tym, co masz. W gruncie rzeczy nie potrzebujesz utalentowanego pisarza, tylko furiata, który utoruje ci drogę. On zaś doskonale się do tego nadaje, jak miemam.

— Co właściwie wiadomo na temat tych całych Celtów? — zapytał Dionizjusz. — Już kiedyś o nich wspominałeś, ale przypuszczam, że teraz masz o nich większą wiedzę.

— Niewiele: żyją na Północy podzieleni na plemiona podległe wodzom i zdaniem jednych to Hiperborejczycy, o których opowiadają mity. Według innych z kolei to podobno potomkowie Galateisa, którego spłodził Herakles w drodze powrotnej z Hiszpanii, po uprowadzeniu byków Geriona...

— Bajki — skwitował Dionizjusz.

— Mieszkają w ufortyfikowanych miastach, czczą Apollina, Aresa i Hefajstosa i tak jak my składają ofiary z ludzi, dotrzymują słowa, zawsze mówią prawdę...

— Jednym słowem to barbarzyńcy — dokończył Dionizjusz.

— A czego się spodziewałeś? Od lat oglądasz jednego z nich.

— Ze względu na to co mi chodzi po głowie, im bardziej są barbarzyńscy, tym lepiej. Ale chciałbym, żebyś zaczął się zastanawiać nad pewną rzeczą... Jeśli kiedykolwiek uda mi się skaptować odpowiednią ich liczbę, będziesz musiał sprawdzić, czy w mitach nie ma czegoś, co łączyłoby ich z Sycylią.

— Obawiam się, że nie ma.

— W takim razie coś wymyślisz. Ludzie, którzy przenoszą się na obce ziemie, lubią odkrywać na nich coś znajomego.

— Ci cali Celtowie wywołują tylko zamieszanie, poza tym bardzo się już posunęli na południe. Miej się na baczności.

— Kiedy doprowadzę mój zamysł do końca, kiedy postawię mur od Morza Jońskiego do Tyrreńskiego, moja flota zaś obejmie niepodzielne panowanie nad cieśniną, kiedy Syrakuzy zostaną największym miastem świata, a właściciele ziemscy będą musieli się z nami liczyć i zaskarbić sobie naszą przyjaźń, nikt i nic nie będzie w stanie nam zagrozić.

— A teraz napadniesz na Region.

— Oni zaatakowali moich lokryjskich sprzymierzeńców i krewnych...

— To niczego nie zmienia.

— Mam nadzieję, że wziąłeś pod uwagę, iż Region należy do Związku, który łączy większość Greków z Italii. Jeśli jedno miasto zostanie zaatakowane, pozostałe mają obowiązek przyjść mu z pomocą.

— Wiem. I wiem także, co należy zrobić. Ty zostaniesz tymczasem tutaj i będziesz dowodził fortecą na Ortygii.

Filistos skinął nieznacznie głową, jakby odczuwał zakłopotanie z powodu doznanego zaszczytu.

— Leptines jak zwykle obejmie najwyższe dowództwo nad flotą. Wiesz, gdzie on teraz jest?

— A gdzie ma być? Siedzi na „Bubaris” i czyści do połysku dulki, rzeźbę na dziobie, ornamenty na rufie i jabłko masztu. Gdyby miał żonę, na pewno nie kochałby jej bardziej niż ten okręt.

— Wobec tego przekaz mu, że będę jego gościem podczas wszystkich operacji na morzu.

Pod koniec lata Dionizjusz stanął przed Regionem na czele potężnej armii liczącej dwadzieścia tysięcy ludzi, tysiąc koni

i sto dwadzieścia okrętów wojennych, w tym trzydzieści penter. Zająwszy miasto od wschodu, zaczął je plądrować i niszczyć. Na odpowiedź Związku nie musiał wszakże długo czekać. Do cieśniny wpłynęło bowiem z Krotonu sześćdziesiąt żaglowców, aby pomóc zagrożonemu miastu, jednakże czujny Leptines napadł na nie z całą flotą.

Krotończycy na widok miażdżącej przewagi wroga zaczęli szukać schronienia na lądzie usiłując wyprowadzić okręty na brzeg, aby je ochronić, zaraz też przybyli im z odsieczą mieszkańcy Regionu. Podpłynawszy tak blisko, że stępką niemal dotykał dna, Leptines kazał wyrzucić harpuni, próbując przechwycić krotoskie okręty na pełnym morzu. W ten oto sposób rozpoczął osobliwe przeciąganie liny pomiędzy załogami krotoskimi, które stojąc na lądzie starały się utrzymać swe żaglowce, kotwicząc je za pomocą lin i kołków, a Syrakuzanami, którzy robili wszystko, by zaciągnąć je na morze siłą wiosła.

Owe dziwaczne zmagania przerwała burza, jej zwiastunem zaś był nagły poryw Boreasa, który zakołysał syrakuząnskimi kadłubami groźnie je przechylając. Chociaż Leptines dał żołnierzom znak, by wszystko rzucili i udali się do portu w Mesynie, wiatr z każdą chwilą przybierał na sile, fale potężniały ciskając pianę, w oddali zaś słychać było złowieszcze grzmoty. Dowódcy rozkazali zwinąć żagle i usunąć maszty, wicher zaskoczył wszakże i zniszczył sporo okrętów z pełnym ożaglowaniem. Rozbitkom zaś nie pozostało nic innego, jak płynąć wplaw ku italskiemu brzegowi, gdzie natychmiast pojмали ich i uwięzili wojownicy z Regionu.

Reszta floty zmagala się z nawałnicą przez długie godziny. „Bubaris” zdołała wpłynąć do portu w Mesynie jako ostatnia, dopiero po północy, mając wiele połamanych wiosła i ładownie pełne wody.

Gdy pogoda się zepsuła, Dionizjusz wrócił do Syrakuz wściekły z powodu doznanej zniewagi. Długo siedział zamknięty w koszarach na Ortygii, niedostępny nawet dla najbliższych przyjaciół, którzy ze swej strony starali się mu nie przeszkadzać, czekając, aż burza minie. Po czym pewnego dnia wezwał do siebie Filistosa.

— Jesteś mi potrzebny — oświadczył, ledwie tamten przekroczył próg.

Filistos spojrział na niego spode łba. Miał sińce pod oczami świadczące o braku snu i ziemistą cerę.

— Jestem tutaj — odparł.

— Musisz wyruszyć z misją dyplomatyczną. Musisz zawrzeć pewien układ.

— Z kim?

— Z Lukanami. Muszę zdławić opór Regionu, a jeśli to będzie konieczne, także Związku Italskiego. I zamierzam dokonać tego do końca roku. W przyszłym roku odbędą się igrzyska olimpijskie, chcę więc doprowadzić wszystko do końca i zjawić się tam jako...

— Z Lukanami? — przerwał mu Filistos. — Czy ja dobrze słyszę? Zamierzasz sprzymierzyć się z barbarzyńcami przeciwko greckiemu miastu? Zdajesz sobie sprawę z tego, co ty w ogóle mówisz?

— Doskonale zdaję sobie sprawę. I przestań mi zawracać głowę tymi narodowościowymi bzdurami. Spartanie sprzymierzyli się z Persami przeciwko Ateńczykom, żeby wygrać wielką wojnę, mieszkańcy Regionu zaś w czasach Gelona zawarli raz sojusz z Kartagińczykami przeciwko nam...

— Tylko że Persowie chcieli opanować greckie miasta Azji, król Agesilaos ze Sparty ruszył do Anatolii i zaatakował ich... Ale to ma względne znaczenie. Natomiast straszna jest zmiana, jaka w tobie zaszła; to mnie zasmuca i boli. Co się stało z młodym bohaterem, którego znałem? Obrońcą biednych przed arystokratami? Niepokonanym wojownikiem, orędownikiem Hellenów, zaciekłym wrogiem Kartagińczyków? Mścicielem Selinuntu i Himery?

— Jest tutaj, stoi przed tobą! — wrzasnęła Dionizjusz. — Czy nie walczyłem z barbarzyńcami zaledwie parę miesięcy temu? Czy moje ciało nie jest ciągle jeszcze obolałe z powodu ran odniesionych w Tauromenonie? Czy nie służyłem własnej ojczyźnie? Czy to nie dzięki mnie stała się większa i silniejsza, nie dzięki mnie budzi teraz lęk i szacunek? Zarówno Ateńczycy, jak i Spartanie nam nadskakują, zazdroszczą nam bowiem bogactwa i potęgi. A komu to zawdzięczamy? Odpowiedz, na Zeusa! Komu to zawdzięczamy?

— Oczywiście, że tobie, ale także twojemu bratu Leptinesowi, który tysiącrotnie narażał życie wykonując twoje rozkazy, także

Jolaosowi, który nigdy cię nie opuścił i zawsze w ciebie wierzył, także Doriskosowi, którego zamordowano w jego własnym namiocie, zabitemu w Motyi Bitonowi, no i mnie. Tak! Mnie, który przysięgałem, że pójdę za tobą aż do piekieł, jeśli będzie trzeba. Ale tego ode mnie nie żądaj, Dionizjuszu, nie każ mi zawierac przymierza z barbarzyńcami przeciwko Grekom. To sprzeczne z moimi zasadami, to się kłóci ze wszystkim, w co wierzę. To także sprzeczne z twoimi zasadami, nie rozumiesz? Twoja autokracja to już policzek wymierzony Grekom. Jak dotąd ją tolerowano, ponieważ uchodziłeś za obrońcę hellenizmu przed barbarzyńcami. Ale jeżeli zawrzesz przymierze z Lukanami, żeby napaść na Region i Związek Italski, okryjesz się hańbą, będą cię opluwać i uważać za potwora.

— No i dobrze! Nie potrzebuję ich poważania!

— A właśnie że tak. Nikt nie może żyć bez szacunku bliźnich, zapamiętaj to sobie!

Dionizjusz, który przemierzał wielkimi krokami zbrojownie, przystanął zniemacka pośrodku komnaty, wpatrując się w Filistosa wybałuszonymi oczami.

— Ja mogę iść naprzód sam. Najważniejsze jest zwycięstwo. Jeśli mi się powiedzie, będą mnie chwalić, ponieważ stanę się wszystkim potrzebny. I zwyciężę z twoją pomocą albo bez. Oczekuję odpowiedzi.

— Bez — odrzekł Filistos. — Zwycięzysz, jeśli dasz radę, ale bez mojej pomocy.

— Doskonale. Teraz już wiem, na kogo mogę liczyć. Żegnaj.

Filistos spuścił głowę, po czym rzucił mu zbolełe spojrzenie.

— Żegnaj, Dionizjuszu — odparł. I ruszył do drzwi.

— Zaczekaj.

Filistos odwrócił się, jakby miał nadzieję, że jeszcze coś może się wydarzyć.

— Leptines na razie nie powinien o niczym wiedzieć. Mam twoje słowo?

— Moje słowo? Przecież od dawna już nie wierzysz ani w słowo honoru, ani w przysięgi.

— Jeśli pochodzą z ust przyjaciół, wierzę — powiedział Dionizjusz ścisząc głos.

— Masz moje słowo.

XXVII

Przymierze, na którego temat Filistos nie chciał pertraktować, i tak zostało zawarte przez pewnego mezyńskiego wysłannika Dionizjusza, latem zaś Lukanowie sprowadzili swą armię ku Turioj, greckiej kolonii zdobywanej pół wieku przedtem w tym samym miejscu, gdzie zostało zniszczone Sybaris. Tymczasem Leptines otrzymał rozkaz wypłynięcia wraz z flotą na Morze Tyrreńskie od strony Laos. Otóż Dionizjusz powiedział mu, że jego oddziały nadciągną ze wschodu przez góry, aby zaskoczyć siły Związku, które napadły na ziemię zaprzyjaźnionego Lokri.

Żołnierze z Turioj odpowiedzieli zdecydowanie na atak Lukanów, widząc zaś, że tamci wycofują się w góry, zamiast zaczekać na trzon armii Związku maszerującej z Krotonu, rzucili się za nimi w pościg.

Przekroczywszy dolinę Karaksu, dotarli aż na grzbiety górskie, skoro zaś nikt nie stanął im na drodze, zeszli z drugiej strony ku widniejącemu przy brzegu Laos. Kiedy jednak znaleźli się na ciasnej równinie między górami a morzem, ujrzeni przykrą niespodziankę. Otóż Lukanowie wcale nie stali przed nimi, lecz za ich plecami. Były ich dziesiątki tysięcy; całe wojsko, jakim dysponowały ich plemiona, zbiegało właśnie ku dolinie wrzeszcząc i wymachując bronią. Uzmysłowiwszy sobie, że wpadli w pułapkę, żołnierze z Turioj ustawili falangę w czworobok, gotowi walczyć aż do ostatniego tchu. Nieprzyjaciel miał jednak tak ogromną przewagę liczebną, że na koniec bitwa zamieniła się w krwawą jatkę.

Jakimś czterem tysiącom żołnierzy udało się wycofać na wzgórze, skąd odpierali ataki barbarzyńców. Pozostały tysiąc szczelnie otoczony na brzegu i bez żadnej możliwości ratunku, spostrzegłszy nagle wyłaniającą się za ich plecami flotę grecką, rzucił broń, wskoczył do wody i popłynął wplaw ku okrętom.

Nie była to wszakże flota z Regionu, jak się spodziewali, lecz z Syrakuz, przybyła dokładnie w umówionej chwili, aby zamknąć ich w pułapce od morza. Jednakże na widok owych krwawiących nieszczęśników, którzy miotali się w wodzie rozpaczliwie szukając ratunku, Leptines doznał wstrząsu. Zdał sobie bowiem sprawę, że wojska barbarzyńców wybijają właśnie na piasku Greków z Turioj, kiedy zaś przed oczyma mignął mu potworny obraz kartagińskich żołnierzy przebijających harpunami własnych marynarzy, którzy usiłowali dopłynąć do brzegu, wrzasnął, ile miał tchu płucach:

— Ocalić tych ludzi! Prędko!

Jego żołnierze popatrzyli nań osłupiali.

— Heghemon, przecież to wrogowie...

— To Grecy, na Heraklesa! Ocalić ich, wyciągnąć z wody, mówię!

Rozkaz przekazano Jolaosowi, który dowodził prawym skrzydłem, a także reszcie floty, której oficerowie nie mieli już żadnych wątpliwości widząc, jak okręt nawarchy wciąga na pokład każdego rozbitka, jaki się tylko nawinał.

Stanąwszy na deskach „Bubaris”, pewien oficer z Turioj zażądał z miejsca widzenia z dowódcą. Zaprowadzono go na dziób do Leptinesa. Miał twarz zniekształconą z powodu otrzymanych ciosów i potwornego zmęczenia, z którym próbował walczyć. Trząśnięcie z wysiłku, prawie nie mogąc wykrztusić słowa.

— Dajcie mu suche szaty — polecił Leptines. — Ruszać się, na Heraklesa, na co czekacie?

— Heghemon... — powiedział z trudem mężczyzna. — Co zamierzasz z nami zrobić?

Spojrzawszy nań, Leptines wyzbył się wszelkich wątpliwości.

— Zostaniecie otoczeni względami, na jakie zastępują walczni wojownicy. I... przywróceni do waszych rodzin.

Jego zastępca spojrział nań zdumiony, miał wrażenie, że znalazł się w niewłaściwym miejscu i na niewłaściwej wojnie. Nagle z zadumy wyrwał go głos dowódcy.

— A teraz zejdźmy na ląd.

Zastępca przekazał rozkaz dalej i podczas gdy pozostałe okręty nadal przeprowadzały akcję ratunkową, żaglowiec nawarchy przybił do brzegu, o mało nie wbijając się taranem w piasek. Kiedy stojący na dziobie Leptines ujrzał pełny obraz pola bitwy, był wstrząśnięty. Przed jego oczyma roztaczał się bowiem najpotworniejszy grobowiec, jaki kiedykolwiek widział, jatka o przerażającym zasięgu. Wszędzie leżały stosy trupów, ziemia była przesiąknięta krwią, która płynęła strumieniami barwiąc morze na czerwono. Na niewielkiej przestrzeni jednego stadionu pomiędzy górami a brzegiem wyróżniło niczym zwierzęta w rzezi dziesięć, a może piętnaście tysięcy ludzi. Większość z nich rozebrano już i ograbiono, odsłaniając zadane im rany i okaleczenia. Wiele ciał porąbano na kawałki, aby łatwiej pościągać zbroje, które Lukano- wie odkładali właśnie na bok.

Leptines szedł przez sam środek tego okropieństwa chwając się niczym we śnie: spoglądał na niemal kobiece ciała młodych chłopców i te potężne, muskularne, należące do dojrzałych mężczyzn, zeszywniałe i śmiertelnie blade. Obcięte i nadziane na włócznie głowy brodatych weteranów spoglądały nań szklistymi oczami, z ustami rozdziawionymi w niemym szyderczym śmiechu. Wszędzie zaś rozbrzmiewało uporczywe i przerażające brzęczenie much. Otrząsnąwszy się nagle słysząc odgłosy bitwy, ciągle jeszcze szalejącej na wzgórzu, Leptines wrzasnął do Jolaosa, który został na okręcie, by przysłał mu tłumacza. Po czym ruszył ku miejscu, gdzie wodzowie plemion czekali, aż starcie się zakończy, by rozpocząć jatkę na nowo. Zwrócił się do tego, który wydawał się najwyższy rangą.

— Jestem Leptines, brat Dionizjusza, władcy Syrakuz i waszego sprzymierzeńca, i żądam, abysь położył kres tej walce. I tak już wygrałeś — oznajmił. — Pozwól mi pertraktować w sprawie poddania tych żołnierzy.

— Nie — odparł wódz. — Jesteśmy od dawna w stanie wojny z tymi ludźmi, którzy bezprawnie zajęli nasze ziemie. Chcemy, żeby zniknęli, musimy ich pozabijać.

— Będzie o wiele lepiej dla ciebie, jeśli darujesz im życie. Jestem gotów zapłacić okup za wszystkich po kolei. Dam ci... dwadzieścia drachm w srebrze za każdego, dobrze? Dam ci trzydzieści... jedną minę, tak, dam jedną srebrną minę za każdego. Zgadzasz się?

Tymczasem dołączył doń jego zastępca, który słysząc ową propozycję ścisnął go za ramię.

— Heghemon, czy wiesz, ile cię to będzie kosztowało? Co najmniej sto pięćdziesiąt talentów: to więcej niż połowa wszystkiego, co mamy na pokładzie. To pieniądze na wydatki wojenne...

— To są właśnie wydatki wojenne — odrzekł Leptines, po czym zwracając się do tłumacza wykrzyknął: — Zechcesz zapytać tego capa, czy przyjmie moją propozycję, do kroćset?!

Kiedy tłumacz przełożył jego słowa, wódz przytaknął z powagą i godnością, jakby wyświadczał mu wielką łaskę.

— Nareszcie! — zawołał Leptines. — A teraz mu powiedz, że muszę się dostać do tych na wzgórzu.

Mężczyzna wydał okrzyk, po którym masa lukańskich wojowników zatrzymała się, po czym jęła się powoli cofać. Na koniec zaś otworzyła się, by zrobić przejście dla syrakuzańskiego nawarchy, który zaczął się wolno wspinać po zboczach, aż wreszcie stanął przed czterema tysiącami wycieńczonych, rannych, zdyszanych, spragnionych, oblepionych potem i krwią wojowników z Turioj, którzy spoglądali nań w milczeniu osłupiali. Na tym spalonym słońcem wzgórzu słychać było jedynie ogłuszające cykanie świerszczy.

— Jestem dowódcą floty syrakuzańskiej — przemówił Leptines — a także waszym wrogiem, ale aż do tej pory nie wiedziałem, że ci barbarzyńcy otrzymali rozkaz, by wybić was do nogi. Zniszczenie już się dokonało, nastąpiła rzeź. Chociaż jestem waszym nieprzyjacielem, nadal pozostaję Grekiem, mówię waszym językiem i czczę tych samych bogów, dlatego też zrobię wszystko co w mojej mocy, aby was ocalić. Zaofiarowałem okup za wasze życie, jeśli zatem złożycie broń, daję wam moje słowo, że nie stanie się wam żadna krzywda i że wrócicie do swoich rodzin, które na was czekają. Wasi towarzysze, którzy rzucili się do wody, myśląc, że płyną ku flocie Regionu, zostali wyłowieni i otoczeni opieką, będziecie więc mogli wrócić razem z nimi do miasta.

Żołnierze spoglądali nań ze zdumieniem nie wiedząc, co o tym sądzić. Jedni wykrzykiwali jakieś niezrozumiałe zdania niezdolni do spójnego rozumowania, inni padli na kolana, jeszcze inni płakali rzewnymi łzami.

— Rzućcie broń i chodźcie za mną — powiedział Leptines. — Nic złego wam się nie stanie. Jeśli ktokolwiek was zaatakuje, osobiście wydam rozkaz mojemu wojsku, aby was obroniło.

Na te słowa wojownicy ze wzgórza jeden po drugim, począwszy od tych najstarszych, upuścili na ziemię miecze i tarcze, po czym ruszyli za Leptinesem, mijając szeregi ciągle jeszcze uzbrojonych, podnieconych rzezią barbarzyńców. Posuwali się w ciszy ze wzrokiem utkwionym w pustkę, aż dotarli do brzegu, upadli na piasek. Wódz Lukanów zaś kolejno ich policzył, następnie sprawdził, ilu już znajduje się na pokładach okrętów, a na koniec podał całą sumę.

Leptines zapłacił bez mrugnięcia powieką sto siedemdziesiąt talentów w srebrze, po czym osobiście zawarł rozejm z owymi barbarzyńskimi plemionami i najwyższymi rangą dowódcami, przedstawicielami miasta Turioj. Wyjednał nawet dla nich zgodę na pozbieranie poległych i spalenie ich na stosach.

O zachodzie słońca wsiadł na „Bubaris” i rozkazał płynąć na południe w kierunku Mesyny, gdzie czekał nań Dionizjusz, a wraz z nim być może najtrudniejsze przedsięwzięcie jego życia.

Dionizjusz, który już wszystko wiedział, przyjął go w kwaterze głównej w Mesynie odwrócony doń plecami.

— Wiem, co sobie myślisz — zaczął Leptines — ale szkoda, że cię tam nie było; nie widziałeś tej rzezi, tych stosów rozszarpanych na strzępy, porąbanych trupów, tych potoków krwi, która barwiła ziemię i morze na czerwono...

— Ja nie widziałem rzezi?! — wrzasnął Dionizjusz odwracając się gwałtownie. — Przez całe życie nie robiłem nic, tylko przypatrywałem się rzeziom. Ty też, na Zeusa! Nie mów, że po raz pierwszy zobaczyłeś krew.

— Ale to byli Grecy, do kroćset! Grecy zarzynani przez barbarzyńców, którzy działali z naszego polecenia. Mówiłeś o układzie z Lukanami, o strategicznym wsparciu, o wypadach, ale nie

powiedziałeś, że dałeś im wolną rękę i że mogą wybić całe miasto!

— Dość! — krzyknął jeszcze głośniejszym głosem Dionizjusz. — Powiedziałem: dość! Dopuściłeś się poważnego aktu buntu. Zawarłeś pokój wbrew moim zamysłom politycznym i strategii wojskowej. Roztrwonileś olbrzymią ilość srebra, które miało posłużyć na wydatki wojenne. Wiesz, co to znaczy? Najwyższą zdradę, nieposłuszeństwo, spiskowanie z wrogiem na polu bitwy!

Leptines spuścił głowę przybity gwałtownym wybuchem brata, zupełnie jakby się go nie spodziewał. Kiedy podniósł wzrok i spojrzał w jego nabiegłe krwią oczy, w czerwonej z gniewu twarzy, w nabrzmiałe żyły na szyi, które pęczniały pod wpływem wykrzykiwanych przezeń ciągle nowych oskarżeń i obelg, wydało mu się, że ma przed sobą obcą okrutną istotę pozbawioną ludzkich cech. Począł, aż skończy, i podczas gdy tamten dyszał jeszcze ze wzburzenia po owym ataku niepohamowanej złości, rzekł:

— Wiem i jestem gotów ponieść konsekwencje. Ale najpierw chcę ci powiedzieć jedno: kiedy zobaczyłem te potworności, nagle uzmysłowiłem sobie, co to jest greckie miasto, bo już prawie zapomniałem. Nie mówię tu o Syrakuzach, Selinuncie czy Katanii, o przyjaciółach ani o wrogach; mam na myśli pierwsze lepsze miasto, którego mieszkańcy pochodzą od nieszczęśników zmuszonych wiele lat temu do tułaczki, aby znaleźć odrobinę szczęścia za morzem. Tych, co tu przybyli nie mając nic poza własnym życiem i nadzieją. Przybyli zaś nie po to, by budować imperia, a jedynie namiastkę własnej ojczyzny: miejsce, w którym był by port do handlu, wzgórze dla bogów, pola do uprawy pszenicy i oliwek. Wiele z owych miast, z których każde miało przed sobą przyszłość, nigdy się nie narodziło, wiele grup, które znalazły przystań, skończyło na dnie morza pożartych przez ryby. To prawda, mnóstwo razy walczyliśmy w niepotrzebnych wojnach, w głupich sporach o błahostki, ale nigdy nie pozwolę na to, żeby dzikusy zniszczyły choćby jedno greckie miasto z mojej winy. Zrobiłem to, co zrobiłem, bo uznałem to za słuszne.

Dionizjusz ponownie odwrócił się doń plecami, po czym rzekł:

— Od tej chwili pozbawiam cię dowództwa floty i zostajesz uwięziony. Będziesz przewieziony do Syrakuz i trzymany pod

kluczem w swojej kwaterze w koszarach na Ortygii, gdzie zaczekasz na moją ostateczną decyzję. A teraz uwolnij mnie od swojej obecności. Nie chcę cię więcej widzieć.

Leptines wyszedł bez słowa, tuż za progiem zaś przechwyciły go straża i odprowadziły do portu. Kiedy poprosił, aby mógł spojrzeć po raz ostatni na „Bubaris”, pozwolono mu. Rozstał się z nią przesuwając szorstką dłonią po gładkim dziobie, z którego dowodził tak wieloma bitwami — pożegnalna pieszczota dla przyjaciółki.

Ci, którzy stali blisko niego, dojrzeli w jego oczach łzy.

Powierzywszy Jolaosowi dowództwo floty, Dionizjusz wrócił do swoich zajęć, jakby nic się nie stało. Zgromadził imponującą armię: dwadzieścia tysięcy piechoty, trzy i pół tysiąca koni, pięćdziesiąt nowiusieńkich okrętów wojennych, które dołączyły do tych stojących na kotwicowisku w porcie mesyńskim. Wypłynawszy przy pierwszym pomyślnym wietrze, wysadził swe oddziały na jońskim wybrzeżu Italii niedaleko na północ od Regionu, po czym rozpoczął marsz w kierunku północnym.

Tymczasem Związek Italski zdążył zgromadzić wspólne siły, które powierzył Helorisowi, staremu arystokracie, niegdyś przybranemu ojcu Dionizjusza, teraz zaś jego najzgorzalszemu przeciwnikowi. Szli przez pięć kolejnych dni aż do brzegów maleńkiej rzeczki zwanej Helleporos, płynącej pośród jałowych spalonych słońcem wzgórz. Tam się zatrzymali, Heloris jednak wołał posuwać się ciągle naprzód wraz z przednią strażą złożoną wyłącznie z jeźdźców, którzy nie mogli się wprost doczekać, żeby napotkać wroga, a może nawet spróbować jakiegoś wypadu. Tak oto oddalili się od trzonu armii Związku na odległość prawie dwóch stadionów.

Dionizjusz zdążył już porozmieszczać wszędzie swych miejscowych zwiadowców, którzy poruszając się pieszo bądź konno, poukrywali się wśród gęsto rosnących dębów ostrolistnych lub sosen, po czym natychmiast dali znać dowódcy, co się dzieje. Nie czekając ani chwili, Dionizjusz osobiście poprowadził do natarcia doborowe oddziały zmieniające się z błyskawiczną szybkością: łuczników, następnie wojska zaczepne, na koniec ciężkozbrojną piechotę liniową. Heloris i jego żołnierze zostali starci na miazgę,

zanim prośba o posiłki zdążyła dotrzeć do wojska, które właśnie zamierzało rozbić obóz po drugiej stronie rzeki.

Dowódcy rozmaitych strategii wojsk Związku postanowili rozpocząć wspólną bitwę, musieli jednak ruszyć do boju bez swoich zwierzchników, zniechęceni z powodu rzezi straży przedniej i rychło ponieśli porażkę. Spora ich część stanowiąca około połowy całej armii zdołała się wycofać w szyku zamkniętym i zdobyła wierzchołek wzgórza leżącego nad wąskim strumykiem Helleporos.

Dionizjusz polecił je otoczyć zamykając dostęp do rzeki. Pozostało tylko czekać, palące słońce i całkowity brak wody zaś robią resztę. Przybiwszy do brzegu przed zmierzchem, Jolaos kazał sobie przyprowadzić konia i dotarł do dowództwa wojsk naziemnych, zanim słońce skryło się za górami. Przyjrzał się usłanemu trupami polu bitwy i jałowemu wzgórz, na którym okopali się żołnierze ocalali z armii Związku Italskiego. Miał wrażenie, że czas się zatrzymał. Oto przed jego oczami rozciągał się ten sam widok, na jaki patrzył u boku Leptinesa zaledwie kilka dni wcześniej w Laos.

Zdawszy sobie sprawę, jak wielki przeżył wstrząs, Dionizjusz powiedział:

— Wyglądasz na wzburzonego, a przecież nie po raz pierwszy widzisz pole bitwy.

— Rzeczywiście, nie — przytaknął Jolaos. — Tylko że już raz widziałem ten obraz.

— Wiem — odparł Dionizjusz.

— Spodziewam się, że już podjąłeś decyzję.

— Owszem.

W tej samej chwili zjawiała się jedna ze straży.

— Heghemon — rzekł mężczyzna — Halikowie chcą się układać. Czekają na zewnątrz.

— Wprowadź ich.

Do namiotu weszli czterej dowódcy krotońscy i zbliżyli się do Dionizjusza, który przyjął ich na stojąco, co oznaczało, że rozmowa potrwa krótko.

— Mówcie — polecił.

Głos zabrał najstarszy z nich, mężczyzna mniej więcej sześćdziesięcioletni z głęboką szramą na twarzy.

— Przybyliśmy pertraktować na temat rozejmu. Jest nas dwieście tysięcy dobrze uzbrojonych żołnierzy, mamy korzystniejszą pozycję i możemy jeszcze...

Dionizjusz podniósł dłoń, by mu przerwać.

— Mój punkt widzenia jest bardzo prosty — stwierdził. — Na tym gołym i jałowym wzgórzu nie macie żadnej drogi ucieczki, kiedy zaś słońce wstanie nad horyzontem, upał będzie nie do zniesienia. Nie posiadacie jada ani wody. A zatem wcale nie macie wyboru. Mogę oczekiwać od was jedynie bezwarunkowego poddania.

— Czy to twoje ostatnie słowo? — zapytał oficer.

— Ostatnie — powtórzył Dionizjusz.

Oficer przytaknął z powagą, po czym dał znak swym towarzyszom i zawrócił.

— Połóż się spać — powiedział Dionizjusz. — Jutro czeka nas długi dzień.

Nad opustoszałym krajobrazem wstało słońce oświetlając obszar otaczający Helleporos, nadal zasłany trupami. Nad sztywnymi ciałami krążyły chmary zielonych much, monotonne cykanie świerszczy zaś zdążyło już ustąpić miejsca przenikliwemu wrzaskowi cykad.

Nie było nawet najłżejszego powiewu wiatru, a skały tworzące koryto rzeki prędko się nagrzały, wprawiając powietrze w drgania i stwarzając złudzenie połyskującego lustra wody tam, gdzie był jedynie piasek i kamienie. Na szczycie wzgórza nie rośło żadne drzewo, które dawałoby choć odrobinę cienia, nie było żadnego schronienia, które przyniosłoby ulgę w tej bezlitosnej spiekocie.

W południowym skwarze rozlegało się krakanie kruków, które przybywały ucztować na owym polu śmierci, dalej zaś na gałęziach przysiadły już sępy o biało-czarnych skrzydłach i bezpiórnym szyjach.

W dole pod baldachimem czekał cierpliwie Dionizjusz czytając doniesienia swoich szpiegów. Niewolnik wachlował go ogromnym wachlarzem i nalewał mu wody do pucharu, a także do miski, w której od czasu do czasu zanurzał przedramiona, by się ochłodzić.

W pobliżu zaś, w cieniu pistacji, siedział nieruchomo Jolaos.

Minęła spora część dnia i ciągle nic się nie działo. Dopiero późnym popołudniem na szczycie wzgórza dało się zauważyć jakieś poruszenie. Rozległy się głosy, być może okrzyki, następnie na zboczu pojawiła się gromada nieuzbrojonych mężczyzn schodzących ku dolinie i kierujących się w stronę baldachimu. Byli to ci sami żołnierze, których Dionizjusz przyjął poprzedniego dnia, a którzy przybyli obwieścić bezwarunkowe poddanie swych oddziałów.

— Cieszę się, że podjęliście właściwą decyzję.

— Dopraszamy się twojej łaski — zaczął mężczyzna ze szramą na policzku. — Dzisiaj fortuna ci sprzyja, ale pewnego dnia możesz się znaleźć na naszym miejscu i...

Dionizjusz przerwał mu jak zwykle podnosząc dłoń.

— Powiedz swoim ludziom, że mogą wrócić do domu bez płacenia żadnego okupu i bez obawy, że cokolwiek będzie im grozić z mojej strony. Jedyne czego żądam, to traktat pokojowy podpisany przez władze Związku Italskiego.

Mężczyzna spoglądał nań w osłupieniu, nie wierząc własnym uszom.

— Możesz zagwarantować, że Związek podpisze?

— Mogę zagwarantować — zapewnił oficer.

— Więc ruszajcie w drogę. Wracajcie do Turioj i nie występujcie więcej przeciwko mnie.

Oficer nie wiedział, co powiedzieć. Milczał szukając w oczach siedzącego przed nim człowieka czegoś, co wyjaśniłoby jego postępowanie całkowicie sprzeczne ze wszystkim, co o nim kiedykolwiek słyszał.

— Idź — powtórzył Dionizjusz. — Sam zadbam o waszych zmarłych.

Mężczyzna się oddalił.

Przeszli uzbrojeni między żołnierzami syrakuzzańskimi ustawionymi w szyku z opuszczonymi włóczniami na znak pozdrowienia.

Dziesięć dni później mieszkańcy Turioj przysłali Dionizjuszowi podpisany traktat i złotą koronę. Jolaos chwycił ją w dłonie.

— Dowód wdzięczności. To się rzadko zdarza. Łaskawość to największy przymiot wodza, zwłaszcza jeśli zwyciężył, ów dar zaś to potwierdza.

Dionizjusz nie odpowiedział. Zdawał się pogrążony w lekturze dokumentu przysłanego przez Związek. Odczekawszy, aż skończy, Jolaos ją mówić dalej:

— Naprawdę nie potrafisz zrozumieć Leptinesa? Zrobiłeś dokładnie to samo i jestem pewien, że go rozumiesz. Skoro widok całej tej rzezi skłonił cię do wielkoduszności, dlaczego nie potrafisz pojąć postępowania własnego brata?

Dionizjusz odłożył zwój z traktatem na stół.

— W ten sposób zaskarbiłem sobie neutralność Związku — odrzekł — o ile nie jego przyjaźń. Mam więc wolne ręce, żeby zająć Region, który jest teraz całkowicie odizolowany.

Jolaos nie zdołał ukryć rozczarowania.

— A ty co myślałeś? — zapytał Dionizjusz. — Że porzucę własne zamiary z powodu uczuć? Czy to możliwe, żebyś tak słabo mnie znał?

— Niewielu zna cię lepiej ode mnie, trudno jest się jednak pogodzić z myślą, że to co zawsze w tobie kochałem, już nie istnieje.

— Czas zmienia każdego — odparł Dionizjusz bezbarwnym głosem. — Zresztą wcale nie musiałeś przyjmować tego stanowiska. Ale się zgodziłeś i teraz zajmujesz miejsce Leptinesa.

— To prawda, jestem naczelnym dowódcą floty, ale mam swoje powody...

— Oczywiście. Ty też pragniesz władzy i wiesz, że możesz ją dostać tylko wtedy, gdy umocni się moja. Jeśli ja upadnę, wszyscy pójdziecie na dno razem ze mną. Lepiej więc mnie poprzeć nie tracąc czasu na niepotrzebne smutki.

— W twoich słowach tkwi ziarno prawdy — przyznał Jolaos — ale to nie jest rzeczywisty powód. Zapominasz, że w głębi duszy zawsze potrafiłem znaleźć właściwy sens życia, który zaszczypli mi moi nauczyciele i którego nigdy nie negowałem.

Dionizjusz spojrział nań pytającym wzrokiem.

— Przyjąłem to stanowisko — ciągnął Jolaos — nie dlatego, że mnie o to poprosiłeś, tylko dlatego, że poprosił mnie o to Leptines.

Nie czekał na odpowiedź. Opuściwszy namiot, pojechał na koniu aż do morza, gdzie czekała na niego gotowa do drogi „Bubaris”.

XXVIII

Wkroczywszy do wschodniego skrzydła koszar, Filistos przeszedł do drzwi kwatery Leptinesa strzeżonych przez dwóch arkaadyjskich najemników.

— Otwierać! — rozkazał.

— Nikomu nie wolno wchodzić; polecenie najwyższego wodza.

— Podczas jego nieobecności ja dowodzę na Ortygii i biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność. Otwierać albo zawołać straż.

Obaj żołnierze wymienili porozumiewawcze spojrzenia, po czym jeden z nich odsunął rygiel i otworzył drzwi wpuszczając Filistosa do środka.

Leptines leżał na posłaniu z plecami opartymi o ścianę, ze skrzyżowanymi ramionami i wzrokiem wbitym w mur naprzeciw niego. Nie odezwał się słowem ani nie odwrócił. Miał zaczerwienione oczy, spieczone usta, zmierzwioną brodę i włosy.

— To nie może dłużej trwać. Jesteś żalosny.

Leptines nie odpowiedział.

— Wiem, co czujesz, i wcale nie jest mi z tym lepiej niż tobie, ale nikomu nie sprawia radości, że doprowadziłeś się do takiego stanu. Musisz coś zrobić. Zebrałem członków Bractwa. Są oburzeni z powodu tego, co cię spotkało ze strony brata, i o ile zrozumiałem, są nawet gotowi...

Leptines jakby się otrząsnął. Odwróciwszy się powoli, rzekł:

— Nie musiałeś. Nie było żadnego powodu. Nie wykonałem rozkazu i teraz ponoszę konsekwencje.

— Nie zgadzam się. To ty miałeś rację, a ja podzielałam twoje zdanie. Przez całe lata pomagaliśmy mu urzeczywistnić zamiar

stworzenia całkowicie greckiej Sycylii. Godziliśmy się na takie potworności, jak podbój Mesyny czy Katanii, w nadziei na przyszły pokój i dobrobyt, ale teraz on jest otwarcie wrogo nastawiony do italskich Greków i tego nie da się już tolerować. Nie chciałem prowadzić rokowań pokojowych z Lukanami.

— Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? — zapytał Leptines.

Filistos podszedł bliżej, przysunął sobie zydell i usiadł przy jego posłaniu.

— Bo nie dał mi takiej możliwości. Pewnie myślał, że przekonam cię do mojego pomysłu, i nie chciał, żeby tak się stało. Pozwolił prowadzić rokowania ludziom, którzy ciągle przytakują, tobie zaś wyjawiał tylko część prawdy, stawiając cię przed faktem dokonanym. Znalazłszy się oko w oko z hordą barbarzyńców zabijających Greków, zachowałeś się tak jak każdy cywilizowany człowiek. O ile to coś znaczy, możesz liczyć na mój szacunek i przyjaźń. Zresztą nie tylko mój... — Zniżywszy głos, dodał: — Ludzie są zmęczeni tymi ustawicznymi wojnami, widokiem obcych najemników, którzy bogacą się bez umiaru i uzyskują przywileje nieosiągalne nawet dla obywateli. On bez przerwy żąda poświęceń w imię świetlanej przyszłości, która coraz bardziej się oddala, zamiast się zbliżać. Z każdym dniem staje się coraz bardziej ponury, podejrzliwy i niedostępny. Ma następcę, ale ledwie na niego patrzy w tych rzadkich chwilach, które spędza w domu. Powiada, że dzieciak trzęsie się ze strachu na jego widok, że to mały tchórz. Rozumiesz?

Leptines westchnął.

— Myślałem, że zabiorę chłopca ze sobą na wieś, że nauczę go hodować pszczoły i kury. Pragnąłem go wziąć na ryby, ale on jest zazdrosny, nie chce, żeby na jego syna mieli wpływ inni, nie ci wychowawcy, których sam wybrał. To ludzie bez rozumu i bez serca. Uczynią zeń nieszczęśnika, który będzie się bał własnego cienia...

Filistos wyjął z sakwy jabłko i położył je na stole obok posłania Leptinesa.

— Jedz — zachęcił. — Trochę wartości to w sobie ma.

Leptines skinął głową i wbił zęby w owoc.

— Co teraz robi? — zapytał między jednym a drugim kęsem.

— Rozpoczął oblężenie Regionu, ale miasto się nie poddaje. Jolaos wraca właśnie z częścią floty, ale on jeszcze tam został. Tak słyszałem.

— Jolaos to dobry żołnierz.

— Tak — zgodził się Filistos — i zdaje się, że Dionizjusz zamierza uczynić go odpowiedzialnym za nasz udział w igrzyskach olimpijskich na wiosnę.

— Moim zdaniem to doskonały pomysł.

— Okropny. Przynajmniej według Jolaosa. Z powodu sposobu, w jaki zaplanowane zostało nasze uczestnictwo. Ośmieszmy się tylko. Poza tym Olimpiada to uroczystość panhelleńska, która odbędzie się dokładnie w chwili, gdy Persowie zaczną z powrotem oblegać greckie miasta w Azji. Tymczasem my zaczniemy właśnie przymierze z barbarzyńcami przeciwko greckiemu miastu. Uważasz, że to słuszne?

Leptines nie wiedział, co powiedzieć.

— Jak już mówiłem, miałem naradę z dowódcami z Bractwa — ciągnął Filistos. — Pragną całkowitej zmiany. Są już zmęczeni tą bezustanną niepewnością, nastrojami panującymi w mieście, brakiem możliwości wymiany poglądów z tym, kto akurat dowodzi. Każdy kto przejawia odmienny punkt widzenia niż on, natychmiast staje się wrogiem, podejrzanym, którego należy śledzić, pilnować albo wręcz uwięzić. Wielu natomiast spogląda przychylnie na ciebie. To co zrobiłeś w Laos, świadczy o człowieczeństwie, które twój brat zatracił.

Leptines wyrzucił ogryzek jabłka i odwrócił się ku niemu.

— Nie zdradzę go, jeśli o to chodzi.

Filistos spuścił głowę.

— Uważasz, że jestem zdrajcą?

— Jesteś politykiem, pisarzem i filozofem, rozpatrywanie zaś rozmaitych opinii leży w twojej naturze. Ja natomiast jestem żołnierzem: mogę się nie zgadzać, mogę grzeszyć brakiem dyscypliny, ale moja lojalność nie podlega dyskusji.

— Ale mamy tutaj do czynienia również z lojalnością wobec narodu. Czy to się dla ciebie nie liczy? Władza Dionizjusza zyska usprawiedliwienie tylko wtedy, gdy na koniec naród otrzyma za-dośćuczynienie za wszystkie poświęcenia i łzy, za całą przelaną krew.

Leptines milczał. Filistos ruszył do drzwi, przed wyjściem jednak rzekł:

— Ktoś chciałby cię zobaczyć.

— Nie bardzo mogę się ruszyć.

— To ona przyjdzie do ciebie.

— Kiedy? — zapytał Leptines zrywając się na równe nogi wyraźnie podniecony.

— Dziś w nocy, po drugiej zmianie warty. Na zewnątrz będzie stało dwóch oddanych mi żołnierzy, więc możesz się nie obawiać... Pamiętaj, że ja też go kocham. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Ja... nadal byłbym gotów oddać za niego życie, gdyby było trzeba. Żegnaj, zastanów się nad tym, co ci powiedziałem.

Nagle rozległo się delikatne szuranie, ciche głosy, na koniec zaś trzask odsuwanego rygla, po czym drzwi się otworzyły. W progu ukazała się kobieca postać z głową i twarzą osłoniętą woalem.

Zdjąwszy ze ściany pochodnię, Leptines przysunął płomień do jej twarzy.

— Arystomachia... — szepnął, jakby nie potrafił uwierzyć w to, co widzi. — To naprawdę ty.

Kobieta odsłoniła blade oblicze, duże czarne oczy i delikatny nos.

— Po co przyszłaś? To niebezpieczne i...

— Nie mogłam się pogodzić, że siedzisz tu sam, zamknięty jak złodziej. Ty, który tyle razy narażałeś życie, odniosłeś tyle ran, zawsze stałeś u jego boku...

— To mój brat, mój naczelny wódz.

— Nie jest ciebie godny. Stał się niehumanem, niewrażliwą istotą. Dla niego liczy się tylko utrzymanie władzy.

Leptines odwrócił się do ściany, jakby nie przyjmował tych słów do wiadomości.

— Pewnego dnia powiedziałeś, że mnie miłujesz... — szepnęła Arystomachia.

— Byliśmy dziećmi.

— Ja mówiłam prawdę i ty też. Nigdy tego nie zapomniałam i ty też nie.

— Jesteś żoną mojego brata.

I właśnie dlatego mną pogardzasz?

— Nie, mylisz się. Szanuję cię... Prawie cię czczę niczym bóstwo, niczym...

— Kobietę nieszczęśliwą. Przystałam na bezsensowne małżeństwo, ponieważ narzuciła mi je rodzina, jak zawsze ze względu na władzę. Dzieliłam łóżko małżeńskie z inną. Żadna wolna kobieta, nawet najędźniejsza, nigdy nie musiała znosić podobnego upokorzenia! Ale zawsze czułam na sobie twój wzrok. Za każdym razem gdy byłeś przy mnie, a nawet wtedy gdy byłeś daleko... wzrok człowieka dobrego, odważnego, który by mnie kochał i szanował.

— To było niemożliwe, Arystomachio. Los zdecydował inaczej, my zaś musimy się z tym pogodzić, podporządkować się.

— Ale ja cię kocham, Leptinesie, zawsze cię kochałam, odkąd ujrzałam po raz pierwszy, jak z potarganymi włosami, odrapanymi kolanami biłeś się z chłopakami z Ortygii. Od tamtej pory jesteś moim bohaterem... Myślałam o wspólnej przyszłości z tobą, Leptinesie. Chciałabym mieć z tobą syna, który byłby do ciebie podobny, który miałby w oczach ten sam blask co ty...

— Proszę — przerwał jej Leptines. — Nic więcej nie mów. Przecież wiesz, że to niemożliwe.

Arystomachia zamilkła na chwilę, jakby zabrakło jej odwagi i sposobu, by mówić dalej.

— Co takiego? — zachęcił Leptines.

— Możliwe, że istnieje droga ucieczki... Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale... Filistos nic ci nie mówił?

Leptines spojrział na nią niepewnie, pytająco.

— Zaczął jakąś rozmowę, ale nie pozwoliłem mu skończyć. Odnoszę jednak wrażenie, że ty wysłuchałaś wszystkiego, co miał do powiedzenia. O co chodzi?

— Wielu ludzi w mieście ucieszyłoby się, gdybyś ty przejął władzę. Dla mnie zaś byłaby to jedyna nadzieja, żeby... Rozumiesz, co mam na myśli?

— Rozumiem doskonale — odparł Leptines. — Niestety nie pochwalam ani jednego słowa, mimo że cię kocham. Wierz mi, to szaleństwo. Wszystko utonęłoby w morzu krwi, wszystko skończyłoby się katastrofą. Nie nadaję się do takich rzeczy. Nigdy nie przystąpiłbym do spisku przeciwko bratu. A wiesz dlaczego? Bo

spisek zawsze kończy się usunięciem przeciwnika. Wyobrażasz sobie, że mógłbym zabić własnego brata?

— To nieprawda. Ocaliłbyś mu w ten sposób życie i sprawił, że znów byłby ludzki.

— Nie — zaprzeczył. — Bunt łatwo wymyka się z rąk, co mieliśmy sposobność oglądać wielokrotnie. Już sama myśl o zdradzie budzi we mnie wstręt. Ale jednego możesz być pewna: mojej miłości, oddania i szacunku. Dałbym wszystko, żeby cię mieć, ale tego nie mogę zrobić. A teraz idź... Idź, zanim ktoś odkryje, że tu jesteś.

Otworzył drzwi i chwycił ją delikatnie za ramię, jakby zamierzał odprowadzić, ona jednak odwróciła się ku niemu i zarzuciła mu ręce na szyję, wybuchając płaczem. W tej samej chwili rozległ się trzask odsuwanego rygla, po czym w progu ukazała się męska postać odziana w zbroję: Dionizjusz!

— Ona nic nie zrobiła — powiedział czym prędzej Leptines. — Nie wyrządzaj jej krzywdy.

Dionizjusz spojrział na niego wzburzony, lecz nie odezwał się ani słowem. Blask lampki oliwnej przecinał mu twarz na pół, złościąc jej rysy tak, że bruzdy na czole wydawały się jeszcze głębsze. Na jego znak jedna ze straży chwyciła Arystomachie za ramię i wyprowadziła z komnaty. Na kolejny znak zamknęto drzwi.

Leptines jął walić w nie pięściami.

— Stój! — krzyczał. — Posłuchaj, nie odchodź!

Jedyną odpowiedzią był stukot podkutych butów najemników po posadzce.

Nazajutrz dwaj wartownicy, którzy przepuścili Arystomachie, zostali straceni na koszarowym korytarzu w obecności ustawionego w szyku oddziału. Leptinesa zaś zabrano z komnaty i zaprowadzono do portu, a następnie wsadzono na pokład triery.

Dowódcą okrętu był członek Bractwa, oficer o imieniu Arche-laos, którego Leptines doskonale znał.

— Dokąd mnie wieziecie? — zapytał.

— Nie wiem — odrzekł tamten. — Cel podróży ma mi podać jeden z moich ludzi dopiero wówczas, gdy znajdziemy się na pełnym morzu. Ale aż do tej pory nie będę wiedział, który to jest. Przykro mi, wodzu.

Okręt wypłynął w morze biorąc kurs na zachód.

Jeszcze tego samego dnia Dionizjusz odwiedził Filistosa.

— Zostałem zdradzony przez własnego brata i przez najlepszego przyjaciela, przez człowieka, któremu powierzyłem pieczę nad swoją rodziną i klucze do fortecy.

— Zostałeś zdradzony przez siebie samego, Dionizjuszu. Przez niepohamowaną ambicję, przez awanturnictwo, przez bezgraniczne samolubstwo. Ilu ludzi zginęło dla ciebie, usiłując podążać za tobą w szalonych przedsięwzięciach? Nie, ja cię nie zdradziłem, Leptines zaś jest twoją pierwszą ofiarą. On cię kocha i jest ci ślepo oddany. Co do Arystomachii, między nimi nic nie było poza niewinną dziecięcą miłością. Leptines to człowiek nieskazitelnie prawy; nigdy nawet jej nie dotknął. A ty wypędziłeś go nie wiadomo gdzie. Przyznaj się: na okręcie jest najemny zabójca, prawda? Ktoś kto otrzymał rozkaz, żeby go zgładzić i zepchnąć do morza, kiedy znajdują się tak daleko, że fale nie zdołają wyrzucić jego ciała na brzeg i nikt go nie rozpozna. Zgadza się?

Dionizjusz nie odpowiedział.

— Gdyby tak było, popełniłbyś najohydniejszą, najpotworniejszą zbrodnię. Każ ścigać ten okręt, natychmiast, i powstrzymaj to okropieństwo, dopóki masz jeszcze czas. A co do mnie, zawsze starałem się ocalić cię przed samym sobą, przed niszczycielską furią, która opętała cię niczym zły duch. Nigdy nie byłbym zdolny cię skrzywdzić. To prawda, przyrzekłem, że pójdę za tobą nawet do piekła, ale spodziewałem się chwalebnych czynów, nie zaś nieustannej rzezi, niekończącego się ciągu krwawych okrucieństw.

— Milcz — nakazał Dionizjusz — nie mam ochoty cię dłużej słuchać.

— Ale mnie wysłuchasz — odparł Filistos. — Nie zastanawia cię, dlaczego twój najlepszy przyjaciel nie chce już ci dłużej towarzyszyć w samobójczym szaleństwie? Każ zabić także mnie, skoro tak postanowiłeś. Nic mnie to nie obchodzi. Ale komu wtedy zaufasz? Pozostaje jeszcze Jolaos, ale on też jest rozdarty, nim też szarpią wątpliwości. Tak bywa, jeśli człowiek zajmujący tak wysoką pozycję jak ty czyni wokół siebie pustkę. Nie będziesz już mógł liczyć na nikogo, nie będziesz miał się na kim wesprzeć. Chciałem ci tego wszystkiego oszczędzić, samotność bowiem to najgorsza męka. Nie wiem, jaki los mi zgotowałeś, ale z pewnością wkrótce

się dowiem. Nasze drogi, Dionizjuszu, dawno się jednak rozeszły, z chwilą gdy zabroniłeś mi prowadzić rokowania w sprawie przymerza z barbarzyńcami przeciwko greckim miastom. Teraz wszakże dzieli nas różnica zdań wielka niczym przepaść. Ty masz siłę, armię, władzę, ja zaś tylko słowa, a i to nie, zważywszy, że nie mam ci nic do powiedzenia. Wynik tak nierównego starcia wydaje mi się z góry przesądzony. Proszę cię tylko o jedno: nie szukaj dalszych winowajców, bo ich nie ma. Ukarz mnie, bo nie ma nikogo więcej, kogo mógłbyś ukarać.

— Zrobię to — rzekł Dionizjusz. — Żegnaj.

Tymczasem wiele osób, szczególnie członków Bractwa, pojmano, przesłuchano i uwięziono. Krążyły słuchy, że niektórych nawet potajemnie stracono. Tym razem nie było wszakże żadnych gwałtownych wystąpień. Najwyraźniej nie nastąpiła żadna reakcja. Niektórzy uznali, że nawet Bractwo boi się Dionizjusza, wszelako każdy, kto dobrze znał to stowarzyszenie, doskonale wiedział, że nie zrezygnuje ono tak łatwo z zemsty. To tylko kwestia czasu.

Filistos natomiast zauważył tylko, że jest śledzony, ale nic poza tym. Aż pewnego wieczoru przybył wysłannik z pałacu na Ortygii i oznajmił, że ma się szykować do drogi. Nazajutrz wsadzono go na statek handlowy przewożący wino i oliwę i oddano pod rozkazy kupca imieniem Sosibios.

Podróż trwała miesiąc, jej celem zaś okazała się odległa miejscowość na najdalszym krańcu Zatoki Adriatyku wewnątrz obszernej laguny. Było to miasto, od którego wzięła nazwę zatoka, Adria, siedziba Wenetów; z biegiem lat dołączyła do nich kolonia Greków, następnie zaś Etrusków. Było to miejsce wilgotne i parne, otoczone bagnami i pełne komarów nawet za dnia. Dionizjusz założył tam kolonię handlową, która wymieniała płody rolne i wyroby żelazne na jantary i rumaki bojowe.

Filistos zamieszkał w domku nad morzem w syrakuzańskiej dzielnicy. Chociaż nie widywał żołnierzy, był pewien, że wokół aż roi się od szpiegów i donosicieli i że każdy jego ruch będzie uważnie śledzony.

Pierwszy okres był bardzo ciężki, jako że Adria składała się przeważnie z chat z drewna i słomy i brakowało jej wszystkich cech, które dodawały uroku miastom greckim. Nie było tam ani

teatru, ani biblioteki, ani szkoły, ani podcieni, ani fontann, ani jakichkolwiek posągów. Nawet świątynie były nędzne i nagie i nie różniły się zbytnio od reszty chat. Gleba była tam tak miękka i tak się osuwała, że nie wytrzymałaby żadnej budowli z kamienia.

Wraz z nadejściem zimy zrobiło się jeszcze gorzej, znad okolicznych bagien i lagun unosiła się gęsta mgła, która przysłaniała i oblepiała wszystko; czuło się wilgoć przenikającą aż do kości i powodującą częste bóle w stawach.

Smutek tego miejsca, niepewność jutra i całkowity brak wieści o losie Leptinesa pograżyły Filistosa w głębokiej rozpacz. Przechadzał się brzegiem morza zasluchany w tęskne wołanie mew i spędzał bezsenne noce zadreęczając się z powodu samotności i nędzy, na które został skazany. Niekiedy zastanawiał się, czy nie poprosić Dionizjusza o przebaczenie, błagać, by pozwolił mu opuścić to okropne miejsce na końcu świata, po chwili wszakże znajdował w sobie siłę, by wytrzymać, by zacisnąć zęby. Doszedł do wniosku, że mędrzec nie korzy się przed władzą, że musi znaleźć w potędze własnego umysłu źródło niezależności i dumy. Dzięki temu zdołał przetrwać najtrudniejszy okres zimy, z nadejściem wiosny zaś jął się nawet doszukiwać przyjemnych cech w zamieszkiwanej przez siebie krainie. Kiedy zaczął wałęsać się po mieście nie niepokoiony przez nikogo, uzmysłowił sobie, że być może Dionizjusz wcale nie zamknął go w prawdziwym więzieniu. Owszem, skazał go na gorzką banicję, pozostawił mu wszakże pewną swobodę ruchów.

Kraina ta bardzo się różniła od Sycylii: była płaska i nizinna, obfitująca w lasy i wodę. Zauważył, że po lagunie pływa mnóstwo żaglowców przybyłych głównie ze wschodu, ale także z zachodu. Spostrzegł też wielką rzekę, którą miejscowi nazywali Padem, a która zdaniem Greków była mitycznym Eridanem.

Z czasem jeły napływać rozmaite wieści: otóż druhom z Bractwa, którzy nigdy o nim nie zapomnieli, udawało się coraz częściej przysłać przez kogoś ustną wiadomość. Dowiedział się w ten sposób, że Leptines nie został stracony, lecz wygnany na jakąś wysepkę na wybrzeżu iliryjskim o nazwie Lissos, gdzie Dionizjusz założył jeszcze jedną kolonię.

Na początku lata do Adrii powrócił z kolejnymi wieściami Sosibios, kupiec, który wywiózł go na miejsce zesłania.

— Nasz udział w igrzyskach olimpijskich okazał się całkowitą porażką. Namiot syrakusański był za bogaty i zanadto obfitował w zbytki: złożone pale, purpurowe płótno, liny z egipskiego lnu, wszystko to zaś od razu kłuło w oczy Greków.

Filistos, który przyjął go w swoim domu, poprosił, by się rozgościł, po czym rzekł:

— Czy to możliwe, że nikt nie służył mu radą? Grecy z metropolii są zadufani w sobie, wydaje im się, że znaczą niewiele mniej od bogów. O Ateńczykach lepiej w ogóle nie mówić. Kochają piękno, ale zarazem prostotę. Czy nikt nie czytał Tukidydesa, na Zeusa?! Wszelką przesadę uważają za przejaw barbarzyństwa.

— To jeszcze nie wszystko — ciągnął Sosibios. — Wcale nie poszło lepiej w konkursie literackim. Moim zdaniem Dionizjusz chciał wziąć w nim udział, żeby pokazać się jako człowiek wyrafinowany i wrażliwy. Chociaż jego wiersze recytował jeden z najlepszych aktorów, przyjęto je gwizdami i śmiechem z powodu, jak powiadają, ich słabej jakości.

Filistos nie mógł się powstrzymać od zadowolenia słysząc tę wiadomość.

— Gdybym był przy nim — odparł — to by się nie stało. Odradziłbym mu udział w konkursie albo kazałbym napisać wiersze jakimś dobremu poecie. Niestety otaczają go teraz sami pochlebcy, którzy z pewnością wychwalają pod niebiosa zalety tej poezji, a on w to uwierzył.

— Coś w tym rodzaju — przyznał jego rozmówca.

— A co z zawodami sportowymi?

— Sromotna klęska... — parsknął Sosibios. — Podczas wyścigów rydwanów nasze dwie kwadrygi się zderzyły powodując niesłychane zamieszanie: trzech woźniców straciło życie, dwóch zaś zostało okaleczonych do końca swych dni. Nie dość na tym: wielki mówca ateński Lizjasz wygłosił orędzie do Greków, by obalili tyrana z Syrakuz, który sprzymierzył się z barbarzyńcami, aby zniszczyć greckie miasta Italii, i który ciągle oblega Region, otwarcie łamiąc święty rozejm zapewniający pokój między Grekami na cały czas trwania igrzysk. Namiot natychmiast został otoczony przez tłum, który domagał się wypędzenia Syrakuzan z obszaru igrzysk. A teraz — ciągnął — najgorsza wiadomość:

Jolaos, który dowodził wyprawą podczas powrotu, nadzieją się na burzę w zatoce Tarentu i zatonął wraz ze swoim okrętem.

— Czy... zginął? — zająknął się Filistos.

Sosibios skinął potakująco głową. Filistos rozplakał się, stracił bowiem ostatniego przyjaciela, który był świadkiem złotych lat Dionizjusza i który w głębi duszy pozostał mu wierny do samego końca.

— Kiedy ruszasz znowu? — zapytał wreszcie kupca.

— Za trzy dni, kiedy tylko załaduję towar.

— Dałbyś radę przekazać ode mnie wiadomość Leptinesowi? Czy on jest nadal w Lissos?

— To zbyt niebezpieczne — wykręcił się Sosibios. — Ale mogę poprosić kogoś, kto tam płynie, aby powtórzył mu, że żyjesz i masz się dobrze. Odpowiada ci to?

— Jestem ci wdzięczny — podziękował mu Filistos. — Bardzo się przyjaźnimy, sądzę więc, że miło mu będzie dostać wiadomość ode mnie.

Pożegnali się trzy dni później w porcie. Sosibios stał już jedną nogą na trapie, gdy nagle obejrzał się za siebie.

— Zapomniałem o najciekawszym — oznajmił. — O sprawie Platona.

— Platona? — powtórzył Filistos wybałuszając oczy. — Masz na myśli tego wielkiego filozofa?

— Właśnie jego. Odwiedziwszy tej wiosny Italię, zawitał na Sycylię, a potem także do Syrakuz. Możesz sobie wyobrazić, ile zaproszeń otrzymał od najszacowniejszych ośrodków w mieście, zdaje się, że nawet od jakiegoś stowarzyszenia należącego do Bractwa. Z miejsca zaczął rozprawać, że nasz zbytek jest godny pożałowania: zwyczaj jadań trzy razy dziennie, sypiania z żoną co noc, utrzymywania nader wystawnych domów. Niezadowolony, podczas pewnej rozmowy jął ganić przywary, przekupstwo i wypaczenie instytucji pod rządami tyranii, podkreślając zarazem, że owej plagi nie sposób wyplenić, ale że istnieje inne wyjście. Otóż filozofowie powinni zająć się edukacją następcy tyrana, robiąc zeń filozofa, czyli władcę godnego tego miana. Wyobrażasz sobie? Zaofiarował się jako preceptor młodego Dionizjusza.

— To ci odwaga! — uznał Filistos.

— Odwaga? Powiedziałbym raczej, że czyste szaleństwo.

— Czy oni obaj, to znaczy Dionizjusz i Platon, spotkali się twarzą w twarz?

— Ani na chwilę — zaprzeczył Sosibios. — Kiedy wszystkie te piękne propozycje dotarły do uszu Dionizjusza, kazał kapitanowi okrętu, który odwoził filozofa do Grecji, aby sprzedał go piratom.

— Na Heraklesa! — wybuchnął Filistos zdumiony. — Piratom?

— Właśnie tak. Jego uczniowie musieli go wykupić na targu w Eginie, zanimby skończył nie wiadomo gdzie.

Filistos nie mógł powstrzymać szyderczego uśmiechu, przypomniawszy sobie słowa Dionizjusza: „Filozofowie! Omijam ich jak psie gówna na ulicy.”

Po wyjeździe Sosibiosa Filistos powrócił do dalszych zajęć, czyli do spisywania dziejów Sycylii, co obecnie szło mu wyjątkowo opornie ze względu na skąpą wiedzę. W ciągu następnego roku znalazł zatrudnienie u mieszkańców Adrii, którzy darzyli go teraz ogromnym szacunkiem. Otóż powierzyli mu oni poważne zadanie zbudowania kanału łączącego najbardziej wysuniętą na północ odnogę Padu z ich laguną, tak aby można z miasta uczynić jeszcze bogatszy i bardziej uczęszczany ośrodek wymiany handlowej. Filistos zaś zabrał się do dzieła.

XXIX

Filistos spędził w Adrii jeszcze pięć lat w warunkach pod wieloma względami osobliwych. Banicja pozostawiła mu niemal całkowitą wolność. Jedyłą rzeczą, jakiej mu zabroniono, był powrót do Syrakuz. Pogodziwszy się z tym nader bolesnym zakazem, zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości Dionizjusz wysłał go w to miejsce z niepisaną misją: mianowicie nic nie mówiąc powierzył mu zadanie dowodzenia powstającą tu kolonią.

Tymczasem prace nad budową kanału łączącego północną odnogę Padu z laguną posuwały się naprzód, Filistos zaś często nadzorował je osobiście, pozostając na placu przez całe dni, a niekiedy nawet miesiące. Zeschupał, ogorzał od słońca i wydawał się wręcz młodszy. Kiedy dzieło dobiegło końca, wrota słuzy zaś podniosły się pozwalając płynąć wodzie, widok był zachwycający.

Kanał regulował i kierował wody wielkiej rzeki tworząc nowy szlak, który łączył miasto z całym ogromnym interiozem obfitującym we wszelkiego rodzaju bogactwa naturalne: bydło, skóry, pszenicę, drewno, a także wino, oliwę i wyroby żelazne pochodzące z Etrurii. Było to jednym słowem przedsięwzięcie zapewniające pokój i dobrobyt. Mieszkańcy Adrii, wdzięczni pomysłodawcy, ufundowali mu napis w miejscowej świątyni, nowy kanał zaś nazwali „Fosą Filistosa”. Wzruszony Filistos doszedł do wniosku, że nazwa ta pewnie będzie miała więcej szczęścia w uwiecznieniu jego imienia niż kroniki, które nadal pisał z zapalem.

Nie tylko Syrakuzanie osiedlali się w Adrii. Na położonym na zachodnim wybrzeżu cyplu w kształcie łokcia założono inną

kolonię nazwaną z tego powodu Ankoną. Tymczasem Celtowie, którzy spalili Rzym osiem lat wcześniej, zamieszkali na stałe na ziemiach Umbrów, w pobliżu tej nowej kolonii na cyplu, skąd czerpali żołnierzy do swej armii.

Pewnego wiosennego dnia do Adrii przybił okręt wojenny o nazwie „Aretuza”, który Filistos widział wielokrotnie w Lakkios, a który wykorzystywano obecnie wyłącznie w misjach dyplomatycznych. Natychmiast też oznajmiono mu, że ma gościa, po czym stanął przed nim Aksal, celtycka straż przyboczna Dionizjusza. Zdążyły mu się pojawić gdzieś siwe włosy, poza tym przybrał nieco na wadze, dzięki czemu wydawał się tylko bardziej majestatyczny.

— Aksal! — zawołał na powitanie Filistos. — Nigdy bym się tu ciebie nie spodziewał. Cóż cię sprowadza na ten koniec świata?

— Pan chce moich braci jako najemników i mówić, że ty popłynąć ze mną, żeby zawrzeć układ.

— Doprawdy nie otrzymałem od niego żadnej wskazówki ani wiadomości w tej sprawie, dlatego też sądzę, że nie powinienem się stąd ruszać. Ale jestem przekonany, że doskonale sam sobie poradzisz. Chociaż twoja greka niewiele się polepszyła, za to jak przepuszczam, świetnie władasz ojczystym językiem.

Aksal nie dawał za wygraną.

— Pan mówić, że jeśli ty nie chcesz iść, ja wziąć cię ze sobą i tak — wyciągnął dwa wielkie łapska przypominające kończyny niedźwiedzia.

— Dobrze już, dobrze — uspokoił go Filistos. — Popłynę. Ale daj mi chociaż czas, żebym się przygotował...

— Jutro my wyruszać,

— Zrozumiałem. Tylko muszę znaleźć kogoś, kto zaopiekuje się moimi pismami i rzeczami osobistymi...

— Ty zabrać wszystko — powiedział na to Aksal.

Filistosowi serce zabiło mocniej.

— Wszystko? Co to znaczy? Mów jaśniej, zwierzaku.

— Wszystkie twoje rzeczy. Ty nie wracać więcej do tej dziury.

— Nie? Więc dokąd mnie zabierasz?

— Tego Aksal nie mówić.

— Rozumiem — odrzekł z rezygnacją Filistos.

W głębi serca nie śmiał sobie wyobrazić ostatecznego celu tej podróży. Doszedł do wniosku, że Ankona byłaby już i tak niezłym krokiem naprzód. Musiało to być miasto co się zowie.

Dotarli na miejsce w ciągu sześciu dni; przez pierwsze dwa płynęli spokojnie wzdłuż lagun, pozostałe cztery nie minęły już tak gładko z powodu zachodniego wiatru, który spychał ich nieustannie na pełne morze znosząc niemłodą już „Aretuzę” w niepokojący sposób. Chociaż Aksal wcale nie był świeżo upieczonym żeglarzem, przejawiał napięcie, przy silniejszych falach zaś często wydawał gardłowe okrzyki, zapewne by uśmierzyć podniecenie.

Ankona rzeczywiście okazała się prawdziwym miastem, i to pod każdym względem. Posiadała przepiękny port owiewany przez Boreasa, z osłoniętymi miejscami dla statków handlowych i okrętów wojennych, a także z imponującym akropolem na szczycie zbocza górującego nad zatoką. Dionizjusz kazał tam zbudować wspaniałą świątynię widoczną z oddali, na dole zaś nad portem, w którym uwijało się mnóstwo żaglowców, agorę z podcieniami.

Targ przedstawiał się niezwykle malowniczo — byli tam Grecy z kolonii i z metropolii, Picenowie z głębi kontynentu w swych różnobarwnych szatach z haftowanej wełny, Umbrowie, Etruskowie i Celtowie w dużej liczbie, i to zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Filistosa uderzyła moda celtyckich niewiast, które były wysokie, miały szczupłe nogi, obfite piersi i jaśniuteńkie warkoczki sięgające im do pasa. Niektóre trzymały na rękach dzieci i kupowały u kramarzy rozmaite towary wydając najlepsze syrakuzzańskie monety. Mężczyźni robili imponujące wrażenie: wielcy jak dęby, muskularni, nosili naszyjniki, wełniane nogawice ściągnięte w kostkach, chodzili natomiast z nagim torsem, u pięknych zaś pasów, plecionych niczym kolczugi albo wykonanych z metalowych rzeźbionych płytek, zwisały im długie miecze.

Pobór wojowników odbywał się w porcie, gdzie spotkali się pośrednicy greccy mówiący po celtycku, przede wszystkim zaś celtycy władający greką, która nie różniła się zbyt od greki Aksala. Filistos poczuł się tak, jakby narodził się na nowo: wreszcie znów otaczała go polis, nawet jeśli była nieco zborsuczona.

W ciągu siedmiu dni podpisał ze dwadzieścia umów werbunkowych i wypłacił tyleż zaliczek, po czym „Aretuza” wypłynęła w morze.

Filistosa zachwyciły siady syrakuzkańskiej obecnoŝci na tym obszarze; byŝo oczywiste, ŝe skoro rynki na morzach wschodnich pozostajĄce w rĄkach KartagińczykÓw sĄ zamkniĄte dla Dionizjusza, znaczenia nabrĄł Adriatyk, gdzie mÓgł zarÓwno rozwijać handel, jak i zakłAdać nowe kolonie.

Od dowÓdcy okrĄtu usłyszĄł teŝ inne ciekawe wieŝci. OtÓŝ otwarcie nowych rynkÓw i spokÓj panujĄcy w ciĄgu minionych lat przyniosł dobrobyt w całym krÓlestwie Dionizjusza, jego małŝonki zaŝ wydawały na ŝwiat kolejne potomstwo. OstatniĄ latoroŝl, dziewczynkĄ, ktorĄ powiła Arystomachia, z wyraŝnej woli ojca nazwano Arete.

Na dŝwiĄk tego imienia Filistos doszedł do wniosku, ŝe na dnie serca tyrana tłĄ siĄ jeszcze jakieŝ uczucia. Powrócił myŝlami ku Arystomachii zmuszonej rodić mu dzieci, chociaŝ kocha innego mĄŝczyznĄ, uznał jednak, ŝe czas leczy rany i skłania kaŝdego, by z wiĄkszĄ dzielnoŝciĄ znosił rozmaite koleje losu i trudy ŝycia.

Zorientowawszy siĄ pewnego dnia, ŝe statek płynie na wschÓd, Filistos pomysłĄł, ŝe celem jego podrÓŝy jest kolejny posterunek zagubiony wŝród niezliczonych wysp i zatok iliryskiego wybrzeŝa, gdzie Syrakuzy zakłAdały nowe osady. Aŝ tu nagle doznał ołŝnienia: Lissos! Być moŝe płynęli do Lissos.

Przybili tam istotnie, choć nie bez kłopotÓw, wieczorem trzeciego dnia od opuszczenia Ankony. WkrÓtce teŝ na oczach zamkniĄtego w sobie Aksala Filistos ujrzał przed sobĄ starego, utęsknionego ukochanego druha.

— Leptines! — zawołał na jego widok.

— Filistos!

Uŝciskali siĄ z całej siły ze łzami w oczach.

— Ty psi synu! — rozeŝmiał siĄ Filistos. — CiĄgle jesteŝ cały i zdrowy! Tak siĄ ciesze, na Zeusa, tak siĄ ciesze!

— To naprawdĄ ty, stary wysrywaczu sentencji! — wykrzyknĄł Leptines drŝĄcym glosem. — Popatrz, popatrz, jesteŝ ŝliczny jak ladacznicza z Efezu! Najwyraŝniej adriatycki klimat dobrze ci słuŝy! Gdzieŝ ty siĄ podziewał?

— Ni mniej, ni wiĄcej, tylko wlaŝnie w Adrii.

— W Adrii... A gdzie to jest?

— DokłAdnie na końcu zatoki — Filistos pokazał palcem na pÓłnoc. — Z poczĄtku komary omal mnie ŝywcem nie zjadły, ale

potem dały mi spokój albo to ja do nich przywykłem. Ileż to czasu... Bogowie, ile czasu!

Wziąwszy się pod ręce, ruszyli w złocistym przedwieczornym blasku piękną brukowaną drogą wiodącą do niewielkiego miasta, aż dotarli do kwatery Leptinesa — pałacyku z szarego kamienia z wewnętrznym dziedzińcem otoczonym z trzech stron kolumnami. Pośrodku widniała studnia ozdobiona kwietnymi motywami.

— Nieźle się urządziłeś — stwierdził Filistos.

— Nie narzekam.

— Jednym słowem brat wcale nie najgorzej cię potraktował.

— Nie — przyznał dość oschle Leptines. — A ty? Jak sobie radziłeś?

— Mogłem się przemieszczać. W pewnym sensie miałem władzę. Krótko mówiąc żyłem w warunkach czegoś w rodzaju ograniczonej wolności. Widziałeś, co się stało z Aksalem?

— Nie, nie zwróciłem uwagi.

Filistos rozejrzał się dokoła.

— Przecież był tuż za mną... Wiesz, twój brat powierzył mi zadanie zwerbowania Celtów na targu w Ankonie. A przynajmniej tak mi powiedział Aksal. Bezpośrednio od niego nie usłyszałem ani słowa. A ty?

— Ja też nie.

— Aksal kazał mi załadować wszystkie moje rzeczy mówiąc, że już nie wrócę do Adrii. Może przenieśli mnie tutaj. Podoba mi się to miejsce. Jak widać, klimat jest przyjemny i nie ma komarów. Moglibyśmy zagrać czasem w kości i pójść razem na ryby. Wiesz, teraz, kiedy zdążyłem odwyknąć od polityki, muszę przyznać, że wcale mi jej nie brakuje. To był świat szaleńców... A ty?

— Ja? — powtórzył Leptines. — Ech... — I zamilkł.

— Właśnie — dodał Filistos. — Ty jesteś zwierzęciem do walki. Musisz się teraz czuć jak „Bubaris” pływająca w misie.

— Mniej więcej — zgodził się z nim Leptines. — Jesteś moim gościem — raptem zmienił temat. — Mam na wieczерę rybę. Pasuje ci?

— Czy mi pasuje? Zjadłbym skórę od czerstwego chleba, byleby tylko posiedzieć w towarzystwie starego druha.

Zjedli razem wieczерę w wewnętrznym dziedzińcu wyciągnięci na łóżach, rozkoszując się mnóstwem potraw i mając mnós-

two niewolników na swe usługi. Pozostali do późna, popijając wino i wspominając stare dzieje. Filistos uzmysłowił sobie jednak, że Leptines prawie nic nie wie na temat tego, co wydarzyło się w Syrakuzach i metropoliach przez te lata. Musiał zatem przebywać w odosobnieniu.

— Czy twój brat napisał do ciebie choć raz? — zapytał w pewnej chwili.

Leptines pokręcił głową.

— Może przesłał ustne wiadomości?

— Nie.

— Rozumiem. Ale czy twoim zdaniem pozwolą mi tu zostać?

— Nie mam pojęcia. Nie traćmy nadziei. Chciałbym, żeby tak było.

Kiedy rozstali się późną nocą, Filistos jął się wpatrywać w księżyc w pełni, zalewający swym blaskiem reń i nieliczne okręty na kotwicowisku. Był to zachwycający widok. Tutaj też istniał skrawek Grecji. Wzniesiono świątynię, zbudowano plac i port, w głębi łądu rozpowszechniono także język, zwyczaje i religię Hellenów.

Wczesnym rankiem obudziły go krzyki mew, po chwili zaś usłyszał jakiś hałas pod drzwiami wejściowymi. Zszedłszy sprawdzić, co się dzieje, natknął się na Aksalą.

— Co się stało?

— My wyruszać w drogę — odrzekł Celt.

— Kto: my?

— My: Aksal, ty i dowódca Leptines.

— Na Zeusa, tylko mi nie mów, że... Dokąd płyniemy?

— Do Syrakuz. Okręt wyruszać razem z odpływem. Prędko.

Filistos wbiegł zdyszany po schodach na górę i wpadł do komnaty Leptinesa.

— Wyjeżdżamy! — zawołał.

— Co ty wygadujesz?

— Aksal mi powiedział: wracamy do domu, przyjacielu, wracamy do domu!

Słowa te wprawiły Leptinesa w osłupienie, nie potrafił wykrztusić słowa. Przechadzał się tam i z powrotem, co chwila wyglądając przez okno.

— Musisz się pospieszyć — ponaglił Filistos. — Aksal chce podnieść kotwicę wraz z odpływem.

— Aksal nic nie rozumie. W porcie jest tak głęboko, że nie musimy się martwić o przyptywy i odpływy. Mamy mnóstwo czasu.

— Ejże, cieszysz się czy nie? Masz taką minę...

— Ależ tak, oczywiście... tylko już myślę o tym, jak stanę z nim twarzą w twarz.

Nikt nie czekał na nich na pomoście, najwyraźniej też nikt ich nie rozpoznał, gdy wysiedli z „Aretuzy”, zupełnie jakby byli zjawami. Rozglądali się wokoło zdumieni z powodu tych wszystkich zmian, które rzucały im się w oczy: nowych budowli, ludzi. Wszystko wydawało się nowe i inne, sprawiając, że w pewnym stopniu czuli się obco. Naraz Leptines spojrzął na doki, w których naprawiano statki, i nie mógł powstrzymać łez.

— Co się stało? — zapytał Filistos, który to zauważył.

— Nic — odparł Leptines ruszając dalej, zerknąwszy jednak w tym samym kierunku, Filistos spostrzegł rozebraną na kawałki „Bubaris”. Jej ogromny wrak, niepowtarzalny ze względu na rzeźbę na dziobie, wyglądał niczym szkielet walenia wypalony przez słońce.

Ciągle podążali za Aksalem, wieczny szum w porcie stanowił zaś jedyne tło, jak w jakimś rojowisku.

Ortygia.

Surowy pałac Dionizjusza pozostał niezmienny, podobnie jak nieprzyjazne twarze jego najemników. Minąwszy dziedziniec i wspiąwszy się po schodach (nadal posuwając się za Aksalem, który nie odezwał się ani słowem), stanęli przed salą audiencyjną. Drzwi były lekko uchylone, Celt dał im zatem znak, by weszli.

Dionizjusz siedział w kącie na zydłu odwrócony do nich plecami. Tron, na którym przyjmował poselstwa, był pusty. Słysząc trzask zamykanych drzwi, obejrzał się i wstał. Żaden z nich nie potrafił wykrztusić słowa, toteż komnata sprawiała wrażenie sto razy większej niż w rzeczywistości.

— Posłałeś po nas... — powiedział w końcu Filistos. Mówił tak, jakby przybyli tu na piechotę z sąsiedniej dzielnicy, a nie z końca świata, i to po wielu latach rozłąki.

- Tak — odparł Dionizjusz.
Po czym nastąpiło kolejne niekończące się milczenie.
- My... To znaczy twój brat i ja cieszymy się, żeś to zrobił — ciągnął Filistos. Starał się rozładować ciężki nastrój jakimś żartem. — Prawdę mówiąc nudziłem się na tej lagunie wśród całej chmary komarów.
- A ty? — zapytał Dionizjusz zwracając się do Leptinesa. Leptines stał ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w ziemię.
- Nawet się ze mną nie przywitasz? — drażył tamten.
- Leptines podszedł bliżej.
- Witaj, Dionizjuszu. Dobrze wyglądasz.
- Ty też sprawiasz przyjemne wrażenie. Nie było ci chyba tak źle.
- Nie. Nie aż tak bardzo.
- Potrzebuję twojej pomocy.
- Doprawdy?
- Przygotowuję się do ostatniej wojny z Kartagińczykami. Ostatniej, rozumiesz? I potrzebuję cię. Jolaos nie żyje.
- Wiem. Biedny chłopiec.
- Chłopiec... Nie przestajemy używać tego słowa od zbyt wielu lat.
- Właśnie.
- Spoglądając na nich Filistos poczuł, jak coś mu pęka w środku, jak łzy wzruszenia napływają mu do oczu. Dostrzegał pomiędzy tymi dwoma mężczyznami naznaczonymi trudami surowego i twardego życia braterską miłość, która nadal była tak silna, że zdołałaby przebić najgrubszy nawet pancerz wzajemnych żalów, podejrzeli, lęku, racji stanu, polityki czy władzy. Potężną i przesywającą serce przyjaźń, zranioną i urażoną, i być może właśnie przez to jeszcze głębszą.
- Co masz mi do powiedzenia? — ponaglił Dionizjusz.
- A czego ode mnie oczekujesz? Zesłałeś mnie na tę skałę na pięć lat bez ani jednego słowa, nie dając żadnego znaku życia. Pięć lat...
- Może lepiej nie odgrzebywać przeszłości — wtrącił nie w porę Filistos, po czym natychmiast umilkł, zdał sobie bowiem sprawę, że palnął głupstwo.

Nie mogłem ci wybaczyć tego, coś uczynił...

— Zrobiłbym to teraz znowu, gdybym znalazł się w tych samych okolicznościach — odrzekł zdecydowanym tonem Leptines.
— Możesz mnie więc odesłać z powrotem, i to zaraz.

Dionizjusz westchnął. Był rozdarty między tłącym się jeszcze dawnym gniewem a wzruszeniem, że oto stoi przed nim po tak długim czasie najlojalniejszy i najszlachetniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek znał. Ten człowiek zaś był jego bratem.

— Potrzebuję twojej pomocy — powtórzył i podszedł o krok bliżej.

Patrzyli sobie w oczy z maleńkiej odległości i żaden z nich nie spuścił wzroku. Filistos miał ochotę schować się w mysiej dziurze.

— Postawmy sprawę jasno — oświadczył Leptines. — To ty po mnie posłałeś. Nie ja poprosiłem o pozwolenie na powrót.

— Niech ci będzie — zgodził się Dionizjusz. — I co jeszcze? Zapanowało tak wielkie napięcie, że Filistos poczuł gęsią skórkę, tym razem wszakże nie odezwał się ani słowem.

— Ach! — zawołał Leptines. — Rozsiekać w łajno cały świat! — I wyszedł.

Odczekawszy, aż trzaśnie drzwiami, Dionizjusz powtórzył z szyderczym uśmiechem:

— Rozsiekać w łajno cały świat...

— Czy mnie też potrzebujesz? — zapytał Filistos.

— Owszem — odparł Dionizjusz — siadaj. — Podsunąwszy mu zydel, przemówił tak, jakby od ich ostatniego spotkania minęło zaledwie parę godzin. — Posłuchaj mnie uważnie. Traktat pokojowy przyznawał Kartagińczykom prawo do żądania haraczu od Akragas, Selinuntu i Himery.

— Zgadza się.

— Otóż miasta te wysłały do mnie posłów z wiadomością, że są gotowe przejść na naszą stronę, jeśli będziemy je ochraniać. Dały mi wszakże jasno do zrozumienia, że nie zamierzają zamieniać jednego poddaństwa na drugie.

— Pojmuję. Mów zatem, co mam zrobić.

— Spotkasz się z ludźmi rządzącymi w tych miastach i wynegocjujesz taki rodzaj... akcesji, który będzie szanował ich niezależność i nie urażał godności. Dobrze zrozumiałeś?

— Doskonale — zapewnił Filistos.

— To wszystko.

— Wszystko? — powtórzył.

— Bo co? Mamy sobie jeszcze coś do powiedzenia?

Filistos spuścił głowę.

— Nie — odrzekł — chyba już nic.

Kiedy opuścił komnatę, Aksal już czekał, by odprowadzić go do domu.

Wszedłszy do środka, stwierdził, że wszystko jest w idealnym porządku: świeżo pomalowane ściany, meble zaś i sprzęty wyglądają tak, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał. Usiadł więc, wziął tabliczkę i rysik, po czym rzekł z głębokim westchnieniem:

— Zabierzmy się do pracy.

Leptines odwiedził go kilka dni później. Miał pociemniałą twarz i był w grobowym nastroju.

— A czego się spodziewałeś? — zapytał Filistos odkładając zwoje. — Że rzuci ci się na szyję?

— Nie — zaprzeczył tamten. — Nawet we śnie.

— Tymczasem się mylisz, bo zrobił to na swój sposób. Poprosił cię o pomoc, a to tak jakby padł przed tobą na kolana.

— Bo został sam jak pies. Nikomu nie może zaufać.

— Właśnie. Teoretycznie nie powinien ufać nawet nam. Kiedy się rozstawaliśmy, sytuacja wcale nie była jasna.

— Może w twoim wypadku, ale nie w moim.

— To prawda. W gruncie rzeczy jestem pewien, że jego uczucia do ciebie w ogóle się nie zmieniły. Co do mnie, nie sądzę, by kiedykolwiek mi wybaczył. A wiesz dlaczego? Ty zawiodłeś go sercem, ja zaś umysłem... Mimo to mu służę. Jestem najlepszy we wszelkich rokowaniach i tylko ja mogę uzyskać to, czego żąda. Ale to mi wystarczy. Przyznaję, wystarczy mi, że jestem blisko niego.

— A te przemowy, te projekty zmian, w które chciałeś mnie włączyć? Już je zarzuciłeś? Teraz wszystko jest w porządku?

— Ludzie zajmujący się pisaniem powinni trzymać się z dala od działania — westchnął Filistos. — Nie nadają się do tego. Moje niezdarne plany okazały się potwornym błędem, a jeszcze większym to, że usiłowałem cię w nie wciągnąć. Ale zrobiłem to

w dobrej wierze, przysięgam. Pokręciłeś się trochę po miesiecie? Widziałeś, co się dzieje? Tutaj nikt już nie myśli o polityce. Instytucje władzy pracują sprawnie, Rada Obywatelska może rozprawiać w dużej liczbie o gospodarce, o porządku publicznym, o urbanistyce, granice są strzeżone tak, że nawet mysz się nie prześlizgnie, gospodarka idzie pełną parą, w obrocie jest mnóstwo pieniędzy. Syrakuzy to potęga, która może się równać z Atenami, Spartą, a nawet z Persją. Wcale nie zdawałem sobie z tego sprawy. O nim zaś powiadają, że nawet zaczął pisać lepsze wiersze. Istny cud, o ile to prawda. Zbudował system, który działa, rzeczywistość zaś to potwierdza. Okres bohaterstwa się skończył, przyjacielu. Teraz mamy przed sobą mężczyznę w średnim wieku, zbyt surowo traktującego swego pierworodnego syna, który podobno jest coraz bardziej nieśmiały i słaby, porywczego i często nie do zniesienia, mimo to jednak ciągle zdolnego wymyślać nieprawdopodobnie zuchwałe strategie. W gruncie rzeczy gdyby chciał, mógłby spokojnie cieszyć się starością: przyjmować zagranicznych przedstawicieli, zaszczycać swą obecnością uroczystości publiczne i przedstawienia teatralne, jeździć na polowania, hodować psy. Tymczasem on szykuje się do wyprawy na Kartaginę. Jak twierdzi, ostatniej. Potem zaś cała Sycylia już będzie grecka i stanie się pępkiem świata, nową metropolią. Jeśli się dobrze za stanowić, przy jej położeniu pośrodku morza, w jednakowej odległości od Hellespontu i Słupów Heraklesa, to jej naturalne przeznaczenie. On ma ogromną wizję, rozumiesz? Niestety jest coś, co udaremnia całe przedsięwzięcie.

— Niby co takiego?

— To proste: nie będzie już drugiego Dionizjusza. Wszystko opiera się na nim, niczym niebo na ramionach Atlasa. Nawet najlepszy tyran nie może się równać z najgorszą demokracją. Nikt go nie zastąpi, kiedy zaś on upadnie, jego budowla, choćby była nie wiadomo jak wielka i potężna, runie wraz z nim. To tylko kwestia czasu.

— W takim razie skoro to niepotrzebne, dlaczego wróciliśmy? — zdziwił się Leptines.

— Dlatego, że nas do siebie wezwał — odparł Filistos. — I dlatego, że go kochamy.

XXX

Ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę — powiedział Leptines i otworzył.

Ujrzał przed sobą Arystomachię — była tak samo piękna jak wtedy, gdy widział ją po raz ostatni, lecz bladejsza. Potrzebował chwili, by się otrząsnąć, jakby zobaczył ducha.

— Wejdz — zachęcił.

Arystomachia zdjęła woal.

— Cieszę się, że cię widzę. To była długa rozłąka.

— Ja też się cieszę. Na wygnaniu bez przerwy o tobie myślałem. A teraz jesteś tutaj... Nigdy bym nie przypuszczał. Czy to on cię przysłał?

— Nie — odparła. — Zapytałam, czy mogę się z tobą zobaczyć, a on się zgodził.

Leptines nie wiedział, co powiedzieć.

— To szlachetny gest — przyznała Arystomachia.

— Tak sądzisz?

— A ty co o tym sądzisz?

— Może myśli, że zdołasz mnie nakłonić, abym pomógł mu w następnej wojnie.

— Och, nie — westchnęła — to nie tak. Możesz robić to, co chcesz. Twoje wynagrodzenie zostało ci przyznane z powrotem. Ziemie są nietknięte i dobrze utrzymane. Możesz wybrać spokojne życie i nikt nie będzie miał ci tego za złe. A już na pewno nie on.

— Skąd wiesz?

— Bo mi powiedział.

- Rozmawialiście o mnie?
- Codziennie, od kiedy wróciłeś. Czasami... także wcześniej. Chociaż nigdy nie chciał się do tego przyznać, rozłąka z tobą sprawiała mu najgorsze męki.
- Leptines przetarł dłonią czoło.
- A co... Co mówiliście?
- Liczysz się dla niego najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie. Bardziej ode mnie, od jego dzieci, bardziej od drugiej żony.
- Słowa...
- To coś więcej niż słowa. To uczucia — odparła Arystomachia drżącym głosem. — To cenna spuścizna, jedyna, dla której warto chodzić po ziemi. Gdybym mogła, chciałabym cię nakłonić, abyś wiódł spokojny żywot. Nie ciąży ci już obowiązek rządzenia ani dowodzenia. Zapłaciłeś wysoką cenę za swoją odwagę, męstwo i uczciwość.
- Leptines długo przyglądał się jej w milczeniu, wsłuchany w bicie własnego serca. Czuł jednak, że wszystkie te rady, nawet jeśli płynęły z ust ukochanej kobiety, były sprzeczne z jego naturalnymi skłonnościami.
- Obawiam się, że takie życie to nie dla mnie — odrzekł.
- Pięć lat siedziałem na tych chłostanych wiatrem skałach i codziennie wpatrywałem się w morze. Bezczyność to dla mnie męczarnia nie do zniesienia. Będę miał czas na wieczny odpoczynek, kiedy zamkną mnie w grobie. Powiedz mojemu bratu, że jestem gotów chwycić za miecz i walczyć dla niego, ale tylko przeciwko staremu wrogowi. I tylko w tym celu będę czekał na wezwanie.
- Arystomachia podniosła nań wilgotne oczy.
- A więc znów będziesz walczył.
- Jeśli trzeba, tak.
- Będę się modlił do bogów, żeby mieli cię w opiece.
- Dziękuję ci, chociaż nie wierzę, żebym ich w ogóle obchodził. O wiele bardziej będą mnie chroniły twoje myśli.
- Zawsze będę myślami przy tobie, o każdej porze dnia i nocy. Spotkanie z tobą było mi wielką pociechą. Dbaj o siebie.
- Musnąwszy jego usta wargami, wyszła.
- Nigdy więcej się już nie spotkali sam na sam.

Przygotowania trwały trzy lata, podczas których Dionizjusz rozszerzył swe panowanie na większą część Związku Italskiego, Kroton, mimo że ten sprzymierzył się z Kartagińczykami. Zmasowany atak najemników zapewnił mu zwycięstwo.

W rzeczywistości przymierze między Związkiem a punickim miastem nigdy nie przyniosło żadnych korzyści, jako że w Kartaginie znów wybuchła zaraza i należało stłumić kolejny bunt Libijczyków. Tymczasem Dionizjusz, chcąc zapełnić puste skrzynie skarbcza, a także dać nauczkę etruskim piratom, którzy rozszerzali swe wpływy coraz dalej na południe, przedsięwziął śmiałą wyprawę aż na sam środek Morza Tyrreńskiego, jeden z jego oddziałów zaś zajął i splądrował ich świątynię w Agylli, z powodu jej wyglądu nazywaną przez Greków „Wieżami”.

Najazd przyniósł mu ponad tysiąc talentów oraz potępienie przez filozofów, którzy po raz kolejny określili go mianem potwora, co to nie ma szacunku nawet dla bogów.

Jednocześnie zaś Filistos podpisał nowe traktaty z Akragas, Selinuntem i Himerą, włączając je do Wielkiej Sycylii Dionizjusza. Ziemie należące do Kartagińczyków skurczyły się do najdalszego zakątka na zachodzie wyspy, obejmującego nieliczne miasta, które pozostały jeszcze w rękach punickich.

Zgodnie z tym co dał mu swego czasu do zrozumienia, Leptines nie poparł wprawdzie brata w wyprawie przeciwko Etruskom, przygotował się wszakże do rozstrzygającego starcia z wrogiem z Kartaginy. Codziennie godzinami ćwiczył wraz z Aksalem w gimnazjonie walkę wręcz, na pięści, z tarczą i z mieczem. Kiedy ci dwaj stawali pośrodku areny, każdy z obecnych przerywał wszelkie czynności i tłoczył się wokół niej wraz z innymi, by podziwiać pojedynek obu tytanów. Drżenie mięśni, lśniąca krople potu, urywany oddech wydobywający się z rozwartych ust — wszystko to sprawiało, że walka ta, której brakowało jedynie krwi, by upodobnić się w zupełności do pojedynku na śmierć i życie, wydawała się niezwykle rzeczywista.

Wróciwszy z Italii, Dionizjusz zaprosił swego brata i Filistosa na wieczerzę. Byli zupełnie sami, wystrój komnaty zaś przywodził na myśl obóz wojskowy: stół z heblowanego drewna i składane zydle.

— Widziałeś? Związek Italski sprzymierzył się z Kartagińczykami. Oni nie mają skrupułów, żeby zawierać sojusze z barbarzyńcami.

— Nie graj podrabianymi kośćmi: dobrze wiesz, jak się sprawy mają. Istnieją ludzie, dla których wolność jest najwyższym dobrem, ważniejszym nawet od więzów krwi i wspólnoty językowej. A ja ich rozumiem.

Dionizjusz skinął głową z powagą.

— Mimo to zgodziłeś się stanąć u mojego boku w następnej wojnie.

— Tak.

— Mogę zapytać dlaczego?

— Nie.

— Niech będzie. Mogę ci zaufać?

— Tak.

— Jak... za dawnych czasów?

Leptines spuścił głowę. To jedno pytanie wystarczyło, by wywołać lawinę wspomnień i rozpetać burzę uczuć.

— Zesłałem cię daleko na wygnanie, ponieważ twój widok i myśl, że mógłbyś mnie zdradzić, sprawiłyby mi nieznośne męki.

— Jesteś jeszcze zdolny do cierpienia? — zdumiał się Leptines. — Nie powiedziałbym.

— Jak każda ludzka istota, jak każdy śmiertelnik. Teraz zaś kiedy stoję na progu starości, chciałbym, aby między nami znów było tak jak dawniej.

— A co z moją zdradą?

— Miałem sposobność, by wszystko przemyśleć... Każda rzecz wymaga czasu, mój jednak kurczy się z każdym dniem. Chcę ci powiedzieć jedno: gdyby przyszło mi... zginąć na najbliższej wojnie, ty zostaniesz moim następcą, jeśli zaś zechcesz, będziesz mógł poślubić Arystomachię. Ona nie powie ci: nie. Jestem tego pewien. Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam. Takich ludzi jak ty zawsze raczej brakowało i nie sądzę, żeby w przyszłości miało ich być więcej. Jeśli zginę w bitwie, zadbajcie, żeby moje prochy spoczęły obok prochów Arete. Przyrzeknijcie mi to.

Wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia z Leptinesem, Filistos powiedział:

— Bądź spokojny, tak zrobimy. I oddalił się.

Dionizjusz wstał i podszedł do Leptinesa. Nie dając mu czasu, by się podniósł, przycisnął głowę brata do piersi, on zaś po chwili objął go w pasie. Obaj cicho płakali.

Pierwsze oddziały kartagińskie przybyły latem pod wodzą Magona, który wyruszył z Panormos w kierunku Mesyny. Tymczasem Dionizjusz zwołał naradę dowódców i przedstawił im swój plan. Flota nie opuści portu. Wyjdą jedynie wojska lądowe, aby stoczyć bój z armią wroga i ją zniszczyć. Pośrodku będą maszerować celtyccy najemnicy pod jego bezpośrednim dowództwem, na prawym skrzydle straż obywatelska pod rozkazami Leptinesa, na lewym skrzydle zaś najemnicy kampańscy i peloponescy wraz z komendantami oddziałów. Konnica pozostanie w rezerwie, aby można ją było posłać do natarcia nieco później, do ścigania zbiegów.

Bitwa rozegrała się dziesięć dni później w tubylczej osadzie w głębi wyspy, zwanej Kabałą, gdzie tajna broń Dionizjusza okazała się zwycięska. Na widok celtyckich wojowników — olbrzymów o długich białych grzywach i wytatuowanych ramionach i piersiach — na przeciwników padł błądliwy strach, kiedy zaś doszło do walki, w zetknięciu z ich ogromną potęgą ponieśli sromotną klęskę. Leptines rzucił z prawej strony swoje straże pędząc na ich czele z niepohamowanym impetem, co ułatwiła mu dodatkowo sprzyjająca pochyłość terenu. Otoczywszy nieprzyjaciela za pomocą manewru oskrzydłającego, zepchnął go na środek, to samo zaś uczynili z lewej strony żołnierze kampańscy i peloponescy.

Wojsko punickie zostało rozgromione: dziesięć tysięcy wojowników, a wśród nich naczelną wodzą Mago, zginęło w boju, pięć tysięcy natomiast dostało się do niewoli. Dalszych pięć tysięcy, niemal sami Kartagińczycy, zdołało się ukryć za starym murem i okopać na noc pod przewodnictwem syna poległego wodza, walecznego młodzieńca, który otrzymał nieszczęsne imię Himilko.

Jeszcze przed zachodem słońca wysłali poselstwo w sprawie omówienia warunków poddania, jednakże Dionizjusz, który poczuł się teraz niezwyciężony, postawił bardzo twarde żądania:

natychmiastowe uwolnienie całej Sycylii i wypłata odszkodowań wojennych.

Posłowie Himilkona odrzekli, że aby podjąć decyzję o tak doniosłym znaczeniu, muszą wysłać gońca do Panormos, aby porozumiał się z ich zwierzchnikiem, i że dadzą odpowiedź w ciągu czterech dni. Tymczasem proszą o pięciodniowy rozejm.

Dionizjusz z Leptinesem, jeszcze pokryci krwią i potem po stoczonym bitwie, zamknęli się w namiocie, aby się naradzić.

— Co robimy? — zapytał Dionizjusz.

— Mamy w ręku pięć tysięcy ich żołnierzy, to prawda, ale wysunąłeś żądanie, którego raczej nie dadzą rady spełnić. Będą się starali zyskać na czasie i właśnie to teraz robią. Otoczymy szczerze wzgórze, dzięki czemu upewnimy się, czy czegoś nie knują. Przepuścimy tylko gońca.

— Słusznie — uznał Dionizjusz. — Zróbmy tak. A teraz wprowadź ich.

Wysłuchawszy warunków rozejmu z wyraźnym zadowoleniem, posłowie skłonili się z szacunkiem i wrócili do swoich kwater.

Natychmiast potem Leptines wysłał jazdę i Peloponezyjczyków wraz z syrakuzzańskimi oficerami, żeby szczerze otoczyli wzgórze i pozapalali wszędzie ogniska. Kiedy o zmierzchu goniec stanął przed jednym z posterunków, został przepuszczony. Czym prędzej pogalopował naprzód i wkrótce zniknął.

Reszta nocy, a także następny dzień upłynęły w spokoju. Od czasu do czasu Leptines otrzymywał od straży meldunki, z których wynikało, że nic się nie dzieje. Trzeciego dnia pod wieczór zaczął coś podejrzewać, goniec bowiem ciągle nie wracał, jemu samemu zaś wydało się nieprawdopodobne, by na szczycie wzgórza nic się nie poruszało. Stanąwszy na czele oddziału piechoty, wszedł na sam wierzchołek rozkazując żołnierzom ustawić się tyralierą. W miarę jak wdrapywał się coraz wyżej, w jego głowie rodziło się przerażające przeczucie. Kiedy był pewien, że się nie myli, polecił swym ludziom pobiec za mury, dotarłszy zaś za nimi zdyszany, wybuchnął szyderczym śmiechem: wokół nie było żywego ducha.

— Szukajcie wszędzie! — wrzasnął. — Zajrzyjcie pod każdy kamień! Przecież nie mogli się rozpuścić w powietrzu. Szukajcie, mówię!

Wkrótce dołączył doń również Dionizjusz, który skamieniał na widok opustoszałego miejsca. Błady, z zaciśniętymi szczękami, trząsł się z gniewu i bezsilności.

— Heghemon — zawołał jakiś żołnierz. — Tędy, prędko!

Kiedy Leptines i Dionizjusz pognali we wskazanym kierunku, ujrzeni przed sobą wejście do pieczary, od jakich roilo się w tym jałowym regionie, naturalną jaskinię, która schodziła do wnętrzości ziemi wijąc się przez jakieś trzy stadiony, po czym znajdowała ujście w szczerym polu, osłoniętą gęstą roślinnością i spletanymi krzakami jeżyn. Plamy krwi na kolcach i podeptanej trawie nie pozostawiały cienia wątpliwości.

— A bodajby ich! — zaklął Dionizjusz. — Za nimi!

— Mają już zbyt dużą przewagę i z pewnością maszerowali bardzo szybko. Nigdy ich nie złapiemy. Los z nas zakpił pozbawiając ostatecznego zwycięstwa. Tak czy inaczej pokonaliśmy ich i możemy się z tego cieszyć. Wracajmy.

Trzy dni później przybył kartagiński goniec z wiadomością od Himilkona: bardzo nad tym boleje, ale musi odrzucić warunki poddania.

— Na dodatek ze mnie drwi! — warknął Dionizjusz.

— Zdaje się, że takie jest jego prawo — zauważył filozoficznie Filistos, który wyszedł im na spotkanie.

— Ach! Rozsiekać go w łajno! — zaklął Dionizjusz, po czym spiął konia i pogalopował przed siebie.

Dionizjusz spędził resztę roku na przygotowaniach do wojny, którą Kartagińczycy, jak donosili mu szpiedzy, z pewnością zamierzali podjąć na nowo. I rzeczywiście wraz z nadejściem lata znów rozpoczęły się ruchy wojsk.

Dionizjusz i Leptines w towarzystwie Filistosa nadciągali od południa, Himilko zaś od północy. Po długotrwałym badaniu się nawzajem, po licznych potyczkach i fałszywych atakach, po przyjrzeniu się sobie z daleka za pośrednictwem oddziałów zwiadowczych obydwu wojska stanęły naprzeciw siebie w pewnej osadzie na zachodniej Sycylii, zwanej przez Greków Kronionem. Dionizjusz z gorzkim zdziwieniem stwierdził, że Kartagińczycy również zwerbowali potężną armię celtyckich najemników, prawdopodobnie zaciągniętych w samej Galii albo poprzez ich bazy w Ligurii.

Bitwa rozpoczęła się późnym rankiem. Kiedy zagrały trąby i wykrzyczano rozkaz, armia syrakuzkańska rzuciła się z impetem do natarcia, zachęcona zeszlórocznym zwycięstwem. W pierwszej chwili nie wiadomo było, kto wygra, każda ze stron bowiem raz się cofała, to znów parła naprzód pod palącymi promieniami słońca. Około południa Celtowie, których Dionizjusz ustawił pośrodku, zaczęli ustępować pola, odsłaniając prawe skrzydło, gdzie Leptines walczył z nieprawdopodobnym męstwem. Zorientowawszy się, co się dzieje, Dionizjusz krzyknął do swego przybocznego, aby wysłał posiłki i osłonił jego brata, Celtowie i Balearowie Himilkona zdążyli się bowiem wcisnąć w powstałą szczelinę odcinając niemal całkowicie prawe skrzydło Syrakuzan, które znalazło się w ten sposób w przyniatającej mniejszości.

Otoczony chmurą nieprzyjaciół Leptines wcale nie stracił ducha; skoczył w najgłębsze kłębowisko rycząc jak lew, zadając zabójcze ciosy, powalając wrogów jednego po drugim, dopóki starczyło mu sił, aż wreszcie upadł trafiony w pierś, w brzuch, w szyję.

Kiedy się przewrócił, z szeregow przeciwnika podniósł się okrzyk radości, a między Syrakuzan, którzy jęli się cofać bacząc, by nie zepsuć szyków, zakradło się zniechęcenie. Prędko wszakże ich odwrót zmienił się w całkowitą klęskę. Wieść o tym dotarła niemal natychmiast do Dionizjusza, który poczuł, że umiera. Patrzył, jak jego żołnierze padają ze wszystkich stron, puszczeni w pościg nieprzyjaciele nie oszczędzali bowiem nikogo. Już miał się przebić własnym mieczem, kiedy nagle zjawił się galopujący na koniu Aksal, który wrzeszczał niczym furia piekielna i wymachiwał olbrzymim toporem. Ściąwszy głowę każdemu, kto mu się nawinał pod rękę, wychylił się daleko, chwycił swego pana za ramię, wrzucił na grzbiet konia i popędził czym prędzej ku położonemu o stadion dalej wzniesieniu, gdzie znajdował się pilnowany przez Filistosa punkt obserwacyjny tylnej straży, nad którym powiewał syrakuzkański sztandar.

Ledwie tam dotarł, zeskoczył na ziemię i oddawszy Dionizjusza żołnierzom z mizernego posterunku, zadał w róg. Przeciągła skarga odbiła się echem od ścian doliny i przeleciała nad usłanym trupami polem, wzywając na zbiórkę rozproszonych wojowników.

Dionizjusz stał pod sztandarem długie godziny, witając swych żołnierzy, zagrzewając do boju i ustawiając w kwadrat przed ostatnią obroną. Rzeź skończyła się dopiero wraz z zapadnięciem zmroku i właśnie wtedy o dziwo, kartagińskie trąby zagrały sygnał odwrotu, zwycięska armia zaś jęła się wycofywać hen za pole bitwy.

Dopiero wtedy pozwolił sobie na odprężenie i zwałił się na ziemię bez czucia. Kiedy otworzył oczy, poszukał wzrokiem Aksala, nikt jednak nie wiedział, gdzie jest. Filistos przeczesał okolicę, żeby go znaleźć. Wołano go na całe gardło przemierzając wieś, ale bez skutku.

Zjawił się tuż przed świtem pieszo, wyczerpany i poplamiony krwią, trzymając w ramionach zwłoki Leptinesa. Natychmiast dwóch żołnierzy wybiegło mu naprzeciw i pomogło położyć na ziemi przed skamieniałym bratem martwe ciało dowódcy.

— Kartagińczycy sobie idą — oświadczył Aksal zbliżając się do Dionizjusza.

— Co ty mówisz? — zdumiał się Filistos. — To niemożliwe.

— Tak. Oni sobie idą.

Miał rację. Armia Himilkona, która odniosła miażdżące zwycięstwo, z niewiadomych przyczyn cofała się.

Wówczas Dionizjusz rozkazał ułożyć stos, a następnie umyć i umieścić na nim ciało brata. Po czym polecił ustawionym w szyku wojownikom oddać mu cześć po raz ostatni. Kiedy okrzyki uciichły, odprawił ich.

— Idźcie — powiedział stanowczym głosem. — Zostawcie mnie samego.

Żołnierze utworzyli kolumnę i ruszyli w drogę powrotną. Jedynie garstka wojowników pod wodzą Filistosa została w pewnej odległości, by go chronić.

Wtedy Dionizjusz wziął pochodnię i podpalił stos. Przyglądał się, jak ogień liże drewno pochłaniając suche pędy i trzaskając coraz mocniej, aż wreszcie otacza ciało poległego wojownika ścianą płomieni. Filistos, który w pierwszej chwili nie miał odwagi pa-trzeć, spojrział na stos płonący w ciemnościach. W blasku płomieni zobaczył jakiś cień, klęczącego, zgiętego w pół mężczyznę, który łkał w tumanach kurzu.

XXXI

Dwadzieścia dni później Filistos otrzymał warunki pokoju za pośrednictwem przybyłego z Panormos gońca. Wiadomość była po grecku, na końcu zaś widniały podpisy Himilkona i członków Wielkiej Rady Kartaginy. A brzmiała następująco:

Himilko, dowódca wojsk kartagińskich i gubernator Epikratii Panormos, Lilibeum, Drepanum i Soluntu, do Dionizjusza, archonta Sycylii, pozdrowienia.

Nasze narody stoczyły już zbyt wiele wojen doprowadzając nawzajem jedynie do rozlewu krwi i zniszczeń. Żaden z nas nie ma dość siły, by ostatecznie pokonać przeciwnika, pogódźmy się zatem z tym, co mamy. Wygraliśmy ostatnią bitwę, wy zaś macie w ręku pięć tysięcy naszych obywateli. Domagamy się więc, by miasto Selinunt należało do nas, tak jak w poprzednich latach, a także terytorium wokół Akragas aż do rzeki Halyco, podczas gdy samo miasto przypadnie wam.

Ponadto oddacie nam jeńców i zapłacicie tysiąc talentów odszkodowań wojennych.

Znacie nasze granice, my zaś uznamy wasze oraz władzę Dionizjusza i jego spadkobierców na obszarze objętym niniejszym traktatem.

Filistos chwycił list i kazał się zapowiedzieć w pałacu na Ortygii, gdzie Dionizjusz tkwił zamknięty od wielu dni, nie chcąc nikogo widzieć.

Drogę zastąpił mu Aksal.

— Pan nie chce nikogo.

— Powiedz mu, że to ja, Aksalu, i że koniecznie muszę z nim pomówić. To sprawa najwyższej wagi.

Aksal zniknął w środku, po chwili wszakże pojawił się znowu dając mu znak, że może wejść.

Dionizjusz siedział na tronie. Miał ciemne kręgi pod oczami, ziemistą cerę, zmierzwioną brodę i włosy. Wyglądał dziesięć lat starzej.

— Przepraszam, że zakłócam ci spokój — zaczął Filistos — ale nie mogę inaczej. Kartagińczycy proponują nam pokój.

Dionizjusz drgnął na te słowa.

— Z własnej woli? Nie wysłałeś do nich żadnej propozycji?

— Nigdy bym sobie na to nie pozwolił bez porozumienia z tobą. Nie, to oni zrobili pierwszy krok.

— A czego chcą?

Filistos przeczytał mu wiadomość, widząc zaś, że słucha uważnie, mówił dalej:

— Moim zdaniem to bardzo rozsądna propozycja, zważywszy na nasze obecne gorsze położenie. Co do odszkodowań wojennych, możemy się o nie spierać. Z Kartagińczykami zawsze można się targować, jeśli chodzi o pieniądze. Najważniejsze jednak pozostaje oficjalne uznanie twojej władzy, a także prawa zarówno twojego, jak i twoich następców, do tego obszaru. To podstawowa sprawa i nie powinieneś przepuścić takiej sposobności. Pomyśl o swoim synu. Jak wiesz, nie jest ani taki jak ty, ani taki jak jego stryj. Jeśli zostawisz mu silne państwo o uznanych granicach, będzie miał o wiele łatwiejsze życie, nie uważasz?

Dionizjusz westchnął przeciągle, wstał i podszedł do niego.

— Tak, zapewne masz rację. Pozwól mi to przeczytać jeszcze raz.

Usiedli przy stole, Filistos zaś podał mu zwój i zaczekał, aż skończy.

— Masz słuszność — stwierdził wreszcie Dionizjusz. — Pójdę za twoją radą. Sporządź oficjalny protokół i rozpocznij rokowania w sprawie odszkodowań wojennych. Nie mamy aż tyle pieniędzy.

— Może da się zapłacić ziemią. Na przykład jakimś splachetkiem w głębi wyspy, bez znaczenia dla naszej gospodarki.

— Tak. to możliwe.

— Dobrze...

Dionizjusz milczał pogrążony w zadumie.

— W takim razie... idę — rzekł Filistos, nie otrzymawszy za odpowiedzi, zrolował zwój i ruszył ku drzwiom.

— Zaczekaj — przywołał go Dionizjusz.

— Tak...

— Nic... Nic. Możesz iść.

Filistos skinął głową i wyszedł. Przez chwilę myślał, że tamten chce mu się z czegoś zwierzyć. Może jednak potrzebował więcej czasu...

Minęły trzy lata, podczas których Dionizjusz zdawał się powracać stopniowo do dawnych przyzwyczajzeń, poświęcając się rządzeniu państwem i przygotowywaniu pierworodnego do przyjęcia po nim schedy, jednakże bez większego zadowolenia. Młodzieniec wolał bowiem wydawać uczyty dla przyjaciół, zapraszać artystów, kobiety lekkich obyczajów i poetów i zawsze był wyraźnie skrzępowany, gdy ojciec wzywał go do siebie.

Doris, której kształty z biegiem lat i z braku ruchu mocno się zaokrągliły, usiłowała go bronić.

— Zawsze byłeś zbyt surowy dla naszego synka; przerażasz Go.

— Staram się zrobić z niego mężczyznę, na Zeusa, i męża stanu, o ile mi się to uda — odpowiadał wówczas Dionizjusz.

— Zgoda, ale w jaki sposób! Nigdy żadnego miłego słowa, żadnego czułego gestu.

— Ty jesteś od takich głupot. Jestem jego ojcem, na Heraklesa, a nie matką. Zrobiłaś z niego safandulę, nieudacznika.

— To nieprawda! Nie brak mu zalet i gdybyś tylko powierzył mu jakieś odpowiedzialne zadanie, jakiegokolwiek, potrafiłby ci to udowodnić. A zresztą doskonale widać, że całą swoją miłość przelewasz na Arete, córkę tej...

— Cicho! — burczał Dionizjusz. — Ani słowa więcej. Arete jest moim dzieckiem tak jak wszystkie inne. Jest najmłodsza i taka uroczą. Ja też mam prawo się cieszyć własnym potomstwem.

Były to sprzeczki, które nieodmiennie przeradzały się w kłótnie: Doris wybuchała płaczem i zamykała się w swych komnatach

na całe dnie wraz z niewolnicami i kobietami do towarzystwa.

Tymczasem Filistos stał mu się bliższy jako doradca i choć Dionizjusz nigdy by się do tego nie przyznał, również jako przyjaciel. Zresztą jedyny, jaki mu w ogóle pozostał.

Ustaliliwszy raz na zawsze granice i stosunki z Kartaginą, Filistos zadbał o relacje ze Spartą, potęgą broniącą Syrakuz, podczas kolejnej zaś wojny, którą wypowiedziała ona Atenom, wysłał za zgodą Dionizjusza dziesięć okrętów na Morze Egejskie, aby wziąć udział w bitwie. Było to coś w rodzaju spełnienia obowiązku, a nie przedsięwzięcie mające na celu zdobycie nowych ziem.

Teraz Dionizjusz najwyraźniej znalazł upodobanie w literaturze, którą pasjonował się w młodości, nadal wszakże wrogo odnosił się do filozofii. Kazał rozbudować teatr i wystawiał w nim własne dzieła, które na ogół spotykały się z przychylnością. Znając zresztą autora, widzowie nie mieli najmniejszego zamiaru mu uchybiać.

Wyprawa na Morze Egejskie okazała się porażką: Ateńczycy zatopili dziewięć z dziesięciu okrętów syrakusańskich, toteż naczelną dowódca wołał targnąć się na życie, niż pokazać się w Lakios z jednym żaglowcem.

Polityka w Grecji była tak zawiła, że nie dało się przewidzieć, co się stanie, i to nie tylko z roku na rok, ale nawet z paromiesięcznym wyprzedzeniem.

Tymczasem Tebańczycy wprowadzili nowy szyk bojowy zwany „ukośnym”. Wymyślili go dwaj tamtejsi dowódcy Pelopida i Epaminonda. Był on tak skuteczny, że zdołali pokonać niezwyciężonych Spartan, kiedyś swoich sprzymierzeńców, w miejscowości zwanej Leuttra. Przerażeni owym zgoła niewyobrażalnym zwycięstwem Ateńczycy przeszli na stronę Sparty, swego dawnego wroga, aby powstrzymać Tebańczyków, sprawy jęłyby wszakże przybierać dla nich zły obrót, gdyby nie włączył się Dionizjusz.

Zmasowany atak celtyckich najemników wraz z wykorzystaniem jego machin przyniosły zwycięstwo, całkowicie zmieniając bieg wydarzeń. Ateny ofiarowały mu nawet złoty wieniec. Podobno król Sparty Agesilaos, ujrawszy po raz pierwszy, jak spisują się balisty i katapulty Dionizjusza, zawołał: „Bogowie, dzisiaj ludzkie męstwo nie jest już nic warte!”

Przekazanie złotego wieńca okazało się niepowtarzalną sposobnością, Dionizjusz otrzymał bowiem obywatelstwo ateńskie, za pośrednictwem Filistosa zaś zapoczątkował rokowania w sprawie przymierza z Atenami, kładąc kres stanowi wojny, który teoretycznie trwał od piętnastu lat, od czasu wielkiej wojny, kiedy o Ateńczycy oblegali Syrakuzy.

Dionizjusz zyskał uznanie i cześć w świecie metropolii jako orędownik hellenizmu przeciw barbarzyńcom. Jego niezbyt chwalebne czyny odeszły w cień lub nawet w niepamięć. Wróciwszy do Syrakuz jesienią w sześćdziesiątym roku życia, tym razem postanowił się poważnie zająć przygotowaniem syna do przejęcia po nim schedy.

Dionizjusz II kończył właśnie dwadzieścia osiem lat i był człowiekiem ukształtowanym. Jak do tej pory nie dokonał niczego, co mogłoby świadczyć na jego korzyść. Dorastał opływając w dostatki i oddając się takim przyjemnościom, jak wino, jadalno i kobiety, toteż ojciec uważał go za nic. Był wprawdzie dobrze wykształcony i wychowany, za to słaby i niezdecydowany.

Filistos także usiłował go bronić.

— Nie możesz go osądzać aż tak surowo — powiedział kiedyś. — Syn takiego ojca zawsze wypada błado w porównaniu z nim. Mimo wszystko czuję, że nie staję na wysokości zadania, że czegoś mi brakuje, wobec czego jawi się zawsze w gorszym świetle. Zdając sobie z tego sprawę, czuję się jeszcze mniej zdolny pokazać, co potrafi. To zamknięte koło, które nie ma końca.

— Co twoim zdaniem powinienem zrobić? — zapytał Dionizjusz. — Mam go całować i pieścić? Na Zeusa, jeśli sam nie chce stać się mężczyzną, zmuszę go do tego, po dobroci albo siłą!

Były to jednak tylko słowa. W gruncie rzeczy Dionizjusz żywił przekonanie, że nikt nie może go zastąpić, że nikt nie stanie na wysokości zadania. Niekiedy Filistosa korciło, by podpowiedzieć mu, że powinien oddać władzę w ręce narodu, ale się powstrzymywał. Zbyt dobrze bowiem zdawał sobie sprawę, że o ile demokracja jest w stanie rządzić miastem, nigdy nie poradziłaby sobie z państwem takiej wielkości, posiadającym forpoczty, które sięgają aż do Epiru, Ilirii, Umbrii i Padusy.

W ryzach trzymają je tylko szacunek i strach wobec jednego człowieka. Rząd składający się z obywateli nigdy nie wzbudzałby

ani takiego respektu, ani takiego lęku wśród pozostałych rządów obywatelskich w podległych mu miastach.

Być może nic nie zakłóciłoby równowagi politycznej, gospodarczej i kulturalnej stworzonej przez Dionizjusza, gdyby nie pewna wiadomość, która nadeszła z Afryki i bardzo go poruszyła.

Wezwany pilnie Filistos pospieszył do pałacu.

— Co się stało? — zapytał, ledwie przekroczył próg.

— W Kartaginie wybuchła zaraza.

— Znowu?

— Tym razem wygląda na to, że wydusi sporą liczbę tych łotrów.

— Rozumiem, że to ci się może spodobać.

— Nie koniec na tym. Libijczycy się zbuntowali.

— To żadna nowość. Dlaczego jesteś taki podniecony?

— Bo nadarza się sposobność, żeby przegnać ich na dobre z Sycylii.

— Powiedziałeś, że już nie będziesz próbował.

— Kłamałem. Zamierzam spróbować jeszcze raz.

— Podpisałeś traktat.

— Tylko po to, żeby zyskać na czasie. Człowiek taki jak ja nigdy nie rezygnuje ze swoich planów. Nigdy, rozumiesz?

Filistos spuścił głowę.

— Jak przypuszczam, nie warto ci przypominać, że zaraza i bunt nękały Kartaginę wielokrotnie i że zawsze odpowiadała siłą i zdecydowaniem.

— Tym razem jest inaczej.

— Dlaczego jest inaczej?

— Z dwóch powodów. Po pierwsze te psy zabiły mojego brata i muszą tak długo pluć krewią, aż ja nie powiem „dosyć”. Po drugie mam sześćdziesiąt lat.

— Właśnie dlatego powinienesz wykazać się rozsądkiem i poświęcić dobremu rządzeniu. Wojna to zawsze najgorsze rozwiązanie.

— Nie zrozumiałeś. Chcę przez to powiedzieć, że jeśli teraz nie doprowadzę mojego zamiaru do końca, nigdy już mi się to nie uda. A co do mojego syna, lepiej nie mówić. Już podjąłem decyzję. Zaatakujemy wiosną przyszłego roku przy udziale wojska, floty

i artylerii. Napadniemy na nich największą armią, jaką widział świat, i rozniesiemy na strzępy.

— A skąd zamierzasz wziąć tyle złota?

— To twoje zadanie. Zawsze mam ci wszystko mówić? Poycz skarby świątyni; bogowie dadzą mi rozsądny procent, jestem tego pewien. I opodatkuj Bractwo. Nasze w Syrakuzach i te w pozostałych miastach. Oni też mają sporo pieniędzy.

— Nie porywałbym się na to, gdybym był na twoim miejscu. Dopuścisz się świętokradztwa, co zaś do Bractwa, powinieneś doskonale wiedzieć, jacy oni są potężni. Istnieje niebezpieczeństwo, że każą ci za to zapłacić. Nawet nasi. Być może darowali ci czystki albo tylko wybaczyli na jakiś czas, kiedy jednak w grę wchodzi złoto, nikomu nie przepuszczą.

— Pomożesz mi zdobyć te pieniądze czy nie?

— Niech będzie — odrzekł Filistos. — Tylko nie mów później, że cię nie uprzedzałem.

— Mamy niepowtarzalną sposobność, wierz mi, tym razem nam się uda i cała Hellada będzie mi winna szacunek. Będą mi stawiać pomniki w Delfach i Olimpii, będą ryc inskrypcje w miejscach publicznych.

Śnił na jawie. Teraz gdy zyskał uznanie najwyższych zgromadzeń w metropoliach, on, mieszkaniec kolonii przez lata traktowany z pogardą i wyższością, wyśmiewany za nieudolne próby literackie, pragnął na koniec swego życia zostać pierwszym człowiekiem świata Hellenów.

Na nic zdałoby się go od tego odwozić. Na początku lata zebrał olbrzymią armię: trzydzieści pięć tysięcy piechoty, pięć tysięcy jazdy, trzysta okrętów wojennych, czterysta statków transportowych.

Posuwał się niepowstrzymanie naprzód: Selinunt i Entella powitały go jak wyzwoliciela, Elis się poddała, toteż flota stanęła pod Drepanum. Przed Lilibeum musiał się jednak zatrzymać. Kartagińskie fortyfikacje były tak potężne, obrona tak sprawna, że każda próba ataku skończyłaby się porażką albo gorzej: całkowitą klęską.

Lato miało się ku końcowi, Dionizjusz zaś jął się szykować do powrotu. Miał wprawdzie zamiar pozostawienia niemal całej

floty w Drepanum. aby uniemożliwić jakikolwiek atak od strony Afryki, otrzymał wszakże wiadomość, po której wpadł na inny pomysł. Otóż w tajnym liście przeczytał, że w Kartaginie na wyspie dowództwa floty wybuchł pożar, który strawił niemal całą zbrojownię.

Ta część wyspy, na której znajdowało się dowództwo floty, była jednym z cudów świata, jedyną rzeczą, jakiej Dionizjusz zazdrościł wrogiemu miastu. Idealnie okrągła, położona pośrodku szerokiej laguny, mogła pomieścić w swych osłoniętych dokach ponad czterysta okrętów wojennych. Na samym jej środku wznosił się pałac dowództwa floty, od którego wzięła swą nazwę, a w którym przechowywano największe tajemnice kartagińskiej floty: jabłka ze złota i cyny, także te sięgające czasów dawnych Hesperyd na najdalszych krańcach Okeanosu.

W pałacu wystawiono cudowne trofea z najśmielszych wypraw morskich i podróży odbytych przez karawany, które odważyły się przemierzyć morze piasku aż do ziem Pigmejów. Zdaniem jednych w owych niedostępnych archiwach przechowywano mapy zaginionych światów, inni z kolei byli przekonani, że większość kartagińskich portów tylko powieliła w nieskończoność podstawowy schemat budowy stolicy antycznej Atlantydy.

Skoro więc wyspa spłonęła, znaczyło to, że Kartagina straciła swoje serce i pamięć.

— Bogowie są po naszej stronie — oświadczył Dionizjusz Filistosowi. — Widzisz? Zostawię w Drepanum sto okrętów, to wystarczy. A wiosną, kiedy tylko będzie sprzyjająca pogoda, wrócimy, żeby zadać decydujący cios. Skupimy nasze siły na artylerii, zbudujemy więcej machin; wymyślę nowe...

Kiedy mówił, błyszczały mu oczy; wpadł wręcz w euforię. Nawet Filistos zaczął wierzyć, że przedsięwzięcie, któremu poświęcił czterdzieści lat życia, naprawdę może się wreszcie powieść.

Dionizjusz był tak bardzo pewny siebie, że przez całą zimę nie zajmował się niczym innym jak dopracowaniem swej nowej tragedii, której nadał tytuł „Odkupienie Hektora”. Kazał pewnemu aktorowi recytować jej fragmenty przed Filistosem, aby poznać jego zdanie. Jednocześnie wysłał do Aten delegację, aby zgłosić swe uczestnictwo w igrzyskach tragików, które miały się odbyć podczas Lenajów, podniosłych uroczystości ku czci Dionizosa.

Dionizos był bogiem, od którego pochodziło jego imię, co uznał za dobrą wróżbę.

Kiedy nadszedł ustalony dzień, zażądał od Filistosa, by mu towarzyszył.

— Ty też musisz pojechać. W gruncie rzeczy bardzo mi pomogłeś doprowadzić moje dzieło do końca.

— Chętnie pojedę — odrzekł Filistos. — Ale kto zajmie się przygotowaniem do kolejnej wyprawy?

— Długo się nad tym zastanawiałem — westchnął Dionizjusz. — Ale sądzę, że Kartagińczycy będą mieli mnóstwo roboty, aby nadrobić straty w zbrojowni, poza tym nie brak tu dobrych oficerów floty, którzy wiedzą, co powinni robić. A po trzecie postanowiłem powierzyć mojemu synowi kilka ograniczonych zadań w zakresie nadzoru, aby się przekonać, jak sobie radzi. Jednym słowem uważam, że możesz jechać ze mną. I nie myśl, że czynię to dla literackiej sławy. Najbardziej leży mi na sercu wygładzenie traktatu o porozumieniu z Ateńczykami i doprowadzenie do podpisania paktu, który zapewni nam miejsce wśród największych potęg świata. Naszym słabym punktem zawsze była flota, podczas gdy Ateńczycy posiadają jednakowo wysokie albo i wyższe doświadczenie niż Kartagińczycy i mogliby nauczyć nas swej techniki i przekazać wiedzę w dziedzinie wojny na morzu.

Argumenty Dionizjusza wydały się przekonujące, toteż Filistos wyruszył w drogę, mimo wszystko jednak niespokojny. Odczuwał jakieś skrępowanie i lęk, który nigdy go nie opuszczał, który nie pozwalał mu spać zmuszając do rozmyślań i zadreczania się. Owey zadziwiająco łagodnej, a nawet sprzyjającej podróżom morskim zimy gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę, istniało zbyt duże niebezpieczeństwo i zbyt wiele niewiadomych.

Dotarłszy do Aten w połowie miesiąca gemelion, zastali w mieście ogromne poruszenie wywołane przygotowaniem do przedstawień teatralnych. Zamieszkali w prześlicznym domu z ogrodem, który nabyli w pobliżu Keramikonu, i jeli go urządzić nie bacząc na wydatki: zatrudnienie aktorów i chóru, szycie kostiumów, wyrób masek, zbudowanie machin scenicznych. Ogłoszenia wisały już wprawdzie w teatrze, na akropolu i na agorze, Dionizjusz kazał je jednak umieścić na swój koszt także w wielu innych punktach miasta, w najbardziej uczęszczanych miejscach,

w podcieniach i w bibliotekach Ryl pewien, że tak czy inaczej jego imię przyciągnie tłumy.

Osobiście przyglądał się próbom i nie zawahał się wyrzucić aktorów, którzy nie potrafili stanąć na wysokości zadania, i wynająć innych. To samo uczynił z chórem i grajkami, którym kazał powtarzać bez końca tańce i pieśni mające towarzyszyć przedstawieniu.

Aż wreszcie nadszedł wielki dzień.

Teatr był wypełniony po brzegi: Dionizjusz i Filistos siedzieli na zajętych dla siebie miejscach wśród miejskich archontów, kapłanów oraz kapłana Dionizosa, który przewodniczył uroczystościom. Tragedia została odegrana bez zarzutu, kilka jej fragmentów wzbudziło nawet silne wzruszenie, pokazując przeżycia, których autor musiał sam doświadczyć podczas licznych wojen, podczas wielu wyczerpujących rokowań w sprawie uwolnienia zakładników i jeńców. Scena, w której stary Priam klęka, by ucałować rękę Achillesa, posepny chór kobiet trojańskich zaś wznosi się niczym płacz wzywając do oddania ciała Hektora, przejęła widzów do głębi. Nawet Filistos ku swemu zdziwieniu miał mokre oczy. Czy to możliwe, że autor ma jakieś uczucia? I że są one tak silne, by poruszyć widzów oglądających przedstawienie?

Nie warto zadawać takich pytań, Dionizjusz zawsze bowiem był i do końca swych dni pozostanie nieodgadniona tajemnicą, sfinksem. Przyglądając się tej scenie Filistos rozpoznał wszakże tak wiele cech jego usposobienia, ujrzał na nowo wiele fragmentów życia, tak wiele chwil chwały i niegodziwości. Dionizjusz odegrał swoją rolę w życiu niczym aktor; nierzadko udawał, taił coś, oszukiwał, ukrywając ludzkie uczucia, oczywiście o ile w ogóle je miał, za twardą maską tyrana.

Ostatnią scenę nagrodzono oklaskami, nie hucznymi, ale i nie chłodnymi, jeśli wziąć pod uwagę, że przez teatr ten przewinęły się dzieła Ajschylosa, Sofoklesa czy Eurypidesa i że jego widzowie byli mimo wszystko najbardziej wymagającymi widzami na całym świecie.

Ku zdumieniu samego autora tragedia zdobyła pierwszą nagrodę. Wielu orzekło, że skoro uczestnicy konkursu okazali się tak lichymi poetami, lichego poeta pokroju Dionizjusza może więc zwyciężyć.

Jakkolwiek się sprawy miały, Dionizjusz uczcił zwycięstwo bardzo uroczystie i z wielkim przepychem, wydając wystawną ucztę u stóp Hymettusu, na którą zaproszone zostały wszystkie najważniejsze osobistości Aten.

Tuż przed wieczerzą Filistos dowiedział się, że z Syrakuz przybył właśnie goniec z pilną wiadomością. Przeczuwając, że wieść może zakłócić uroczystość, zdecydował się sam z nim porozmawiać.

I nie mylił się.

— Zbrojownia Kartaginy wcale nie spłonęła — oznajmił goniec, ledwie Filistos kazał mu mówić.

— Co to znaczy: nie spłonęła?

— Niestety to było oszustwo. Kartagińczycy są w tym mistrzami. Powinniśmy byli się domyślić.

— To niemożliwe — odparł Filistos. — Nasi szpiedzy zapewniali, że widzieli płomienie i dym unoszący się nad wyspą.

— Zgadza się. Tylko że to też było udawane. Podpalili stare wraki, podczas gdy prawdziwa flota stała ukryta na tajnym kotwiskowisku wzdłuż północnego wybrzeża.

— Przejdź do sedna, nie warto przeciągać tego w nieskończoność. Co się stało?

— O pierwszym brzasku nowy nawarcha kartagiński napadł na port w Drepanum na czele dwustu okrętów wojennych. Miał zbyt silną przewagę liczebną nad naszymi i rozbił ich w pył.

Odprawiwszy gońca, Filistos zastanawiał się przez jakiś czas w samotności nad tym, co robić dalej. W końcu postanowił na razie nic nie mówić Dionizjuszowi, aby go nie zasmucać. Położył się więc na swoim miejscu, po czym jadł i pił starając się sprawić wrażenie całkowicie odprężonego.

Jeszcze tej samej nocy, po wyjściu gońca, gdzieś w porze trzeciej zmian warty, Dionizjusz źle się poczuł. Aksal pognał obudzić Filistosa.

— Pan chory.

— Co ty mówisz, Aksalu?

— On bardzo źle, chodź natychmiast.

Przybiegłszy na miejsce, Filistos ujrzał go w strasznym stanie: szarpały nim skurcze i mdłości, był zlany potem, lecz zimny jak lód, miał woskową cerę i fioletowe paznokcie.

— Przeprowadź medyka. Aksalu. prędko, mieszka trzy kwartały stąd, w kierunku agory. Biegnij, na bogów, biegnij!

Podczas gdy Aksal mknął ulicą, Filistos usiłował podnieść Dionizjusza do pozycji siedzącej i zmusić do oddychania, otarł mu czoło i zwilżył spierzchnięte wargi. Łoże czuć było potem i uryną.

Przez chwilę Dionizjusz zdawał się przychodzić do siebie, nabierać nieco sił.

— To już koniec — szepnął. — To koniec, przyjacielu.

Filistos drgnął na dźwięk tego słowa, którego nie słyszał od tyłu lat, i mocno ścisnął mu dłoń.

— Co ty mówisz heghemon, co mówisz? Zaraz przyjdzie medyk. Wkrótce wrócisz do zdrowia. Wypiłeś trochę za dużo, ot i wszystko. Weź się w garść, zobaczysz, że...

Dionizjusz przerwał mu, z trudem unosząc dłoń swoim zwykłym władczym gestem.

— Nie, nie myślę się. Śmierć jest zimna... Czujesz? Cóż za złośliwy los! Zawsze walczyłem w pierwszym szeregu, pięć razy zostałem ranny, a muszę umierać w łóżu szcząc pod siebie... jak byle kto... Nigdy nie zobaczę nadejścia nowej ery, o której marzyłem przez całe życie... Sycylii... będącej pępkiem świata...

— A właśnie że zobaczysz. Wrócimy do domu i zakończymy tę wojnę raz na zawsze. Zwyciężysz... Zwyciężysz, Dionizjuszu, bo to ty jesteś najpotężniejszy.

— Nie... Nie... Posłałem na śmierć wszystkich przyjaciół, jakichkolwiek miałem: Doriskosa... Bitona... Jolaosa... i mojego brata Leptinesa. Przelałem tak wiele krwi na próżno.

Wtem na ulicy rozległy się czyjeś samotne kroki. Dionizjusz pojaśniał na twarzy.

— Arete... — powiedział nadstawiając ucha. — Arete... to ty? Filistos spuścił wilgotne od łez oczy.

— Jest tutaj... — odrzekł. — Jest tutaj, idź do ciebie.

Dionizjusz osłabł, z jego ust wydobył się charkot. Na koniec zaś wyszeptał:

— Pamiętaj, co obiecałeś. Żegnaj, *chaire*... — po czym zamilkł.

Wkrótce do komnaty wpadł razem z Aksalem zdyszany medyk, było już jednak za późno. Mógł tylko potwierdzić, że nie żyje.

Aksal zeszywniał na ten widok. Twarz stwardniała mu w kamienną maskę. Zaintonował posępną skargę, rozdzierającą pieśń swego narodu towarzyszącą wielkim wojownikom w ich ostatniej podróży. Po czym zaniemówił pograżając się w nieprzeniknionym milczeniu. Pełnił przy jego zwłokach straż uzbrojony dzień i noc, nie jedząc i nie pijąc, i nie opuścił go nawet wtedy, gdy trumna została złożona na statku, który popłynął z powrotem do ojczyzny.

W Syrakuzach zaś pogrzebem zajął się Filistos. Kazał ustawić olbrzymi stos na dziedzińcu fortecy Eurialos, na szczycie Epipolai, żeby całe miasto widziało, jak jego dusza wznosi się w wirze ognia i iskier, który miał ją popchnąć ku niebu. Ciało odziane w najwspanialszą zbroję umieszczono na stosie w obecności ustawionego w szyku wojska, dwadzieścia tysięcy żołnierzy wszystkich narodowości zaś wykrzyczało jego imię dziesięć razy, podczas gdy płomień wznosił się z hukiem ku zimowemu niebu.

W nocy Filistos wraz z Aksalem zebrali jego prochy, po czym udali się do grobowca Arete i połączyli je z jej prochami wsypując do urny. Dopełniwszy owego prostego obrzędu, Filistos otarł oczy i przemówił do celtyckiego wojownika, przerażającego w swej surowej wstrzeźliwości, w żałobie, która porała mu twarz bruzdami i utworzyła sine kręgi pod oczami.

— A teraz wróć do swojej kwatery, Aksalu, i przerwij post. Twój pan już cię nie potrzebuje... Ale my tak.

Odeszli pozostawiając za sobą ciemny i cichy grobowiec.

Kiedy jednak odgłos ich kroków całkowicie umilkł, w ciemnościach rozległa się samotna pieśń, rozdzierający hymn, który towarzyszył pierwszej miłosnej nocy Arete i Dionizjusza.

A także ostatniej.

EPILOG

„Nikt nie zdołał nigdy wyjaśnić przyczyny jego śmierci. Powiadają, że Filistos ujrzał znak delfina wryty na dnie pucharu, z którego jego przyjaciel i pan pił tamtej nocy podczas uczty. Przypomniał sobie wtedy, jak Dionizjusz skazał na śmierć wielu członków Bractwa w okresie ostatniej wielkiej czystki i jak opodatkował bezlitośnie bractwa z innych miast, aby opłacić zbliżającą się wojnę, nie bacząc na przestrogi.

Jedni upatrywali przyczyny po prostu w hulankach, jakie nastąpiły po tragicznych igrzyskach podczas Lenajów, inni z kolei woleli dostrzec w tym długie ramię Kartaginy, która tylko w taki sposób zdołałaby osiągnąć niezwyciężonego wroga.

To ja podpisałem traktat, ledwie uzyskałem władzę, by to uczynić, po czym usiłowałem go utrzymać. U nikogo nie budziłem wszakże lęku, a filozofowie chcieli nawet uczyć mnie rządzenia... Po upływie dziesięciu lat wielkie dzieło mojego ojca popadło w ruinę i miało się już nigdy nie odrodzić. Otóż pewien stary wódz przysłany przez metropolię, Timoleon, pokonał Kartaginę i odebrał im władzę. Następnie zesłał mnie tutaj do Koryntu, skąd wiele wieków temu wyruszyli nasi ojcowie założyciele...”

— Mistrzu! Co robisz? Mówisz do siebie?

Mistrz przetarł oczy i rozejrzał się dokoła. Osły i ich poganiacz zniknęli gdzieś po drugiej stronie drogi, nieopodal zaś stał oparty o mur jeden z trzech osobników, którzy przysli mu z odsieczą w bójce poprzedniej nocy, jeden z nieodłącznych strażników, którym miasto powierzyło go po cichu pod opiekę.

Naprzeciw niego czekał karczmarz z czarką parującego mleka.

— Pij — zachęcił — to cię postawi na nogi.

Mistrz popatrzył najpierw na niego, potem na słońce, które ukazało się właśnie na horyzoncie, a którego promienie odbijały się w jeszcze mokrym po nocnym deszczu bruku tworząc tysiące świetlistych drobinek. Wsunął rękę do sakwy szukając w niej zwojów. Odetchnął z ulgą, stwierdziwszy, że są na swoim miejscu.

Podniósł się z trudem, rozprostował obolałe kończyny i ponownie przetarł oczy, jakby nie był w stanie się obudzić.

— Innym razem — powiedział. — Innym razem.

Kiedy ruszył niepewnym krokiem, karczmarz przyglądał mu się osłupiały, dopóki jego postać nie rozplynęła się w oślepiającym blasku wschodzącego słońca.

OD AUTORA

Losy Dionizjusza I z Syrakuz są tak złożone, że musiałem dokonać pewnych wyborów i uproszczeń nie tylko ze względu na niektóre opisane tu wydarzenia, ale także z uwagi na ich uczestników.

Licznych synów tyrana świadomie usunąłem w cień, wysuwając na pierwszy plan Dionizjusza II i Hipparinosa oraz małą Arete. Podobnie rzecz się miała z postacią młodego krewniaka Dionesa, któremu źródła antyczne przypisywały tak doniosłe znaczenie, że Plutarch poświęcił mu jeden ze swych żywotów. Wprowadzenie go i rozwinięcie jego wątku dalej niż w połowie powieści nastęrczałoby trudnych do rozwiązania problemów narracyjnych. Z kolei w postaci Jolaosa zawiera się także młody brat Dionizjusza, Thearides, który nie pojawia się w naszej opowieści.

Poza tym losy Dionizjusza I zostały opisane w zasadniczej zgodności ze źródłami, w szczególności zaś podanymi przez Diodora Sykula, w którego dziejach zlewają się ze sobą zarówno Timeon z Tauromenionu, jak i sam Filistos, którego Czytelnik spotkał już na kartach niniejszej powieści.

Temat Bractwa, które kojarzy się dość wyraźnie ze współczesną mafią sycylijską, wcale nie jest wytworem wyobraźni. Stanowi ono bowiem odpowiednik tak zwanych *hetairiai*, czyli częściowo tajnych stowarzyszeń obywatelskich, o których istnieniu zaświadcniają podstawowe źródła, a które nierzadko osiągały swoje cele zastrasząc, a nawet eliminując fizycznie przeciwników. Tego typu stowarzyszenie występowało również w Grecji, uznałem jednak, że na Sycylii, i to w tak zamierzchłych czasach,

zjawisko to mogłoby nabrać szczególnie istotnego znaczenia.

Co do nazewnictwa, pozostawiłem nazwy włoskie wszędzie tam, gdzie istnieją utrwalone określenia, z kolei zastosowałem nazwy greckie (bądź kartagińskie), jeśli były rzadziej używane bądź mniej znane albo jeśli transkrypcja włoska źle brzmiała.*

Niektórzy mogą się dziwić, że zamiast „Italikowie” piszę „Włosi”, wolałem jednak uniknąć zbyt specjalistycznej i akademickiej terminologii na rzecz bardziej sugestywnego nazewnictwa, zdaję sobie bowiem sprawę, że w gruncie rzeczy zastosowane przeze mnie określenia to nic innego jak dosłowne tłumaczenie mian oryginalnych.** Oczywiście słowa „Italia” i „Italikowie” odnoszą się tu zawsze do najbardziej wysuniętego na południe obszaru półwyspu, czyli regionu, który dziś nazywamy Kalabrią.

Język w zdaniach potocznych, przekleństwach i dialogach zaczerpnąłem przede wszystkim z komedii, w których zachowało się najwięcej tego typu wyrażeń i zwrotów.

Co do polityki, punkt widzenia jest taki sam jak bohaterów książki i nie mogło być inaczej, mimo że w wielu przypadkach i w wielu sytuacjach podkreślone zostały, i to nawet za pomocą postaci drugoplanowych, wartości odmienne od tych wyznawanych przez cywilizację Greków, a przynajmniej od tych reprezentowanych przez politykę Greków na Sycylii.

Dionizjusz jawi się nam jako wielki bohater, którym był w rzeczywistości, podobnie zresztą jak jego zasadnicza porażka wydaje się skutkiem podstawowego błędu, jaki popełnił rządząc państwem: absolutyzmu.

Valerio Massimo Manfredi

* W przekładzie polskim występują dawne nazwy greckie.

** W przekładzie polskim występuje nazwa „Italikowie”, Włosi bowiem jeszcze wtedy nie istnieli.